WYDANIE
BIBLIOTEKI POLSKIÉJ W PARYŻU.

ROCZNIKI POLSKIE

Z LAT

1857-1861

TOM TRZECI

ROK 1859

PARYŻ
DRUKARNIA E. MARTINET
ULICA MIGNON, 2
1865

ROCZNIKI POLSKIE

TOM III.

WYDANIE
BIBLIOTEKI POLSKIÉJ W PARYŻU.

ROCZNIKI POLSKIE

Z LAT

1857-1861

TOM TRZECI

ROK 1859

PARYZ
DRUKARNIA E. MARTINET
ULICA MIGNON, 2
1865

SPIS RZECZY

TOMU TRZECIEGO.

ROCZNIKI POLSKIE.

POLSKA
POD TRZEMA OBCEMI RZĄDAMI.

WSTĘP.

20 listopada 1858.

Stan narodu polskiego wśród chrześciańskich i europejskich ludów tak jest niezwykłym, tak wyjątkowym, w dziejach świata niewidzianym, że go w zupełności ci tylko pojąć mogą, którzy jego cząstkę stanowią. Właściwém to jest naturze ludzkiéj, że świeża niedola rozrzewnia i obudza współczucie, długotrwała nudzi i sprowadza zobojętnienie. Ztąd pochodzi, że jeśli jedni w Europie nie chcieli i nie mogli pojąć cierpień Polski, bo byli ich sprawcami, drudzy, którzy je choć w części rozumieli i ubolewali nad niemi, sprzykrzywszy sobie ciągły ich widok i ciągłą a nieużyteczną litość, dziś dla nich zobojętnieli. Choć z boleścią, wyznać jednak należy (bo to wyznanie wyjaśnia nasze obecne położenie), że niedola Polski, jakby jaka powieść dawna, a często odczytywana, nie znajduje dziś współczucia u publiczności europejskiéj, zbyt tylko obecnością, bez poglądu na przyszłość zajętéj. Cierpienie jednak Polski nie ustaje,

jest może dolegliwsze jak dawniéj, bo ogołocone z nadziei pociechy a nawet ulgi.

Gdyby obojętni widze naszych boleści mogli sobie wyobrazić człowieka na cztery części rozćwiertowanego, lecz któregoby każda część zachowała czucie i własnych mąk i cierpień innych części; gdyby nadto wystawić sobie mogli, że niepodzielna dusza tego człowieka w każdym z tych członków porąbanego ciała tęskni i cierpi, zdołaliby sobie utworzyć pojęcie męczarni narodu polskiego. Wistocie duch nasz, cały, jeden pozostał, kiedy ciało na kilka rozpadło się części, i kiedy cierpienie każdéj z nich boleścią moralną udręcza całą duszę narodową. W dziejach ludzkości widziano nieraz narody podbite, w niewolą wtłoczone, obcym panom służące, ale rodu jednego na trzy rozdartego ludy, trzem nieprzyjaznym narodowościom opierać się przymuszone, nie było jeszcze przykładu. Ztąd poszło, że kiedy zbiegiem szczęśliwych okoliczności, usposobieniem przychylniejszém jednego z władzców jednéj części Polski, zabłysła w niéj jakaś nadzieja, ulga chwilowa pokrzepiła, uspokojenie nie mogło być nawet wówczas zupełném, bo ta ulga, bo to polepszenie bytu nie rozciągało się do braci pod inną władzą zostających. Dziś niejako zrównane zostało położenie wszystkich krajów polskich, dziś nastała równość w niedoli; dlatego to wielu naszym rodakom zdaje się, że w téj części dawnéj Polski stan jest znośniejszym, w któréj oni się nie znajdują. Galicyanin twierdzi, że wolałby żyć w Poznańskiém lub w Królestwie. Poznańczyk pomieniałby się na dolę z Galicyaninem, a zwłaszcza z mieszkańcem Polski kongresowéj, kiedy obywatel z Królestwa mniema, że nie tyle dotkliwym jest los jego braci pod rządem austryackim w Galicyi a szczególniéj pod pruskim, w Poznańskiém. Wśród téj sprzeczności życzeń i zdań, nie idzie o to, gdzie najlepiéj, lecz gdzie mniéj źle. Ilekroć zdarzyło nam się znaleźć w towarzystwie trzech rodaków,

z trzech krajów polskich przybyłych i słyszeć ich utyskiwania, tyle razy zdawało nam się widzieć trzech chorych, z których każdy inną ciężką niedolą dotknięty, zastanawia się nad boleściami swemi, opowiada je, wskazuje symptomata niebezpieczeństwa, i twierdzi, że jego właśnie choroba jest i dotkliwsza i prędszą zagrażająca śmiercią. Za panowania cesarza Mikołaja, nieraz mieszkańcy Królestwa z niejaką zazdrością spoglądąli na los braci swych w Poznańskiém i w Galicyi, kiedy po r. 1846 w Galicyi, a po r. 1848 w Poznańskiém, umysły owczesnym nader bolesnym wrażeniom uległe, zwróciły się były ku Rossyi, przywoływały życzeniem jéj panowania, i między dwoma złemi, złe rossyjskie wybierały.

Uderzeni tą sprzecznością zdań i życzeń, oddawna staraliśmy się rozwiązać to zdanie, na któréj ziemi polskiéj najznośniejszy byt dla Polaka, do któréj po tylu latach tułactwa, gdyby można odmłodnieć, nowe rozpocząć życie i wolny na zamieszkanie wstęp do ojczystego kraju znaleźć, do któréj mówimy, możnaby stałą przenieść siedzibę, w któréj mając rodzinę, chciałoby się wychowywać dzieci i przyszłość im zapewnić? Znając prowincye, w którycheśmy urodzili się i młodość swoję przebyli, przysłuchawszy się opowiadaniom i skargom rodaków do Francyi przybywających z innych części kraju, postarawszy się o ile możność dozwalała, o dokładne wiadomości o ich obecnym stanie, doszliśmy do pewnego przekonania, i przynosimy czytelnikom naszym, plon naszego zastanowienia, naszych uwag i spostrzeżeń. Przystępując do tak bolesnego rozbioru, uzbroić się powinniśmy i chcemy w bezstronność, w umiarkowanie. Chcemy sąd nasz zasłonić od włpywu wszelkiéj namiętności, nie dozwolić sobie żadnego słowa, obrazę niepotrzebnie wywołać mogącego, i nawet uczuciom polskim milczenie nakazując, gwałt sobie zadając, chcemy obecny stan każdéj części ojczyzny naszéj sądzić, jak gdybyśmy nie byli Polakami, lecz bezstronnymi

acz niezobojętniałymi na bliźnich cierpienia cudzoziemcami. W tym wykładzie musimy zastanowić się nad przeszłością, chcąc dać poznać teraźniejszość, a wnioskować o przyszłości. Lecz chcielibyśmy uchronić myśl naszę od zbyt częstego zwracania się na owe czasy, w których widzieliśmy najboleśniejszy, ale niejako wyjątkowy, anormalny stan rzeczy. Takim czasem był rok 1846 w Galicyi, a prawie cały ciąg panowania Mikołaja w Królestwie. Rok 1846 był gwałtownym wybuchem ślepéj nienawiści i zemsty. Rządy dwudziestoczteroletniego groźnego samowładzcy Rossyi od roku 1832, były w Polsce ciągłym systematem zemsty i nienawiści, zwolna wykonywanym. Stan taki nie może więc być za zwyczajny uważany, bo tego rodzaju namiętności zbyt są gwałtowną siłą, aby choć najmocniejszych kół machiny politycznéj nie zużyły.

Lecz nietylko nad stanem politycznym, finansowym, ekonomicznym krajów polskich chcemy się zastanowić, dotkniemy także stanu moralnego, umysłowego, obyczajów, przymiotów, wad ich mieszkańców, przekonani będąc, że jak w życiu pojedynczego człowieka charakter jego jeźli nie stanowi jego doli, to przeważnie wpływa na nią, tak i w życiu narodów, od nich samych w znacznéj części ich losy obecne a szczególniéj przyszłe zależą. Niema dla nich tak trudnego położenia, w którémby mądrością, zrozumieniem swoich obowiązków, właściwością postępowania, ulgi sobie przynieść i upielęgnowania zarodów lepszéj przyszłości zapewnić nie potrafiły. Słowa nasze o braciach wyrzeczone, jeźli do nich dojdą, choćby tchnęły naganą i przestrogą, niech przyjęte zostaną z takiém uczuciem z jakiego wypłynęły. Nieomylności sądom swoim nie przyznajemy, lecz zapewnić możem, że w nich za przewodnią jedynie nam służyła wierność sprawie naszéj i miłość wspólnéj nam matki.

Pogląd nasz rozpoczynamy od kraju rządowi austrya-

ckiemu podległego, zwrócimy go potém na Poznańskie, a zakończymy na Krolestwie Polskiém. Od uwag nad stanem prowincyj polskich w gubernie Cesarstwa zamienionych, wstrzymamy się, gdyż dopiero co obszernie zastanawiał się nad niemi dziennik nasz w artykułach : *O dążności polityki rossyjskiéj wewnętrznéj.*

I

1. — GALICYA I KRAKÓW.

Przy pierwszym rozbiorze Polski, jakby w nagrodę za skłonienie się po długim oporze do widoków dwóch drugich mocarstw, dwór austryacki otrzymał w podziale najludniejszą i najpiękniejszą część dawnéj Korony polskiéj. Składały ją połowa dawnych województw krakowskiego i sandomiérskiego z ludnością polską i stary Kazimierza Wielkiego nabytek, Ruś Czerwona z ludnością ruską. Kraj ten królestwem Galicyi i Lodomeryi przezwany, był niejako treścią całéj dawnéj Rzeczypospolitéj polskiéj. Poprzerzynany licznemi rzekami, ozdobiony najwspanialszémi obrazami przyrodzenia, obejmuje on i płaszczyzny tak żyzne jak niwy Ukrainy i Podola, i lasy tak bogate jak bory Mazowsza lub puszcze Litwy, i błonia prawie tak bujne jak stepy ukraińskie, i pastwiska żuławskie, i skarby gór tak obfite jak w Olkuszu, i miasta i wspomnienia historyczne tak mnogie jak w Wielkiejpolsce. Kraj ten, przy znakomitéj ludności, był więc warsztatem, na którym najłatwiéj wszelkie dzieło cywilizacyjne wykonaném być mogło, najzdolniejszym do przyjęcia wszelkich ulepszeń. Dodajmy do tego, iż szczęśliwém położeniem swojém, kiedy najbogatsze posiadłości domu austryackiego wystawione były na spustoszenie, jakie rozszerzały ciągłe i krwawe

boje, Galicya przez lat ośmdziesiąt nie stała się teatrem wojny, a rzadko kiedy wystawiona była na wojsk przechody. Tymczasem pod tyloletniém panowaniem austryackiém, kraj ten ani wzmógł się w zamożność, ani zakwitł przemysłem i gospodarstwem rolném, ani postąpił w oświacie. Miasta po większéj części napełnione ludnością żydowską nie wzniosły się, wsie z lichemi chatami drewnianemi i zwykle bez murowanych kominów, a więc dymne, przedstawiały obraz nieporządku i nędzy rozlicznéj. Nigdzie fabryk, nigdzie zakładów przemysłowych; gospodarstwo rolne przy żyzności ziemi w nędznym stanie, odbyt na płody trudny, brak instytutów kredytowych, szkoły na sposób austryacki urządzone, nieodpowiednie potrzebie krajowéj. Oświata wiejska zaniedbana; religia, acz w państwie katolickiém, przy wpływie praw józefińskich i duchu febryanizmu. w upadku. Duchowieństwo ani nauką, ani moralnością nie odznaczające się, ani przejęte powołaniem swojém; stosunki między włościanami a właścicielami ziemskimi najpotworniejsze, bo pozbawione charakteru dawnéj patryarchalności, a zaszczepiające wzajemną nieufność i niechęć. Włościanin osiadły na gruncie, będący *de facto* właścicielem jego jako majoratu, lecz przykuty do niego, lecz w wiecznéj małoletności i w obowiązkach poddańczych utrzymywany. Formy administracyjne zawikłane i uciążliwe, fiskalność rządu, przewaga biurokracyi nienawistnéj rodowi szlacheckiemu i polskiemu. Dwoma tylko istotnie użytecznemi dziełami uposażył rząd austryacki Galicyą, drogami bitemi, którémi pierwéj od innych rządów ziemię polską poprzerzynał, i sporządzeniem dokładnego pomiaru kraju, na którym oparł dobrze urządzony kadastr. Taki obraz przedstawiała Galicya wtenczas, kiedy Królestwo Polskie obdarzone konstytucyą, często wprawdzie gwałconą, posiadało osobną administracyą, reprezentacyą, wojsko, szkoły narodowe, instytut kredytowy, bank polski, i miało otwarty dla

młodzieży swojéj zawód tak wojskowy jako i cywilny, i kiedy Księstwo Poznańskie przy umiejętnéj i oświeconéj administracyi pruskiéj zakwitało ulepszoném gospodarstwem krajowém, wprowadzonym porządkiem, przemianą stosunków włościańskich, i ustanowieniem kredytu ziemskiego. Po roku 1831, konieczność pewnych zmian i ulepszeń w Galicyi dała się uczuć tak rządzącym jak rządzonym. Wytrwałości starań i przełożeń kilku gorliwych obywateli uległszy, rząd zezwolił na ustanowienie towarzystwa kredytowego, obok którego powstał drugi zakład kredytowy i kasy oszczędności krajowéj. Znaczniejsza większość obywateli galicyjskich, zmienienia stosunków włościańskich, usamowolnienia ludu wiejskiego, zaprowadzenia wolnéj jego pracy zażądała, i stosowne podanie na sejm stanowy przygotowała. Te ich szlachetne zamiary, tę nadzieję wzrostu pomyślności krajowéj zniweczyły wypadki roku 1846. Nie chcemy wywoływać widma tego ohydnego roku, to tylko nadmienim, że trzebaby wielkiego wysilenia roztropności, mocnych bardzo powodów, aby pamięć tego roku w rodzie polskim zatartą być mogła. Rok ten i następnie odmęt roku 1848 przemieniły zupełnie stan Galicyi, równie jak i całego państwa. Nastał rząd nowy a raczéj odnowiony. Solidarności z dawnym za bezprawia i mordy roku 1846 żadnym on wprawdzie czynem, żadnym aktem nie zrzucił z siebie, jednak mu ich za jego winę w zupełności poczytywać nie można. Znieważenie zaś prawa własności, w roku 1848 dokonane, choć w części wynagrodził, i zasadę jéj uświęcił, postanowiwszy prawo wynagrodzenia za zniesioną pańszczyznę i daniny, i wprowadziwszy je w wykonanie.

Jakie skutki pociągnęła za sobą gwałtowna zmiana stosunków włościańskich, która ukazała się nie jako powolna i roztropna reforma, lecz jako zaślepiona rewolucya socyalna, jakie nieszczęścia i straty sprowadził na kraj ten płód potworny rozszalałéj burzy, ten gwałt za-

danyprawu własności, wiadomo jest każdemu. W pierwszych latach po dokonanéj zmianie, wszystkie od razu klęski wylały się na kraj, zwłaszcza w téj jego połowie, która była teatrem krwawych wypadków. Upadek majątków szlacheckich bez dźwignienia pomyślności włociańskiéj, niemoralność ludu, jego zobojętnienie religijne, prawie uzwierzęcenie. Praca jego niechętna, trudna, kosztowna. Upadek kredytu, wzrost lichwy, zaniedbanie gospodarstwa rolnego przy braku kapitału potrzebnego do zamienienia gospodarstwa pańszczyznianego na parobkowe, ztąd zmniejszenie produkcyi, nieurodzaj kilkoletni, głód, a następnie cholera, tyfus, mór, i o jednę trzecią część zmniejszenie ludności! Wprawdzie rząd zaczął wypłacać tak nazwane zaliczki, które prawie równoważyły wysokość ówczesnych podatków, lecz to był tylko niejako procent od utraconego kapitału, a tu właściciele kapitału potrzebowali, niektórzy dla spłacenia uciążliwszych długów, wszyscy dla urządzenia nowego trybu gospodarstwa. Gdyby ten kapitał indemnizacyjny był zaraz wpłynął po zniesieniu pańszczyzny do rąk ich, iluż klęsk, iluż strat byłby kraj uniknął, uniknęliby obywatele, znalazłszy wsparcie i pomoc wśród przesilenia majątkowego i gospodarskiego? Lecz ten kapitał wynagrodzenia doszedł dopiéro do ich rąk w lat ośm lub dziewięć po dokonanéj zmianie, i wistocie wynagrodził tylko połowę strat poniesionych, a jednę trzecią część tym, którzy obligacyj indemnizacyjnych zachować nie mogli, lecz sprzedawać je musieli po 70 do 80 za 100, dla opędzenia najnaglejszych potrzeb. Jakkolwiek bądź wypłata indemnizacyi wstrzymała kraj nad przepaścią zguby. Od czasu jak wysokość wynagrodzenia oznaczono i takowe wypłacone zostało, właściciele dowiedzieli się jaki jest ich istotny majątek, i stosownie do tego urządzili się. Dla jednych indemnizacya była tylko tém, czém piżmo dla umierającego, dla drugich stała się pokrzepiającym lekiem. Dla niektórych stanowi kapitał, który i do pomnożenia ich

mienia i do podźwignienia pomyślności krajowéj przyczynić się może.

Jednym ze skutków zmian zaszłych w roku 1848 było przeistoczenie stosunków między ludem włościańskim a stanem szlacheckim, nietylko fizyczne, ale i moralne. Fizyczne było gwałtowne i nagłe, moralne jest powolne i stopniowe. Dopóki trwały poddańcze i pańszczyzniane stosunki, panowała między tymi wieczystymi, poddańczymi i pańszczyznianymi dzierżawcami (bo takimi byli włościanie galicyjscy) a właścicielami nieufność, niechęć, nawet nienawiść. Od czasu jak ci włościanie stali się właścicielami i możność nabywania własności otrzymali, odkąd ustały wzajemne obowiązki i prawa drażliwość utrzymujące, badawcze oko dostrzega z postępem czasu zmiany usposobienia w ludzie wiejskim i zbliżenia się niejako ku tym którzy powinni byli być naturalnymi ich opiekunami i naczelnikami. Jeszcze jest parę zadań nierozwiązanych lecz blizkich rozwiązania : pregrawacye i służebności, które odnawiają dawne niechęci i pożądliwości włościańskie; lecz już zaczynają czuć i nowo uwłaszczeni włościanie i dawni właściciele, szlachta, że na zachowaniu zgodnych i przychylnych sąsiedzkich stosunków w znacznéj części zależy pomyślność tak jednych jak drugich. Jeszcze włościanin galicyjski nie poczuł swojéj narodowości, lecz jest daleki od przyjęcia obcéj. Od lat tylu oderwany od pnia polskiego, zapomniał prawie jaki jest ród jego. Dziwném pomieszaniem wyobrażeń, w zachodniéj Galicyi, w szlachcie tylko Polaków widzi : sam się dotąd Polakiem nie uznaje. Zowie się wprawdzie cesarskim, ale nie nazwie się ani Niemcem, ani Austryakiem. A w tych przez niego zwanych Polakach przestał już widzieć ciemięzców, nieprzyjacioł; widzi w nich teraz sąsiadów, powoli zacznie w nich upatrywać braci. Nie jest to żadne złudzenie, ale z pewnością twierdzić można, że byleby zgubne nauki nie zakłuciły duszy tego ludu, nie obudziły w nim żądz niecnych, im

więcéj oddalać się będziemy od czasów pańszczyznianych, poddańczych i od wspomnień roku 1846, tém usposobienie ludu włościańskiego co raz więcéj znarodowieje i dla starszych braci przychylniejszém się stanie.

2.

Rok 1848 stał się epoką przerodzenia w dziejach Galicyi. Zataić nie można, że kraj ten, od czasu przykucia go do państwa austryackiego, niżéj stał od innych części Polski w oświacie, w wykształceniu moralném, w naukach, w literaturze, w przemyśle, słowem we wszystkich zawodach działalności ludzkiéj. Jeźli cofniemy myśli w czasy po pierwszym rozbiorze Polski, bolesny bardzo obraz wówczas przedstawia nam Galicya. Lwów staje się miastem wszelkiego rodzaju zepsucia; miłość kraju a z nią uczucie doznanéj hańby narodowéj, w krótkim czasie przytępia się. Zamiłowanie zabaw i uciech materyalnych owłada umysły mieszkańców. Spokojność, jakiéj pod obcym rządem używają, zabezpieczenie od nowych klęsk wojennych i ofiar krajowych wystarcza im; a kiedy inne części kraju, jeszcze raz w imię niepodległości narodowéj występują do boju, Galicya, w r. 1794, nie budzi się z letargu i w spólnéj sprawie nie przynosi haraczu swéj krwi, ani nawet swoich dostatków. Po ostatnim podziale, aż do blizkich nas czasów, nie zmienia się stan rzeczy. Galicya bawi się, hula, zbytkuje, próżnuje. Drobniejsza szlachta zachowuje dawne nałogi polskie, dawną rubaszność, nieuctwo, zawadyactwo, a przytém i dawne przymioty serdeczności, otwartości, gościnności, i można śmiało twierdzić, że obyczaj dawnego polskiego szlachcica, najdłużéj przechował się w górach galicyjskich. Szlachta majętniejsza ubiegała się o tytuły austryackie, kupowała je, zapatrywała się na wzory wytworności, ogłady i ze-

psucia jakich Wiedeń dostarczał, a tak kraj ten dziwną mieszaninę przedstawiał: niżéj dawną polskość, wyżéj niemczejące obyczaje.

Rok 1831 wstrząsnął duchem Galicyi, obudziły się uśpione czucia, i w Galicyi także Polska odżyła. Ale choć się serca ogrzały, nie oświeciły się umysły. Z wypadków ówczesnych wywiązały się, zwłaszcza w młodzieży, najdziwniejsze wyobrażenia patryotyczne, polityczne, społeczne. Powstał zamęt długotrwały, wśród którego dopiero lata 1846 i 1848 fiat lux wyrzekły. I stało się światło, rozjaśniły się nieco wyobrażenia i przyszło koniecznością nakazane poczucie obowiązków i zamiłowanie pracy. Ustały gry hazardowne, hulanki jarmarkowe, zbytki i próżniactwo. Poznał obywatel galicyjski, że Bóg każdemu pracować w pocie czoła nakazał, i że jeźli zginąć nie chce, i pracować i grosz zapracowany oszczędzać musi. Pod tym więc względem znaczne polepszenie daje się spostrzegać w Galicyi. Orzeźwiały téż w niéj widocznie wyobrażenia polityczne. Rok 1848 był wybornym choć kosztownym nauczycielem, i przekonał jak niebezpiecznie jest dać się łowić dźwięcznym słowom. Co do wyobrażeń religijnych i moralnych, wiele jeszcze pozostaje do życzenia, jeszcze są one dziwnie zakłócone i mętne. Jest jednak w nich postęp, jest postęp i w duchowieństwie, w którém szczególniéj młodsza część odznacza się nauką, gorliwością, pojęciem świętości swego powołania.

Jedna okoliczność wpłynęła przeważnie na podniesienie stanu umysłowego i moralnego, na ożywienie ducha narodowego i katolickiego, na poprawienie mowy polskiéj szczególniéj w Galicyi zachodniéj. Okolicznością tą było wcielenie Krakowa. Kraków jako wolne miasto, jako rzeczpospolita, jako ostatnia piędź ziemi polskiéj niepodległa, był zaiste milszym i droższym całemu narodowi, niż w obecnym stanie; lecz przyłączenie jego do Galicyi, założenie w nim stolicy rządu części zacho-

dniéj, stało się dla niéj szczególnie korzystniejszém. Kraków, to nasze święte miasto pamiątek. Kraków ktokolwiek i jakkolwiek w nimby panował, zawsze polskim pozostanie. Choćby nawet w skutku czy gwałtownego, czy zręcznego działania, część jaka mieszkańców jego wynaradawiać się zaczęła, głazy jego, pomniki, groby, mogiły w około go otaczające wiecznie polskiemi pozostaną i wiecznie rozpłomieniać będą świętą iskrę w sercu każdego Polaka, który powietrzem tych pamiątek ojczystych odetchnie. Kraków więc polski, katolicki, religijny z wszechnicą jagielońską, z niejakiém życiem umysłowém, stawszy się główném miastem, stolicą Galicyi zachodniéj, musiał wpływ wywrzeć na stan moralny i umysłowy jéj mieszkańców. Wpływ ten nie jest jeszcze tak silny, jakby być powinien. Nie tajmy prawdy, acz niemiłéj. Od lat wielu wadą Krakowa była ospałość w świecie ducha, a nawet w zakresie każdego działania. To zamiłowanie próżniactwa, ta bezwładność w myśli i w czynie, najjawniéj się objawiły za czasów rzeczypospolitéj. W roku 1848 kilku zacnych i gorliwych obywateli, korzystając z chwilowéj swobody myśli i pióra, założyło pismo polskie w celu walczenia z wyobrażeniami panującemi wówczas w kraju, a zagrażającemi równie wierze, narodowości, jak porządkowi społecznemu. Wystąpić wśród owczesnych okoliczności do walki, było czynem cnoty i odwagi obywatelskiéj. Dziennika *Czas* pod tym względem istotne i wielkie są zasługi. Upowszechniony w kraju, zaczął oswajać umysły z zdrowszemi wyobrażeniami politycznemi, religijnemi, towarzyskiemi, nadto odzwyczajał czytelników galicyjskich od języka austryacko-polskiego *Gazety lwowskiéj*, a zaczął im poprawniejszą mowę ojczystą przypominać. Co więcéj, dla wielu czytających był niejako pobieżnym wykładem historyi, jeografii i nawet innych wiadomości ludzkich, zupełnie prawie obcych nie jednemu mieszkańcowi Galicyi. Dziennik ten ustalił swój byt, trwa

więc, i spodziewać się należy, że trwać daléj będzie. Stał się on bowiem jedną z potrzeb Galicyi a nawet i wielu czytelników polskich za granicami Galicyi. Ważném przeto jest jego powołanie; oby zawsze wśród trudnych nieraz wydarzających się okoliczności, wiernym mu pozostać mógł i umiał.

Od lat kilku ożywiło się nieco życie Krakowa umysłowe, naukowe, towarzyskie. Objawy tego ożywienia upatrujemy w założeniu i wzroście Towarzystwa Rolniczego, w odnowieniu Towarzystwa Naukowego, w utworzeniu i zakwitnieniu Towarzystwa sztuk pięknych, w powzięciu myśli i w pomyślném urządzeniu wystaw. Wprawdzie Towarzystwo Naukowe, które chce i powinno być uważane jako biorące spadek obowiązków po Towarzystwie Przyjaciół Nauk warszawskiém, nie obudziło dotąd w całym kraju polskim dostatecznego współczucia. Składki na budowę domu Towarzystwa, mimo całéj gorliwości sędziwego prezesa postępują zwolna i z trudnością. Wyznać jednak należy, że pierwszą potrzebą i obowiązkiem tego Towarzystwa było przekonanie publiczności krajowéj, że odmłodnienie jego nie było sztuczném, że posiada siłę żywotną, i że jest zdolném stać się ogniwem spajającém w jeden łańcuch usiłowania umysłowe kraju całego.

Kraków zaczyna być miejscem zebrania zimowego wielu znaczniejszych rodzin. Ci, którzy dawniéj w krajach obcych, lub we Lwowie, życia towarzyskiego poszukiwali, znajdują je teraz w Krakowie. Zbliżenie się społeczeńskie do kilku osób u władzy rządzącéj stojących, wielu rodaków troskliwych o pielęgnowanie naszéj godności narodowéj, uważa jako niebezpieczne, a nawet narodowości naszéj zagrażające. Może być, że obawy ich są przesadzone. Zbyt słabą miałaby podstawę narodowość nasza, gdyby zachwiać i skazić ją zdołało zetknięcie się w życiu towarzyskiém z tymi, którzy albo nie są skłonnymi do jéj utrzymywania, albo nawet są

jéj nieprzyjaznymi. Mniemamy zaś, że stronienie systematyczne od władzy, któréj ulegać kraj jest przymuszony, stronienie wtenczas właśnie, gdy się okazuje przystępniejszą i mniéj rażącą nasze uczucia, nie jest zgodném z dobrem powszechném. Takie, zupełne odosobnienie się, jest to skazaniem się na nieczynność, na nieużyteczność w praktyce życia krajowego. Jeżli zbliżasz się do władzy rządzącéj, nie dla widoków osobistych, nie dla żebrania tytułów, orderów, zaszczytów, lecz przez chęć oświecenia osób stojących u steru o jego potrzebach, przez chęć wpływania na ich usposobienie, nie popełniasz ani podłości ani występku. Lecz salonowych uprzejmości i przyjemności towarzyskiéj nie uważaj jako ulgę krajową, jako korzyść powszechną; niech one nie zatrą w twéj pamięci ciągłéj krzywdy polskiéj i téj godności w nieszczęściu, która jest ostatnią tarczą rozbrojonych. Że więc jest śliska droga na którą wstępujesz, trzeba ażeby i twoje własne sumienie i oświecona publiczna opinia czujną straż trzymały na téj granicy, gdzie się przyzwoitość towarzyska kończy a podłość zaczyna.

Tém przekonaniem przejęci byli ci gorliwi obywatele, którzy w Galicyi z rzadką wytrwałością starania podejmując, uposażyli kraj koleją żelazną, całą jego długość przerzynać mającą, zbudowaną w znacznéj części kapitałami krajowémi, trudem i pod strażą obywateli polskich. Nie to jedno tylko przedsiewzięcie przemysłowe kraj im zawdzięcza: wszystkie zakłady, wszystkie ulepszenia zdolne wznieść materyalną pomyślność Galicyi, są przedmiotem ich pieczołowitości. Okazali oni, a na ich czele prezes Towarzystwa Kredytowego i Dyrekcyi kolei żelaznéj, nie zrażając się żadną trudnością stosunków nieraz niemiłych, że nie ma takiego stanu narodu, w którymby obywatel prawy a gorliwy powinien na zupełną wskazać się nieczynność, w którymby nie mógł znaleźć zakresu użytecznego działania.

Wspomnijmy nakoniec, że Kraków wywarł już wpływ

zbawienny na wychowanie młodzieży galicyjskiéj. Z boleścią wprawdzie wspomnieć należy, że wtenczas nawet, kiedy mowa Polska cierpianą jeszcze była w uniwersytecie jagielońskim, kiedy ta szkoła wyższa była jeszcze polską, większa liczba uczniów cisnęła się do uniwersytetów niemieckich, wiedeńskiego i lwowskiego niż do téj staréj ojczystéj wszechnicy. Ta jednak młodzież, która się od lat sześciu kształci w Krakowie, tworzy, jak słyszymy, grono odznaczające się religijném przekonaniem, postępowaniem moralném, zamiłowaniem nauki, pracy, towarzyską ogładą i dojrzałością rozsądku. Lecz młodość nigdy miary właściwéj zachować nie umié; bać się więc przeto należy, ażeby ów rozsądek nie zgasił uczucia, nie sprowadził zobojętnienia, nie starł z téj młodzieży polskiéj tych znamion, bez których nowe pokolenie za stracone dla sprawy ojczystéj musielibyśmy uważać.

Galicya wschodnia z ludnością ruską, któréj ani mord roku 1846 nie zakrwawił, ani klęski po nim idące nie dotknęły, która żyzności swojéj winna była w latach powszechnego nieurodzaju zabezpieczenie od głodu, a wysokim cenom produktów wzrost zamożności, inny nieco przedstawia obraz od części zachodniéj. Wprawdzie przy mniejszéj ludności utrudnione zostało gospodarstwo rolne, produkcya kosztowniejszą się stała, przecież ta część wschodnia Galicyi, a zwłaszcza Podole galicyjskie, nie doznały téj nędzy, tego upadku majątkowego, do którego cyrkuły zachodnie doprowadzone zostały. W dawniejszych téż wadach galicyjskich, mniejsze się tam upamiętanie i poprawa objawia. Jeszcze tam znajdziesz zbytki, marnotrawstwo czasu i pieniędzy. Namiętność gry, jeźli nie przy stole od kart to w szrankach wyścigów konnych okazuje się. Jeszcze tam religijne i polityczne wyobrażenia dalekie od czerstwego zdrowia, a jednakże w téj właśnie części kraju silne przekonanie katolickie, i gorliwość wiary najpotrzebniejsze, obok wpływu rossyjskiego schyzmy przeciskającego się

do ludności ruskiéj, a w któréj coraz silniéj opętać usiłuje, i już opętał znaczną część duchowieństwa grecko-unickiego. To niebezpieczeństwo równie religijne jak polityczne schyzmy, jest następstwem i karą rządu austryackiego, za ową nienawistną narodowości polskiéj myśl z roku 1848, która od niéj lud ruski oddzielić i wieczny między obydwoma rozbrat ustanowić usiłowała. Obłąd owczesnego strachu i trwającéj zawsze nienawiści, pobudził do rozbierania na pierwiastki chemiczne części rozkrajanéj Polski. Pierwiastek oddzielony okazał skłonność do łączenia się z inszém ciałem niż to, z którém chemik chciał go połączyć. Nie polska to narodowość grozi dziś bezpieczeństwu państwa austryackiego, ale właśnie ta ruska przemienić się w rossyjską usiłująca, ale myśl panslawistyczna. Nad tym ważnym przedmiotem, nad postępem schyzmy rossyjskiéj w Galicyi, nie rozszerzamy się dziś obszerniéj, zamierzając sobie wkrótce się nad nim baczniéj zastanowić i dać poznać go, o ile nagromadzone wiadomości dostarczą nam środków.

Lwów jest stolicą wschodniéj Galicyi. Lwów dzieli się na ludność polską, niemiecką i zniemczałą. Zniemczałą znajdziesz i w średniéj klasie i w najwyższéj. Był czas, w którym we Lwowie niemczyzna, wiedeńszczyzna zaczęła być modą, ogładą, wykwintném odznaczeniem się. Zaszła pod tym względem podobno zmiana w społeczeństwie lwowskiém, jednakże w żadnéj innéj części kraju, nie znajdziesz tylu Polaków oszpeconych tytułami obcymi hrabiów, baronów, wyrzekających się obyczajów i mowy ojczystéj, mających bezczelność szukania chluby w ślepém naśladownictwie wzorów, jakich Wiedeń i pruchniejąca arystokracya austryacka dostarcza. Ludność polska lwowska, dwie ostateczności przedstawia: jednę religijną katolicką, lecz nie wolną od przesady, od drobiazgowości, i wywołującą przeciwne działanie; drugą, albo nieprzyjazną religii, albo obojętną, a wyo-

brażenia swoje polityczne strojącą w łachmany już zużytéj i podartéj szaty, i biorącą za postęp i za nowość to, co równie rozumem jak doświadczeniem ludzi i narodów za wyprobowane niepodobieństwo uznaném zostało. Te przesadzone, demokratyczne dążności objawiają się w wielu pismach lwowskich, niemniéj w dzienniku literaturze poświeconym. Wiemy, że i prowincyi lwowskiéj nie zbywa na zacnych, oświeconych obywatelach, Polakach miłujących kraj swój, zdolnych do wszelkiego poświęcenia; lecz ich dążności oddzielić należy od tych, któreśmy tam tak w religijnym jak w politycznym kierunku odznaczyli, i których szkodliwości dla sprawy ogólnéj wykazać nie wahamy się.

Przedstawiwszy obraz téj części kraju polskiego, taki jakiśmy złożyć z zebranych wiadomości, ze słyszanych opowiadań potrafili, a w porównaniu dzisiejszéj Galicyi z dawniejszą dostrzegłszy niejakiéj zmiany pocieszającéj, rzućmy okiem na stan jéj ekonomiczny, polityczny, na usposobienie i dążności obecne władzy w niéj panującéj.

Co do stanu materyalnego, nia tajmy téj prawdy, ten w żadnéj części dawniéj Polski nie doszedł do tego stopnia upadku, w żadnéj obywatel polski nie doznaje takiego ucisku, trudności majątkowych a nawet nędzy. Rosnące z każdym rokiem podatki dochodzą do ogromu, który wkrótce nie jedno mienie zgniecie. Gdzie się ten wzrost ich zatrzyma, przewidzieć niemożna. Stan finansowy państwa całego nie zwiastuje żadnéj blizkiéj ulgi; przeciwnie, nowy, najdokładniejszy pomiar dokonany w całéj Galicyi, i nowe, zbyt wysokie oszacowanie każdéj stopy ziemi, posłuży do nowego kadastru, który znacznem powiększeniem ciężarów gruntowych zagraża. Dawna fiskalność rządu w niczém się nie zmieniła, i mieszkaniec Galicyi, nie tylko gniotące go stałe ciężary znosi, ale zawsze na drobne nieprzewidziane opłaty i strofy jest wystawiony. Upadek więc majątkowy mimo

obudzonego ducha pracowitości, oszczędności i przemysłowości obywateli galicyjskich jest najgroźniejszą klęską téj prowincyi.

W stanie zwyczajnym, prawa cywilne i kryminalne tego kraju dość są silne i szanowane, aby każdemu z mieszkańców dostateczną opiekę zapewnić. Duch jednak źle zrozumianéj demokracyi ożywiający biórokracyą austryacką i w sądownictwie często się objawia, i odejmuje mu bezstronność, bez któréj niema sprawiedliwości. Co do przewinień, pozór tylko polityczny mających, te ściągają na siebie ostrzejszą surowość, aniżeli w każdym innym kraju. Przyznać jednak należy, że amnestya przez panującego Cesarza udzielona, była zupełną i żadnemu orgraniczeniu nieuległa.

Przedajność i zepsucie w klasie urzędniczéj, powszechniejsze może niż dawniéj, dalekie są przecież od stopnia do którego w sąsiednim kraju doszły. Zapewniano nas, że komisye indemnizacyjne które majątki obywatelskie w ręku swojém trzymały i rozrządzały milionami, dały przykład wielkiéj pracowitości, przejęcia się obowiązkami swemi, rzadkiéj nieskazitelności.

Tożsamość wyznania jest rękojmią, że wiara religijna mieszkańców nigdy na prześladowanie wystawioną nie będzie, lecz może zachodzić obawa, aby opieka Kościołowi użyczona, nie była czém inném, jak tylko narzędziem panowania. Aczkolwiek Cesarz dzisiejszy daje dowody usposobienia religijnego i Kościołowi chce bezpieczeństwo i niepodległość zapewnić, działanie biórokracyi nienawistnéj katolicyzmowi, zwłaszcza niepodległemu, i narodowości polskiéj, bezwładnym czyni konkordat niedawno zawarty, w téj właśnie części, która zbawienne następstwa sprowadzićby mogła.

System wychowania publicznego jest istotném niebezpieczeństwem i plagą Galicyi. W tym systemacie błędnym i niedostatecznym dla każdéj narodowości, uwzględnienie narodowości polskiéj zupełnie pominię-

tém zostało. Na téj ziemi polskiéj, nauka mową naszą ojczystą już nie przemawia. Słowo polskie, nawet w starych murach wszechnicy jagielońskiéj prawie zupełnie zamilkło, najznakomitsi mistrze z niéj usunięci. Młodzieniec galicyjski kształcący się w szkołach tamtejszych, mógłby nie domyślać się że jest Polakiem, gdyby mu tego w domu rodzicielskim nieprzypomniano. Niebezpieczeństwo wynarodowienia umysłowego grożące młodym pokoleniom, jest jedną z najdotkliwszych boleści galicyjskich.

Zyskania praw politycznych, rozszerzenia swobód, jak żaden kraj stanowiący całość państwa austryackiego, tak i Galicya spodziewać się nie może. Rząd austryacki zatrzymawszy się raz na téj drodze, dopóki trwać będzie, daléj na niéj nie postąpi. Wolność polityczna jest tam na długie wygnanie skazana.

Cenzura jak w całém państwie tak i w Galicyi jest zniesioną. Myśl, słowo jest wolne, lecz pod warunkiem aby nie było niedogodném i niemiłém rządzącéj władzy. Skoro jest takiém, ściganém i karaném bywa. Stan więc téj warunkowéj wolności myśli i ducha jest prawie uciążliwszym od niewoli cenzurą zakreślonéj. Sąd o szkodliwości i karogodności pism powierzany jest często niewłaściwym sędziom. Dzieła głoszące najniebezpieczniejsze towarzyskie nauki dozwalane bywają, kiedy za to zacne uczucia lecz tchnące żalem lub nadzieją albo wspomnienia przeszłości są potępiane. Nie tak łatwo jest pisać Polakowi w Galicyi jakby to mniemać można, i piszący w niéj, a strzegący prawéj drogi, tém większą zasługę pokładają.

Mimo to wszystko, narodowość polska pod rządem austryackim na mniéj gwałtowne i groźne niebezpieczeństwo jest wystawiona, aniżeli pod innymi rządami, byleby tylko sama, siły swoje żywotne pielęgnować umiała. Austrya zbyt wiele w łonie swojém mieści narodowości, aby z niemi otwarcie wojować, i bój wytę-

pienia prowadzić chciała. Działanie jéj będzie powolne, nieznaczne. Przeszkadzając wszystkiemu co ducha narodowego obudzać i żywić może, przyprowadzić go chce do strętwienia, do martwości. Postępowanie więc rządu nie tyle czynne jak negacyjne grozi niebezpieczeństwem Polsce w Galicyi. Pod każdym względem, majątkowym czy moralnym, umysłowym czy narodowym, niebezpieczeństwo to upatrzyć się daje. Nie będzie tam śmierci gwałtownéj, lecz może przyjść wycieńczenie sił, suchoty, konsumpcya!... W stanie więc obecnym, mieszkańcy polscy w Galicyi niezwykłéj siły i odwagi potrzebują, ażeby nie zmartwieć, nie dać się owładnąć zniechęceniu i zwątpieniu, nie upaść pod ciężarem tylu dolegliwości. Im większe będzie wysilenie, tém większa w obec Boga i narodu zasługa, — zasługa, jeśli przechowają i przekażą następnemu pokoleniu, nieskażonego i nieosłabionego ducha i nadzieję pomyślniejszéj doli, nadzieje zmiłowania się Bożego!

Przejdźmy następnie do obrazu innych prowincyj, Polski.

II

1. — WIELKIE KSIĘSTWO POZNAŃSKIE.

Wielkopolska, stara siedziba naszych przodków lechickich, z płasczyznami ukrywającemi w swojém wnętrzu mnogie urny, z popiołami naszych praojców pogańskich, z Gopłem, z Kruszwicą, z Gnieznem, Gdeczem, Nakłem i Poznaniem, przy drugim rozbiorze Polski zabraną została przez Prusy. W r. 1794, gdy naród jeszcze cień niepodległości zachowujący powstał, aby wywalczyć zupełną niezależność, Wielkopolanie z szlachetném poświęceniem za broń ujęli i na pewien czas uratowali

stolicę. W dwanaście lat po ostatnim rozbiorze, z zapałem który wieczną ich chlubą zostanie, witając pierwsi bohatéra wieku, zaraz zbrojnémi otoczyli go hufcami i poszli przy nim walczyć z nieprzyjaciołmi kraju. A choć nie ziściły się w zupełności nadzieje narodowe, jednak poświęcenia Wielkopolski nie zostały bez nagrody: mieliśmy choć na krótko, choć w części tylko, byt niepodległy i rząd własny. Kongres wiedeński oddając ją pod berło pruskie, zapewnił jéj przecież instytucye narodowe, a zapewnienie to powielekroć, nawet przez panującego monarchę, było stwierdzone. W r. 1831, nie ostatnimi byli Poznańczanie w gotowości do ofiar, ale ogólne, jak w r. 1794, powstanie téj części kraju byłoby się stało szkodliwe dla sprawy, ściągając całą siłę monarchii pruskiéj na walczące królestwo; roztropne przełożenia i rady wstrzymały tam popęd narodowy. Kto mógł przedzierał się przez granicę i wchodził w szeregi zbrojne, lecz wracając do siebie po upadku powstania, musiał opłacać swoje poświęcenie więzieniem i częścią fortuny.

Przytomne są pamięci każdego te czyny i ofiary Wielkopolski, niechcieliśmy jednak o nich przemilczeć, bo godne są i będą zawsze naszéj czci i wdzięcznego uznania. Lecz ta czysta miłość narodowości i ojczyzny, jaka się w latach objawiła poprzednich, prędko bardzo zamąconą została. Równo z rozpoczęciem propagandy demokratycznéj w kraju, wydano w Wielkopolsce walkę wszystkiemu, co było siłą i treścią naszéj narodowości, co podawało środki i stawało się rękojmią naszego w przyszłości odżycia. Walkę tę prowadzono zacięcie i gwałtownie. Nadzieją blizkiego z wrogami boju opanowano serce młodzieży, która ujęta dźwiękiem brzmiących deklamacyj, olśniona blaskiem najdzikszych teoryj politycznych, straciła wszelki zmysł widzenia i słuchu na potrzeby i niebezpieczeństwa narodu. W lat kilka, a w sposób straszliwy, zmieniła się fizyonomia kraju. Byli

wprawdzie ludzie, z jasnym i trzeźwym poglądem, którzy szukali odrodzenia politycznego, naprzód w odrodzeniu sił moralnych i materyalnych kraju. Ci, z trudem niewypowiedzianym, z poświęceniem każdéj godziny życia, z nieustającą ofiarą siebie i fortuny, na każdém gdzie się dało polu narodowych potrzeb, służyli ojczyznie i prowincyi. Ale przeciw nim właśnie obudziła się najpierw nienawiść partyi, jak wówczas mówiono, ludowéj; na nich to wymierzono pociski najzjadliwsze, jakie tylko podstęp i zazdrość ukuć były zdolne. I choć to byli ludzie wielkich zasług, silnego charakteru i cnoty nieskalanéj, choć niektórzy z nich jak Raczyński mieli za sobą poparcie ogromnéj fortuny, inni jak Marcinkowski ogromną popularność, wywrócił ich przecież i zdruzgotał pęd gwałtownéj powodzi, która jednę prowincyą polską morzem łez, a drugą zalać miała morzem bratniéj krwi.

Smutne są, pełne boleści, pełne najtragiczniejszych ustępów, dzieje minionéj epoki na ziemi wielkopolskiéj. Bodajby tylko ta epoka była dla Polski całkiem minioną; bodajby przykład jednych prowincyj nie był stracony dla drugich. Dziś w Poznańskiem pod wieloma względami jest lepiéj. Obudził się mocny ruch religijny, który w znacznéj części stał się zasługą gorliwości duchowieństwa i niewiast wielkopolskich; wzmocniony prześladowaniem na jakie Kościoł był wystawiony w osobie swego arcypasterza, przetrwał napaści rozliczne, utrzymuje się i wzrasta mimo wyraźnéj niechęci rządowéj. Pod względem obywatelskim, doświadczenie przez jakie przeszło Księstwo Poznańskie w roku 1846 i 1848, większa swoboda pod rządem który nie tępi oświaty, ani się wyrzeka postępu, łatwość umysłowego kształcenia się w kraju i za granicą, wreszcie udział w sprawach publicznych i w reprezentacyi krajowéj, do jakich przypuszczone zostało ustawą konstytucyjną, dopomogły wychowaniu politycznemu wielu jego mieszkańców. Ztąd widzieli-

śmy z pociechą deputowanych poznańskich na sejmie pruskim uległych pewnéj organizacyi, postępujących w jedności między sobą i drogą wskazaną obowiązkiem dobrze pojętym, słyszeliśmy z radością kilku znakomitych mowców, których głos nie przebrzmiał bez wrażenia i pamięci. Od jednéj atoli uwagi wstrzymać się nie możemy. Właściwą jest naszemu narodowi skłonność do przesady i ostateczności; miarę stosowną rzadko kiedy wynaleźć i utrzymać umiemy. Wielkopolanie pod tym względem wyraźniejszą jeszcze odznaczają się cechą; zdania u nich środkowe rzadkie, ostateczne zbyt częste. Kiedy więc jedni trzymają się zacięcie teoryj politycznych, które na Polskę tyle boleści i drażliwych pokus sprowadziły, drudzy na przeciwną stronę zbyt łatwo, zbyt daleko się przerzucają. Nie mówimy o kilku dziwnych i dziwacznych *Pruso-Polakach,* których my za Polaków uważać nie myślimy. Ale między obywatelami poznańskimi przodkującymi w oświacie, w wykształceniu i w miłości ojczyzny, znajdziesz wielu, którzy w roku 1848 do zagorzałych liczyli się rewolucyonistów, lecz uderzeni zmianami z powodzeniem na zachodzie dokonanemi, wyrzekli się dawnych wyobrażeń politycznych, i w obecnym stanie wzmocnienie władzy za jedyny cel, za jedyną podstawę europejskiego społeczeństwa uważają. Taka zupełna uległość potędze wypadków i czynów dokonanych, pogląd zbyt jednostronny, zbyt wyłączny, nie raduje nas, bo mało na przyszłość daje rękojmi. Gwałtowność nie świadczy ani o sile, ani o trwałości przekonania. Kto dziś z taką mocą popiera zasady dzisiaj tryumfujące, znajdzieżże tę moc w sobie, aby kraj obronić, gdyby dążności przeciwne na nowo zagrozić miały narodowi? Pojmujemy, że doświadczenie wiele nauczyć nas może, aleź przedewszystkiem, miary nauczyć powinno!

W każdym kraju, który doszedł już pewnego stopnia oświaty, chociażby nie używał zupełnéj swobody, opinia

publiczna winna być stróżem i sędzią działań obywatelskich. Lecz jaka opinia? Czy ta wrażliwość, która że tak powiemy, na bruku miastowym się rodzi, hałaśliwa, ciemięzka, przytém zmienna i namiętna, która przy ocenieniu sprawy nigdy drugiéj strony ani wysłuchać, ani zrozumieć nie umie, i w chwilowém rozdrażnieniu, w grubéj nieświadomości rzeczy, najbardziéj stanowcze chce wydawać wyroki? Czy też opinia, którą tworzyć, i rozszerzać powinni ludzie przodkujący w narodzie, mężowie poważni doświadczeniem, cnotą, zasługami i wykształceniem? Powiedziano dowcipnie, lecz bardziéj dowcipnie niż prawdziwie, że jest ktoś rozumniejszy od najrozumniejszych: jest nim ogół. Nam się zdaje, że narody czy wolne, czy dopiero dobijające się wolności, rosną jedynie i znaczą przez swych ludzi znakomitych, których z łona swego wydać, ich utrzymać i popierać są zdolne.— Pospieszamy wyznać, że opinia publiczna w Wielkopolsce, w zakresie moralności, jest taką właśnie, jakbyśmy ją widzieć chcieli. Każdy czyn prawdziwie gorszący, skoro wyjdzie na jaw, jest tam głośno potępiony i wytykany. Lecz w sferze politycznéj, brakiem cywilnéj odwagi ludzi znaczących, opinia wrażliwego i namiętnego ogółu, jak dawniéj brała, tak i dziś bierze jeszcze górę nad spokojném i wytrawném przekonaniem doświadczonych obrońców sprawy publicznéj. Położenie wszystkich prowincyj polskich a w szczególności Wielkopolski jest takie, że w jednym tylko razie obie opinie nieubłagane i zgodne w potępieniu być powinny, to jest w razie wyraźnego odstępstwa, podłości politycznéj, wyzucia się z godności narodowéj, którychby się pod jakimkolwiek pozorem, ktokolwiek bądź dopuścił.

Jednakże i to wyznać należy, że kierunek obu tych opinij w Wielkopolsce, jest bardzo przyjazny wszelkim poświęceniom obywatelskim. W żadnéj też części naszego kraju nie znajdziesz takiéj gotowości do udziału w każdem przedsiewzięciu, ogólne dobro Polski lub

wyłączne prowincyi mającém na celu; żadna, możem śmiało wyrzec, takiego ciężaru dobrowolnych składek nie znosiła i nawet dotąd nie znosi. Wiele, i w prowincyi, i za jéj granicami, naliczysz pięknych zakładów obywatelskich i chrześciańskich, ofiarami poznańskiemi utrzymywanych lub wspieranych. W życiu nawet obywatelskiém przykłady poświęcenia czasu, trudów, mienia dla udzielenia bratniéj pomocy nie są rzadkie. Ta cnota przodków naszych wspierania się chętnego wzajem, jeszcze się tam najwyraźniéj przechowuje. Bo téż pomimo sąsiedztwa Niemiec, obyczaje staropolskie długo się bardzo wśród wielkopolskich płaszczyzn, podobnie jak wśród gór galicyjskich utrzymywały. Kiedy inne prowincye, w ostatnich czasach Rzeczypospolitéj, przejmowały z stolicy cudzoziemskie wzory i nawyknienia, wielkopolscy mieszkańcy najwytrwaléj przy dawném obyczaju i życiu polskiem pozostali. Przypisać to należy odległości od stolicy, małemu znaczeniu głównego miasta prowincyonalnego (Poznań bowiem nigdy się dawniéj nie wzniósł do zamożności i obszerności Warszawy, Lwowa, Krakowa, Wilna a nawet Lublina) i nakoniec małéj liczbie domów możniejszych, przez które i dobre, i złe, najłatwiéj przesiąkało w obyczaje mniéj zamożnych rodzin. Jeżeli więc, pod pewnym względem, korzyść z tych okoliczności odniosła Wielkopolska, gdyż moralne w niéj zepsucie nigdy tak nie rozszerzyło się jak w innych częściach kraju, pod innym poszkodowaną była, zostawszy za dawniejszych czasów, w wykształceniu umysłowém i ogładzie towarzyskiéj opodal od innych województw. Przeszedłszy pod rządy pruskie, młodzież wielkopolska zaczęła się kształcić lecz w obcych szkołach, których wpływ na towarzyskie życie mniéj korzystnym być musiał niż szkół polskich, i tak ślady dawnego stanu rzeczy dotąd spostrzegać się tam dają. Dotąd ta ziemia ma najwięcéj cechy prowincyonalnéj, dotąd jéj dostrzedz możemy w grubéj i

skażonéj mowie ojczystéj, w hałaśliwości a nawet rubaszności jéj mieszkańców. Oświata i ukształcenie umysłowe Wielkopolski są raczéj germańskie, bo w szkołach niemieckich nabyte, aniżeli zachodnie. A że zachodnia bardziéj do natury naszéj przypada, łatwiéj więc uderzają nas różnice między ogładą Wielkopolanów a innych rodaków. Poczucie poezyi i piękności artystycznéj utrudnione im zostało tak wrodzoném usposobieniem, jak zwrotem jednych umysłów ku zawikłanym badaniom filozoficznym, drugich ku materyalnym zajęciom i korzyściom. Konieczność wynikająca z stosunków krajowych skazała mieszkańców Poznańskiego na ciężki trud rolniczy. Kwestya życia lub śmierci narodowości polskiéj w Poznańskiem, prędko bardzo i niespodzianie zeszła do posiadania ziemi. Nie było im więc dozwolone, jak w innych prowincyach, sielankować przy roli.

Zmiana stosunków włościańskich, przed trzydziestoma laty, w Księstwie Paznańskiem nie bez nadwerężenia prawa własności zaprowadzona, zmniejszając chwilowo mienie każdego właściciela, narażając go na liczne koszta i nakłady, które separacya gruntów, przeniesienie budynków włościańskich i zaprowadzenie nowego trybu gospodarstwa pociągnęły za sobą, zmusiły tamtejszych posiadaczy ziemskich do pracy i przemysłu rolniczego. Trudy ich niepozostały długo bez nagrody. Wkrótce kraj zakwitł udoskonaloném rolnictwem, podniosła się wartość majątków, otworzyły się nowe źródła dochodu, włościanie, dawniéj niechętni poddani, zostawszy właścicielami, stali się przychylnymi sąsiadami, co więcéj, jak to w r. 1848 widzieliśmy i jak ostatnie wybory na sejm berliński na nowo dowiodły, stali się dobrymi Polakami, wspólnego ratunku, w zgodzie z starszą bracią narodu, szukającymi. Fizyonomia Poznańskiego jest też zupełnie odmienną od innych części dawnéj Polski. Zwiedzając je z pociechą widzi się, że i ziemia polska może zakwitnąć nie tylko szczodrobliwo-

ścią natury, ale także przemysłem, porządkiem i pracowitością rąk polskich. Miły jest widok starannych i wygodnych, a często nawet zbytkowych zabudowań gospodarskich, domów i pałaców mieszkalnych. Postać i stan ludu wiejskiego niemałą także przynosi pociechę. Naprzód w moralności i już lepiéj pojętéj religijności odznacza się on od wszelkiéj innéj ludności polskiéj. Rozpusta, pijaństwo rzadkie są u niego. Odzież jego porządna i dostatnia, ale więcéj do niemieckiéj jak do słowiańskiéj zbliżona. Każdy już prawie, wyjąwszy sędziwów starców, czytać i pisać umié; w kościele mężczyzna czy kobieta, już nie odmawia z pamięci pacierzy; ale z książki czyta modlitwy. Pod względem więc zamożności oświaty i moralności ludowéj, Poznańskie prześcignęło bezwątpienia inne kraje polskie. Jest w tém zasługa oświeconego i o pomyślność klas niższych dbałego rządu pruskiego, lecz jest większa jeszcze gorliwego duchowieństwa i obywateli. Żadna prowincya polska nie ma tylu światłych księży, w żadnéj oni nie podejmują tyle pracy nad ludem. Obywatele, po zerwaniu stosunków poddańczych i panszczyznianych, nie złamali bratniego przymierza z ludem, nie powzięli do niego żalu i niechęci że przestał być ich poddanym, a został jak oni ziemi rodzinnéj właścicielem. Owszem rozciągają oni zawsze nad nim przychylną opiekę, wspierają go w każdéj potrzebie radą i pomocą. W latach nieurodzaju i głodu, które kraj ten nawiedziły, powiedzmy to, przerywając na tém obraz niniejszy, obywatele poznańscy z chlubą szlacheckiego rodu polskiego, dali dowód prawdziwego poświęcenia. Nie wyrzekli się tego ludu, ale z miłością chrześciańską i rodzinną, acz sami klęską dotknięci, dla wspomagania, dla wyżywienia głodnych, część mienia swego poświęcili, i piękny postawili wzór rodakom z innych części kraju, gdzie stosunki włościańskie już zmianie uległy, lub wkrótce ulegną.

2.

Wśród trudnych okoliczności, w jakich z powodu regulacyi włościańskiéj samowładnie zaprowadzonéj, znajdowało się Księstwo Poznańskie, naprzód przyszło w pomoc obywatelstwu wybornie urządzone Towarzystwo Kredytowe, późniéj skapitalizowanie czynszów opatrzyło ich w fundusz niezbędny do prowadzenia porządnego i ulepszonego gospodarstwa. Z boleścią jednak wyznać należy, że nie wszyscy właściciele tak korzystali z tych zasobów, jakby z nich korzystać powinni byli. W użyciu ich objawiły się nasze wady narodowe, dotąd doświadczeniem i rozwagą niewykorzenione. Oddawna niektóre z tych wad doszły u Wielkopolan do wyższego wzrostu niż u innych spółrodaków: szczególniéj marnotrawstwo i wystawność. Raczéj okazywać się niż być, jest jedną z przywar naszych, wygórowaną w Wielkopolsce. Kapitału w Towarzystwie Kredytowém zaczerpniętego, obywatele poznańscy użyli w znacznéj części na kosztowne budynki. Porządek w zabudowaniach pomocny jest gospodarstwu, lecz nie stanowi bezpośrednio źródła dochodu. Roztropny gospodarz buduje i muruje intratą a nie kapitałem. Zabudowała się Wielkopolska i z drewnianéj stała się murowaną, ale kosztem kapitału obrotowego i zakładowego. Miłość własna, nawet próżność gospodarska, obudzając współubieganie się, upowszechniła pochop do budownictwa. Pierwsze tedy kapitały poznańskie przemieniły się po większéj części w ciosy, cegły, dachówki i sztuczne pokrycia, jak np. tak zwane dachy *dornowskie*; część ich pochłonęły ofiary i klęski krajowe; resztę odwrócił od właściwego celu i roztrwonił coraz bardziéj zagęszczający się zbytek. Przecisnęły się do Wielkopolski najniestosowniejsze dla niéj mody i upodobania, rujnujące średnie

a nadwerężające najznakomitsze mienie. Chętka do niepotrzebnych i bezcelowych wycieczek w dalekie kraje, namiętność do gry wyścigowéj, paradne polowania na wzór angielskich, zjawiły się właśnie, kiedy upadek majątków polskich stając się coraz wyraźniejszym, zwabiał do prowincyi tém silniéj kapitały niemieckie, chciwe na każdą, zwłaszcza cudzą ziemię. Ziemia polska z rosnącą szybkością poczęła przechodzić na własność niemiecką; nadużycie ułatwień kredytowych przyczyniło się jeszcze bardziéj do tego, a gdy w roku przeszłym nastąpiło ogólne w Europie przesilenie finansowe, wiele majątków poznańskich zachwiało się, kilka upadło, przy czém wykryły się zawody ufności, postępki nierozważne i nawet czyny niegodziwe, na które rzućmy zasłonę.

Nie pozbyła się więc dotąd Wielkopolska wad, w których leży zaród największego dla jéj bytu i narodowości niebezpieczeństwa, a krzywdy dla ogółu sprawy ojczystéj. Wadami temi są: zamiłowanie wystawności, pokazność i wynikające z nich marnotrawstwo. Wstydzimy się być ubogimi, chcemy zawsze za bogatszych niżeli jesteśmy uchodzić. Spytaj się w Poznańskiem o tameczny stan majątkowy: jak ci zaczną miliony w ziemi, a krocie w intratach wyliczać, pomyślisz — jeżeli uwierzysz — że kraj cały sami bogacze zamieszkali. Daje się także spostrzegać w Poznanianach niejaka zarozumiałość, wyniesiona mimowolnie ze szkół niemieckich, których nauka przesiąkła jest dumą protestantyzmu. Zbyt silne przekonanie o swojéj wyższości w patryotyzmie, w polityce, w oświacie, a szczególniéj w przemyśle rolniczym (pomimo niedość pomyślny ostateczny rezultat) uderza w mieszkańcach wielkopolskich. Zarozumiałość jest zaporą dla każdego prawdziwego postępu; sprowadza ona albo nagłe wstrzymanie się i zastałość, albo przerzucenie się na drugi koniec mety.

Z żalem tu wspomnieć należy, że system naukowy

szkół miejscowych, niestosowny dla młodzieży naszéj, sprowadza niekiedy smutne skutki. Wychodzą czasami z tych szkół niedowarzone mędrki, albo młodzieńcy, którzy się wszelkiéj ogłady towarzyskiéj wyrzekli. Łącząc do tego braku wychowania zarozumiałość, o jakiéj napomknęliśmy, objawiają oni najdziwaczniejsze wyobrażenia religijne, polityczne i socyalne; odosobniając się od towarzystw, gdzieby mogli znaleźć wpływ korzystny na swój umysł i serce, oddają się próżniactwu, zajęciom marnotrawstwo czasu i mienia pociągającym za sobą, a tak stają się nietylko nieużytecznymi, ale nawet szkodliwymi członkami społeczeństwa krajowego. Nie masz wprawdzie dla téj młodzieży szkoły obywatelskiéj i towarzyskiéj w główném ognisku prowincyi, a nie masz z winy znakomitszych obywateli. Poznań jest dzisiaj dość znacznem miastem, aby się stał miejscem zebrania i pobytu zimowego najzamożniejszych i najoświeceńszych rodzin wielkopolskich. Tymczasem rodziny te nie poczuwają się w tém do ważnego obowiązku swego; otwierając z gościnnością domy wiejskie, od dłuższego zamieszkania stolicy prowincyi stronią. A wszakże mogłyby tym sposobem zbawiennie wpłynąć na zepsutą nawet młodź wielkopolską, pociągnąć ją w koło ukształconego życia, odwieść od mniéj przyzwoitych rozrywek, zapobiedz wreszcie aby główne miasto wielkopolskie nie stało się cudzoziemskiém.

Ale obok wytkniętych wad, ileż przymiotów i cnót u braci naszych poznańskich wykazać i uczcić możemy. Przyznajmy z radością, iż moralność rodzin między nimi bardziéj niż gdziekolwiek ustalona. Rzadkie tam przykłady zgorszenia i domowéj niezgody. Cnota przodków, gościnność serdeczna, przetrwała tam w całéj sile klęski krajowe i utrzymuje się obok popędu do zajęć materyalnie korzystnych. Straciła ona tylko dawny charakter, uorganizowała się — powiedzmy prawdę, udoskonaliła się. Owa sławiona gościnność przeszłych

czasów nosiła cechę wad narodowych; w niéj także była anarchia. Te drzwi zawsze stojące otworem, te częste zjazdy dla hulanki, ten przymus dla jadła, picia i dłuższego pobytu, to staropolskie zdejmowanie kół, były zapewne wypływem z serca, lecz pochodziły także i z powszechnego nałogu próżnowania, z braku oględności na przyszłość, ze skłonności do marnotrawstwa. Wielkopolska gościnność dzisiaj jest szczéra, hojna, ale przestała być nieokrzesaną.

Zwróćmy teraz uwagę na charakter, dążność i działanie rządu pruskiego w Księstwie Poznańskiem; a naprzód powiedzmy o administracyi pruskiéj uważanéj za jedną z najoświeceńszych i najdokładniéj urządzonych. Jest ona rzeczywiście taką, ale tylko w prowincyach niemieckich. Tam żadnego ona postępu nie tamuje, nie jeden dzielnie wspiera; tam, uszanowanie dla prawa jest ustalone, bezpieczeństwo obywateli zupełne, swoboda myśli, pióra i czynu tylko umiarkowanémi przepisami prawnémi ograniczona. Ale w Poznańskiém!... Rząd pruski, opiekun i wyobraziciel protestantyzmu, czerpie swoje natchnienia, pojęcia i dążności w dumie germańskiéj, a względem nas i w téj nienawiści, która po tylu krzywdach od wieków nam zadanych, dochować się w nim musiała. Przekonany o swojéj doskonałości, pomiata wszystkiém co nie wpada w karby jego systemu. Niemiec nie rozumié, aby mogło być większe szczęście jak być Niemcem, a przytém radby usunąć ze sceny tego świadka i tę ofiarę podstępów swych i gwałtów z lat 1772, 1793 i 1794!... Wynarodowienie więc obcego, podległego mu szczepu zwłaszcza polskiego, uważa sobie za obowiązek, potrzebę, konieczność i zasługę. Dlatego to Księstwo Poznańskie, polskie i katolickie, w wyjątkowém wśród monarchii pruskiéj zostaje położeniu, i podczas powszechnéj innych prowincyj pomyślności, boleje niezmiernie.

Wprawdzie traktaty i przyrzeczenia zmarłego króla

zaręczyły Księstwu Poznańskiemu instytucye narodowe i poszanowanie narodowości; ale rząd nie waha się twierdzić, że obywatele poznańscy udziałem przyjętym w powstaniu 1830, a szczególniéj wypadkami 1848 r. zniweczyli ważność tych zaręczeń.

Położywszy więc wytępienie narodowości polskiéj w Poznańskiém jako następstwo historyczne i zadanie polityczne, rząd pruski z systematycznością i wytrwałością sobie właściwą przystąpił do dzieła. Przekonany, że narodowość ta jest silnéj żywotności tak w ludzie prostym jak w szlachcie, a zatém walka z nią samym wstępnym bojem mogłaby się nie udać, postanowił użyć sposobów ubocznych i starać się o wynarodowienie ziemi. W boju otwartym za główną broń służy mu wychowanie publiczne. Szkoły są tylko niemieckie; mowa polska, nauka przeszłości narodowéj, nie mają w nich miejsca : przeznaczeniem ich jest tworzyć i kształcić obywateli pruskich. Następnie uważmy, iż cała administracya jest niemiecka; język urzędowy na najwyższych i najniższych szczeblach administracyjnych i sądowych, niemiecki. Żadna instytucya, żaden zakład, żadne uprawnione stowarzyszenie, jeśliby tylko miały znamię narodowości polskiéj, dozwolone nie są.

Ponieważ rząd pruski wyznaje uszanowanie dla prawa, przeto w prowincyi poznańskiéj nie chcąc go łamać otwarcie, umié je obchodzić i czynić bezskuteczném. Wolność druku w Prusiech, z małemi ograniczeniami, jest zapewniona; wszakże ani mowa, ani myśl polska korzystać z niéj w zupełności nie może. Zręcznie stawiane przeszkody, pozorami prawności pokryte, tamują im drogę. Z tego głównie powodu oddawna Księstwo Poznańskie nie mogło zdobyć się ani na jeden dziennik polityczny, bo za taki nie należy uważać *Gazety W. Księstwa Poznańskiego* (1). — Wolność stowarzyszenia jest

(1) W roku 1859 zaczął wychodzić pod redakcyą p. Jagielskiego *Dziennik poznański.*

także zaręczona. Tworzą się towarzystwa rolnicze powiatowe z obywateli polskich złożone, lecz obok niemieckich uznanych, potwierdzenia rządowego otrzymać nie mogą. Trudność otrzymania potwierdzenia, niedozwala tém bardziéj założyć ogólnego towarzystwa, któreby z korzyścią dla kraju urządzało wystawy publiczne, zajmowało się rozdawnictwem nagród i miało swój właściwy organ. Tak tedy Wielkopolska, w któréj rolnictwo jest najprzedniejszém zajęciem, nie ma uprawnionego Towarzystwa rolniczego, kiedy w Galicyi i w Królestwie dozwolone. — Zawiązuje się Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu; zabronić go prawnie władza nie może, a więc w kolebce jeszcze chce to nowonarodzone dziecie dotknąć kalectwem : w tym celu cały stan nauczycielski wtrzymuje od przystąpienia do niego, lub do wystąpienia zeń zmusza.

Jedyném towarzystwem przez władzę uznaném, a które wyborami obywatelskiemi, całém urządzeniem i składem stało się prawdziwie krajowém, jest Landszafta poznańska. Choć więc jak najlepiéj zasłużyło się prowincyi, choć w przedłużoném nad zakres oznaczony życiu mogłaby te zasługi pomnożyć, już jest na śmierć skazaną, a jako następca i spadkobierca jéj ukazuje się ulepiony potwor, jakiegoby najbardziéj rozprężona wyobraźnia utworzyć nie potrafiła. Potworem tym jest nowe Towarzystwo Kredytowe, które kiedy będzie dobrze poznane w Europie stanie się wstydem finansowym i ekonomicznym rządu pruskiego, a razem posłuży za dowód, jakich to środków ludzie za moralnych i oświeconych uznawani, przeciw nam używają.

Władza w Prusiech, w każdém zebraniu, w każdém stowarzyszeniu obywateli poznańskich zwykła podglądać cele polityczne; co więcéj, upatrywać je chce w przywiązaniu do wiary przodków, w gorliwości religijnéj. Ztąd jéj niechęć dla Kościoła katolickiego i do wszelkich objawów katolicyzmu w Księstwie. To usposobienie

rządowe, nieraz dotkliwie czuć się daje prawowiernym mieszkańcom; lecz razem przyczynia się do utrzymania żarliwości religijnéj tak między obywatelstwem jak w ludzie.

Dla młodzieży wielkopolskiéj, nawet w szkołach krajowych uczonéj, zamknięty jest wszelki zawód publiczny, lub inny zapewniający byt i sposobność stania się użyteczną krajowi. Młódź polska, przed natłokiem Niemców docisnąć się do żadnego miejsca nie może; a chociaż się i dociśnie, wznieść się na wyższe nie potrafi, jeśli się zupełnie narodowości swéj nie wyrzecze. I pod rządem więc pruskim, młode pokolenie na nieczynność skazane, okwita bez owoców.

Położenie Księstwa tak jest nieszczęśliwe, że wszelkie środki cywilizacyjne, wszelkie ulepszenia materyalne, które rząd w całem państwie chętnie popierając, i do téj prowincyi wprowadza, jeżeli polepszają byt fizyczny kraju, to obracają się na szkodę jego ducha, przyczyniają się do wynarodowienia. Jeżeli się mnożą zakłady szkolne wyższe i niższe, to na to, aby w wyższych mądrość germańską, a w niższych język i wyobrażenia niemieckie rozszerzać. Jeżeli się zagęszczają ułatwienia komunikacyjne, drogi bite, koleje żelazne, to niemi tłumnie przybywają cudzoziemcy i powiększają ludność niemiecką, znajdując zajęcie przy tych drogach i kolejach, sadowiąc się po dworcach i domach zajezdnych. Jeżeli wznoszą się miasta, to tylko napływem obcych kupców i rzemieślników. Miasta, koleje, zakłady publiczne, gospody miejskie, a nawet i wiejskie, wszystkie są niemieckie. Z nich ani się domyślisz, że się na ziemi polskiéj znajdujesz. Niefortunny stan kraju, w którym wszystko prawie, co gdzieindziéj stanowi materyalną pomyślność i na rozwinięcie ducha wpływa, tu tego ducha morduje i zabija!

Gdy system reprezentacyjny w monarchii pruskiéj zaprowadzony został, przypuszczono i mieszkańców

Poznańskiego do wyborów i reprezentacyi prowincyi swojéj. Lecz skoro tylko spostrzeżono się, że posłowie poznańscy, Polacy, ustanowiwszy w kole swojém pewny porządek i zgodę, stali się niejaką siłą, chwycono się zaraz wszelkich środków do utrudnienia wyborów polskich, oznaczono w najdziwniejszy sposób okręgi wyborcze, a i teraz nawet przy zmianie systematu rządowego, w ostatnich wyborach nie zaniechała władza miejscowa żadnych starań, aby ludność polska właściwéj reprezentacyi nieotrzymała.

To tak silne i wielostronne działanie, nie jest jeszcze rządowi pruskiemu wystarczającém. Nie mogąc ludzi polskich przerobić na swoich, usiłuje ziemię polską uczynić niemiecką. Między obywatelami tamtejszymi, Polakami, ledwie pięciu lub sześciu można wskazać palcem, którzy już w duchu Prusakami zostali; ale ziemi polskiéj niestety, prawie część trzecia przeszła w ręce niemieckie! Przeszła — wyznajmy ze skruchą — z winy wad narodowych. Korzystać z tych wad, rozwijanie się ich ułatwiać, dziwnie zręcznie umie rząd pruski. Nieład, marnotrawstwo, brak przezorności, sprowadza zawikłanie majątkowe, zmusza do sprzedaży ziemi. Niemieckie kapitały zachęcane, przyciągane przez władzę, na każdą jéj piędź czyhają, czepiają się jéj, opanowują i zagon po zagonie wynarodowiają. Niemieccy nabywcy wszelkie ułatwienie do nabycia, a wszelkie pomoce i stronne poparcia do utrzymania znajdują. Polscy właściciele zaplątani w sidła stawiane im przez wygodny lecz krótkiego terminu kredyt, lub przez lichwę żydowską, nie znajdują, wyprosić nie mogą pomocy, któraby ich uratować mogła. Przedłużenie dawnego Towarzystwa Kredytowego, albo urządzenie nowego na sprawiedliwych zasadach, przyniosłoby zbawienie majątkom obywatelskim; rząd pruski zbawić ich nie chce.

Do wykonywania stałego systematu wynarodowienia, od lat kilkunastu wybiera władza najwyższa na rządzców

naczelnych w Księstwie, ludzi znanych z uprzedzeń i nienawiści do rodu polskiego, którzy jeszcze prześcigają zamiary rządu. Wszystko więc w tym systemacie jest dotkliwém i obrażającém równie cel, jak środki wykonania i wykonawcy. Jest niejaka nadzieja, że nowy rząd dzisiejszy, który obiecał niesprawiedliwość i swawolę gdziekolwiekby się zakradły hamować, wejdzie w słuszność użaleń obywateli poznańskich, pojmie ich potrzeby i zechce je zaspokoić. Ale usunięcie niebezpieczeństwa grożącego Księstwu, w znacznéj części od samych jego mieszkańców polskich zależy. Nie macie siły fizycznéj; wzmagajcie waszę siłę moralną i polityczną. Przeciw wpływowi oświaty, cywilizacyi i korupcyi obcéj, zbrójcie się w silną wiarę, cnoty narodowe, w naukę, w dobry obyczaj. Nie ciągłém i drobiazgowém drażnieniem siebie i władzy, lecz tą potęgą moralną, męztwem cywilném, w potrzebie godny was opor, gdzie należy, stawiajcie. Zniemczenie dalsze ziemi polskiéj, pracą, oszczędnością, umiarkowaniem żądz waszych wstrzymujcie. Każdy posiadacz ziemi w Poznańskiém, z własnéj winy własność swą utracający, częściowe matkobójstwo popełnia.

Te uwagi nasze do najzwięźlejszego wyrażenia sprowadzając i odpowiednio założeniu naszemu postępując, powiedzmy: W Księstwie Poznańskiém, dola mieszkańca polskiego jako człowieka, jako obywatela, swobodniejsza i bezpieczniejsza jest niżeli w Galicyi i Królestwie; jako Polaka, najtrudniejsza, najnieznośniejsza.

Zapatrując się ze stanowiska narodowości, choroba którą dotknięta jest Wielkopolska, i któréj niebezpieczeństwo staje się coraz groźniejsze, jest paraliż. Paraliż stopniowo odejmujący czucie i władzę różnym częściom ciała, wzmagający się przez złe zachowanie się chorego, który mimo siłę ducha żyjącego w nim jeszcze, prędko całe jego ciało bezwładnem uczynić może.

III

1. — KRÓLESTWO POLSKIE.

Wpośród rozdartéj Polski, część, która traktatem wiedeńskim tytuł Królestwa Polskiego dotąd utrzymany uzyskała, ma bezwątpienia w ogólnéj sprawie narodowéj największą siłę i znaczenie. Znaczenia tego nabyła i je zachowuje nietylko wspomnieniami przeszłości, ale i jéj szczątkami w obecności upielęgnowanémi: nietylko więc pamięcią najdłużéj dochowanéj niepodległości, bojów o życie narodu potrzykroć na jéj ziemi wznawianych, chwałą znakomitych mężów powstałych na niéj, zasługami w oświacie, w naukach, w pismiennictwie ojczystém położonémi, ale i korzyściami których obecnie jeszcze używa, nakoniec rozległością przestrzeni, liczbą mieszkańców, posiadaniem największego z miast polskich, stolicy kraju, odrębną administracyą, prawami odróżniającemi ją od państwa któremu ulega, kościołem krajowym, wreszcie samą nazwą przyznaną jéj układami europejskiémi. Ten jedynie ułamek dawnéj ojczyzny jeszcze się Polską nazywa. I nie mówmy, że to nazwanie jest tylko czczym dzwiękiem : jest różnica między marnym tytułem a nazwiskiem rodowém. Prawda że tytuł Królestwa bez niepodległości nic istotnie nie znaczy, ale w nazwie Polski żyje cała jéj przeszłość i może zaród przyszłości.

Ta powaga i znaczenie, jakie przyznajemy Królestwu Polskiemu, skłania nas do zwrócenia na nie szczególniejszéj, o ile się da w tym treściwym obrazie, uwagi, do śledzenia z baczniejszą troskliwością niemocy i życia, zepsucia i odrodzenia, wyobrażeń sprawie ojczystych szkodliwych lub zdrowy zapowiadających kierunek, wreszcie, do wykazania dobitniejszego obowiązków jakie

na téj prowincyi ciążą. Jeżeli kiedykolwiek miłosierdzie Boże zstąpi na ziemię naszę, jeśli trybunał sprawiedliwości państw europejskich sprawę jéj przywoła i rozsądzi, polskiego państwa bez téj części kraju, bez dawnéj stolicy wyobrazić sobie nie możemy i byćby niemogło. Tam jest głowa, tam serce narodu. Dopóki głowa i serce śmiercią nie rażone, dopóty ciało żyje, dopóty dźwignąć się może z łoża boleści, a powstawszy obronić się i od przemocy sąsiadów i od własnéj niemocy.

Jak człowiek tak i naród odkupuje swe winy i z wad swoich się leczy żalem, pokutą i poprawą. Czy ród nasz długiém tylu lat męczeństwem zmazał je w obec sprawiedliwości Bożéj, któż wyrzec ośmieli się! Lecz w tém męczeństwie, ziemie polskie podległe Rossyi pewno największéj liczby ofiar dostarczyły. Sięgnąwszy myślą gwałtów Katarzyny aż do zgonu jéj wnuka cesarza Mikołaja, wciąż płynęły pod mieczem rossyjskim strumienie krwi polskiéj i wciąż słychać było przeciągły jęk z Sybiru albo z więzień rossyjskich. Więc i męczeństwem za sprawę ojczystą te ziemie największego nabrały znaczenia.

Każdy kraj, który używać chce bytu samoistnego, potrzebuje nietylko dźwignąć się i stanąć, ale musi w swém wnętrzu mieścić żywioły i warunki stanowiące państwo. Otóż tych żywiołów Królestwo Polskie najobficiéj posiada. W niém jeszcze utrzymują się niektóre instytucye czysto krajowe, a tych, które zniesiono, zostają ślady i żyje tradycya. Tam jeszcze mowa urzędowa w znacznéj części jest polska, tam najwięcéj można jeszcze znaleźć ludzi w publiczném, krajowém życiu wyćwiczonych i do niego zdatnych. Pięcioletni byt Księstwa Warszawskiego, z korzyściami jeśli nie z istotą niepodległości narodowéj, piętnastoletnie trwanie Królestwa Kongresowego z konstytucyą, z reprezentacyą krajową, z osobnym rządem, z wojskiem narodowém, z uniwersytetem i szkołami czysto polskiemi, z instytutem kredy-

towym i bankowym, nakoniec dziewięć miesięcy samoistnego życia wśród wysileń poświęcenia i męztwa, wśród bojów krwawych, zbyt żywą zostawiły pamięć i głębokie ślady, aby nawet trwający przez dwadzieścia pięć lat nacisk groźnego i mściwego władzcy, zdołał je zatrzeć i wyzuć Królestwo z cech narodowości. Tak jesl, w Królestwie będąc, jeszcze Polak czuje że jest na ziemi polskiéj; w Warszawie przebywając, jeszcze poznaje w niéj polskie miasto. Gwar mowy obcéj zagłuszony tam jest brzmieniem ojczystego języka; w stosunkach z władzami, w miejscach publicznych, po kolejach żelaznych i gospodach, niepotrzebujesz jak w Poznańskiem i w Galicyi tłómacza, aby zrozumieć i być zrozumianym. Orzeł biały acz wśród piersi czarnego uwięziony, jeszcze świeci na gmachach rządowych i publicznych. Znamiona więc narodowe w Królestwie najwyraźniejsze i najtrwalsze. Nie ma tam obawy o ciało — obawa cała o duszę; zachowanie ciała niezawsze od nas zależy, duszę sami, siłą własnéj woli ratujemy. Jakimi są ludzie społeczeństwo krajowe składający, takim jest i duch kraju.

W Królestwie przedstawiają nam się widoczniéj niż w innych prowincyach żywioły społeczeńskie, kilka pokoleń z różnych epok krajowych. Ludzi, którzy w dawniejszych czasach zasłużyli się sprawie ojczystéj, którzy stanowili czoło narodu, w kraju dzisiaj prawie już nie ma: jedni zeszli do grobu, drudzy jeźli jeszcze świecą, to chyba na wychodztwie. Po roku 1831, nieobecność w kraju tylu znakomitych synów, a dobrowolne innych usunięcie się od czynnego życia, ogołociły tak Królestwo jak prowincye zaniemeńskie i zabużańskie z celnych ozdób i potęg krajowych. I to jest właśnie jedną z najsłabszych, najboleśniejszych stron naszéj sprawy, że nieszczęścia ogólne i tak częste zmiany polityczne przerywają u nas jakby całkiem nić tradycyjną. Dawne wspomnienia, przykłady, przestrogi, zacierają się; idzie w niepamięć doświadczenie przez ojców na-

byte, i tak każde pokolenie, jakby z niém dopiéro naród nasz po raz pierwszy na ziemi się zjawiał, rozpoczyna od siebie a zupełnie na nowo, długą pracę odbudowania ojczyzny. I nic téż dziwnego, że każde prawie zaczyna swą pracę od błędów i klęsk, na których zwykle nie pierwéj się poznaje, aż mu zabraknie sił i pola do lepszego służenia krajowi. Zrobiono o nas bolesną uwagę, że Polacy o ćwierć wieku spostrzegają za późno, co im w danym czasie czynić należało. Wprawdzie po roku 1831, została się w kraju pewna liczba młodzieży w szkołach i uniwersytetach polskich wykształconéj, która w czasie wojny z zapałem służyła, po wojnie jeźli nie najwięcéj miała ducha, to najwięcéj uzdolnienia; ale stan rzeczy tak nagle się zmienił, wszelki obowiązek publiczny tak dalece był utrudnionym, że i najlepszym zdawało się z początku, iż nie pozostaje im nic więcéj, tylko usunąć się na stronę i godności narodowéj w nieszczęściu przestrzegać. W pierwszym momencie, powtarzamy, mniemali, że wszystko naraz przepadło, i że zginęły (jakby zginąć mogły!) aż do wspomnienia, te zacne ofiary i trudy, którémi Polska dźwigała się poprzednio przez lat blizko trzydzieści.

Bo téż cios, który uderzył, ogłuszył cały naród; trzeba było czasu, aby przyjść do siebie. Tymczasem weszło na scenę pokolenie, które powstanie z r. 1831 w niższych szkołach zastało i przerwało jego nauki; pamięcią swoją sięgające wypadków wojennych, a dorosłe już za czasów zemsty Mikołaja. Te gwałtowne zmiany smutnie wpłynęły na jego usposobienie. Jedni, a była to część najszlachetniejsza i najgoręcéj kochająca ojczyznę, nie widząc aby starsi koło nich na jakiémbądź polu dla kraju pracowali, budzeni zemstą, drażnieni niecierpliwością, popchnięci wreszcie przez emisaryuszów, których szeregi bolesne rok 1833 rozpoczął, rzucili się w spiski i tajemne sprzysiężenia. Jakby to młodociane szepty i namowy przygotować mogły powstanie narodu

ogólne! Jakby entuzyazm, choćby najgorętszy, mógł zastąpić regularną armią, bez której zwycięztwo niepodobne, skarb i zapasy bez których nie masz armii, polityczną i administracyjną organizacyą kraju, bez któréj nie ma możności prowadzenia wojny! Jakby to wreszcie jednym wybuchem, jednym połyskiem rozgrzanego uczucia dało się naprawić i sprostować, co przez lat tak wiele wewnętrzną niemocą ku upadkowi chyliło się i w końcu runęło! Ale młodość nie rozumuje, wstrzymać się nie umié, bo nie ma téj siły męzkiéj, któréj potrzeba, aby czekać w krwawém cierpieniu i krwawszéj jeszcze pracy. Wyśledzonych przez policyą, przed sąd wroga stawionych, wielu z nich dało prawdzie męczeńskie świadectwo, ale ich zdolności niepospolite, którémi z pożytkiem służyć mogli krajowi, znalazły swój grób w więzieniu. — Na nieszczęście, nie tu jeszcze koniec obrazu. Zastawiwszy na jednych sieć tajnéj policyi, drugich rząd rossyjski chwytał ponętą rozpusty i wiódł do strasznego upadku, do moralnego nicestwa. Rzuciła się młodzież bogatsza, niedouczona i próżniacza, w odmęt uciech, zbytków i występków, wzniósł się i zakwitnął balet, towarzystwo warszawskie stało się jakby jednym domem gry, i życie stolicy przybrało wszystkie cechy nieustannéj, rzekłbyś, jarmarcznéj hulanki. Powiększyła jeszcze ten hufiec pewna część młodzieży, któréj chęci do złego nie brakło, ale brakowało jéj zasobów pieniężnych, aby szumieć i huczeć na wzór zepsutych paniczów. Więc skończywszy niedbale mizerne szkoły rossyjskie, powciskali się na niższe urzędy, i tam, z małémi wyjątkami, prędko metodę swych mistrzów przejąwszy, o mało nie zakasowali biurokracyi moskiewskiéj w wszelkiego rodzaju niesumienności.

Ten był, w ogólnych zarysach, stan młodzieży w Królestwie po rok 1846. Jedna część tego pokolenia, kwiat młodzieży, padła pod toporem wrogów i cały naród

okrył się żałobą boleści; na wspomnienie drugiéj, na widok sprosnego objawu zgnilizny i próchnienia, twarz każdego obywatela zapalała się rumieńcem wstydu. Dziś zaszły pod obydwoma względami wielorakie odmiany. Klęski roku 1846 były karą straszliwą, ale i silném upomnieniem politycznêm i moralnêm: pokazały one jaki jest ostateczny na naszéj ziemi rezultat zasad rewolucyi i socyalizmu. Wypadki roku 1848 przyniosły równie ważną naukę, że sprawa nasza nie jest także związana z tryumfem rewolucyi w Europie: nie dźwignął się nasz kraj, choć wiele tronów zachwiało się a nawet upadło. Nieszczęścia publiczne rozbudziły w niejednym myśl głębszą, dążenia poważniejsze: wiele młodzieży szlachetnéj, którą porwał wir konspiracyi, wśród niedoli dojrzało, wykształciło swój umysł i charakter. Niektórzy z nich wracają dziś z sybirskiego wygnania z zapasem nauki, rozsądku i doświadczenia; naród wita w nich synów odzyskanych i trafnie pojmujących swe obowiązki. — W takiéj to atmosferze moralnéj: wspomnień męczeńskich i własnéj niemocy, zachwiania jednych, niepewności drugich opinij, upamiętania i rozczarowania, w ciągu ostatnich dziesięciu lat, dojrzało nowe pokolenie, zrodzone i wychowane pod jarzmem moskiewskiém.

Rząd rossyjski, chociaż nie dopiął głównego celu, który urządzeniem swych szkół w Królestwie założył, chociaż nie zjednał sobie bynajmniéj młodzieży, wpłynął jednak na ich usposobienie w sposób przerażający. Wychodzą z nich uczniowie wprawdzie z głęboką nienawiścią do Moskwy, ale z przygasłą do pewnego stopnia miłością ojczyzny. Ta nienawiść do cara i jego służby, ukształciła i przerobiła charakter młodego pokolenia. Wcześnie do ważenia swych słów, do pilnowania swych gestów i wyrazu twarzy zmuszeni, są niezmiernie oględni i rozważni. Zimni są, milczący, sztywni nawet, w tém wszystkiém co o rząd i Moskwę

zaczepia: w każdym z nich poznałbyś nieledwie wysłużonego żołnierza, który prostuje się na widok przechodzącego oficera. Ale kiedy im nic nie przypomni Rossyi, wnet wybucha z nich z całą swobodą lekkomyślność rodowi naszemu właściwa, podniecana jeszcze bardziéj płytkością wykształcenia. Lekkomyślność ta nie objawia się jak dawniéj w szlacheckiéj fantazyi, krzykliwéj junakieryi, w hulaszczém marnotrawstwie; jest przyzwoitą, kocha się w formach, skandalu nie lubi a szczególniéj unika wszelkiéj pracy myśli. Baczna na swoje wygody, umié się urządzać z dojrzałą ludzi starych przezornością. Moralniejsza a nawet religijniejsza niż poprzednio, wielbi przecież we wszystkiém i nadewszystko miarę, czci konwenans, dla każdéj, byle z pewną siłą wyrażonéj opinii, ma uśmiech i pokłon uprzejmy. Znać to na wielu, że do ich umysłu nie wpadło nigdy ważne ziarno nauki, żadnych nie wyrobiło przekonań, wyższego nie wywołało dążenia; że ich serca nie ścisnęła jeszcze troska ogólniejsza, nie przetrawiła boleść nad ojczyzną. Zrodzeni w niewoli, przyuczeni wymijać trudności, których pod Moskalami przełamać nie podobna, ten przymiot zręcznego ślizgania się w wysokim osiągnęli stopniu.

Czém to pokolenie stanie się dla sprawy ojczystéj, wyrzec dziś trudno! Wprawdzie w pewnéj jego części, wyznajemy to z radością, widać już dzisiaj żal szczery spędzonych tak marnie lat młodych; widać chęć gorącą do pracy i nauki, i mocne pragnienie zabrania udziału w sprawach krajowych, których pomyślny wypadek od nas w części zależy. Daj Boże, aby w tych zacnych chęciach i uczuciach wytrwali, aby się nie dali zwyciężyć trudnościom, których tyle, i od swoich i od obcych, na téj drodze spotyka się codziennie! Niemniéj jednak, każde serce polskie czuć musi dzisiaj głęboki, niczém nieprzebłagany żal do całéj nieledwie klasy profesorów w Królestwie. Nie mamy, prawda jest, uniwersytetu,

ale mamy szkoły; w nich profesorami są w przeważnéj liczbie Polacy, patryoci jak słychać. Jakże oni niesumiennie dopełnili swoich obowiązków! «Jedna iskra jest w człowieku, ta iskra w młodym zapala się wieku...» niechże powiedzą jaką to iskrę rozniecili w sercu swych młodych słuchaczy? Ci starcy przedwcześni, młodzież dzisiejsza to ich owoc, ich dzieło, ich straszne na sądzie Bożym potępienie! A przecież nikt od nich nie wymaga nadludzkich wysileń, nie wzywa do wojny otwartéj, nie wciąga do konspiracyi: tego wszystkiego nie trzeba. Potrzeba tylko aby przestali być wykonawcami nienawistnego systemu, który Polskę wynaradawia, szerząc w niéj ciemnotę i sprzyjając płochości. Potrzeba, i tego żądamy, a tego żądać się godzi od każdego uczciwego człowieka, aby czuli ważność swego powołania i szanowali swą godność osobistą. Potrzeba szczególniéj aby byli Polakami, ale także aby kochali naukę; aby w nauce i młodzieży im poruczonéj, widzieli cel swojego życia, i na tém wysokiém, zaszczytném stanowisku, jako prawdziwi chrześcianie, szukali drogi zbawienia swéj duszy i zbawienia kraju!

Wśród tych kilku pokoleń, których obraz skreśliliśmy, przenieśmy teraz myśl naszę na rozmaite stany, a właściwiéj mówiąc, zajęcia. Ku zawodowi rolniczemu zwróciły się od lat kilkunastu wszystkie prawie zdolności i dążenia w Królestwie Polskiém, takie nawet, którym wyższy zakres zdawał się być przeznaczonym. Nie zawsze więc usiłowaniom pomyślny skutek odpowiedział, bo wiele umysłów raczéj koniecznością zmuszonych, jak powołaniem pociągniętych, oddało się temu zatrudnieniu. Rozkwit i pomyślność rolnictwa w Królestwie, aczkolwiek niezaprzeczone, nie są tak ogólne jakby spodziewać się należało, nie są mianowicie odpowiednie mnogości i uzdolnieniu pracowników. Mimo to, główną siłę narodu stanowią tutaj, jak wszędzie, właściciele dóbr, obywatelstwo. Dwudziestopięcioletni rząd pomsty, uci-

sku i skażenia, tyle nadziei zawiedzionych, wysileń i ofiar zmarnowanych, jeźli nie zachwiało ducha obywateli Królestwa, to nauczyło ich ostrożności mającéj pozory zniechęcenia a nawet zwątpienia. Nie można dziwić się, że potrzeba spoczynku i bezpieczeństwa stała się powszechną, a ztąd wstręt do wszelkich zamiarów i usiłowań niebezpiecznych i niepewnych; ztąd także chwilowe zwrócenie się myślą ku nadziejom jeszcze mniéj pewnym, ale nieburzącym spokoju domowego, jakeśmy to z boleścią widzieli podczas pierwszego pobytu cesarza Alexandra. Jedni to usposobienie obywateli Królestwa zowią dojrzałością rozsądku politycznego, drudzy oziębieniem ducha: cokolwiekbądź, jest to smutném następstwem ubiegłego czasu i opinij, które w nim tak przeważnie panowały. Po zawodach ciężkich, omdlała nieco w nadziei dusza narodu; zwrot ku pracy wewnętrznéj, ku powolnemu a roztropnemu dźwiganiu się o własnych siłach, zdobędzie nam, da Bóg, więcéj niż dotąd hartu i rozwagi, a przytém głębsze i szczersze także niż dotąd pojmowanie i pełnienie obowiązków obywatelskich.

Jest faktem niezaprzeczonym, że zamiłowanie spokoju które u obywateli Królestwa spostrzegają, nie wiedzie ich przecież do gnuśnego spoczynku. Wielu z nich usiłuje rozwinąć wszelkie działanie, jakie tylko w obecnym stanie rzeczy jest podobne a użyteczném być może. W braku życia politycznego i publicznego całego narodu, starają się życie wewnętrzne, prowincyonalne, rozwinąć w sferze dozwolonéj. Nie we wszystkich przedsiębiorstwach i pracach widzieć się daje jednakowa wytrwałość, lecz do wszystkich, choćby tylko pośredniego dla kraju użytku, jest chętny popęd; przekonywamy się o nim z tylu stowarzyszeń chrześciańskich, przedsięwzięć literackich, spółki żeglugi parowéj i tylu innych zbiorowych, obywatelskich zajęć. Lecz ta chęć żywa działania, zużytecznienia czasu i zdolności,

odznaczenia się i zasłużenia krajowi, objawiła się najwyraźniéj i najskuteczniéj w zapale, z jakim obywatele Królestwa przystąpili tłumnie do nowo dozwolonego i utworzonego Towarzystwa Rolniczego; z jakim w niém pracują i coraz to większe korzyści wyciągnąć zeń dla społeczeństwa starają się. Zacne to i szlachetne chęci, rozumne działania, którego skutki przez długie lata spostrzegać się jeszcze dadzą. Nie trzeba jednak mniemać, że obywatele urządzając ustawy i konkursa, udzielając nagrody za moralność, zdolność i pracowitość na różnych stopniach hierarchii rolniczéj, dopełniają już całego powołania Towarzystwa. Wszakże zamiarem było Towarzystwa zajęcie się przedewszystkiém sprawą włościańską, i tylko wyraźny zakaz przeszkodził, o ile wiemy, jego na téj drodze czynnościom. Ale zakaz ten, jakkolwiek stanowczy dla stowarzyszenia, nie może wstrzymać obywateli od indywidualnych dążeń do oswobodzenia pracy, do zapewnienia chłopom własności, bez któréj ich oświata jest niepodobną, ich życzliwość niedługotrwałą. Jeszcze jednę chcemy tu dodać uwagę. Nie trzeba również aby mieszkańcy Królestwa, zwłaszcza obywatele, o tém zapominali, że wypełnianie choćby najsumienniejsze obowiązków miejscowych, nie może jeszcze zaspokoić wszystkich potrzeb sprawy narodowéj. Są zadania wspólne wszystkim prowincyom, przez żadnę z nich zosobna nie dające się rozwiązać; ale są też poza krajem pewne stanowiska, których zaniedbywać a tém mniéj opuszczać nie godzi się. Takiém stanowiskiem pozakrajowém jest emigracya, a jéj zadaniem świadczenie o prawach, przestrzeganie jedności narodu.

Stan majątkowy w Królestwie przy niepewności odbytu na płody, przy wielkiéj zmienności cen produktów, przy braku ułatwień kredytowych, przy wygórowanéj wysokości podatków rządowi i urzędnikom opłacanych, nie jest świetniejszy jak w Galicyi i w Po-

znańskiém, i ten dobry byt materyalny w Królestwie, którego mieszkańcy innych prowincyj zdają się zazdrościć, jest tylko optycznęm złudzeniem. Nigdzie majątki nie są bardziéj obdłużone, nigdzie trąd lichwy nie jest tak rozpostarty, nigdzie ród izraelski równie przemożny. Upadają majątki obywatelskie, wznoszą się nowe zbudowane środkami, których pod rządem rossyjskim nabywcy się wyuczyli. W takie nieczyste acz polskie ręce przechodzi znaczna część ziemi Królestwa. Nie ma tu niebezpieczeństwa, aby się na niéj rozsiadła narodowość rossyjska, lecz obok kapitałów pozyskanych w rządowych przedsiębiorstwach, na urzędach lub w służbie prywatnéj, są jeszcze inne które na prawy brzeg Wisły nie przechodzą, lecz na lewym coraz się szerzéj rozpościerają. Są to kapitały niemieckie. To odwieczne parcie Germanii na ziemie polskie i tu się objawia. Kto przejedzie przez kaliskie, gostyńskie, augustowskie, wzdłuż granic pruskich, ujrzy trzecią część ziemi polskiéj w posiadaniu niemieckiém.

Co do obyczajów i moralności, te na prowincyi choć nie stoją pod strażą tyle wyrobionéj opinii publicznéj jak w Poznańskiém, nie przedstawiają skażenia czasów dawniejszych. Zaprzeczyć jednak nie można, że wpływ występków moskiewskich i do niéj się zwolna wciska. Nietylko ten kto spełnia czyn nieprawny, jest winnym, ale i ten kto z niego korzysta. Przekupstwo urzędnicze, którego jako środek obrony używać zmuszon jest obywatel Królestwa, osłabia w nim nieznacznie wyobrażenia cnoty i honoru. Naprawa religijna daje się spostrzegać, nie jest jednak ani ogólną, ani dostateczną; aby stała się zupełniejszą zależy wiele od duchowieństwa, o którém z kolei mówić będziemy.

2.

Ażeby dobrze zrozumieć i wytłómaczyć sobie stan duchowieństwa polskiego, sięgnąćby pamięcią trzeba owéj smutnéj epoki drugiéj połowy ośmnastego wieku, w któréj obojętność religijna, nawet niewiara, stały się zarazą powszechną, od któréj i wyświęcenie kapłańskie nie ochraniało. Wtenczas zły przykład spływał z góry na niższe szczeble duchowieństwa, naczelnicy Kościoła polskiego, pierwsi zgorszenie rozszerzali. Stan ten przeciągnął się za Księstwa Warszawskiego, a nawet za Królestwa Polskiego. Wprawdzie wydział teologiczny w uniwersytecie warszawskim mógł naukowo uzdalniać przyszłych duchownych, lecz ci po seminaryach uzupełnienia dostatecznego nauki nie znajdowali. « Wiara jest aromatem nauki, » rzekł Bakon, otóż tego aromatu brakowało. Przy końcu panowania cesarza Alexandra objawiła się w rządzie Królestwa niejaka dążność religijna, lecz ten zwrot niezręcznemi kierowany był rękami. Naczelni pasterze Kościoła polskiego, zaczęli pojmować, lecz wtenczas kiedy już zaraza niższego dotknęła duchowieństwa. Wśród wypadków roku 1831 duchowieństwo to nie starało się nadać ruchowi owczesnemu charakteru religijnego, uświęcić go wpływem uczuć silną wiarą natchnionych, lecz usiłowało odznaczyć się świeckim patryotyzmem i rewolucyjnym zapałem — i byli niestety tacy kapłani, którzy go pod koniec wojny do szału i wściekłości posunąwszy, bezecnéj słynności nabyli. W następnych czasach przyszła najsmutniejsza w krajach polskich dla Kościoła katolickiego epoka. Kiedy za Niemnem i Bugiem nastało najsroższe prześladowanie religijne, męczeństwo wiernych, i gwałtowne od wspólnéj matki oderwanie kilkumilionowéj ludności, w Królestwie Polskiém widzieliśmy coraz

jawniejsze rozprzężenie duchowieństwa i upadek religii. Widzieliśmy krępowane przez rząd wszelkie działanie religjine, utrudnione stosunki z Rzymem, osierocone z pasterzy naczelnych i w osieroceniu długo utrzymywane dyecezye, i ujrzeliśmy do jakiego stopnia duchowni w Królestwie nie pojmowali posłannictwa swego wobec prześladowania sąsiedniego a poniżenia Kościoła wewnątrz kraju. Niektórzy nie pomnąc na wyraźne obowiązki swego powołania rzucili się w otchłań spisków politycznych, inni uważali stan duchowny jako rzemiosło, zapewnienie bytu materyalnego, lub ochronę od służby wojskowéj. Przekupstwo przez rząd rossyjski szerzone w Królestwie, stało się najpewniejszym środkiem do dźwigania się w hierarchii duchownéj. Simonia w całym nieledwie Kościele Królestwa panowała. To upodlenie i poniżenie duchowieństwa, oddziałanie wywarło na wszystkie warstwy społeczeństwa, nawet na obywatelstwo Królestwa. W wyborze plebanów parafialnych kollatorowie nie poszukiwali wiernych i gorliwych trzody Chrystusowéj pasterzy, ale dogodnych sąsiadów i chętnych uczestników uczt, zabaw i gry. Taki był stan Kościoła w Królestwie przez lat kilkanaście, gdy jednakże objawił się celniejszych umysłów w kraju zwrot ku wyobrażeniom religijnym, gdy pobożna gorliwość niewiast polskich ożywiała się, gdy kilku wzorowych kapłanów, wymownych kaznodziei, słowem i przykładem uprawiać zaczęło rolę Chrystusowę, po nocy ciemnéj i słotnéj, zadniało na światło wiary i pogodę. Dwa zgromadzenia klasztorne popęd objawiającemu się ruchowi nadały: Dominikanów i zwłaszcza Kapucynów. Dziś już prawie wszystkie dyecezalne owczarnie pasterzy otrzymały. Dziś jest pora, w któréj Kościół w Królestwie dźwignąć się może i dźwignąć się powinien, skoro się tylko zespolą usiłowania świeckie z duchownemi. Lecz jak z jednéj strony potrzebne jest nabycie téj powagi, i duchownego zna-

czenia, które tylko pojęcie i ścisłe dopełnienie obowiązków stanowi każdemu nadaje, tak ze strony świeckich mieszkańców, żądać i spodziewać się należy, tego uszanowania i ufności, które działaniu i wpływowi duchowieństwa najpewniejsze ułatwienia przynoszą. Niech obywatele Królestwa widzą w plebanie parafialnym, stróża, doradzcę, lekarza dusz wszystkich bez wyjątku parafian, niech go nawet do małych ustąpień od przyzwoitości i godności, nakazanych świętością jego stanu, nie zachęcają, niech szczególniéj przestaną w nim widzieć jedynie towarzysza ochoczego w społeczeńskiem życiu wiejskiém, a w oczach rodzin swoich, domowników, ludu, upatrują w nim ojca duchownego, przewodnika na drodze żywota — a wtenczas i powaga duchowieństwa wzmocni się i wpływ jego ustali się. Wpływ ten w dzisiejszych okolicznościach pożądańszy jeszcze niż kiedykolwiek i tém chętniéj ułatwionym być powinien. W czasie, w ktorym nastąpić ma zmiana stosunku ludu do szlachty Królestwa i właścicieli dzisiejszych, działanie duchowieństwa najskuteczniéj przeszkodzić może wykrzywieniu nowych stosunków, rozerwaniu ogniw łączących dotąd całą wielką ziemian rodzinę i zapewnić potrafi nadanie tym związkom charakteru braterswa i wzajemnéj ufnosci.

Do wzniesienia się, Kościół w Królestwie więcéj ma żywiołów i narzędzi, aniżeli w innych krajach polskich. Najprzód stanowił on osobną całość złożoną z większéj liczby dyecezyj, większą więc siłę z saméj organizacyi czerpać może. Kiedy Galicya oprócz ludności unickiéj, na przeszło dwumilionową liczbę katolików posiada tylko trzy dyecezye, W. Księstwo Poznańskie na półtora miliona mieszkańców katolickich liczy ich dwie, w Królestwie podział na ośm dyecezyj utrzymuje się i zmienionym być nie może. Nadto gdy w obydwóch dopiero co wspomnianych krajach polskich, duch febryanizmu i protestantyzmu zniósł, jeszcze w XVIII wieku, prawie

wszystkie zgromadzenia zakonne, filozofizm, który w rządzie Królestwa kongresowego jeszcze był się przebijał, nie śmiał ich wszystkich na zagładę skazać, i byt znacznéj ich liczby dotąd się utrzymał. Niechże więc to wykrzyknienie, które się codzień w świecie katolickim przy ołtarzach powtarza, niech głos *Sursum corda*, rozlegnie się po całym obszarze Królestwa Polskiego, niech wszystkie serca wznoszą się w górę i zapłoną, aby najdroższą spuściznę ojców, wiarę ich, w nieskazitelności i w dawnéj potędze utrzymać, a na utrzymanéj oprzeć żywotność i siłę narodowości naszéj.

W dalszym poglądzie na rozmaite klasy społeczeństwa w Królestwie, rzućmy ącz niechętném okiem na klasę urzędniczą. Cóż w niéj, ogół jéj zważając, ujrzemy? Obraz mętów i zgnilizny, zepsucie aż do kości przenikające, przedajność przykładami moskiewskiémi wyuczoną, pożądliwość uciech życia i zbytków, i cyniczną śmiałość, resztę wstydu polskiego zacierającą. Służba publiczna przestała być nanieszczęście polem poświęcenia, kształcenia zdolności, polem zasługi w poszukiwaniu dobra publicznego. Nanieszczęście, nie cisną się do niéj ci, których i pochodzenie i podania rodzinne, i uczucia narodowe ściśle wiążą z krajem, i przedewszystkiém pomyślności jego żądać nakazują. Zawód urzędniczy stał się, że użyjem pospolitego wyrażenia, sposobem do życia, korzystnym przy bezsumienności, dogadzającym próżności ludzkiéj, bo dającym pewną dozę, choćby homeopatyczną, władzy i znaczenia. W rządzie samowładnym, a szczególniéj takim, jak rossyjski, żaden urzędnik publiczny nie jest sługą ojczyzny, każdy jest choć w cząstce jakiejś panem współrodaków. Wprawdzie płaca urzędników, zwłaszcza niższych, bardzo jest szczupła, powszechnemu zdrożeniu wcale nieodpowiednia; lecz jest także niedostateczną po części dlatego, że w rodzinach urzędników zagęściły się nawyknienia zbytkowe i żądze uciech życia na równi z najfortun-

niejszymi. Podług wyobrażeń dzisiejszych, służba prywatna poniża, dlatego, że wdzięczność osobista cięży. Wszystkie więc tak nazwane zdolności umysłowe, cisną się do zawodu urzędniczego z przekonania, że się ma zapewnioną niepodległość osobistą, skoro się jest wolnym od wdzięczności względem osób. Klasa urzędnicza, widzimy to we wszystkich prawie krajach, mniema, że jakiemukolwiek bądź rządowi służy, może zachować swoje wyobrażenia rewolucyjne i socyalne, ażeby w razie zmiany nawet najgwałtowniejszéj i najzupełniejszéj, samo jéj tylko położenie niezmienném pozostało. Polacy służący rządowi rossyjskiemu, rzadko się kiedy na sierść moskiewską zupełnie wylenią, rzadko kiedy wyznają, że się stali Moskalami. Wprawdzie przejmują od nich wszelkie występki i sromoty, wprawdzie obojętnieją na dobro współrodaków, przyczyniają się do ich ucisku, przecież dźwięcznemi słowami odzywają się wyobrażenia rewolucyjne objawiając, mniemają, że pozostali Polakami, i to jeszcze dobrymi patryotami. Nie ma zaś żadnéj wątpliwości, że w razie upadku istniejącego stanu rzeczy, z taką skwapliwością odstąpiliby władzy dzisiejszéj, z jaką uległością jéj służyli. Przy coraz wzmagającéj się drożyznie życia, niedostateczność płacy w Królestwie wiedzie urzędników, ludzi pozbawionych hartu moralnego, ośmielonych przykładami zgóry dawanemi, do łatwego frymarczenia sumieniem. Uczą się oni od Rossyan z zadziwiającą łatwością bezczelnéj przedajności, tak, iż nie wiedzieć, czy ci są wyborniejszymi nauczycielami, czyli oni uczniami pojętniejszymi. Moralny upadek, a więc najistotniejsze wynarodowienie i zmoskalenie, najwyraźniejszém jest w klasie urzędniczéj. Nie potrzebujemy tu tłómaczyć się, że tego zdania do wszystkich rodaków, rządowi obecnemu w Królestwie służących, nie rozciągamy. Wiemy, że znajdują się między nimi nieskazitelni, wierni, zacni miłośnicy ojczyzny, lecz tacy ani się zbogacając, ani łatwo na wyższe szcze-

ble się wznosząc, nie stają się wzorem chętnie naśladowanym. Istotném ich wynagrodzeniem i zachętą jest szacunek współrodaków, i to współczucie, które nie raz odgaduje i rozumie trudność ich położenia i dusz ich udręczenie. Między rodakami najwyższe piastującymi urzędy, znajduje się jeszcze bezwątpienia prawość i zacność moralna, ale wszelka siła charakteru i niepodległość ich zdania staje się powodem, jakeśmy to niedawno widzieli, do wykluczenia od udziału we władzy. Przyznać wprawdzie należy, że od czasu zgonu namiestnika wyboru cesarza Mikołaja, rząd naczelny w Królestwie Polskiém nabył charakteru większéj godności moralnéj. Zdolność do wszelkich nikczemności i występków, przestała być środkiem ułatwiającym wziętość i znaczenie. Dziś nie jest już koniecznością, obierając zawód urzędniczy, być przedajnym i występnym. W takim stanie rzeczy nie mniemamy, aby stronienie od służby publicznéj było koniecznym nakazem sumienia obywatelskiego. Nie obwiniamy braci naszych w Królestwie, ceniących własną godność, pielęgnujących uczucia narodowe, że téj służby nie poszukują, lecz z drugiéj strony chcielibyśmy zwrócić ich uwagę na konieczność kształcenia i rozwijania zdolności w zawodzie publicznym (mówimy *publicznym*, nie dworskim), zwłaszcza u młodzieży, bez czego, jakąż przyszłość obiecywać można ojczyznie? Jeżeli karność, wyzucie się z woli, jest najwyższym patryotyzmem żołnierza narodowego, to najwyższym patryotyzmem obywatelskim w Polsce, byłoby przezwyciężenie wstrętu do zawodu publicznego w obecnym stanie rzeczy, a nakazanie sobie téj właściwéj miary w uległości, która równie od nierozwagi jak ód podłości broni, i téj czujności w moralném postępowaniu, któraby dla całéj klasy urzędników, wykształciła wzory prawości i nieskazitelności, i wstrzymała ich na drodze sromoty.

Gdyby wszystkie rubryki statystyczne z jednakową do-

kładnością zapełnione być mogły, przekonalibyśmy się, że jak w innych krajach, tak i w naszych od lat trzydziestu liczba piszących i czytających nadzwyczajnie wzrosła. Piśmiennictwo dawniéj, albo stanowiło zajęcie ludzi niepodległych, i mogących bez własnéj materyalnéj szkody czas mu poświęcać, albo też było źródłem bardzo lichego zarobku. Mało więc zdolności zwracało się ku niemu; niektóre, aby się dać poznać i rozwinąć, potrzebowały pomocy i wsparcia możnych opiekunów. Po roku 1831, zmienił się ten stan rzeczy. Dziewięć miesięcy trwająca wolność druku, znaczenie jakiego wśród niéj nabrało dziennikarstwo, ożywiły umysły piszących i czytających, i utworzyły nowe potrzeby i nawyknienia codziennego znoszenia się pierwszych z drugimi. Nadto walka dwóch szkół literackich, znakomite utwory, które nowa wydała, popchnęły umysły w kraju ku piśmiennictwu ojczystemu; wreszcie od roku 1831, odepchnięta młodzież od wszelkich zawodów, które przed nią otwarte były, jedyny sposób objawiania i uprawiania zdolności umysłowych znajdowała w zajęciach literackich. Wkrótce też pomnożyła się liczba piszących, a że i na czytelnikach nie brakło, już pisarze krajowi nie narażali się jak dawniéj na straty, poświęcając się piśmienniczemu zawodowi; już nie potrzebowali szukać możnych opiekunów, znajdując mecenasa w publiczności krajowéj, już pioro stało się narzędziem zarobku. Po roku zaś 1848, dziennikarstwo szczególniéj byt swój ustaliło, i zaczęło przywabiać i pochłaniać wszystkie odznaczające się zdolności. Lecz dziennikarstwo jest jak arystokracya : o tyle tylko ma prawdziwe znaczenie i powagę, o ile należy do składu politycznego państwa. Bez wolności druku, wobec surowéj cenzury, pisma publiczne nie mogąc być szczerymi tłómaczami potrzeb i wyobrażeń kraju, nie mają dostatecznéj ważności, ani wpływu politycznego. Jak arystokracya pozbawiona miejsca prawnego w budowie krajowéj, jedynie przodkując

w oświacie, w cnotach, w gorliwości o dobro publiczne, może jeszcze utrzymać znaczenie swoje i wzbudzać poszanowanie, tak i prasa publiczna, acz skrępowana, acz pozbawiona politycznéj działalności, może i znakomite położyć zasługi i wznieść się w narodzie do pewnéj potęgi, skoro tylko te same warunki spełnia, jakieśmy za konieczne dla arystokracyi krajowéj uznali. Czy wogóle piśmiennictwo, a w szczególności dziennikarstwo w Królestwie Polskiém, pojęło to powołanie i dokonało go, warto się zastanowić.

Nikt zaprzeczyć nie może, że w Warszawie rozmnożyła się liczba pism peryodycznych, że współubieganie między niemi obudziło ruch umysłowy, że nawet postęp literacki pod względem łatwego pisania (o ile to postępem zwać można) jest widoczny. Lecz zapytamy, czy dziennikarstwo warszawskie w organizacyi jaką przyjęło, może moralnie i umysłowo wpływać na naród, a szczególniéj czy byłoby korzystném, aby wpływało? Cóż w niem widzimy? Oto chęć i usilność zabawiania publiczności, a nie nauczania jéj zdrową nauką, chęć podobania się jéj, dogadzania jéj wszelkim wyobrażeniom nawet błędnym, wszelkim skłonnościom nawet szkodliwym. Żaden z dzienników warszawskich oprócz żądzy nabycia wziętości nie ma wyraźnego celu, niewzruszonych zasad i przekonania. Na polu religii, moralności, nauk filozoficznych, społecznych, historycznych, wreszcie czysto literackich, czyż dostrzeżemy męztwa w przekonaniu, charakteru wyrazistego, jawnéj a szczególnie zbawiennéj dążności? Jeżeli w niektórych pismach przebija się jaka, to pewnie nie ta, którąbyśmy dla narodu za korzystną uważać mogli. W innych krajach, sądzić można ludzi z pism, w których przekonanie i zasady swoje objawiają; w dziennikach warszawskich z osób do nich należących, domyślać się trzeba charakteru i koloru tych dzienników. Wśród obecnéj doli narodu, od lat trzydziestu trwającéj, każdy Polak

pisać powinien w szacie żałobnéj sieroctwa. Otóż, jekeśmy to już nie raz uważali, większa liczba pisarzy warszawskich zbyt często zrzuca tę grubą żałobę, zasiadając do pisania. W ich tworach, szczegolniéj po dziennikach razi nieraz jakieś zadowolenie z samych siebie i z tego wszystkiego co ich otacza, jakiś dobry humor, rozweselenie niezmiernie dysharmonijne wśród odgłosu powszechnéj boleści. Czytając niektóre płody piór warszawskich, sławiące uciechy i przyjemności stołeczne, rozbawione i rozbawić usiłujące czytelników, możnaby wnosić, że Królestwo Polskie jest najszczęśliwszym krajem, w najlepszym ze światów możebnych.

Co więcéj, gdybyśmy sądzić chcieli o umysłowości i usposobieniu narodu z dzienników najchętniéj czytanych, i najbardziéj upowszechnionych, najsmutniejsze musielibyśmy wyprowadzić wnioski. Który z nich najliczniejszych posiada prenumeratorów, o który naprzód pytają czytelnicy po kawiarniach, cukierniach, restauracyach, za który naprzód chwyta obywatel, a szczególniéj obywatelka Królestwa, który stał się nawyknieniem i jedną z pierwszych potrzeb kraju? Oto pismo błahe — liche, *Kuryer Warszawski*, kiedy go nazwać trzeba po imieniu; *Kuryer*, co wierny dawnym podaniom, usiłuje ciągle kołysać kraj wśród nędznych wiadomostek, płaskich konceptów, zagadek, szarad i reklamów kupieckich, co zdaje się uważać naród jako dziecie, które ciągle bawić, ciągle rozśmieszać trzeba, lub łakotki i przysmaczki pokazywać i obiecywać mu, ażeby nie płakało. Nie chcemy obwiniać redakcyi, aby myśl ta miała być jéj przewodnią, lecz narzekamy, że wytkniętéj dawno, a bezwątpienia materyalnie korzystnéj drogi, tak się wiernie trzyma. To upodobanie powszechne w tém pismie, jeżeli nie jest tylko złym nałogiem kraju, okazywałoby że naród stracił w długiéj niewoli hart umysłowy, że lichotami, dziecinnemi lub kobiecemi wiadomostkami zabawiać się lubi, słowem, do-

wodziłoby, że użyjem prostego wyrażenia, *zbabienia* narodu.

Gdy wejrzemy w szczegóły tego pismiennictwa warszawskiego, ileż w nich dostrzeżemy drobiazgowości, błahości, ileż nędzy stronniczéj i osobistéj? Pochwała i nagana nie wypływa tam po większéj części z sumiennego przekonania. Jeżeli wierzyć mamy osobom, które się zblizka przypatrzyły składowi i obyczajom literackim w Warszawie, z wstydem na czole wyznać musimy, że zaraza przedajności, już się do téj najszlachetniejszéj cząstki narodowéj zakrada. Zdarzały się wypadki, byli pisarze, którzy na wagę kruszcu sprzedawali swój sąd i zdanie ogłaszane. Nie chcemy twierdzić, żeby w Królestwie Polskiém nie znajdowali się sumienni pracownicy, poświęcający czas i zdolności nie chwilowéj wziętości, lecz dobru pospolitemu i zarobkowi uczciwéj sławy; lecz wielu piszących oczyściéby się nie mogło z zarzutów powyżéj uczynionych. Stan więc pismiennictwa w Królestwie wiele do życzenia zostawia, wpływ jego na kraj nie jest zbawiennym, a choć pojmujemy wszystkie trudności, wśród wymagań niezłagodzonéj dotąd cenzury napotykane, śmiało twierdzimy, że przed sądem narodowym, przed trybunałem potomności ciężka odpowiedzialność obarczy niektórych pisarzy warszawskich.

Klasę finansową stanowi w Królestwie prawie wyłącznie ród izraelski, czy świeżo ochrzczony, czy w starym pozostały zakonie. W jego ręku jest cały handel, kapitały, cały obiegowy kruszec, a więc całe materyalne dobro kraju. Dawnych przesądów szlacheckich upatrujących w handlowych zajęciach poniżenie, jeszcześmy się nie pozbyli, aniśmy się téż do tego zawodu uzdolnili. Nad lenistwem (i powiedzmy szlachetnością polską) zawsze górę mieć będzie przebiegłość i chciwość izraelska. Żyd u nas nie przejął się jeszcze miłością rodzinnéj ziemi, jak w innych krajach; nie stał się jeszcze obywatelem

polskim; a jeżeli czasem w wyższém spółeczeńskiém położeniu przybiera jego pozory, to z małemi wyjątkami, dlatego, że w nich jakąś korzyść i ułatwienie spekulacyjne upatruje. Wprawdzie, za panowania cesarza Mikołaja, ucisk jaki i Żydów w Królestwie dotknął, w mnogości i wysokości opłat, w rozporządzeniach co do ich ubioru, w ograniczeniu miejsc ich zamieszkania, a szczególniéj w przymusie do służby wojskowéj, rozjątrzył był nawet ich umysły tak zwykłe do cierpliwości; lecz nie należy zawierzyć zupełnie temu usposobieniu. Żydzi w dzisiejszym stanie rzeczy, zawsze czuć będą dawną skłonność do rządu w którym wybiegami, oszukaństwem, przekupstwem, mogą zapewnić sobie przewagę i łatwość zysku. Ponieważ mają pieniądz w ręku i zdolność do wszelkich obrotów, są dziś najprzeważniejszą klasą. Ta przewaga hierarchicznie objawia się. W stolicy najbogatsi, najprzebieglejsi owładnęli wszelkie przedsiębierstwa publiczne, wszelkie roboty i dostawy rządowe; majątek krajowy w ręku trzymają. Po miastach gubernialnych i powiatowych, przy braku zakładów kredytowych, opanowali majętności obywatelskie, będąc panami handlu i kredytu i wpijając się w majątki szlacheckie za pomocą łatwéj lecz zgubnéj lichwy. Po małych miasteczkach przeważny wpływ zyskują u drobnych właścicieli, oficyalistów, prywatnych rzemieślników; schodząc aż na ostatni szczebel hierarchiczny. Żyd wędrowny wykupujący po wsiach najdrobniejsze produkta, jeszcze w téj włości, do któréj uczęszcza, jest władzcą majątku jéj mieszkańców.

Lecz o ten przeważny wpływ żydowski, nie samych obwiniajmy Żydów. Sami go ułatwiamy, złe nałogi nasze, wady lenistwa, pańskości, poszukiwania tego co jest dogodném, choćby się miało stać szkodliwém, w szpony żydowskie nas wrzucają. Dotąd szlachcic polski bez Żyda obejść się nie może, to jest bez pomocnika i pośrednika (w wszelkich handlowych i tak zwa-

nych *delikatnych* stosunkach), który go oszukuje, obdziera, do zguby prowadzi, lecz którym on pomiata i pogardzać może. Jeżeli się zdarzy Żyd prawy i godność swoję szanujący, do niego się szlachcic nie garnie, lecz najpodlejszego sobie przybierze. Trafną ktoś uwagę uczynił, że jeżeli dla ludu uważają za potrzebne towarzystwo wstrzemięźliwości od trunków, dla szlachty polskiéj potrzebniejsze byłoby jeszcze towarzystwo wstrzemięźliwości od Żydów. Lecz nie wiemy prawdziwie, który z dwóch ślubów wierniéj byłby dochowany, który nałóg głębiéj wkorzeniony, czy pijaństwa w ludzie, czy usługiwania się Żydami w szlachcie. I w dawniejszych czasach Żydzi byli u nas panami całego handlu w kraju «*byli żeglugą Polski*» jak ich nazwał książe Potemkin, lecz byli oni zarazem pokornymi sługami tych, z których zyski ciągnęli. Dziś ród izraelski uwielmożnił się, powciskał się we wszystkie warstwy towarzyskiego składu, i jak wszędzie tak i w Polsce, ten wiek handlowo-spekulacyjny do nich jako do mistrzów w spekulacyi należy. W krajach, co niepodległość swoję zachowały, ta przewaga żywiołu żydowskiego, który się jednak tam przeistoczył i przejął politycznie ich narodowość, nie jest może niebezpieczną; lecz u nas, gdzie ten żywioł niezmiennym pozostał, znaczenie jakiego nabrał i liczba do któréj doszedł, obudzać powinny troskliwość umysłów zastanawiających się nad przyszłością narodu.

3.

Nad ludem wiejskim mieliśmy już kilkakrotnie sposobność zastanowienia się, mówiąc o sprawie włościańskiéj poruszonéj obecnie w Cesarstwie a rozwiązanéj w Królestwie ustawą Rady administracyjnéj w dniu 30 listopada 1858 r. wydaną, a dnia 15 lutego b. r. w *Ga-*

zecie Rządowéj ogłoszoną. Kilka więc tylko pociągów pióra téj najliczniejszéj klasie ludności krajowéj poświęcimy, a nie wdając się w idyliczne rozkwilenie nad nim, a tém mniéj w satyry przeciw niemu, powiemy, że aczkolwiek lud wiejski nie pozbył się dawnych nałogów i przywar, i nie nabył tyle pożądanéj oświaty i moralności, przecież w Królestwie uważamy go za pierwiastek narodu rdzenny, pełen siły i życia, najmniéj przeobrażony i obcémi wyziewami nasiękły. Lud ten ma przyszłość narodową i o tyle pewniejszą od innych klas społeczeństwa ojczystego, że nie przestał być, że tak powiemy, dawnym Polakiem. Przysłowie mówi «prawdziwie polski jest chłop wielkopolski, mieszczanin warszawski i szlachcic krakowski.» Otóż twierdzimy śmiało, że skoro tylko Mazur i włościanin małopolski w tych samych warunkach bytu znajdzie się, w jakich od lat trzydziestu przeszło zostaje włościanin poznański, i on poczuje w sobie wzrost ducha rodowego. Duch ten przygnębiony długim uciskiem, nędzą i ciemnotą, żyje w nim w stanie zawiązku nierozwiniętego, lecz jest czerstwy i zaród życia mieszczący, jak owe ziarna egipskie w trumnach mumij przechowane. Dodajmy iż stosunki ludu tego z szlachtą polską, może nieco osłabione, skrzywione, lecz nie zerwane. Narodowość zaś jego, powtarzamy, nietkniętą pozostała. Wszystko to co pod rządami moskiewskiemi wpływało na jéj osłabienie, tu żadnego wpływu wywrzeć nie mogło.

Rząd rossyjski pomny na stan włościan swojego państwa, nie chwycił się był dotąd wyraźnego tego niebezpiecznego środka jątrzenia ludu wiejskiego przeciw prawom i władzy właścicieli ziemskich, owszem utrzymywał ich w uległości dla siebie i dla nich. Wprawdzie w roku 1846 po rzezi galicyjskiéj, cesarz Mikołaj w nienawiści do szlachty polskiéj targnął się na jéj prawa, i zniósł tak nazwane daremszczyzny, i ziemię przez włościan uprawianą, na wieki włościańską ogłosił; wpraw-

dzie okazał chęć jednania sobie ludu wiejskiego kosztem i z krzywdą właścicieli, jednakże gdy się w niektórych częściach kraju objawił między ludem duch buntu i niekarności, zaraz władza krajowa pohamowała go i ukarała surowo. Rzadko więc kiedy dotąd rząd rossyjski występował w postaci opiekuna wyłącznego. Najdespotyczniejszy ze wszystkich rządów, hierarchiczny despotyzm starał się on utrzymywać. Administracya krajowa pozór narodowéj zachowująca, nie przyzwyczaiła włościan Królestwa do rządów czysto moskiewskich. Władza w oczach jego nie brała postaci Moskala, ani językiem obcym nie przemawiała do niego. Panowanie moskiewskie przedstawiało mu się tylko w kształcie wojskowym. Lecz właśnie ten kształt był dla niego najnienawistniejszym, przez konskrypcyą i kwaterunek. Chociaż postój wojska na wsi rzadko się wydarzał, chociaż żywność żołnierza nie miała być ciężarem włościan, był on jednak jedną z najprzykrzejszych dolegliwości jego, a to z powodu licznych nadużyć administracyi wojskowéj. Choć do żywienia żołnierza włościanin obowiązany nie był, żywił wygłodniałego przez miłosierdzie i bojaźń. Choć najsurowsza karność w wojsku rossyjskiém zaprowadzona, liczne przecież wydarzały się bezprawia. Lecz od kwaterunku uciążliwszym jeszcze był pobór wojskowy. On to za rządów Mikołajewskich urzeczywistniał mitologiczną powieść o corocznym haraczu z najdorodniejszéj młodzieży oddawanym Minotaurowi. Wiejski młodzieniec wzięty w rekruty przepadał, zagnany w mroźne pustynie lub w góry Kaukazu ginął w boju lub z choroby, z nędzy albo pod kijami. A jeżeli rzadkiém wydarzeniem po kilkunastu latach męczeńskiéj służby wracał do ojczystéj wioski, nie poznawała go rodzina, wracał bowiem starcem znie dołężniałym, wracał człowiekiem, któremu wydarto pojęcie i wolę, wracał zwierzęciem. W Galicyi, w Poznańskiém żołnierz uwolniony ze służby lub urlopnik

wyobraża we wsi cywilizacyą. Za powrotem do niéj, opowiada to o pięknych miastach *Italii*, to o okrytych winogradem brzegach *Renu*. Nawyknienie do czystości i porządku, i pewna składność w postawie odróżnia ich od innych wiejskich braci. Rekrut polski wróciwszy z rossyjskiego wojska, przekonywa o wyższości cywilizacyjnéj Polski nad Rossyą, tak opowiadaniami swemi jak całą postawą. Wprawdzie owi urlopnicy austryaccy okazali w Galicyi r. 1846 jaka to jest ta cywilizacya, którą z sobą przynoszą; wprawdzie stanowią oni najniemoralniejszą, najniebezpieczniejszą, a przytem wynarodowioną i wynaradawiającą się część ludności wiejskiéj, ale pozorami ogłady okryci, nie wzbudzają tak jak żołnierz rossyjski wstrętu lub politowania, owszem stają się niejako potęgą towarzyską po wsiach. Dzień poboru wojskowego w Królestwie Polskiém bywał dniem płaczu i rozpaczy dla kraju, uciechy dla przekupstwa urzędników. Gdy już młodzieży nieżonatéj nie starczyło, odrywano mężów od żon, ojców od dzieci. Okupem tylko coraz większym uwolnić ich można było. Nastał targ ciał ludzkich, co więcéj licytacya, któréj wśród przedajności urzędników prowadzić między sobą nie wstydzili się obywatele polscy. Troskliwi o zachowanie ludności w włościach swoich lub zamożniejsi uwalniali swych ludzi. Wsie obojętniejszych lub niedostatnich właścicieli coraz się bardziéj wyludniały. Od lat czterech wola cesarza Alexandra zawiesiła pobór wojskowy w Królestwie, i jestto może jedyne dobrodziejstwo krajowi udzielone, którego uznać nie wahamy się. Nowo przygotowane prawo konskrypcyjne zaprowadzające losowe ciągnienie, zapobieży wielu nadużyciom, odejmie urzędnikom choć jednę sposobność przedajności, obywateli uwolni od przykrego targu.

Oznak przeto wynarodowienia ludu wiejskiego, ani upatrujemy w Królestwie, ani się obawiamy. Inne niebezpieczeństwo obudza naszę troskliwość. Lękamy się

osłabienia bratnich związków między dziećmi jednéj ziemi, poróżnienia między różnemi klasami społeczeństwa, a szczególniéj między ludem a szlachtą. Nie tu miejsce powtarzać przekonanie powzięte przez nas w wielkiéj sprawie włościańskiéj, i życzenie aby takowa ostatecznie rozwiązana, wszelkim drażliwym stosunkom położyła koniec. Nie teraz także chwila ocenienia ustawy wyżéj wspomnianéj urządzającéj tę sprawę w Królestwie. Nadmienim tylko, że ustawa ta wszelką wolność zostawiając dzisiejszym właścicielom ziemi, święte na nich wkłada obowiązki wywiązania się godnie z tego, czego po nich dług historyczny w przeszłości zaciągniony, dobro sprawy ojczystéj, i oczekiwanie wszystkich oświeconych narodów wymagają. Utrzymanie bratniego związku między ludem a szlachtą dziś jeszcze od niéj zależy. Szczęśliwsza od braci galicyjskich i poznańskich ma od Boga dozwoloną możność odkupienia błędów i win przodków. W Królestwie Polskiém charakter patryarchalnych stosunków między włościanami a ich dotychczasowymi panami jeszcze się utrzymuje. Ani podżegania biurokracyi, ani jad nauk socyalnych nie zakłóciły i nie zatruły dotąd sumienia tego ludu. Ażeby więc ten lud straconym nie był dla czystéj narodowéj sprawy, ażeby zawsze polskim pozostał, zależeć wiele będzie od tych, którzy straciwszy wkrótce nad nim władzę materyalną, powagi moralnéj, wpływu duchowego nigdy się wyrzec, nigdy sobie dać wydrzeć nie powinni.

Dopełniwszy rozpoznania celniejszych pokładów i warstw społeczeństwa narodowego w Królestwie Polskiém, zwróćmy teraz uwagę na władzę, któréj w niemém i cierpliwém posłuszeństwie podlegać musi. Odwracając wejrzenie od wspomnień przeszłości niezbyt odległéj, w któréj nieszczęśliwa ojczyzna była tylko ciągłą pastwą mocarza, na którego grobie wyryte być powinny te słowa «nigdy nic nie zapomniał, i nigdy

w życiu nie przebaczył.» wpojmy je silnie w obecność i w przyszłość, a to w celu zbadania dzisiejszego położenia i obowiązków braci naszych w Królestwie.

Kiedy lat cztery temu rozległa się nagle niespodziewana wiadomość o zgonie cesarza Mikołaja, wrażenie ogólne które w krajach polskich obudziła, nie było takie jakie się przewidzieć dawało. Przyjęto ją z zadziwieniem, bo się już zdawało cierpiącym, że się to panowanie nigdy nie skończy. Przyjęto ją z jakiémś błędném, trudném do określenia uczuciem, wstydzącém się braku smutku, a lękającém się ufnéj radości. Bo instynkt narodowy każdego skrycie ostrzegał, że w ówczesnych okolicznościach śmierć ta była wielkiém nieszczęściem dla przyszłości Polski, że ten groźny mocarz, jak życiem tak śmiercią, stawał się jéj szkodliwym, że tylko na przedłużonym żywocie jego opierała się nadzieja przedłużenia walki mocarstw wojujących, i że tylko wśród przedłużonéj, mogła iskra nowego polskiego życia wytrysnąć. O ile ten instynkt był trafny, następne wypadki okazały. Gdy sprzymierzone mocarstwa poprzestały na zwycięztwie i korzyściach nieodpowiednich ich wysileniom i męztwu, gdy kongres rozpoczął w Paryżu posiedzenia, wszystkie narody uciśnione zwróciły z nadzieją wejrzenia ku temu trybunałowi europejskiemu, którego zdawało się być zadaniem pokój i spokojność w świecie ugruntować, a więc wszystkie krzywdy rozpoznać, zgwałcone prawa ukrzywdzonym przywrócić; panowanie sprawiedliwości, a więc ducha nad potęgą materyi ustalić. Wśród tych narodów, polski przed innemi zdawał się być upoważnionym do nadziei, jako ten, którego nietylko odwieczne od Boga nadane prawa, ale późniejsze, niedawne, traktatami przez panujących zawarowane, najwyraźniéj, najjawniéj, przemoc zdeptała i na proch starła, i o którym sprawiedliwie Guizot, dopiero co, w drugim tomie *Pamiętników*, powiedział: «wśród »tylu nieprawości i klęsk nowych, los Polski czuć się

» zawsze daje, jako wielka niepraweość i klęska europej-
» ska. » Choć więc podniesienie sprawy polskiéj, która w czasie walki zostawała na stronie, mogło utrudnić układy i znaleźć w samych sprzymierzeńcach, jako wspólnikach Rossyi w wyrządzaniu krzywd, silny opór, gabinet francuzki, współczuciem dla téj sprawy i uczuciem słuszności powodowany, wnieść ją postanowił, zamykając ją w granicach traktatami określonych.

W owéj chwili Rossya przyjęła była politykę wielkiéj względności dla Francyi. Jéj ustąpienia czynić, do jéj stosować się życzeń wolała, jak ulegać wymaganiom Anglii, lub niewdzięcznéj i zdradliwéj dawnéj przyjaciółki swojéj, Austryi. Gdy więc w poufnych rozmowach pełnomocnicy układali warunki, które Rossyi przedstawione być miały, francuzki z angielskim zgodzili się na podanie dotyczących się Królestwa Polskiego, których przyjęcie przyniosłoby prowincyi téj ulgę zaręczoną przez mocarstwa europejskie. Po porozumieniu się przedwstępném postanowiono żądać dla Królestwa: 1° Zapewnienia wszelkiéj wolności wyznań i zupełnéj tolerancyi religijnéj. 2° Amnestyi najogólniejszéj i najobszerniejszéj. 3° Przywrócenia odrębnéj administracyi w wydziałach do zarządu cesarstwa przyłączonych. 4° Przywrócenia uniwersytetu polskiego w Warszawie. Te warunki na owém sławném posiedzeniu, na którem hr. Cavour miał swój memoryał odczytać, podane być miały. Jakie przeważne względy od ich podania wstrzymały pełnomocników, jakie zdradne, podstępne a uroczyste przyrzeczenia dyplomatów rossyjskich z obranéj w téj sprawie drogi zwróciły Anglią i Francyą, czy to się stało z krzywdą obecną, a z korzyścią w przyszłości dla Polski, dzieje wyjaśnią i okażą.

Gdy jednakże sprawę jéj milczeniem pominięto wśród sądów i narad europejskich, i gdy rozgłoszono o wspaniałych zamiarach i obietnicach cesarza Alexandra dla kraju, kraj ten nieszczęśliwy, w chwili owéj, wśród

nowego zawodu najdroższych nadziei, wśród łatwego do pojęcia zniechęcenia, zwrócił oczekujące i błyskiem rozjaśnione wejrzenia ku synowi zmarłego mordercy i prześladowcy, który zupełnie inny od ojcowskiego charakter objawiał. Za pierwszym więc wśród stolicy Królestwa pobytem, nowy władzca znalazł przyjęcie, które przychylniejsze i sprawiedliwsze uczucia obudzić w nim byłoby powinno. Ale mieszkańcy Królestwa nie mogli się długo łudzić. Słów kilka z ust monarchy wyszłych, a które każdego przytomne są pamięci, przypomniały Polsce, że nie tam może być jéj nadzieja, zkąd dotąd spadał na nią ucisk, pomsta i nienawiść. I w istocie, czyż prawnuk Katarzyny a syn Mikołaja, może, nie powiemy wskrzesicielem, ale dobroczynnym stać się Polski władzcą? Dajemy chętnie wiarę temu wszystkiemu co nam głoszą o łagodności serca, o szlachetności umysłu Alexandra II, uznajemy wszystkie jego wzniosłe zamiary i usiłowania, przekształcenie wewnętrzne państwa rossyjskiego mające na celu. Nie przeczymy nawet że zasłużyć może u potomności na nazwę dobroczyńcy ludzkości, lecz nie wierzymy aby się stać mógł dobroczyńcą Polski. Są bowiem fatalne dziedzictwa, których wyrzec się nie można, a które z czasem stają się rodową karą, dopóki odkupienie nie nastąpi. Zwykle człowiek nieograniczony w swojéj woli ma więcéj i skłonności i możności do złego niż do dobrego. Monarcha samowładny poparty siłą nieokrzesanego narodu, więcéj téż zdolny jest zadać krzywd i klęsk, aniżeli wyświadczyć dobrodziejstw. Cesarz Alexander, wśród samowładztwa swego, choćby najszlachetniejszych popędów duszy chciał usłuchać, nigdy nie będzie w możności tyle łask rozsypać, tyle pociech przynieść, tyle balsamów łagodzących rozlać, ile poprzednik jego krzywd wyrządził, łez wycisnął, najboleśniejszych ran zadał.

Lecz choćby naród, przez wzgląd na zawodną przy-

szłość, zdobył się na niepamięć tych krzywd i cierpień, czy wszechwładztwo cesarza Rossyi nie znalazłoby granicy wśród zamiarów dążących do uznania praw Polski i spełnienia jéj życzeń, czyż tych granic nie stawiłaby nienawiść narodowa, duma i przesądy możnowładców rossyjskich, wreszcie wszystkie podania caryzmu? Jeżeli więc owych wielkich i stanowczych zmian, zapowiadanych u nas przez marzycieli Słowiańszczyzny, wiecznéj nadziei kalectwem dotkniętych, oczekiwać nie można, zastanówmy się jakiego przynajmniéj polepszenia i jakiéj ulgi spodziewać się wolno. Każdy umysł bezstronny, wróg czy przyjaciel nasz, przyzna że zastrzeżenia w sprawie Królestwa przez pełnomocników kongresowych ułożone, były nader skromne, i że przyjęcie ich w skutku czy piśmiennego czy ustnego zobowiązania, było dla cesarza Rossyi, pod każdym względem, możliwém i łatwém. Trzy lata od czasu podania ich upłynęło; rzućmy okiem jak wykonane zostały.

Warowano i przyrzeczono tolerancyą religijną, a wkrótce nowe parcie w Królestwie przeciw Unii rozpoczęto. Amnestyą ograniczono i uczyniono osobistém ułaskawieniem. Administracya krajowa małéj tylko zmianie uległa; w szkołach język rossyjski zawsze panującym pozostał, i takowe mimo szumnego sprawozdania o ich rozmnożeniu i ulepszeniu, młodemu pokoleniu ani nauki dostatecznéj, ani wykształcenia moralnego nie zapewniają. Zamiast uniwersytetu, jednę tylko szkołę lekarską zaprowadzono; ustanowienia prawnego wydziału stanowczo odmówiono. Jeżeli więc owe wspaniałe obietnice przez pełnomocnika rossyjskiego obcych mocarstw pełnomocnikom i samemu podobno władzcy Francyi czynione, w ten sposób spełnione zostały, czegoż wśród swéj niemocy i opuszczenia przy dzisiejszych nieprzyjaznych okolicznościach, od nowego panowania oczekiwać możemy?...

Nakazawszy sobie ducha bezstronności, żadnéj

poprawy, żadnego ulepszenia i pomyślnéj zmiany w Królestwie dziś zaprowadzonéj zataić nie chcemy. Wyznajemy chętnie, że dozwolone zawiązanie Towarzystwa rolniczego stało się dla kraju dobrodziejstwem, któremu najwyższą użyteczność nadać szlachetna gorliwość obywatelska usiłuje. Ułatwienia paszportowe, niejaka swoboda, nie w pismach lecz w mowie i w działalności dopuszczone zostały. Niemy i martwy przestrach przestał odrętwiać umysły polskie; wypróżniła się cytadela: lecz te wszystkie zmiany czy nie są tylko czasowe, czy nie są jedynie chwilowym przypadkiem? Zmienił się monarcha, nie zmienił się system. Złagodzenie losu dosięgło i Królestwa, nie jako Polski, lecz jako cząstki państwa rossyjskiego. Surowość cenzury nie ubłagała się w Królestwie wobec większéj wolności dozwolonéj w Cesarstwie. Ulga w ciężarze podatków nie nastąpiła mimo głoszenia blizkich i korzystnych zmian. Usunięcie osob rządowych nieprzyjaznych naszemu rodowi nie udzieliło rękojmi łagodniejszego usposobienia monarchy. Żadna gwiazda nadziei nie zabłysła. To nowe położenie kraju, ten nowy jego stosunek do ogólnéj sprawy narodowéj dobrze zrozumieć należy, ażeby się żadnym występnym lub błędnym złudzeniom nie dać uwieść; ażeby wyraźnie wytknąć przed sobą drogę, którą jedynie sumienie narodowe mieszkańcom Królestwa wskazuje.

4.

Jeżeli widocznėm stało się dla wszystkich, że system rossyjski względem Polski w niczém prawie z nowém panowaniem się nie zmienił, tylko złagodniał stosownie do charakteru monarchy, to spodziewać się należy, że złudzenia i nadzieje, jakiemi niektóre umysły w kraju uwieść się dały, już się jak mgła przed słońcem rozpłynęły

lub wkrótce rozpłyną. Klęskami ostatnich lat przestrzeżeni nauczyliśmy się nareszcie, że rozsądna, wytrwała a zbiorowa praca jedynie stać się może dzwignią dla upadłego narodu; ale ta praca, jakkolwiek cierpliwa i ogółowa, nie przydałaby się na nic bez zdrowego ocenienia stosunku Polski do jéj ciemiężców, bez silnego w każdym z nas uczucia odrębności narodowéj.

Lecz nie tu koniec obaw naszych. Jest jeszcze inne niebezpieczeństwo dla sprawy i narodowości naszéj, nieustannie trwające a coraz groźniejsze pod rządem rossyjskim. Wynarodowienie Polski przez Moskwę, obok wyższości naszéj cywilizacyi, obok różnicy wiary i wspomnień historycznych, nie jest łatwém, nie byłoby nawet możliwém, gdyby Moskwa nie miała potężnéj broni, któréj przeciw nam używa, a tą jest zepsucie moralne. Polak wtedy tylko zmienia się w Moskala, kiedy staje się występnym. Sakramentami ścierającémi z nas grzech pierworodny polskości a wprowadzającémi na łono Wszech Rossyi są marnotrawstwo, namiętność gry, przedajność i wszelakiego rodzaju rozpusta. Moskal bowiem dla Polaka jestto występek uosobiony. Nie chcemy okazać się niesprawiedliwymi nawet dla nieprzyjaciół naszych ani obrażać ich uczuć narodowych. Wiemy że i między Rossyanami są ludzie zacni i oświeceni, ubolewający nad moralném skażeniem swego narodu, które w większéj części skutkiem jest długiego ucisku i niewoli. Aby się o tém przekonać, dość byłoby przeczytać rozprawy, satyry, powieści i sztuki dramatyczne dzisiejszych pisarzy rossyjskich, mających na celu poprawę obyczajów narodowych. Mniemamy więc że to cośmy wyrzekli, dobrze pojęte, nie powinnoby wywołać urazy. Polak niełatwo naszczęście przestaje być Polakiem, lecz przejmując jednę z zachodnich narodowości, mógłby nabyć cnot i przymiotów, które nie są naturze ludów słowiańskich właściwe; mogłby stać się pracowitym i skrzętnym, nauczyć się oszczędności, wprawić

się w porządek, nabyć dojrzałości rozsądku i umiarkowania. Lecz przemieniając narodowość swoję na moskiewską, jakim, zapytamy, nowych cnót nabytkiem mogłby się zbogacić? Nie drogą wykształcenia moralnego i umysłowego dojść on może do zmoskwiczenia, ale jedynie rozwijając w sobie złe skłonności, wspólne szczepom słowiańskim a Moskalom szczególnie właściwe. I prawdę tę, tak dokładnie pojmowali wykonawcy zamiarów cesarza Mikołaja, że za rządów Paskiewicza, a i dzisiaj nawet, psucie młodzieży uważano za jedno z najskuteczniejszych narzędzi wynarodowienia. Zaraza niemoralności jest największém niebezpieczeństwem dla Polaków; a jak dalece ono grozi w istocie, okazuje postęp, który pewne prowincye, szczególniéj zaś Warszawa, uczyniły w sztuce uciech ziemskich, zbytków i rozpusty. Warszawa, stolica znękanego, na męczeństwo i pokutę skazanego kraju, należy przecież do najzbytkowniejszych, najhuczniejszych i najdroższych miast Europy; z niéj nawyknienia zbytków i złe nałogi rozlewają się na cały naród.

Może być, iż od roku zeszłego, w którym poważniejszemi sprawami zaczęły się umysły zajmować, rozpocznie się odmiana na lepsze. Bodajby wyrobiła się opinia publiczna silna i oświecona, zachęcająca i wynagradzająca poszanowaniem wszelkie dążności zacne, dobro publiczne za cel swój obierające; bodajby piętnując potępieniem, wstrzymywała od czynów haniebnych, od niemoralności i zbytków. Lecz silna i zdrowa opinia, mówiliśmy to nieraz, utworzyć się tylko może przy pomocy i pod strażą mężów, którzy dosłużyli się władzy moralnéj w narodzie i stanowią w nim powagę. Na takich powagach zbywało w Królestwie od r. 1831; nie było ich w zakresie politycznym, nie było w towarzyskim. Znajdowali się obywatele przodkujący innym po powiatach, po parafiach, nie było powag krajowych. Brak ich szczególniéj czuć się dawał w stolicy. Przestała

ona szczycić się domami, któreby wzbudzały ogólne uszanowanie; nastała zupełna w spółeczeństwie stołeczném anarchia; wszędzie zgromadzenia bywały tłumne, nigdzie wyborowe. Żaden z domów nie mógł uzyskać i wywierać wpływu na ogół towarzyski. W ostatnich dopiéro latach znalazło się w Królestwie kilku ludzi silnych wiarą, potężnych gorliwością o dobro powszechne, niezmordowanych w pracy, umiarkowaniem praktycznych, którzy sobie powiedzieli, że niema tak nieprzyjaznych i smutnych w życiu narodów okoliczności, w którychby niemożna i nie należało tym lub owym sposobem być ojczyznie użytecznymi. Założywszy sobie to zadanie, pracą, wytrwałością, poświęceniem, a razem wzorem godności i mądréj miary, jaki dawali z siebie w stosunkach z naczelnikami rządowymi kraju, wyrobili dla siebie poszanowanie, ufność i miłość współobywateli. Rzadkim w narodzie naszym przykładem, uczucia te w powszechnéj zgodzie, bez obudzonéj zawiści otaczają ich i wspierają w kraju. Wartości prawdziwéj tych mężów i powagi ich dostateczną miarę daje, nietylko ta zgodna krajowa ufność, ale i zuchwała zawziętość z jaką na nich niedawnym czasem odważyli się powstać ci, którzy w zapatrywaniu się na sprawę ojczystą, inne niż oni zasady, inne wyobrażenia, inną wiarę wyznają. Wzniesienie się takich powag w kraju, jest wielkiém dla niego szczęściem. Niechże je życzliwość współrodaków pielęgnuje i wzmacnia. Ci zaś, którzy własną zasługą, więcéj jak położeniem towarzyskiém dostąpili tego moralnego znaczenia, niechże to najdroższe dobro pielęgnują i od uszczerbku ochraniają. Niech przenikliwem okiem odgadują istotne potrzeby i prawe uczucia narodowe, ażeby się nigdy w sprzeczności z niemi nie znalezli, i wszystkie podrzędne względy umieli poświęcić dla wyższego a wspólnego wszystkim celu.

Czas już był, czas wielki, aby w kraju odezwała się

opinia publiczna zdrowa i oświecona, aby wybrała i wskazała wyobrazicieli swoich. Ona to wstrzymać może potrafi ten prąd niemoralności i rozpusty, który poruszony i rozszerzony działaniem i przykładem Moskali, w wir swój porywał płynących i w przepaść nie jednego z nich zanurzył. Ona może przez dalszy ciąg próby upielęgnować i od skażenia zachować zdoła ducha prawego i czerstwe wyobrażenia, obudzić w młodém plemieniu zamiłowanie pracy i użytecznego dla kraju żywota. Ona sumieniem narodowém w cichości ostrzegającém stać się może. Tych ostrzeżeń kraj potrzebuje. Zastanowiwszy się bowiem nad skutkami działania rossyjskiego dążącego do wynarodowienia duszy polskiéj, a więc nad stanem wychowania publicznego młodzieży nad rozszerzoną przedajnością w klasie urzędniczéj w Królestwie, nad ciągłem rozbawieniem, płochością, zbytkami stolicy, przy jéj rozmiłowaniu się w saméj sobie, nad stopniowém osłabieniem uczucia honoru i godności, wyznać musimy, że i Królestwo Polskie niebezpieczną niemocą dotknięte. Chorobą jego jest rak ssący powoli zdrowe soki życia, zatruwający czystość krwi, a który w zarodzie niewstrzymany, z czasem sprowadziłby śmierć bolesną i wstrętną. Choroba ta, powtarzamy, niebezpieczna, nie jest jeszcze śmiertelną. Jeszcze odmiana sposobu życia i zachowania się, jeszcze leki trafnie dobrane wstrzymać ją mogą w dalszem rozwinięciu, i przy tylu siłach żywotnych, zachować tę najznakomitszą część Polski, jako zaród, jako jądro takiéj ojczyzny, jakiejby się z czasów świetnéj przeszłości przodkowie nasi nie wyrzekli.

ZAKOŃCZENIE.

Doprowadziwszy do końca belesny przegląd naszéj ojczyzny w stanie jéj rozdarcia i podległości trzem obcym rządom, zastanowiwszy się nad stanem moralnym i ma-

teryalnym każdéj z trzech części, nabyliśmy przekonania, że ważąc i mierząc ucisk i cierpienia każdéj z nich, równą prawie w każdéj miarę i wagę znajdujemy. Są między ich dolegliwościami różnice i odcienia, lecz wszędzie są czyścowe męki i tęsknota, a przytem każda część inną niemocą dotknięta. Tych niemocy rozpoznanie dokładne, obmyślenie i wskazanie środków uzdrawiających byłoby nader ważném zadaniem. Niemoc obecna grozi niebezpieczeństwem przyszłości, któréj zaród duch narodowy pielęgnować powinien. Uważaliśmy, że niebezpieczeństwem Poznańskiego jest *wynarodowienie ziemi*, Galicyi wycieńczenie wszelkich sił żywotnych, które może sprowadzić wolne *zatarcie narodowości;* w Królestwie Polskiem *przenarodowienie się* w skutku szerzącéj się zarazy moralnéj, w skutku zwystępnienia.

Zwróciwszy uwagę na ducha, dążności i działanie rządów, którym bracia nasi podlegają, mogliśmy się przekonać, że żadnéj nadziei na ich sprawiedliwości, na uznaniu przez nich praw naszych, nawet w granicach traktatami nakreślonych pokładać nie możemy. Najgłębszy z historyków rzymskich powiedział: «że właściwem jest naturze ludzkiéj, nienawidzieć tych, których się obraziło.» Otóż krzywdy wyrządzane Polakom zbyt są liczne, jawne i głośne, aby nienawiść trzech wspólników morderstwa i uciemiężenia naszéj ojczyzny złagodzić się kiedy mogła, i ażebyśmy któremu z nich mogli być winni ustalenie bytu na zasadach sprawiedliwości i praw naszych opartego. Nienawiść, jak każda namiętność ludzka, złą jest doradczynią. Choćby nawet wśród zawikłań europejskich, najoczywistsza korzyść dla którego z trzech mocarstw przedstawiała się, choćby mu najprzezorniejsza i najzdrowsza polityka nakazywala dźwignięcie i ujęcie w ręce sprawy polskiéj, jeszczebyśmy trwałości i szczerości jego zamiarów ufać nie mogli. Nie zatailiśmy także, że niektóre nasze własne winy i błędy, przychodzą w pomoc dziełu zatraty zwolna przez nie-

przyjaciół naszych wykonywanemu, a nieprzychylnemi nam okolicznościami dzisiejszemi popartemu. Te przewinienia, te wady strataliśmy się wykazać. Mimo to poddać się zwątpieniu i zniechęceniu nie chcemy, walkę z niém uważamy za święty obowiązek. Nadzieja *jako lampa w rzymskim grobie*, podług wyrażenia wielkiego wieszcza, zawsze w sercach polskich płonąć powinna, jako ogień Westy u starożytnych, który wtenczas tylko gasł, gdy czystość strzegących uległa skazie. Aby tę nadzieję w nas i w innych wzmocnić, jakież wyprowadzić wnioski z powyższych uwag, jakie wskazać środki zbawienia? Opuszczeni dzisiaj od ludzi, w Bogu pokładamy nadzieję. Lecz dla narodów jak dla pojedynczych ludzi, ta sama droga zbawcza otworem stoi; nie oczekujmy bez naszego współdziałania, łaski cudu Bożego. Jeden z Ojców Kościoła rzekł: «Wszystko Bóg może, tylko nie » może zbawić nas bez nas.» Otóż narodu całego zbawienie bez jego zarobku i zasługi nie jest podobnem. Jakichże to zasług i działania potrzeba?

Oto najprzód kraj nasz cały, należy uważać jako pole ciągłéj walki moralnéj, walki duchowéj. W niéj wodzem naszym jest sam Bóg. Na tém polu, każdy punkt strategiczny jest zagrożonym przez potężnego nieprzyjaciela. Gdzie więc Bóg, jako straż wojenną każdego z nas postawił, tam każdy pozostać powinien, i opuścić nie może placu mu wyznaczonego. Zupełne wydalenie się z kraju w skutku zniechęcenia, przenoszenie się z jednéj jego części do drugiéj, z pod berła jednego z mocarstw pod panowanie drugiego, bez ważnych i wyjątkowych przyczyn, tylko w nadziei polepszenia bytu lub uzyskania wygodniejszego życia, uważamy za niebezpieczne i szkodliwe. Nie pytajmy więc, w któréj części kraju lepiéj i dogodniéj, bo wszędzie niebezpiecznie i smutno i trudno, lecz na tém stanowisku wszelką godziwą bronią jak szlachetni rycerze, ciągle wojujmy, gdzie nas wola Boska umieściła.

Choć w poglądzie naszym dla przyczyny na początku tych artykułów wykazanéj, opuściliśmy Litwę i Ruś, tu gdzie o sprawie ogólnéj mówimy, tu gdzie nad bojem duchowym wprawdzie, lecz narodowym zastanawiamy się, i do tych dawnych dziedzin, nieodłączną część ojczyzny naszéj stanowiących, wnioski i uwagi nasze stosujemy.

Do walki moralnéj i duchowéj, trzeba moralnego wyrobienia, i duchowéj siły i oczyszczenia. Pierwszym do niéj warunkiem, jest wzmocnienie w nas wiary religijnéj, która jako Boska, uzdalnia do wszystkiego co wzniosłe i zacne, i stanowi nadto cechę i moc narodowości naszéj. Lecz dźwignienie wiary bez gorliwego, przykładnego i oświeconego duchowieństwa byłoby nader trudném zadaniem. Ku utworzeniu takowego, wszelkie krajowe starania zwrócić się powinny. Niech zacniejsze, zamożniejsze w kraju rodziny nie skąpią dla Kościoła synów swoich, prawdziwe objawiających powołanie, niech z niém nie walczą, gdy się takowe okazuje, niech im właściwéj nauki w kraju, lub za granicą dostarczają. Niech stan duchowny ujrzy się otoczony uszanowaniem, ufnością, jakie go w dawnych czasach wspierało, a to poparcie stanie się zachętą do przystępywania do tegoż stanu. Poznańskie odznacza się światłem, gorliwém duchowieństwem, które od mieszkańców doznaje poważania i pomocy. Niechże ten przykład z jednéj części kraju, i w innych naśladowanie znajdzie.

Dokładne i zdrowe pojęcie obowiązków szlachty i właścicieli polskich w stosunkach z ludem, jest dla sprawy ogólnéj najważniejszém zadaniem. Innego one są rodzaju tam, gdzie lud już posiada ziemię, i z zależności dawnych panów zupełnie wyszedł; innego tam, gdzie dzieło usamowolnienia w tym właśnie czasie jest do przeprowadzenia. Wszędzie jednak taż sama myśl w postępowaniu przewodniczyć powinna, że tylko w związku z ludem wyższe społeczeńskie klasy stanowią

naród, lub utworzyć go mogą, i że tylko tam, jak to widzimy w Anglji, niepodległość narodowa i prawdziwa wolność ustaliły się, gdzie te wyższe klasy, gdzie szlachta, obrony ludu, i opieki nad nim nigdy się nie wyrzekły.

Jedném z niebezpieczeństw istotnych sprawie ogólnéj grożących, jest zprowincyonalizowanie rozerwanych części dawnéj całości. Jeżeli w myśli naszéj zacierać się zacznie pojęcie całéj ojczyzny, jeżeli ona przestanie stawać nam na oczy w wyraźnéj postaci, a przeistoczy się tylko w wspomnienie, w marzenie wieszczów, w jakiś cień poetyczny: pozostając jeszcze Polakami, już dla Polski pracować przestaniem i dźwignąć jéj nie zdołamy. Skłonność do patryotyzmu prowincyonalnego, do działania może użytecznego lecz oderwanego, zajmowanie się wyłączne miejscowemi sprawami, a obojętność na potrzeby bratnich prowincyj, dają się w tym czasie spostrzegać. Ta dążność upowszechniająca się, jest następstwem wyrobionego przekonania o niemożności podniesienia jego mocy wewnętrznéj i znaczenia, razem z ziemią, z mieszkańcami, z wszystkiemi żywotnemi i twórczemi siłami. Jeżeli odstąpienie od dawniejszego kierunku, który tyle nieszczęść na kraj sprowadził, jest wielce pocieszającém, zapuszczenie się w drugi, bez żadnego oglądania się naokół, nie jest także bez niebezpieczeństwa. Przestawszy być rewolucyonistami, nie dobijajmy się o stanowisko jakie Kurlandczyki i Finlandczyki w państwie rossyjskiém zajmują. Nie myślmy o rewolucyi, myślmy zawsze o Polsce.

Jednym z skutków tego zatopienia się w patryotyzmie prowicyonalnym jest błędne pojęcie sprawy ogólnéj, a więc mylenie się w wskazaniu najniebezpieczniejszego z jéj nieprzyjaciół. Kto utrzymał silne i czyste sumienie polskie, tego instynkt zachowawczy ostrzega, że największe niebezpieczeństwo zawsze nam z północy zagraża. W narodowéj politycznéj wierze, panslawizm jako herezyą na potępienie skazać należy. Nie godzi się go używać

nawet jako środka do oddalonych a niepewnych celów. Kto się grzechem posługuje, prędzéj czy późniéj sługą grzechu zostaje.

Jeżeli nas zgubiły anarchia, lenistwo, dworskość, jeżeli późniéj chorobliwe rozmarzenie utrzymało nas w niemocy i wyzuło z hartu duszy, tylko przeciwne tym wadom przymioty dzwignąć naród mogą. Serca nasze nie ostygły jeszcze, lecz w uczuciach naszych należy pewny ład i sforność zaprowadzić. Rzuciwszy okiem na to co się dzieje w Europie, widzimy nie w jednym jéj zakątku pewną dojrzałość polityczną wiodącą do zbawiennéj jedności. Dali jéj nam świeży przykład dawni hołdownicy nasi, powołani przez Europę do objawienia swych potrzeb i życzeń. Czyż Polska nie byłaby zdolna takiéj cnoty, na jaką się Multany i Wołoszczyzna zdobyły? Jednakże żądanie jednomyślności w dzisiejszym stanie narodu, byłoby tylko niepodobném do urzeczywistnienia marzeniem. Do porozumienia się i zgody trwałéj zwykle dochodzi się po walce; zwycięztwo téj stronie zapewnione, która większą działalność rozwinie, silniejszą organizacyą zaprowadzi, większéj odwagi i wytrwałości zdolną będzie. Do prowadzenia téj walki, pozbycie się lenistwa, zachowanie niepodległości, żadnemi podrzędnemi wpływami nie zachwianéj, jest koniecznym warunkiem.

Pracy w żadnym zawodzie nie zaniedbujmy. Starania około podniesienia bytu materyalnego kraju i pojedynczego mienia pochwalajmy, wspierajmy i naśladujmy; lecz uważając poszukiwaną zamożność nie jako cel, lecz jako środek, środek zapewniający niezależność osobistą i ułatwiający możność łożenia ofiar. Zbrojmy się w odwagę świadczenia prawdy użytecznéj zawsze i wszędzie, a więc w to rzadkie u nas męztwo objawienia przekonań przeciwnych hałaśliwym i łatwy obieg zyskującym wyobrażeniom. Jeżeli jaką naukę za zgubną uważamy, walczmy z nią bez złożenia broni.

Nad młodém plemieniem rozciągajmy straż pilną, wołajmy na nie, zaklinajmy aby w kraju uzdalniała się do służby w sprawie narodowéj; za krajem, aby miodem pochlebstwa zaprawnych łakoci, często dziwnie ckliwych, do ust nie przyjmowała, i ponętę zdradnych nauk odpychała ze wstrętem. Niech w kraju w którym żyć jest przeznaczona zamiast oddawać się próżnowaniu lub wyłącznie zatrudnieniom rolnym, garnie się do służby publicznéj, zachowując zawsze i czystość wiary politycznéj, i godność moralną. Niech poprzednio nabywszy gruntownego polskiego wykształcenia, usposabia się na zdolnych sług krajowych, dla korzyści i pomocy ziomków w obecnym czasie, a na przyszłość dla użytku wspólnéj nam wszystkim ojczyzny. W stosunkach z rządami kraju zachowujmy godność, zacność, bez nieużytecznego ich drażnienia, ale téż bez godzenia się i bratania z nimi. Niech wiedzą, że ani uprzejmością jałową, ani dogodnościami wyrządzanemi, ani łaskami osobom pojedynczym świadczonemi, zjednać nas sobie nie potrafią.

Tak wyrabiając się i kształcąc, taką drogę postępowania obrawszy, uzdolnim się na rycerzy do owego wielkiego duchowego boju, który nam jedynie teraz dozwolony. A tak bój ciągle, wytrwale prowadząc, zmusimy nawet nieprzyjaciół naszych do pamięci o nas, i w dogodnéj porze, podania nam dłoni, a co najpewniejsza choćby dla opuszczonych od świata, wybłagamy sobie zacnémi czynami, umiłowanie Boże.

NIEWIASTA POLSKA NA WSI.

8 stycznia.

Ilekroć myśl każdego z nas wybiegnie ponad sferę dzisiejszych zajęć, badając przyszłości o losy Polski i ich związek z prawdopodobnémi wypadkami w Europie, tylekroć zatrzyma się smutna nad przepaścią co od dwunastu lat ciało Polski i każda duszę polską rozdarła, i z bolesném udręczeniem zada sobie pytanie: jakie jest i jakie będzie, w danéj chwili, usposobienie ludności rolniczéj? Na to pytanie szukamy odpowiedzi w sprawie włościańskiéj, szukamy jéj w każdym liście co nam donosi o czynnościach komitetów obywatelskich. Z ciężkim niepokojem, z uczuciem syna, który ma się dowiedzieć o chorobie swéj matki, chcielibyśmy odgadnąć: czy bracia nasi widzą ważność téj chwili, czy pamiętają ile to spraw od téj jednéj zawisło, o ilu pokoleniach zawyrokować mają, może bez odwołania?... Jak dotąd, jest czém się pocieszyć; ale niejedna wiadomość słusznie mogła zatrwożyć. Z gron obywatelskich, z których podobno nie każde odpowiedziało jak należy wysokości swéj misyi, sprawa przechodzi teraz do sfer, gdzie wpływ nam nieprzyjazny może być silniejszy;

późniéj przejdzie w obce zupełnie nam strony, gdzie jeźli o nas będą pamiętali, to chyba na zgubę naszę. Lecz jakikolwiek w końcu układ nakazany zostanie i jakiebądź przygotuje nam zasadzki, czy nasza nieprzezorność czy rząd nieprzyjazny, mamy jeszcze w ręku naszém środki potężne, wprawdzie już ostatnie, ale niémi bronić możemy i siebie i jedności narodowéj tém pewniéj, że do nich ani chytrość ani przemoc rossyjska nie znajdzie przystępu.

Mamy tu na myśli wpływ, jaki u nas na ludność wiejską wywrzeć mogą, i w wielu miejscach rzeczywiście wywierają kobiéty, żony i córki obywateli. « *Vous allez dans un pays*, powiedział Napoleon o Polsce, *où les hommes ne sont rien, où les femmes peuvent tout.* » Wistocie, bardziéj zamknięte w kole rodzinném, silniejszą ożywione wiarą, głębiéj przechowują tradycye narodu, jego potrzeby bystrzéj widzą czy instynktowo odgadują, i więcéj téż od mężczyzn znajdują w razie danym dzielności do odparcia pokus lub koncesyj, do których, przy słabym charakterze, codzienne zetknięcie z nieprzyjaciołmi prowadzi. Nawet w prowincyach, które dziś powszechne mniemanie za najniżéj stojące pod względem moralnym wskazuje i w których właśnie reforma włościańska najzaciętszych spotkała przeciwników, w tych nawet prowincyach, ukształceniem, uczuciem religijném i gorącą miłością ojczyzny, błyszczą kobiéty, jak gwiazdy wśród nocnych ciemności.

W téj więc wyższości moralnéj, religijnéj, a nawet umysłowéj niewiast polskich, godzi się szukać uzupełnienia sił narodowych, a przedewszystkiém ustalenia zgody naszych klas społecznych. Rola pojednawcza, misya anioła pokoju, najbardziéj Polce przystoi. « Lecz, zapytają nas, jakiemi środkami przyjść mają na wsi niewiasty polskie do téj przewagi, aby nietylko opór stawić wszechstronnemu działaniu rządu, ale opieszałość mężów lub ojców swoich nagrodzić? Od mężczyzn, nie

od kobiet, zależy dzisiaj ubezpieczenie losu włościan; rząd ma na swe usługi armią, policyą, roje popów schyzmatyckich. Gdzież siły do walki z tyloma nieprzyjaciołmi? Wszak jeden dekret rządowy, poparty żandarmami, większe musi zrobić wrażenie, niż choćby długoletnie starania właścicielki wsi.» Dekret rządowy, odpowiemy, by téż najbardziéj był gwałtownym i szkodliwym, spada jak nawałnica i przemija, zostawiając ślad swój zaledwo po wierzchu. Wpływ kobiéty jest jak deszcz wiosenny, cichy, rzęsisty, przenika głęboko, rozgrzewa ziemię, wywołuje życie. Pod jéj ręką dobroczynną, jak pod słońcem majowém, topnieją lody przesądów i zawiści, krzewią się bujnie uczucia wdzięczności i sąsiedzkiéj przyjaźni. Mężczyzni, wyrzeczono trafnie, tworzą prawa, kobiéty obyczaje; nieraz prawo nie pierwéj wejdzie w wykonanie, aż je zwyczaj swą sankcyą opatrzy. Na tém polu, którego oko cudze niełatwo dostrzeże a swojska ręka snadno je rozszerzy, panuje przeważnie, niemal wyłącznie kobiéta. Przed nią tu wszystko się chyli, do jéj kierunku wszystko się nagina, w końcu tu jéj wola zamienia się w prawo.

Lecz iżby niewiasta polska takie stanowisko mogła zająć i utrzymać, trzeba przedewszystkiém aby wieś była jéj ciągłą siedzibą. Gdzie państwo mieszkają w swych dobrach, tam zgoda z włościanami zawsze łatwiejsza. Ich powrót, po długiéj niebytności, jest dla ludności wiejskiéj zawsze dniem świątecznym; przyjmują ich z uszanowaniem, witają z radością nawet tam, gdzie pańszczyzna oddawna zniesiona, lub gdzie zakłócone miejscowe stosunki utrudniły wzajemną życzliwość. Wié o tém chłop polski, że dziedzic choćby téż był najtwardszy, chętniéj mu dopomoże i bardziéj z jego losem czuje się związany, niźli dzierżawca, który nie po co innego osiadł na gruncie, tylko aby z niego i z jego mieszkańców zyskać co można i jak najprędzéj. Cóż mówić o rządcach lub ekonomach? W pieśniach ukraiń-

skich, w których słychać nieraz boleść dręczonego przez wieki ludu, nie przebija się prawie nigdy skarga na dziedzica, ale zawsze na attamanów. Michelet wyrzekł głębokie o nas zdanie : Polacy, mówi on, naród ludzki i szlachetny, nie chcąc zajmować się własnemi interesami, zdali je na rządców i dla ludu swego stali się, mimo wiedzy, najuciążliwszemi panami. Wprawdzie na obronę naszych przodków możnaby powiedzieć, że ich powoływała ze wsi służba dla kraju : hetmańska albo senatorska, rycerska albo ziemiańska powinność. Lecz dzisiaj, gdy zamiast królewskich wici, tylko balowe inwitacye zwołują u nas *pospolite ruszenie*, gdy nas do miasta oprócz kontraktów nic więcéj nie ciągnie, dziś mieszkać na wsi, obok swoich włościan, i przezornie, razem z nimi, uprawiać tę skibę, na którą paść ma ziarno włościańskiéj reformy, to bezpośrednia droga służenia krajowi i bodaj czy nie najpierwsza polskiego obywatela powinność.

Wszakże, mężczyzna choćby na wsi mieszkał i gospodarował, a najszczerzéj pragnął dobra każdego z swych włościan, nie wydoła trudnościom wielostronnego zadania, jeźli mu nie przyjdzie w pomoc kobiéta ze wszystkiemi skarbami swojego serca i duszy. Potrzebaż wskazywać tę pomoc? I któż z nas nie widział w Polsce zacnéj pani domu, nie widział jéj w kole rodzinném, a do rodziny liczą się u nas słudzy, czeladź i wszystko co żyje przy dworze? Ona na wszystko ma oko zarazem czułe i przezorne, zna każdego życzenia, potrzeby, boleści. W niejedném cierpieniu potrafi dać radę, a kiedy już rady nie znajdzie, ma przynajmniéj łzę współczucia. Ona jest konieczną pośredniczką we wszystkich prośbach do pana; za jéj wstawieniem otrzymane lub jéj ręką wyświadczone dobrodziejstwo w dwójnasób zyskuje na cenie. Ona każdéj parze nowéj błogosławi, przy każdym chrzcie musi być obecną; jest źródłem albo uczestniczką wszelkiéj radości. Słodyczą i miłością

dokupuje się od sług swych poświęcenia bez granic; ją zmartwić to większa dla nich kara, niż srogi pana gniew... Każdemu z czytelników, powtarzamy, znajomy jest przecie ten obraz; niejednemu przypomni on może pamięć jego własnéj matki. I zaprawdę, gdybyśmy opowiadać mieli wszystkie sposoby, któremi Polki dla siebie i dla swych mężów zyskać mogą serca poddanych, wkrótce swoich sąsiadów, musielibyśmy tylko opisać to czegośmy sami byli nieraz świadkami i co na szczęście, w niejednéj wsi polskiéj do dziś dnia istnieje.

Przestaniemy więc na krótkiéj wzmiance. Wiadomo, że w każdéj niemal wsi polskiéj, panie domu opiekują się choremi, mają u siebie apteki, urządzają dworskie szpitale; dla biednych i podupadłych z domowych oszczędności przysposabiają pomoc gotową. Lecz oprócz opieki nad cierpieniem i ubóstwem, jeszcze je wyższe czekają obowiązki; bo jeśli mężczyznom oddany jest stosunek majątkowy z włościaninem, to już utrzymanie stosunku moralnego od kobiet wyłącznie zależy. Dzisiaj i długo jeszcze, dopóki trwać będzie nasze nieszczęśliwe położenie, same tylko niewiasty zająć się mogą i powinny wychowaniem przyszłego na wsi pokolenia. One więc zakładają i dozorują ochronki i tego rodzaju instytucye, które łącząc z nauką cele chrześciańskiego miłosierdzia łatwiéj i z większym nawet niż szkółki pożytkiem teraz wprowadzić i utrzymać się dadzą. Wprawdzie czynności te i przedsiębierstwa wiele i z różnych stron napotkać muszą przeszkód i utrudnień, wielkiego wymagają oddania się i wytrwałéj energii, może nawet przez czas pewien żadnego nie przyniosą owocu, niemniéj jednak z wszelką ufnością twierdzimy, że w obecnych nawet stosunkach niepodobnemi nie są, bo w wielu miejscach je otwarto i utrzymano szczęśliwie.

Jednę tylko bliższą uwagę ośmielimy się dodać z swéj strony. Skutkiem zmienionych stosunków wiejskich zdarzyć się może, że włościanie, czy ich żony, nie będą

śmieli przychodzić do pani po radę i pomoc, do których od lat wielu przywykli. Może ich wstrzyma jakiś spór graniczny, sąsiedzka kłótnia albo zdradliwy podszept obcego. Wtedy o krok jeden dalej postąpić musi zacna ofiarność Polki-obywatelki. Niech wtedy na nich nie czeka we dworze, ale niech ich poszuka we własnéj sadybie; niechaj zapomni o niezgodzie męża z chłopami, urazy dworskie niech ją na tę chwilę nie obchodzą. Gdzie ona wstąpi do chaty, za nią tam pójdzie pokój i harmonia; czyje dziecko ona przytuli i uściśnie, tego serce do siebie przywiąże. Wstąpiwszy raz do zagrody chłopskiéj, poznawszy całą rodzinę, ileż ztamtąd myśli wyniesie, ile potrzebnych dla siebie i dla męża upomnień, ile szlachetnych a dla ludu zbawiennych dążności. Bo tylko w ich własnym domu, będzie mogła poznać prawdziwy stan swych sąsiadów uboższych, ich moralną i materyalną nędzę; tylko tam przyjdą jéj na myśl rady i postanowienia, które gorącéj duszy otworzą szerokie pole działania i nadadzą kierunek, może już na resztę życia.

Po latach takiéj pracy wytrwałéj, w rozlicznych które po sobie rozwijać się wciąż będą zajęciach, po kilkuletniéj zażyłości z rodzinami chłopskiemi, czyż podobna, zapytamy, aby się nie zmieniła fizyonomia naszéj ludności rolniczéj, aby się nie naprawił stan naszych wiosek w moralnéj zarówno jak materyalnéj sferze? Czy podobna, zapytamy jeszcze, aby tam gdzie niewiasta polska do wsi całéj rozciągnąć zdoła urok czarowny, jaki na służbę domową wywiera, aby tam serca jednéj ziemi mieszkańców zapalić się mogły krwawą nienawiścią i wybuchnąć miał z nich pożar bratobójczéj wojny? Nie! Trudy i poświęcenia Polek staną narodowi za talizman, który go od ciosów nań wymierzonych uchroni. Kiedy długiem cierpieniem znękany tułacz, Odysseus, wśród rozhukanych fal morskich miał tonąć, wypłynęła z głębi wód piękna Leukotya i rzuciła mu szarfę nieśmiertelności, nią przepasany szczęśliwie dopłynął. Chrześciań-

ska Leukotya, chrześciańskiego Odyssa, mimo burz i wichrów gwałtownych, mimo Scylli i Charybdy którędy płyniemy, wyprowadzi, da Bóg, na wybrzeże bezpieczne.

I nie raz pierwszy to dozna naród polski tak wielkiéj od swych niewiast usługi. Wprawdzie trudno jest oznaczyć rolę jaką odegrały kobiety w dziejach odradzającego się polskiego społeczeństwa : ich prace i ofiary były ciche jak łzy i modlitwy, któremi u Boga dopraszały się miłosierdzia. Ale głębiéj szukając możeby się znalazło, że ile jest na ziemi polskiéj rodzin odznaczających się dzielnością, rozumem i wytrwałą dla Polski służbą, przez każdą przeszła jakaś czysta, wysoka, pełna cnót chrześciaskich dusza niewiasty, od któréj zaczyna się nowe, podniesione życie pokoleń następnych. Wielkiego człowieka matką, powiedział Lamartine, musi być wielka kobieta. Dźwignienie, odrodzenie moralne nietylko klas wyższych ale i wiejskiego ludu, dziś bardziéj niż kiedykolwiek jest w ręku naszych niewiast. Lat temu pięćset najcelniejsza z polskich dziewic, ofiarą swojéj miłości zdobyła dla kraju Lechitów naród litewski i ruski. Dziś Jadwigą wsi swojéj, może być każda Polka, żona obywatela z zabranych prowincyj, odzyskując napowrót Lachowi swojemu lud ruski i litewski.

CIEKAWOŚĆ ROSSYJSKA I DOBRODUSZNOŚĆ WIELKOPOLSKA.

8 stycznia.

Korespondent Poznański donosi pod d. 24 grudnia *Czasowi*, że « od kilku dni bawi w Poznaniu p. Katenin, publicysta rossyjski z Moskwy, celem zawiązania stosunków dla pisma *Parus* (Żagiel), które w Moskwie wychodzić zaczyna, tudzież dla *Bióra Słowiańskiego* przy pismie tém otwartego. »... « Jako literat pobratymczego narodu — dodaje korespondent — jako człowiek wykształcony i ujmujący, znajduje p. Katenin w tutejszych kołach towarzyskich szczere i przyjazne przyjęcie; *a więcéj znękane jak się godzi i słabe umysły*, mylne z pobytu tego wyciągają wnioski... »

Dziennik *Parus* ma na celu, jak w jego programie czytamy, « obznajmić Rossyan z historyą, geografią, położeniem dzisiejszém, literaturą, w ogóle z umysłową i moralną działalnością wszystkich plemion słowiańskich. » Przydane zaś do tego pisma *Bióro* « przeznaczone jest ułatwić naukowo-literackie stosunki między Rossyanami i jednoplemiennémi słowiańskiemi narodami... » Dla Polaka ze zdrowym sądem i sercem, cel i dążność tego

moskiewskiego przedsięwzięcia są aż nadto wyraźne. *Parus* i jego *Bióro* mają tém się stać dla Słowiańszczyzny, czém *Le Nord* i jego Bióro w Paryżu już są teraz dla Europy: ogniskiem panslawizmu pod egidą caratu, siecią rzuconą na *znękanie* i *słabe* umysły w imię pobratymstwa postępu, cywilizacyi, ludzkości..... *Idque, apud imperitos humanitas vocabatur, quum pars servitutis esset!*.....

Otoż my tylko możemy powiedzieć, że się nie godzi Polakowi stanąć w rzędzie tych «Bółgarów, Bośniaków, Słoweńców, Łużyczan i Słowaków» których *Parus* bratersko chce tulić do łona; że się nie godzi Polakowi, największéj swéj świętości na ziemi, świętości swego imienia powierzać temu *Żaglowi*, którego widocznném przeznaczeniem handel niewolnikami — niewolnikami białymi!..... Dzięki zresztą kokosznikom warszawskim, balom wileńskim i wierszom o Królestwie Bożém, stosunki nasze z Rossyanami są już za nadto «ułatwione,» abyśmy jeszcze pobratymczych usług moskiewskiego potrzebowali *Bióra!* I pocóż nam Rossyan obznajmiać z naszą «moralną działalnością?» Czyż nie mają sami w ręku wszystkich do téj upragnionéj wiedzy środków? Niechaj zbadają pola Grochowa, śniegi Sybiru, lochy cytadeli — a poznają dostatecznie naszę «moralną działalność!.....»

Zamiast wstąpić do piekieł moskiewskich robót, mają po drodze wielkopolscy pisarze ten *Dziennik Poznański*, który z tym rokiem zaczął wychodzić i z tylą trudnościami będzie zapewne miał do walczenia..... Utrzymaniem i zasilaniem tego jedynego teraz w Poznańskiém politycznego pisma, dadzą Niemcom większy zaprawdę dowód swéj żywotności, niż panslawistyczném samobójstwem w objęciach *Parusa*. Rossyanom zaś, ciekawym poznać jaka w nas krew płynie, niechaj odpowiedzą, aby tylko na własne swe zechcieli spojrzeć — ręce!

SEJM PRUSKI I KOŁO POLSKIE.

15 stycznia.

Jeśli rozpoczęty teraz sejm pruski w Berlinie powszechne budzi zajęcie, tak przez wzgląd na zachodzące w téj monarchii zmiany wewnętrzne jak wikłające się stosunki Europy, to nas, Polaków, szczególnie jeszcze obchodzi, z uwagi na wyłączne stanowisko, jakie w tém prawodawczém ciele zajmuje poselskie koło naszych rodaków z W. Ks. Poznańskiego. Nie może to dla nas być obojętném, a w danym razie może się to nawet stać rzeczą wielkiéj wagi, że sprawa jednéj dzielnicy naszego kraju, a pośrednio sprawa Polski całéj, znajdzie swój wyraz i głos w publicznych obradach, których słuchać będzie cywilizowana Europa. Jeszcze nie tak dawno temu, odzywały się za nami corocznie w izbach francuzkich i angielskich wymowne cudzoziemskie głosy i przypominały światu tak dobrze nasz byt moralny, jak nasze prawo do legalnego bytu. Dzisiaj, ta wcale nie bezskuteczna misya przypominania naszéj sprawy i świadczenia jéj przed Zachodem, cięży, chociaż w ściśnionym zakresie, na nas samych, a wyraźniéj mówiąc, na posłach W. Ks. Poznańskiego. Mamy pewną otuchę,

moglibyśmy powiedzieć, nie wątpimy ani chwili o tém, że polscy członkowie berlińskiego sejmu, przejęci są całą ważnością swego powołania i jak najgodniéj mu odpowiedzą. Gdyby tego była potrzeba, znaleźliby już silne bodźce do wytrwałéj czynności w saméj wytrwałości i energii, jaką zacna ludność polska objawiła w ich wyborach, w zajęciu i życiu, jakie elekcyjna walka na ziemi ojczystéj obudziła. Ale już we własnéj tradycyi, w pamięci dziesięcioletniéj żgórą parlamentarnéj swéj działalności, znajduje szanowne grono poselskie dostateczną zachętę i zaprawę, a nowo obrani członkowie przynoszą mu obecnie większą siłę, tak liczebną jak moralną. Biórokracya pruska, w swéj wrzącéj niechęci dla pięknego objawu politycznego życia, jaki dali Wielkopolanie, gdy mu przeszkodzić nie mogła, starała się go potém osławić, i zapomniawszy naraz o swych konserwatywnych zasadach, z których się zazwyczaj tak pyszni, zaczęła się w dziennikach demokratycznie użalać, że wybory w Poznańskiem wypadły — *arystokratycznie;* nawet w pismach angielskich znaleźliśmy ślady tych łez krokodylich (1)! Oceniając, jak się należy, całą szczerość téj czarno-białéj skargi, musimy jednak przyznać, że pod pewnym względem biórokracya pruska się nie omyliła. Tak jest. W. Ks. Poznańskie wybrało na sejm berliński swoję arystokracyą jedynie godną takiego nazwania i uczczenia, która się na dobréj sławie i sprawie, na wyższości intellektualnéj, moralnéj, socyalnéj i tradycyjnéj opiera. W gronie naszych wielkopolskich

(1) Tak między innemi i *Morning Advertiser* wydrukował korespondencyą, łatwéj do poznania fabrykacyi, która ubolewała że w Wielkiém Ks. Poznańskiém partya szlachecka, arystokratyczna i katolicka, zwyciężyła ludową, postępową i protestancką. Wszakże, tenże sam angielski dziennik, pod dniem 30 grudnia p. r., zamieścił obszerną i trafną odpowiedź przysłaną z Poznania, i w artykule nadto wstępnym oddał nam należną słuszność, prostém tylko wystawieniem rzeczy w prawdziwém świetle.

posłów widzimy mężów, którzy stoją na wyżynach narodowéj umysłowości i naukowości, obywateli znanych z zasług i poświęceń położonych dla ojczyzny, młodych wreszcie ludzi, którzy po ojcach piękne odziedziczyli imiona i piękniejsze jeszcze przykłady. Spodziewamy się najlepszych rzeczy po tym wyborze « najlepszych » ; widzimy w nich nietylko reprezentantów jednéj drogiéj nam prowincyi, ale pośrednich rzeczników całéj naszéj świętéj sprawy, i z tego stanowiska śledzić będziemy ich obrotów na polu dyskusyi.

Na teraz pozwalamy sobie zwrócić uwagę naszych czytelników na oględnie i wytrawnie napisany artykuł, w którym nowo wychodzący *Dziennik Poznański* rozbiera stanowisko polskich posłów w Berlinie. Umieszczamy ten artykuł w całości, bo ze wszech miar zasługuje na poznanie i rozpamiętywanie :

« Za dni kilka nastąpi w Berlinie otwarcie sejmu państwa, którym się rozpoczyna nowy trzechletni okres prawodawczy. Legislatura obecna a w szczególności pierwszy ten sejm, wielkiéj już ztąd będą wagi, że są pierwszemi wśród nowego porządku rzeczy publicznéj w Prusiech, i że wybory do téj legislatury już za nowego odbywały się ministerstwa. To téż zajęcie się sprawą sejmową w Prusiech daleko większe tak wśród publiczności krajowéj, jak wśród europejskiego dziennikarstwa, niżeli to dotąd bywało. I polska ludność zdaje się z żywszym jak wprzódy interesem wyglądać otwarcia i przebiegu sejmu, już to że wytężone w niéj oczekiwanie na stanowcze i jawne kroki lub oświadczenia nowych ministrów co do kwestyi wewnętrznego zarządu W. Księstwa, jużto że tą razą dużo większą posyła liczbę swoich reprezentantów. Stanowisko tych reprezentantów będzie i ważne, i na pierwszy rzut oka nieco trudne. Mówimy : na pierwszy rzut oka, bo ta pozorna trudność raczéj w formie, niżli w istocie leży. Istota nazwiska prosta i jasna, w niczem bowiem nie zmie-

niona; nie ma więc potrzeby łamać sobie nad nią głowy. Ale i formalna strona, jeżeli bystrzéj się w niéj rozpatrzy, nie tak trudna jakby się w pierwszéj chwili widziało. Polskie koło znajdzie się, prawda, wobec inaczéj ugrupowanych stronnictw niemieckich i wobec innemi zasadami kierującego się ministerstwa. Ale nie wchodząc, jak dawniéj, w trwały sojusz zasadniczy z innemi frakcyami parlamentarnemi dla prostéj przyczyny, że te także z niém w taki sojusz wchodzić nie myślą, nie będzie miało grono polskie z téj strony kłopotu rozmyślań nad nową decyzyą w téj mierze. Co do formalnéj strony stanowiska naprzeciw ministerstwu nowemu, rzecz także, bliżéj obejrzana, bardzo prostą się pokazuje. Są powody domniemywania, że nowy zarząd centralny względniejszym się okaże dla praw narodowości polskiéj, od dawnego; pewności ani rękojmi faktycznych, że to nastąpi, dotąd nie ma. Nie ma więc téż przyczyny rozbierania i rozstrzygania kwestyi, gdzie i jak grono polskie zasiąść powinno, czy pomiędzy frakcyami ministeryalnemi, czy pomiędzy opozycyjnemi, czy pomiędzy pośrednikami. Zdaniem naszém najtrafniéj ono postąpi, zasiadając na dawnych polskich ławkach i wyglądając z tego swego tradycyonalnego miejsca, żadnéj parlamentarnéj niemieckiéj nie noszącego barwy, jak się rzeczy obrócą. Wedle tego obrotu nacechuje bliżéj swoje stanowisko względem ministerstwa i pokieruje swojemi głosami. Ponieważ jednak, powtarzamy, są powody domniemywania się u nowego ministeryum pewnego zwrotu ku lepszemu względem nas, nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby posłowie polscy w początkowym już swoim sposobie występowania ten odcień przychylnego oczekiwania nacechowali.

»A więc wszystkie te pozorne trudności formalnie wcale nas dla naszych reprezentantów nie kłopocą. Jeżeli będzie jaka trudność, to może będzie ona największa, przepraszamy za paradox, w stosunku opinii kraju i

dziennikarstwa polskiego do polskiego koła na pruskim sejmie. Trudność ta widzi się nam dwojaka. Jedna płynie z natury stanowiska polskich posłów w Berlinie, które niekoniecznie pozwala na publiczne ogłaszanie, motywowanie, rozbieranie wszystkich ich kroków, wśród niebardzo przyjaznéj atmosfery stawianych. Druga bierze swój początek w naszéj prowincyonalnéj małomiejskości, która tak sprzeczna z warunkami wyrobionego życia publicznego i parlamentarnego. Natura tego życia wymaga, żeby mąż publiczny i każdy krok jego w publicznéj sprawie, publicznemu téż ulegały sądowi, rozbiorowi a przynajmniéj wzmiance. Natura przeciwnie naszych stosunków prowincyonalnych, które niesłychanie zmalały i zacieśniły się w odosobnieniu od wszelkiego większego organizmu, wśród których wszyscy się znają, wszyscy są sobie swatami, bratami, przyjaciołmi lub nieprzyjaciołmi osobistymi, natura tych stosunków, powtarzamy, oburza się na samą myśl, żeby można wprost i na głos powiedzieć, że pan X. lub Y. tak a tak w rzeczy publicznéj wystąpił, cóż dopiéro żeby krok jego jakiéjś poddać krytyce dziennikarstwa lub opinii. Jedynym chętnie widzianym i przez prowincyonalną opinią pozwalanym wyjątkiem jest bezwarunkowa pochwalna wzmianka o osobie. Z usposobienia nie dzielimy tych małomiejskich drażliwości, bo raczéj czujem pociąg do tego co szeroko pojęte i wykonane. Wszelako przyznajemy, że należą się zawsze pewne względy dla istniejących chociaż niekoniecznie pożądanych właściwości, a tę wygórowaną czułość prowincyonalną na jawne rozbieranie postępowania naszych statystów do tych właściwości liczymy. W zdaniu więc sprawy o czynności parlamentarnéj posłów naszych będziemy się starali trzy te względy pogodzić : wzgląd na zasadniczą potrzebę pewnéj jawności kroków w publicznéj stawianych sprawie, wzgląd na ową małomiejską drażliwość naszę, ilekroć o imiona własne chodzi, wzgląd wreszcie

na niezbędną nietylko w prywatnych, ale nieraz i w publicznych sprawach dyskrecyą.»

Możemy tylko z całéj duszy przyklaskiwać wyrażonym przez *Dziennik Poznański* zdaniom i uczuciom, i nieinaczéjbyśmy i my potrafili sformułować nasz program względem czynności polskich posłów w Berlinie. I my także widzimy potrzebę publicznego sądu i rozbioru rzeczy publicznych, i my także z usposobienia nie dzielimy małomiejskich drażliwości, a czujemy pociąg do tego co szeroko pojęte i wykonane. Co do nas zresztą, to my owych małomiejskich drażliwości tém mniéj się obawiamy, że mamy nietylko otuchę ale pewność, iż koło poselskie jak dotąd tak i następnie będzie działało solidarnie, a my je tylko solidarnie sądzić będziemy. Jesteśmy przekonani, że deputowani polscy w Berlinie odpowiedzą godnie zaufaniu komitetów, zaufaniu narodu i obowiązkom, które na nich własna parlamentarna wkłada przeszłość — przeszłość tak mało zresztą znana jak i uznana. Bo wśród trudnych okoliczności, wśród powszechnego zobojętnienia w kraju a lekceważenia obcych, stali wytrwale przy swéj chorągwi i bronili świętéj sprawy gorliwie, acz bezskutecznie. Ale w życiu polityczném sama praca jest już poczęści skutkiem, i czynem jest już sama czynność, skoro ta, nie niszcząc i nie narażając sił narodowych, takowe budzi gdy uśpione, lub je zaprawia gdy otrętwiałe. W narodzie szczególnie jak naszym, tak osłabionym i zbolałym, tylko wytrwałe pełnienie codziennych obowiązków może wyprowadzić siłę, i odkupienie jego tylko być summą uzbieranych zwolna wdowich groszów — cokolwiek marzyć i gwarzyć mogą polityczni romantycy, którzy nie z normalnego rozwoju charakterów, ale z zewnętrznych katastrof myślą stworzyć dramat narodowego życia, lub ci, dla których oczekiwanie wielkiego cudu jest tylko uciekaniem od wszelkiego trudu.

METAMORFOZY P. KRASZEWSKIEGO.

22 stycznia.

Paryż, 17 *stycznia* 1859. Panie Redaktorze. Z nieśmiałością biorę pióro w rękę, bo nie mam ani zdolności ani nawyknienia do niego. Lat dwadzieścia kilka, innemu musiałem poświęcić rzemiosłu jako tułacz, którym zostałem z powstańca, a powstańcem z młodego ucznia uniwersytetu wileńskiego. Ten to ostatni tytuł jest wszakże powodem, że pierwszy raz w życiu będę widział słowa moje drukowane, jeżeli raczysz je w dzienniku swoim umieścić. Zaraz się wytłómaczę.

Jeden z kolegów, który czytuje *Gazetę Warszawską*, powiedział mi, że jest tam w feletonie jakaś bardzo ciekawa i piękna powieść o akademikach wileńskich (jak nas zwano niegdyś). Tknęło mię to mocno. Mój Boże! — pomyślałem sobie — Jakże to wszystko szybko ubiega! Ledwo ćwierć wieku minęła, a już życie młodych lat naszych, na ziemi gdzie kwitło, staje się przedmiotem jakichś bajecznych opowiadań, materyałem sztucznych robót literackich. Czy tedy ta niedawna rzeczywistość tak przepadła, że już ma tylko żyć w pieśni, czy powieść przyznała sobie prawo być mniéj niżeli pieśń cierpliwą?...

Uprosiłem kolegę żeby dostał dla mnie numera Gazety. Dostarczał mi je, choć nieregularnie i późno, co też jest przyczyną, że dopiero teraz odzywam się z uwagami nad rzeczą, może już także zapomnianą.

Powieść ma tytuł « Metamorfozy. Obrazki przez J. J. Kraszewskiego » A! p. Kraszewski... to rowieśnik, to współuczeń! Przypominam sobie młodziutką twarz jego, którą widziałem w Wilnie na kilka dni przed tą chwilą, co nam naznaczyła różny kierunek. On wyszedł na sławnego w kraju pisarza, ja na biednego w Paryżu siodlarza... zawsze jednak chlubię się tém, żeśmy się poili mlekiem wspólnéj naszéj *matki karmicielki*.

Na pierwszéj niemal stronicy wpadły mi w oczy wyrazy : « Siedmiu nas było zbliżonych trafem... tych siedmiu opowiem wam dzieje, a siedmiu kroć siedmiu znajdzie się może co powie : to naszego życia zwierciadło i to są przygody nasze. » Wziąłem się do czytania z niecierpliwą ciekawością; mordowały mię przerwy, zawieszenia i te wszystkie manewra, któremi nietylko sami pisarze ale i redaktorowie dzienników (niech Pan Dobr. nie bierze tego do siebie) starają się natężyć interes feletonu.

Nareszcie... dojechałem do końca. Trudnoby mi już było zebrać co przeszło przez głowę, ale chciałbym wynurzyć co zebrało się na sercu — bo sercu ciężko!

Obrazki pana Kraszewskiego, malowane wyznać muszę, z wielkim talentem i artyzmem, składają dwa szeregi, jakby przeznaczone do zawieszenia naprzeciw siebie. W obu główna grupa osób ta sama, tylko tło inne. Pierwszy szereg rozwija się w zakresie ostatnich lat uniwersytetu, między reformą sprawioną przez Nowosilcowa a powstaniem Listopadowém, które na Litwie było Kwietniowém. Mundury nieznane dawniéj i wzmianka o bedelach Giedrojciu, Pietraszewskim, Zabłockim, wskazują epokę niewątpliwie. Co do grupy osób, nie wiem dlaczego służy jéj mistyczna liczba *siedem*. Nie

licząc już samego autora, który może ukrywa się pod postacią jednego z siedmiu, jest tam i ósmy, i dziewiąty nawet, sługus wprawdzie, ale podobno odmalowany najszczęśliwiéj, przypominający najwięcéj. Pan Kraszewski, historyą każdego z nich opowiada prawdziwie *ab ovo*, bierze po jednemu jak ptaki z gniazda i sprowadza do przygotowanéj klatki, gdzie dawszy szczegółowo poznać, wypuszcza na świat, żeby znowu potém zgromadzić i pokazać jakiéj ulegli *metamorfozie*.

Pierwszy z nich, Serapion, był sierotą od dzieciństwa, ale ubóstwo i opuszczenie zahartowało jego duszę, nie przygniotło. Podhodowany w chacie, potem gdzieś w kącie dworu, pojechał z paniczami do szkół i tam pilną pracą utorował sobie dalszą drogę. Ewangieliczka, którą zaraz złapał po elementarzu, była jego nieodstępną towarzyszką i skarbem światła. — Obok niego, jakby dla kontrastu, stoi pieszczoszek, wychuchany przez mamę Albin, którego koledzy przezwali Fijołkiem, bo jeszcze w szkołach kochał się i nosił na piersiach zeschły ten kwiatek. — Góruje nad obydwoma wzrostem, siłą, śmiałością, samolubny i zimny, szyderczy i mający w całém swojém usposobieniu coś zdobywczego Longin, ochrzczony Alexandrem Macedońskim. — Z kolei ukazuje się Konrad, dziedzic znakomitego imienia i majątku, dobry chłopiec, ale próżny, zajęty elegancyą i bywaniem po salonach, przytém wielki utopista i reformator świata, co winien był pierwotnemu wychowaniu, bo niegdyś w domu miał guwernera Francuza, ex-furierystę, ex-sensymonistę, ex-chatelistę, który swoję chętkę urządzania ludzkości w ucznia wszczepił. — Po nim występuje na scenę znowu stworzenie skromne i ciche, syn poczciwego parocha unity, Cyryl, z natury bibliofil, od dzieciństwa zbieracz starych woluminów i szpargałów. — Następny w szeregu Jordan, urodził się z taką namiętnością do spekulacyi i pieniędzy, jak Cyryl do książek, a ponieważ gadał tylko o bogactwach do

jakich dojść musi, zyskał przydomek Krezusa.—Ostatni i najmłodszy z siedmiu, Teofil, okazywał różne, najsprzeczniejsze popędy, nie miał ustalonéj cechy charakteru.— Nadkompletny przy siódemce, znacznie starszy od innych, podtatusiały Baltazar, najzupełniejszy reprezentant zimnego rozsądku, wolny od wszelkich pokus i złudzeń, ufający tylko w wyrachowanie i systematyczność, patrzał na zadanie życia jak na sztukę zapewnienia sobie ile można dobrego bytu; z ciężko uzbieranym zapasem grosza, przybył na uniwersytet uczyć się medycyny, dla chleba.

Wszyscy mieszkali w dwóch sąsiednich kamienicach na Łotoczku, żyli między sobą po koleżeńsku, chodzili jeden do drugiego codzień, a zwykłe ogólne zbiorowisko było u Teofila, gdzie dosyć obszerny pokój stał się istną izbą wiecową rzeszy studenckiéj. Tu w gwarze gawędki, w dymie tytuniu, przy pieczonych kasztanach i herbatce, spędzano długie wieczory zimowe. Stróżem gospody, niezbędném dopełnieniem grona, był prawdziwie typowy chłopiec służący, dla głupoty i cymbałowatości pieszczotliwie Cymbusiem przezwany. Wcielony w żywot akademicki, brał on udział we wszystkiém co się działo, krzątając się koło pieca i samowarka, wtrącał się do rozmowy, przerywał ją niespodzianym komentarzem albo wykrzyknikiem.

Jednego wieczora, kiedy toczyła się rzecz o wyborze drogi naukowéj, przyszło któremuś do głowy zaproponować, żeby wszyscy wyspowiadali się ze swoich marzeń i życzeń, wypowiedzieli jak iść i dokąd dojść zamierzają. Propozycya większością głosów przyjętą została.

Spodziewałem się w tém miejscu znaleźć co innego niżelim znalazł; spodziewałem się ujrzeć, jak zapowiada autor, « Tytanów górami ścielących sobie drabinę do nieba, od którego piorun rzeczywistości miał ich odepchnąć; » spodziewałem się poczuć drganie téj

tajemniczéj spójni, która czyniła żeśmy byli « braćmi duszą, myślą, nadzieją. » Nic z tego! W spowiedziach wychodzą tylko dobitniéj na jaw rysy charakterów nakreślone pierwéj, i dobitniéj ukazują się jednostki wcale nie *promieniste*, owszem wszystkie promienie ściągające do swojéj drobnéj soczewki. Longin i Jordan odkrywają w całéj nagości szpetny i niczém nie modyfikowany egoizm. Punkt ich wyjścia i cel dążenia jednaki: uczą się prawnictwa, chodzą na prawo « żeby pójść na lewo » żeby korzystając z głupstw i słabości ludzkich, dogodzić swoim żądzom, użyć życia. Niewiele odstępuje od nich Konrad: życzy on ogólnéj przemiany, nowego systemu dla świata, a w końcu dla siebie bogatéj żony, milionika, dobrych stosunków z ludźmi, komfortu w domu. Cyryl, równie jak Baltazar przestaje na małém. Dla bibliofila, szczurza dziurka przy jakiéj bibliotece, *procul negotiis*, byłaby rajem; doktor nie pragnie niczego, prócz zaopatrzonego porządnie domku w jakiém miasteczku i szerokiéj praktyki w okolicy. Teofil zawsze nie wié co z sobą robić. Mało téż troszcząc się o to, co i z nim i z poprzednimi autor zrobi, więcéj zastanawiałem się nad wyznaniami dwóch pozostałych, bo tu daje się namacać jakiś filozoficzny węzeł powieści.

Romansowy Albin, skreśliwszy idealny obraz szczęśliwości wsi swojéj rodzinnéj, gdzie wszyscy żyją jak bracia i każdy pierwéj myśli o innych niż o sobie, osadza w tym raiku siebie z Anusią. Na zarzuty niepodobieństwa odpowiada, że przecież takby być mogło gdyby chrześcianie nie byli tylko chrześcianami z imienia. Jeżeli tego życzyć i pragnąć jest upojeniem, to « upojenie to święte, szał wieszczy i proroczy... *Młodości ty nad poziomy...* » W tém Cymbuś klasnął rękami i głośno krzyknął do siebie: « Ot i samowarek zagasł! » — Wszyscy się rozśmieli.

Poważny Serapion, rozwodzi się także nad pogaństwem naszych czasów, gorszém niż było przed przyj-

ściem Chrystusa; ale świata przerabiać nie myśli, a dla siebie ma ewangieliczkę, która go uczy rezygnacyi, i nic więcéj nie potrzebuje. Jednakże przyznaje się do jednego marzenia. Gdyby siły po temu, gdyby natchnienie z góry, chciałby, wziąwszy sakwy na plecy i kij w rękę, pójść nawracać pogan, ze słowem apostolskiém stanąć w Paryżu u drzwi balowych, przed giełdą, na scenie, w fabryce między zgniłym proletaryatem... Mówca skończył ze łzą w oczach, wszyscy kornie uchylili czoła.

Po tych spowiedziach, nad któremi późniéj zrobię parę uwag, upłynęło lat kilka studenckiego życia. Nakoniec przyszedł rok ostatni nauk i czas rozjazdu uczniów. Grono łotoczkowe zebrało się na pożegnalny wieczor u Teofila. Powtarzano, jak zwykle w takich razach, zapytania: czy zdarzy się jeszcze kiedy rozsypanym w różne strony zebrać się razem. « A czemużbyśmy nie mogli sobie przyrzec zejścia się w naznaczoném miejscu i czasie po pewnym lat przeciągu? » – zawołał jeden « Myśl święta, myśl cudowna! » — krzyknęli wszyscy. Zapadło postanowienie, że kto z obecnych żyw na świecie będzie, ma stawić się w Wilnie na Łotoczku dnia 15 lipca 18.. r. Wtedy żywi uścisną się, a za zmarłych odprawią nabożeństwo; każdy jak spowiadał się ze swoich marzeń tak opowie ich spełnienie lub zawód. Zawotowano artykuł dodatkowy, że jeźliby kto dla nieprzełomnych przeszkód nie mógł przybyć, przyszle na piśmie swoje *curriculum vitæ*. Pożegnano się czule: « do widzenia za lat dwadzieścia! »

Na tém zamknął się szereg obrazów przedstawiających tak mi drogie, tak znajome czasy. Nie mogłem jednak sam dla siebie utworzyć o całości pewnego sądu, przed zobaczeniem drugiego szeregu, który miał wiele rzeczy dopełnić, wytłómaczyć, rozwiązać. W ciągu czytania, tyle różnych a sprzecznych budziło się we mnie uczuć i myśli: wczoraj, dzisiaj i jutro tak plątały się z sobą, że

mi pozostało jakieś mętne i dolegliwe wyrażenie. Zdaje się że autor siadł do pisania, mocno przejęty wspomnieniami naszych lat młodych, ale na nieszczęście osnuł sobie zaraz jakąś tendencyą, która mu wywołała przed oczy tłum późniejszych zdarzeń, pojęć, sporów, doktryn i zagadnień, obecnie gniotących umysły. Natrętna obecność ciągle go niepokoi, drażni i myli; na iskry świętego ognia rzuca mu ślinę ironii, kwiaty młodości mrozi zimnym tchem rozczarowania, do wielkich tajemnic, kryjących losy narodu, podsuwa drobne kluczyki. Ztądto zapewne wynika, że nie zawsze jest zgodny z sobą i zapomina się bez ustanku. Mówi o pysznym gmachu złotych snów i nadziei, który straszna rzeczywistość miała zgruchotać piorunem : a uśmiecha się z politowaniem jak nad bańką mydlaną, która pękła i trochę brudu zostawiła. Obiecuje nas zasilić sokami przeszłości, ciepłem jéj ogrzać piersi wystygłe, dodać ochoty do życia, podźwignąć męztwo : a pod jéj postacią ukazuje tylko wady i zwątpienia terazniejszości.

Anachronizmy są głównym i najczęstszym grzechem w «Metamorfozach.» Niektóre z nich dotykalnie potrącają o daty, inne, rozwlekając się niewyraźnie, fałszują prawdę miejscowości i czasu. Jakim sposobem, około r. 1820, mógł znaleźć się na Litwie ex-sensymonista, kiedy sensymonizm dopiero w lat dziesiątek potém w Paryżu na scenę wystąpił? Zkąd tam, mało co poźniéj, studenci już wiedzą że Idy Pfeiffer «dzicy jeść nie chcieli?» Co gorsza, zkąd w ich głowach ta choroba utopij, nieznana u nas przed cholerą?.....

Zewnętrzne nasze życie studenckie, p. Kraszewski odmalował wiernie, z wielką świeżością pamięci, z wielkim darem obserwacyi, z niezmyśloném zamiłowaniem; ale stronę wewnętrzną tego życia wystawił nieprawdziwie i ujemnie, odział maską sztucznie przyrządzoną i niezaszczytną. Obarczywszy nas do zbytku narzuconemi cechami, nie odsłonił jedynie téj, co nas głównie odzna-

czała, co jest naszą chlubą i zasługą, co świeci w przeszłości naszéj jak gwiazda. Dlatego też obrazki, mimo mnóstwa pełnych prawdy i miłych szczegółów, trącą kolorytem obcym, światłem sobie niewłaściwém...

Owczesna atmosfera była dusząca i pełna elektryczności, wileński uniwersytet ogarniała mgła posępna, wszystkie młode piersi oddychały ciężko i z boleścią: tymczasem, nad Łotoczkiem, wieczna pogoda jakiejś wiosny sielankowéj. Nie słychać tu żadnego westchnienia, żadnego słówka smutku lub przeczucia, coby dało poznać, że to przecież garstka pokolenia, stojącego między dwoma męczeństwami. Charaktery dobrane przez autora stosownie do jego widoków, pod względem psychologicznym są już po większéj części wyjątkowe i niekompletne: wyglądają na preparata robione przez anatomików dla pokazania samych kości, samych muszkułów albo samych nerwów. Prócz przypadku, nic nie tłómaczy ich ścisłego koleżeństwa, a tém bardziéj spójni moralnéj z resztą młodzieży. Grono składa się z najzupełniejszych egoistów albo kosmopolitów, co zresztą na jedno wychodzi. W owych spowiedziach, marząc czy rachując, każdy z nich jak gdyby rzeczywiście był mieszkańcem jakiejś urojonéj krainy, jak gdyby nie miał ni kajdan, ni obowiązków, ni przeszłości i przyszłości narodowéj, myśli tylko o dogodzeniu swoim skłonnościom osobistym.

Czyliż tak z nami było? Oh nie!.... Gdy spuszczano trumnę Niemcewicza, powiedział jenerał Kniaziewicz: « Różne nasze były charaktery, różne koleje: a jednak przyjaźń nasza, jak widzicie, dotrwała do śmierci — bośmy obadwaj kochali Polskę »..... Otóż i my w mnogiéj naszéj rzeszy akademickiéj, mieliśmy rozliczne rodzaje i odcienia charakterów, ale żeśmy składali ścisłą jedność, żeśmy byli bracią, to nie było ani z przypadku, ani tak sobie, tylko żeśmy jak Kniaziewicz z Niemcewiczem — kochali Polskę. Unosiliśmy się czasem na skrzy-

dłach młodzieńczéj nadziei, marzyliśmy o lepszéj doli; ale to nie były zapędy egoizmu, ani zboczenia w nieokreśloną otchłań, bo za każdym krokiem, z powietrza i z pod ziemi wołał na nas głos Matki : synu, gdzie ty idziesz chcąc mnie pominąć! Pełnym wiary, nadziei i miłości, pełnym tego ognia, który sądzę że jest Chrystusowym, nie przychodziło nam na myśl, że świat tonie w pogaństwie. I nie pragnęliśmy reformować świata; pragnęliśmy tylko niepodległego bytu Ojczyzny. Któż z nas wtedy wybierał się nawracać giełdzistów i wyrobników paryzkich? Poczęliśmy dopiero wglądać w sprawy Paryża, gdy wybuchnął płomieniem lipcowym. Utopje, systemy, teorye, doktryny reformatorskie i inne, to wszystko rzeczy późniejsze, nie nasze, powojenne. Mylą się téż niektórzy, wyobrażając nas jako konspiratorów, jako systematycznych układaczy zbrojnego ruchu. Nie, powstania nie gotowaliśmy, nie wiedzieliśmy nawet że się gotowało; ale znalazło nas gotowych — do poświęcenia się, do cierpienia. Może to za mało; kto zrobi więcéj i lepiéj, będzie miał prawo patrzeć na to z góry... Taki był stan wewnętrznych usposobień młodzieży uniwersyteckiéj. Co przepełniało dusze, co wzdymało jéj piersi, to wylewało się w pieśniach, któremi — jak powiada p. Kraszewski — brzmiały okolice Wilna. Sosny Antokola i Zakretu, gaiki Popław, kapliczki Kalwaryi, możeby mi jeszcze przypomniały ich nótę; w « Metamorfozach » nie słychać najmniejszego ich echa — chyba jedno z przedrzeźnieniem.

A wszakże nie żądałbym więcéj. Czy i to niepodobna? Ba! dla takiego pisarza cenzura nie jest exkuzą. Alboż nie wiadomo co znaczy pisać między liniami? Jest coś dziwnie potężnego w tém uczuciu, jakiém przejęty autor, kiedy pisze : smutek czy wesołość, wiara czy zwątpienie, nie zaległe od wyrazów płynących z jego pióra, rozciąga się po papierze, z rękopisu przechodzi na wszystkie arkusze druku, w księdze spleśniałéj siedzi

wieki jak duch zaklęty i bylebyś ją otworzył zaraz cię ogarnie. Karty «Metamorfoz» nie wszystkie jednostajną woń zioną; ale jestem pewien, że p. Kraszewski wiele powiedzieć umie nie dając się złapać za słowo. Dowodem tego, choćby naprzykład zagasły samowarek Cymbusia.

Te i tym podobne uwagi snuły mi się po głowie. Reflektując się jednak, mówiłem sam do siebie: nie przesądzajmy, zobaczymy jak się cała rzecz rozwiąże, — i nieznacznie puściłem się na domysły rozwiązania. Najciekawszą dla mnie zagadką było: jak ten wielki cios, co tylu nas odłączył od rodzin, przetnie grono łotoczkowe: którzy z nich pójdą do powstania, a którzy zostaną? Rozjechali się wprawdzie za spokojnych czasów, dwóch tylko czy trzech osiadło w Wilnie, czwarty mieszkał niedaleko: ale cóż to znaczy? Wszakże nie samo pokolenie uniwersyteckie zaskoczone w mundurach, złożyło dowód że je wypiastowała nasza *alma mater*. Z zamkniętego miasta wysypało się nas siedmiuset, a na otwartém polu było już siedemkroć tylu innych, co na lat pięć, dziesięć i piętnaście przed nami skończyli zawód naukowy. W wirze wypadków, przez trzy miesiące, spotykaliśmy codzień, to twarz ledwie zapamiętaną, to długo zapamiętane nazwisko. Poprzednicy i rowieśnicy, których dawno straciliśmy z oczu i słychu, z dalekich stron, z różnych stanowisk, zbiegli się wszyscy. Zdawało się, żeśmy na Józefatowéj dolinie zwołani trąbą Archanioła!

Niezawodnie — myśliłem sobie — znajdą się tam i koledzy z Łotoczka. Wszyscy — nie, bo to zabiłoby powieść i nie zgadzałoby się z prawdą; ale kilku, połowa, a choćby i mniéj. Któż tedy? Trudno było zgadnąć ze znajomych dotąd rysów charakteru. Mieliśmy między sobą wielu i takich Albinków i Konradów, a nawet Longinów i Baltazarów. Niepewność moja była tém większa, żem podejrzywał autora o zamiar niespodzianki

odpowiedni bardzo rodzajowi powieści, zakrawającéj na studyum psychologiczne. Mógł właśnie założyć sobie wykazanie na swych modelach, jak nieraz jedno wielkie poświęcenie się, jedno wydobycie z dna duszy zagrzebanéj iskierki, zbawiennie przeobraża człowieka... Nie zapomniałem i tu o trudnościach; ale rachowałem na p. Kraszewskiego, jak się rachuje na biegłego wodza przed niebezpieczną bitwą. Zdawało mi się nawet, że niedarmo przygotował sobie strategiczne wybiegi. Żywi mieli modlić się za umarłych, nieobecni nadesłać spisane swoje dzieje. Spodziewałem się więc napewno, że po leciech dwudziestu, nie obejdzie się bez żałobnego nabożeństwa, przy którém jakieś w obłoczek uwinięte wspomnienie poleci na mogiłę pod Szawlami lub Wolą, a potém obecni wydobędą z zanadrza parę rękopisów, tajemniczo otrzymanych gdzieś tam z dalekich krajów Zachodu czy Wschodu...

Domysły moje rozbił piorun rzeczywistości... posłaniec przyniósł pakiet numerów *Gazety*.

Chwytam arkusze jeden po drugim, i już nie czytam, ale myślą stoję na Łotoczku i patrzę wielu się zbierze. Mniéj mnie to obchodzi, że zdobywca Macedo ukazuje się w obdartym surducie i dziurawych bótach, a bibliofil Cyryl przyjeżdża w pięknéj angielskiéj karecie; liczę tylko przybywających : jeden, drugi, trzeci... i czwarty... i piąty... i szósty... Dwóch brakuje... w tém, któryś upewnia, że i ci są w mieście.

A więc... żaden nie znalazł się poza kresą, jaką pomiędzy dwiema połowami naszego żywota położył rok 1831! — I tożto w dziejach tych reprezentantów, z pomiędzy nas wybranych, mamy uznać zwierciadło naszego życia, wizerunek przygód naszych!

Serce mi się ścisnęło. Nie wiem jak tam jest duchom ludzi zmarłych, które z drugiego świata poglądają na swoje postacie przedstawiane w dramatach i w powieściach; ale żyjącemu patrzeć na obrazek życia, w którém

miał udział całym duchem, całemi piersiami, i widzieć to życie ścieśnione, zniżone, odmalowane fałszywie, to bardzo przykro...

Rzuciłem *Gazetę* z gniewem i żalem. Cóż już mogło mię interesować, jaką koleją ten wlazł w karetę, ów wdział sutannę... Podobnych historyj można napisać tyle, wiele było, jest i będzie ludzi na świecie. Jednakże, kiedym ochłonął, wzięła mię chętka przebiedz okiem drugą stronę medalu, zobaczyć co też przecie działo się z naszymi rówiennikami pozostałymi w kraju... Dzieje smutne, metamorfoza nie do zazdrości! Oprócz dwóch, którzy powychodzili na łotrów i nędzarzy, reszta wszyscy biedzili się ciągle z zadaniem życia. Nie potrzebując Polski, nie mogli zgadnąć na co i sami potrzebni. Jeden podobno tém się zbawił, że się wziął szczerze uczyć się po hebrajsku i arabsku, drugi szukał lekarstwa w podróży, inny w odosobnieniu od świata — wszyscy skończyli na spoczynku! Przy majątku, przy zdolnościach, w sile wieku, na własnéj ziemi, w położeniu kraju wymagającém tylu trosk i usiłowań obywatelskich, powymyślali sobie jakieś dziwne zadania : pracy dla pracy, literatury dla literatury i niemal modlitwy dla modlitwy.

Ponieważ zdawało mi się w studenckich spowiedziach Albina i Serapiona, widzieć jakieś założenie tendencyjne powieści, rzuciłem okiem uważniéj na ich historyą i znalazłem dość osobliwe rzeczy.

Albin zdradzony przez kochankę, z rozpaczy wyjechał za granicę, gdzie oddał się nauce sztuki gastronomicznéj konfortu. Przestawszy wierzyć w kobietę, młodość i serce, został — jak się sam wyraża — kapłanem spokoju i przyjacielem żołądka. Za powrotem do kraju, zajął się wyidealizowaniem swego mieszkania i wygód życia. A że był Sybarytą poczciwym, starał się żeby i innym koło niego było nieźle — bo przykro patrzeć na cierpienie. Przy stole zastawionym z najwymyślniejszym zbytkiem, pełnym truflów i ananasów, opowiadając ko-

legom swoją podróż, tak maluje obce kraje : «Przebywszy granicę, czujesz zaraz żeś porzucił spokojną dziedzinę historyi, a wszedł w świat czynu... u nas wszystko żyje przeszłością, tam wszystkiém jest przyszłość. Ale na cmentarzu stoją krzyże i jest coś świętego w prochach wiekowych, gdy w rynku hałastra i gawiedź, wrzawa i smród życia... Francuz, Anglik, Niemiec, Włoch, jeden mają cel żywota, jednę ideę, ojczyznę, religią, wiarę : Grosz... Obrzydliwość miałem do tego tłumu nawróconego przez Izraela na wiarę żydowską i życie żydowskie... Drugą plagą tego nieznanego nam uniwersum jest zbytek... O gdybyśmy znali i cenić umieli nasze skarby, jakby dla nas ta ułudna cywilizacya materyalna nic uroczego nie miała! U nas siły jeszcze, tam niedołężna starość... »

Nie wiem z kogo autor chciał zażartować ale żart mu się udał.

Serapion, spotykając na świecie sprawników, strapczych, lekarzy powiatowych, marszałków i hrabiów, z którymi rezygnacyą nie mógł dać rady, zdarł patent doktorski i został księdzem. Nie poszedł jednak nawracać tych pogan zachodnich, u których czyn i przyszłość jest wszystkiem, ale dostawszy parafijkę wśród lasów, bardzo gorliwie leczył potulnych chłopów na duszy i ciele. Co bardzo jest piękne, ale nie wiele sens moralny powieści tłómaczy.

Oddając memu przyjacielowi *Gazetę*, pytałem jako bieglejszego w literaturze, jaki on z tego wszystkiego mógłby wyciągnąć wniosek.

«A nie wiem; — odpowiedział — ale to teraz taka moda u naszych feletonistów, wyśmiewać *chrapliwą melodyą* Ody do młodości, a popierać ten kwietyzm konfortu, który w salonach *zwrotem religijnym* się zowie!»

Jeszcze mnie to dosyć nie oświeciło, ale i tu sięgnąłem do własnéj pamięci i własnych dziejów. I ja téż miałem swój zwrót religijny..... Klęski ojczyzny i własne

niedole nauczyły mnie szukać zbawienia w Zbawicielu i rozbudziły w duszy te uczucia wiary, które poczciwa moja matka w nią za dzieciństwa złożyła, a życie akademickie i żołnierskie tylko było przygłuszyło. Wszakże, ten mój zwrot religijny nie odwrócił mnie od Polski i zdawało mi się, że nie godzi się szukać w religii wygodnego spoczynku ale zahartowania do trudu : Łaski do czynu..... Starałem się przedewszystkiém żyć godziwie i z pracy rąk własnych, wśród Francuzów utrzymać godność polskiego imienia; siodlarz z profesyi, pamiętałem zawsze o mojém szlachectwie chrześciańskiém i polskiém. Sumienne pełnienie religijnych obowiązków nie przeszkodziło mi w danym czasie bić się w Węgrzech, pojechać na Wschód, i nie ręczę, żeby przyszła jakaś wojna mnie znowu nie widziała w szeregach, jeśli tylko zbyt długo czekać na siebie nie da : bo to już krzyżyków więcéj u mnie niż zmysłów..... Mam téż i syna zrodzonego na ziemi tułaczéj. Choć z matki francuzki, nauczył się jednak po polsku; ani siodlarstwo, ani nawet modlitwa nie przeszkodziły mi w osiągnieniu tego celu, który za święty obowiązek uważałem; w modlitwie nawet, przyznać muszę, znalazłem podnietę i ufność do téj dosyć trudnéj — bo wieczornéj pracy. Bóg pobłosławił; mój chłopczyk modli się w moim języku i umie nawet na pamięć tak dobrze *chrapliwą* Odę do młodości jak opowiadanie Sobolewskiego z Dziadów. Kończy on teraz nauki w Szkole Batyniolskiéj i mam nadzieję umieścić go potém w Szkole Wyższéj na Montparnasse. Wyjdzież on na bibliofila jak Cyryl, na doktora jak Baltazar, na literata jak Teofil? Bóg to w swéj łasce rozsądzi. Ale ufam także w Bogu, że żadnemu z tych nie będzie podobny pod względem uczucia polskiego.

Taki to był *mój* zwrot religijny... Nie śmiałbym go opowiadać w salonach, ale w *Wiadomościach Polskich*

może to się nie wyda niewłaściwém, zwłaszcza gdy z najszczerszym szacunkiem podpisuję się tylko.

N. N. były uczeń uniw. wileńs.

Siodlarz w Paryżu.

P. S. Proszę poprawić pisownią i gdzie da się, styl wygładzić.

O KSIĄŻKACH DLA LUDU.

WSTĘP.

29 stycznia 185

Od czasu jak lud u nas wszedł w rachubę polityczną, od czasu jak się nim zajmować i pisać o nim zaczęto, pojawiły się równocześnie i książki, przeznaczone ku jego pożytkowi i wykształceniu. Lecz mimo szlachetności pobudek, z jakich brano się nieraz do pisania dla ludu, mimo przejęcia się, a niekiedy nawet zdrowszego pojęcia o ważności celu, wszelkie próby na téj drodze nie stworzyły nam jeszcze książek istotnie potrzebnych i pożytecznych, a wysokiemu celowi odpowiednich. Ktoś coby chciał z dzieł takowych choćby najuboższą złożyć bibliotekę (a Towarzystwo rolnicze warszawskie ma podobno ten pożyteczny zamiar), byłby w niemałym kłopocie. Oprócz *Wiarusa*, lat temu dziesięć z takim talentem redagowanego przez księdza Prusinowskiego, oprócz *Wieczorów pod lipą*, Siemieńskiego, i kilku pism Estkowskiego, nie wiemy czy wiele więcéj znalazłoby się rzeczy, istotnie dostępnych i pożytecznych dla ludu wiejskiego u nas. Dodaćby chyba tylko można poczciwego *Pielgrzyma z Dobromila*, który jak był najpier-

wszą podobno książką ludową, tak też i dziś jeszcze należy niezawodnie do lepszych.

W ostatnich latach pojawiły się *Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego*, których autorem jest znany w literaturze p. Walery Wielogłowski. Obrazki te zyskały niemałą u publiczności naszéj wziętość. Wielu uważa ten rodzaj pisania za odpowiedni i dostępny ludowi, a przeto mogący wpłynąć nań skutecznie i zbawiennie. Nie dziwi nas bynajmniéj, że obrazki p. Wielogłowskiego znalazły rozgłos i dobre przyjęcie u wykształconych klas naszego społeczeństwa. Autor objawia wszędzie blizką znajomość ludu, posiada niezaprzeczony talent pisarski, a w talencie swym pociągającą stronę dowcipu i *humoru*. Czy jednak obrazki jego odpowiadają warunkom, jakich od książek dla ludu wymagać mamy prawo, nad tém bliżéj zastanawiać się zamierzamy.

I

Jest to wybitną cechą literatury spółczesnéj, że raczéj obserwuje z talentem, aniżeli z natchnienia tworzy. Czy wina w tém piszących, niezdolnych wznieść się nad poziom codziennego życia, czy téż społeczeństwa i jego kupiecko-przemysłowéj a próżniaczéj fizyognomii, rozbiór tego pytania wchodzić w zakres naszego pisma nie może. Żadnéj przecież nie ulega wątpliwości, że kierunek jaki przybrała literatura na Zachodzie, że owa tak zwana szkoła *realizmu* mająca i w naszéj literaturze odbicie, pociągają za sobą i pociągnąć muszą pewien brak, pewne ujemne a często i fałszywe strony. Tworzenie ideałów, a w ogóle i idealniejszy w literaturze kierunek, chociaż się także na znajomości i obserwacyi człowieka opiera, żąda przecież przedewszystkiém od piszących, wiary w pewne świętości, a przynajmniéj

wzniosłych i szlachetnych aspiracyj, i wyzywa do wejścia w siebie, aby z lepszych i świętszych stron własnéj duszy snuć mogli ową niebieską przędzę, co pierś naszę łączy z Bogiem i ludzkością. Talent obserwacyjny inną ma genezę i inne warunki : wyzywa on raczéj piszącego do wyjścia z siebie; bo tutaj, owe pryzma moralne, przez które pisarz patrzeć winien na rzeczywistość, i które mu ją odbija w barwach świetniejszych choć nie mniéj prawdziwych, pryzma owe staje się nieledwie zbyteczném. Mieć talent dostrzegacza (to naturalnie konieczny warunek), a to co się dostrzegło oddawać z sumiennością spisującego inwentarz, taka jest podobno zwolenników owego kierunku zasada, a przynajmniéj takiéj zdają się trzymać z sumienną scisłością. Że zaś łatwiéj daleko w naturze ludzkiéj dopatrzyć stron ujemnych, że wady, przywary, nałogi, najprędzéj uderzają i czytelniejszym dla oka obserwujących wypisane są charakterem, ztąd téż wszystkie owe ujemności, małostki i kalectwa moralne najpierwsze znajdują tu miejsce. Około nich zwykle krąży i na nich się głównie opiera ten rodzaj literatury. Tam to śród najwierniejszych choć drobiazgowych rysów, rozpoznasz nieraz indywidua po prawdziwych i trafnych oznakach, ale napróżno byś szukał charakterów; bo pod nożem anatomicznym obserwacyi, nieraz istotne, wewnętrzne życie uchodzi i fizyognomia moralna człowieka znika.

Owa zdolność obserwowania nie sięgająca wyżéj i głębiéj, ów talent zręcznie tworzący typy a nie umiejący stworzyć charakterów, owa łatwość produkowania rodzajowych obrazów, a nieudolność do kompozycyi szerszego stylu uderzyć musi niejednego, co czyta ostatnie nasze powieści, a mianowicie te, które szlachecką przeszłość narodu odsłaniają i malują. W ślad za mistrzami owéj szkoły, którzy nam postawili piękne, wzniosłe i plastyczne postacie,pojawili się zręczni naśladowcy, a potém mniéj zręczni naśladowcy naśladow-

ców, co nie mając daru odszukania cnót i zrozumienia ducha, z wad i przywar cnoty tworzą, a brak ducha zastąpić usiłują wiernie odmalowanym strojem i sumiennością podrzędnych przyborów. To téż za dostojnemi postaciami jakie ów polonez szlachecki w literaturze naszéj rozpoczęły, przesuwa się teraz szary koniec, pełen zgiełkliwych sejmikowiczów, rubasznych maniaków, pustych świegotarzy, do bijatyki skorych, a skorszych do kielicha, i sunie się jeszcze wciąż ten prawdziwie *nieskończony* przez różne gawędy i powieści nasze. Dziś wyczerpują się już do szczętu kopalnie, wysuszają źródła, co dostarczały wątku do owéj szlacheckiéj epopei: epopei zaczynającéj się jakby hymnem do N. Panny w pierwszéj księdze Pana Tadeusza, a która teraz zstępuje do prostéj powieści i jeszcze prostszéj nieraz gawędy. Dziś, z saméj potrzeby znalezienia nowych źródeł, jeźli nie z potrzeby i wymagań czasu, zwrócą się piszący, a nawet już zwracają do innych klas społeczeństwa i trafią do ludu, który im dostarczyć może świeżych a bogatych żywiołów. Czy pisarze nasi na ten świat, dla literatury prawie nowy i świeży, ze świeżém zechcą i potrafią patrzeć natchnieniem, czy wprowadzając w literaturę owe, jak się to mówi, ludowe żywioły, zdołają zapomnieć złych nawyknień, z jakiemi powieści i gawędy szlacheckie nas oswoiły, to odgadnąć trudno. Wiem tylko, że dziś, kiedy kwestya włościańska jest kwestyą żywotną, kiedy od stosunków jakie chłop nasz względem starszéj swéj braci zajmie i zachowa, tak wiele w przyszłości zależy, niemało także obchodzić nas powinno, w jaki sposób i literatura sobie chłopa przyswoi, jakie mu w utworach swych nada piętno, a nadewszystko jakiego rodzaju ksiażki dla ludu pisać się będą — i rzecz ta przestaje dla nas być tylko kwestyą literatury i sztuki, a przybiera moralną wagę i znaczenie publiczne.

II

Że po tém małém, a myślimy potrzebném zboczeniu wrócim do p. Wielogłowskiego (1), to czytając jego *Obrazki z obyczajów ludu*, trudno jest właściwie odgadnąć, jakich czytelników autor głównie miał na celu. Jeśli klasy wykształcone : to niesłusznie, że im chłopa w zbyt odstręczających barwach ukazuje, które nie mogą dlań wywołać najprostszéj sympatyi, jaką pisarz tego rodzaju budzić przecież powinien. Jeśli obrazki te pisane są dla ludu, to w takim razie zalety pisarza na zawadzie stanęły nauczycielowi i moraliście : bo owe sprężyny konieczne, któremi autor wciąż z taką zręcznością włada i porusza, niezrozumiałe i niepoznane przez wiejskich czytelników, psują i zniżają ton, w jakimby się dla ludu pisać powinno. Umieszcza wprawdzie p. Wielogłowski po każdym obrazku nauki : nauki wyborne, dostępne i praktyczne — ale tu, jak w bajce, sens moralny o tyle robi wrażenie i zostaje w umyśle, o ile sama bajka trafnie była pomyślaną i przedstawioną.

Jeśli krytyka zarzucała nieraz pisarzom przedstawiającym wyższe klasy społeczeństwa, że ze zbyteczną przesadą malują jego wady i zepsucie, to ten sam zarzut z równą a może i większą jeszcze trafnością, zrobić wolno pisarzowi, który o ludzie wiejskim i dla ludu pisząc, potrafił, jak p. Wielogłowski, nieledwie wszystkie siedm

(1) Mówimy o p. Wielogłowskim, głównie jako o piszącym dla ludu, nie zaś jako o autorze w ogóle, i te jego prace mamy tutaj na względzie, które sam uważać się zdaje, jako przeznaczone dla wiejskich czytelników. Pomijamy więc inne obrazy i powieści p. Wielogłowskiego, choć niektóre z tych ostatnich noszą cechę niemałego talentu, jak np. *Jarmark w Dąbrowéj*, któremu zdaje się tylko brakować scenicznego układu, aby został wyborną, a nawet nauczającą komedyą.

grzechów głównych wcielić w typy, jakie przed oczy nasze przesuwa. Wiemy dobrze, że żadna klasa społeczeństwa wyłącznego na doskonałość przywileju nie posiada; bynajmniéj nie jesteśmy z liczby tych, co u ludu gniazdo cnót najwznioślejszych widzą; zdaniem naszém nawet, cnót w właściwém tego słowa znaczeniu, bez pewnego stopnia oświaty moralnéj, nie ma i być nie może. Za umyślném idealizowaniem ludu nie jesteśmy, bo przesada to najgorszy podobno sposób służenia prawdzie... Ale znając wieś naszę, i nietylko z sielankowéj strony, wiemy, że jeśli chłop polski idealnych cnót idących w parze z oświatą nie posiada, to przedstawia on przecież dla ludzi dobréj woli, pociągające, serdeczne, a nawet głębokie strony. Idealnym nie jest, ale jest sympatycznym : takim więc powinienby się ukazywać w literaturze; lecz takim nie znaleźliśmy go w żadnym zgoła, powtarzamy w żadnym obrazku p. Wielogłowskiego.

Z tym zbytnim realizmem, łączy nasz pisarz z innéj znowu strony idealizm nierównie gorszy, a nawet gorszący. Autor tak zręcznie, a często tak wiernie chwytający mniéj korzystne rysy ludu wiejskiego, w jednym przecież razie niewiernie nam oddaje rzeczywistość. Żandarmy, których nie rzadko w obrazki swoje wprowadza, są nader grzeczni, a nawet uczuciem moralności przejęci... Kto zna tę instytucyą w Galicyi, ten przyzna że portrety nie są podobne do oryginałów. Dobrze jest zapewne występek w czarnych malować kolorach, a cnocie przyjemne dawać kształty ; ale nie dobrze jest, pisząc dla chłopów galicyjskich, ubierać sprawiedliwość w mundur austryackiego żandarma. Te częste interwencye żandarmeryi dają obrazkom p. Wielogłowskiego nieledwie charakter szeregu spraw kryminalnych. Wieś, aką autor opisuje, przedstawia nam chłopów zawsze jako urwiszów, pijaków, złodziei; sami tylko żandarmy w tych opisach wyglądają korzystnie, gdy jakby repre-

zentowali cnotę i szlachetność. Przypominają się tu mimowoli owe romanse i sztuki francuzkie, gdzie mężowie zawsze ohydni i niegodziwi, a kochankowie zawsze piękni i szlachetni — przecież nie sądzimy, aby żandarmy austryackie byli kochankami p. Wielogłowskiego.

Podniesiemy tu jeszcze jeden, choć może drobny szczegół. Właściciel wsi, w jednym z obrazków, odprawia swoję klucznicę za różne kradzieże, jakich się dopuściła : przy odprawie daje jéj świadectwo, że służąc u niego «trzymała się wiernie zasad St.-Simona (!) Fouriera (!) i Proudhona (!)» Rozumiemy najzupełniéj, że obywatel polski nie podziela zasad reformatorów zachodnich, i że w obejściu z ludem woli się trzymać zasad katechizmu; ale nie widzimy potrzeby, aby owych pisarzy robić patronami wszystkich złodziejów w Polsce, i szukać w marzeniach utopistów przyczyny tego, co tak realną niestety ma podstawę w ludzkiéj naturze i ciemnocie naszego ludu. Pamiętać zresztą należy i na to, że nie Fourier i St Simon. ale Breindle i Chomińscy u nas tworzą Szelów, i nie z książek komunistów francuzkich, ale z ust *finanzwachów* austryackich, uczą się nasi chłopi nienawidzieć swych panów. Autor nie może takich rzeczy powiedzieć, prawda; ale na cóż szukać zarodów wszelkiego złego nie w nas i nie koło nas, tylko koniecznie na Zachodzie? Jest to równie upowszechniona jak niesłuszna mania, która wiele umysłów w Polsce zaciemnia i z wielu wad poprawić się przeszkadza. Choćby nas p. Wielogłowski miał policzyć do *humanitarzy*, dla których nieprzeparty, a do pewnego stopnia słuszny wstręt czuje, to musimy mu powiedzieć, że jego oda do Bata (1), dowcipna zresztą trawestacya znanego wiersza (Rószczką dziateczki Duch Święty bić radzi, i t. d.) przykre na nas robi wrażenie, nawet obu-

(1) *Obrazki z domownictwa wiejskiego*, str. 80.

rza. Bat ma jeszcze w Polsce liczniejszych zwolenników, jakby się zdawać mogło. Jedni popierają ten system edukacyjny przez poszanowanie dla ekonomskich tradycyj, nie rozumiejąc, aby inaczéj być mogło; są to klasycy *batologii*. Inni, stanowiący niejako romantyczną szkołę, twierdzą, że wypada chłopa karcić po ojcowsku, z wszelką dla niego miłością. Musimy oddać sprawiedliwość p. Wielogłowskiemu, że należy do romantyków w téj mierze. Ile razy zdarzyło nam się mówić ze zwolennikami tak jednéj jak drugiéj szkoły, zdawało nam się, że ci panowie nie przyznają prawa dyskusyi na tém polu nikomu, co sam gospodarstwa wiejskiego nie posiada, — tak samo, jak niegdyś jeden z uczonych naszych, nie chciał przypuścić do polemiki z sobą ludzi, dyplomem doktora filozofii nie opatrzonych. Dyplomu na właścicielstwo w Polsce nie posiadamy; nie wdając się przeto w rozprawę przechodzącą zakres tego pisma, jednéj sobie pozwalamy uwagi. Jeśli istotnie ów bat tak zbawienny wpływ wywiera, jeśli jest doprawdy tak skutecznym i moralizującym środkiem, to chłop nasz powinienby być ideałem wszelkiéj doskonałości: bo zaprawdę bata mu nie szczędzono. A przecież, *Obrazki* p, Wielogłowskiego, jeśli są wierne, dowodzą, że bardzo od tego ideału daleki...

III

Nie zaprzeczamy, aby w *Obrazkach* nie było często wiernych i prawdziwych rysów, lecz są to raczéj dowcipnie zestawione fotografie wszystkich ujemnych stron ludu wiejskiego; a jak w odbiciu fotograficzném, przy całéj wierności wychodzą nie raz formy zgrubiałe a nawet potworne, przez sam brak perspektywy, którą tylko czucie artysty dać może, tak téż przy owych foto-

grafiach literackich, brak perspektywy moralnéj, niczém nie dającéj się zastąpić, przemienia nieraz portrety w karykatury. P. Wielogłowski posiada zresztą w wysokim stopniu talent wielom u nas właściwy, talent *podrzeźniania*. Wyśmienicie on chłopa udaje, przyswoił sobie jego język, nieledwie jego ruchy, zna wszystkie wady i nałogi; niektóre sceny w jego dziełkach, są doskonałémi obrazkami flamandzkiéj szkoły. To téż, gdy się przyjrzysz owym *leniwym Bartkom*, *Kubom*, *Frankom pijanym* i wszystkim *wsiowym złodziejom*, miałbyś ochotę z Ludwikiem XIV zawołać : *otez moi donc ces magots!*

Czy chłop czytający te Obrazki pozna tam siebie, a poznawszy czy się poprawi i zbuduje, to dla nas jest dosyć wątpliwém; ale to wiemy z pewnością, że szlachta wiejska czytając je, doskonale się uśmieje i ubawi. Czyż o to chodziło autorowi, i czyż mu o to chodzić powinno?

Kto zna wieś polską, komu utkwiły w pamięci owe postacie w dzień skwarny schylone nad zagonem, kto pamięta owe główki dziecięce o lnianych włosach, czepiające się po wiejskich płotach i dzikim wzrokiem patrzące na przechodnia, owe niedorosłe niebożęta, tulące pod płachtę szarą mało co młodsze niemowlę, komu przy tych wiejskich wspomnieniach staje na uwadze, z jakiéj to poczęści winy, tak mało osładzaną była ta tak dawno trwająca niedola, i z jakiéj przyczyny dziś, téj niedoli i niewoli, nie my u siebie, ale obcy u nas zaradzać i koniec położyć usiłują — a usiłują Bóg wie w jakim celu i na czyj pożytek : komu to wszystko na raz w myśli się uprzytomni, ten zaprawdę śmiać się nad chłopem polskim nie ma żadnéj ochoty ! Bo ten chłop, któregośmy do cnoty podnieść nie umieli, a którego obcy umieją zniżyć do zbrodni, ten chłop budzi spółczucie, gdy jest ciemny, a zgrozę, gdy ma ręce krwią szlachecką zbroczone — ale śmiesznym nie jest on nigdy... Nie uczmy się śmiać z chłopa polskiego!

Mimo wad wszystkich, jakie spostrzedz nie trudno, mimo słusznie nieraz zarzuconego lenistwa, chłop ten pracuje ciężko — chłop ten jest biedny. Praca, jeśli nie zawsze uświęca, to zawsze podnosi człowieka, a bieda ma swoję powagę. To téż chłop polski śmiesznym nie jest, i śmiesznym być nie powinien dla ludzi chrześciańskich i czujących potrzeby kraju.

Zwracamy na tę stronę uwagę tém mocniéj, że takowe niby wierne oddawanie i udawanie chłopa, gotowe stworzyć szkołę w naszéj literaturze. Autor Obrazków gotów znaleźć naśladowców którzy obyczajem wszystkich *podrzeźniaczy*, przesadzą jeszcze ujemne strony tego zkądinąd utalentowanego pisarza — pisarza, który nam przynajmniéj przedstawia się nie tyle jako autor mający wieśniaczych czytelników na celu, ile raczéj jako znękany kłopotami wiejskiémi gospodarz, opisujący z ironią i humorem wszystkie wady ludu, z jakiemi spotkać się musi mieszkający na wsi obywatel. Te kłopoty codzienne z nieuctwem i nałogami chłopa, zdaje się jak gdyby wyziębiły w sercu pisarza, nie powiemy wszelką dla ludności rolniczéj miłość (p. Wielogłowski nie lubi tego słowa, nadużywanego zresztą nieraz), ale najprostsze nawet spółczucie, i usposobiły go do ironii i satyry. Choć niezawsze, możnaby o tym pisarzu powiedzieć, że wziął sobie za pisma

..... dewizę,
Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę.

A przecież, wcale mu nie brak zdolności odszukania lepszych stron w naturze ludzkiéj. Ten sam autor, opisując szlacheckie domowe tradycye w *Domu mojéj babki*, znajduje i rysy piękne, i dowcip łagodny, i typy sympatyczne a prawdziwe.

Jeśli p. Wielogłowski z równą miłością zechce nam kiedy lud nasz przedstawić, jeśli mu więcéj chodzić będzie o pożytek i naukę téj klasy, jak o zabawę i poklask

bezmyślnych czytelników, to może powiększyć tak szczupłą dziś liczbę książek prawdziwie ludowych. Posiada on warunki ku temu potrzebne: blizką znajomość włościan, talent pisarski i religijne uczucie.

Jedna jeszcze ogólna uwaga. Jezyk, jakim się piszą książki dla ludu przeznaczone, nie jest bynajmniéj rzeczą obojętną. Nie widzimy dobréj przyczyny, czemu pisząc dla chłopa, mamy koniecznie jego język przedrzeźniać. Jak na inném polu, tak i tutaj, słuszniéj jest lud do siebie podnosić, aniżeli do niego się zniżać. Niech pisma, takowe moralne podniesienie mające na celu, będą dla ludu pod pewnym względem i szkołą języka. Pisząc dobrą, ale dostępną polszczyzną, bez przesadzonych prowincyonalizmów, bez zwrotów czysto-miejscowych a niezawsze w innéj prowincyi zrozumiałych, będą mogli ludowi pisarze być czytanymi przez Krakowianów i Wielkopolan, przez Mazurów, a nawet, co daj Boże, przez Rusinów. Wzgląd to zaprawdę niemały i na całą zasługujący uwagę.

IV

Przeczytawszy Obrazki p. Wielogłowskiego, jedno nam się nastręczyło pytanie, i jedno smutne zwątpienie. Czyż, mówiliśmy sobie z boleścią, między apoteozą a wyszydzeniem tego ludu, nie ma pośredniéj w literaturze drogi; czyż zawsze ci, co zdaleka na chłopa patrzą, kłaść mu na skroń będą, dotąd przynajmniéj niezasłużoną koronę, a ci co go bliżéj znają, wyszydzać go będą i podrzeźniać; czyż między przesadną i ckliwą sielanką a dowcipnym rodzajowym obrazkiem, nie utworzy się forma, coby nam chłopa przedstawiła z całą prawdą ale i z miłością, dla jego nauki, dla pożytku Ojczyzny?...

Na to przykre pytanie znaleźliśmy zaspakajającą odpowiedź, przeczytawszy trzy pierwsze tomy *Czytelni Niedzielnéj*, wychodzącéj w Warszawie. Poznaliśmy tam pisarza, zasługującego ze wszech miar na uwagę, którego możemy obok p. Wielogłowskiego postawić i z nim porównać. Pisarzem tym jest p. Gregorowicz.

Sąd nasz o nim, uprzedzamy, nie może być kompletny; nietylko bowiem nieznane nam są wszystkie dzieła tego utalentowanego pisarza, ale całe zdanie o nim, opieramy tylko na powiastkach i opowiadaniach, publikowanych przez *Czytelnią Niedzielną*. Jest to zapewnie za mało, aby dać sumienny i całkowity pogląd na talent autora, ale wystarcza, aby ocenić niektóre przynajmniéj jego zalety, a zwłaszcza rodzaj i kierunek.

P. Gregorowicz nie jest takim jakim jak p. Wielogłowski humorystą, ale wyższym jest od niego moralistą. Dowcipem, na którym mu zresztą nie zbywa, posługuje się w odmienny od autora *Obrazków* sposób: nie obserwuje on i nie podsłuchuje chłopa, aby go podrzeźniać; lecz posiada w wysokim stopniu dar sympatycznego pojęcia natury ludu wiejskiego w jéj całości. Wady, nałogi i upadki chłopa doskonale są temu pisarzowi znajome, przecież myśl jego wciąż nad nie podniesiona, wynajduje światłe strony, któremiby ciemne złagodzić można. Stara się on zniżyć do pojęć chłopa, aby go zaraz do swoich podnieść. Tak czyni matka chyląc się ku niedorosłemu dziecięciu, aby je wziąść w ramiona i przycisnąć do piersi. W tych skromnych *opowiadaniach* i *powiastkach* widać przecie człowieka wytrawnego i myślącego, który sobie sprawę zdaje ze swojéj znajomości ludu; bo posiada p. Gregorowicz tę znajomość, równą jeśli nie głębszą jak autor *Obrazków*, a przewyższa tego ostatniego *miłością:* słowa zaś tego używamy w znaczeniu chrześciańskiém, tak jak to p. Wielogłowski lubi. Chłop Gregorowicza nie jest to wcale ów sielankowy, sentymentalnie cnotliwy *kmiotek*, nie istniejący w rze-

czywistości, a przeto ckliwy w powiastce; nie jest to także papierowa figurka, wykrojona podług jakiejś humanitarnéj utopii: we wsi, którą nam autor przedstawia, znajduje się także niejeden ladaco, nie jeden *zbereźnik*, jak mówią na Mazowszu. W jedném opowiadaniu *np.* gromada z ciemnych i głupich złożona, ma pewną niesłuszną na dziedzica podejrzliwość, zmawia się przeciw niemu, nieledwie buntuje. Przecież autor w tym razie nie wprowadził do swéj powiastki policyi, aby nawracała lub ukarała zbłąkanych, i Opatrzności nie ubrał dziwacznie w mundur żandarma: wolał on stworzyć miłą i dobrze pomyślaną postać starego i mądrego gospodarza, który gromadzie całą rzecz tłómaczy, przekonywa ją i z dziedzicem godzi. Ten mądry starzec, przeprowadzony przez wszystkie opowiadania p. Gregorowicza, jest szczęśliwie uchwyconą kreacyą i z naturą wiejskich obyczajów zgodną. Bywają bowiem po wsiach naszych tacy siwowłosi mędrcy w siermięgach, do których inni po radę chodzą, chociaż zapewne żaden nie posiada tego światła i rozsądku, z jakim Janek Goździak naucza marusicką gromadę, już to rady jéj dając moralne i gospodarcze, już to nawet tłómacząc niektóre zjawiska przyrody.

Zresztą, pod względem kunsztu i artystycznego obmyślenia, nie zamierzamy tu żadnych uwag robić p. Gregorowiczowi; ani jemu o to nie chodzi, ani nam chodzić nie powinno. Jeśli są jakie niedokładności, to widać przecież, że gdyby się autor starał o piękne i zręczne wypracowanie, mógłby dorównać najbieglejszym. Lecz szczęściem, nie zależy mu na tém, aby zająć miejsce między dygnitarzami feletonu; woli on skromne kolumny *Czytelni Niedzielnéj*, z których przemawia na pożytek i rozrywkę klasy rzemieślniczéj i ludu wiejskiego. A przecież, i wykształceńsza publiczność czytać go będzie z przyjemnością. Wieś nasza tak się rzewnie tam przypomina, figury tak żywe i łagodnym oświetlone

dowcipem, krajobrazy, ładnie kreślone, kościół, chaty i pola tak znajome — a wiejską drogą przesuwa się czasem i wojak o szczudle, inne przypominający czasy... wszędzie baczność zwrócona na utrzymanie poczciwego stosunku między chłopem a dworem i całą rodziną dziedzica, jak *np.* w ślicznem opowiadaniu Oryla i jego dziecinnéj przyjaźni z paniczem. Te wszystkie niezaprzeczone zalety, pozwalają nam mniemać, że posiadamy w p. Gregorowiczu najzdolniejszego i najlepiéj powołaniu swemu odpowiadającego pisarza: nie wahamy się nawet przypuścić, że znajomość innych prac tego autora utwierdziłaby nas tylko w tym sądzie.

Powiastki p. Gregorowicza są ozdobą *Czytelni Niedzielnéj*, a sama Czytelnia najlepszém pismem, jakie w tym rodzaju u nas wychodzi. Publikacya ta ma wprawdzie głównie miejską rzemieślniczą klasę na celu, lecz dostępną jest, a jak się dowiadujemy czytaną i przez lud wiejski. Chrześciańskiemu sercu zacnéj redaktorki zapewnie przypisać należy wziętość tego pisma; znajdują się między współpracownikami i głośniejsze w literaturze imiona: z radością spotkaliśmy w jednym numerze artykuł p. Kraszewskiego. Są w tém piśmie religijne i zdrowo wykładane zasady, są dostępnie tłómaczone początki nauk niektórych, są wreszcie historyczne i narodowe wspomnienia. Wprawdzie więcéj życzyćby sobie można, ale więcéj wymagać niepodobna, zważywszy gdzie i pod jakiémi warunkami to pismo wychodzi. Z radością widzimy, że kobiety biorą w niém udział, że niektóre z talentem i zrozumieniem wywiązują się z tego niezupełnie łatwego zadania. Zawsze nam się zdawało, że rola kobiet na tém polu kształcenia ludu i zbawiennego nań wpływu, może być ważną, a dla nich właściwą. Umieją one dać słowom swoim namaszczenie religijne, bez wpadania w czczy i oziębiający formalizm; potrafią także mówić o niedoli ludu, bez przesady niektórym reformatorom właściwéj. Wszak

książka tak wymownie niewolę czarnych opisująca, która tyle spółczucia na obu półkulach wywołała, z kobiecego wypłynęła pióra! W każdym razie, do kobiet należy, jeśli nie pisać (bo to rzecz powołania) to przynajmniéj rozpowszechnić między ludem zdrowe i pożyteczne pisma jakie dla niego wychodzą : bo zyskać ten lud dla chrześciańskich zasad i oświaty, jest celem wzniosłym i godnym kochających kraj swój Polek.

MOWA CESARZA NAPOLEONA

I ODRODZENIE RUMANII.

12 lutego.

Od czasu pokoju paryzkiego, sprawy polityki europejskiéj toczyły się kołem, które zdaleka omijało Polskę, jéj prawa i cierpienia. Przeto i my nie zatrudnialiśmy niemi czytelników, pragnąc zwrócić raczéj ich myśli, uczucia i działania do naszych wewnętrznych zadań i stosunków, które jak pod każdym względem wymagają ulepszenia, tak téż prawie pod każdym ulepszyć się dadzą, pomimo przeszkody rozliczne. Lecz wobec mowy Napoleona III, w chwili gdy echo jéj przechodzi i budzi świat cały, sądzimy że i nam nie godziłoby się zachować milczenia. Prąd opinij europejskich, odważnie przez cesarza Francuzów zwracany, potrąca już, jeźli jeszcze nie nasze prawa, to nasze nadzieje.

Są ludzie, którzy w téj mowie szukają tylko odpowiedzi na pytanie : wojna czy pokój? Nam się zdaje, że słowa Cesarza rozstrzygają zadanie wyższe, to jest, że interesem jest Francyi bronić praw żyjących w świecie cywilizowanym; że pogwałcenie sprawiedliwości gdziebądź, ubliża jéj honorowi; że jedném słowem, polityka

jéj rządu zgodną być powinna z przeznaczeniem arcychrześciańskiego narodu. Otwierając pełne chwały a tak właściwe dla Francyi pole działania, Napoleon III nie lęka się aby mu naród odmówił poparcia. Bo bez potrzeby nie zaczepia, a w potrzebie się nie zalęknie; bo rządy jego, obok dzielności, słuszną okazują wyrozumiałość; bo do najwyższéj wyniesiony odpowiedzialności, stał się niedostępnym dla osobistych widoków lub nizkich pobudek. Nie myśląc, czy go za to od żyjących spotkają oklaski czyli téż potwarze, nie waha się wyznać, że Bóg, sumienie i potomność są dla niego pierwszémi bodźcami do czynu, i ostatnimi sędziami!

Jeszcze podobno żaden w historyi rząd w ten sposób nie odezwał się. W ten sposób odzywała się wprawdzie opozycya, lecz przyszedłszy do władzy, prędko bardzo zmieniała i ton i rodzaj swéj mowy. Słowa pierwszego Napoleona tchnęły zawsze podobną siłą i dzielnością, ale téj zacności i szczytnéj bezinteresowności nie miały prawie nigdy. Nie miały także tego umiarkowania. I w mowie, i w broszurze, która ją dwoma dniami poprzedziła, Napoleon III na pierwszym stawia względzie: przymierze z Anglią. Aby je utrzymać, przyznaje, że pomijał, nawet tłumił, i jątrzące przeszłości wspomnienia i własnego narodu przesądy. W przymierzu tém widzi warunek tryumfu cywilizacyi, warunek trwałego dla Chrześciaństwa pokoju. Przerażonym na widok orłów cesarskich ludom i mocarzom Europy, w sojuszu tym daje rękojmię, że Francya nie szuka już dla siebie nowych zdobyczy, tylko dla światła i dla sprawiedliwości. A opierając na tak przeważnych względach przyjaźń swoję z Anglią, stosunek z innemi mocarstwami czyni zawisłym od powolności, jakiéj od nich doznaje. «Od zawarcia pokoju, mówi Napoleon, stosunki moje z cesarzem Rossyi przybrały charakter najotwartszej serdeczności, *ponieważ* byliśmy jednego zdania we wszystkich sprawach w sporze będących.» Jeśli w tych słowach

jest wyznanie serdeczności, to zaprawdę bardzo ograniczonéj, bardzo warunkowéj, która w zmienionych okolicznościach zerwać się może, zerwać się musi.

Na kilka godzin przed otwarciem Ciała prawodawczego przyszła do Paryża depesza o elekcyi na Wołoszczyznie dokonanéj. Wołosi podjęli śmiałą, da Bóg szczęśliwą myśl głosowania na tego samego co Mołdawia księcia. Stało się to wbrew uchwale konferencyi. Lecz o uchwale téj Cesarz, pod wrażeniem odebranych z Bukarestu wiadomości, wyrzekł w swéj mowie, że odmówiła zaspokojenia najsprawiedliwszym żądaniom Rumanów. Wiadomo, że dopóki wewnętrzne zaburzenia nie zakłócą spokoju księstw, żadne z mocarstw sąsiednich, choćby też wzbraniało się uznać obranego księcia, nie będzie mogło zrzucić go przemocą; ale czekać musi aż się na nowo zbierze konferencya i zdecyduje co przedsięwziąść przeciw jednogłośnemu obu księstw postanowieniu. Wiele zatém miesięcy może upłynąć, przez które Rumani pod jednym zostawać będą książęciem. A tak, dzięki radom, które prawdopodobnie z wysokiego dochodziły ich miejsca i zagrzały do tak szczytnego patryotyzmu, dzięki poparciu, które w uroczystéj chwili zostało im jakby już przyrzeczone, Rumani, byleby tylko wytrwali w zacnych uczuciach i zgodzie, dokonają, nawet wbrew woli Europy, zjednoczenia swéj ojczyzny, i odrodzą się w obec świata narodem, który praw swoich stale i poważnie umie dochodzić.

Ten niespodziany widok powstającego z długiéj niedoli narodu, te niesłyszane dotąd słowa, które z tronu Francyi wyrzeczone, nową rzecby można, erę polityczną całemu światu zapowiadają, miałyżby między nami tylko przeminąć bez odgłosu? Miałyżby słowa cesarskie nie dodać otuchy tym nawet z pomiędzy nas, którzy wtedy dopiéro poczuwają się do pewnych dla kraju obowiązków, kiedy im zblizka jakaś zaświeci nadzieja? Stawiając program chrześciańskiéj polityki, cesarz Na-

poleon zapowiedział tém samém, że co niegdyś Izby francuzkie corocznie choć nieśmiało i bezsilnie głosiły, to w swoim czasie popartém będzie całą potęgą Francyi. Bo Francya widzi w tém własny interes i skarbi sobie przyjaźń z Anglią, aby w miarę nadarzających się okoliczności, wszędzie uciśnionym dopomódz, wszędzie gwałt ograniczyć, jeżeli nie powstrzymać od razu. Więc każdy z pognębionych ma przed sobą drogę, krótszą lub dalszą, ale wyraźną. Tylko pamiętać należy, że tym jedynie dopomódz można i warto, co żyją, co przeciwnościom ani się bezdusznie nie poddają, ani wszystkiego nie stawiają od razu na los niepewny. Czekać możemy i powinniśmy, ale z oczyma zwróconemi w gwiazdę, która jest metą naszego żywota, z świętą troską a nieustanném wysileniem, aby Polskę i jéj prawa w każdym, o ile się da, na ziemi naszéj stosunku i przez codzienne trudności przeprowadzać, dopóki Bóg miłosierny nie dozwoli nam upomniéć się o nie z orężem w ręku, razem z hufcami Zachodu.

KATECHIZM NIE-RYCERSKI.

WSTĘP.

19 lutego.

Nie mamy zwyczaju trudzić uwagi czytelników rozbiorami doktryn i stronnictw, dzielących nasze wychodźtwo. Baczni przedewszystkiém na wszelkie objawy życia i obywatelstwa w kraju samym, sądzimy te objawy ze stanowiska narodowych potrzeb i polskiego sumienia, a z tułaczéj naszéj rodziny donosimy to tylko, co rodaków budować i podnosić, a ludzi dobréj woli w dobrych zasadach i zamiarach utwierdzać jest w stanie. Mimo to, nie możemy przepuścić w milczeniu mowy, którą p. Ludwik Mierosławski wystosował *do młodego pokolenia*, i témi dniami drukiem ogłosił. Drażliwi i surowi na najlżejsze uchybienia i szwankowania myśli narodowéj w kraju, pilnie śledzący wszelkich zboczeń patryotyzmu na najodlegiejszych punktach ojczystego widokręgu, nie zamkniemy oczu na zdrożności objawiające się w naszém najbliższém sąsiedztwie, w naszém własném łonie, i słów bluźnierczych przeciwko wszystkiemu, co nam świętém i drogiém, nie nazwiemy tylko prostémi, ba nawet wolnémi żartami. Słowa owe zresztą nie są wcale ani tak na wiatr wystrzelone, ani

ze skrzydeł odarte, jakby się to pozornie zdawać mogło nieprzezornym i tym wszystkim, którzy tak w niedorzeczności jakiegoś programu, dobrodusznie już widzą rękojmią przeciwko jego powodzeniu : a w takim razie bliższy rozbiór tego programu, wykazanie jego środków i celów, nie jest już tylko rzeczą teoretycznego obowiązku, ale praktyczną, naglącą potrzebą. Bo jeśli, według sławnego aforyzmu, milczenie ludów może czasem być nauką dla królów, to milczenie publicysty nigdy nie jest oświeceniem publiczności.

Wprawdzie, gdyby nam wolno było trochę więcéj mieć wiary w zdrowy instynkt i polityczny zmysł większego ogółu u nas, gdyby tak długie a tak bolesne nie nauczało doświadczenie, jak mało w naszym narodzie waży zimna rozwaga i hartowna cnota, a jak wiele natomiast czcza deklamacya, hałaśna hałastra i ta szlachecka fantazya, od któréj najmniéj są wolni ci, co na szlachtę wykrzykują i z niéj całopalenie robią dla «ludu»... moglibyśmy wistocie zostawić bez komentarza tę dziwną oracyą i przez krótką chwilę się nawet uśmiać z nadarzonéj krotochwili. Gdybyśmy tylko byli w stanie spuścić się zupełnie i choćby na samo już uczucie dobrego smaku, na sam już gust literacki tego pokolenia, któremu jednak Skarga i Górnicki, Mickiewicz i Mochnacki tak piękne przecież i klasyczne zostawili wzory : znajdowalibyśmy już i w tém dostateczny powód do zaspokojenia siebie i tuszylibyśmy z pewnością, że sąd literacki w ostatecznym razie wyręczy brakujący sąd polityczny. Bo w improwizacyi p. Mierosławskiego, rozkiełzaniu myśli odpowiada słów rozkiełzanie; jeśli gdzie, to tutaj człowiekiem jest styl — *stile e stiletto* — a o owocach głoszonéj nauki sądzić już można z samych kwiatów jéj retoryki. Do męki, którą nasz trybun gotuje dla polskiéj duszy i myśli, zdaje on się już zaprawiać przedwstępném męczeniem i gwałceniem tego, co téj myśli i duszy jest ciałem, i wpleciony w koło dema-

gogicznéj wymowy, język polski skrzypi i jęczy we wszystkich swych wstawach i ustawach. Pan Mierosławski prawi o *sędziwym* obowiązku, o sidłach zastawionych *pod wonią* malowanego raju i o *zmartwychwstańczéj wsteczności*, o *genezyjnym* mieczu wydobytym z *pochwy chaosu* i o «cudzołoztwie zórz borealnych z aptekarstwem paryzkiém», o «zakropie law pierworodnych chmurami przedatmosferycznéj dżumy» i o «gęśli napiętéj kiszkami ojca i braci»!!! W jedném miejscu widzimy «*pszczoły*, co lakierowanémi w dziegciu dybami wydeptują kryształowe pałace» a w innéni znowu «Bóg straszliwy, z brodą rozczochraną od *nadiru* do *zenitu*, wyrywa *raptem* swemu miecznikowi Michałowi oburącz szablę płomienistą i jedném cięciem przepłata kulę ziemską od bieguna do bieguna *szramą kordylierską* dotąd nie zeszytą»... Przez ciąg dwudziestu pięciu bitych stronnic p. Mierosławski piętrzy w ten sposób Ossy cudactwa na Peliony płaskości, sprzęga i zbija niestworzone wyrazy z potwornemi obrazami, wszędzie grzmią, huczą i syczą rodomontady *Capitana Spavento* i «Papkina Lwa Północy». W każdém zdrowém, powtarzamy, społeczeństwie, podobna mowa by wystarczała do odsądzenia mówcy od wszelkiego narodowego znaczenia i politycznego wpływu. Bo tak nie przemawia ani żaden mąż publiczny, ani żaden wódz zastępów, a jeszcze mniéj ten Godfryd krzyżowiec, któremu w końcu (jeśli dobrze rozumiemy) p. Mierosławski czyni ten niezasłużony i niezamarzony nigdy zaszczyt, że go do siebie raczy porównywać. Takiego języka téż nie używa ni trybun żaden ludu, ani na seryo demagog: ni Maryusz, ni Saint-Just, ani nawet Mazzini. Tak tylko przemawiać przystałoby niedoszłemu belletryście lub zaułkowemu retorowi...

Ale bolem to właśnie bolów naszego fatalnego położenia, że podobne retory na wodzów partyj wychodzą, czy téż za takich uchodzą... Konieczność poważnego

traktowania i dyskutowania rojeń i roszczeń wcale niepoważnych, jest straszną klątwą naszych czasów — czasów jak mówi Hamlet, «dychawicznych i tucznych występkiem, w których cnota sama musi żebrać u zbrodni przebaczenia, och, musi się nawet czołgać u nóg jéj i błagać, by tylko uzyskać wolność czynienia dobrego!»...
Pan Mierosławski jest dotąd uznaną — acz nie zawsze przyznaną, i dla własnych nawet zwolenników nieraz meduzyjną—głową czynnego, ruchliwego stronnictwa, a głos jego ostatni odbił się echem entuzyazmu, zachwytu w pewnéj części téj dorastającéj generacyi, w któréj ręku złożone przecież losy naszéj przyszłości!...
To wszystko może być wielkiém upokorzeniem dla naszéj narodowéj dumy, ale powinno téż być i niemałém upomnieniem dla naszéj obywatelskiéj czujności. Przypatrzmy się więc uważniéj improwizowanemu dziwadłu, bo wielu w niém widzi doprawdy dziwy i cuda, i niechaj nas śmiech nie rozbroi, bo są ludzie, co to wszystko wcale nie tak śmieszném znajdują. Kiedy pruchno się świeci a próżność się święci, nie czas wtedy dobréj sprawie próżnować, spuszczając się na świętość swych życzeń i chęci, i gdy na wyżynach narodowego horyzontu stoją wiatraki, to rozprawa z niemi nie jest, jako żywo, poczynaniem Donkiszota.

I

Nic rzewniejszego, lecz nic téż bardziéj niepokojącego dla każdéj uczciwéj duszy, nad myśl o obecném naszém *młodém pokoleniu*. Zrodzone po ostatnim wielkim czynie naszych narodowych wysileń, gdy i ostatni cień jakiegoś organicznego politycznego bytu był zaginął, nie widziało ono żadnéj jutrzenki swobody, żadnego promyka wolności i wzrosło śród samych mogił i więzień.

Pierwsze, a najsilniejsze to zazwyczaj, wrażenia młodocianego wieku, odebrała ta generacya od społeczeństwa odurzonego wielką klęską, osłupiałego wśród nawału nieszczęść, niemą tylko rozpaczą wymownego; a wszystko co potém pod jéj się oczyma w kształcie wypadków przesuwało, było tylko ciągłem pasmem krwawych zawodów, którym brakowało nawet wzniosłości i sławy, ostatniéj pociechy zwyciężonych. W szkołach następnie, w cyrcejskich mianowicie norach rossyjskiego odczłowieczania, słyszała o narodzie własnym, o jego dziejach i losach, same słowa lekceważenia i wzgardy, a caropedya Mikołaja dokładała wszelkich usilności, by w niéj przygłuszyć wszystkie instynkta szlachetności, cnoty, godności, a rozbudzić zmysłowe pociągi, lub w najlepszym razie tę wyobraźnią, która zmysłową tylko, jeśli tak rzec można, jest stroną ducha... A jednak, mimo to wszystko, młodzież nasza w wielkiéj części zachowała uczucie narodowe, odrazę do wrogów, pragnienie wolności!... Zasługa to jéj wielka, zaszczytna; łaska to także i miłosierdzie Boga, który snać Polskę oparł na Piotrowéj skale i nie przemogły przeciwko niéj bramy piekielne i «carskie wrota!»... Ale, przy tém mniéj lub więcéj ogólném i silném usposobieniu, jakiż zarazem brak w téj młodzieży wszelkiego gruntownego, humanitarnego wykształcenia; jakiż niedostatek cnót i przymiotów prawdziwie obywatelskich i chrześciańskich; jakaż nieznajomość, jakaż nawet pogarda tego wszystkiego, co istotną siłę, dźwignią i duszę politycznego organizmu stanowi; jakaż czczość u jednych, jakaż gorycz u drugich! Jakżeż u jednych, przywiązanie do kraju jest tylko rzeczą formy, towarzyskiéj przyzwoitości, salonowego konwenansu, — podobnież jak wszystko inne zresztą: i honor, i miłosierdzie, i pobożność, i konwersacya, i taniec! Jakżeż u drugich, miłość ojczyzny jest uczuciem tylko ujemném — zemsty na wroga a nienawiści do własnéj braci, braci dostatniejszéj, zamożniej-

széj, któréj w słowach lekkość żywota zarzuca, a w duszy może tylko łatwości używania zazdrości!... Jakżeż trudno do takiego pokolenia przemówić; jakiegoż by to mistrza słowa i ducha potrzeba było, by je upomnieć do obowiązków, odwrócić od pokusy, zachęcić do pokuty i przeświadczyć o kardynalnych a nieznanych mu zupełnie zasadach i potrzebach państwa i społeczeństwa! Gdyby kto był zdolny przelać czysty, święty ogień miłości w te piersi rozżalone; gdyby kto umiał strzelać złotémi słowy poważnéj a surowéj prawdy do serca tych spółbraci i wskrzeszać postacie zmarłych towarzyszów Zana, owych wileńskich akademików, którzy w pokorze, w czystości, w trudzie i abnegacyi sposobili się na obywateli; którzy powstania nie gotowali, ale nad własném pracowali doskonaleniem i w chwili przeznaczeń znaleźli się gotowymi nietylko do powstania, nietylko do poświęcenia, ale do czegoś w naszym kraju nierównie ważniejszego, bo rzadszego — do rzetelnych usług publicznych!...

Pan Mierosławski ułatwia sobie zadanie niezmiernie, i by trafić do przekonań, obiera ten język pochlebstwa, którego zwodziciele ludu od wieków, z takiém powodzeniem dla siebie, z taką sromotą dla ludzkości używać zwykli. Traf-że to tylko, lub głęboka w tém myśl Gœthego, że jego Mefistofeles w imionniku biednego *studenta* zapisuje owo *Eritis sicut Deus,* którém już wąż kusił pierwszego człowieka?... To pewna, że sławny terrorysta i arcykapłan fałszu sformułował ten bezbożny axiomat: *on ne flatte pas plus le peuple que la divinité!...* Mówca nasz więc schlebia biednéj młodzieży, wita w niéj ród «Tytanów», porywa ją z sobą na zawrotne szczyty swéj hyperbolicznéj fakundy i ztamtąd wskazuje jéj świat cały, Polskę całą, którą posiąść może jedném skinieniem, jednémtylko westchnieniem!... «Młodzież to droga, dumkami boleści wykołysana — *orlęta* wypadłe z gniazda trzęsieniem opok ojczystych — święIII. 12

tych męczenników *niebawni* mściciele—*nieodrodni* spadkobiercy podchorążych i akademików, których *owdowiałego siodła lada chwila* mają dosiąść — a jedno ich westchnienie, dla reszty świata niedosłyszane, starczy za sądne trąby, by wskrzesić matkę!!!»... Tak pochlebstwami ujętą, dziką wonią dzikich kwiatów odurzoną, dymem kadzideł zakrztuszoną, zapowiedzią blizkiego powstania rozpłomienioną młodzież, mowca wreszcie przestrzega — nie przed rossyjskim liberalizmem, który tyle u nas teraz głów mąci i sumień zakłóca, ani też przed tym panslawizmem, który w uściskach upiora krew polską wysysa i zguby naszéj żąda i naszego spodlenia : mowca przestrzega młode pokolenie — przed Francyą, przed Zachodem, «przed całą tą zachodnią cywilizacyą!»... We Francyi «policyjna tylko latarka przeraźliwie migoce» a szukającemu tajemnic w *umarłym* łatwo się zarazić śmiertelnemi wrzodami trupa. Zachód znikczemniał, umarł i gnije, i świeci tylko «blaskiem fosforycznego pruchna i szpitalnych kantaryd.» Nie korzystać więc i nie uczyć się z téj cywilizacyi, która «współcaruje z Mongołami nad światem» i w któréj nikczemna tylko pasożytność» może znaleść coś godnego do naśladowania. «Porwijcie w objęcia wasze żywą a *nagą przyrodę*, i z niéj wyciśnijcie do żył, do muszkułów i aż do samego serca waszego *moc pierworodnych bohaterów i patryarchów*, co własnym przemysłem zwalczyli potwory i dziczyznę poprzedniego okresu *genezy humanitarnéj — bo ten, nie inny dzisiaj okres odrodzenia polskiego!!!*»

Nie pierwszy to u nas pan Mierosławski głosi w ten sposób upadek Zachodu, i nie pierwszy też ani ostatni raz występujemy tém pismie przeciwko podobnym zapowiedziom. Bo jeden to z najopłakańszych szałów, jaki kiedykolwiek opętał nasze umysły; bo jad to który rozkłada dziejów skład i grozi nam śmiercią bez zmartwychpowstania. Bo nie ma środka dla Polski mię-

dzy Zachodem a Moskwą; bo nie ma dla nas wyboru między tém co życia jest prądem, a tém co życia trądem; bo nie masz jakiejś pośredniéj wiary, jakiegoś — półbożka między Chrystusem a Szatanem, a wszelki rozwód Polski z Zachodem prowadzi niechybnie i niemylnie do cudzołożnych a śmiertelnych ślubów z barbarzyństwem! Odkąd Słowiańszczyzna wystąpiła na jaw w historyi, dwa narody zajęły w niéj dwa naczelne stanowiska, rozbiegły się w dwa przeciwne kierunki, i odtąd były zawsze sobie przeciwstawiane. Moskwa ulega Wschodowi, Bizantyzmowi, i przejęła od niego wszystkie żywioły religijnego zepsucia i moralnego skażenia; Polska złączyła się z Zachodem, z jego Kościołem, z jego łacińsko-germańską cywilizacyą, i ztamtąd czerpała wszelkie siły do uzacnienia i ugodnienia ludzi, do nawracania i zespolenia ludów. W związku tym z Zachodem leży cała racya jéj bytu w przesłości, cała rękojmia jéj odżycia w przyszłości. A biada temu, kto tę świętą Unią zrywać zamierza; a biada temu, kto dziecinnie targa tę nić złotą, co Polskę wiąże z nieśmiertelnością! Tego straszna gna pokusa, i ten mongolskich natchnień słucha! Ni mu rozwój światów znany, ni objawion mu Duch Święty, ni pamiętan duch Chrystusa; ten bez myśli, ten bez serca; ten kat Polski i morderca; ten popełnia najstraszniejszą zbrodnię i grzech największy: — zbrodnię matkobójstwa i grzech przeciwko Świętemu Prawdy Duchowi!...

Bo fałsz to, fałsz i bluźnierstwo, aby Zachód upadł i znikczemniał, zmarniał i gnił, jak bezmyślność polski wciąż teraz głosi, a chór moskiewskich szatanów jéj z radością wtóruje! Zachód ten żyje i żyć będzie: bo on jeden ma źródło żywota, bo on jeden ma wiarę, miłosierdzie, poświęcenie, odwagę, oświatę, pracę i wytrwałość, wszystkie ziemi bogactwa i wszystkie dary Ducha! Ta Francya wysyła bez przestanku ze swego łona tysiące misyonarzy, którzy wśród dzikich i barba-

rzyńców opowiadają Słowo Zbawiciela, i znoszą katusze i giną w męczarniach, z stałością, z pokorą, z pogodą godną pierwszych wieków chrześciaństwa. W tym kraju niezliczone tysiące towarzystw dobroczynności i miłosierdzia rozdają między masy chleb duchowy i powszedni; a w masach tych wszędzie rozlane uczucie ludzkiéj godności, męzkiéj odpowiedzialności, chrześciańskiego braterstwa, i dla cierpień i bolów zupełnie obcego, zupełnie nieznanego i wcale nie blizkiego bliźniego, jest tu współczucie i współdziałanie, jakie i najdemokratyczniejszy z obywateli niezawsze u nas ma dla ludności, z którą i przez którą żyje, dla tych włościan, których ciał i dusz jest właścicielem. Na Zachodzie, i tylko tutaj, jest sztuka, jest nauka i oświata — oświata, któréj słaby tylko brzask i odblask, gdy się przedrze przez gęste chmury naszego niedouctwa i niedołęztwa, już staje za słońce, i za jedyne słońce tym wszystkim wiekuistym a małodusznym tępicielom i potępicielom Zachodu. We Francyi jest przejęcie się obowiązkami, uszanowanie dla trudu, wzgarda dla próżniactwa, ochoczość, namiętność dla pracy, wszystkie te istotne przymioty pokoleń powołanych i wybranych do Czynu, które oby tylko uznać było w stanie nasze wrodzone a fatalne słowiańskie lenistwo! Kiedy w Krymie stanęły naprzeciwko siebie zastępy Wschodu i Zachodu, pokazało się przecież po czyjéj stronie jest siła tak materyalna jak moralna, i żołnierz téj zepsutéj i znikczemniałej, téj umarłéj i zgniłéj Francyi, objawił wtedy męztwo i męzkość, pogardę śmierci a miłość ojczyzny i sławy, zapał do niebezpieczeństw a wytrwałość na zimno, głód i zarazę, groźność olbrzyma i potulność dziecięcia, jedném słowem cuda waleczności i cnoty dobroci, jakich w tym stopniu i w téj mocy rzadkie są w dziejach przykłady, i z Achillesa odwagą i siłą łączył i czułość i — śpiew Achillesa!..... Nie! I cokolwiekbądź szeptać i wrzeszczeć mogą nasi turyści i beletryści,

panslawiści i radykaliści, i wszystkie te modne Katony na korzyść naszych katów : — tylko cywilizacya zachodnia ma siłę i tylko ona ma życie; tylko u niéj wiara i u niéj ofiara, w niéj tylko prawda i przy niéj tylko prawo! Wszystko inne złudą złud; wszystko inne kłamów kłam; i zbawienie nasze tylko — tam!

Co do nas, to z głębi skruszonéj duszy szlemy do Boga gorące błaganie, aby ten nasz związek z Zachodem coraz ściślejszym uczynił i aby Polska, która teraz zaprawdę tylko przypomina znaną córę Jeruzalemu, mogła się w prawdzie i w duchu zwać Francyi siostrzycą? Oby w naszém duchowieństwie zakonném było tyle życia religijnego, ducha ofiary i miłości, co w francuzkich Siostrach Miłosierdzia, Missyonarzach, Braciach nauki Chrześciańskiéj, Trapistach, Siostrzyczkach ubogich; tyle nauki i światła co w francuzkich Oratoryanach, Dominikanach i Benedyktynach! Oby nasza młodzież bogatsza, która zna tylko teatra, balety i salony, znała jak jéj rowiennicy we Francyi, poddasza ubogich, warsztaty rzemieślników, schronienia cierpiących i chorych, i zaprzestawszy w upodleniu sług swoich i zawisłości i nędzy ludu wiejskiego szukać pomocników i ofiar sprosnych swych uciech, umiała jak tamci, apostołować wiarę, światło i pracę! Oby w młodzieży naszéj było tyle miłości nauki, miłości kraju i znajomości jego potrzeb, tyle chęci wytrwałego służenia narodowi, ile we francuzkiéj! Obyśmy mieli sumiennych, jak we Francyi, nauczycieli, którzyby nie dawali fałszywego świadectwa przez względy osobiste i haniebne frymarki! Obyśmy mieli, jak we Francyi, sądownictwo poważne, uczone i prawe, któreby sumienia i sprawiedliwości nie przedawało za protekcyą lub inwitacyą! Obyśmy mieli po wszystkich klasach społeczeństwa ludzi tak głęboko rozumiejących i tak szczerze pełniących obowiązki chrześcianina i obywatela, jak na Zachodzie! Obyśmy mieli klasę rzemieślniczą tak wykształconą i podniesion

jak wyrobnicy Paryża i Lyonu, i, och, oby kmieć nasz tak kochał Polskę, jak swoję ojczyznę kocha, rozumie i bronić jéj umie chłop francuzki!...

Bez wątpienia, obok tych wielkich cnót i szczytnych przymiotów, ma Zachód i swoje żywioły zepsucia i steki egoizmu, i w téj kryształowéj, ambrozyjnéj czarze życia, któréj imię Francya i z któréj wciąż płyną libacye na chwałę Panu, na pożytek ludziom i ludom, spostrzeżesz ciężki i mętny osad u dołu, a u góry brudne, świecące—pękające szumowiny... Nie chcemy się pytać czy u nas stosunkowo jest lepiéj i piękniéj; czy nierównie gorszy możeby nie przedstawił się obraz, gdyby wszystko u nas tak się odbywało pod surowém a nic nie przepuszczającém okiem jawności i publiczności, jak na Zachodzie; nie spytamy przedewszystkiém, czybyśmy się w większéj potrafili uchować czystości, gdyby u nas zbytek był tak przystępny, pokusa tak zasobna, a siły życia i używania tak obfite, jak we Francyi... Powiemy tylko, że według odwiecznych praw ludzkiéj natury, gdzie wielkie cnoty tam i wielkie zbrodnie, że razem ze światłem i cień jego się wzmaga, i że w potężnych ogniskach cywilizacyi złoto się topi z najpodlejszym kruszcem. *Homo duplex!* mawiała już starożytna mądrość, i dwulicowym podobnież jest człowiek społeczny. Zachód ma swoje dobro, ma i zło swoje: chodzi tylko o to czy jedno czy drugie przeważa, chodzi o sumienne ocenienie, o sprawiedliwy rozbiór: bo w wyborze i wola i wolność i godność człowieka!... Kiedy powstanie listopadowe zagnało tutaj naszę rodzinę tułaczą, wówczas Mickiewicz miał umysł i zmysł dla tego, co tylko we Francyi jest chrześciańskiém i pięknėm, świetném i świętem, i pod wpływem tych wrażeń i otoczenia takich ludzi jak Lamennais, Lacordaire, Montalembert i im podobni, napisał te *Księgi Pielgrzymstwa*, w których najczystsza myśl chrześcianina i wygnańca znalazła swoje wcielenie w najczystszém słowie słowiańskiém. O tym samym

czasie i w tym samym kraju, inny tułacz w innéj zasiadł sferze myśli i wydawał poemata, które zgóry rozgrzeszyły bezwstyd bieżącéj literatury paryzkiéj, z któremi niczém są wporównaniu owe *Bowary* i *Fanny* i im podobne sprosności, co w naszych warszawskich dziennikarzach wywołują na Zachód oburzenie tak pocieszne a tak... lubieżne! W owych to poematach polskiego tułacza, pielgrzyma, « krzyżowca » świeci wistocie « blask kantaryd szpitalnych » i wieje atmosfera szlachtuzów i zamtuzów; dość (za wiele to już dla naszego pisma i pióra) powiedzieć, że w jednym z tych cynicznych obrazów *bohater* dogadza brutalnéj swéj chuci na zemdlałém ciele kobiety, która jest — jego matką!!!... A autorem takich obrzydliwości i gęślarzem tych żylastych szujów i żelaznych wszetecznic, Pindarem téj Wenery Kallipigos i Pygmalionem takiego rymowanego błota, nie był kto inny, jak pan Ludwik Mierosławski...

II

Jeśli jest jaka prawda ogólna, widoczna dla wszystkich ludzi dobréj woli i jasnych pojęć, to niezawodnie ta, że w pracy wewnętrznéj kraju nad sobą, w dźwiganiu się jego pod wszelkiémi względami, leży najgłówniejsze nasze zadanie w teraźniejszości, najpierwszy warunek naszego wyzwolenia w przyszłości. Czy powszechne jakieś rewolucyjne wstrząśnienie, jak wielu u nas wygląda i przepowiada, czy, jak inni wierzą i przewidują (a jesteśmy z ich liczby) normalny raczéj bieg wypadków i poznanie się Zachodu na rzeczywistych swych interesach i niebezpieczeństwach, da nam sposobność i możność do upomnienia się o nasze odwieczne prawa i zrzucenia nienawistnego jarzma ciemięzców:

w jednym jak drugim razie, chwila przeznaczeń tylko wtenczas będzie dla nas chwilą wybawienia, jeśli zostanie nasz kraj zasobny w jakieś siły i środki, zdolny do jakiegoś organicznego działania, w codziennéj pracy zaprawny do najwyższego trudu, posiadający te polityczne i społeczne żywioły które w konieczny skład każdego prawdziwego i żywotnego wchodzą państwa, ludnością, energią, oświatą, przemysłem ważący w interesach cywilizowanéj Europy, jeśli jednem słowem wypadki zastaną w Polsce naród, który ducha nie stracił i darów nie uronił, który godnie, bo w *Czyscu* odbył próbę grobu, który w ciągłéj czynności się uzacnił i usposobił do ostatecznego Czynu i jak owa mądra niewiasta Ewangielii, w nocy niewoli czekał przyjścia Zbawiciela z podniecaną bez przerwy lampą życia. Wolno retorom upewniać niedoświadczoną młodzież, że jedno westchnienie starczy za sądne trąby; wolno im przy brzęku toastów zapowiadać, iż «*zniebozstąpi kosynier wskrzesiciel*»... Ale kto trzezwy ma umysł i sąd niezaćmiony, ten wie, że nawet za trąbami Jerychu stały w odwodzie zbrojne hufce dwunastu pokoleń, ten wie, że z nieba zstępuje tylko Łaska i Miłosierdzie, kosynier zaś, i nierównie skuteczniejszy od kosyniera wskrzesiciel jakim jest dobry polski żołnierz, powstaje z ziemi i w niéj czerpa wszystkie środki do walki i zwycięztwa. Uprawa i naprawa téj ziemi i jéj mieszkańców jest najlepszą i najpotężniejszą naszą formacyą wojskową; podniesienie kraju pod wszelkiémi względami, pod względem religijnym, obywatelskim, naukowym, administracyjnym, rolniczym, przemysłowym, społecznym, jest najbliższém, bo niechybném przygotowaniem do prawdziwego powstania. Nie dosyć jest poić się żalem i karmić nadzieją; nie dosyć nawet czuwać troskliwie nad całością ojczystéj spuścizny : tego nie dosyć ! Trzeba się krzątać i pracować, trudzić w pocie czoła i znoju niewczasów; trzeba tę spuściznę pomnażać — pod karą

jéj ostatecznéj utraty! « Kto złożonego w swe ręce kapitału nie powiększył, i choćby go ukrył i nienaruszonym przechował, temu on będzie odjęty i oddany tym, co już obfitują (1): » takie to twarde i nieprzebłagane, a jednak sprawiedliwe i opatrzne zlecenie moralnéj i politycznéj ekonomii świata, wyrzekł — nie « Smith żaden, ani Say lub Ricardo » których « receptami » gardzi mądrość naszego mówcy — wyrzekł je Ten, który był na początku i będzie na końcu wszech czasów, który zna nasze zamiary i sądzić będzie nasze czyny, który powołał do siebie « wszystkich spracowanych j obciążonych » który dla nas się urodził, żył, cierpiał, umarł i zmartwychwstał, wyrzekł je Jezus Chrystus Syn Boży! Nauka Ewangelii jak nauka dziejów, głos Boga jak głos naszego wieku zarówno do nas woła o pomnażanie kapitału, który Opatrzność w nasze ręce złożyła, jeśli nam nie ma być ostatecznie odebrany i oddany tym co już obfitują, Moskalom, Austryakom, Prusakom i Żydom. Czas jeszcze do naprawy i czas do upamiętania: jedynasta to jeszcze godzina z przypowieści Wielkiego Nauczyciela. Choć spóźnionym robotnikom w tém tak pracowitém i znojném dziewiętnastém stuleciu, choć w ostatniéj już tylko godzinie przybyłym, jeśli szczerze i gorliwie się weźmiemy do dzieła, Pan nam zarówno jak tym co znosili ciężar całego dnia i upalenie, da tę bożą zapłatę narodów, którą jest wolność i niepodległość. Zbierzmyż więc i zgromadźmy wszystkie żywioły politycznego ciała, a wtedy pierwsza elektryczna iskra wojen je zbije i ukształci w organizm państwa! Pokażmyż światu, żeśmy na coś zdatni i potrzebni, a wtenczas nie minie nas « potrzeba », jak nasi ojcowie nazywali walkę i bitwę; dowiedźmyż, że stać i ostać się potrafimy, a powstanie będzie niechybne; przekonajmyż mocarstwa Zachodu, że sprawa naszego wyzwolenia

(1) Ewang. S. Mateusza, XXV, 14-20.

jest w ludzkiéj mocy, jest rzeczą ludzi i ludów — bo tylko odwaleniem grobowego kamienia z trumny, w któréj żywo pochowany i *żyjący* leży naród — a nie zaś takim nadludzkim, nadziemskim, a więc nie obowiązującym trudem i cudem, jak wskrzeszenie, przywołanie napowrót do zgasłego oddawna życia, milionów Łazarzy, Lazaronich i Lazarillów! Bo tylko żywych się ratuje, tylko pracowitych a pilnych wspierać warto i — wolno! Wydobywajmy wszystkie możebne a nieodzowne publiczne siły z wewnątrz nas samych, pielęgnujmy je, hartujmy, zaprawiajmy bez znużenia, bez wytchnienia a z duchem — a skoro się wzmogą i uwydatnią, jak Bóg żywy, ni niebo ni ziemia nam nie odmówią pomocy! O, wołajmy nasamprzód do siebie samych o *siły*, zanim obcych o *pomoc* wzywać myślimy! Przecież i w téj najuroczystszéj chwili Przenajświętszéj Tajemnicy, kiedy razem ze wzniesionym Kielichem Krwi Pańskiéj serca wiernych się wznoszą a korzą ich czoła, kiedy Zbawcza Ofiara wrota niebios otwiera (*cœli pandit ostium*), i modlitwę człowieka zabiera przed tron Ojca, przecież i wtenczas skruszona dusza chrześcianina w przódy *da robur* błaga, za nim powie — *fer auxilium!*

Cavour czy Mazzini?... pytanie to zaprawdę na czasie, i oby ta nauka, którą obecna chwila w tak wyraźnych, czytelnych i wymownych kreśli zgłoskach, nie przeszła dla nas, jak tyle innych niestety, bez upomnienia i znaczenia, i wobec naszéj pustoty nie była głosem na puszczy! Cavour czy Mazzini — któryż z tych dwóch ludzi i dwóch systemów skuteczniéj działał dla kraju, przyniósł pożytek ojczyznie? Czy ten, co naród niemocą złożony wciąż truł, żgał i podżegał, spiskami opętał i « ruchami » zbezwładniał, krzyż deptał odkupny a nóż święcił najemny, i sprawę najszlachetniejszą i najświętszą podał prawie w ohydę i zgrozę wszystkich dusz zacnych i umysłów cnotliwych; lub ten, który słabego

cucił i wycieńczonego umacniał, zwolna i cierpliwie goił rany i siły sposobił, drzemiące żywioły budził, pielęgnował i krzepił, moralnie i materyalnie wszystko dźwigał i podnosił, administracyjne, finansowe, ekonomiczne stosunki naprawiał i ulepszał, i z małego państwa zrobił ten cudowny wachlarz Aladyna, co gdy zwinięty, zdaje się tylko misternym być sprzętem, ale roztoczony stać się może namiotem dla stutysięcznego wojska; mąż który stale, wytrwale, z ufnością i spokojem pracując, w małym odłamie pokazał swoim i obcym wzór przyszłéj całości, obraz wielkiéj ojczyzny, dowiódł na jednym ale zwycięzkim przykładzie, że jego naród ma wszystkie warunki życia i wszystkie przymioty organicznego jestestwa, że duszą tego narodu jest rządność, a więc prawem jego zmartwychwstanie; mąż który powszechną, sympatyczną dla swego dzieła zwrócił uwagę całéj cywilizowanéj Europy, najzaciętszego nawet wroga zmusił do uznania, że coś jest i istnieje, że to nie «geograficzny, martwy wyraz» ale wyraźny żywot... I patrzcie, jak teraz, witana radośnym okrzykiem wszystkich dusz szlachetnych, w styksowym wykąpana mule, opasana tą trójkolorową szarfą bezpieczeństwa, którą jéj rzuciła francuzka Leukotea, wynurza się wreszcie z fali zdarzeń w klasycznéj piękności, z klasyczną pogodą, ta jeszcze niedawno tak zapomniana Italia, już podnosi czoło promieniejące i prędzéj czy późniéj dobije bezpiecznego portu: prędzéj czy późniéj! ale niemylnie, ale niechybnie — chyba (o, nie dopuszczaj tego wielki, dobry Boże!) że ją demagog londyński znów zanurzy w piekielnéj topieli szału, błota i krwi!... Cavour czy Mazzini?—w różnym stopniu, w nierównych rozmiarach i odmiennych formach i stosunkach, ale w treści jednostajne zawsze a hamletowe to pytanie dla każdego uciemiężonego narodu: pytanie, czy oświecać umysły lub tumanić fantazyą, czy serca ogrzewać lub je spopielić, czy siły wycieńczać i niweczyć lub je skupić i pomnażać,

czy pracować z ufnością rozwagi lub miotać się w szale rozpaczy?...

Zawod to trudny niezawodnie, mozolny i krwawy, a nieraz nawet wydać się może rozpaczliwym. W naszém rozszarpaniu i rozćwiertowaniu, pod zadrosném, mściwém, bazyliszkowém okiem wrogów, gdy wszędzie potrącasz o jamę, o zasadzkę, o ukrytego lub jawnego a zawsze jadowitego węża, gdy przeciwko wszelkiéj prawéj i żywotnéj myśli staje bezmyślne lub zbójeckie prawo, przeciwko najuczciwszemu czynowi najnieuczciwszy czynownik, gdy każden krok się ślizga w błocie Fińczyka lub lodzie Sybiru, i według słów poległego pod Raszynem żołnierza-poety « gdy nawet pług idzie oporem w obcych panów ziemi... » zadanie to wielkie taka praca wewnętrzna kraju nad sobą; wymaga ono niemałéj miłości dla sprawy a miłosierdzia dla siebie, niezwyczajnego hartu dusz i chrześciańskiéj rezygnacyi w jéj prawdziwém, jedynie godném znaczeniu. Bo ileż to razy wtedy przychodzi «budować ruiny,» że użyjem wyrażenia Biblii, stawiać w'pocie czoła przez długie lata to, co może jutro w jednéj chwili najlżejszy powiew władzy rozwali; ileż to razy przychodzi stokroć poczynane dzieło na nowo rozpoczynać, i przeciwnie do owego ideału wiernéj miłości któremu imię Penelopa, a jednak w takiem samém uczuciu, w dzień rozpruwać co się w nocy i cieniu uprzędło! Kres to męki najwyższy, cierpienie nad cierpieniami—i daleko łatwiéj zaprawdę i wygodniéj, wszystkie takie prace lekceważyć i znieważać, a marzyć o « blizkiém powstaniu » i gwarzyć o « dosiadaniu lada chwila, *owdowiałego* siodła... » Nie obowiązuje to do niczego a uwalnia od wielu przykrych trudów, od ciężarów, których przecież niepodobna podnosić i znosić w eterycznéj sferze natchnienia i « westchnienia. » Wystawia się tém wexel na przyszłość, tém dogodniejszy, że bez oznaczonego terminu, a zjada się tymczasem i procent i kapitał. Ma się wtedy prawo

gardzić wszelką gruntowną nauką, która « tępi ducha, » i śmieje się tylko z wołania pedantów o « specyalności » boby to znaczyło (naucza p. Mierosławski) « wziąść patent na Niemca, Francuza, Anglika lub Amerykanina » a czegoś innego, jako żywo, potrzeba « orlętom, świętych męczenników *niebawnym* mścicielom. » Wierzy się wtedy w kmiecia wskrzesiciela—dla którego nawet nie masz i krzesiwa, kocha się chłopa seraficznie i wita w nim (używamy tu wciąż słów naszego mówcy) « spadkobiercę wielkiéj ojczyzny. » Ale zanim to objęcie spadku się uskuteczni, zanim to otwarcie « testamentu » nastąpi, zanim przyjdzie « tego chłopa mierniczy ze szczerbcem i z żelaznemi słupami, » każe mu się « cierpić jeszcze, cierpić jak ojczyzna, i *póki ona cierpi* » zaleca mu się « *nie ruszać ani kołka w płocie ani miedzy na niwach* »; zalecanie zaś czegoś podobnego jak szkółki ludowe lub wiejskie ochrony, obudza tylko uśmiech szyderstwa, a cóż dopiero, gdy kto się odważy wspomnieć o instytucyach Ś. Wincentego : wtedy już chyba się przeżegnać przed taką jezuicką szkaradą!... Wśród takich to marzeń, szyderstw i bankietów wcale nie platonicznych, przepędza się lata poświęcone nauce i wykształceniu; a gdy nadchodzi chwila rozczarowania lub upamiętania, gdy się wraca do kraju i zamiast zniebozstąpionych kosynierów widzi samych żandarmów i krótkoucinających finacwachów — wówczas pryskają nagle ideały i runą nadpowietrzne budowy wietrzników; na miejscu gdzie się bengalskim ogniem palił Wezuwiusz zostaje do szczętu wygrzebany krater i zalega zimna brudna lawa : a gdy się do trudów nie przywykło a obowiązków nigdy nie zaznało, wyprawa « krzyżowca » kończy się wyprawą na posag, ochota do partyzantki zamienia się w ochoczość i namiętność do *partyjki*, a na zbawczego kmiecia, na którego spaść miało dziedzictwo całéj odmłodnionéj ojczyzny, spada ostatecznie batóg młodego dziedzica... Kto zaś większą

miał czułość, czyli większą dumę, ten w takiéj kryzie osądzi się męczennikiem i uzna się ofiarą społeczeństwa, ogłosi się « milionem » a zer mu do tego zaprawdę nie zabraknie, udrapowany płaszczem pychy zasiędzie na ruinach własnego nicestwa, a jeśli worek potemu, będzie z gorącéj miłości do kraju wciąż od niego uciekał i po całéj Europie ustawicznie woził swój żal po ojczyznie, swoję osobę i swe nudy... Ale komu Bóg dał zdrowe uczucie i jasne sumienie, kto siebie zwodzić za dumny, drugich zwodzić za prawy, kto Polski nie kocha jak młodzieniaszek zalotnicę, z którą pewien czas przepędza się w upojeniu i szale i z sił męzkich uszczerbkiem, by potém z wybladłemi usty a wyblakłą duszą tylko módz sobie gorzko-słodko powiedzieć, że się także było kiedyś młodym i miało swoję « awanturę », kto raczéj tę Polskę kocha godnie i zacnie jak syn, jak mąż i jak ojciec, kochaniem dozgonném, miłością niezmienną, niezmierną: ten nie kwiecistą ścieszkę fantazyi, ale cierniową obierze drogę pracy i obowiązków, ten będzie się trudził nad własném nasamprzód doskonaleniem a potém nad wydobywaniem sił z własnego łona narodu, i na tém stanowisku wytrwa mimo przeszkód i zapor obcych despotów i szyderstw i oszczerstw swojskich demagogów.

Oszczerstwa i szyderstwa pana Mirosławskiego przeciwko wszystkiemu, co w kraju jest wołaniem o oświatę i naukę, wydobywaniem sił ukrytych i ich zaprawianiem, zaczątkiem — tak jeszcze słabym, niestety! — jakiegobądź dźwigania się i podniesienia, z różnych płyną źródeł i różne mają argumenta. Mówca nasz potępia wszystkie te próby i usiłowania nasamprzód jako « cudzołożne płody Zachodu », jako zatrute owoce « latyńsko-germańskiéj cywilizacyi. » Zachód, jak już wiemy, zgnił, zmarniał i znikczemniał : więc pocóż szczepić w nasze ciało jego śmiertelne jady? A zresztą, wszystkie te ulepszenia i uprawiania, wszystkie te nauki i

przemysły nie dadząż pogłównego ciemiężcom, i czyż to wróg nie skorzysta z naszych doktorów i fizyków, z naszych rękodzieł i machin? «Głupie pszczoły, *zamieniamy nasze płuca w retortę*, by w nich pędzić miody dla cara bartnika!» Ale, czyż Polska kiedyś wolna, czyż Polska powstająca, nie będzie potrzebowała doktorów i fizyków, fabryk i warsztatów — czyż może bez nich być państwo, bez nich być wojna narodowa? I choćby wróg wszystkie produkta, wszystkie nawet warsztaty zabierał, czyż to nic nie znaczy, czyż to raczéj nie znaczy wiele, niezmiernie wiele, samo już wyrobienie jakiejś u nas klasy roboczéj, utworzenie warstwy ludności zaprawnéj do trudu, do mozołu, do niezawisłéj, wolnéj a szanowanéj pracy wśród narodu tak gnuśnego, tak leniwego, tradycyjnie ociężałego? Osuszone miny olkuskie posłużą ku wygodzie mennicy petersburskiéj, woła pan Mierosławski. Tak jest, niestety! Ale, w razie danym, nie posłużąż one także ku wygodzie polskiego powstania, i czyż tego zarówno powiedzieć się nie godzi o wszystkich duchowych i ziemnych kopalniach, nad których wykryciem i oczyszczeniem w naszym kraju pracować byśmy chcieli? O zapewne; cokolwiek w naszéj niewoli zarobić, uzyskać i posiąść potrafimy, wielka, największa może część tego stanie się zawsze udziałem czarta i cara : ale czyż dlatego mamy już wszelkiego wyrzec się posiadania? Czyż dlatego, że z użątków naszych płacimy wrogom łanowe, mamy już niwy nasze zasiać kąkolem i zaorać solą; czyż dlatego że pobór dziesiątkuje naszę biedną ludność, mamy się starać o jéj umniejszenie i ubytek i rozpowszechnić może u nas sektę *skopców;* i czyż, gdy ze wszystkiego ciemięzcom musimy dać pogłówne, lepiéj już i skuteczniéj zupełnie stracić głowę?... Hrabiowie to nasi i Epszteiny, zaręcza następnie mówca, «herbowi komornicy i parszywi arendarze, postrzygacze polskich cmentarzy i więzień polskich konserwatywni reforma-

torowie» propagują u nas te zasady narodowego przemysłu, uprawienia i ulepszenia kraju, a czynią to w myśli spekulacyi, w chęci zysku i umieszczenia kapitałów. Tak sądzi p. Mierosławski?... Jako żywo, wyświadcza on tém zbyt wielki honor naszym hrabiom, a za mało winnéj czci oddaje naszym Epszteinom! Możni nasi panowie, kiedy mają kapitały, nie myślą o ich umieszczeniu w polskich włościach, spółkach i przedsiębiorstwach: wolą niemi spekulować na giełdach Paryża, Londynu i Wiednia, i w tych to miastach leżą — czasem i przepadają — ogromne summy naszych magnatów, którychby część może już wystarczyła do uratowania ojczyznie W. K. Poznańskiego i wykupienia ziem nad Wartą i Notecią z rąk chciwego Niemca. Od zrozumienia tego, że polskie kapitały w Polsce użytemi być powinny, od takiéj haniebnéj spekulacyi, jakby to nazwał nasz mówca, czy od tak obywatelskiéj cnoty, jakbyśmy to nazwali, hrabiowie nasi, niestety, są jeszcze bardzo dalecy! Epsztejny?... P. Mierosławski wielką tym ludziom wyrząda krzywdę i na własne tylko strzela szeregi! Pan Epsztein, zupełnie w téj mierze zgadza się z panem Mierosławskim; i on też myśli że się nie godzi Polakom zajmować przemysłowemi przedsiębierstwami: wydziera więc im takowe w zmowie z wysokimi czynownikami, i obsadza potężne administracye i rozległe bióra Moskalami, Niemcami i Żydami. Trochę więcéj uznania dla naszego Izraela! Gotowy to przecież i nie równie rzeczywistszy od kmiecia, «spadkobierca» polskiéj szlachty, a w wierze swojéj nadto, jakżeż on do naszego mówcy zbliżony! Bo i on przecież, a może nawet szczerzéj i nie dla oratorskiego effektu, czci tego Boga, którego pan Mierosławski przedewszystkiém święci i «prawdziwym» nazywa: «Boga straszliwego, Boga gniewu, Boga *z brodą rozczochraną*.....»

Ale najostrzejsze swe sarkazmy i strzały najbardziéj zatrute, najsroższe potępienie i najdziksze przekleństwa

zachował nasz mówca dla tych szczególnie usiłowań w kraju, które umoralnienie i polepszenie bytu ludności rolniczéj mają na celu. Przeciwko batożnikom wołyńskim i okrutnym ciemięzcom naszych chłopów, nie znajduje pan Mierosławski najlżejszego słowa groźby lub choćby nagany; o tych naszych panach, którzy w kwestyi uwłaszczenia zamyśliwali nawet nad odpornym a podłym sojuszem z moskiewską arystokracyą, o krętych wybiegach i zabiegach pewnych komitetów, zachowuje wspaniałomyślne milczenie: ale całą złość, całą żółć, cały jad swojéj duszy wylewa na tych zacnych obywateli, co reformę włościańską biorą szczerze do serca, a przedewszystkiém na to Towarzystwo Rolnicze w Królestwie, którego krokom i czynnościom towarzyszą dziękczynienia i błogosławieństwa wszystkich dusz polskich i chrześciańskich!... «Spekulanci to, woła nasz mówca, co szukają niby społecznego wyzwolenia ludu polskiego w nieprzystojnych dość zdzierkach łacińskiego i germańskiego przepychu, i przezornie go wywłaszczają (!), *rozbrajają*, immobilizują na dzień własno-narodowego powstania, uwłaszczenia i polotu!... Czując, jak im niedostateczne przeciw zmartwychwstaniu Polski ludowéj, gwarancye trzech ościennych, a osławionych, a znużonych ciemięztw, poczęli jeszcze w tych ostatnich czasach przyzywać na ratunek swoich ołtarzów (sic!), swoich rodzin i swojéj własności, cały przybór policyjnego liberalizmu społeczeństw mieszczańskich... i za gwarancyą cara, a przy oklaskach Zachodu, *odczepną jałmużną chlewa i sadu kartoflanego* myślą kupić sobie spokój jednopokolenny, od dzisiejszych gospodarzy.»... «Ezau, Ezau *nic już do stracenia nie mający!* zagospodarowany na twojém starszeństwie, za miskę soczewicy, Jakób... chce... aby lemieszowe pazury twoje wygrzebały mu zdroje miodu, mleka i talarów; za to karbowi twoi dostaną medal od komitetu rolniczego, a dzieci twoje po obrazku od księdza proboszcza!»... A nietylko to

konspiracya ordynatów, hrabiów, obywateli i właścicieli między sobą przeciwko polskiemu ludowi; spisek ten sięga daléj i wyżéj: biorą w nim udział — Papież Rzymski i — Cesarz Rossyjski!! «Ekonomiści posłusznéj kongresom i *Papieżowi* Polski są w porozumieniu i z Kościołem i z Carem... Na to zgoda i w Paryżu i w Petersburgu i w Watykanie i w kancelaryach ordynackich!!!»... Znana jest sławna *konspiracya tabakierek*, którą odkrył ohydnéj pamięci Marat «a miał ją od swojéj praczki» — i uchodziło to dotąd za *nec plus ultra* denuncyatorskiéj wścieklizny. Naszemu, polskiemu Maratowi daném było, dorównać jeśli nie prześcignąć francuzkiego mistrza i odsłonić przed *młodem pokoleniem* wielką «antynarodową» konspiracyą Towarzystwa Rolniczego, Ojca Świętego i Cara Alexandra!...

Nie myślimy zaprawdę przeciwko tak szalonym napaściom zasłaniać przywódzców i uczestników Towarzystwa Rolniczego: ubliżylibyśmy tém tylko ich cnocie. Ale na widok takiéj ohydy, jakżeż zachować krew zimną; wobec takiego opętania, jakżeż stłumić w rozżalonéj piersi wykrzyk oburzenia?... Gdy się wie, z jak wielkiémi, krwawémi mozołami u nas przychodzi wszelka praca zbiorowa, gdy się zna choć w części przeszkody, zapory, zasadzki, upokorzenia jakie tam napotyka każda najdrobniejsza obywatelska czynność... i gdy się tę czynność widzi oszydzoną, ohydzoną, zpotwarzoną i na krwawą zemstę wskazaną przez tych, których *młode pokolenie* mieni być patryotami a nawet naczelnikami — jakżeż tu nie zanieść ze łzami gorącéj skargi do nieba, i jakżeż bez wzdrygnienia wychylić kielich takiéj goryczy?...

O, że też wszelkie u nas zacne, wytrwałe rozsądne usiłowania koło dźwigania i podniesienia kraju, koło jego najistotniejszych zasobów i potrzeb, zawsze się rozbijały o złość, szyderstwo, ślepotę i pustotę! Że téż wszyscy mężowie, którzy pracowali, trudzili się i wy-

cieńczyli dla organicznego i postępowego urządzenia spraw naszych umarli albo z samobójczéj dłoni albo z pękniętego serca, a zawsze z prześladowania krzykaczy i z rozpaczy nad niedołężnością, obojętnością lub niewdzięcznością narodu : tak dobrze kanclerz Ossoliński i kanclerz Andrzéj Zamoyski, jak Edward Raczyński i Karol Marcinkowski! Że téż ani wspaniała odwaga księcia Józefa (*«królewskiém książątkiem»* nazywa go p. Mierosławski!...), ani zimna rozwaga reformatorów, nie mogła być nigdy ochronioną przed zatrutym wyziewem republikanckich Zajączków i zająców! Że u nas nietylko prędki, rycerski Achilles ginie od zdradzieckiéj strzały płochych, zwodniczych Parysów, ale i powolny, wytrwały, wszystko ważący Ulises pada ofiarą krzykliwych, szydzących, syczących Tersytów, i że do tępienia i niszczenia wszystkiego co szlachetném i cywilizującém, nie potrzeba u nas nawet wielkiéj francuzkiéj żakeryi: wystarczają na to — dzieci Wersalu» i żaki Poznania!...

III

Nie myśleć więc o pracy, naucza p. Mierosławski, ani dźwigać i doskonalić sił i zasobów kraju; nie «zażywiać Zniczowego kagańca Polski u fosforycznéj oświaty Zachodu i jego policyjnéj latarki,» ani przyjmować «spruchniałych zdzierków łacińsko-germańskiéj cywilizacyi!» Przedewszystkiem zaś, nie ulepszać na teraz bytu włościan, i nie dawać karbowym medalów! «Oszukany przez Jakóba, pod błogosławieństwem ślepego Izaaka, Ezau, a przyszły spadkobierca wielkiéj ojczyzny, niechaj jeszcze cierpi, cierpi póki ojczyzna cierpi» i niechaj nie wypuszcza z rąk «testamentu» ani dozwala «ruszać kołka w płocie i miedzy na niwach, aż stanie między jego chmary, mierniczy ze szczerbcem i z żelaznemi słu-

pami.» «Ten ci Polskę twoję powtórnie a niezatratnie skadastruje, i takie ci włóki wymierzy, że niemi obdzielą się bez końca, wszyscy bracia, bratańcy i wnukowie twoi... ten ci wysnuje szatę dla całéj a trwałéj ojczyzny — a na wyrost, bo wielka jak przezorność nieograniczonéj miłości jego dla dalszych polskich pokoleń — taką coby jak płaszcz niebios szyty gwiazdami, wszystkie syny, wnuki i prawnuki odział wspólną opatrznością i wspólnym majestatem stworzenia!...»

Jak p. Mierosławski właściwie sobie wystawia ten cudowny kadaster, i jak myśli rozdzielić tę szatę ukrzyżowanéj Polski między kmiecowe «chmary» — tego nie wyjaśnia, i w miejscu Justyniańskiego kodeksu, o którym powiada, że «wydobyty z rumowisk Cezarowego społeczeństwa, przez lat tysiąc z okładem zachodnie przesypy ocieplał (!)» nie ogłosił dotąd, o ile wiemy, słowiańskiego Swodu i «Ruskiéj Prawdy» własnego wymysłu i wynalazku. Ale lekarstwo, jakie ma na nasze zbolałe, zranione i rozszarpane ciało, to wspaniałomyślnie i usłużnie wyjawia : a lekarstwo to proste, skuteczne, prędkie — prędkie przedewszystkiém — chociaż nie nowe. Cudowny nasz lekarz, który «nad komedyo-operę w Loretańskiéj kaplicy, przekłada kazanie w Moliera świątyni» w téj téż świątyni znalazł swego Hippokrata i Galliena, i jak sławny Argan doktoryzant, zna tylko tę jednę receptę : *purgare, seignare, reseignare*... «Krew jest arcyszczególnym sokiem» powiada szatan Goetego : krew szczególnie szlachecka rozlana przez Piastowych kmieców, dodaje w glossie nasz retor, i takim to inkaustem parafuje swój pakt z *młodem pokoleniem*...

Tak jest! Rzeź, rzeź szlachty, takie to alfa i omega tego najnowszego Zakonu, i na końcu każdéj zwrotki swéj piosenki, krwi tylko żąda upior powstały z nieochłodzonego jeszcze grobu Rzeszowa i Tarnowa! Cepy i kłonice, oto tajemnice téj «genezyjnéj» Gnozy, i na

dnie oratorskiéj kałuży szyderstw i oszczerstw, świeci polska, spiekła krew! Rzeź tę przebiera mówca na wszystkie tony i diapazony, wykłada ją pod wszelkiemi figurami retoryki, pod figurą ironii, przykładu, przypowieści! Chcielibyście pyta się z ironią cywilizatorów, którzy (marną zresztą według niego, i trudu niegodną), wolność zachodnich społeczeństw w naszym kraju zaprowadzić myślą, «chcielibyście, przeceniając dużo wartość wzoru waszego, jeszcze wszystkich tych specyałów *darmo* dostać, a nawet obrachunkiem cudzych kosztów nie zachmurzyć sobie darowizny, i marną dekoracyą przesadzonych z Zachodu chrustów, oszukać porodne boleści naszego ujarzmienia? *Owoż to rzecz niepodobna!*»... P. Mierosławski wprawdzie sądzi że «krucyatowa dusza naszego narodu mało ma do zazdroszczenia «temu braterstwu amerykańskiemu, téj równości angielskiéj, téj wolności francuzkiéj»... a wszakże każe jednak pomyśleć «jakim to kosztem te narody okupiły choćby tylko i tę emeryturę!» «Aby *takiéj* tylko emerytury dostąpić, narody te wszystkie *wypławić się naprzód musiały w krwi własnéj potokach*... i na zastygłych to dopiero falach takiego krwotoku, dopieroż na tym makadamie z gruzów łez, i kości znikłych pokoleń, podeszły ród Latynów i Germanów rozwinął żagle swoje!»... Nie dość więc, dodaje mówca, że «więzień polskich konserwatywni reformatorowie» zaślepiają się nad wartością takiéj emerytury łacińsko-germańskich ludów, ale chcieliby jéj jeszcze dostąpić bez takiego, jak one, okupu?! Owoż to rzecz niepodobna!... Ale też p. Mierosławski inszéj zaprawdę dla nas, i to «rodziméj, słowiańskiéj, piastowéj» wygląda emerytury, i zupełnie inaczéj sobie u nas wyobraża stosunek tych znikać i powstać mających pokoleń! Myśl tę swoję ukształcił na końcu mowy w długim, roztoczonym i *con amore* opracowanym apologu (bo snać nietylko Chrystus, ale i Antychryst lubi przypowieści!), który w skróceniu po-

wtórzymy, słów jego jak najwierniéj się trzymając a wypuszczając tylko, ile można, zbytnie efekta kolorytu i kataklizmowe i kataraktowe peryody:

«Przenieścież się wyobraźnią, powiada tedy p. Mie-» rosławski do *młodego pokolenia*, przenieścież się wyo-» braźnią do téj epoki przyrodzenia, kiedy bryła ziemska, » już zaskorupiała w twardą powłokę, z mętów pier-» wszego zastygu swojego, wyłoniła potworne społe-» czeństwo... salamander, stusążniowych glizd, krokody-» lów, smoków elektrycznych, amfibicznych niedoperzy, » olbrzymo-ropuch,... społeczeństwo wodokrzewów i » płazów tak już strasznych, tak potężnych, a tak prze-» myślnych, że sam Stwórca żadnego z niemi innego » stworzenia do współwłasności globu dopuścić niepo-» trafił — chyba niższe organizmy, podłą czerń natury, » na tani im pokarm przeznaczoną... Pod taką to *ichtyo-» zaukracyą* i *batrakracyą* z heroldyą, tradycyą, *kościołem*, » rodziną i własnością na globie rozgoszczoną,... jęczał » przez długie wieki i modlił się do Stwórcy gnieciony » płód innych stworzeń, płód lepszego i wyższego spo-» łeczeństwa... A kiedy broszurkami, emisaryuszami lub » ruchawkami chciano podnieść ten *chamski Ereb*, » wówczas tryskały aż pod sam tron Boga pianą prote-» stacyj *komiteta rolnicze* krokodylów i salamander, py-» tały się, czegoż chcą od nich, czyż może być co do-» skonalszego nad ten liberalny planeta, coś piękniej-» szego, sprawiedliwszego, płodniejszego od Zofijówek, » Wilanowów i Sieniaw?... Te buntownicze wycia niż-» szego społeczeństwa, mawiały te komiteta do Boga, » zachwiewają nietylko nasze dzierżawy, ale i twoje » podkopują *carstwo!*... A tak rzewne, tak wymowne, » *osobliwie samic* (sic!) były wyrzekania na niebezpie-» czeństwo zagrażające ich drogiéj a niewinnéj ikrze, że » anioły popłakały się w niebiosach i słońce wdziało » żałobę... Ale Bóg (—nie Bóg chrześciański, przestrzega tu p. Mierosławski w prozopopei, którą także jeszcze,

niestety, wypisać nam przyjdzie! —) ale Bóg prawdiwy, » więc nieubłagany, straszliwy, z brodą rozczochraną » od nadiru do zenitu, raptem, swojemu miecznikowi » Michałowi wyrwał oburącz szablę płomienistą, i je- » dnem cięciem przepłatał kulę ziemską od bieguna do » bieguna, szramą kordylierską, po dziś dzień nie zeszy- » tą... Dopieroż słowo stań się! naraz przyłożone do » wszystkich kraterów młodego świata, wysadziło, spa- » liło i osuszyło trzeci dzień genezy na czarnoziem dla » trzech nowych! »...

Więc młodzież nic nie znalazła do odpowiedzenia na straszną naukę téj strasznéj bajki? Więc się zgodziła na zmiecenie *ichtyozaukracyi* i *batrakracyi*, którą przecież jest biedna szlachta polska? Więc się nie wcieliła w to ciało, któremu tak cierpieć kazano, i nie wzięła w pierś swą magnetycznie, przed ciosem, tych ran zaznaczonych na własnych przecież ojcach, matkach, siostrach i braciach?... Alboż może *młode pokolenie* nie słyszało wcale o Humaniu, Tarnowie, Rzeszowie?... O, ono może tego nie wié: ono tak mało zna dzieje własnego narodu, nawet dzieje lat temu tylko trzynaście ubiegłe! Niechże więc tu przeczyta choćby jednę małą stronicę z naszéj historyi, świeżą i jeszcze z łez nieosuszoną, — data wierzytelna jak text testamentu, wiersze krótkie jak cięcia gilotyny, słowa lapidarne jak napisy w katakumbach — i z powyższym apologiem niechajże porówna następny nekrolog!

«Znana jest straszna śmierć sześciu Bohuszów. — » Teodora Broniewskiego młócono cepami aż do » zgonu; ciało jego miało połamane żebra, ręce i nogi.— » Bratu jego Janowi, obcięto nos i uszy, odarto skórę » z twarzy i kazano żonie z kagańcem w ręku przyświe- » cać gdy mu wyłupiano oczy. — Dębińskiemu Ale- » ksandrowi, przed zabiciem, obrzynano palce kozikiem, » by je z pierścieni obnażyć. — Dąbski Dominik roz- » płatan był żywcem na cztery ćwierci. — Geperta

» zarznęli żydzi, zabrawszy mu pieniądze i stołowe sre-
» bra. — Horodyński Antoni, Kerwiński i Sokul-
» ski rąbani byli żywcem, a kawały ich jeszcze drgające
» rzucali wieprzom ku pożarciu. — Kotarskiemu Ka-
» rolowi, przez wzgląd na jego dawne dobrodziejstwa,
» pozwolono przygotować się na śmierć w kościele, po-
» czém wydarto mu szczęki. — Konopkę Prospera bito
» na śmierć zwolna, przez godzin dwanaście. — Nidec-
» kiego Ludwika, chorego, zarzezano w łóżku. — Ró-
» życkiemu, ojcu, łamano ręce i nogi, zanim ucięto
» głowę. — Słotwińskiego Konstantyna, przywiąza-
» nego za brodę do końskiego ogona, włóczono po ziemi
» aż wyzionął ducha. — Stasiewicz i Strzyżewski
» spaleni byli żywcem. — Żonom kazano brać mężów
» w objęcia i pieścić się z nimi, i tak ich zabijano, Przy
» wyłupianiu oczu, żony, matki lub córki musiały przy-
» świecać. W otwory po wydartych oczach lano oko-
» witę; czasem ją tam zapalano. — Panią Kępińską
» zabito przy porodzie bliźniąt, drugie dziecko wydobyto
» z niéj już po śmierci, rozpłatawszy jéj łono. — Pani
» Ihaze, za ukrycie męża, zaprzężona wraz z wołmi do
» wozu, ciągnęła zwłoki nieboszczyka, popędzana ce-
» pami, pod któremi legła.—Sętkowskiéj lano w gar-
» dło okowitę, tak długo aż umarła, i t. d., i t. d... (1). »

Taką to już odpowiedź — lat temu trzynaście — znalazła obecna zapowiedź p. Mierosławskiego, taka to *księga Imion* towarzyszy téj *księdze Genezy*, taka to adfabulacya téj przypowieści, taka historyczna rzeczywistość téj mytologicznéj kosmogonii!... A jeśli młodzież nasza myśli, że nawet przez takie ojco-i bratobójstwa godzi się i można wskrzesić zmarłą Matkę, jeśli za zwodniczém i zbrodniczém idąc hasłem « iż ofiar trzeba koniecznie » sądzi że im te ofiary będą czystsze i droższe, tém będą wykupniejsze, jeśli wierzy że Królestwo Boże

(1) *Wizerunki duszy*, str. 96.

z czarta i że Ojczyzna nawet zbrodni warta... to jéj zapowiadamy zapewne, że się omyli w téj szulerskiéj rachubie, że z téj krwawéj loteryi tylko wyciągnie *nullę* i na dnie téj otchłani sobie tylko nicestwo pościele! Nie, wolności nie zdobędą na końcu hajdameckich nożów, i za takiém *czerwoném morzem* nie znajdą swéj obiecanéj ziemi!... Jeśliby kiedykolwiek na nas Bóg w swoim gniewie taki kataklizm miał zesłać, jak sobie roi i pieści obłąkana fantazya p. Mierosławskiego... o, wtedy z tego chaosu żaden się świat nie urodzi i «z fal takiego krwotoku» nie wypłynie żadna Polska wielka, wolna, potężna, z orłem ze srebra i z szablą ze stali, — ale się wynurzy piekielny potwór z toporem watażków i workiem Judaszów, i krótko, tylko dzień jeden może, dzień ostatni, zaszaleje na ruinach ojczyzny, by potém opojony własną posoką, własnym żerem pożarty, własnym jadem roztoczony, dech wyzionąć u stóp Cara i Mongołów! I niechaj sobie *młode pokolenie*, ci «kmieciów piastowych przewodniki» nawet nie podchlebiają, że dostąpią choćby zaszczytu przodkowania w takiéj *ruchawce* opętanych i potępieńców! Legną oni pierwsi pod cepem i kłonicą; legnie i ten «mierniczy» — jeśli uzna za stosowne znaleść się między nimi — a na czele stanie ten, którego tłuszcza zna i rozumie, który tłum podobny prowadzić umie, stanie jakiś «*z dopuszczenia Bożego i swywoli ludu*» Szela II, który zawiesiwszy jak jego poprzednik na trzy dni w imieniu cesarza (na trzy dni lub tygodnie) dziesięciorgo przykazań, poda wreszcie spieniony motłoch pod knut i ukazy. I na wieki wtedy zaginie imię polskiéj szlachty i polskiego ludu, a po *młodem pokoleniu* nie zostanie nawet pamięć sromotnych Herostratów. I słusznie! Bo nie drugich śmiercią lecz własną bezpłodnie, kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie; bo bez szlachty ludu nie ma, i nie masz Polski bez katechizmu!...

I jakąż skargę zanieść do Boga, że z takiemi doktry-

nami jeszcze walczyć potrzeba, że wśród narodu, który w przeciągu lat siedmdziesięciu widział Koliszczyznę i «trzy dni Tarnowskie,» przychodzi jeszcze dowodzić *młodemu pokoleniu*, że rzeź nie zbawienie! I jakąż modlitwę przesłać do niebios za tę biedną rozćwiertowaną Polskę, w któréj po tylu dopustach i próbach, jeszcze taki człowiek jak p. Mierosławski swój głos podnosi, młodym naszym braciom nóż wślizga w ręce i przekleństwa kładzie w usta, krwawiących się jeszcze ran ojczyzny dotyka palcem niewiernym, — nie żeby uwierzyć, ale żeby załechtać — i grozi styletami i szyderstwem przeszywa, i czego szałem nie dotruł to błotem obrzuca!...

O, i nie tylko ciało i krew Polski, ale Ciało i Krew Pana rzucił ten człowiek w bezdenną otchłań błota! Nietylko biedną męczennicę Trójkata ale i przenajświętszą Ofiarę Trójcy przekłół szpilkami szyderstwa i bluźnierstwa ten czciciel Boga straszliwego! Niedość, że mówił o spisku Watykanu i Petersburga przeciwko «pańszczyznianemu narodowi», niedość że się urągał z «Polski posłusznéj kongresom i *Papieżowi*» i z szlachty «broniącéj swoich *ołtarzów*» : on radził nadto naszéj młodzieży przenosić «kazanie w Moliera świątyni nad *komedyo-operę w świątyni Loretańskiéj*» i najuroczystsze obrządki naszego kościoła ohydził mianem sprosnego spektaklu! O, tego jeszcze nie dosyć! Człowiek ten wyrzekł, napisał, wydrukował następne słowa, które bez zmiany, ale nie bez drżenia tu kładziemy, i które piekielnym ogniem długo palić się będą na grobowym kirze naszéj Polski, słowa :

... «*Bóg prawdziwy, nie ten omniszony podrzutek Jezuitów, co dzisiaj samemu sobie śpiewa w sykstyjskiéj kaplicy, w haftowanych pantoflach i w haldejskim szlafroku*»...

I takie słowa słyszała młodzież polska, młodzież katolicka, młode pokolenie tego narodu, który wciąż się głosi przedmurzem chrześciaństwa i żali się przed Europą

na prześladowania i okrucieństwa schyzmy, który zbrojne swe hufce nazywa «*wiarą*» i którego lud jeszcze dotąd świadczy rzymskiéj wierze w męczarniach i katuszach pod knutem moskiewskim, którego najdawniejszym hymnem jest pieśń Boga Rodzica, a najwyższą Panią Przenajświętsza Matka! I takie słowa słyszała owa młodzież bez zgorszenia, bez oburzenia, bez wykrzyku rozpaczy— o, podobno je nawet okryła oklaskami!!! I nikt wówczas z młodych słuchaczów nie pomyślał, jakiego to narodu jest dzieckiem, jakiéj Królowéj poddanym? I żadnemu nie stanęła wtedy w pamięci własna matka lub siostra, która się może w téj saméj właśnie chwili modliła do tego Boga za tego syna lub brata; żadnemu nie przyszła na myśl jakaś ukochana istota na ziemi, jakaś droga dusza w niebiosach? Nikt nie drgnął, nikt nie powstał z tych przyszłych powstańców, nikt z tych «świętych męczenników niebawnych mścicieli» nie zemścił Chrystusa, gdy Go w ich oczach powtórnie męczono, octem i żółcią pojono? I żaden z tych «nieodrodnych spadkobierców dawnych podchorążych» nie przypomniał sobie, nie słyszał może, że owi bohaterscy Podchorążowie w wilią nocy listopadowéj spowiadali się i komunikowali; i nikt z tych dorastających «krzyżowców» nie miał nawet uczucia, instynktu, tego prostego kaprala w Dziadach, który «chociaż dawno nie wiedział, gdzie jego podziała się wiara», jednak francuzkim kolegom nie dozwolił bluźnić imienia Maryi?...

Bóg miłosierny, Bóg dobry i litościwy, raczy im odpuścić téj winy! Przez pamięć naszych bolów, przez pamięć tylu polskich męczenników, co ginęli i giną za Jego wiarę, przez tę krew krzyżowanych na tysiącach krzyży poddanych swoich, krew płynną przez lata po wszystkich ziemiach pod mieczem Trój-kata, przez błaganie téj Jego Matki, z któréj świętém na ustach imieniem, od lat już tysiąca, z ciał polskich, dusz polskich wyszły miliony, On nie pójdzie w sądy z tymi biednymi mło-

dzieńcami i Polsce nie policzy ich błędów i obłąkania! On ich natchnie duchem pokory i myślą pokuty, On oczyści ich serca, oświeci ich rozumy, i da im jeszcze żyć na chwałę Sobie, na pożytek ojczyznie!...

. . . .

Kiedy wiek temu blizko, zacni a światli mężowie zajęli się sprawą Rzeczypospolitéj, pomyślano wówczas także i o *młodém pokoleniu* i postanowiono kształcić z niego przyszłych obywateli i obrońcow ojczyzny. Założono szkołę, w któréj uczono wszystkich humanitarnych i wojskowych przedmiotów, i wydano dla niéj sławny katechizm, który wykładał, że honor jest prawem, ojczyzna celem a wiara zbawieniem żywota. *Kadetów* było imię téj szkoły, i *Rycerskim* nazywał się *katechizm*. Z téj szkoły i z tego katechizmu wyszli Kościuszko, Kniaziewicz, Niemcewicz, Weissenhof, Mostowski, i tylu innych ludzi, którymi Polska odżyła: tylu patryotów, męczenników, bohaterów!...

O, dzisiaj inną otwierają szkołę dla *młodego pokolenia* i inny mu wykładają katechizm — katechizm zaprawdę *Nie-rycerski*, ale hajdamacki, zbójecki i bluźnierski, a na nim czy Pankracy zaprawia biednych Leonardów do odgrywania *niebawem*, na polskiéj ziemi, szatańskiego *mysterium* Nie-boskiéj Komedyi!...

Ależ przeciwko temu Katechizmowi Antychrysta, mamy przecież jeszcze Katechizm Chrystusa, który zabrania morderstwa i bluźnierstwa; przeciwko nauczycielom nienawiści w Paryżu, mamy przecież jeszcze w Polsce kochające rodziny! *Młode pokolenie* ma przecież w kraju ojców, matki, braci i siostry... Do nich to, do tych najbliższych krewnych się odwołujemy przeciwko krwawym naukom; na nich to, na tych przyrodzonych mistrzach młodzieży, cięży głównie obowiązek oddziaływania przeciwko wyrodnym mistrzom rzezi, i

oni to, oni przedewszystkiém, zdadzą przed Bogiem i przed Polską sprawę z możebnych skutków takiéj Chowanny!... Niechże więc powiedzą tym biednym, niedoświadczonym, odurzonym młodzieńcom, że przyklaskiwali rzezi własnych ojców, matek, sióstr i braci. Niechże im powiedzą, że ta *humanitarna geneza* miała już swój brzask w Humańszczyznie i że światło przez nich witane, to przecież przedświt z dnia Apokalipsy!...

ŚMIERĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

26 lutego.

Poska poniosła jednę z tych strat niepowetowanych, któréj całego ogromu nawet nie jest w stanie w pierwszéj chwili objąć myśl rozdarta, i na duszę narodu padł cień żałoby, który się tylko powiększa, im bardziéj się pamięć usuwa. Dnia 23 lutego umarł w Paryżu, po ciężkiéj a długiéj chorobie, Zygmunt hrabia Krasiński,

Nie tu miejsce ani czas teraz powiedzieć, jakim żywotem nieprzerwanych a rozdzierających bolów był żywot wielkiego męża, przez jakie przechodził katusze, z jakiemi walczył pokusy, aby utrzymać godność i wiarę swego narodu. Nie tu miejsce wykazać, jakim wzorem, upomnieniem, przestrogą był dla tych wyższych warstw naszego społeczeństwa, do których z rodu i stanowiska należał. Nie tu także miejsce wyliczać dzieła natchnione, jakiemi unieśmiertelnił imię, które głośną się stało chwałą wieku, a cichą modlitwą kraju...

Możemy tu tylko przypomnieć, że po Adamie Mickiewiczu, najwyższy to był wieszcz narodu, przywódzca jego myśli, kierownik jego sumienia : *currus Israel et auriga ejus!* Że się palił wciąż ofiarą na ołtarzu ojczyzny

i natchnioną piersią objął wszystkie jéj bole i wszystkie nadzieje. Anioł-stróż narodowego ducha, jego czystości, świętości, był on zarazem lekarzem naszych serc rozszarpanych, naszych rozpadłych umysłów, i na wrzody i rany polskiego ciała lał gojące balsamy wiary i miłości. W nocy naszéj niewoli głosił przedświt zmartwychstania, ciosy i klęski przeczuł duchem proroczym i przed niemi przestrzegał, upominał, a gdy się ziściły, przez żal i skruchę dostąpił téj dobréj woli, która najwyższym jest darem ducha, i ją przekazał Polsce w najszczytniejszym hymnie naszéj mowy, jako testament, jako słowo i ostatnią wolę!

Rodacy w kraju uczują całą wielkość téj straty i okiem serca obejmą straszną próżnią, nastałą w krainie ducha... My tutaj, wyznajmy z żalem, może nie ze wszystkiém odpowiedzieliśmy ważności takiéj chwili. Bo w miejscu, w którém piszemy, i w którém zgasł mistrz polskiéj myśli i prawdy, rodacy nie uczcili téj dotkliwéj klęski poważnym smutkiem, dnia śmierci wieszcza nie obchodzili jako dzień narodowéj żałoby, i na wyżynach polskiego towarzystwa, nie spędzili w należném i cichém skupieniu doby, w któréj, z jedną tą duszą, tyle nam i Polsce ubyło!

Nawet względy miłosierdzia i światowych z obcymi stosunków, jakie z pewną wistocie słusznością mogli mieć najzacniejsi, nie zdają się nam tym razem wystarczać zupełnie... Gdy jeden z uczniów się gorszył, że święta niewiasta wylewała na stopy Chrystusowe kosztowny oléj, który sprzedany mógłby nakarmić ubogich, odrzekł Zbawiciel : «Ubogie zawsze z sobą macie, ale mnie nie zawsze mieć będziecie.» Otoż i my powiemy : Troskę o ubogich mamy codziennie, ale nie zawsze daną jest nam chwila, w któréj możemy uzacnić się przed światem czcią oddaną duchowi narodowemu.

KARTA POLSKI.

26 lutego.

Mamy mówić o jednéj ważnéj robocie, dokonanéj w Emigracyi na pożytek Kraju. Oddawna poczęta, i w miarę jak wychodziła częściowo puszczana w obieg, wielka mappa ziem składających niegdyś rzeczpospolitę naszę, zupełnie już jest skończoną. Nosi ona tytuł: *Karta dawnéj Polski z przyległemi okolicami krajów sąsiednich, według nowszych materyałów, na* $\frac{1}{300000}$. *Paryż*, 1859. Dołączona na czele mała « karta zbiorowa » lepsze daje wyobrażenie o rzeczy, niżeli ten tytuł, lakonizmem swoim odpowiedni zwyczajowi kartografii, a bardziéj jeszcze wymaganiom wielu innych względów. Rzuciwszy okiem na tę tablicę, widzimy odrazu że Karta obejmuje przestrzeń znacznie przechodzącą granice Polski 1772 roku, bo od przylądka kurlandzkiego Domesnes na morzu Baltyckiém do ujścia Dniestru w morze Czarne, a z zachodu na wschód od Odry daleko za Dniepr górny i środkowy. Powierzchnia tego obszaru, trzykroć sto tysięcy razy zmniejszona i rozcięta na czterdzieści pięć sekcyj, z dodatkowemi odcinkami do niektórych skrajnych, mieści się na czterdziestu ośmiu arkuszach. Kra-

obraz ogromny, a nam do szczegółowego w nim rozpatrywania się tak ciekawy, tak pożyteczny, tak niezbędnie potrzebny!

Ktokolwiek weźmie w rękę jeden z tych arkuszy, zasypanych tysiącami nazwisk nietylko najdrobniejszych wioseczek, ale pojedynczych domostw, kto wpatrzy się w wizerunek każdéj okolicy, przez samo dokładne przedstawienie całego systemu wodnego, błot, jezior, strumieni, dający poznać jéj miejscowość, ten chociażby zgoła nie był obeznany z pełnemi mozołu i kłopotu kolejami, jakie każda karta przechodzi nim wyjdzie na widok publiczny, pomyśli sobie ile tu trzeba było włożyć i pracy i kosztu. Na przedsięwzięcia takiego rozmiaru, niełatwo odważają się najzamożniejsi i oddawna wdrożeni wydawcy prywatni. Są to dzieła właściwe instytucyom rządowym, takim jak *depôt* wojenne, sztaby główne, i. t. d., gdzie przy stale zobowiązanych robotnikach, zorganizowanych i opatrzonych we wszelkie pomoce pracowniach, różnorodna i skomplikowana robota może iść z ładem i pospiechem — chociaż niezawsze tak idzie. Polska za czasów swojéj niepodległości, ani zbliżyła się do tego, co dzisiaj w sierocym skarbcu narodu składają jéj synowie tułacze!

Długo szczyciliśmy się, poniekąd słusznie, a razem zaspakajaliśmy się zbyt ufnie sławną u nas kartą Zanoniego, czyli atlasem w formacie arkusza mniejszego, złożonym z dwudziestu czterech części, niebardzo przystających do siebie, który, dzięki staraniom i nakładom wojewody Jabłonowskiego, wydał Rizzi Zannoni, 1772. Piękny ten pomnik gorliwości obywatelskiéj, wspaniale okazuje się na polu bibliografii, ale co do użytku praktycznego, nawet pod względem historycznym, tém więcéj obudza żalu i narzekania, im pilniejsze poszukiwanie rzeczy, choćby tak prostych jak granice ziem i powiatów, odkrywa ciągle błędy i niedostatki. Bez porównania ważniejszą puściznę mielibyśmy w pracach Karola de Perthées,

gdyby był zdołał wydać krajobrazy wszystkich województw, jak je wydał ośmiu. Ale dwudziestoletnie roboty miernicze w różnych stronach kraju za Stanisława Augusta prowadzone, równie jak zamiar sporządzenia «Mappy Krajowéj» któréj warunki skreślił i wykonaniu miał przewodniczyć Jan Sniadecki, zostały bez owocu, upadły z upadkiem wszystkiego...

Po rozszarpaniu Rzeczypospolitéj, przywłaszczyciele jéj części, niemieccy mianowicie, wzięli się skwapliwie do mierzenia i przenoszenia na papier swoich nabytków. Nigdzie nie zwijano się żwawiéj jak w Berlinie, żeby mappy zagarniętych ziem polskich zrysować i pokłaść na nich wielkiemi literami napisy: *Obwód Notecki* (Netz Distrikt), *Prusy Zachodnie, Prusy Południowe, Nowe Prusy Wschodnie.* Pośpiech musiał być wielki, kiedy już w roku 1802, mógł Gilly, za pozwoleniem królewskiém redukując wielką mappę rządową, wydawać specyalne karty prowincyj, utworzonych z ostatniego zaboru. Panuje w nich straszna zawziętość na polskie nazwiska miast, wsi i uroczysk, ale pod względem topograficznym mają one niepospolitą wartość; służyły zresztą za podstawę do wszelkich rozmaitego formatu i tytułu krajobrazów, w jakich figurowało Księstwo Warszawskie i poźniéj Królestwo Polskie. Najobszerniejsze i najlepsze z nich mappy Engielharta, są z małemi poprawkami i dodatkami, redukcyą kart Gillego. — Podobnież Austrya nie ociągała się z czynnością mierniczą. Z rozkazu Józefa II i Maryi Teresy, Liesganig zajął się pomiarem królestw Galicyi i Lodomeryi, podług metody astronomiczno-trygonometrycznéj. Karty jego stały się także podstawą do poźniejszych poprawnych wydań; a jeżeli wykonaniem nie dorównywały pruskim, miały zato tę zaletę, że nazwiska miejscowe były w nich zachowane czysto i dokładnie.

Kiedy tak ziemie nasze pod panowaniem niemieckiém, mogły być równie dobrze rozpoznawane za pomocą kart

topograficznych jak inne kraje Europy zachodniéj, na wschód od ich granic poczynały się prawdziwie *terræ ignotæ* dla geografów europejskich. Od najdawniejszych czasów rysowali oni te okolice prawie po omacku. Porównywając naprzykład kartę Zanoniego z dokładnemi kartami jakie mamy dzisiaj, dziwić się potrzeba, zkąd on w stronach głębszéj Litwy, a mianowicie Białorusi, nabrał tyle nazwisk, których ani podobieństwa ani położenia doszukać się nie można. Cesarz Alexander I, zaraz po wstąpieniu na tron, kazał wprawdzie zrobić mappę topograficzną całego państwa swojego, i rozkazowi jego w kilka lat stało się zadość. Do roku 1807 wyrytowano już nawet redukcyą z téj mappy na 1/500,000 saméj Rossyi europejskiéj, która składała się ze stu niewielkich arkuszy i miała tytuł: *Szczegółowa karta Państwa Rossyjskiego*. Ale publiczność widzieć jéj nie mogła, służyła ona tylko dla rządu, była sekretną. Rząd rossyjski, jak niezmiernie jest ciekawy wiedzieć co się u innych dzieje, tak chciałby u siebie wszystko zakryć niedostępną tajemnicą. Do jego ostrożności z mappami przyczyniały się jeszcze szczególniéj dwie rzeczy: pewna wstydliwość pokazywania światu tych swoich obszarów gołych, gdzie na kilkuset milach nie masz częstokroć ani jednego śladu pobytu człowieka; powtóre, dawny przesąd utrzymujący się na północy do dni terazniejszych, że kto ma kartę jakiego kraju, to go już łatwo opanować może, chociaż ani Atylla, ani Dżengishan, ani carowie moskiewscy kart nie potrzebowali. Cesarz Napoleon, zamierzając wyprawę 1812, potrafił jednak dostać exemplarz téj mappy sekretnéj, i kazał ją przerytować w Paryżu na skalę półtora razy powiększoną, z pisownią nazwisk zastosowaną do wymawiania francuzkiego. Skoro *Depôt* paryzkie wydało swoję robotę, *Depôt* petersburskie nie miało już z czém się taić. Od roku 1813 przedawano Szczegółową kartę Państwa Rossyjskiego, pospolicie znaną pod nazwiskiem atlasu Suchtelena, po rublu ar-

kusz. Można tedy było mieć u nas sekcye, bądź francuzkie bądź rossyjskie, przedstawiające *kraj zabrany*; ale rzadko kto starał się o nie: raz, że prawie równo były dla ogółu nieczytelne, powtóre, że w owym czasie, jeżeli książka nie należała do sprzętów zwyczajnych w domu szlacheckim, to wielka karta topograficzna być mogła prawdziwie niespodziewanem zjawiskiem, przypadkiem znalezioną pozostałością *po Francuzach*. Do szkolnego i pospolitego użytku nabywano małe ogółowe mapki, a co największa już to jedną z tych kompilacyj niemieckich, w rzędzie których odznacza się rzeczywistemi zaletami karta Polski w dawnych jéj granicach, podług Gillego, Liesganiga i Suchtelena, zrobiona w Wiedniu przez Nordmanna.

Brak upowszechnionych po kraju dobrych jego kart topograficznych, dał się uczuć w wojnie narodowéj 1831. Niedogodność ta stałaby się dotkliwą, gdyby działanie wojenne ogarnęło właściwe sobie pole. Dowódzcom korpusów rossyjskich poprzysyłano z Petersburga *pod sekretem*, odpowiednie teatrowi wojny sekcye nowéj karty Państwa, robionéj wedle świeżo dokonanych pomiarów trygonometrycznych; wodzowie nasi nie potrzebowali ich w znajomym na pamięć trójkącie strategicznym, a na resztę Engelhardt wystarczał. Pomiar odbywał się równocześnie w Królestwie jak w Cesarstwie, karta ośmiu województw była w znacznéj części zdjęta na gruncie i niektóre sekcye leżały wyrytowane; nie zajęto się wszakże odbiciem choćby kilku exemplarzy. Blachy razem z bankiem wywiezione za granicę, razem z nim wróciły do Warszawy.

W emigracyi, rozpamiętywanie wszystkiego co nauczyło doświadczenie, wpatrywanie się głębsze i wielostronne w przeszłość i przyszłość kraju, różnemi drogami zwracało uwagę na kartograficzny nasz niedostatek. Karta, odpowiednia warunkom jakich po niéj dziś wymagać wolno, nie na sam tylko użytek wojenny jest

potrzebną; historya, statystyka, etnografia, nauki przyrodnicze, handel, przemysł, rolnictwo nawet, traktowane szczerze i umiejętnie, bez niéj obejść się nie mogą. Ktokolwiek z myślą podniesioną a sercem przyległém do ziemi ojczystéj, zajmie się jednym z tych przedmiotów, przyjdzie mu zaraz wołać topografii w pomoc. Widzieliśmy codzień koło siebie, jak Francuzi rozumieją ważność ziemioznawstwa swego kraju. Bezustanku, nakładem rządowym i prywatnym wychodzą tu częściowe i ogólne, rozmaitego rozmiaru karty Francyi, a wszystkie, najkosztowniejsze nawet, naród rozchwytuje chciwie. Nie masz zakątka w żadnym departamencie, gdzieby nie można było znaleść zaraz pod ręką, nietylko najdokładniejszego krajobrazu miejscowości, ale i dobréj mappy całego państwa. Wzdychaliśmy myśląc jak w téj mierze jest u nas, a te same przeszkody, które nie dozwalały krajowi nic czynić dla zaspokojenia téj wielkiéj jego potrzeby, wkładały niejako obowiązek na emigracyą przyniesienia mu w tém usługi.

Chęci i projekta zrobienia w Paryżu odpowiedniéj wszelkim rozleglejszym widokom karty całéj Polski dawnéj, poczęły objawiać się silniéj, kiedy okazała się, pod jednym przynajmniéj względem, możność zupełnego wykonania zamiaru, kiedy przybył nowy, najważniejszy, bo wcale niemal brakujący materyał. W r. 1832, minister wojny złożył cesarzowi Mikołajowi specyalną kartę zachodniéj części cesarstwa rossyjskiego, na 1/420,000 sporządzoną i rytowaną w wojenno-topograficznéjm *depôt*, pod przewodnictwem generał-porucznika Szuberta. Karta ta pisana po rossyjsku, a składająca się z pięciudziesięciu dziewięciu wielkich arkuszy, została wystawiona na sprzedaż. Materyały były w pogotowiu, pozostawało tylko obmyślić fundusz, i co najistotniejsza, znaleźć człowieka do prowadzenia całego dzieła.

Emigracya nasza może chlubić się wynalazkiem osobnéj metody przedsiębiorstw publicznych. Wielokro-

tném doświadczeniem pokazała ona, że pieniądz nie jest tu pierwszym warunkiem i główną podstawą. Kiedy rzecz dobra i prawdziwie potrzebna wywołuje uczucie obowiązku, byleby ludzie do tego, byleby piękny przykład na początek a wytrwałośc na dalszą drogę, można poczynać w Imię Boże!

Plan Karty był skreślony przez generała Chrzanowskiego jeszcze w roku 1833, lecz dopiero za powrotem jego z Turcyi w roku 1840, książe Czartoryski, mając zostawionych sobie przez ś. p. generała Paca 12,000 fr. do użycia na rzecz publiczną, zaproponował generałowi, aby z tą summą, jakkolwiek nieznaczną, robotę rozpocząć. Osoby możne wpływem i zasobem, pospieszając z datkiem i staraniami, budziły do ofiar; zapewniał się corocznie fundusz na kilka sekcyj, i dzieło rozpoczęte postępowało daléj.

Pod umiejętnym i doświadczonym sterem generała, wykonaniem rysunków trudnił się stale, znany z wielu dzieł we Francyi topograf Adolf Hipolit Dufour; obok najbieglejszych rytowników paryzkich, przyłożyły się do téj pracy odznaczającéj się zaletami rylca francuzkiego, niektóre talenta polskie ukształcone na tułactwie; pisaniem i korektami zajmowało się kilku rodaków, nim nareszcie ta część roboty nie przeszła całkiem w jedne ręce. Pisaniu towarzyszyła inna czynność, o któréj powiedzieć tu wypada. Z trzech głównych materyałów, jeden tylko Liesganig, użyty w wydaniu nowém przez sztab główny dopełnioném, prawie nie potrzebował poprawy nazwisk; za Engelhardtem wszędzie, za Szubertem w polskich prowincyach nie można było iść bez ciągłéj nieufności i bacznéj uwagi. Do sprawdzania i prostowania błędów pierwszego, w Księstwie Poznańskiém i w Królestwie Polskiém nie brakło pewnych i dogodnych sposobów. Księstwo, oprócz kart specyalnych pisanych poprawnie, posiada drukowane, urzędowe «wykazy miejsc» z liczbą ich mieszkańców; dla Króle

stwa, jeszcze w roku 1827, Komisya spraw wewnętrznych sporządziła Tabellę miast, wsi i osad z wymienieniem ich ludności, alfabetycznie ułożoną. Żadne nazwisko w tych krajach nie zostało napisane na robionéj karcie, bez poprzedniego zajrzenia do wymienionych źródeł. Co do Prus Zachodnich, tu z wyjątkiem niewielu imion wspomnianych przez naszych historyków i geografów, albo takich gdzie domysł mógł śmiało rozstrzygać, wszystko musiało pozostać w swojéj formie okaleczonéj. Podobnież w przepisywaniu z karty rossyjskiéj, przy zupełnym braku dokumentów, przy niepodobieństwie znalezienia zawsze osoby znającéj miejscowość, częstokroć wypadało radzić się ostatecznie swego ucha i natury języka. Dlategoż, jeżeli komu zdarzy się tu i owdzie błąd jaki napotkać, niechaj powstrzyma się z surowością sądu, a raczéj pomyśli jak nam trzeba wspólną i troskliwą pracą we wszystkiém oczyszczać i naprawiać, co obce ręce kalają i psują.

Przez lat ośm robota postępowała bez przerwy i sporym krokiem; można powiedzieć, że wespół z opiekunami sama przemawiała za sobą, pomagała im zdobywać środki prowadzenia jéj daléj. Po roku 1848 poczęła słabnąć, i nie doszedłszy ostatniego kresu swojego ustała. Wypadki polityczne następujące jedne po drugich były tego rodzaju, że myśl, czynność i fundusze Emigracyi musiały zwracać się w inną stronę; ale do zaniechania, czyli raczéj zawieszenia Karty na czas nieokreślony, przyczyniał się jeszcze wzgląd inny. Właściwie mówiąc, główna część zamiaru była spełniona, mogła zaspakajać najistotniejszą potrzebę. Trzydzieści ośm sekcyj zrobionych, składało wielką i ciągłą mappę, obejmującą średzinę Polski i mianowicie te jéj kraje, o przeniesienie których z karty rossyjkiéj najbardziéj chodziło. Nie mieliśmy dzieła całego do wystawienia na widok publiczny, ale mieliśmy arkusze wystarczające na użytek własny. Tak rzeczy zostały przez lat kilka.

Dopiero kiedy znowu okoliczności czasowe zwróciły nas do zatrudnień ciągłych i prac spokojnych, Karta poczęła się przypominać i stawać przed oczyma prawie jak wyrzut sumienia. Smutno było patrzeć na ten gmach wspaniały i kosztowny bez sklepienia i nakrycia, wyglądający, a może i skazany na ruinę. Cokolwiek bądź, dzieła tego rodzaju, jeżeli im brakuje czegoś do wnijścia na pole ruchu księgarskiego i do świątyni bibliografii, prędzéj czy późniéj idą w poniewierkę i zapomnienie. We Francyi kotlarze czyhają na blachy, którym wydawca nie zdołał dorobić okładek z tytułem i regestrem. Karta nieskończona, chybiała już tém samém całkowitego celu swego, że się łatwo rozchodzić i upowszechniać nie mogła. Należało przytém mieć wzgląd i na to, że leżał w niéj zagrzebany znaczny kapitał, bo zrobienie każdéj sekcyi kosztowało w przecięciu 2,000 fr.; a przydając jeszcze tylko dziesiątą część poniesionego wydatku, można było spodziewać się i zwrotu ostatecznego nakładu i przychodu na inne potrzeby opatrywane groszem wdowim. Wszystkie te powody obudzały troskliwość, ale skuteczną pomoc do jéj zaspokojenia przyniosła najmłodsza z naszych instytucyj emigracyjnych. Mówimy tu o Wydawnictwie, które w roku 1856 zawiązane przy Bibliotece Polskiéj w Paryżu, złożyło już kilka pięknych owoców swego usiłowania i wkrótce nowe ukaże.

Książe Czartoryski, generał Zamoyski i generał Chrzanowski, jako ci którzy datkiem, imieniem, staraniem i przewodnictwem przyczynili się głównie do utworzenia Karty i mieli prawo nią zarządzać, zrzekli się jéj całkowicie na własność Biblioteki; Wydawnictwo zaś podjęło się ją ukończyć swoim nakładem i po odebraniu jego ze sprzedaży, oddać dzieło w ręce Rady bibliotecznéj. Dobrym chęciom towarzyszyła czynność. W ośmnaście miesięcy, to jest z dniem 31 grudnia roku zeszłego, dziesięć ostatnich arkuszy, obejmujących siedm sekcyj i

wszystkie skrawki, ukończonych zostało. Teraz odbywa się robota uregulowania karty zbiorowéj i numeracyi, która mimowolnie musiała stać się podwójną. Będzie w niéj ślad i pamiątka, że praca odbywała się za stołem emigracyjnym, podobnym do kapucyńskiego, gdzie niczego nie zapewnia zapas. Jakkolwiek ufność nie zawodziła, sama bojaźń Boża doradzała pewnéj ostrożności. Dlatego sekcye Karty robiły się naprzód najpotrzebniejsze, najbliższe środka, i szykowały się w całość jak gdyby miały pozostać same; a gdy późniéj znalazł się sposób dodać dalsze, te już nie miały miejsca wolnego między niemi i musiały przybierać numera porządkowe sąsiednich, z dodatkiem *bis*, co sprawiło pewien nieład. Ponieważ zaś rozeszła się znaczna liczba exemplarzy przed skończeniem Karty, nie można było kasować pierwotnéj numeracyi, ale raczéj wypadło zostawić ją i dopełnić jak była cyframi arabskiemi, a dodać drugą ciągłą od pierwszego do ostatniego arkusza w cyfrach rzymskich. Objaśnienie to może uprzedzić jeden z zarzutów i przydać się tak dawnym jak nowym nabywcom. Od 15 marca r. b. exemplarze będą do nabycia w handlu i w składzie Biblioteki Polskiéj (6, quai d'Orléans).

Uważaliśmy za rzecz potrzebną i za nasz obowiązek, opowiedzieć historyą dokonanéj roboty, dotknąć nawet drobniejszych jéj szczegółów, bo widzimy w tém interes narodowy. Nie może być obojętném dla Kraju, jak ten owoc wydany na tułactwie zawiązał się, rozwijał i dojrzewał. Jest w nim nietylko zasługa Emigracyi ale i dowód żywotnych sił narodu, od którego już teraz zależy wyciągnąć z niego jak największy pożytek. Pozostaje nam jeszcze dodać słów kilka o znaczeniu samego dzieła, o jego wartości bezwzględnéj.

Karta Polski, jaką teraz mamy, może liczyć się do najznakomitszych płodów tegoczesnéj sztuki topograficznéj. Dokładność rysunku, gładkość rylca, piękność liter stawi ją na równi z pierwszorzędnemi mappami

francuzkiemi. Obejmując okolice, które dopiero na kartach rossyjskich ukazały się w całéj obszerności, jest co do tych krajów pierwszą pisaną charakterem łacińskim, a co do całego obszaru ziem naszych, pierwszą pisaną tak poprawnie po polsku. Skala jéj większa od szubertowskiéj, przy staranniejszym rysunku pozwoliła lepiéj uwydatnić szczegóły i fizyognomią każdéj miejscowości. Pod tym względem ma wyższość i nad Engelhardtem. Nie dostało jéj, zdaniem niektórych, ważnéj jednéj rzeczy; lasów. Na ten zarzut, czyli raczéj na to utyskiwanie, winniśmy dać tu odpowiedź. Naprzód nie można było tego zrobić, czego materyały nie dostarczały. Lasy u Engelhardta są po większéj części imaginaryjne; u Szuberta zgoła ich nie masz. Powtóre, karta która bez lasów kosztowała przeszło 80,000 fr., z lasami kosztowałaby drugie tyle. Nakoniec, lasy, jak wiadomo bardzo uległe zmianie, nie stanowią ważnego warunku ani dokładności, ani użyteczności karty takiego rozmiaru; bez nich odpowiada ona dostatecznie głównym swoim celom, a w pomoc może i powinna mieć rozleglejsze, miejscowościóm poświęcone. Zbywało na nich kiedy się robota Karty naszéj rozpoczynała, znajdują się teraz wszędzie, bo nawet rząd rossyjski w roku zaprzeszłym zdjął zupełnie pieczęć sekretu z topograficznych skarbów swoich, ale to w niczém wartości jéj nie ujmuje, znaczenia nie zmniejsza. Życzyćby tylko trzeba, żeby znalazła takie przyjęcie na jakie zasługuje, i tak stała się upowszechnioną jak przez to może być pożyteczną w Kraju.

LISTY WARSZAWSKIE.

2 kwietnia.

I

Niemożna nie widzieć ani zaprzeczyć, że dzisiaj bije w nas życie pulsem nieco rzeźwiejszym, że tchnienie lepszego ducha nas owiało, a w każdym razie, że żyjemy przynajmniéj w atmosferze mniéj dusznéj niż w ostatnich latach. Jedni, z interesu zapewne lub wygody, przypisują tę słabą jeszcze nader odmianę łaskom dziś panującego cesarza; drudzy radzi powiadają, że taki jest duch czasu, choć ten ogólnik niewiele co tłómaczy: my wreszcie, nie uciekając się do tłómaczeń, wierzymy, że chwila obecna, opatrznie nam zesłana, dla gotowania się, obrachowania, skupienia w duchu, łączenia w uczuciach prawych i pożytecznéj pracy; dla tego też na niéj pozwalamy sobie, pewniejsze niż temu lat kilka gruntować nadzieje. Wątłe są i tylko pozorne zmiany, jakie wprowadzono, widzimy jednak dobrze, że cofnąć się i przywrócić minioną epokę nikt już dziś nie zdoła, a jeśli «jasność nie zaświeciła nam na drodze» jak powiada stara pieśń nasza, to przynajmniéj niektóre ciemności

pierzchły i dają możność zdrowszego, trzeźwiejszego poglądu. Uznając tedy z trwogą i nadzieją ten, jak sądzimy, nowy peryod męczeńskiego naszego żywota, chcielibyśmy tu zwrócić uwagę, że pod niejednym względem chwili takiéj jak obecna, nie miała młoda generacya sposobiąca się do życia w ostatnich czasach: pragnęlibyśmy także zdać sobie sprawę, o ile duch i poczucie ogółu poznaje tę chwilę i korzystać się z niéj sposobi.

Jeśli spojrzemy w niedaleką przeszłość i przeniesiemy myślą do czasów, w których gotowało się do życia dzisiejsze pokolenie, przyznać musimy, że były to czasy straszne i opłakane, i że ludzie wychowując się śród takich okoliczności i warunków, nieledwie nie mogli stać się innymi, jak tém czem się stali. Natomiast, jeśli kto bezstronnie na teraźniejszość spojrzy, uzna łatwo iż ci co się dziś do życia gotują, pod wieloma względami mogą się przygotować inaczéj. Czy tylko szczerze zechcą? czy tylko stale wytrwają? Czas to pokaże i czas ich oskarżać będzie i ich samych tylko, jeśli nie czyściejsi i nie silniejsi zajmą opuszczone po swych poprzednikach stanowisko. Wiadomo powszechnie, w jakich szkołach i śród jakich okoliczności kształcili się i wyrabiali ci, co dziś najpóźniejszą generacyą obywateli i urzędników stanowią: znaliśmy ich na początku ich zawodu, wiemy z czém przychodzili do życia i jakie były ich zasoby moralne. Większa z nich część, i to właśnie zdolniejsza, kończyła uniwersytet w Petersburgu i z małym nader wyjątkiem wracała ztamtąd w najopłakańszym stanie duszy i umysłu. Tuzinkowy sceptycyzm ubarwiony petersbursko-francuzkim dowcipem, wyziębienie serca przy niejakich wybujałościach umysłu, lekceważenie wszystkiego obok olbrzymiéj zarozumiałości, rozigrane żądze i pragnienie używania: te były wybitne i bardzo ogólne cechy odznaczające smutny, a dość liczny zastęp petersburskich wychowańców. Sarkazm gryzący, lub skarga niedołężna na ton poetycki napuszona, obja-

wiały jedynie resztki jakiegoś poczucia godności ludzkiéj i narodowéj. Żadna nić serdeczna nie łączyła tych ludzi ze sobą; znali się zbyt dobrze, by się wzajemnie szacować mieli, wyższą rozmową dla nich były błahostki literackie, odgadywanie rebusów lub wynajdywanie kalemburów. Czémże stać się mogli w wieku dojrzałym ludzie, co takimi byli na progu życia? Jedni, i to szczersi, zachowali swój petersburski sceptycyzm, który tak łatwo do rozpasanego materyalizmu prowadzi i na seryo zajęli się karyerą i robieniem pieniędzy; drudzy udrapowani w parafialny bajronizm, dźwigają ciężar pustego żywota, kłamiąc sobie poezyą, kłamiąc uczucie, kłamiąc artyzm, kłamiąc nawet męczeństwo, którego dostojności nie rozumieją. Taką była wielka część wykształconego w Petersburgu pokolenia, które dziś czynnych urzędników w kraju stanowi. Inną wprawdzie koléj przechodzili młodzi obywatele; lecz koléj ta zbyt znana, abyśmy się nad nią rozpisywać potrzebowali. Do czego prowadzi wolność próżnowania, wolność rozkazywania u młodzieńca, w którego duszy żadna myśl wyższa się nie rozbudziła, któremu żaden cel zacny nie przyświeca, który w szkołach, piekielnie na stratę czasu obrachowanych, stracił nieraz czystość duszy a umysłu żadnym zdrowym, istotnym nabytkiem nie wzbogacił, który z towarzyszami nie złączył się żadnym węzłem cnotliwéj myśli: do czego doprowadzić może takiego młodzieńca *swobodne* (jak mówią) na wsi życie, domyślić się bardzo łatwo. Nie zawiedzenie więc błogich nadziei, ale ziszczenie smutnych zapowiedzi, oglądamy w teraźniejszém usposobieniu wielkiéj części urzędników i młodych obywateli naszych. Jakież owoce wydać mógł zasiew moskiewski, rzucony na pokolenie, które do 1849 roku z szlachetniejszych i zdolniejszych swych członków tak wielki Sybirowi i tułactwu spłacała podatek, a w którem młodsi pozostali nie zawsze umieli hartem duszy i pracą opór stawić zgubnemu wpływowi?

Jeśli na same ciemne i smutne strony zwracamy uwagę naszą, to nie dla tego, aby ludziom ich winy i grzechy wytykać; wiemy dobrze, że w tym obrazie znalazłyby się i światlejsze rysy, a na wyjątkach szlachetnych nigdy u nas nie brakło: ostrożność nie pozwala nad nimi się rozwodzić, a obowiązek nakazuje to raczéj mieć na uwadze, coby ostrzedz mogło pokolenie w łatwiejszych warunkach przychodzące do życia, aby z błędów i doświadczenia poprzedników korzystało. To też dla tego wierzymy, że chwila obecna korzystniejszą i sposobniejszą jest do niektórych przynajmniéj prac i usiłowań, a w téj wierze utwierdza nas przekonanie wszystkich serc czujących i szlachetnych, dla których godłem jest: robić wytrwale co można dziś, aby nadeszła pora robienia tego, czego dziś jeszcze nie można. Utwierdza nas w tej wierze instynktowe niejako a jaśniejsze trochę widzenie rzeczy u wchodzącéj do życia młodzieży, już nie wstępującéj w utarte ślady tych poprzedników, których smutną charakterystykę podaliśmy wprzódy. Młodzież ta zaczyna mieć głębsze pojęcia o potrzebie wykształcenia, którego system moskiewski dać nie może; większość już nie dąży do tego, aby się kreować na literacką znakomitość lub salonową powagę, na które to godności dość hojnie rozdają dyplom pewne koła warszawskiego społeczeństwa. Z poczuciem obowiązków narodowych, zapał już nie płynie tylko z chwilowo rozgrzanéj wyobraźni, ale i z tego przeświadczenia, że trzeba z wyrobionym i nieskażonym charakterem zająć miejsca, które dziś skażeni zajmują. Wywalczyć sobie niezależność, a spieszyć z każdą braterską posługą, kształcić się stroniąc od wszystkiego, co jest fałszem i próżnością, staje się hasłem coraz ogólniejszém. W téj sferze ludzi kojarzących się bez odrębnych chrztów i obrzędów, nie wyskakuje ta próżność i miłość własna, które głaskania szukają w czczych literackich rozprawach i próbkach jałowéj często poezyi, a

sama poważniejsza myśl i dążność chroni od salonowych tryumfów i zapasów. Takie to zasady przenikają poczciwsze serca wbrew wszelkim policyjnym strażom, gdyż rozszerzaniu się ich straż policyjna tamy stawić nie może. Nietylko na objawach życia w młodzieży naszéj, gruntujemy lepszą na przyszłość otuchę; bo i śród dojrzałych a czynnych członków społeczeństwa, ci co *dziś* chcą dobrze (a jest ich trochę większa liczba) lepiéj chcieć dobrego umieją. Potrzeba jakiegoś ciągu, logiczności i wytrwania w działaniu znajduje istotniejsze uznanie, a wiele sumień uśpionych i ściśnionych umysłów otwiera się na myśl publicznéj i pożytecznéj pracy.

W średnich wiekach, w czasach wiary żywéj i młodzieńczego zapału, widziano chrześcian, którzy opuszczali domy z całemi rodzinami i szli pracować około budowy owych katedr niebotycznych, co nas dziś jeszcze podziwem przejmują. Myśli co ich ożywiała, poświęcili wszystkie wygody życia; całą nagrodę znajdowały ich serca wierzące, gdy wieczorem, po dniu pracą wypełnionym, badać mogli wzrokiem o ile dzieło rąk ich wyżéj posuwa się ku gorze. A gdy wreszcie po wielu latach téj nieznanéj i nieuznanéj pracy, ujrzeli krzyż błyszczący na najwyższym szczycie budowy ich rękami wzniesionéj, żegnali się z dziełem, któremu trud tylu lat życia oddali, zabierali rodziny, i nie zostawiwszy nawet swego imienia, wracali do domów umrzeć z tém najsłodszém przekonaniem, że cośkolwiek dla myśli wielkiéj spełnili. Dziś przykład owych chrześcian gorących i wierzących, owych robotników, wytrwałych choć nieznanych, na których pracujący około narodowéj budowy zapatrywać by się winni, dziś przykład ten więcéj ma dla nas prawdy i uroku, niżby miał lat temu kilka. Dziś już nie wszyscy czujemy się powołani do owych tytanicznych a głośnych zapasów, do jakich tylko silni duchem i potężni umysłem w epokach wybranych bywają przeznaczeni. Nie wszyscy pra-

gniemy, olbrzymów krokiem wdzierać się po złomach i zrębach skał, rzuconych jedna na drugą, aby ogień z nieba wydrzeć, i nie wszyscy wreszcie z cierpień własnych splatamy sobie cierniowe korony, aby w bezrozumnéj igraszce, Chrystusa udawać przed tłumem. Wierzyć zaczynamy mocniéj i przekonywać się lepiéj, że do wszelkiéj budowy potrzebnymi są także i owi chrześciańscy, wytrwali a skromni pracownicy, co cegły drobne przynoszą, nie pytając się ani jaka będzie zapłata, ani czy już jutro krzyż na skończonéj wieży zabłyśnie. W tym zwrocie pojęć i przekonań najpewniejszą widzimy rękojmię, że zasili się i pomnoży zastęp wiernych, czujnych i wytrwałych robotników, i że budowa posunąć się może ku górze.

Nadzieje i tylko nadzieje, powiecie... lecz cóż można przesłać z ziemi ucisku? Nam się wydaje, że niemałą jest rzeczą zachować nadzieję, a wiedzieć na czém się ją zakłada. Nam nie uśmiecha się ona, ani z łask szafunku, ani z odmiennego, według niektórych, systemu rządu, ani z instytucyj przezeń nadanych, ale gruntujemy ją na dobréj woli żywotniejszéj części narodu, przed którą jaśniéj cokolwiek i szerzéj otwierają się drogi działania; gruntujemy ją na wszystkich sercach niezepsutych, w których mocniéj się pali miłość ojczyzny i uczucie płynących z niéj twardych nieraz obowiązków.

II

Nadziei tu wyrażonych, nie podzieliłby może z nami ten, ktoby społeczeństwo nasze osądził z dzienników warszawskich i pobieżnéj literatury. To co się chowa w łonie i święci w zamiarach narodu, z czego złożone są jego najsroższe bole i najdroższe nadzieje, niezawsze odbić się może w dziennikarstwie naszém, a to coby

się dotknąć i odbić dało, niestety, nie bywa podniesione w należny i poważny sposób. Dla tego, jeżeli jest prawdą, że czasopisma wyrażają fiziognomią moralną społeczeństwa, to, co się nas tyczy, więcéj trochę jesteśmy warci, aniżeli pokazuje fiziognomja. Niedawno jeszcze miały dzienniki warszawskie tę bezbarwną nijakość, która bolała wprawdzie, ale nie raziła niczém, a nawet w tém skazaniu na oniemienie, była pewna posępna wymowa, pewna powaga milczenia, któréj wróbli niewinny swiergot *kuryerka* nie szkodził. Dziś zaczyna być gwarno i szumno po kolumnach naszych dzienników, zwiększa się codzień liczba pism i piszących, a jeśli drobiazgowy interes i podrzędna ciekawość znajduje w nich coraz obfitszy pokarm, to pod względem istotnéj treści i pożytku wiele nam jeszcze zostaje do życzenia. Pewne wyrazy i frazesa zabraniane kiedyś, przepuszczane dzisiaj przez cenzurę, nie mogą zastąpić téj sumienności zasad i przekonań, jakich się żąda od ludzi biorących powołanie pisarza na seryo. Nie czynimy odpowiedzialnémi dzienników warszawskich za to, co jest przy obecnych warunkach istotném niepodobieństwem; wiemy dobrze, że mimo pozornych zwolnień mają one do czynienia z tą samą co dawniéj cenzurą : ale tego przecież wymagać możemy, aby owa tak dziś rozgadana i roztrzepana nieraz literatura, przy mnożącéj się liczbie dzienników i piszących, zachowała trochę więcéj téj powagi i tych obywatelskich poczuć, jakie w naszém położeniu potrzebne są i niezbędne.

Dziennikarstwo nie umiejące, czy też nie mogące wyrobić sobie pewnych zasad i dążności, nie przejęte obywatelską stroną swego powołania, nie może wpływu zbawiennego wywierać, a niezdolne wyprowadzić z błogiéj szczęśliwości jednych, ani podnieść i umocnić drugich, staje się czczą zabawą niezawsze nawet niewinną, i pod swe opiekuńcze, szeroko rozpostarte skrzydła, po-

zwala się chronić wszystkim miernotom, wszystkim próżnostkom szukającym dogodnego, czasem nawet zaszczytnego próżnowania. Trzeba wyznać, że temu stanowi u nas dopomaga niemało dziecinne jakieś zaślepienie, nieledwie szał, pewnych koteryj warszawskiéj publiczności. Dosyć jest, przymizdrzyć się jéj kilkoma literackiémi artykułami, dosyć błysnąć pożyczanym nieraz dowcipem, zaimponować szumnym frazesem, żeby zyskać nietylko sławę autora, ale rozgrzeszenie za wszystkie przeszłe i obecne błędy człowieka, a nawet uwolnienie na przyszłość od wielu cnót chrześciańskich i obywatelskich obowiązków. Niktby nie uwierzył, nie przypatrzywszy się temu z bliska, jak magnetycznie jeszcze działają na większość wyrazy uświęcające : « Ten pan pisze, ta pani uczęszcza w literackie koła. » Na te czarodziejskie słowa, otwierają się usta z podziwem, schylają głowy z poszanowaniem ; usterki i przeniewierstwa tego pana, nieczyste a wszystkim znane sprawy tamtego, wymazują się z księgi ich żywota, otacza się ich tym szacunkiem, zaufaniem i wziętością, jakie tylko najznaczniejszym przynależą ludziom. Jest w tém wszystkiém trochę bezrozumnego bałwochwalstwa i dużo chorobliwego stanu, a chorobliwość ta i bałwochwalstwo szkodliwszemi są u nas niż gdzieindziéj; u nas, gdzie jedyną dozwoloną protestacyą jest zbijanie fałszu i prywatnego przynajmniéj nadużycia, gdzie jedynym możliwym objawem opinii, cześć i poszanawanie dla nieskażonych, u nas zaprawdę smutniéj niż gdziekolwiek rażą te mętne wyobrażenia o zacności i nieskazitelności, te pokłony wybijane bałwankom na piedestale próżności, zręczności, a choćby i samego talentu wyniesionym. Nauczyliśmy się chlubić talentem, często zmarnowanym, wykrzywionym lub źle użytym, w sposób w jakibyśmy się jedynie chlubić powinni niepokalaną cnotą, wyprobowaną zacnością i publiczną zasługą obywateli naszych. Nie wiemy, a raczéj nie chcemy wie-

dzieć o téj znanéj i bardzo oklepanéj prawdzie, że tylko miłość wielka i boleść prawdziwa dają żywotność i namaszczenie słowom, co mają być od ludzi usłyszane i w głębi dusz odczute. Lecz ani za miłość, ani za boleść, ani za walkę istotną i łzy gorzkie w dyamenty skrystalizowane, ani za wymodloną chwilę łaski i jaśniejszego widzenia, ani za lata cichéj i mozolnéj pracy, ani za uciszenie pragnień i bolów własnéj duszy, by w niéj *głos Pański* wyraźniéj przemówił — o! nie za to wszystko dawać jesteśmy zwykli uznanie, cześć i szacunek. Dosyć jest nachwytać wrażeń jaskrawych w wygodném uleganiu namiętościom, podsłuchać w wesołém towarzyskiém życiu tego co może zająć, pogłaskać, choćby podrażnić lekko, tyle ile dla odmiany chwilowéj potrzeba, aby już pozyskać nasze uwielbienia, sympatye i *admiracye;* a jeśli zręczniejsi potrafią nam to wszystko okrasić jeszcze kolorytem miejscowym, to już wtedy my Warszawiacy, którzy kochamy *naszą Warszawkę* i wszyscy jesteśmy za farbowaniem miejscowém, takowych zręcznych kolorystów czcić i bronić jesteśmy gotowi, jako naszych *narodowych* i zasłużonych pisarzy, przeciw Zoilom, coby na ich cnoty obywatelskie lub talent cień podejrzenia rzucali. Dzisiaj nawet, gdy niektóre z tych znakomitości naszych, przez nieostrożność czy ufność w pobłażanie opinii, zdemaskowały się trochę, taka jeszcze w nas jest moc nałogu, że choć brudne, gorszące i śmieszne przygody niektórych, przed naszemi przesunęły się oczami, to jednak raz dawszy im chrzest na znakomitych pisarzy i stołeczne chluby dziennikarstwa, przez lenistwo czy też obojętność, nie mamy ani ochoty, ani odwagi zdanie nasze odmienić — i « komedya się gra, » bo znajduje się zawsze pewna liczba naiwnych, których w feletonach i sprawozdaniach tygodniowych roztkliwiają wciąż « naszych dziewic rumieńce, naszych matron cnoty, naszéj zimy powaby, naszych kmiotków poczciwa praca, naszych obywateli ogorzałe lica, naszych

ptasząt świergot, i naszych cukierników, kawiarek i właścicieli piwa bawarskiego uprzejmość!!»

Są zapewne w pismiennictwie naszém ludzie, dla których powołanie pisarza jest istotném kapłaństwem; znaleźliby się i tacy, według których w każdym pisarzu i w każdym artyście jest kapłan i aktor, kapłan mówiący sam na sam z Bogiem i aktor występujący przed tłumem: lecz dla wielu zapełniających codziennie kolumny naszych dzienników, nie istnieje już nawet ten dualizm, dla wielu przechowała się tylko druga osoba dwójcy, to jest aktor, a trzeba wyznać na ich pochwałę czy téż naganę, że bywa to najczęściéj mierny prowincyonalny aktor, naśladujący niezręcznie francuzkich mistrzów w téj kuglarskiéj sztuce. Fakt ten, że zepsuta czy też nie myśląca publiczność smakuje w takim pokarmie, a nawet go potrzebuje, jest bardzo słabą i niedostateczną obroną dla tych, co jéj tę strawę przyprawiają i podają. Rozumiemy dobrze, że czasopisma nasze, nie mogące rozbierać politycznych kwestyj, ani téż zawsze zwracać uwagi na istotne i najgłówniejsze potrzeby kraju, muszą otwierać swe kolumny belletrystycznym artykułom i lekkiéj pogawędce tygodniowych sprawozdań; ale i tu sumienność zasad i myśl o dobru publicznem przewodniczyć by winna piszącym, a poszanowanie pisarskiego powołania chronić by mogło przynajmniéj od tych uchybień i lekceważeń, jakie w położeniu naszém niestosowne są i gorszące. W najlżejszą literaturę, choćby tylko do zabawy przeznaczoną, można wlać pewną żywotność i siłę, można z niéj nawet w pewnych razach zrobić broń, jeśli niezawsze zaczepną to przynajmniéj odporną. Tutaj nie byłoby może od rzeczy przypomnieć, że taki mąż jak Niemcewicz, często z wieści krążących po mieście układał owe bajeczki i anekdoty, które miewały moc i znaczenie pamfletu. Był on wtedy nieledwie feletonistą swego czasu, lecz jednéj myśli wciąż oddany, umiał z najdrobniejszych cytat i suchych nieraz szperań

historycznych broń sobie tworzyć, a naród wie jak wytrwale nią walczył. Bo komu świeci, nie podejrzanie mrugająca *gwiazdka* ale...

«... myśl słoneczna
Wiodąca prosto w jasnych celów progi,»

w ręku tego i pióro feletonisty poczciwéj sprawie służy, a jasny cel publicznego dobra nie przestaje na chwilę oświecać mu sumienia.

III

Najgłówniejszą podporą dzienników naszych i największą ich przynętą są powieści zamieszczane w feletonie. Nie jest zamiarem naszym tutaj, rozbierać zasługi lub talent pisarzy oddających się téj gałęzi literatury, ani myślimy podawać w wątpliwość pewnéj potrzeby a nawet ważności romansu, który we wszystkich literaturach znalazł i zdolnych pisarzy i licznych czytelników. Skoro tedy jest faktem dowiedzionym i na naturze ludzkiéj opartym, że tak dorosłe jak nieletnie dzieci bajek potrzebują; skoro u nas potrzeba ta silniejszą nieledwie bywa jak gdzieindziéj : nie byłoby może bez pożytku, aby powieściopisarze nasi i czytelnicy, zbyt wyłącznie niekiedy romansopisarzom francuzkim hołdujący, obznajmiali się raczéj z angielskim romansem. Jeśli w krótkich powieściach i lekkich a wykwintnych opowiadaniach (contes) nikt Francuzom nie wyrówna, jeśli niektórzy mistrzami się okazali w malowaniu namiętności i tworzeniu typów spółczesnych, to ma przecież nad ich utworami romans angielski przewagę swojém głębszém i szerszém objęciem natury ludzkiéj w jéj całości, posiada on ów zakrój epiczny i oddech zdrowy jakiego tamtym najczęściéj nie dostaje, cechuje go nieraz publiczne niemal znaczenie, jakie mu nadają ludzie co jak d'Israeli, Bulwer,

Manners i inni wysokie w swym kraju zajmują stanowisko. Na pierwsze wejrzenie zdawać by się mogło, że nic mniéj poetycznego, nic mniéj malowniczego jak społeczeństwo angielskie, złożone z ludzi sztywnych, milczących, wygolonych, którym zimny i odpychający *cant* wszechwładnie panuje; a przecież to wszystko nie przeszkadza literaturze tego narodu jasnieć prawdziwą poezyą, tworzyć oryginalnie charaktery i dawać malownicze a przemawiające do wyobraźni rysy. Romanse angielskie (o lepszych naturalnie tu mowa) przekonywają, że istotny, poetyczny nawet interes nie leży w utworach wyuzdanéj i rozpasanéj na wszystko wyobraźni, ani w potwornych i naciąganych najczęściéj sytuacyach, ale w obrazie serca ludzkiego, choćby z jego upadkami i namiętności szałem, byle oraz ten oświecany był z tą prawdą, miarą i taktem moralnym, jakie u znakomitszych angielskich romansopisarzy napotykamy.

Jeśli nawiasowo napomknęliśmy, tutaj o angielskim romansie, to nie dlatego, by mu większą jak na to zasługuje przypisywać wagę; nie obiecujemy sobie po nim tych zbawiennych na nasze społeczeństwo wpływów, jakie tylko z innych, a daleko właściwszych wynikać mogą źródeł. Gdybyśmy tuczyć sobie mogli, że słowo nasze znajdzie przyjęcie, tobyśmy zaiste nie czytanie romansów, choćby téż najlepszych polecali, ale raczéj staralibyśmy się zachęcić, namówić, przekonać mianowicie młodzież naszę do obznajmienia się z tém wszystkiém co klasyczną literaturę stanowi; bo próżnia jaką w téj mierze szkoły nasze w umysłach zostawiają, niczém innem zastąpić się nie da. Już lat 30, pokolenie po pokoleniu u nas pozbawione jest całkowicie znajomości starożytnéj literatury, obcy nam, coraz ten wiecznie młody i wiecznie żywy świat rzymski i grecki, nikt już nie chodzi do niego krzepić się owym pokarmem dusz silnych i umysłów zdrowych, który życiu daje miarę,

słowu pisanemu wagę, który od wybujałości chorobliwych strzeże, a wraża w serca owe obywatelskie uczucia, ową cześć rzeczy publicznéj, co religią były starożytnych. Od lat 30 przywykliśmy z młodu zaliczać się do romantycznéj szkoły, nie zdając sobie najczęściéj sprawy, jaki był duch i znaczenie a nawet forma tych utworów, co rozpoczęły u nas tak zwaną romantyczną szkołę: zapominamy o tém, że ci co ją utworzyli, tak dobrze Adam, Bohdan i autor Irydiona, jak Mochnacki i Bielowski wszyscy na klasycznych zaprawni byli wzorach, z duchem z Hellady przestawali długo i rzymskiego świata dobrze były im znane dzieje. Lecz dzisiejsi romantycy rzadko wstępują w ich ślady, a w opinii pewnych niedojrzałych umysłów, być romantykiem znaczy tyle, co kształcić się na francuzkich romansach i żartować ze wszystkich nieczytanych nigdy klasyków. Ci biedni wyśmiani i zapomniani klasycy nasi! nie raz żałować ich przychodzi, czytając pewne spółczesne utwory: nigdy ich ciężkie nawy nie pływały śród tak *rozbujałych fluktów*, śród jakich z upodobaniem brodzą dziś bez steru i busoli niektóre zbyt romantyczne łodzie. Wielu z tamtych nie nauczyło i nie podniosło nikogo, ale wątpię by który wykrzywił życie lub zwichnął umysł czyjkolwiek; tymczasem tylu miernych romantyków i romansopisarzy zawraca głowy i wprowadza ludzi na błędne ścieżki przesady i chorobliwości! Nawet gdy wyższa zdolność i istotny talent podnosi szczytne nieraz obłędy, po nowszéj literaturze szeroko rozlane, a które odgłos znajdują w każdém szlachetném i czującém sercu, nawet wtedy aby się nie dać unieść zbyt wysoko i nie upaść potém zbyt nizko, trzeba mieć moce pewne i stałe: kto ich nie znajduje w silnym wiarą duchu, powinien je znaleźć przynajmniéj w obznajmionym z historyą i literaturą starożytną umyśle. To téż gdyby umysły nasze upodobały sobie i umiały się patrzeć na «jutrzenek greckich różaną pogodę i swobodę» i na świata rzym-

skiego stalowy hart, ileżby nam siły, tęgości i zdrowego ducha przybyło, jak zrozumialszemi stałyby się i własne, niezawsze dobrze rozumianie dzieje i wszelkie pojęcia państwa i exystencyi narodu, tak nieraz mdławo świtające po wyobraźniach.

Nie wielu piszących u nas ma powyższe względy na uwadze, nie wielu z czytających i kształcących się usiłuje wypełnić ową próżnię jaką system edukacyjny moskiewski z wiedzą i celem w umysłach młodzieży utrzymuje. Zamiast na wzorach klasycznego świata greckich tragikach i historykach rzymskich, wolimy się kształcić na memoarach spółczesnych i teatrze pana Scribe, a dzienniki nasze dają nam obszerne sprawozdania z tłómaczonych wodewilów i szczegółowe nad grą aktorów komentarze; zamiast pouczających starożytnych dziejów ba nawet własné żywéj jeszcze przeszłości, wolimy archeologicznym oddawać się badaniom i troskliwie zbierać smentarne strupieszałości; a że mało z nas komu Szekspir znajomy, więc nie postrzegamy jak bardzo do Hamleta stajemy się podobni, który z grabarzami na smentarzu rozprawia i z aktorami długie i poufne ma narady, a zaniedbuje wykonać to, do czego duch ojca wyzywa go i upomina.

NIEPRZEZORNOŚĆ DZIENNIKARZY I DRAŻLIWOŚĆ IZRAELITÓW POLSKICH.

9 kwietnia.

Prawie od początku roku bieżącego aż do końca zeszłego miesiąca, brzmiał w dziennikach krajowych przykry dzwięk jednéj z wielkich i ciężkich kwestyj, potrąconéj w sposób drażliwy. Co gorsza, nierozważne a wrzaskliwe echo tego głosu odbijało się w pismach zagranicznych. Ociągaliśmy się z wdaniem się w tę nieprzyjemną sprawę, nietylko przez wstręt łatwo dający się wytłómaczyć, ale z uwagi, że należało zaczekać na dogodniejszą porę, kiedyby umysły ochłodłe z pierwszego zapędu, łatwiéj mogły przyjąć słowo bezstronne, jeżeli ich dojdzie. Gwar publiczny ucichł cokolwiek, i możebyśmy pokryli go milczeniem, gdybyśmy nie mieli powodów mniemać, że zawieszenie broni jest tylko chwilowe i rzecz zostawiona na niedobréj drodze, może za lada okazyą być podjętą i prowadzoną daléj w kierunku wielce szkodliwym. Dlatego czujemy potrzebę i obowiązek rzucenia kilku słów, nie w nadziei rozstrzygnięcia sporu, ale przynajmniéj połączenia naszego głosu z rozsądnemi uwagami, które już odezwały się w téj mierze.

Gazeta Warszawska z dnia 4 stycznia, w swojém tygodniowém sprawozdaniu, mówiąc o koncercie panny Nerudy, dotknęła uszczypliwie klasę ukształconych Izraelitów warszawskich i wyraziła się z cierpką niechęcią ku całemu plemieniowi. Autor artykułu kończy ironiczném ubolewaniem, że ani przekopanie Suezu nie odciągnie Izraelitów na powrót do Egiptu.

Wszystko to wypowiedziane stylem feletonowym, z obowiązku lekkim i niby humorystycznym, stało się zaczepką tém nieszczęśliwszą, że od razu nastroiło walkę na ton wzgardy i obrazy. Rozdrażnienie jakie ztąd wynikło pokazuje wszakże, dla nieznających nawet z blizka stosunków miejscowych, że zajście jest nie nowe, obciążone wzajemnemi zażaleniami, mające głęboki grunt pod sobą; dlaczego właśnie, ten zawsze będzie winien, kto zechce je rozjątrzać w sposob rozmijający się z wzniosłym i poważnym sądem.

Redakcya *Gazety Warszawskiéj* otrzymała zaraz kilka listów bezimiennych, które jako takie nie powinny były zasługiwać na uwagę, chociażby zawierały obelgi osobiste i nawet wyrazy ubliżające ogółowi. W tydzień póżniéj doszedł głównego redaktora list opatrzony dwudziestu trzema podpisami Izraelitów znamienitszych w Warszawie (jak Ludwik Natanson, redaktor *Tygodnika lekarskiego*; Aleksander Lesser, malarz; Henryk Töplitz; Stanisław Kronenberg; Zygmunt Ostrowski, dyrektor Zakładu agronomicznego; Maksymilian Fajans i inni). Podpisani, wyrzucając *Gazecie Warszawskiéj* chęć budzenia powszechnéj nienawiści ku Żydom w kraju, zamiast szlachetnéj protestacyi przeciw posądzeniu ich o uczucia wyłączne i nieprzyjazne, dopominali się wprost i tonem wyzywającym, aby *Gazeta* umieściła w swych kolumnach odwołanie artykułu z dnia 4 stycznia, zredagowanego przez nich i przyłączone do listu. Wymaganie w formie swojéj upokarzające, traciło prawo słuszności i nie mogło do niczego już więcéj doprowadzić

na polu dziennikarskiém. Wdanie się władzy rządowéj nakazało obu stronom milczenie, i możeby na tém należało było poprzestać, skoro poważnéj, przezornéj i patryotycznéj polemiki ani jedna, ani druga strona prowadzić nie umiały.

Na nieszczęście p. Lesznowski uznał potrzebę repliki, a nie mogąc jéj drukować w swojéj gazecie, puścił naprzód w obieg po Warszawie rękopismienny artykuł, potém posłał drugi podobnéj treści do wychodzącego jeszcze naówczas w Petersburgu dziennika *Słowo*.

Redakcya *Słowa*, w numerze z 9 lutego, umieszczając pismo p. Lesznowskiego, czuła i ważność kwestyi i niewłaściwość traktowania jéj w zajściu namiętném; obiecała dać późniéj własny swój pogląd na nią; radziła, w rzeczy gdzie idzie o rozbudzone życie zbiorowe silnie wzrastającego plemienia, rozpatrywać się z rozwagą i świadomością faktów, w imie prawdy, bez przesądów i uprzedzeń; wyraziła nadzieję, że ludzie przewodniczący dziennikarstwu i literaturze w Królestwie Polskiém, zechcą pojąć kwestyą izraelską «z jéj poważnéj strony.» Tymczasem umieszczenie artykułu nieodpowiedniego tym warunkom i życzeniom, robiło skutek bardzo niepomyślny, otwierało pole do dalszéj polemiki na pierwszéj jéj osnowie. Jeden z Izraelitów polskich bawiący w Petersburgu, uznał także za rzecz potrzebną odpowiedzieć na odezwę p. Lesznowskiego. Redakcya nie mogąc odmówić przyjęcia odpowiedzi, oświadczyła że nadal «kolumny swéj gazety zamyka dla traktowania téj kwestyi w charakterze osobistym.»

I to zamknięcie nie zapobiegło złemu. Występna chęć dogodzenia popędom swego gniewu, z zapomnieniem na wyższe względy, przeniosła proces do obcych dzienników. Organa moskiewskie, czyhające na każdą sposobność czernienia narodowości polskiéj, rozwiodły się szeroce nad tą sprawą, nie szczędząc złośliwych postrzeżeń i przymówek do polskiéj *nietolerancyi* i do prześladowania Żydów.

Nic opłakańszego, nic bardziéj grzeszącego przeciw uczuciu obowiązków narodowych, jak to oddawanie spraw domowych, wewnętrznych, historycznych, z przeszłym i przyszłym bytem naszym ściśle związanych, pod sąd władzy i opinii nieprzyjacielskiéj. Jestto najpożądańszy tryumf panującego u nas wroga, dobrowolne niejako wyznanie, że sami sobie rady dać nie umiemy, że w jarzmie konieczna dla nas opieka.

Zastanawiając się nad całą tą sprawą, trudno oprzeć się przykremu wrażeniu, które ciągle przypomina znane u nas od niepamiętnych czasów zatargi studentów i chłopców ulicznych z Żydami. Kilka śnieżek lub kamieni z jednéj strony, gwałtowny wrzask na zabójstwo i kryminał z drugiéj, wkońcu wdanie się władzy policyjnéj, oto zwykła koléj tych walk poczynających się od złośliwéj igraszki, z dziwném jakiémś pojęciem prawa i uczuciem zasługi, a zostawiających po sobie tylko rozdrażnienie do nowych późniéj zaczepek. Z boleścią wyznać musimy, że ten smutny obrót rzeczy w ciasnym i nizkim zakresie, bez żadnego widoku wyjścia z niego, stawał nam przed oczyma szczególniéj kiedyśmy odczytywali ostatnie pisma p. Leszowskiego.

Nie myślimy powątpiwać, że wydawca *Gazety Warszawskiéj* « opiera się na czystości zamiarów i prawości dążeń swoich; » ale tego nie możemy mu przyznać, że « dobrze pojął swoje stanowisko » że sposób w jaki tę rzecz rozpoczął i oświadcza daléj ją prowadzić, zgadza się z dobrem publiczném. « Nasze żarty — powiada p. Lesznowski — odnoszące się do *całego zbiorowego plemienia*, a nie do osób, obraziły pewną część tutejszego towarzystwa żydowskiego. Sądzimy, że powodem obrazy było znaczenie tych żartów, które nie do samych koncertów rozciągnąćby można... Ostrzegamy kraj, mówimy doń by oczy przetarł i przejrzał; mówimy mu o potędze plemienia, które gościnnie przyjęte przed wiekami, dziś w tysiącznych gałęziach życia krajowego włada wyłą-

cznie; mówimy starym mieszkańcom téj ziemi, by strzegli tego co jeszcze w ich ręku... Pamiętajmy o tém, że Żydzi stanowiąc dzisiaj ósmą część ludności, za lat sto stanowić będą jéj połowę... Dlatego, przy każdéj sposobności, przy fraszce jak koncert, i przy ważnéj sprawie jak ruch handlowy całego kraju, wskazujem ową potęgę już dziś tak silną, by kraj zadrżał i postarał się o wyłamanie się z pod niéj... I dlatego że tak wołamy, spotykają nas obelgi i plwania... Ale raz wytkniętym torem pójdziemy daléj nie zważając na krzyki i wrzaski...»

Któż tego nie postrzeże jaki ogrom zagadnień jest tu dotknięty. Wzrost, spójność, działalność plemienia izraelskiego, jego wpływ na handel, przemysł i cały stan ekonomiczny kraju, użyteczność lub szkodliwość tego wpływu, wszystko to przedmioty wymagające głębokiéj i wolnéj od wszelkich namiętności rozwagi. Roztrząsać je w myśli podniesienia ile możności strony dodatniéj a naprawy ujemnéj, jest zapewne piękném powołaniem i obywatelskim obowiązkiem dziennikarstwa. Ale czyliż droga obrana przez redaktora *Gazety Warszawskiéj*, prowadzi do rozjaśnienia choćby jednego z licznych zagadnień, do ułatwienia choćby jednéj z dolegliwych trudności? Żarty, szyderstwa, kłócia miłości własnéj, tém naganniejsze, że się odnoszą do całego plemienia, muszą zawsze kończyć się na waśniach, w których poniesione zniewagi, nigdy nie dają wieńców ani obywatelskiéj zasługi ani męczeństwa. Z błahych powodów, w męcie żółciowych wzburzeń zawiązaną zwadę osobistą przenosić na grunt wielkich interesów krajowych, stawić ją w świetle zatrważających przestrog i upomnień, nie jestto otwierać oczu narodowi, ale tylko zwracać je w stronę gdzie rozciąga się nieskończona perspektywa walki, nieobiecującéj ani zwycięztwa, ani pojednania. Zejście z tego toru na właściwszy, byłoby zaiste prawdziwym dowodem troskliwości o dobro publiczne.

Dziennik Poznański, z 13 marca, objawiając swoje zdanie o «nieopatrzném zajątrzeniu kwestyi żydowskiéj w Królestwie Polskiém» przypisuje całą winę «brakowi rozumu politycznego» i robi kilka bardzo zdrowych uwag następnéj treści: Naprzód, inna jest rzecz rozprawiać, czy dobrze lub źle byłoby przyjąć obce plemie do kraju, a wcale inna, zastanawiać się wobec nieodzownie już dokonanego faktu, jak z takiém plemieniem, zamieszkałém od wieków, postępować należy. Powtóre, wolno każdemu w swoim zakresie prywatnym powodować się do pewnego stopnia skłonnością lub niechęcią osobistą; ale człowiek polityczny, a takim u nas dziennikarz być powinien, ma obowiązek rozważać przedewszystkiém, co, gdzie i jak stawić, żeby ztąd korzyść a nie szkoda dla całego narodu wynikła. Potrzecie, największym dowodem nierozumu politycznego jest stawienie kwestyj zawiłych w takim kierunku, który nie zmierza do żadnéj solucyi, ani złéj ani dobréj, tylko do utrwalenia i pogorszenia trudności. Nakoniec, gdy ze wszystkich, jakie dziś nastręczają się przypuszczeń i przewidzeń najprostszą, najpodobniejszą solucyą jest stopniowe wsiąknienie plemienia żydowskiego w massę narodu, cóż nato powiedzieć kiedy domniemani piastunowie rozumu publicznego, odpychają nawet garnących się do materyalnego i moralnego zlania się w jedność narodową?

Zgadzamy się zupełnie z *Dziennikiem Poznańskim* i na ogólne założenie i na szczegółowe zdania; musimy wszakże do jego utyskiwań na brak rozumu politycznego, dodać wzmiankę o innym jeszcze braku, co zresztą może będzie tylko zupełniejszém wyrażeniem téj saméj myśli.

Przez cały ciąg dziejów Polski od rumianéj ich zorzy do szarego dzisiaj mroku, przechodzi jeden prąd wielki, który za błogich czasów jaśniał jako mądrość stanu i działał jako siła narodu. A był to ten duch, co nam dał

prawo i szczycić się wspomnieniami i ufać nadziejom, duch ofiarny miłości chrześciańskiéj. To tylko nasze, co on spoił i co jego mocą utrzymywać zdołamy. Nie podbojem i uciskiem, ale jego ogniem Polska stopiła w jednę całość wiele ludów pobratymczych i niepobratymczych, blizkich i bardzo dalekich pochodzeniem. Tatarzy, z wrogów i niewolników, stali się jéj dobrymi i wiernymi synami. Odtąd jak ten ogień począł gasnąć, ćmił się rozum polityczny, darmo wytężała się dzielność orężna. Żywioły nie przejęte błogim wpływem, burzyły się, lub mętne i martwe opadały na dno. Kozacy oderwali się, włościanie i żydzi pozostali, jak wierzyciele niespłaceni, jak kłopot odłożony na późniéj, z którym nam dziś załatwić się i pilno i ciężko. Ze wszystkich zadań, jakie sami związani rozwiązywać musimy, kwestya żydowska jest najtrudniejsza. Pod splotem dosyć już zagmatwanych względów ekonomicznych i politycznych, leży w niéj wielka zagadka, któréj słowa rozum jeszcze wynaleźć nie potrafił. Nie przeto wszakże wolni jesteśmy od szukania klucza do niéj. Lud izraelski przyniósł z sobą tajemnicę swego przeznaczenia, i w niéj zamknięty dożył u nas chwil, kiedy podobnie jak on staliśmy się narodem zepchniętym do wewnętrznego bytu, pokutniczym, rozproszonym i oczekującym. Nieraz ten sam ucisk im i nam wydobywał z serca krzyk boleści i wołania do Boga; Izraelitki również jak Polki opłakiwały porywane swe dzieci; kości wielu pokoleń leżą obok siebie na téj saméj ziemi, wspólności przyszłych losów rozdzielić niepodobna: widać że z woli Opatrzności musimy dążyć do porozumienia się, do harmonii, do zjednoczenia. W takim razie, źle jest otwierać regestra dawniejszych krzywd i zażaleń; niesprawiedliwie w cechach rodowych nawet godnych szacunku i naśladowania, upatrywać tylko powody niechęci i wstrętu do całego plemienia; niezgodnie z duchem chrześciańskim,

stać twardo i dumnie, rachować nieufnie kroki zbliżenia się i czekać w postawie odpornéj. Są w téj mierze warunki, pewne prawa domagania się znaków i dowodów intencyj przyjaznych, których zrzec się niemożna i nienależy; ale właśnie ta godność o jakiéj utrzymanie nam idzie, ta wyższość stanowiska jakie zajmujemy, wkłada na nas i pewne delikatne obowiązki.

Stolica Królestwa szczególnie wystawiona jest na próbę tego taktu subtelnego, który wtedy tylko ma niekłamliwy pozor cywilizacyi, kiedy w gruncie polega na wyrobioném i czystém uczuciu chrześciańskiém. Utworzyła się w niéj klasa Izraelitów, z kultury, majątku, sposobu życia należących do towarzystwa ukształconego; nie dziw, że pragnęliby oni mieć w niém zupełny udział, kosztować wszystkich jego korzyści. Przez to samo, że przyjęli polski język, zasmakowali w polskiéj literaturze, nawykli do polskich obyczajów, są już bliżéj połączeni z krajem, a można wierzyć że znajdują się między nimi głębiéj przywiązani do przybranéj ojczyzny, gotowi w danym razie ofiarami okupić imie prawych jéj synów. Tymczasem ogólne ich położenie zawsze jest nie swobodne i ztąd drażliwe, jako *ludzi nowych.* Tu mianowicie trzeba delikatnego taktu, wzniosłego poglądu, czystego pojęcia godności narodowéj, żeby poskramiając niesłuszne lub zbyteczne pretensye, nie deptać razem kiełkujących uczuć życzliwych i szczerych.

Nie mamy dziś do rozdawania praw politycznych, indygenatów obywatelstwa : obcy i nieprzyjaciele mogą szafunkiem tych darów uprzedzać nas albo i poniżać; ale mamy w skarbcu narodowego ducha, czém niegdyś przewyższaliśmy i obcych i nieprzyjaciół : mamy tam drogie klejnoty ewangielicznego braterstwa dla ludów i ludzi — umiejmy użyć tego bogactwa.

SOFIŚCI I MŁODZIEŻ

ZA CZASÓW SOKRATESA.

9 kwietnia.

Listy warszawskie, któreśmy zeszłego tygodnia umieścili, wśród wielu trafnych uwag nad obecnym stanem polskiego pismiennictwa, słusznie się także żalą, «że nam obca coraz bardziéj literatura starożytna, która w serca wraża owe uczucia obywatelskie, ową cześć rzeczy publicznéj, co religią były Greków i Rzymian.» Przeglądając témi dniami jednego z dawnych pisarzy, Xenofonta natrafiliśmy na ustęp, który chociaż skreślony przez autora, co, jak wiadomo, do najlepszych między starożytnemi nie należy, świadczy przecież, «jak wiecznie młody i jak wiecznie żywy jest ten świat grecki i rzymski» i jak wiele rzeczywiście z niego uczyć się mogą ludzie wszystkich wieków i wszystkich narodów.

Oto jest jeden rozdział z *Memorabiliów* Xenofonta (*lib.* III. *c.* 6):

«Glaukon, syn Arystona, chociaż jeszcze nie miał skończonych lat dwudziestu (obałamucony przez *so-*

fistów), marzył wciąż jak objąć rządy państwa, i ani przyjaciele, ani krewni nie mogli mu wybić z głowy téj manii. Sokrates, który go kochał z powodu Platona (jego brata), sam jeden zdołał przemówić do jego rozsądku, dokazawszy naprzód, wprawdzie nie bez trudu, że młodzieniec słuchał jego rozmowy.

» Glaukonie, rzecze Sokrates, chcesz stanąć na czele państwa? — Tak jest, Sokratesie. — Niemożesz mieć, odpowie Sokrates, piękniejszego zamiaru; potrafisz, jeśli ci się uda, usłużyć twoim przyjaciołom, wzniesiesz twój dom i wzmożesz potęgę twojéj ojczyzny. Znać cię będą w Atenach, niebawem w całéj Grecyi, i może jak o Temistoklesie, posłyszą o tobie nawet cudzoziemcy. Widoczna rzecz, że musisz służyć krajowi, jeźli chcesz, aby imię twoje było czczone. Ale na Bogi, nie kryj się przedemną i powiedz, jaką to usługę chcesz naprzód oddać twéj ojczyznie?

» Glaukon milczał, zastanawiając się od czego zacząć. — Prawdopodobnie, rzecze Sokrates, pragniesz kraj twój wzbogacić? — Bez wątpienia. — Zbogacić kraj, nie jestże to powiększyć jego dochody? — Niezawodnie. — Powiedz mi, na czém się zasadzają obecne dochody państwa i wiele wynoszą? Musiałeś nad tém myśleć, aby gdy jednych braknie, drugiémi je zastąpić. — Zaprawdę, dotąd nie pomyślałem o tém, odpowie Glaukon. — Skoro twojéj to uszło uwagi, to znasz pewno rozchody państwa, i te co są mniéj potrzebne znieść postanowiłeś? — I o tém nie myślałem. — Więc wypadnie nam odłożyć, zawoła Sokrates, twój projekt zbogacenia kraju, bo jakżeby się miało powieść, kiedy nie znasz ani jego przychodów, ani wydatków.

» Ale, Sokratesie, czyż nie można zbogacić rzeczypospolitéj łupami zdobytémi na nieprzyjaciołach? — Bezwątpienia, tylko trzeba być silniejszym bo z mniejszemi siłami łatwo stracić i to co się ma. — Prawda jest. — A zatém, rzecze Sokrates, kto zamyśla o wojnie, musi

dobrze znać potęgę swojego narodu i nieprzyjaciół, aby stosownie do niéj zachęcać do wojny, jeżeli się jest mocniejszym, a doradzać rostropność, jeżeli się jest słabszym. — Słusznie mówisz. — Powiedz mi zatém, zapyta Sokrates, jaka jest nasza siła lądowa i morska, a jaka nieprzyjaciół? — Wyznaję, odpowie Glaukon, że nie wiem w téj chwili. — Pewno sobie je spisałeś, udziel mi twoich notatek. — Nie, nic nie spisałem. — O! jak widzę nie prędko byśmy rozpoczęli wojnę, choćbyś nawet rządy objął, bo jeszcze tak wiele szczegółów musisz pierw wyuczyć się. — W saméj rzeczy, Sokratesie, to dobra rada.

» O ile słyszałem, Glaukonie, nie zwiedziłeś dotąd naszych kopalń srebra, a zatem nie wiesz, dla czego one mniéj niż dawniéj przynoszą? — Prawda, nie byłem tam. — Więc i o kopalniach nie będziemy radzili. Lecz pewny jestem, że musiałeś dokładnie obliczyć na jak długo wystarcza krajowi zboże, które corocznie w nim zbierają i jak wiele z każdym rokiem potrzebujemy, abyś, na przypadek nieurodzaju, zdrową radą i znajomością rzeczy, mógł ojczyznę od głodu ocalić. — O Sokratesie, to trudna sprawa, jeżeliby nawet w takie drobiazgi należało wchodzić. — Przyznaj jednak, Glaukonie, że kto nie zna potrzeb swego domu, nie może nim zarządzać. Jest przeszło dziesięć tysięcy domów w naszém mieście, a że trudno jest zawiadywać wszystkiemi od razu, czemu nie zacząłeś od domu swego stryja? Po téj próbie mógłbyś się podjąć cięższego obowiązku, lecz skoro jednemu usłużyć nie umiesz, jakże chcesz być pożytecznym całemu narodowi?

» Gdyby mnie stryj był słuchał, odpowie Glaukon, byłbym mu oddał wielkie usługi. — Jakto, zapyta Sokrates, jednego stryja twego przekonać nie mogłeś, a chcesz przekonać wszystkich Ateńczyków i z nimi twego stryja? Ostrożnie, Glaukonie, bo niebezpieczno jest podejmować się tego, czego nie umiesz. Zamiast pochwał

mogą cię spotkać nagany, zamiast czci potępienie. Jeżeli dążysz do sławy i chcesz aby imię twe z wdzięcznością było wspominane, pracuj nad własném ukształceniem, zanim cokolwiek przedsięweźmiesz. Do kierunku spraw publicznych zabieraj się wtedy, gdy nauką i doświadczeniem postawisz się wyżéj nad zwyczajnych ludzi. »

ROZKOŁ.

WSTĘP.

16 kwietnia.

Na czém się skończą reformy w Rossyi podjęte? To pytanie zadają sobie dziś wszyscy, co odgadłszy ich znaczenie polityczne, ich dążność centralizującą w ręce rządu wszystkie siły państwa, z trwogą przewidują potęgę do jakiéjby Rossya doszła niechybnie, gdyby jéj udało się tyle domowych usunąć przeszkód i załatwić spokojnie sprawy tak drażliwe. Lecz kiedy jedni pocieszają się nadzieją, że ulepszenia cywilizacyjne w Rossyi ten naprzód muszą mieć skutek, że uszlachetniając ducha narodowego, odejmą mu tém samém zaborczość barbarzyńską; drudzy, mniéj ufają w odmianę natury moskiewskiéj, bo własném doświadczeniem przekonali się, na co ona użyła pomocy rozlicznych, jakich Zachód nieprzezorny wciąż jéj dostarcza od półtora wieku. Według pierwszych, epoka obecna będzie więc dniem transfiguracyi moralnéj dla Rossyi, w którym po raz pierwszy, w imię pokoju i nie żądając cudzego, wejść ma w dziedzinę chrześciańskiéj rzeczypospolitéj; według drugich przeciwnie, Rossya tak długo pozostanie czém

była dotąd, póki i dla niéj nie przyjdzie dzień sądu i zapłaty. Nie minął on w dziejach żadnego z państw zaborczych, nie minie i Rossyi, a znakiem jego bywa wewnętrzny roztrój organizmu, prostracya sił długo skupionych i wytężonych na zewnątrz. Za jedném jak za drugiém mniemaniem stawiać można dowody i przypuszczenia. Ale jakabądź wypadnie odpowiedź, żaden bez wątpienia naród nie ma takich jak my pobudek, aby pilnować procesu politycznéj i socyalnéj fermentacyi, na którą się w cesarstwie zanosi. «Nie trzeba nigdy, mawiał Napoleon, spuszczać z oka trudności, z któremi nieprzyjaciel ma do walczenia.» Wistocie, śledzić te trudności, zaznajamiać się z niemi, a zawsze z myślą zwróconą ku potrzebom własnego narodu, nie jestże to pomnażać środki służenia swéj ojczyźnie?...

I

Mamy przed oczyma wyszłe przed kilkoma tygodniami dzieło o sektach kościoła prawosławnego (1). Autor bezimienny jest Rossyaninem, należy pod socyalnym i hierarchicznym względem do wyższéj jak się zdaje klasy, miał widocznie za przeszłych rządów sposobność zapoznać się zblizka ze sprawą Rozkołu. W wyznaniach swoich dosyć szczery, bo jak mówi «prawda choćby przykrą była, przynosi zawsze zbawienne owoce,» a choć nie zawsze całą wypowiada prawdę, wypowie jednak tyle, że się jéj domyślić nie trudno. Z duszy i serca oddany kościołowi prawosławnemu, pełen uwielbienia i wdzięczności dla cesarza Mikołaja, z nowych jednak przemian jeszcze niezadowolniony, wyzywa obe-

(1) *Le Raskol. Essai historique et critiqe sur les sectes religieuses en Russie.* Paris, chez A. Franck, 1859.

cnego monarchę do śmiałych reform i postępów, któreby z gruntu musiały przerobić społeczeństwo rossyjskie. Książka jego jest niezwyczajném a bardzo interesującém zjawiskiem: daje zeznania jasne, stanowcze i mające wagę historycznego dokumentu o tém, co dotąd ledwo kilku wtajemniczonym i to powierzchownie było znajome. Tylekroć rząd rossyjski dowiadywał się z polskich pism o naszych słabościach i wewnętrznych niezgodach; czemużbyśmy dziś, za przewodem Rossyanina, z równą ciekawością nie mieli przypatrzyć się obrazowi, który tak wiele słabych stron u najniebezpieczniejszego z naszych nieprzyjaciół po raz pierwszy uwydatnia.

Rozkoł, jak wiadomo, jest dziełem Piotra, a właściwiéj mówiąc, jego reform gwałtownych, gdy złączywszy w swéj osobie rząd świecki i duchowny, podniósł władzę imperatorską do potęgi przedtém nieznanéj. Jestto więc, jak sam autor wyznaje, protestacya ducha chrześciańskiego przeciw kościołowi rządowemu, przeciw niewoli sumienia, przeciw zniesieniu patryarchatu, przeciw Świętemu Synodowi, przeciw popom którzy są carskimi urzędnikami i którzy służą policyi, posługują się nią zarazem dla strzeżenia czystości wiary i obyczajów. Ale Rozkoł nie jest tylko świadkiem niepodległości kościoła chrześciańskiego, który żadnemu rządowi bezkarnie opanować się nie da; jest on zemstą ducha narodowego, który się szamoce w narzuconych mu a wstrętnych jego naturze formach. Bo wstrętna jest, twierdzi autor, ludowi rossyjskiemu powierzchowna, zachodnia cywilizacya, jaką klassy wyższe z woli carów przyjęły; nienawidzi on administracyi niemieckiéj, złośliwie pedantycznéj a znanéj mu tylko ze zdzierstw i ucisków; razi go w końcu nawet sam naczelnik państwa, bo od czasów Piotra «nie ma już w Rossyi carów, są tylko imperatorowie.» Lud tęskni za dawniejszymi carami; choć srodzy byli, wymyślni i okrutni, nazywał ich «batiuszką.» Piotra III, Pawła, w naszych czasach

W. Ks. Konstantego kochał za życia i długo po nich pamięć przechowywał serdeczną, bo w nich domyślał się tradycyj moskiewskiego caratu.

Ma więc Roskoł obszerne znaczenie polityczne. Obecny system polityki rossyjskiéj i wszystko co się według niego dzieje w świecie urzędowym, nie ma w Rossyi zaciętszego i równie niebezpiecznego antagonisty jak niektóre sekty rozkolników. Są, jak wiadomo, różnego rodzaju odszczepieństwa. Oprócz sekt które za czasów Piotra powstały, jak *Popowcy* i *Bezpopowcy*, utworzyły się za czasów Katarzyny, i w naszém stuleciu nowe, jak *Duchoborców*, *Mołakanów*, *Biczowników*, *Skopców*, i t. p. które do starowierców nie należą. Nie chcemy nużyć czytelnika wykładem pojęć i obrządków religijnych, któremi te wyznania między sobą się różnią; przedmiot ten powielekroć był już rozbierany w dziełach obcych i w polskich pismach czasowych. Dla nas najważniejszym faktem, na który szczególną téż zwracamy uwagę, jest, że wszystkie te wyznania jakkolwiek od siebie stronią i wzajem obrzucają się klątwami, wszystkie przecież złączone są jednakim gniewem na prawosławie, wszystkie nienawidzą rządu, usiłują wyłamać się z pod jego rozkazów, a cara nazywają « antychrystem. »

Opowiada autor, że przed kilkunastoma laty, żołnierz pewien, nazwiskiem Efim, zbiegłszy z swego pułku, znalazł, jak to w głębi Rossyi dość często się dzieje, przytułek u starowierców i osiadł w gubernii ołoneckiéj, w klasztorze Bezpopowców. Oddany czytaniu Pisma Świętego, natrafił na wiersz Ewangielii : « porzuć ojca twego i matkę twoję, weź twój krzyż i pójdź za mną. » W tych słowach chciał on znaleźć jedynie prawo życia chrześciańskiego i na nich ugruntował dogmat noweg kościoła. Poróżnił się ze zwierzchnikami, których nie mógł nawrócić, opuścił klasztor, przeniosł się w sąsiednią gubernią, i tam koczując gromadził koło siebie coraz to liczniejszych zwolenników swéj wiary. Na-

zwano ich «Strannikami;» ich propaganda religijna ma w sobie coś poetycznego. W ciemną noc przychodzą pod chatę wieśniaka, i wśród ciszy głębokiéj, głosem żałosnym a przejmującym, zawodzą śpiew tęskny i ponury; w którym proszą o gościnność ale i grożą strasznemi klątwami. Ten śpiew pełen tajemniczego uroku przestrasza zabobonny umysł wieśniaczy, i zdarza się często że gospodarz spokojny, pracowity i zamożny naraz porzuca swą chatę, żonę i dzieci, i idzie w świat — apostołować. W krótkim czasie sekta Stranników wzmogła się do kilku tysięcy. Jak autor utrzymuje, brzydzą się oni codzienną pracą, a że prawosławnych uważają za poganów bezczestnych i że wreszcie żyć potrzeba, poczęli napadać, obdzierać, zabijać. Wmieszała się policya. Lecz Strannicy nie uznają zwierzchności carskiéj. Kto do nich wstępuje, na znak wyparcia się dawnych błędów, musi podrzeć herb cesarski na swoim paszporcie. Schwytani i stawieni przed sądem, nie wahali się w ciągu śledztwa głosić zasad swojéj wiary, wywodząc z Apokalipsy że car jest antychrystem; kto jego słucha godzien śmierci, a wszyscy carowie począwszy od Piotra, nieprawnie zasiadają na tronie!... Myliłby się ktoby mniemał, że w skutek obudzonéj czujności rządowéj, ta sekta całkiem wygasła. Owszem, jest ich więcéj może niż dawniéj było, tylko wyznawcy podzielili się na dwie klasy: *koczujących* i *osiadłych*. Ci ostatni pierwszych muszą do siebie przyjmować, żywić i zasłaniać przed pogonią żandarmeryi i policyi.

Nie wszystkie jednak sekty prowadzą życie awanturnicze Stranników i nie rozgrzeszają z kradzieży albo zabójstwa dokonanych na różnowiercy. Owszem wiadomo jest że większéj części starowierców nie da się nic zarzucić pod względem moralności. Autor wyznaje i przytacza świadectwo rossyjskich pisarzy, że w sekcie Popowców kilka milionów wyznawców liczącéj, znaleźć można cnoty domowe, jakie się w ludzie rossyjskim

niezawsze spotyka. Są pracowici, rzetelni i trzeźwi, przytém każdy z nich umie czytać i pisać; nie mniéj przeto cara i jego urzędników nieubłaganymi są nieprzyjaciołmi. Nie chcą słyszeć o popach schyzmatyckich, nie zbywa im téż na własném duchowieństwie, bo osiedli od lat kilkunastu w Austryi i Turcyi biskupi starowiercy, co rok wyświęcają im nowych księży. Nie przyznają cesarzowi żadnego prawa mieszania się do ich kościelnych lub cywilnych interesów; chronią się przed popisem, uciekają przed rekrutem, chcieliby jedném słowem uwolnić się od wszystkich obowiązków, które rząd nakłada. Nie ufają poczcie rządowéj, lecz mają swoję własną, z pomocą któréj porozumiewają się nader szybko w całém cesarstwie. « W czernihowskiém i mohylowskiém, mówi autor, podczas wojny krymskiéj, wiedziano nierównie wcześniéj nim nadeszły dzienniki petersburskie, o wszystkiém co się działo pod Sebastopolem. I gdy prawych obywateli dręczył niepokój, ci niecni ludzie cieszyli się klęskami, które armia ponosiła,... jako tryumf obchodzili upadek Małakowa... Wielu z nich, podczas wojny, odbierało zlecenia od cudzoziemskiego biskupa, który dzięki pomocy zamożnych rossyjskich spółwyznawców, coraz więcéj nasyła nam emisaryuszów i wpływ szkodliwy w naszym kraju wywiera. Nie chcę ja rozdzierać zasłony, bo jéj może za wiele już uchyliłem; nie chcę przypominać pewnych projektów, które mnie dreszczem przejmują. Miłość ojczyzny i cześć synowska, jaką dla swego monarchy każdy prawy Rossyanin jest przejęty, każą mi pokryć milczeniem te tajemnice okropne. Jednak sądzę, że rząd zanadto lekceważył pewną korespondencyą rozkolników, którą przejął w czasie wojny. Jest ona świadectwem żywotności i potęgi ich organizacyi; obiegała całą Rossyą, była pisana cyframi, szczęściem znaleziono do niéj klucz... »

Jak widzimy, zaciętość przeciw rządowi jest niewąt-

pliwa i musiała być silnie ugruntowaną, kiedy podczas wojny nie wahali się rozkolnicy wchodzić z drugą stroną w tajemne stosunki. I gdyby kampania dłużéj potrwała, lub gdyby armie sprzymierzone poruszając ścieśniony plac boju, były wkroczyły w głąb Rossyi, bezwątpienia innebyśmy ujrzeli objawy tych usposobień. Świat by zdumiał, patrząc że państwo na pozór tak silne, niedostępne i jednolite, zwłaszcza dla tych co go znają tylko z urzędników, ma w łonie swojém tyle elementów sprzecznych, interesów z sobą walczących, zarodów dezorganizacyi!... Ale nie minęło jeszcze niebezpieczeństwo. Złe groźniejsze jest niż na pierwszy rzut oka zdawać się może. Bo choć o niém wszyscy wiedzą, choć każdy nawykł słyszeć o Rozkole, nikt w Rossyi nie zna jego rozgałęzienia, jego propagandy, skrytych a utrwalonych stosunków. Nikt nawet nie wie jaka jest liczba tych odszczepieńców; nic trudniejszego jak wyśledzić w jakiéj bądź gminie ile ich rodzi się, i ile corocznie umiera. Dusza ludzka, mówią oni, jest własnością Boga, nie godzi się aby ją car zapisywał na swéj liście; wszak Chrystus Pan, uciekając przed popisem nakazanym przez Heroda, schronił się z Matką i Józefem do Egiptu! W niektórych okolicach, aby im wytłómaczyć że spisy ludności nie mają cechy religijnéj, użyto do nich urzędników cywilnych. Kilkunastu tych agentów posłano niedawno w czernihowskie, z rozkazem aby co rano i wieczór zaglądali do chat, i zapisywali urodzonych i umarłych. Cóż się stało? Oto przez kilka miesięcy policya nie mogła dostrzedz żadnéj zmiany ludności, bo dzieci nowo narodzone starannie ukrywano, a zmarłych grzebano po cichu w piwnicy. A choć urzędnik który schwycił ich na gorącym uczynku, umiano go zaspokoić i rząd znowu nic nie wiedział.

Rozkolników rachują jedni na trzy do pięciu milionów, drudzy podnoszą ich potęgę na piętnaście do ośmnastu milionów, inni zaś twierdzą, że to co się zowie

kościołem prawowłasnym, liczy zaledwie trzecią część tych wyznawców, z którymi popisują się dokumenta urzędowe. Żadnéj z tych cyfr autor nie dowierza; w Rossyi, na paszporcie, każdy jest prawosławnym, bo tak potrzeba, a paszport kupić nie trudno. Posłuchajmy co on mówi : « Rzecz niezawodna, że którykolwiek chłop przyszedł do pewnéj swobody, czy skarbowym jest, czy koronnym, czy wreszcie robotnikiem fabrycznym, byleby tylko nie był przykuty niewolniczo do ziemi, sympatyzuje jawnie lub skrycie z Rozkołem. Ledwo wyswobodzony, chłop wpisuje się zaraz do téj opozycyi ludowéj. W dobrach szlacheckich, gdzie włościanin obroku nie płaci ale jest przywiązany do gruntu, obecność właściciela jest prawie zawsze zbawiennym hamulcem, z pomocą którego może pop utrzymać swych parafian w wierności dla prawosławia. Lecz skoro pan oddali się ze wsi i trzoda owiec zostanie sam na sam z swym pasterzem, dość aby jeden zawitał rozkolnik, a jeźli wszyscy chłopi nie przejdą od razu na jego wiarę, wszyscy pokryjomu będą mu sprzyjali. W średniéj klasie, zwłaszcza w stanie kupieckim, opinie starowierców zrosły się z tradycyą familijną ; tam wszystkie odcienia Rozkoła mają swych reprezentantów, tam prawosławie jest wyjątkiem, odszczepieństwo regułą. »

Niedosyć na tém; w innych klasach znajduje także Rozkoł jeśli nie spółwyznawców i apostołów, to przynajmniej gorliwych i poufnych opiekunów. Wiadomo, że duchowieństwo prawosławne do tych szczególnie ciśnie się parafij, które zaludnione są starowiercami; odebrawszy od nich umówiony datek, przez cały rok zostawia ich w spokoju. Sekta Stranników, o któréj wyżéj mówiliśmy, będąc w otwartym przeciw rządowi buncie, dlatego tylko tak znacznie się rozszerzyła, że całe duchowieństwo parafialne w kostromskiém i jarosławskiém zakupione było przez starowierców. Jeszcze mniéj rząd centralny liczyć może na cywilnych urzędników, bo ci

nie mają tych co duchowieństwo powodów, aby ścigać i dręczyć biednych starowierców. Autor opowiada w jaki to sposób zazwyczaj urządza się ta opieka, którą sami agenci policyjni zasłaniają ich przed wyższemi władzami. « Dowiadują się, pisze on, w Petersburgu, że w tém lub inném miejscu ukrywa się jakiś pop niebezpieczny, jeden z tych emisaryuszów Rozkoła przysłany dla szerzenia herezyi i podniecania ludności przeciw cesarzowi. Wyprawiają więc bezwłocznie do gubernatora prowincyi rozkaz aresztować winowajcę, ten go odsyła sprawnikowi. Ale sprawnik miejscowy wiedział oddawna gdzie ukrywa się ów człowiek podejrzany, tylko woli nie wiedzieć, a ma do tego powody, których słuszność uznaje całkiem kancelarya gubernatora. Układa więc raport, że mimo najściślejszego dochodzenia nikogo nie znalazł; w jego okolicy żaden pop się nie kryje, wszystko jest w porządku. Nowy rozkaz z góry, gdzie dobrze wiedzą co sądzić o tego rodzaju odpowiedzi; nowa odpowiedź z dołu z uspokojeniem. Nakoniec gubernator czy podejrzywając sprawnika, czy też znudzony napomnieniami, z swego bióra wyprawia na miejsce wskazane jednego z urzędników do szczególnych poruczeń. Ale zanim on wyruszył, już sprawnik z kancelaryi zawiadomiony, popa cichaczem wyprawia. Przybywa urzędnik, rozpoczyna śledztwo, wszyscy odpowiadają dobrodusznie, że nie rozumieją o co chodzi, że prawdopodobnie złośliwi ludzie wprowadzili w błąd pana Ministra. Lecz w Petersburgu wiedzą czego się trzymać, posyłają więc nowe rozkazy, stanowcze i groźne. Wówczas sprawnik zdjęty gorliwością robi z hasałem rewizye i śledztwa, aż złapie jakiegoś włóczęgę, kuje go w kajdany i odstawia gubernatorowi jako złoczyńcę, którego tak długo napróżno szukano. Dzięki Bogu! Apostoł starowierców schwytany! Wywijał się długo i zręcznie, ale go dosięgła czujna ręka sprawnika. Więc nagrody i honory dla sprawnika, a więznia biórą pod śledztwo. —

Kto ty jesteś? — *Bożyj czełowiek* (zwykła odpowiedź włóczęgów). — Czy jesteś popem? — Nie jestem. — Oho, ty śmiesz kłamać, do lochu z nim! — I tak biedny żebrak idzie do lochu, gdzie musi odpłacić za wszystkich. Jego wyjąwszy, wszyscy zresztą są kontenci, minister, gubernator, sprawnik i kancelarya gubernialna. A pop starowierca jak głosił swą wiarę, tak głosi ją daléj bez przeszkody.»

Obaczymy następnie, jakie były wśrod tylu trudności do zwalczenia sposoby, których rząd używał aby zapobiedz szerzeniu się Rozkoła.

II

W roku 1771, za panowania Katarzyny, zaraza pustoszyła dawną stolicę cesarstwa. Siejąc postrach do okoła, mnóstwo ofiar wtrącając do grobu, przełamywała wszystkie środki ostrożności, któremi ją powstrzymać usiłowano. Przepełnione były szpitale i domy przytułku, mnóstwo chorych domagało się napróżno pomocy; rząd zmuszony był uznać się bezsilnym, i uczynił odezwę do miłosierdzia prywatnych, aby spieszyli na ratunek zagrożonéj ludności. Wówczas to jedna z sekt prawosławia, Teodozyanie, gałąź Bezpopowców od lat kilkudziesięciu w Moskwie osiadła, podjęła się własnym kosztem założyć szpital i cmentarz dla dotkniętych morowem powietrzem. Wyznaczono im grunt, i budowa stanęła. Ofiary które uczynili dla wzniesienia jéj i usługi chrześciańskie, jakie bez względu na wyznanie, w ciągu zarazy oddawali, zaleciły ich u mieszkańców i otoczyły zakład czcią publiczną, która się rozeszła daleko poza mury Moskwy. W dziejach Rozkołu byłto wypadek ważny. Chociaż klęska minęła, rząd nie śmiał burzyć instytucyi tak zasłużonéj, i po raz pierwszy zyskali Bezpopowcy stanowi-

sko, jeżli nie oficyalne, to przynajmniéj wiadome wszystkim i od władz rządowych cierpiane. Późniéj nastały wprawdzie, za panowania Katarzyny, jak za każdego z carów, czasy srogiego prześladowania, ale Bezpopowcy nie utracili już raz zdobytego pola, i owszem coraz prędzéj, coraz gromadniéj zbierając się z prowincyj, kupili się koło swojego szpitala.

«*W historyi Rossyi*, powiedział o sobie Cesarz Alexander, *jestem tylko szczęśliwym przypadkiem*,» W owych to czasach przypadkowych Alexandra, kiedy można było marzyć jeszcze o sprawiedliwości pod rządem rossyjskim, kiedy i starowiercy doznawali spokoju a nawet opieki od władz, jeden z zamożnych Bezpopowców, Kowelin, założył z upoważnieniem rządu obok cmentarza preobrażeńskiego w Moskwie, dom schronienia dla ubogich z osobną administracyą, osobną kasą i wolnością działania bez odnoszenia się do policyi. W téj saméj także chwili, druga sekta starowierców, Popowcy, opierając się na koncesyi przyznanéj ich rywalom, urządziła drugi cmentarz i szpital w starożytnéj stolicy cesarstwa. W ten sposób dwa główne odłamy starowierców usadowiły się potężnie w Moskwie. Były to jakby dwie stolice, dwie warownie odszczepieństwa.

Ktokolwiek zna urok jaki Moskwa wywiera na lud rossyjski i to pragnienie każdemu chłopu z Wielkiéj Rossyi niemal wrodzone, aby choć raz w życiu święte miasto odwiedził, ten ocenił łatwo wrażenie, które wiadomość o tych zakładach sprawić musiała na starowiercach zamieszkałych na prowincyi. Z odległych nawet miejsc poczęli się zjeżdżać zamożniejsi, wchodzić do stowarzyszenia z majątkami i rodzinami swojemi, i budować domy mieszkalne pod zasłoną i w sąsiedztwie cmentarzów. W ciągu lat kilku ujrzano nowe ulice; dwa obszerne przedmieścia jakby z ziemi wyrosły, w nich obok mieszkań prywatnych liczne fabryki i warsztaty. Wprawdzie zakłady te potrzebowały rąk wielu, ale nie

brakło na robotnikach. Każdego kto chciał porzucić kościół prawosławny, przyjmowano tu skwapliwie; jeżeli ubogim był, dostawał pracę i zyskowny zarobek; jeżeli potrzebował schronienia, otrzymywał je bezpieczne, bo zaraz dawano mu nowe nazwisko wraz z paszportem opatrzonym we wszystkie policyjne formalności. Starszyzna asocyacyi zyskiwała natomiast w tych przybyszach dzielnych pomocników; rozsyłani po kraju, apostołowali żarliwie i głosili jéj wszechwładną w stolicy potęgę. Jakoż wkrótce wyznawcy obu sekt w całéj Rossyi uznali zwierzchnictwo naczelników moskiewskich, którzy osłonieni mgłą tajemnicy, otoczeni blaskiem religijnéj powagi, zyskiwali tém więcéj wpływu i środków działania. «Dziś jeszcze (mówi autor, z którego dzieła zdajemy sprawę), jakikolwiek zdarzy się spór religijny, w Saratowie czy w głębi Sybiru, Moskwa zawsze o nim decyduje w ostatniéj instancyi. Tam tylko przecięty bywa węzeł gordyjski każdéj sprawy. *Co powiedzą Moskowianie?* pytają o to w całéj Rossyi i z uszanowaniem oczekują ich wyroku.»

Jednę z tych instytucyj, w lat czterdzieści po jéj założeniu, zwiedzał cudzoziemiec, znany w Europie z swéj apologii Rossyi urzędowéj, baron Haxthausen. Posłuchajmy co on mówi o cmentarzu preobrażeńskim: «Dnia 5 grudnia pojechaliśmy do jednego z najodleglejszych przedmieść Moskwy, oddzielonego od miasta dwoma ogromnemi, pustemi płaszczyznami. Przedmieście zabudowane na wzór wsi rossyjskiéj, z domami jednopiętrowémi, odłączonémi od siebie murem, a od ulicy podwórzem i parkanem. Napróżno, więcéj niż godzinę, pytaliśmy o adres starowiercy, któremu nas polecono: ani przechodzący, ani budocznik nie umieli nam go wskazać; dopiero kiedy dobyłem list z rekomendacyą, pokazano odrazu... Przyjęci gościnnie, udaliśmy się po śniadaniu do szpitala. Składa się on z dwóch ogromnych zabudowań, podobnych raczéj do twierdz, zam-

kniętych wysokim kwadratowym murem, po nad którym wznoszą się wieże i kopuły. Przeszedłszy przez bramę majestatyczną, która prawdopodobnie z jakiegoś pałacu carskiego musiała być wyjętą, ujrzeliśmy wewnątrz szereg gmachów, złączonych z sobą, z których jedne przeznaczone były dla chorych, drugie dla ubogich, w innych mieściły się kuchnie, składy, wozownie i mieszkania dozorców. W pośrodku dwie cerkwie wspaniałe, oprócz których naliczyłem sześć do ośmiu kaplic.» Opisuje daléj Haxthausen urządzenie szpitalów, gdzie było dwa tysiące chorych, starców i kaleków, nie licząc żebractwa, które dostawało pokarm za darmo, ale przez noc nie mogło pozostać w zakładzie. W końcu dodaje: «Cała ta instytucya i jéj organizacya wewnętrzna pozostawiają wiele do życzenia, zwłaszcza jeżeli się je porówna z odpowiedniemi zakładami w Europie. Atoli wielkością swoją przechodzi wszystko, co prywatnémi zasobami gdziekolwiek zbudowano. Przytém pamiętać należy, że ją wznosili ludzie prości, bez wykształcenia, odszczepieńcy, co nie tylko żadnéj od władz nie doznawali pomocy, ale owszem walczyć musieli z przeszkodami rządu, policyi i duchowieństwa. Kto to wszystko rozważy, ten przyzna bez wątpienia, że jest coś niepojętego, coś cudownego w sposobie jakim zakład ten powstał i utrzymuje się obecnie.»

III

Panowanie Alexandra, pod którém dwie główne sekty Rozkołu przyszły do stałéj i rozgałęzionéj organizacyi, a jedna z nich zyskała nawet wolność święcenia swych popów, rozpoczęte w imię tolerancyi religijnéj, skończyło się jak każde w Rossyi, prześladowaniami, zwła-

szcza odkąd rządy cesarstwa przeszły w ręce srogiego Arakczejewa. Następcy Alexandra to przynajmniéj, w każdym razie przyznać potrzeba, że przez całe życie był konsekwentny. *Jeden car, jeden język* i *jedna wiara*, oto zasada polityki wewnętrznéj, którą Ustrjałów wynalazł, Uwarów ogłosił, a Mikołaj z niemiłosiernym rygorem przez lat trzydzieści w państwie swojém przeprowadzał. Politykę carską wykonywał wiernie minister Perowski. Odjął on wszystkie wolności przyznane rozkolnikom, narzucił im popów uległych synodowi, zamykał ich cerkwie i kaplice, na proboszczów prawosławnych włożył obowiązek wpisywać ich w księgi ludności. Ukazy te, jak łatwo dorozumieć się można, oddały starowierców na pastwę popów i czynowników. Żadnemu z odszczepieńców niewolno było przyznać się głośno do swéj wiary, bo każdy wedle prawa należał do kościoła urzędowego. Nieposłusznych tłumami zasyłano w Sybir, aż z Sybiru przyszło upomnienie do Petersburga, że ludność rozkolnicza wzrosła tam nad miarę i że niebezpieczném byłoby powiększać ją nowemi transportami. Nie mogąc już więcéj pędzić na posilenie, chciał Perowski utworzyć z rozkolników kolonie wojskowe i podawał tę myśl ministerstwu apanażów; ale zarząd ten, nie rad podejmować się dzieła tak nieprzyjemnego, odpowiedział, że brakuje mu w téj chwili ziemi na osady. Trzymano zatém w więzieniu mnóstwo nieszczęśliwych rozkolników za to tylko, że swéj wiary odstąpić nie chcieli.

Ćwierć wieku trwła ta moskiewska *dragonada*, w ciągu któréj nierzadko knut władał, i wielu życiem przypłaciło. Aż cesarz spostrzegł, że walka choć zacięcie prowadzona, nie przynosiła pożądanych skutków. Nieprzyjaciel zataił się; podejrzywany wszędzie, z trudnością dawał się już wyśledzić. Ukrywali rozkolników sami słudzy rządowi, zasłaniała ich przytém jakaś protekcya potężna a niewidoma. « Biada temu, pisał metropolita moskie-

wski, kto zacznie spór z odkupczykami i rozkolnikami; zawsze oni będę górą.» Rząd słyszał, że popi odszczepieńców setkami przybywają do Rossyi, wiedział o nich za granicą, lecz skoro weszli na ziemię rossyjską, wnet przepadali bez wieści; ledwo kilku udało się schwytać, Cesarz gniewał się, minister groził, z Petersburga wyprawiano stanowcze rozkazy. Wszystko napróżno: walczono jakby wśród nocnych ciemności; strzelano do nieprzyjaciela, nie wiedząc właściwie czém on jest i gdzie przebywa. Kiedy za czasów Perowskiego zapytano: ile w Rossyi może być odszczepieńców?» Chyba ci o tém wiedzą, odpowiedział zapytany, co od nich biorą pieniądze.»

Z rokiem 1852 nastała epoka najstraszliwszych prześladowań Rozkołu: kijowski Bibikow, nam tak dobrze znany, objął zarząd spraw wewnętrznych. Za niego to dopiéro system mikołajowski, dotąd tylko okrutny, doszedł ostatecznego swojego rozwoju; z okrucieństwem złączono chytrość i plan obmyślono głęboko.

Przedewszystkiém postanowiono zedrzeć tajemnicę którą Rozkoł, jak dotąd, najskuteczniéj zasłaniał się. Za Perowskiego, wszystkie sprawy odszczepieńców, nim otrzymały decyzyą cesarską, przechodziły przez komitet tajemny. Bibikow w miejsce dawnego utworzył nowy, złożony z małéj liczby członków i tak ściśle utajony, że długo nikt się o nim nie dowiedział. Członkami jego byli: Protassow, prokurator Synodu, Błudow, Innocenty metropolita odeski i Wojciechowicz dawny Synodu dyrektor. Nowy komitet miał przydaną sobie sekretną kancelaryą. Minister tworząc ją, proponował cesarzowi, aby na ten raz odstąpić od zasad panujących i nie zważać na *czyn* ani na zasługi w wyborze urzędników, ale powołać do kancelaryi samych tylko ludzi młodych, majętnych i wysokiego rodu. Tym sposobem spodziewano się od przedajności zasłonić owe bióro, którego członkowie zbierali się w prywatnym domu

p. Wojciechowicza, dokąd też i ważniejsze akta z czasem przeniesiono.

Pierwszą czynnością tajnéj kancelaryi było przejrzenie dotychczasowych informacyj i postanowień o Rozkole. Jedne i drugie pokazały się niedostateczne; zdecydowano więc nie rozpoczynać nic bez dokładniejszych doniesień. W okolice zaludnione przez rozkolników, minister wyprawił potajemnie swych agentów, których prawości urzędniczéj mógł być pewien. Nie dał im żadnego charakteru urzędowego, nie uwiadomił o nich ani policyi, ani gubernatorów; kazał jechać, czas jakiś zamieszkać, patrzeć i słuchać, wchodzić między odszczepieńców, których zdarzy się napotkać. Taką to siecią szpiegów wyższego rzędu Bibików nakrył całe niemal cesarstwo; obaczymy zaraz jak wielki nią zagarnął połów. W tych agentach potrzeba było niemałéj zręczności, wypróbowanéj dyssymulacyi a nawet odwagi, aby odpowiedzieć trudnościom powierzonego zlecenia. Rozkolnicy przebiegli są i nie jeden z urzędników, gdy rozumiał że ich podszedł, sam został przez nich złapany; na nie jednym mimo jego woli, dopełniono warunków przyjęcia do sekty, często przykrych, a nawet bolesnych. Opowiada autor z jakiemi trudnościami musiał walczyć pewien agent, któremu powierzono arcy trudną misyą wyśledzenia starszyzny rozkolniczéj w Moskwie. «Missya była jawna, tém więcéj przeto wymagała ostrożności. Wysłany znalazł wszystko i wszystkich przeciw sobie: wpływy, przebiegłość i pieniądze starowierców, oraz działanie ukryte policyi. Doznawał przeszkód, zkąd miał prawo domagać się pomocy. To téż nie ufając nikomu, nawet własnym służącym, co wieczór zaszywał do poduszki noty, które w ciągu dnia zapisał. Nie opuszczał ani na chwilę urzędników, co pod jego rozkazami pracowali, bronił ich od niedyskrecyi, odprowadzał ich nawet do kąpieli, niosąc papiery pod pachą.»

W ten sposób dokonane i z całéj Rossyi nadsyłane

raporta, gromadziły się w tajnéj kancelaryi, gdzie nad niémi dzień i noc pracowali młodzi urzędnicy. Wistocie było nad czém: zebrano ogromną liczbę ważnych dokumentów, podań statystycznych, ciekawych pism i proklamacyj starowierczych; wyśledzono wszystkie rodzaje sekt, ich opinie, ich tajne dążności, opisano nawet charaktery celniejszych różnowierców i ich sekretne stosunki. W noc ciemną, co Rozkoł tak długo przed oczyma rządu zakrywała, wniesiono po raz pierwszy światło jasne, z pomocą którego znaleźć miano nareszcie środki stanowcze, oczyszczające kościół z herezyi. Jakoż przekonano się, że sekty co dotąd za najstraszliwsze uchodziły, jak Duchoborców, Skopców, Biczowników i t. p. wcale niebezpiecznemi nie były; ich zasady zbyt niemoralne i zbyt odstręczające, utrudniały ich rozgałęzienie. Za to daleko szkodliwszymi od nich okazali się starowiercy, dla tego właśnie, że moralne prowadzili życie i że w silną organizacyą ująć ich potrafiła rozumna starszyzna. Przekonano się nadto, że rząd jak dotąd prześladował tylko sekciarzy ubogich, mało znaczących i na prowincyi zamieszkałych, którzy zaledwo godnymi byli uwagi, lecz że ani razu nie ośmielono się dotrzeć aż do źródła złego, uderzyć w posady starowierczéj potęgi, to jest w smentarze Popowców i Teodozyanów. Wprawdzie zwierzchnikami tych dobroczynnych zakładów byli ludzie bogaci, otoczeni powszechnym szacunkiem i obszerne mające wpływy, nie mniéj przeto zdawało się widoczne, że póki rząd przeciw nim właśnie całéj swéj energii nie zwróci, póty gałęzie Rozkołu mniejsze lub większe potrafi odcinać, ale pnia jego nie dosięgnie. Rozumie się samo przez się, że wykryto także mnóstwo popów i urzędników, lecz z tymi nie obawiano się żadnych trudności; jednych minister, drugich synod, każdego czasu mógł odsunąć.

Skoro poszukiwania zostały skończone, tajny komitet rozpoczął swe dzieło. Sekty niemoralne oddano policyi i

sądom, atoli z starowiercami trudniejsza była sprawa. Potrzebowano znaleźć pretext do wmieszania się w administracyą moskiewskich smentarzy. Znaleziono go, gdy pewien starowierca bezdzietny, usunąwszy swego synowca od sukcessyi, cały majątek zapisał na uczynki miłosierne. Podmówiono młodego, aby zaniósł skargę do ministra, obwiniając starowierców, że podstępnie wyłudzili od stryja zapisy na szpitale. Skoro petycya doszła do ministra, z wielkim hałasem podniesiono tę sprawę, z zaciętością prowadzono śledztwo na drodze administracyjnéj. Rząd kazał sobie złożyć wszystkie rachunki szpitalów, domów schronienia i t. p.; znaleziono w nich, jak autor upewnia, wielkie nadużycia, w skutek czego naczelników wzięto do więzienia, zarząd zaś instytucyi oddano w ręce urzędników. Nie tracąc czasu metropolita moskiewski objął cerkwie i kaplice smentarne i rozpoczął w nich misye spólnie z arcybiskupem kazańskim.

Kiedy fortecy dobyto a dowodzców wzięto do niewoli, nic dziwnego że załoga poddała się. Misye przyniosły skutek nadspodziewany, mnóstwo zamożnych starowierców przystępować zaczęło do prawosławnéj komunii. W tym bowiem czasie ogłoszono ukaz, który kupców, upierających się przy Rozkole, pozbawiał praw giełdowych, a dzieci ich oddawał tém samém do wojska. Starszyznie cmentarnéj, którą wypuszczano z więzienia, zakazano na zawsze zamieszkiwać w Moskwie.

Po całym kraju padł strach na starowierców, bo kiedy takich bezprawiów dokonano w stolicy, potrzebaż mówić co się działo na prowincyach? Tam, wiedziano teraz miejsca ich zebrania, znano ich duchownych i umiano z tych informacyj po mistrzowsku korzystać. Zabierano gwałtem lub podstępem obrazy cudowne, zamykano ich kaplice lub wprowadzono do nich duchowieństwo rządowe, nie lękano się użyć przymusu na nieposłusznych albo wahających się. Na wielką skalę

odbywała się misya apostolska w towarzystwie policyantów i żandarmeryi. « Jeszcze tylko rok wytrwania, wołano. Gdy starsi i bogatsi wrócą do kościoła, masy pójdą za nimi i nic nie zaszkodzi, choć kilku fanatyków zostanie. Jeszcze tylko trochę energii, a złe do korzenia będzie wycięte, i Rozkół zniknie na zawsze! » Tak pisali do ministra poufni jego wysłannicy, ale nie ziściły się ich nadzieje. Wypadki wkrótce zmieniły się, wojna wybuchła, cesarz Mikołaj umarł.....

IV

Musimy streszczać to, co nam jeszcze do opowiedzenia zostaje. Okrucieństwa Mikołaja dokonane na rozkolnikach, ten przedewszystkiém przyniosły skutek, że ich opozycyą religijną zmieniły w zaciętą polityczną nienawiść. « Wielu zamożnych starowierców (pisze autor) uniosło za granice swe rodziny i majątki, i ztamtąd ile mogli szkodzili rządowi. Kto wejdzie na tę drogę, Bóg wié gdzie się zatrzyma, popchnięty namiętnością religijną i polityczną. Niektórzy z nich podczas wojny udając się za patryotów, wybiegali naprzeciw naszym, i ofiarując przewodników małym oddziałom rossyjskim, wprowadzali je w zasadzki. Nieszczęśliwi, aby zemstę swą nasycić, nie cofali się nawet przed śmiercią swych rodaków! »

Cesarz Alexander II wstępując na tron, nie chciał przedłużać srogiego systemu, które tyle bezprawiów za życia jego ojca wywołał. Upadło ministeryum Bibikowa, zamknięto kancelaryą tajną, wypuszczono z więzienia większą część rozkolników, powstrzymano bardziéj krzyczące nadużycia. Jak w całéj administracyi tak i w sprawie Rozkołu czuć się dało pewne zwolnienie, o którém wprawdzie nikt nie wiedział jak daleko sięga i czy długo potrwa, ale które niemniéj przeto stawało się widocznem. Nowy minister nie był pewnym swéj drogi;

choć praw niektórych nie wykonywał, nie śmiał ich przecież uchylić. Cóżkolwiekbądź, korzystali z tych zwolnień rozkolnicy, podniosła głowę długa ukryta starszyzna, otworzyły się dawne miejsca zebrań i modlitwy, dawne życie objawiać się poczęło. Na ten widok ozwały się krzyki duchowieństwa i wszystkich, w których tkwiła tradycya mikołajowska; poczęto wyrzucać rządowi, że sprzyja wyraźnie odszczepieństwu; z drugiéj strony nie zbywało i na tych, którzy go otwarcie do tolerancyi religijnéj zachęcali. Ministeryum szło to w jedną, to w drugą stronę, i to jego wahanie się było właśnie najszkodliwszém. Zdarzały się wypadki, w których rozkolnicy odmówili posłuszeństwa rządowi. W Rżewie kazano zamknąć dom modlitwy, gdzie jak mówią zbierano się na schadzki prawem zakazane; w Czernihowie polecono również skasować pewien klasztor podejrzany. Dla wykonania podobnych zleceń dość było dawniéj jednego urzędnika; teraz nie wystarczała już jego powaga, sukurs policyjny okazał się za szczupłym; w jedném jak w drugiém miejscu potrzebowano użyć siły zbrojnéj, aby wykonać rozkaz rządu i wzburzenie ludności uśmierzyć.

Autor może słusznie przeraża się temi objawami ludowego niepokoju. Alternatywa zwolnień lub dawnych srogości, którą spostrzega za dzisiejszych rządów, bez potrzeby to ośmiela, to rozdrażnia odszczepieńców i może się zakończyć tylko krwawym nierządem, którego echo rozejdzie się daleko. « Tolerancya (woła on), jest piękném uczuciem, ale nie jest systemem; przyjmijcie system zgodny z duchem czasu. » Przyznaje on, że polityka Mikołaja nie rozwiązała bynajmniéj sprawy rozkolników, owszem uczyniła ją tylko zawilszą i może groźniejszą niż była poprzednio. Bo groźnemi są obecne nadzieje sekciarzy i symptomata rozbudzonéj ich zuchwałości; groźnym mu wydaje się ów biskup starowierczy osadzony za granicą. Woła na rząd aby go do

Rossyi sprowadzić i uznać naczelnikiem staréj wiary, aby Popowcom i Bezpopowcom dać wszelką swobodę religijną i przypuścić ich równo z wszystkimi Rossyanami do urzędów i praw politycznych. Nie ukrywa, że uznanie biskupów starowierczych byłoby zburzeniem jedności kościoła i początkiem do rozdziału jego z państwem; byłoby odarciem cesarza z tyary schyzmatyckiéj. Widzi to wszystko, czuje wielkość poświęcenia, pojmuje trudności prawosławia, które dotąd zbytnie ufało pomocy rządowéj, a jednak dopomina się, dla wszystkich mieszkańców wolności religijnéj, bo czas nagli i niebezpieczeństwo się zwiększa.

Pomijamy inne reformy, których autor domaga się; ta jedna może dać miarę, jak on dzisiaj kwestyą Rozkołu stawia dla Rossyi. Z odległości, w któréj się znajdujemy nie śmiemy wyrokować czyli to niebezpieczeństwo jest w istocie tak nieuchronne a zwłaszcza tak blizkie. Ale w tajnéj sprawiedliwości Opatrznéj Woli, może przeznaczoném jest Rozkołowi zemścić się krzywd i prześladowań, jakich od schyzmy doznał i doznaje nasz Kościół i coraz głębszém a politycznérn rozszczepieniem odwetować Dyoklecyanowe zamachy na Unią. Wszystko zaś co jest zarodem śmierci dla prawosławnéj Rossyi, jest zarodem życia dla katolickiéj Polski... i kto wié czyli z kwestyi rossyjskiego różnowierstwa nie wyjdzie rozwiązanie owego « *nierównego sporu* » dwóch narodów, który w gruncie jest bojem dwóch wiar! W każdym razie, nie pierwszy to autor wspomnianego dzieła widzi w sektach rossyjskich miecz grożący dwugłowemu orłu. Lat temu dwadzieścia, kiedy o Rozkole nic prawie nie wiedziano w Europie, p. Custine słyszał zdanie następne w dawnéj stolicy cesarstwa: « W żadném państwie sekty nie są tak liczne jak w naszém, ani tak niebezpieczne; Europa nas nie zna i sądzi z pozoru. Niezgody religijne rozburzą cesarstwo! — » Były to także słowa Rossyanina.....

WOJNA WŁOSKA.

23 kwietnia.

W chwili gdy kreślimy te wiersze, losy Europy się ważą i przeważają na stronę wojny. Z obawą przez szczęśliwych, z utęsknieniem przez uciemiężonych, w swych początkach wyglądana, wojna ta jest szczytną w swych podnietach, jak w skutkach nieobrachowaną. Ale jakiekolwiek ścieśnione granice by jéj chciano i umiano nadawać, to placem boju zawsze będzie wielki świat chrześciański i jeśli nie o ziemię, to zawsze potrąci o duszę Polski.

Bo duszą Polski jest prawo i sprawiedliwość : prawo Boże nadane narodom do samodzielnego bytu i sprawiedliwość wymierzona ludom według ich zasług w cywilizacyi i chrześciaństwie i według ich godności i wytrwania w męczeństwie. Gdziekolwiek prawo i sprawiedliwość stają do boju, duch Polski jest z niemi, i o nas, choć bez nas, głosi wszelka myśl szlachetna, wszelkie słowo twórcze w paktach Europy objawione.

A wielkie, twórcze to słowo narodowości, które po raz pierwszy Francya jako przyczynę i cel groźnego boju podnosi, gardząc grabieżą, nie garnąc zdobyczy, na nie-

prawym ciemiężcy prawego tylko żywota dla umęczonego narodu dochodząc! W świętości zadania, w bezinteresowności pobudek, w rozwadze i przezorności z jaką Cesarz Francuzów tę sprawę prowadzi, — zyskując sobie uznanie nawet najmniéj chętnych i najbardziéj podejrzliwych, spokojem i cierpliwością przywodząc wroga do rozpaczliwego wyzwania, stanowczo wreszcie odrzucając sprzymierzeńców gorączkowych a burzących, — w tém wszystkiém czerpamy otuchę, że Boska Opatrzność pobłogosławi rozpoczętemu dziełu i wiemy z góry, że serca polskie towarzyszyć mu będą z gorącemi modłami i ufném dziękczynieniem.

I jest czemu ufać, jest za co dziękować, gdy po raz pierwszy, w sprawach europejskiéj polityki, dobro uciemiężonego kraju staje się nietylko narzędziem ale hasłem wojny i warunkiem pokoju. Jest czemu ufać, jest za co dziękować, gdy Francya na polu dyplomatyczném i nawet na polu walki domaga się żywota wołoskiego i włoskiego, i w notach i aktach swoich powtarza Europie wciąż to słowo *narodowości*, tak mało dotąd znane kongresom acz tak drogie i święte ludom. Pierwsze to złote ogniwa wielkiego łańcucha dziejów, który i sprawę naszę objąć musi; znaki to nowego porządku rzeczy, nowego zakonu świata, — *prejudykata*, do których i my się odwołać będziemy mogli w naszym z łupieżcami procesie!

A w takim razie łatwo nam będzie czekać cierpliwie i cierpliwie znosić, jeśli rozpoczęta sprawa przy otwarciu swém a nawet i w dalszym przebiegu nas bezpośrednio nie dotknie i o nas zamilczy. Łatwo nam będzie i to przeboleć, jeśli Francya przez wzgląd na cel najbliższy względną się okaże dla tego, który najpotężniejszym i najzaciętszym jest z naszych wrogów. Tego spokoju i wyrozumienia w potrzebie, wymaga po nas już sama godność nasza. Kiedy Francya tak szczytny daje przykład bezinteresowności, że wszelkich dla siebie zrzeka-

jąc się korzyści, domaga się tylko zbawienia drugich, to my, Polacy, przynajmniéj tę chwilową potrafimy okazać bezinteresowność, że naszę tak słuszną z innych miar drażliwość, poświęcim dobru bliźniéj sprawy, z którego ostatecznie i dla nas niechybne wypaść muszą korzyści.

Lecz abyśmy ich w danym czasie nie uronili, stójmy dziś twardo przy naszych narodowych zadaniach i krajowéj pracy. Niechaj oczekiwanie dalekich wypadków nie odwodzi nas od sumiennego i gorliwego pełnienia naszych codziennych obowiązków i wobec wielkiego dzieła wieku, do któregośmy jeszcze nie wezwani, nie upuszczajmy żadnéj bieżącéj chwili, która nas do trudu wzywa. Pamiętajmy o tém, że jeśli Piemont teraz cały świat zajmuje, to dlatego, że przez dziesięć lat sobą się zajmował, kiedy świat o nim zdawał się zapominać, i że dopiéro w skutek pielęgnowanéj wewnątrz siły, przyszła mu pomoc z zewnątrz. Słońce Austerlitzkie dziś się wznosi nad Alpami, w opatrznym swym biegu zejdzie i nad pola lechickie. Nim zejdzie, siejmy przyszłéj Polski siew...

KOŁO POLSKIE W BERLINIE.

30 kwietnia.

Zwracaliśmy nieraz uwagę czytelników na czynności posłów wielkopolskich w Berlinie, na tę walkę ich mozolną i bolesną, którą w obronie narodowości polskiéj prowadzić muszą z zaciętemi uprzedzeniami lub z obojętnością szczęśliwych zwycięzców. Chociaż brak miejsca nie dozwalał nam, jakbyśmy chcieli, opowiadać zosobna wszystkich téj walki epizodów, niemniéj przecież czujemy całą, wysoką jéj ważność. Ma ona podwójny w oczach naszych charakter : jest obroną praw jednéj części polskiéj ziemi, jest i świadectwem życia narodu. Odkąd umilkły coroczne odezwy parlamentu francuzkiego i angielskiego, trybuna berlińska stała się jedyném miejscem, z którego jeszcze przypominać można prawa polskiéj narodowości. Szczuplejszy to wprawdzie zakres, mniéj donośne tych przypomnień echo; pomimo to, są one dzisiaj, pod pewnym względem, ważniejsze. Nie obcy o nas głoszą, ale sami o sobie twierdzimy; praktyką codziennych, politycznych obowiązków dodajemy życia politycznym prawom, o które się dobijamy. Długo mniéj zdolni do zbiorowych działań, potrafiliśmy nareszcie

związać się w szereg silny, silniejszy nawet od naszych cierpień; wobec jedności narodowéj uciszyliśmy różnice opinij, nie zaprzeczając im bynajmniéj; i do tak trudnéj, nam niezwyczajnéj zaprzężeni pracy, trwamy w niéj przecież poczciwie, pomimo znużenia własnego, pomimo niechęci obcych i pozornéj trudów naszych bezskuteczności.

Jedno z pism poznańskich ogłaszało dotąd, z chwalebną wytrwałością, która nawet nie doczekała się uznania, coroczny obraz czynności tych kilku deputowanych, co brzemię całe wielkopolskiéj reprezentacyi sami, przez lat kilka, szlachetnie dźwigali. Były to jakby archiwa poznańskiego grodu, do których wnoszono protestacye obrażonéj w swych prawach ludności. Lecz dziś już na protestacyi przestać nie możemy. Kiedy jeden z deputowanych niemieckich, dni temu niewiele, wyrzucał Polakom, że nużą Sejm wyliczaniem swych krzywd, odpowiedział mu p. August Cieszkowski: «przestańcie być niesprawiedliwymi, a nie będziemy potrzebowali was nużyć.» Dziś nie wystarcza nam to, że świat pozna nasze krzywdy, musimy dążyć, z męztwem a spokojem, abyśmy ich nie cierpieli. «*Jam Scythæ responsa petunt*» woła p. Tytus Działyński w pięknym liście do Vinckego, w którym zarówno oburzona zacność duszy, jak gorące uczucie polskie przemawia. — Inny poseł, p. Bentkowski, wartuje stosy dokumentów urzędowych, przetrząsa wolumina oficyalnych raportów, referatów, obwieszczeń, śledzi w nich wszystkie błędy, wszystkie gwałty zadane duchowi języka polskiego; domaga się w Izbie, aby władze poznańskie uszanowały mowę polską, popiera swój wniosek wieloarkuszowym rejestrem pruskich barbaryzmów polskości. Jeżeli język urzędowy polski, w Poznaniu, nie zbrudzi się do reszty niemczyzną, jak owe łamane narzecze, którem mówią chłopi w Górnym Szlązku, będzie to zasługą p. Bentkowskiego.— Kiedy upada wniosek p. Chłapowskiego, aby urzędy

tłómaczów w Wielkopolsce, lepiéj niż dotąd były obsadzane, inny poseł, p. Cieszkowski, domaga się aby urzędnicy w téj prowincyi dobrze umieli po polsku. — Było i jest dotąd, na stole sejmowym, wiele podobnych przedstawień reprezentacyi poznańskiéj, ale najsilniejsze sprawiła wrażenie interpelacya p. Niegolewskiego. W połowie roku zeszłego, mnóstwo odezw zachęcających do powstania rozeszło się niespodzianie w Poznańskiém. Spostrzeżono, że je doręczała poczta tym szczególniéj mieszkańcom, na których oko swe miała zwrócone policya. Domyślano się zasadzki; dzisiejszy poseł, p. Niegolewski przedsięwziął wyśledzić misternego łowcę. Kosztowało go to wiele miesięcy pracy. Przez pół roku jeździł, patrzył, słuchał i badał, chwytał zeznania i dowody, zbierał proklamacye, zbierał koperty w których były przysłane, i po półroczném zręczném a zaciętém śledzeniu, doszedł do wykrycia prawdy. Z dowodami w ręku, które wątpliwości nie zostawiały, oskarżył władze poznańskie przed Izbą o podżeganie do rewolucyi. Wykazał, że z polecenia dyrektora policyi, w urzędownéj drukarni, urzędowi składacze, przedrukowali potajemnie londyńską odezwę; tę, komisarz tajnéj policyi rozsyłał następnie pocztą do obywateli, o których przypuszczano, że wpadną dobrodusznie w zastawioną sieć. Oskarżenie było tak stanowcze, dowody tak autentyczne, fakta i data opowiedziane z taką precyzyą i zupełnością, że minister nie mógł im zaprzeczyć, lecz niechcąc poświęcać naczelników poznańskiéj administracyi, złożył winę na jednego tylko z niższych bióralistów, który jakoby własnowolnie miał rozesłać tę odezwę mieszkańcom Wielkopolski. — Współczesnie obok mniejszych i większych nadużyć władzy, wyszły na jaw liczne niedostatki prowincyi. Rozebrali między siebie reprezentaci poznańscy jakby osobne wydziały spraw publicznych; ucząc się ich, porównywali los swojéj ziemi z innemi prowincyami, i oparci na grun-

łownéj znajomości prawodawstwa i administracyi Prus, tém śmieléj żądali i żądają teraz, aby naznaczono koniec wyjątkowemu położeniu, które od wielu lat trapi Wielkopolskę. Bo do czegoż to prowadzi, pyta w swym liście p. Działyński, jeśli nie do poniżenia przedewszystkiém pruskiéj monarchii? « Nie przystoi państwu tak potężnemu uciekać się do środków, które i niegodne są, i nie prowadzą do celu. Wyznaję szczerze, że te rządy pod któremi żyć jestem skazany od lat czterdziestu trzech, nie oziembiły bynajmniéj ani miłości, ani wierności méj dla mojego narodu; owszem gotów jestem, dziś jak dawniéj, życie i majątek, dla praw jego ponieść w ofierze z roskoszą... »

Takieto są akta i głosy, tak zacne trudy i ofiary, taka sumienność i w dobrém zaciętość obecnéj, poznańskiéj reprezentacyi. I sądzimy, że mamy prawo domagać się aby je zapisywano, zaregestrowano; aby z końcem tegorocznéj sesyi posłowie wielkopolscy złożyli mandantom swoim sprawozdanie z działań nie jak dawniéj dla saméj tylko pamiątki, lecz przedewszystkiém dla własnéj ich zachęty, dla narodu całego nauki, dla świadectwa przed Zachodem, że służąc ojczyznie umiemy nareszcie łączyć poświęcenie z przezornością i wytrwaniem. W dzisiejszym zmroku czy świcie dziejów polskich, koło berlińskie, fakt to ważny i pełen otuchy! Jest na niém piętno, które się wybiło na zacniejszych usiłowaniach polskich obecnéj epoki. Jest w niém jakby religjne namaszczenie, co do ofiar wzywa a nie zaraz obiecuje nagrodę; jest w niém dojrzałych ludzi odwaga, która mało spodziewa się choć wiele przedsiębierze; jest nakoniec głębokie uczucie polskości, które każdemu z nas naprzód każe pilnować swojego pola i swoich na niém zadań, a ufać Bogu, że z nich późniéj całość się złoży!

Myliłby się, ktoby mniemał, że siew taki, wichrem przeciwnym uniesiony, może dla sprawy naszéj uronić się niewydając plonu. Plon zejdzie; ale w ludzkich sta-

raniach, niezawsze tam, a szczególniéj nie tam naprzód pokazują się rezultaty, gdzie my ich wyglądamy. Może to zgorszyć nie jednego, rozstroić i zniechęcić, że w obec bezprawiów które posłowie nasi wykrywają, parlament berliński nie podziela wcale ich oburzenia. Lecz czyż roztropnie można było przypuszczać, aby za pierwszém uszykowaniem się naszego obozu, odstąpiła od swych uprzedzeń i zawiści Izba, złożona z Niemców, z których jedni gniewają się na każdy znak polskiego życia, a drudzy, zacniejsi, sądzą zapewne, że już tylko jakby dla honoru, jakby dla oczu i uszu ludzkich sprawy naszéj bronimy? Historya nie podaje przykładu, aby jaka bądź warstwa narodu, doczekała się uznania swych praw, jeżeli ich pierwéj z trudem, ładem a statecznością nie dochodziła. I cóżkolwiekby na to odpowiedziano, ośmielamy się twierdzić, że uznanie to pod pewnym względem łatwiejszém być może w Berlinie, niż w innych stolicach naszych zaborców. Rząd pruski, to nie moskiewski despotyzm. Wprawdzie powagą swą osłania on bezprawia, ale dozwala przynajmniéj, aby je przed światem głoszono; wprawdzie na czele władz prowincyonalnych stawia ludzi, których nazwisko samo jest hasłem boju z mieszkańcami; ale nie ściga, nie wysyła na Sybir lub do Kufsztejnu tych, co śmią twierdzić, że im się dzieje niesprawiedliwość. Smutna to i drobna przyznajemy pociecha, ale i takiéj pod innémi rządami nie mogą się spodziewać Polacy.

Gdybyśmy lepiéj znali obecny stan prowincyi poznańskiéj, możebyśmy potrafili wykazać, ile już, uorganizowane koło poselskie i jego usilne starania przyniosły wistocie pożytku polskim téj ziemi mieszkańcom. Lat temu kilka pewien dygnitarz niemiecki, wyzwany przez Francuza do rozmowy o Polsce, cieszył się z «przebiegłéj chytrości» (*habile perfidie*), z jaką władze poznańskie umiały przeciw sobie postawić interesa klas wyższych niższych. Kto dzisiaj spojrzy na ludność wielkopolską,

może już nie dostrzeże owoców téj przebiegłéj, niemieckiéj chytrości. Może już od dawna, w żadnéj z ziem polskich nie pokazało się wpośród klas rozlicznych tyle zbliżenia i uczucia wspólnéj obrony, ile ich objawiła Wielkopolska, podczas wyboru deputowanych na sejm tegoroczny. Ta ufność wzajemna, a z nią siła prowincyi, któréj nie zburzyły rozsyłane przez policyą proklamacye, tém prędzéj, jesteśmy pewni, dojrzeje, im bardziéj klasy uboższe widzieć będą bogatszych sprawie publicznéj oddanych, im sumienniéj reprezentanci prowincyi, owi moralni i polityczni jéj przywódzcy, poznawać będą interesa swego kraju, bronić ich i u obcych dochodzić. Nie przeczym, ma Wielkopolska właściwe sobie choroby, z których trudno jéj wyleczyć się, trudno nawet przed ich postępem się ochronić. Rzucony na pastwę niemieckiéj chciwości, żywioł polski topnieje pod jego naciskiem i przeradza się zwolna w proletaryat. Depczą go ludzie, którzy postawieni na czele władz, walczą z nim jakby z osobistym nieprzyjacielem. Są tam panowie Puttkammer, Baerensprung, Noah, i t. p.; każdemu z nich kwitnąca fortuna polska albo staraniem polskiem dźwigniony zakład, stoją wciąż przed oczyma, jakby wyrzut niemieckiego sumienia; ich zaciętość, całą potęgą biórokracyi poparta, w system wytępienia ujęta, przyniosła nam i przynosi szkody niezmierne. Ale niech nam wolno będzie w tém miejscu przypomnieć, że odkąd ludność poznańska z roztropnością a męztwem poczęła odpierać ich ciosy, odkąd siły prowincyi w kole poselskiém zorganizowane dobiły się swego miejsca i swojego znaczenia, odtąd téż powaga ludzi jak p. Puttkammera dziwnie i u nas, i w Niemczech, maleje. Nie dawno temu uchodził on za bardzo zdolnego administratora; dla jednych był przedmiotem obawy, dla drugich podziwu. Dzisiaj, niechaj się zdarzy jeszcze jeden wypadek jak walka z p. Potworowskim lub interpelacya p. Niegolewskiego, a nie znajdzie się w świecie rząd dość

silny, aby teraźniejszego prezesa Regencyi poznańskiéj przy władzy utrzymać.

Dałoby się więcéj bezwątpienia naliczyć skutków zbawiennych, które skupione a roztropne koła poselskiego działanie za sobą prowadzi. A jednak zdarzyć się może, że gdy sejm berliński zakończy tegoroczne obrady, powrócą nasi posłowie do domów, nie przywożąc z Berlina nic prócz doświadczenia trudem i zgryzotami okupionego. Ich powrotem a swoją bezkarnością ośmieleni pruscy ziem polskich prokonsulowie, może tém zaczepniéj dręczyć nas będą, tém skwapliwiéj z każdego wydarzenia na złe nasze skorzystają, że już trybunał najwyższy, przed który zaniesiono skargę, zostawił ją bez odpowiedzi. To wszystko, mówimy, wypaść może, lecz ani dziwić nas, ani smucić nad miarę nie powinno, bo jest wyższa tych zawodów i téj bezsilności przyczyna, któréj ręka ludzka dziś jeszcze usunąć nie potrafi. Los ziemi wielkopolskiéj złączony jest z losami całego kraju; téż same trudności, z któremi walczyć musi duch narodowy w Poznańskiém, téż same albo sroższe jeszcze znajdują u siebie mieszkańcy Litwy, Rusi, Galicyi i Królestwa. Co większa, wynaradawiając ziemię naszę, albo przenaradawiając jéj mieszkańców, trzy rządy zaborcze do swych dzieł Kaimowych odbierają niepospolitą zachętę w niewzruszonéj obojętności, z jaką Zachód przyjmuje dziś wszystko, cokolwiek Polski dotyczy. Więc wspólnością dążeń związani, na wspólne wszyscy skazani jesteśmy cierpienia! To też żaden Polak nie będzie mógł wyrzucać deputowanym polskim, że niezdobyli w Berlinie choćby najlżejszéj dla swéj prowincyi sprawiedliwości, skoro przed aeropagiem opinii zachodniéj, u którego sprawa nasza musi naprzód być wygraną, nie jest dziś podobna uzyskać dla niéj — choćby posłuchania.

«Między narodami pognębionemi, mówi p. Guizot w dziele świeżo wydaném, Polska była największa; dziś

nawet, w swéj niedoli, jest jeszcze za wielką: Opatrzność łatwym tryumfem wynagradzała nieraz drobne i małoważące ludy, które swym prawom były wiernymi, ale sprawa Polski jest dla całéj Europy stanowczą. Aby ją zakończyć trzeba zdobyć i odbudować ogromne królestwo... » W tych słowach jest podobno zagadka owych nieprzepartych na dzisiaj trudności, które każdy z nas spotyka, kiedy wśród obcych czy narodowi całemu, czy choćby jednéj prowincyi chce służyć. Część ogromnego brzemienia dźwigają dzisiaj posłowie poznańscy. Walcząc o prawa jednéj tylko prowincyi, wyzywają mimo to wszystkie przeciw sobie potęgi nieprzyjazne, które naród nasz przycisnęły wiekiem grobowym. Ale w téj szczytnéj walce, na którą Polska patrzy z utęsknieniem, nie żal zużyć swe siły, nie żal choćby trudem całego życia ustawić drabinę dla szczęśliwszych następców. Bo wiadomo, że nim armia dobędzie fortecy, pierwsze jéj szeregi podają zwykle pod murami...

SPRAWA WŁOSKA I OPINIA EUROPEJSKA.

WSTĘP.

14 maja.

Sprawa, którą wziął w swoje ręce cesarz Napoleon, na dwóch rozstrzyga się polach : na polu bitew i na obszerniejszém jeszcze opinii publicznéj i chrześciańskiego sumienia. Na polu bitew, nasz sztandar, sztandar Polski nie powiewa. Ale w sferze opinii publicznéj już teraz, razem ze sprawą włoską, rozstrzyga się w pewnéj mierze i sprawa polska. Przenika to w sumienie rządów i ludów, że wyzwolenie uciemiężonéj narodowości może być zarówno aspiracyą serc szlachetnych, jak i celem praktycznéj polityki. Nie od rzeczy więc będzie, sądzimy, zdawać sobie sprawę z wpływów przyjaznych i szkodliwych, którym ulegać musi rozwój zasady podniesionéj przez cesarza Francuzów i w ważniejszych organach dziennikarstwa różnych krajów śledzić kroki i postępy opinii publicznéj w téj mierze. Dlatego nie odbiegając zadań naszemu pismu dotąd właściwych, poświęcim odtąd niejednę kolumnę i téj pracy, którą także za polską uważać możemy.

I

Traktat wiedeński tworzy jedyne prawo, na mocy którego Austrya dzierżyła dotąd włoskie prowincye. Jéj panowanie w północnéj części półwyspu, jakkolwiek przeciwne życzeniom i potrzebom mieszkańców, znajdowało przecież swą podstawę w tych wszystkich wielkich interesach i opiniach europejskich, które domagały się zachowania traktatu i utrzymania pokoju. Te potężne gwarancye Austrya dobrowolnie odrzuca. Odkąd pierwszy jéj żołnierz stanął na ziemi piemonckiéj, rozdarte zostały dawne umowy, zakwestyonowane jéj prawo i już tylko przewaga oręża może odtąd utrzymać cesarza austryackiego w posiadaniu Lombardyi i Wenecyi. A jeśli, jak to w powszechném jest dzisiaj przeczuciu zwycięztwo zostanie wierne sztandarom Francyi, Europa układając pokój nie znajdzie prawdopodobnie tych, co w r. 1815, powodów, aby i nadal prawa i szczęście ludności włoskiéj poświęcać wymaganiom strategicznym przeciw Francyi. Artykuły traktatu pójdą niebawem w zapomnienie, zostanie tylko pamięć złych rządów Austryi i nowy kongres usłuchać musi opinii publicznéj, która woła aby Włochy oddane były Włochom. — Zaprawdę, nie zbywało Austryi na środkach, aby rozwiązaniu tak dla niéj fatalnemu zapobiedz, przynajmniéj odwlec je na czas; nie brakowało jéj poważnych ostrzeżeń. Lat temu dziesięć, papież Pius IX w sposób bardzo silny upominał cesarza austryackiego «iżby nie szukał swéj chwały w krwawych zamiarach przeciw włoskiemu narodowi, a raczéj aby w przyjazne sąsiedztwo zamienił swoje panowanie, które ani szlachetne jest ani szczęśliwe, bo utrzymuje się tylko żelazem.» W listopadzie 1848, lord Palmerston zachęcał Austryą do

zaprowadzenia w Lombardyi rządu narodowego z osobnym arcyksięciem. Z uderzającą bystrością przewidywał wypadki, które dziś się ziściły. «Wielkie zmiany (pisał on wówczas do posła angielskiego w Wiedniu), zajść mogą we Francyi; wybór prezydenta rzeczypospolitéj, który za miesiąc ma nastąpić, innych ludzi może postawić u władzy. Z innymi ludźmi inna przyjdzie polityka. Zasady polityki tradycyonalnéj, łącznie z silniejszém działaniem na zewnątrz, mogą być przyjęte przez rząd francuzki. Opinia tego kraju, dziś chciwa pokoju, może łatwo zwrócić się w inny kierunek, a chwała oswobodzenia Włoch (jak powiedzą w tym kraju) z pod rządów Austryi, może skłonić Francyą do wielkich poświęceń i wielkich wysileń. Nie będzie ona potrzebowała czekać długo na sposobność ujęcia się za niepodległość włoską; trudno téż przypuścić, iżby armia francuzka, tak dzielna i liczna, a nadto poparciem ogólnem Włochów wzmocniona, nie zwalczyła oporu, jaki armia austryacka stawić jéj może. W takiém przypuszczeniu, Austrya utraci prawdopodobnie wszystko, cokolwiek aż po Alpy we Włoszech posiada.» Tak pisał, w r. 1848, lord Palmerston jako minister spraw zagranicznych. Od tego czasu nie zaszło nic takiego, coby umysły ludności włoskiéj zjednało dla Austryi i panowanie jéj w tym kraju ubezpieczyło. Owszem, wprowadzony z nowym monarchą system centralizacyjny, odjął i te szczupłe miejscowe prawa, jakich prowincye za rządów poprzednich używały; wycieńczył Lombardyą, z reszty dawnego znaczenia odarł Wenecyą, w innych krajach włoskich stał się dla niektórych rządów hasłem krwawego nieraz odwetu po wypadkach roku 1848. Austrya, w oczach wszystkich, była główną sprawczynią klęsk, które dręczyły półwysep, a równo z jéj niepopularnością gruntowała się w Europie opinia zapowiadająca bliższy lub dalszy, ale nieuchronny koniec panowania obcego we Włoszech.

Upadek partyi rewolucyjnéj w całéj Europie, a tém samém na półwyspie, i poważne wystąpienie Sardynii zwiększyły jeszcze w ostatnich latach sympatyą Francyi i Anglii dla niepodległości włoskiéj. Pomimo to, kiedy król Piemontu związał się przymierzem odporném z cesarzem Napoleonem i interwencya Francyi stała się nietylko prawdopodobną ale i blizką, Anglia, zawsze niespokojna ilekroć duch wojenny budzi się u jéj groźnego sąsiada, wobec przewidywanych zwycięztw i przewagi Francuzów, Anglia naraz jakby zapomniała i swego wstrętu do despotyzmu austryackiego i swéj życzliwości dla Włochów potylekroć okazywanéj. Kiedy rząd jéj, zdjęty słuszną troskliwością o pokój, szukał zgody między dwoma głównymi przeciwnikami, dzienniki Angielskie nieszczerze głosić poczęły, że interwencya francuzka jest niepotrzebną, bo system obecny zużył się i opiera się tylko na bagnetach austryackich. «Aby go zwalić, pisał z szczególną dobrodusznością *Times*, dość byłoby demonstracyi moralnéj ze strony całéj Europy!» A gdy nietylko Anglii, lecz wszystkich wielkich mocarstw usiłowania rozbiły się o jakąś fatalną konieczność, która pchała do wojny, gabinet torysów korzystał z każdéj sposobności, jaką nasuwały wybory, aby potępić, wyśmiać nawet politykę co sztandar niepodległości włoskiéj szlachetnie i bezinteresownie podniosła. «Wojna ta, mówi jeden z najliberalniejszych ministrów torysowskiéj partyi, lord Stanley, wojna ta w naszéj epoce przedsięwzięta, musi jeśli nie zburzyć to przynajmniéj zachwiać głęboko wiarę, z jaką naród nasz ufał w postęp cywilizacyi i rządów na stałym lądzie. Bo to nie będzie walka opinii; nie będzie to jeden z tych bojów, jakie różnemi czasy w historyi zdarzały się, a wywołane były głęboką różnicą zasad politycznych lub religijnych; nie będzie to potężne starcie, którego ofiary, boleści i nieszczęścia nagradzane są, w pewnéj mierze, wielkością idei, i gdzie olbrzymie interesa i cel zapalają serca i spo-

tkanie się czynią nieuchronném: będzie to wojna podjęta lekkomyślnie, bezużytecznie i, dodam złośliwie.» Inny minister p. d'Israeli, przyznając że powodów wojny szukać należy w polityce Austryi we Włoszech, ostrzega wszakże słuchaczy, aby się nie dali uwodzić przesądem o ucisku, jakiego doznają mieszkańcy stałego lądu od niektórych monarchów. «Bo jeśli można, mówi on, krytykować postępowanie Austryi względem jéj poddanych, to sposób w jaki nasze rządy obchodzą się ze swymi poddanymi nasuwa także uwagi, i też same powody, które z jednéj strony mogłyby nas skłonić do wojny, też same z drugiéj strony zmuszają nas do obojętności...»

Wszakże uważać trzeba, że prócz zwyczajnéj nieufności ku Francyi, były w téj sprawie inne także pobudki, które ministeryum angielskie usposabiały do złego humoru i do afektowanego lekceważenia powodów wojny. Gabinet torysów pobity został przy dyskusyi nad prawem wyborczém w chwili, gdy kwestya pokoju lub wojny miała się rozstrzygnąć. Izba rozwiązana, naród wezwany do zadecydowania o dalszém istnieniu ministerstwa. W tym czasie rozpoczął był pośrednictwo swoje lord Cowley, i gdyby ministrom angielskim udało sie zapobiedz wojnie na stałym lądzie, albo przynajmniéj ją opóźnić, exystencya gabinetu okazałaby się nieodzowną. Każdy niemal Anglik powiedziałby sobie, że ciż sami ludzie którzy potrafili zawiązać układy o pokój, ciż sami mogą najłatwiéj przywieść je do szczęśliwego końca. Ani wątpić, że w takim wypadku pan d'Israeli stanąłby w Izbie niższéj poparty większością ogromną. Tymczasem, gdy negocyacye lorda Cowley przeciągały się bez widocznego rezultatu, wniesiona przez Rossyą propozycya kongresu, inny obrót sprawie nadawała. Ministeryum nie mogło jéj odrzucić (był to bowiem środek odwrócenia wojny), nie mniéj jednak widziało w niéj zmniejszenie swych zasług w pacyfika-

cyi Europy. A gdy i kongres nie zebrał się, gdy nawet ofiarowana «w ostatniéj godzinie» medyacya Anglii nie wstrzymała zerwania, gabinet torysów począł szerzyć żale swoje, że mu przeszkodzono w dziele tak szczęśliwie zaczętém «bo misya lorda Cowleya, która wobec zamierzonego kongresu upaść musiała, byłaby niechybnie przywróciła Europie zgodę powszechną.» Nieszczere to i niewłaściwe żale! W całéj téj sprawie postępowanie torysów zdawało się być obrachowane tylko na efekt w wyborach; szukali sukcesu w dyplomacyi, aby znaleźć sukces w przyszłéj Izbie. Zręcznymi byli — i tylko zręcznymi tam, gdzie należało mieć odwagę; zapomnieli, że w kraju sąsiednim panuje monarcha, który ze zręcznością łączy śmiałość i wierność zasadzie. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Anglia oświadczyła się była stanowczo za Francyą lub stanowczo przeciw Francyi, byłaby wstrzymała działania wojenne. Ale gabinet torysów czuł się za słaby, aby słowo tak silne powiedzieć; obu stronom naprzemian okazywał swoje niezadowolnienie, postępowanie Austryi mienił «zbrodniczém», postępowanie Francyi «lekkomyślném; obu stronom zdawał się grozić i obie tém samém — ośmielał. Miał prawo lord Palmerston zarzucić ministrom, że w ciągu téj kwestyi nie wystąpili ani razu ze słowem Anglii, jak należało, oficyalném, stanowczém.

Wśród takiego niezadowolnienia gabinetu torysów, wśród ogólnéj narodu angielskiego niepewności, ponuréj, podejrzliwéj i niespokojnéj, spada nagle wieść o aliansie franko-rossyjskim. Wnet przestrach szerzy się ogromny, kilkanaście domów handlowych bankrutuje, mnóstwo rodzin zamożnych zchodzi od razu w nędzę. Rząd domaga się wyjaśnień w Petersburgu i w Paryżu; książe Gorczakow zaręcza, że układ ten w niczém nie dotyka Anglii; w Paryżu komunikują lordowi Cowley zobowiązanie *piśmienne*, jakie z Rossyą zawarto. Aby uśmierzyć gwałtowne wrażenie, rząd upewnia, że układ

jest małéj wagi, nie śmie jednak wytłómaczyć się bliżéj z jego warunków. Ta ostrożność ministrów powiększa niepokój. «Zaprzeczenia urzędowe, woła *Times*, straciły wiele na ważności w ostatnich czasach; można je nawet uważać jako niechybną zapowiedź tego co się stanie. Cokolwiek prawi minister rossyjski o nieszkodliwości przymierza, nie wierzymy temu; nie przypuszczamy, aby tajemnice dwóch cesarzów miały być zupełnie niewinne. Chcielibyśmy ujrzeć owe pismo, które dwoma wojskami ma rozporządzać, chcielibyśmy poznać warunki, na które zgodzili się obaj cesarze... Nie znając aktu, musimy opierać się na faktach wiadomych. Wiadome jest przecież porozumienie Francyi i Sardynii; pamiętamy owe nieustanne przebywanie książąt rossyjskich na morzu śródziemném, odstąpienie portu Villafranca, przybycie floty rossyjskiéj, i t. d., i t. d. Promień światła pada dzisiaj na te fakta znaczące.» Wobec widma przyjaźni francuzko-rossyjskiéj, *Times* tłómaczy nawet postępki Austryi, i zerwanie pokoju jedynie Francyi przypisuje. «Austrya, mówi on, widząc że w skutek propozycyi rossyjskiéj negocyacye przewlekają się bez końca, znaglona potrzebami finansowemi, słysząc że oprócz traktatu z Sardynią istnieje jeszcze traktat Francyi z Rossyą, wolała raczéj pochwycić za broń. Europa usprawiedliwi ją, jak usprawiedliwia Anglią z bombardowania Kopenhagi, skoro sekretne warunki pokoju tylżyckiego zostały odkryte...» Kiedy w ten sposób wyrażał *Times* swoje obawy i uczucia, podzielane chwilowo jak się domyślać można, przez większość Anglików, inne dzienniki przeciwnie, obawiając się zbytniego rozdraźnienia opinii zaprzeczały aliansowi. *Morning Herald* nazwał go «haniebną potwarzą,» *Morning Post* przypuszczał o nim, że jest wymyślony przez gabinet austryacki, pragnący tą pogłoską zwrócić umysły ku sobie. Ale co bądź możnaby mniemać o istnieniu tego przymierza, to pewna, że trwoga jaką wywołało, po-

chodziła z dążności zaborczych, które w niém przewidywano. Nikt nie przypuszczał aby dwa państwa jak Francya i Rossya wiązały się z sobą bez zysku dla siebie, bez uszczerbku dla najbliższych sąsiadów. Nawet lord Palmerston, stały w swéj życzliwości dla cesarza Napoleona, nie wahał się wyrzec publicznie, że jeśli alians Francyi z Anglią wszystkich uspakaja, to przyjaźń Rossyi z Francyą jest groźbą dla wszystkich.

Proklamacya cesarza Napoleona, która z tylu względów będzie pamiętną w historyi, naznacza jakby chwilę przesilenia w kierunku opinii angielskiéj. Na obawy podbojów i grabieży, cesarz Francuzów odpowiada programem polityki rozumnéj i bezinteresownéj; naprzeciw dotkliwym podejrzeniom, które go z tylu stron dręczyły i drogę mu utrudniały, stawia zwycięzko prawdę swoich dążeń. Obaczmy jak ta szczerość rozbraja niechęci i obojętnych zmusza do uznania. Zaraz po ogłoszeniu proklamacyi, *Morning Chronicle* z serdecznym zapałem wyraził swe sympatye, a *Daily-News* przyrzekł bronić stanowczo polityki cesarza, dopóki nie wyjdzie z granic, które sam naznaczył. « Cokolwiek powiedzą dworacy (pisze ten dziennik), nie można wątpić o uczuciach naszego narodu; wyraził je wiernie lord Palmerston, ciesząc się że Austrya zostanie z Włoch wypędzona. » *Morning Post* wyrzuca błąd ministrom i niektórym publicystom angielskim « iż zasłaniali we Włoszech stanowisko Austryi nieprawe, anormalne i niczém niedające się usprawiedliwić. Dla obawy niebezpieczeństw, któremi w przyszłości duma Francyi mogła zagrozić, zapomniano o niebezpieczeństwach obecnych, istotnych a pochodzących z panowania Austryi we Włoszech. Szukano w polityce Napoleona przeróżnych powodów, wyjąwszy te jakie miał rzeczywiście. Znajdując w Austryi ciągłą przeszkodę w ulepszeniu stosunków włoskich, oskarżany i ścigany przez samychże Włochów, jakoby za to iż przeniewierzył się sprawie, któréj służył

za młodu, Napoleon chciał położyć koniec tym nieznośnym zawikłaniom. Ma więc ta wojna cechę przedewszystkiém sprawiedliwą i cywilizacyjną... » W końcu i *Times* zmuszony jest wyznać, że polityka cesarska jest teraz roztropniejsza. Ale dodaje : « któż wie co za myśli kryją się w głębi tych pięknych projektów, któż przewidzieć może ostatnie słowo, jakie wojna przyniesie? Piękne zasady, w imię których ją podniesiono, późniéj nie zaważą więcéj niż waży dowód własności po kilku wiekach minionego posiadania. Co do nas, niczego bardziéj nie pragniemy, jak abyśmy zawsze mogli wierzyć szczerości tych oświadczeń, a wtedy przyklaskiwać będziemy postępom armii francuzkiéj i oswobodzeniu Włoch. »

Jak widzimy, zwycięztwo przeważne odniósł cesarz Napoleon : umiarkowaniem swém rozbroił zawiść Anglików i wnet odezwały się w tym narodzie uczucia życzliwości dla Włochów. Wprawdzie niewiadomo dotąd, jakie będzie stanowisko gabinetu Derbego w przyszłym parlamencie ; lecz chociażby utrzymał się, oglądać się już musi na objawy sympatyi, które w Anglii dość powszechnie niepodległość włoska dzisiaj obudza. « Mowy lorda Derby i d'Israelego, woła *Examiner*, każą nam się obawiać aby ci ludzie, jeśli parlament temu nie zapobieży, nie wtrącili Anglii do wojny. » « Cel wojny, dodaje *Spectator* jest teraz jasno postawiony. Jakiekolwiek mogą być dążności naszych ministrów (*dosłownie* : naszych sług odpowiedzialnych), interes i honor Anglii wymaga, abyśmy użyli naszego wpływu dla zrealizowania polityki Napoleona, to jest aby zadecydowaném było, czy Austrya ma panować na całym półwyspie, czy też Włochy mają być wolnemi? Cesarz zobowiązał się przywrócić im niepodległość. *Anglicy przyjmując ten program, mogą zapewnić jego wykonanie i nie dozwolić jego przekroczenia ;* do tego potrzeba jest, iżby neutralność Anglii i Niemiec była neutralnością prawdziwą. »

I oto jest, zdaniem naszém, prawdziwe słowo obecnéj sytuacyi. Francya i Włochy nie potrzebują od Anglii nic więcéj, prócz neutralności szczeréj i uczciwéj. Utrzyma ona politykę cesarza w roztropnym i szlachetnym zakresie, a dla rezultatu wojny może być, pod pewnym względem, korzystniejszą nawet od spółdziałania Anglii. Dość przypomnieć ile ofiar, ile drogiego czasu zmarnowano w ciągu wojny krymskiéj, kiedy Francya zmuszona była kierować swoje siły nie tam, gdzie była nadzieja zadania dotkliwych ciosów nieprzyjacielowi, ale tam, gdzie je zawracała polityka sprzymierzeńca.

Ostatnie akta rządu francuzkiego tę jeszcze niezmierną usługę oddały sprawie włoskiéj, że ją zdefiniowały jasno i postawiły dogodnie dla większości, zrozumiale dla wszystkich. Była w téj sprawie trudność wielka, że dotykała naraz wszystkich fundamentalnych zasad społeczeństwa. Łączyła się z religią przez Papieża, z porządkiem europejskim przez równowagę polityczną, z bezpieczeństwem powszechném przez rewolucyą którą nieustannie zasilała, wreszcie z przyszłością politycznéj europejskiéj cywilizacyi przez najszlachetniejsze dążenia narodowości i wolności, które téj sprawy są treścią i życiem prawdziwém. Istniała ona dla wszystkich, nawet dla tych co jéj przeczyli, tylko każdy ją pojmował inaczéj. Anglia w Rzymie i w Neapolu, w złéj administracyi półwyspu widziała sprawę włoską; Austrya wskazywała ją w Turynie gdzie według niéj wulkan rewolucyjny groził ciągłemi wybuchami; Włosi rozumieli przez nią oswobodzenie się z pod cudzoziemskiego jarzma i z pod rządów włoskich, które z Austryą trzymały; Francuzi nakoniec szukali jéj potrochu wszędzie, — i z tego właśnie zmieszania pojęć, interesów, złych i dobrych dążności urosnąć mogło w chwili wojny straszne dla Europy niebezpieczeństwo, przed którém najśmielsi i najzacniejsi z obawą cofali się.

Przewidując te niebezpieczeństwa, a z drugiéj strony

zaspakajając sprawiedliwą troskliwość, Cesarz w swéj odezwie powiedział: « Idziemy do Włoch nie po to, aby siać nierząd ani zachwiać władzę Papieża, któremu tron przywróciliśmy, ale aby go uwolnić od cudzoziemskiego nacisku, co przydusza cały półwysep, aby przyczynić się do utwierdzenia porządku na zaspokojonych prawych interesach. » Nietylko najbliższy ale zupełny cel wojny zamyka Cesarz w tych słowach : *oswobodzić aż po Adryatyk Włochy od cudzoziemców;* i aby go osiągnąć, Francya korzysta z napadu na Piemont, idzie walczyć z Austryą we Włoszech, z samą tylko Austryą. « W tym kraju włoskim, pisze w świeżym okólniku minister oświecenia, w tym kraju gdzie ucisk cudzoziemców jest przyczyną cierpień i nieustannych zaburzeń, Cesarz roztropnie i sprawiedliwie sądzi, że byłoby największém dobrodziejstwem dla rządów, wrócić im niepodległe istnienie, wrócić wolność ruchu i możność działania, bez obawy zaburzeń, dla dobra i rozwoju swych ludów. Te zasady praktyczne, szlachetne i chrześciańskie, zaprowadzą do ugruntowania na trwałych podstawach porządku publicznego i uszanowania rządów w państwach włoskich. »

Francya więc, jak widzimy, nie wywołuje przeciw sobie, nawet we Włoszech, więcéj nieprzyjaciół niźli dla niepodległości włoskiéj potrzeba; żadnemu z mniejszych państw włoskich nie zagraża, nie stawia się w sprzeczności z żadnym interesem europejskim, który we Włoszech ma swą podstawę lub związek. I słusznie. Bo aby sprawę tę załatwić, dość, powtarzamy, Austryą z półwyspu wypędzić, a monarchowie włoscy, bez względu jakie dzisiaj są ich dążności, odgrodzeni od Austryi państwem niepodległém, owiani w swych stolicach rozgrzaną atmosferą uczuć patryotycznych, muszą wcześniéj czy późniéj skierować swe działania stosownie do potrzeb i życzeń narodu i jego potężnego sprzymierzeńca. Lecz dla utrzymania się w tym programie szla-

chetnéj i przezornéj polityki, cesarz Napoleon wiele jeszcze musi zwalczyć trudności. Spróbujemy wykazać następnie inne strony i możliwe kombinacye tego olbrzymiego zagadnienia.

II

W chwili gdy na równinach Lombardyi rozpoczęła się wojna, któréj ostatnie wystrzały ogłosić mają niepodległość włoską, z drugiej strony Renu toczy się podobnież walka wprawdzie na inném polu, ale niemniéj dla Włoch i Francyi znacząca. Chcemy mówić o głębokiém rozjątrzeniu, które wobec przewidywanéj wojny, wszystkę ludność niemiecką poruszyło przeciw Francyi, pomimo wielkiéj ostrożności jéj rządu. Zagadnięci niespodzianie w swém uczuciu jedności i mniemanéj godności narodowéj, Niemcy ujrzeli naraz w wojnie włoskiéj groźbę dla całéj Rzeszy i dziś dość powszechnie uważają za obowiązek honoru bronić Austryi tam nawet, gdzie jéj polityka w sumnieniu publiczném samychże Niemców oddawna potępiona została. Opinia woła na rządy niemieckie aby zbroiły się, aby zapomniały dawnych rywalizacyj; ministrowie drobnych państw czynią szumne oświadczenia, że sztandar Germanii silną ręką utrzymają, i jakby Gallowie byli już przed bramami, wołają do czynności gęsie frankfurskiego Kapitolu. W tém wzburzeniu umysłów wiele jest zapewne próżnéj wrzawy i zwyczajnéj gadatliwości niemieckiéj, wiele sztucznéj i podstępnéj agitacyi wywołanéj przez Austryą, i te prawdopodobnie ucieszą się na odgłos pierwszego zwycięztwa Francuzów. Ale jest i prawdziwe uczucie, kierowane wspomnieniami 1813 roku, i gdyby dążność ta doprowadzić miała Rzeszę do zerwania pokoju, wpośród trudności jakieby z różnych stron przycisnęły Francyą w jednéj chwili, roz-

wiązanie sprawy włoskiéj, dziś prawie pewne, musiałoby ulegdz, co najmniéj, nowemu spóźnieniu. Posłuchajmy co mówi o tém usposobieniu wojenném swych rodaków, jeden z rozważniejszych Niemców, o których dzisiaj dość trudno. *Gazeta Kolońska*, która też za to, że nie zupełnie dzieli ogólnéj sympatyi dla Austryi, wykluczoną została w Badeńskiém, Bawaryi i Wirtemburgu z klubów i czytelni publicznych, zawierała témi dniami następną ciekawą korespondencyą z Niemiec południowych :

« Kiedy telegraf przyniósł nam pożądaną wiadomość o przystąpieniu Prus do zbrojenia się Rzeszy (pisze korespondent wspomniany) i gdy przyjęte przez Francyą, Rossyą i Prusy ostatnie propozycye gabinetu londyńskiego rozbudziły nadzieje pokoju, inna depesza doniosła nam z Wiednia, że Austrya położyła koniec wszystkiemu, wysłaniem swego ultimatum. W pierwszéj chwili, nie znając treści ultimatum, mniemano ogólnie, że Austrya, któréj arcyksiąże dopieroco do Berlina był przyjechał, uczyniła krok ten nie bez porozumienia się z Prusami. *Gazeta Pruska* z d. 23 kwietnia objaśniła nas, że stało się inaczéj. Austrya uwiadamiając Prusy, że widzi konieczność energicznego rozstrzygnienia kwestyi, oznajmiła zarazem że czekać będzie na ich decyzyą aż do 30 kwietnia; musiano więc w Berlinie niemało zadziwić się, skoro, już dnia 21 kwietnia gabinet wiedeński wyrzekł słowo stanowcze. Słowo to złowieszcze i nieszczęśliwe : bo chociaż wiadomo, że rząd francuzki jest sprawcą całego zamieszania, niemniéj przeto sroga odpowiedzialność ciężyć będzie na Austryi. Im więcéj było dla niéj powodów mieć się na ostróżności przed paryzkiemi intrygami, tém przezorniéj unikać była powinna wszystkiego, coby winę cesarza Napoleona uprawnić mogło. Było wprawdzie jéj interesem przeciąć nić przedłużających się nad miarę a tak dla niéj szkodliwych negocyacyj; ale również powinna była się uzbroić przeciwko

podszeptom do nieroztropnego pośpiechu. Miała obowiązek działać zwolna i oględnie, bo usposobienie Prus nie ulegało żadnéj wątpliwości : była więc jeszcze możność zjednoczenia sił niemieckich, Nadto należało pamiętać, że Anglia z położenia swego przeciw temu wystąpić musi, kto pierwszy broń podniesie, jak również że Rossya może tylko czyha na sposobność pomszczenia się na Austryi, Wszystko to powinno było upominać gabinet wiedeński, aby nie odbierał Napoleonowi roli zaczepiającego. Ale Austrya o wszystkiém zapomniała i wydała wojnę w najniestosowniejszéj chwili.

» Nie wiemy co mogło wpłynąć na tę decyzyą gabinetu wiedeńskiego; ale sądzimy że czas jest wziąść na uwagę sposób, którego Austrya używała do przeprowadzenia swéj sprawy. Odwaga, z jaką w Wiedniu od pierwszéj chwili przyjęto wyzwanie cesarza Napoleona, zasłużyła na nasze uwielbienie i zjednała jéj mianowicie w Niemczech południowych ogólną sympatyą. Wszystkim dworom może posłużyć za wzór owa *zręczność* i czynność, z jaką gabinet wiedeński umiał przeciągnąć na swą stronę opinią publiczną w Niemczech przez obszerne użycie dzienników. Lecz z drugiéj strony, wolny od uprzedzeń umysł polityczny przyznać musi, że determinacya jéj nie miała potrzebnéj oględności ani propaganda dziennikarska jasnego i przewidującego spokoju. Zapomniano, zdaje się, w Wiedniu z jak przebiegłym przeciwnikiem miało się do czynienia, i zaczęto postępować w sposób, który mógł się udać w Turynie ale nie w Paryżu. Podburzano gwałtowne namiętności, nie bacząc że w sprawach polityki zagranicznéj ten tylko zwycięża, kto jasny zachowuje umysł; na wielu téż miejscach dopuszczono się ciężkich omyłek. Mówiono gabinetowi londyńskiemu, że we Włoszech nie da się zaprowadzić system konstytucyjny; Prusy chciano przez dzienniki zmusić do decyzyi; a wreszcie siebie i tych, którzy bezwarunkowego u nas związku z Austryą doma-

gali się, wepchnięto w ten wir namiętności, który w polityce zawsze do zguby prawadzi...

» Przestrogi jakie dochodziły odrzucano z ironią. Od początku b. r., *Gazeta Augsburska* podniosła sztandar wojenny i nie zważając na rewolucyonistów z roku 1848, wszelkiemi sposobami do tego dążyła, aby wywołać najogólniejsze zamieszanie umysłów. Napróżno ją wstrzymywali najznakomitsi współpracownicy, ganiąc jéj taktykę demagogiczną i przepowiadając niechybne skutki. Jeżeli kiedy pojawił się w jéj kolumnach artykuł głębszy i spokojny, redakcya niechybnie pośpieszała zatrzeć jego wpływ ironicznemi uwagami, a zgraja lekkich pisarzy wpadała z hukiem na roztropnego publicystę. Lecz nie sama tylko *Augsburska Gazeta* była organem téj na pozór obrachowanéj a rzeczywiście bezmyślnéj polityki; *Korespondent norymberski* i *Merkury szwabski*, najwięcéj na południu mające wpływu, wyprzedzały nawet *Augsburską Gazetę* i jeszcze bardziéj od niéj zamknęły drogę wszelkiéj politycznéj dyskusyi. W ten sposób doczekały się Niemcy tego niesłychanego zjawiska, że dziennikarstwo nietylko przestało być wyrazem dojrzalszych pojęć politycznych, lecz owszem jest dla nich całkiem nieprzystępne. Pierwszém i ostatniem słowem był wykrzyk: « Austrya powinna skończyć z tą marną gmatwaniną dyplomacyi: naprzód, naprzód! » I oto widzimy dziś plon tego siewu. Bo nie ulega żadnéj wątpliwości, że głos dziennikarstwa południowych Niemiec wpłynął znacznie na niebezpieczną decyzyą Austryi... »

Impuls dany przez Austryą uczuciom patryotycznym południowéj Germanii, nie zatrzymał się z rozpoczęciem wojny; owszem szerzy się i przenika coraz głębiéj. Rzecz godna uwagi, że ogniskiem propagandy antyfrancuzkiéj były naprzód, oprócz przychylnych dla Austryi dzienników same dwory panujące, złączone licznémi związkami pokrewieństwa z domem habsburskim i z książętami włoskimi. Ztamtądto rozchodziły się złośliwe podszepty,

że Francya zamierza najechać a nawet zdobyć część Niemiec, że Niemcy zasłaniając Austryą we Włoszech bronić będą własnéj ojczyzny, własnego bezpieczeństwa, własnego honoru! Pomagała téj propagandzie dworskiéj arystokracya niemiecka, któréj synowie, jak wiadomo, znajdują zazwyczaj pomieszczenie w licznych szeregach armii i biórokracyi austryackiéj. Lecz były i inne przyczyny rozdrażnienia przeciw Francyi. Cały stan kupiecki począł niezmiernie cierpieć na deprecyacyi papierów austryackich; kilka domów handlowych w Lipsku ogłosiło swe bankructwo równo z wydaniem wojny, i przewidzieć nietrudno, że każde niepowodzenie Austryi nowe katastrofy finansowe wywoła niechybnie. Kiedy razem z Francyą i Austryą rządy niemieckie poczęły gotować się do wojny, mnóstwo ochotników napełniało szeregi; przyklaskiwano księciu nassauskiemu, gdy porzuciwszy sejm, którego był prezesem, zaciągnął się na sztabsoficera do armii austryackiéj. « Zapał do wojny (pisze z Sztutgardu *Dziennik frankfurtski*) równo z nienawiścią do Francyi wzrasta u nas ciągle. Usposobienie to jest ogólne. Wszyscy oglądają się tylko na Berlin, czy i tam rozbudziły się uczucia, któreby zaspokoiły najgorętsze na dzisiaj życzenie Niemców, to jest pójść do Paryża i zwyciężonéj Francyi pokój dyktować. » A gdy kto zapyta z jakiego powodu i w jakim celu wojować?— « najlepiéj o nic nie pytać (odpowiada pełna rycerskiego ducha *Gazeta Augsburska*), tylko rąbać! Kto dzisiaj przeczy prawom Austryi do Włochów, ten zdrajcą ojczyzny! »

Powiodło się, jak widzimy, najzupełniéj sprzymierzeńcom Austryi w południowych Niemczech; opinia publiczna głośno domaga się wojny, nie cofa się nawet przed zamiarem napadu na Francyą. A jednak w tym entuzyazmie powszechnym, który południowe dwory tak skwapliwie podniecały, jest dla nich samych źródło ciężkiego na dzisiaj niepokoju. « Rozjątrzenie w połu-

dniowych okolicach, pisze *Gazeta Kolońska*, doszło do tego stopnia, że najdrobniejszy nieszczęsny wypadek, może stać się powodem zgubnego wybuchu.» Exaltacya patryotyczna, nie znajdując swego zaspokojenia, poczyna przeradzać się w dążność rewolucyjną. «Najdziwniejsze marzenia, mówi daléj wspomniony dziennik, snują się dzisiaj po głowie tamtejszych szaleńców. Chcieliby od razu przedsięwziąć wyprawę na Francyą, Rossyą i Danią, a jeśliby rządy nie dały się wciągnąć w te niedorzeczności, zaczną prawdopodobnie od rewolucyi...» Dziwne to i godne uwagi zjawisko! Rząd Napoleona, jakkolwiek silny, przez długi czas znajdował zaciętych w własnym kraju przeciwników. Lecz od chwili, gdy podniósł sztandar narodowości i przyjął wojnę w obronie uciśnionego sąsiada, od téj chwili znalazł on w narodzie swoim entuzyastyczne poparcie, i w miejsce dawnych niechęci nastała zgoda tak jednomyślna a przytém tak ufna i spokojna, jakiéj historya mało podaje przykładów. Ci nawet co najgoręcéj pragnęli pokoju i cesarzowi najmniéj byli przychylni, ci nawet gotowi są do ofiar najcięższych, aby wzmacniając rząd, potęgę Francyi na zewnątrz utrzymać. Tak wielka to jest siła myśli szlachetnéj! W Niemczech przeciwnie: rządy pierwsze rzuciły myśl zatrzymania dla Austryi nieprawych nabytków, podniecały swych poddanych do wojny zaczepnéj przeciw Francyi, obudziły nikczemną chęć poniżenia wspaniałomyślnego narodu. Ale rządzeni prześcignęli rządzących, i dzisiaj królowie i książęta południowych Niemiec poczynają lękać się o własne bezpieczeństwo. Jeśli do wojny zewnętrznéj nie przyjdzie, kto wié, czy nie będą zmuszeni rozprawić się z własnymi poddanymi?...

Bo jeśliby wolno nam było w rzeczy tak zawiłéj a dla nas odległéj wydawać sąd, bardziéj może na przeczuciu i indukcyi niż na faktycznem sprawozdaniu oparty, powiedzielibyśmy, że obecna agitacya niemiecka wiele

w sobie różnorodnych, sprzecznych, śmiertelnie nawet nienawistnych zawiera żywiołów. Rządy i arystokracya są tak mało niemieckie jak konstytucyjne, ale mają szczerą sympatyą do Austryi wyobrazicielki ich przywilejów i nadużyć i równie szczerą nienawiść do Francyi, pod każdym rządem wyobrazicielki zasad im przeciwnych, a pod napoleońskim zbrojnych i na zewnątrz działających. Najmniéj praktyczna a zarazem najbardziéj teutomańska klasa uczonych, profesorów, doktorów, filologów i ideologów, która w Germanii Tacyta widzi swoje *jus gentium* a « w nieskończoności niemieckiego ducha » powołanie do zalegania ziem nieskończonych, szczerze wprawdzie nienawidzi romańskiéj, płochéj lecz i groźnéj Francyi, ale téż nie wielką pała miłością dla Austryi, w któréj nie bez słuszności upatruje największą przeszkodę do rozwoju liberalizmu i jednoczącéj przewagi Prus protestanckich. Partya w końcu demokratyczna i rewolucyjna, z zasady kosmopolityczna a z charakteru niemieckiego najmniéj obywatelska, z głębi duszy nienawidząca Austryi, najmniéj francuzkiéj propagandzie, najbardziéj obecnemu Francyi kierunkowi niechętna, o jedność Niemiec tak mało dbała, że bez wahania przyjęłaby choćby z rąk cudzoziemców republikę, ta partya popycha dziś rządy w nadziei ich zepchnięcia, i podnieca sny wielkości i chwały, by potém tém lepiéj skorzystać ze strasznego przebudzenia i rozczarowania. Taki to skład tych szeregów, które do Francyi mierzą, ale skutkiem swéj nieszykowności, może nie do Francyi ostatecznie wystrzelą.

Cokolwiekbądź, w ręku Prus są dzisiaj złożone przyszłe losy Niemiec; i tylko Prusy mogą jeszcze powstrzymać nierozważną agitacyą południowéj ludności, albo folgując jéj, dać hasło wojny powszechnéj « która (słowa są *Gazety Kolońskiéj*) musiałaby spustoszyć całą Europę, a końca niktby przewidzieć nie zdołał. » Ale Prusy mają dwojakie stanowisko i dwojakie tém samém obowiązki.

Jeśli jako pierwszego rzędu państwo europejskie, muszą przedewszystkiem oglądać się na potęgi dotąd neutralne, aby zbyt pospieszném wystąpieniem nowéj wojny nie rozpalić, to jako stróż interesów Rzeszy niemieckiéj, muszą znów na pierwszém miejscu kłaść jedność Niemiec i do reszty państw niemieckich o tyle przynajmniéj się zbliżać, aby im i sobie nie odjąć możności wspólnego działania. Ten podwójny charakter i podwójną rządu pruskiego oględność, można spostrzedz we wszystkich jego oficyalnych deklaracyach i czynach. Z kierunku, do jakiego w danéj chwili zdaje się nachylać, możnaby wnosić, z czyjéj strony, od państw neutralnychczy od Rzeszy, mniejszego doznaje nacisku, a z czyjéj większe zagraża niebezpieczeństwo. Rząd pruski wié o tém, że przyszły wzrost jego kraju zależy w znacznéj części od tego, ile dochowa wiary uczuciom niemieckim i na sobie zatrzyma charakteru obrońcy zjednoczonych Niemiec. Ale godzi się również przypuścić, że gdyby nastała dlań twarda konieczność wyboru, gabinet berliński, pamiętny kampanii 1806, wolałby raczéj zerwać z Rzeszą, niżli narazić się na wojnę z Francyą, następnie może i z Rossyą. Kiedy, temu dwa tygodnie, pisze korespondent *Debatów*, Austrya chciała zmusić Prusy do wspólnego z nią czynu i w tym celu używała w Berlinie powagi książąt niemieckich, książe Regent miał oświadczyć, «że żaden nacisk zewnętrzny nie skłoni Prus do kroku przeciwnego ich dążności; że gabinet berliński nie dozwoli innym dworom wpływać na jego działania, bo wié jakiéj drogi na przyszłość ma się trzymać; że gdyby udało się Austryi przeprowadzić niektóre uchwały na sejmie frankfurckim, Prusy widziałyby się zmuszone oddzielić swą politykę od innych państw Rzeszy niemieckiéj.» Jak dotąd więc, można z niejaką pewnością twierdzić, że Prusy zdecydowane są utrzymać pokój, i podobnie jak Francya i Anglia, z żalem traciłyby nadzieję ograniczenia wojny do włoskiego

półwyspu. Lecz czy wypadki, a bardziéj jeszcze czy mogące się zmienić stanowisko państw neutralnych, nie osłabią téj ich woli i nie zmienią decyzyi, przewidzieć się nie da. Zadanie Prus jest arcytrudne, pozycya ich, w razie pokoju czy wojny, bardzo niedogodna; trzeba wielkiego w gabinecie berlińskim spokoju, taktu i męztwa, aby wśród prądów tak gwałtownych a tak przeciwnych, nie pomylić się przy stérze monarchii.

Szczupłość naszego *Przeglądu* każe nam pominąć wiele interesujących komunikacyj i oświadczeń rządu pruskiego, do których dała pochop dyskusya nad projektem pożyczki. Rozprawy te miały niejednostajny charakter : w izbie niższéj pojawił się element bardziéj niemiecki niż austryacki i przewaga opinii za neutralnością zdawała się widoczną; w izbie wyższéj, gdzie tradycye świętego przymierza silnie dochowały się, zasada narodowości wzniesiona przez cesarza Napoleona wzbudziła trwogę o poecny porządek w Europie i wywołała zaciętość przeciw Francyi. Lecz chociaż członkowie izb uprzedzali ministrów oświadczeniem, że do korony, nie do parlamentu, należy decyzya o polityce zagranicznéj Prus, chociaż gabinet berliński mógł być pewnym w każdym razie poparcia reprezentacyi narodowéj, nie można przecież powiedzieć, aby ministrowie pruscy jednostajną wciąż miarę w swych oświadczeniach zachowywali i nie ulegali wpływom wyrażanych opinij. Owszem można spostrzedz, że komunikacye poufne przez rząd w komisyi pożyczki uczynione, na których opierał się jak wiadomo raport p. Bürgera, musiały mieć inszy charakter niż słowa ministra spraw zagranicznych, p. Schleinitza, wyrzeczone w izbie panów : «*Prusy pójdą daléj, niż tego po nich wymagają obowiązki federacyjne*» ; słowa, że tak powiemy, zdobyte na ministrze mowami pp. Buelowa, Kleist-Retzowa i Stahla. Ich to obawy zdawał się także uspakajać książe Regent, w mowie swéj przy zamknięciu izb. «Prusy zdecydowane są, wyrzekł on,

utrzymać podstawy porządku legalnego i równowagi w Europie.» — A jeśli od słów przejdziemy do rozbioru czynów, może znajdziemy w świeżéj decyzyi rządu pruskiego ślady téj saméj jego giętkości, która gotowym go czyni do pewnych ustąpień, aby uśmierzając rozdraźnienie, utrzymać je na wodzy. Zeszłego tygodnia na zgromadzeniu Rzeszy w Frankfurcie, poseł hanowerski proponował, aby postawić nad Renem trzy korpusy federacyjne po 100 do 110 tysięcy ludzi. Wniosek jego poparli z zapałem posłowie bawarski, saski, badeński i obydwaj hescy; ale sprzeciwił się poseł pruski p. Usedom (za którego zdaniem poszli północni), mówiąc «że żadne niebezpieczeństwo nie grozi Rzeszy obecnie; że gdyby tak było, Prusy strzegąc wiernie honoru i niepodległości Niemiec, pierwszeby zażądały przedsięwzięcia środków wojskowych, wskazanych interesem wspólnéj ojczyzny.» Zakończył p. Usedom groźbą, że opuści zgromadzenie, w razie gdyby projekt hanowerski został przyjęty. Musiała ta deklaracya Prus sprawić nader przykre wrażenie w Niemczech południowych, kiedy rząd pruski, jak nas upewnia telegraficzna depesza, w bieżącym tygodniu dał się skłonić do pewnéj dla nich koncesyi. Ostatniego czwartku, na sesyi frankfurtskiéj, p. Usedom oświadczył, że wprawdzie nie może dopuścić aby wniosek hanowerski oddany był do decyzyi, ale nie sprzeciwia się, aby osobna komisya wojskowa wzięła go pod rozwagę. Ani wątpić, że wielka ztąd w Niemczech południowych odezwie się radość : choć jeszcze nie mogą wojować z cesarzem Napoleonem, przynajmniéj radzić mogą o sposobach wojowania.

Mimo zapału rycerskiego państw niemieckich, rząd pruski, powtarzamy, korzystać będzie z wszelkich mogących nasunąć się ułatwień, aby wojnę ścieśnić we Włoszech, aż do jéj ukończenia. Zaszedł w tych dniach w polityce europejskiéj fakt, który głośniéj przemawiać będzie w Berlinie i w całéj Europie niźli obrady frank-

furtskie. Tym faktem, tak pożądanym dla Francyi i Włoch, jest ogłoszona neutralność Anglii. Wobec przykładu, który rząd angielski postawił, każde z większych państw europejskich długo wahać się i ważyć będzie, zanim przyłączy się do walczących po jednéj lub po drugiéj stronie. Lecz ogłoszenie tego aktu pod rządem torysów, wskazuje także, co niemniéj jest ważném, ile już naród angielski otrząść się musiał z zawiści, która go tak niedawno przeciw Francyi burzyła i któréj echo ostatnie, jak spodziewamy się, w *Timesie* do dziśdnia odzywa się. « Nigdy alians francuzko-angielski, pisze *Morning Post* nie był tak potrzebny jak dzisiaj; jego zerwanie zagroziłoby nietylko Francyi i Anglii ale bezpieczeństwu całéj Europy. Najwyższe interesa ludzkości i cywilizacyi ucierpiałyby niezmiernie, gdyby zabrakło téj szczerości i wzajemnéj życzliwości, co utrzymywała dotąd spólność działania dwóch państw zachodnich. Pomimo neutralności do któréj zobowiązaliśmy się, byłoby błędem mniemać, że z zazdrością lub apatyą przypatrywać się będziemy tylu zacnym wysileniom. Człowiek co życie swoje i koronę naraża dla sprawy tak szlachetnéj, nie może w oczach naszych uchodzić za tyrana, lecz godzien jest sympatyi i czci. » Z gwałtownością powstaje *Daily-News* na stronnictwo austryackie w Anglii i domaga się od rządu szczeréj nie tylko na dziś, ale i późniéj neutralności. « Kiedy rok temu, mówi on, biliśmy się dla własnego ratunku w Indyach, i panowanie nasze w Azyi było bardzo wątpliwe, Francya dała nam wzór dobrego sąsiedztwa ofiarując nam wolne przez swe ziemie przejście. A dzisiaj kiedy taż sama Francya połowę swych garnizonów wysłała na odległą, niebezpieczną a bezinteresowną wyprawę, my jéj życzliwość z lichwą odpłacamy obelgami, i uzbrojeni od stóp do głowy, grozimy rozbrojonemu sprzymierzeńcowi. » W końcu tenże sam dziennik, może po raz pierwszy w Anglii, narzeka jak bardzo mylą się ci, którzy odma-

wiają swych sympatyj wojnie włoskiéj dlatego, że ją podniosła Francya pod rządem cesarskim. « Insza rzecz jest wolność a insza wyzwolenie od obcych, Francya nie zaniesie Włochom konstytucyi, ale zaniesie im pełne życie narodowe.

III

Nie bez przyczyny Minerwa jest boginią zarazem mądrości i wojny; i prawda choćby najświętsza, przekonywa łatwiéj, kiedy zyskała już powodzenie oręża. Zwycięztwo pod Magentą, odpędzając armią nieprzyjacielską od stolicy Lombardyi, rozpędziło i w Anglii ciemne mgły, przez które światło sprawiedliwszéj polityki przedrzeć się nie mogło. Opinia angielska zaczyna wreszcie pojmować, że i Włosi, mimo istniejących traktatów, mają prawo do niepodległego życia. Za przewagą téj opinii upadł gabinet Derbego i do stéru rządu przychodzą ludzie, których życzliwość dla sprawy włoskiéj zdaje się być niewątpliwą.

Aby ocenić ważność téj przemiany, trzeba sobie zdać sprawę czém były, w polityce zagranicznéj, rządy Derbego. Złożona w parlamencie korespondencya lorda Malmesbury z posłami Wielkiéj Brytanii, dostarcza nam obecnie nowych w téj mierze wskazówek. W depeszy do lorda Cowley pisanéj w początkach stycznia b. r., angielski minister spraw zagranicznych wyraził się témi słowy: « Z rozmowy jaką lord Clarendon miał w Compiègne z Cesarzem, wiadomo mi, że JCMość z troskliwym niespokojem zajmuje się wewnętrznémi stosunkami Włoch. Być może (chociaż nie mam powodów tak mniemać) że Cesarz spodziewa się, w razie wojny z Austryą i mając Sardynią po sobie, odegrać rolę wskrzesiciela Włoch. Jeżeli tak jest, trzebaby wprzódy zmazać traktat z r. 1815;

nowego podziału ziem nie możnaby jednak przeprowadzić bez zezwolenia państw, które obowiązujące dotąd artykuły podpisały. Kongres wiedeński zapewnił Europie pokój, który trwał dłużéj niż jakibądź; i rząd JKMości mniema, że traktat ten utrzymując równowagę państw, odpowiada jeszcze pierwotnemu celowi. Nie trzeba ztąd wnosić, aby rząd JKMości obojętnym był na słuszne niezadowolnienie wielkiéj liczby włoskiéj ludności; mniema on tylko, że wojna Francyi z Austryą żadnéj w téj mierze nie przyniesie ulgi. Wojna ta mogłaby zmienić władzców, lecz nie zapewni Włochom niepodległego istnienia, bez którego przecież nie ma wolności...» W późniejszéj depeszy lord Malmesbury przestrzega Francyą «że wojna, skoroby była rozpoczętą we Włoszech, musiałaby przyjąć charakter rewolucyjny, i rozum ludzki przewidzieć nie zdoła, coby z niéj mogło wypaść dla Europy, kiedy strony walczące, długim i rozpaczliwym bojem zmęczone, zapragną pokoju. Jakikolwiek miałaby ona początek, stałaby się niechybnie walką dynastyj i opinij: wszyscy pretendenci wygnani i wszystkie obozy politycznych teoretyków ujrzeliby w niéj pole sposobne do urzeczywistnienia swych życzeń. Trudno uwierzyć aby w takim stanie, Francya mogła coś zyskać... Opinia publiczna w Anglii jest niezaprzeczenie włoskim ludom życzliwą, ale ta sympatya nie powinna zmieniać się w działanie czynne przeciw Austryi...» W podobnym duchu czynione były przedstawienia dworowi sardyńskiemu. «Rząd JKMości (pisze lord Malmesbury do Sir J. Hudson) przewiduje, że chęć rozszerzenia swych granic może pobudzić Sardynią do wmieszania się w walkę i do ośmielenia we Włoszech umysłów niespokojnych nadzieją zmiany rządu, za którąby poszło utworzenie królestwa włoskiego albo co najmniéj wloskiéj federacyi pod przewodnictwem Sardynii. Nic zgubniejszego dla Piemontu jak tego rodzaju polityka oparta na podobnych nadziejach. Jéj udział w wojnie Francyi

z Austryą musiałby koniecznie być podrzędny. Niech będzie więc przekonaną, że, jak się to dzieje zazwyczaj z małemi państwami działającemi razem z potężnym sprzymierzeńcem, jéj interesa nie byłyby wcale wzięte na uwagę ani w ciągu, ani pod koniec wojny. Nie pojmuje także rząd JKMości, że Sardynia może jeszcze zawierzać uczuciom ludu włoskiego; powinna mieć w pamięci niedawne walki które z Austryą w Lombardyi toczyła. Zgasła w Lombardczykach chęć połączenia się z Piemontem; myśl tę ze wstrętem teraz odpychają. Czyż podobna przypuścić, aby zawiści narodowe, które trwają od wieków, w inszém dzisiaj,, niż w r. 1848, pokazały się świetle... »

Takie rady i upomnienia gabinet torysów przed otwarciem wojny dawał Francyi i Piemontowi. Przestrzegał cesarza Napoleona przed niebezpieczeństwem rewolucyi i pretendentów dynastycznych; w Sardynii wzbudzał nieufność ku Francyi i Włochom zarazem. Nie widząc możności aby Włochy od cudzoziemskiego jarzma mogły być wolne, do tego tylko starania a raczéj życzenia swoje ograniczał, iżby przez rozwój konstytucyjnych swobód w niektórych państwach półwyspu, byt ich mieszkańców polepszyć. Wszakże na jedne, i to bez wahania, gotów był przystać zmiany terrytoryalne : zmiany w środkowéj części półwyspu, zwłaszcza téż w państwie papiezkiém. W téj saméj depeszy w któréj przypominał prawa Austryi zagwarantowane traktatami, w téj saméj oświadczał on w Paryżu przez lorda Cowley, że chętnie weźmie pod rozwagę nowy układ polityczny, dotyczący Włoch centralnych. Osłabiać władzę Papieża, oto co było najpilniejsze dla gabinetu torysów.

Ministeryum lorda Derby, jest wyrazem tego ciasnego konserwatyzmu, który nie wiedzieć czém bardziéj grzeszy, czy brakiem szerszych pojęć, czy chłodem uczucia, i co niezdolny wznieść się do szlachetnych przedsięwzięć, w bezinteresowność drugich nie może uwierzyć.

O takich to konserwatystach powiedział kiedyś Paweł Courrier, że gdyby istnieli przed stworzeniem świata, błagaliby Boga aby chaos zostawił. — Przestrogi lorda Malmesbury, w których więcéj może przebijała nieufność do Francyi, niż troskliwość o utrzymanie *status quo*, powtarzali ministrowie z większą lub mniejszą goryczą, na każdém meetyngu i przy każdym bankiecie, w miarę jak się rozwijała polityka cesarza Napoleona. Wobec silnéj opozycyi, jaka gotowała się do walki w parlamencie, wobec sympatyi którą kraj cały okazywał dla włoskiéj niepodległości, torysi nie śmieli zbliżyć się do Francyi, zawieszeni w powietrzu jak trumna Mahometa między dwoma potężnemi magnesami. Rząd ogłosił neutralność, ostrzegł Niemców że ich bronić nie będzie, jeżeli napadem swoim ściągną odwet Francyi, a jednak jakby Anglia była zagrożona lub za chwilę miała wystąpić do walki zaczepnéj, zbroił jéj brzegi, szykował milicyą i pomnażał flotę. Te zbrojenia się na wielką skalę, te odgrażania się rządu, że musi być gotowym do obrony wielkich interesów Anglii, ta utajona niechęć do Cesarza, którą jeśli nie czyny to słowa ciągle zdradzały, obudziły nareszcie w opinii publicznéj podejrzenie, że gabinet torysów nie dochowa neutralności i co gorsza, że może z czasem stanąć w obronie sprawy, którą i rozsądek i sprawiedliwość angielskiego narodu zarówno potępiły. W tym stanie rzeczy «*wniosek nieufności*» podany przez opozycyą, był pierwszą, logiczną i przez naród nałożoną próbą, któréj, bez względu na poprzednie rozwiązanie Izby, dla saméj tylko swojéj zagranicznéj polityki, uledz musiało ministeryum lorda Derby, równo z otwarciem nowego parlamentu.

« Utrzymywałem zawsze, rzekł w ciągu dyskusyi o wojnie naczelnik gabinetu, że gdyby to była sprawa włoskiego lub jakiegobądź narodu, coby zrzucając jarzmo nieznośne, chciał utworzyć rząd do naszego podobny, każdy z nas musiałby sprzyjać tego rodzaju dążności.

Lecz czyż o to chodzi w wojnie, o któréj mówimy? Czyż to jest sprawa narodu, któryby wyzwalając się z pod cudzoziemskiego jarzma wprowadzał u siebie rząd wolny? A nawet, choćby tak było, czyż dla naszych opinij i sympatyj osobistych, możemy zapomnieć że nas wiążą międzynarodowe układy, które nam niepozwalają działać stósownie do naszych życzeń! Jeżeli nie mogę pochwalić postępowania Austryi, i jeśli mi niepodobna żywić sympatyj dla jéj panowania i jéj systemu rządowego, to z drugiéj strony powiem, że wojnie téj dano fałszywe pozory, bo jéj celem nie jest niepodległość włoska! Na nieszczęście, w walce téj wzięła inicyatywę Sardynia(?) i pociągnęła za sobą Włochy... Nie mówię tego aby jedna, więcéj niż druga strona, zasługiwała na naganę, ale twierdzę, że ani z jednéj ani z drugiéj nie było dostatecznych powodów do zapalenia wojny, i że trudności polityczne jakie się wywiązały, załatwione być mogły na drodze układów. Anglia powinna się troszczyć o zwycięztwa i klęski jednéj lub drugiéj strony, chyba o tyle tylko, o ileby ztąd ważne nastąpiły zawikłania. W obecnéj chwili, najwyższym, wedle mnie, obowiązkiem Anglii jest utrzymać tę politykę, którą od razu zapowiedzieliśmy, politykę scisłéj i bezstronnéj neutralności. Lecz strona neutralna bywa wystawioną na tyle podejrzeń, tak często może zadrasnąć jednego lub drugiego przeciwnika, że nietrudno przypuścić jakieś nieporozumienie, i szalonym byłby minister, coby w chwili gdy wojna zewsząd go otacza, nie widział potrzeby kraj swój ubezpieczyć i uczynić go zdolnym do działania w każdéj chwili... »

W czasie gdy lord Derby powiedział do parów tę mowę, ktora bezwątpienia nie mogła uspokoić opinii, bo w niéj nie mógł czy nie chciał skryć swego wstrętu do Francyi i do polityki Cesarza, inny minister, p. d'Israeli, przemówił do Izby niższéj. Zręczniejszy i przebieglejszy od swego naczelnika, starał się on przekonać słuchaczy,

że nie powinni wydawać sądu o gabinecie, póki nie poznają jego korespondencyi dyplomatycznéj, a wszedłszy na pole rozpraw, tak przezornie wyrażał się o obu stronach walczących, tak w porę umiał powiedzieć uprzejme lecz do niczego nie wiążące słowo o cesarzu Napoleonie, tak trafnie tłómaczył konieczność zbrojenia się Anglii, przewidując podobieństwo przyjaznéj dla obu stron medyacyi, że gdyby Izba tego dnia, jak było zamiarem rządu, przystąpiła do wotowania, możeby głosy dotąd niezdecydowane przeważyły się na stronę gabinetu. Ale nazajutrz już się stan sprawy wyjaśnił. Pod wrażeniem posiedzenia parów, gdzie jak *Times* się wyraził, wojnę włoską według artykułów traktatu rozbierano, mowa p. d'Israelego poszła w niepamięć. « Lord Derby (słową są *Daily-News*) prawił jak człowiek w złym humorze. Ten zapalczywy minister, w chwili walki dwóch państw, z których oba są z nami sprzymierzone, nie wahał się jako naczelnik rządu i wobec Europy wyrzec o wojnie obecnéj, że jéj dano fałszywe pozory! Któż ze zdrowym rozsądkiem może wątpić o znaczeniu i donośności tych słów? Kto miłując pokój i wolność, usłyszawszy wyrazy tak nieprzyjazne i ubliżające Francyi, może uważać lorda Derby za zdolnego do kierowania naszych spraw? ».....
« Przeciw komu, zapytał ministrów na następnem posiedzeniu p. Bright, w mowie które głośne echo znalazła w opininii publicznéj, przeciw komu gotujecie te uzbrojenia? Wzmocnienie floty na morzu środziemném, zaciąganie ochotników do marynarki i tworzenie korpusu tyralierów, czyż to na Austryą wymierzone? Czy rząd i naród francuzki widząc tak wielkie przygotowania, nie straci wiary w naszę neutralność? Nie ma żadnego powodu, przynajmniéj nie ma nowego powodu, podejrzywać Cesarza Francuzów. A jednak powszechne jest w Niemczech mniemanie, że rząd angielski przechyla się bardziéj na stronę Anstryi niż Francyi. Nie chcę ja ganić ministrów, ale nie mogę ufać rządowi, który głosząc swą

politykę neutralną, zbroi się tak stanowczo do wojny. I przyszłe ministeryum ogłosi bezwątpienia neutralność; przynajmniéj życzliwszém będzie Francyi i w ten sposób wrócimy znowu do szczerszéj z tém państwem przyjazni... »

Kiedy rozprawy te toczyły się w Izbie, trzymając w niepewności, przez tydzień blizko szalę polityki angielskiéj, na równinach Lombardyi rozwijały się wypadki, które Włochom dały sposobność zaświadczyć o własném życiu i swéj miłości Ojczyzny. « Nim wojnę rozpoczęto (mówi *Revue des Deux Mondes*) nie jeden w Europie umysł szlachetny wahał się, mając do wyboru oswobodzenie narodu albo zgwałcenie traktatu. Lecz odkąd wojna przecięła węzły prawa publicznego, odtąd każdy odetchnął swobodniéj, i po tylu dowodach patryotyzmu, jakie w Lombardyi ujrzano, jedno już tylko ma życzenie : niepodległość włoską. » Wistocie, wobec hymnów radości które odzywały się z całego kraju, w miarę jak Austryacy ustępowali, któżby śmiał dzisiaj przywracać stan rzeczy dopiéro co obalony? Zapał Włochów dla sprawy narodowéj i wstręt ich do rządów cudzoziemskich wywarł i w Anglii pożądany skutek; widoczném to było na ostatniém posiedzeniu, na którém wyrok miał zapaść, widoczném zwłaszcza w mowie lorda J. Russel.

Lord John Russel uważał za konieczne odeprzeć przedewszystkiém zarzut jaki mu stawiono, że w roku 1848 nie przyjął niepodległości Lombardyi, którą Austrya ofiarowała « Prawda jest, rzekł, zrobiono nam tę propozycyą. Lecz w owéj epoce nietylko Medyolan i część Lombardyi były wolne; Wenecya zrzuciwszy jarzmo austryackie ogłosiła swą niepodległość i była gotowa jéj bronić. Od Anglii domagano się nietylko aby Lombardyą rozrządziła, lecz aby w Wenecyi przywróciła arcyksięcia. Nie mając interesu w téj negocyacyi i nie należąc do wojny, mógłże rząd angielski burzyć niepodległość We-

necyi lub jéj niewolę choćby tylko sankcyonować? Co do mnie, poczytywałem zawsze za jeden z najhaniebniejszych czynów w historyi, ów traktat w Campo-Formio, który przyłączył do Austryi rzeczpospolitę wenecką. Traktatem tym kraj niepodległy, półczwarta miliona mieszkańców liczący, który wieloma przymierzami związany był z Austryą, przyznano, bez jego wiedzy i woli, cesarzom austryackim. Powtarzam, czyn ten jest niemniéj hańbiący jak rozbiór Polski... » Opowiadał następnie lord John, jak Austrya wbrew traktatom wpływ swój rozszerzywszy na półwyspie, wszędzie wolność burzyła, wszędzie tłumiła objawy myśli, każdemu ulepszeniu stawała na zawadzie i zarobiła w całych Włoszech na nienawiść powszechną; jak Sardynia, może popchnięta ambitném dążeniem (?), podniosła sztandar niepodległości włoskiéj, a w ostatnich latach, ufna jak się zdaje, w pomoc Cesarza Francuzów, gotowała się do otwartego z Austryą boju. Po takim wywodzie historycznym, przeszedł lord John do pytania : jaka ma być na przyszłość polityka Anglii. « Bez wątpienia, gdyby rząd tutejszy zasługiwał na zaufanie Izby narodu, strony przeciwne zmęczone krwi rozlewem, przyjęłyby chętnie z rąk jego propozycye mogące zapewnić stały pokój w Europie. Ale nie jest zdolnym do tego gabinet obecny; nie jest bowiem zdecydowany utrzymać ścisłe z Francyą przymierze, od którego zależy wpływ nasz w Europie. Zapewne, powinniśmy być w najlepszych stosunkach z Austryą. Ale rady wasze, bądźcie pewni, nie zaważą u Francyi, jeżeli tylko honor i godność Austryi mieć będziecie na względzie. Osłabła, powtarzam, przyjaźń nasza z Francyą, to téż nie mamy powagi, jaka nam się należy w Europie. »

Mowa lorda J. Russel była ostatnim i najważniejszym głosem opozycyi. Na tém samém posiedzeniu zapadła decyzya Izby, która usunąwszy torysów od władzy, przyniosła poniekąd sankcyą niepodległości włoskiéj. Po-

mimo że większość opozycyjna nie była zbyt liczną, wyrok Izby uważano powszechnie za stanowcze orzeczenie narodu. Opinia publiczna wyglądała upadku lorda Derby, widziała w nim wyobraziciela tych zasad, które w polityce europejskiéj Austrya reprezentuje : zużyły go ostateczne niepowodzenia armii austryackiéj. — We dwa dni po dyskusyi, *Times* w następnych słowach opowiada stan sprawy : « Daleko już od nąs ta epoka, którą zamknął lord Derby swą mową nieroztropną. Dzisiaj wojna panuje, wojna któréj jawnym celem wypędzenie Austryaków z półwyspu. Oręż jest najwyższym sędzią sporów międzynarodowych; po klęskach jakie Austrya poniosła, ani Anglia, ani Europa, nie mogą obu państw wojujących ważyć za równo. Rząd angielski mógł przypuszczać, że Austrya obroni się we Włoszech, lecz przypuszczenia te, wedle których lord Derby prowadził swą politykę, upadły. Nie mniemamy przeto aby się dało od razu wypędzić Austryaków; mocarstwo wielkie, posiadające armią tak liczną, fortece tak potężne, może nie mało trudu zadać swemu przeciwnikowi. Ale bądź co bądź, Austrya nie wydoła w walce z Francyą. W takim stanie rzeczy, nie wątpimy, że lord Palmerston i lord J. Russel, okażą się przyjaciołmi sprawy włoskiéj, bo to jest korzyścią opozycyi, że może czekać na wypadki i wedle nich swój plan polityczny układać!» W końcu z niemniejszym cynizmem dodaje tenże dziennik : «Możemy sobie zapewnić głos przeważny w układach, jeżeli będziemy sprzymierzonymi tych, co są panami kraju. Za kilka miesięcy Austrya prawdopodobnie nie więcéj od Prus posiadać będzie ziemi we Włoszech. Pókiśmy lękali się wojny, nie ufaliśmy Francyi; dzisiaj pragniemy aby Austrya ustąpiła z półwyspu. Im prędzéj tém lepiéj!»

Jakby na utwierdzenie opinii angielskiéj, zaraz po upadku lorda Derby, przyszła do Londynu proklamacya cesarza Napoleona do Włochów. Na stałym lądzie po-

witano ją z serdecznym oklaskiem i ufnością, jako jeden z najrozumniejszych i najwznioślejszych programów politycznych, które kiedykolwiek i jakibądź rząd ogłosił. W Anglii wrażenie było niemniéj silne: «Uważamy tę odezwę (pisze *Daily-News*), za prawdziwy objaw uczuć Napoleona III. Zapewne, litować się będą nad naszą prostotą ludzie, którzy wierzą z Talleyrandem, że mowa dana jest człowiekowi na to, aby myśl swoję ukrywał. Co do nas, my szczerości Cesarza ufamy, bo mamy wysoką opinią o jego rozumie. Napoleon odgadł epokę i oto jest klucz jego polityki. Rozumniejszy od swego stryja, uchyla się on przed opinią publiczną i tém najlepiéj utwierdza potęgę i istnienie swéj dynastyi.» — «Jeżeli Cesarz tak będzie działał jak mówi (słowa są *Timesa*), to przyznajemy, że to jedyna polityka, któréj się trzymać powinien, wzniosła i rycerska, a przytém skromna i prawdziwie korzystna. Zwycięztwa wojenne utrwalą jego popularność w armii, sława przywrócenia Włochów do życia doda nowego blasku imieniowi Napoleona. Świat zdziwiony przyklaśnie, wpływ Francyi rozszerzy się...» a zstępując z hymnu do prostéj powieści *Times* dodaje «..... jéj handel na morzu Śródziemném niezmiernie urośnie...!»

Po tygodniowém oczekiwaniu, wczorajsze dzienniki przyniosły nam nareszcie pożądaną wiadomość o utworzeniu gabinetu Palmerstona. Ministrem spraw zagranicznych jest Russel. Oddawna lord John Russel uchodził za przyjaciela Włochów; Włosi widzieli w nim swego obrońcę w parlamencie, przysyłali mu swe zażalenia, przypisywali dzieła i broszury polityczne. Przed rozpoczęciem wojny, odbył on nową podróż po Włoszech dla przekonania się o obecnym stanie kraju. Przeszłość cała go obowiązuje, a w obecnéj chwili ma szerokie pole do działania. Przed kilkoma dniami powiedział już *Times*; «Jeżeli lord John Russel zostanie ministrem spraw zagranicznych, to ma przed

sobą świetną przyszłość. Dogodniejszéj pory nie znajdzie on nigdy dla okazania swoich talentów. Jeżeli potrafi oswobodzonych nauczyć roztropności, zwycięzców umiarkowania, zwyciężonych rezygnacyi; jeżeli mu daném będzie znalazłszy Włochy «geograficzném wyrażeniem» zostawić je «organizmem politycznym,» zasłuży na wysokie miejsce w téj długiéj liście znakomitych w sprawie włoskiéj mężów. Jest to nieoceniona sposobność w życiu publicznego człowieka; bezprzykładny zbieg okoliczności przynosi ją teraz lordowi John...» Po ogłoszeniu nominacyi, tenże dziennik pisze: «Dla lorda John Russel i dla chwały Anglii pragniemy, aby lepiéj poprowadził sprawę odbudowania Włoch, niż mu się dotąd udawało w dyplomacyi. Być może, iż dokaże swego, doświadczeniem nauczony; w przeciwnym razie zamknie on na zawsze swój zawód!»

Możemy więc niepłonną mieć otuchę, że nowy rząd w Anglii nietylko nie przeszkodzi, ale sprzyjać będzie i ułatwi Cesarzowi Francuzów w szlachetném dziele odrodzenia włoskiego. Lecz ministeryum Palmerstona ma jeszcze inne, dla Włochów, dla Polski i dla świata całego niemniéj ważne znaczenie. Wyraża alians Francyi z Anglią, który po chwilowém osłabieniu spaja się dzisiaj na nowo, da Bóg, trwale bo skutecznie. Powiedzieliśmy nieraz, dla straży i dla postępu cywilizacyi przymierze to jest niezbędne. Nie masz tak wielkiego w sprawach ludzkich dzieła, któregoby te dwa narody razem nie mogły dokonać, nie masz tak groźnego nieprzyjaciela, któregoby nie były zdolne wywrócić; a z drugiéj strony, w obu jest uczucie sprawiedliwości tak silne i powszechne, że nawet nie da się przypuścić, aby się mogły złączyć na szkodę cywilizacyi. Związane przyjaźnią, są dla siebie wzajemną rękojmią czystości swych dążeń, są bezpieczeństwem dla słabszych, są nadzieją dla uciśnionych. W obecnéj chwili, mamy nadzieję, alians Francyi z Anglią zapewni niepodległość Włoch,

obroni świat od krwawéj a bezpłodnéj wojny powszechnéj, — i co dla nas na pierwszym powinno być względzie, ubezpieczy cesarza Napoleona od przyjaźni z Rossyą, która ani Europie ani Francyi nie jest zdolna przynieść istotnéj korzyści, pomimo chwilowego złudzenia, jakie sprawić może świeżo ogłoszony okólnik ks. Gorczakowa. Pomówimy o nim następnie.

IV

Jeśli kiedykolwiek czuliśmy prawdę owego filozoficznego axiomu, że czas ma jedynie przeszłość i przyszłość a terazniejszość jest samą tylko abstrakcyą, to tém bardziéj przeświadczamy się o niéj teraz, gdy wypadki i wrażenia tak chyżym mijają krokiem, że nawet słowo skrzydlate nie może ich dogonić w swym biegu. Nie mieliśmy nigdy zarozumiałości przepowiadania przyszłych zdarzeń; nie mamy nawet roszczenia iść krok w krok za bieżącemi, które daleko za sobą zostawiać muszą wolno postępujące tygodniowe pismo. Chcemy tylko ułatwić sobie i czytelnikom pogląd na wypadki, które już do przeszłości a jeszcze nie do historyi należą; chcemy za każdą razą oznaczyć kamienie téj « *via sacra* » jak ją nazwał cesarz Napoleon, którędy idzie armia francuzka a za nią nowa polityka narodów. W pracy naszéj jesteśmy podobni do średnowiecznych kopistów, którzy w celi zamknięci i cudze traktaty przepisując, na marginesach życzenia swoje i objaśniające dokładali glossy. Żadną miarą nie mogli oni wpłynąć na wartość tych dzieł, a jednak rozpowszechniając je, pragnęli myśl swoję o niéj zostawić.

Lecz i w tém skromném zadaniu znajdujemy dzisiaj trudność, gdy do naszéj księgi pamięci musimy zaregestrować dwa świeże akta, a nie wiemy dobrze co przy

nich na marginesie zapisać. Mamy na myśli: okólnik księcia Gorczakowa i mobilizacyą pruską.

Pismo rossyjskie wymierzone jest do Niemców i chce ich przekonać, że powinni — *sit venia verbo* — siedzieć cicho i do cudzéj nie mieszać się zwady. « Życzeniem naszém jak większości mocarstw głównych (pisze książe Gorczaków) jest, ograniczyć dzisiaj wojnę we Włoszech, bo ją wywołały miejscowe okoliczności, i bo jedyna to jest droga do spiesznego przywrócenia pokoju. Niektóre państwa Rzeszy dążą przeciwnie do rozpowszechnienia walki, nadając jéj cechę i rozmiary, które prześcignęłyby wszelką rachubę i rozlałyby na świat nieszczęścia i zdroje krwi ludzkiéj. Dążenie to tém trudniéj przychodzi zrozumieć, że bez względu na rękojmie, jakie Rzeszy niemieckiéj złożył rząd francuzki w oświadczeniach stanowczych, od głównych mocarstw przyjętych, niemieckie państwa zerwałyby w ten sposób węzły łączące je między sobą. Rzesza niemiecka jest kombinacyą czysto i wyłącznie odporną. Na tych zasadach weszła ona do prawa publicznego Europy w traktacie, który i Rossya podpisała. Gdy więc rząd francuzki nie dopuścił się żadnéj zaczepki względem Niemców, gdy ci żadném również przymierzem nie są obowiązani do wydania wojny Francyi, Rzesza zaczepiając Francyą dla samych tylko domysłów odpartych stanowczemi zaręczeniami, skrzywiłaby swą organizacyą i zerwałaby traktaty uświęcające jéj exystencyą. Ufamy najzupełniéj roztropności rządów, że zdołają wstrzymać się od postanowień, któreby na własną ich zwróciły się szkodę i nie przyczyniłyby się wcale do umocnienia ich wewnętrznéj posady. Gdyby jednak, czego strzeż Boże, miało stać się inaczéj, toby nam przyznać w każdym razie musiano, żeśmy szczerze i otwarcie wywiązali się z powinności przyjacielskiéj. A jakikolwiek byłby wypadek tych zawikłań, Cesarz mój Pan miłościwy, mając zupełną wolność dzia-

łania, ze stanowiska któreby zająć musiał, poszedłby tylko za interesem swego kraju i za godnością swojéj korony.»

Wrażenie téj deklaracyi musiało być bardzo dotkliwe z tamtéj strony Renu. W swéj fantastycznéj polityce Niemcy marzyli, że byleby broni swéj dobyli z pochew, dyktować będą światu warunki pokoju; aż oto rossyjski minister nie bez ironii przypomina im skromną rolę, jaka się właściwie Rzeszy należy. Z aktem federacyjnym w ręku «*który i Rossya podpisała*», powiada on, że traktat z r. 1815, chociaż upada dla Austryi we Włoszech, nie przestaje jednak obowiązywać Niemców i nie dozwala im mieszać się do wojny, dopóki nieprzyjaciel ziemi niemieckiéj nie naruszy! Tego rodzaju poszanowanie traktatów wydaje się Niemcom niewłaściwe i przesadzone. Znaczenie Rzeszy w Europie nie na traktacie opiera się, ale na potędze wojennéj państw federacyjnych. Otóż, pomimo militarnéj postawy Prus «dzieła Fryderyka W.,» wiadomo że jedyną prawdziwą siłą, jedyną w Niemczech wojskową potęgą, jest armia austryacka, mimo — lub może właśnie dla tego, że w niéj Niemców tak mało... I to także wiadomo, że antagonizm prusko-autryacki w stosunkach wewnętrznych Rzeszy, ocalał poczęści dotąd znaczenie a nawet niepodległość drobnych państw niemieckich: że więc równo z upadkiem a choćby tylko z osłabieniem Austryi, środkowe i południowe Niemce albo legnąćby musiały pod stopami pruskiéj monarchii, albo francuzkim i rossyjskim wpływom stanęłyby otworem. Jedno jak drugie przypuszczenie, straszne dla Rzeszy; to téż nie popełnimy żadnéj omyłki sądząc, że jeśli który ustęp z noty księcia Gorczakowa trafił do przekonania Niemców, to pewno nie jego wykład praw i obowiązków Rzeszy, aczkolwiek tak logicznie skreślony, ale raczéj ostatnie słowa okólnika. Właściwém to jest owemu filozoficznemu narodowi, że prawa i pryncypia swoje wysoko stawia i

szeroko głosi, ale tylko dopóty, póki one nie zawadzą o jego własny interes lub téż dopóki wola silniejsza nie każe mu o nich zamilczeć. Zagrożenie księcia Gorczakowa, że Niemcy wydając wojnę Francyi, zwolnią Rossyą z traktatów z roku 1815, zagrożenie to, chociaż nie poparte ani pożyczką ani mobilizacyą, było przecież dobitnym argumentem, który bądź co bądź w umyśle, jeśli nie mieszkańców, to niektórych rządów niemieckich zaważyć musi.

Przyznać więc trzeba, że w sprawie oswobodzenia Włoch, cesarz Napoleon niezaprzeczonéj od Rossyi doznaje pomocy, a wobec tak niespodzianego zjawiska, każdy stawia pytanie, co mogło Rossyą do téj pomocy nakłonić? Bo jeśli nietrudno jest uwierzyć w zacność polityki francuzkiéj, w szlachetność arcychrześciańskiego narodu « którego interesem jest bronić sprawiedliwości w świecie cywilizowanym », jako wyrzekł niedawno Napoleon III, toć przecież nikt o podobnym programie dla Rossyi nie marzył, nikt dotąd nie przypuszczał bezinteresowności tego narodu. Owszem wierzą wszyscy, że jeśli zawarty jest wistocie alians Francyi z Rossyą, to musi być także przewidziana dla Rossyi zapłata. Ale jaka i czyim kosztem?... Przed kilkoma tygodniami, *Courrier du Dimanche*, w liście jakoby z Petersburga pisanym, zapowiadał niechybne powstanie Słowian i Greków tureckich, i dodawał, że na ten wypadek Francya przyjmuje interwencyą rossyjską w Turcyi, co większa, że przyznaje Alexandrowi II owe prawa opieki nad chrześciańskimi poddanymi Sułtana, o które cesarz Mikołaj tak niefortunną rozpoczął był wojnę. *L'Ami de la Religion*, w korespondencyi datowanéj « z Carskiego-Sioła » utrzymuje, że oddanie tronu wołoskiego W. Ks. Konstantemu, jest warunkiem przyjaźni z Francyą. Nie brak i śmielszych przypuszczeń, wedle których wszyscy Słowianie przejść mają pod berło Rossyi, bo jak się wyraził niedawno pewien dziennik opozycyjny « sześćdziesiąt

tysięcy Rossyan postawionych w Krakowie, wystarczy, aby téj wielkiéj przemiany politycznéj dokonać!» Zbyteczném z naszéj strony byłoby dowodzić, że te hypotezy tak niepolityczne, więcéj świadczą o imaginacyi publicystów niźli o ich znajomości Wschodu, i więcéj w każdym razie ukazują dążności do zniesławienia polityki Napoleona, niźli istotnéj troskliwości o przyszłość świata. Jakiekolwiek na południu Europy zajść mogą wypadki, na Wschodzie, można być pewnym, polityka francuzka nie rozłączy się od angielskiéj. W depeszy z d. 12 maja, lord Cowley w następnych słowach zdaje sprawę z rozmowy swéj z hr. Walewskim: « Na pytania moje o Turcyą, hr. Walewski odpowiedział, że w sprawach tureckich Francya nie da rządowi J. K. Mości żadnego powodu niezadowolnienia. P. Thouvenel odebrał rozkaz wrócić na swe miejsce wcześniéj niż zamierzał, dlatego tylko, aby tém zupełniéj wola cesarska spełnioną była w téj mierze. Otrzyma on instrukcyą wyraźną, aby działał zgodnie z panem Bulwer, aby pod żadnym pozorem nie oddzielał się od ambasadora angielskiego, aby zdania jego zasięgał we wszystkich sprawach, jakie zdarzyć się mogą. Całemi siłami przeszkadzać on ma zamachom na osłabienie władzy Sułtana, a podobneż instrukcye przesłane będą *wszystkim* agentom francuzkim na Wschodzie. Nadto, w przejeździe do Stambułu, p. Thouvenel wstąpi do Aten, aby rządowi greckiemu dać uczuć konieczność wstrzymania się od wszelkich przeciw Porcie podburzań...»

Depesza ta usunąćby, jak się zdaje, powinna obawy o przyzwolenie Francyi na rossyjskie zabory na Wschodzie. A jeśliby, mimo to, zapytano nas, czy podobna, iżby Rossya bez nadziei nowych zdobyczy służyła cesarzowi Napoleonowi we Włoszech, odpowiedzielibyśmy, że i prawda bywa czasem najmniéj prawdopodobną. Nie znamy obecnych widoków gabinetu petersburskiego, nic pewnego nie wiemy o jego dzisiejszych aliansach : a

przecież wnosząc z saméj tylko polityki rossyjskiéj i opierając się na charakterze tego narodu, przypuszczamy, że system bezinteresowności, któryby Rossya do czasu przyjęła, nietylko w niczémby nie burzył jéj planów odwiecznych, ale ułatwiając je na przyszłość, odpowiadałby zarazem teraźniejszym państwa wymaganiom. Długo Rossya spotykała w Austryi dwuznacznego a bardzo szkodliwego sprzymierzeńca; doznała od niéj, w ciągu wojny ostatniéj, ciężkiego upokorzenia; dozna stanowczéj przeszkody w każdym, gdyby się udało ponowić na Turcyą zamachu. Osłabić zatem Austryą bez żadnego z swéj strony wysilenia; nie działając w téj chwili, przygotować działanie na późniéj, i zemście i interesom narodu w ten sposób dogodzić : oto co na pierwszym mógłby mieć względzie rossyjski minister spraw zagranicznych. Od pokoju paryzkiego spostrzegano nieraz, że Rossya wszelkiemi siłami stara się pozyskać ufność Zachodu; jak grzesznik skruszony przyznaje się do dawnych błędów; nic jéj nie kosztuje upokorzyć się na chwilę. Owe złagodzenie systemu rządowego, mniemana tolerancya religijna, zapowiedziane reformy liberalne, były to środki, które z równą rozgłaszała dotąd skwapliwością, jak skwapliwie korzysta dzisiaj z pory, aby zmazać z siebie niesławę zaborcy i znowu bez żadnéj ofiary, nie tracąc jednego nawet ładunku, stać się niejako obrońcą uciśnionego narodu! Ta piękna w oczach Zachodu rola, musiała zaważyć w rachubach chytrego rządu, który choć panowanie swoje utrwala demoralizacyą, wie ile siły moralne znaczą w naszéj epoce. — Rossya nakoniec grozi Rzeszy, bo spodziewa się że Prusy potrafią Niemców utrzymać na wodzy; pragnie ograniczenia wojny we Włoszech, bo sama potrzebuje pokoju. Jéj finanse w nieładzie, armia w rozprzężeniu, stosunki wewnętrzne w stanie fermentacyi którą może niebezpiecznie byłoby powiększać jakiembądź z zagranicy wstrząśnieniem. Z dawnych sprężyn machiny rządo-

wéj, jednę dotąd nietkniętą zachowała — dyplomacyą; nią też stroi się i osłania na zewnątrz, aby rozstrój wewnętrzny zasłonić. I oto, jak się domyślamy, cel i znaczenie dzisiejszéj polityki rossyjskiéj i okólnika księcia Gorczakowa. Kiedy po wojnie r. 1831, nieszczęścia Polski obudziły na zachodzie tyle gorących dla niéj sympatyj i tyle gniewu na Rossyą zarazem, dyplomaci rossyjscy poczęli odgrażać się, że przyszedł czas wykonać to, czemu przeszkodziło powstanie w Warszawie, to jest porządek przywrócić we Francyi. A gdy jednego z nich poufnie zapytano : czy Rossya może wistocie, po krwawym z Polską boju, zerwać się na wojnę z Francyą, « nie może oczywiście, odpowiedział zagadnięty, i to właśnie zataić potrzeba!... »

Bezsilność jest matką przebiegów; dowodem tego negry i kobiety, dowodem tego i Prusy. Rola którą Prusy odgrywają w Europie, jest za wielka na ich siły; ztąd sytuacya ich trudna i niebezpieczna, a polityka zawsze dwulicowa. W kilka dni po ogłoszeniu dekretu mobilizacyi, *Gazeta Pruska*, organ ministeryalny, temi słowy go tłómaczyła : « W chwili gdy wojna włoska zaczyna przybierać kierunek niebezpieczny dla prawa publicznego Europy i jéj równowagi, rząd pruski mniema, że przyszła pora interwencyi, aby pokój przywrócić... Mobilizacya armii, któréj rząd nie mógł już odkładać, jest środkiem czysto obronnym. Broni ona niepodległości Europy, która byłaby zagrożoną, gdyby nowe urządzenia przyjść miały do skutku bez zezwolenia głównych mocarstw. Prusy dla spraw im obcych nie chcą interweniować, ani dla obrony ucisku i gwałtu, ale dla wpływu swego w radach europejskich, dla honoru niemieckiéj ojczyzny, dla wolności i pokoju Europy. »

Czytając z dobrą wiarą to wyjaśnienie rządowe, możnaby mniemać, że wojna jest już na ukończeniu; że gabinet berliński obawia się, aby Austrya zwalczona

z jednéj strony przez Francyą, zagrożona z drugiéj przez Rossyą, nie była dziś przypuszczoną do zawarcia pokoju na warunkach niekorzystnych dla całéj Europy; że więc aby wstrzymać zbytnią przewagę zwycięzcy i zapobiedz samowolnym terrytoryalnym urządzeniom, Prusy ze zbrojną występują medyacyą! — Troskliwość ta, przyznać trzeba, jest zawczesną i wydaje się nieszczerą. Niepodobna aby Prusy nie widziały, że nie nadeszła jeszcze chwila rozjęcia walczących; żaden z nich nie zrobił tak wielkich wysileń i aż do ostatniéj bitwy, któréj szczegółów ani skutków dotąd nieznamy, żaden tak ciężkich nie poniósł strat, aby pozyskać ich zgodę na jakiebądź warunki. Oswobodzenie całych Włoch północnych, jest programem polityki francuzkiéj, i nie zdaje się aby Napoleon chciał i mógł go odstąpić; przeciwnie Austrya nie odstąpiłaby nawet już utraconych prowincyj. Jeśliby obu stronom zamierzano narzucić, równie dla obu nieprzyjemne kondycye, toć Prusy nie uwierzą zapewne, aby ich zbrojna medyacya, choćby i kontyngensem niemieckim poparta, zdołała nakłonić walczących do tego rodzaju upokorzenia. Dla wstrzymania dalszego rozlewu krwi, powiedzmy mimochodem, zaledwoby dziś wystarczyła interwencya całéj Europy, a zwłaszcza Anglii i Rossyi; tymczasem ani Anglia, ani Rossya nie spieszą z jéj ofiarowaniem, i godzi się mniemać, że z nią nie wystąpią, dopóki Włochy nie będą wolnémi. Trzeba daléj przypuścić, że Prusy tylko na korzyść Austryi zechcą pośredniczyć? Choćby i tak było, jeszcze ztąd nie przewidujemy nic groźnego. Nie usłuchanoby ich w Londynie, odepchnięto w Paryżu, i na tém skończyłoby się dzieło pruskiéj medyacyi. Bo nie sądzimy aby Prusy, tak silnie dały zaprzągnąć się do rydwanu Austryi, iżby szeregi swoje, wzorem dawnych markgrafów brandeburskich, wysyłać miały pod rozkazy cesarza walczącego we Włoszech. Téj ścisłości logicznéj nie obawiamy się w gabinecie berlińskim. Prusy nie tro-

szczą się o sławę ocalenia państwa austryackiego; miała Austrya dwóch zbawców, trzeciego w księciu Regencie pewno nie znajdzie!

Aby uchronić Europę od wojny powszechnéj, trzy wielkie mocarstwa żądają od Prus neutralności; aby ocalić sławę i potęgę Germanii, Rzesza wzywa je do oręża. W pośród tak sprzecznych postawiony wymagań, rząd pruski chciałby obu stronom, gdyby można, dogodzić, lecz przedewszystkiém o swoim nie zapomina interesie. Chciałby od klęsk zabezpieczyć się wojennych, a o tyle przecież być wojennym, iżby militarną i polityczną objąć dyrekcyą Niemiec. Wybrał drogę środkową, która ani neutralną jest ani nieprzyjazną w mniemaniu, jak uważa słusznie *Dziennik Poznański*, że ona pomoże mu jedność Niemiec utrzymać, a do wojny powszechnéj, mimo to, nie doprowadzi.

Czas pokaże, czy rachuba ta jest trafną, i czy skutek odpowié zamiarowi. To wszakże pewna, że usposobienie ludności pruskiéj już dzisiaj nie odpowiada wojennym rządu postanowieniom, i że jeżeli w południowych Niemczech z oklaskami powitano marsowe Prus przybory, to na północy sukces ich nie był tak wyraźnym. Niektóre gazety, jak *Kolońska*, *Wezerska*, *Vossa*, *Narodowa*, *Publicysta*, *Hamburski Nowelista* oświadczają się jawnie a nawet z oburzeniem, przeciw wszelkiemu przymierzu z Austryą, któregoby celem było «*przywrócić* we Włoszech obmierzłe jarzmo cudzoziemskie» i w skutek którego «rząd pruski odegrałby znowu, jak w r. 1792, śmieszną rolę Don Quichota legitymizmu.» Wprawdzie nierównie znaczniejsza liczba gazet uwielbia rząd pruski, że «umiał nareszcie podnieść się do wysokości państwa niemieckiego,» i woła, aby mu przyznać odtąd «bezwarunkowe prawo do zawiadywania siłami Rzeszy,» nie mniéj przecież daje się to spostrzedz, że odkąd mobilizacya pruska została nakazaną, nie ma już w Niemczech, zwłaszcza północnych, tego co dawniéj

do wojny zapału. I nicby téż nie było dziwnego, gdyby i z własnéj natury dość zimna i nowym Francuzów sukcesem ostudzona temperatura pruskiéj opinii, sprowadziła pewne zwolnienie w przygotowaniach wojennych berlińskiego gabinetu...

Równocześnie z wojskiem pruskiém zaczęła się *mobilizować* i inna kwestya, podobnież w wielostronne uwikłana trudności i na dzisiaj jeszcze zagadkowa, a która przecież za pierwszém pojawieniem się, pewne zmieszanie na giełdzie londyńskiéj i na jéj szacownym organie sprawiła. W artykule obszernym, *Times* który już pogodził się z faktami we Włoszech, trwożnem spogląda okiem na wynurzający się problem węgierski. « Donoszą nam, pisze ten dziennik, że p. Kosuth otrzymawszy w skutek wyższego rozkazu paszport francuzki, wyjechał z Anglii, i że ma być użyty najprzód do działania na pułki węgierskie, w szeregach Austryi służące, a następnie, i gdyby się dało, do wywołania rewolucyi w samychże Węgrzech. Współcześnie otrzymujemy proklamacyą jenerała Klapki, ogłoszoną z kwatery głównéj francuzkiéj. Znaczenie tych faktów jest niewątpliwe. Po za włoską granicą gotuje się szturm na państwo austryackie, i choć jeszcze nie armia francuzka, to propaganda rewolucyjna, całą potęgą Francyi a może i Rossyi poparta, zagraża przeniesieniem wojny w odległe posiadłości Franciszka Józefa. Udawać obojętność wobec tego rozwoju polityki francuzko-rossyjskiéj, byłoby dzieciństwem; w dzisiejszym stanie Niemiec i ludności naddunajskiéj, nowa insurrekcya węgierska mogłaby od Baltyku aż do morza Czarnego wojnę zapalić. I Słowian, i Magyarów położenie obecne jest niedogodne; jednych sympatye do Rossyi, drugich nienawiść do Niemców nakłonić mogą do przeniewierzenia się cesarskiemu domowi. Potrafiła Austrya utrzymać dotąd swoje panowanie, a w wojnie węgierskiéj jednę rasę przeciw drugiéj

umiała pobudzić. Dzisiaj nie wiemy jakie jest usposobienie kraju węgierskiego i w samym Wiedniu nie wiedzą podobno, czy tkwią jeszcze niechęci z r. 1849, czy niewątpliwe zachęty Cara rozbudziły narodowe uczucia, czy też przeciwnie niebezpieczeństwo całéj Austryi upomniało Węgrów do lojalności, choćby tylko czasowéj? Lecz jakiekolwiek byłyby ich skłonności, Węgrzy nie zdołaliby się oprzeć pokusom, któreby im stawiali dwaj monarchowie, zdecydowani zburzyć cały gmach austryackiego panowania. Kiedy obaczą półwysep włoski oswobodzony od cudzoziemców, i gdy Cesarz Francuzów jawnie i otwarcie zawezwie ich do powstania jak w roku 1849, zachęta będzie zbyt silną, aby partya umiarkowana mogła skutecznie oddziaływać.

«Nikt nie jest zdolny przewidzieć, co wypadnie w przyszłym miesiącu, i czyli obietnica «ograniczenia wojny» tak często powtarzana w kwietniu, kiedy Austryacy byli jeszcze na ziemi piemonckiéj, nie wyjdzie z pamięci w lipcu, gdy już na granicach ziemi włoskiéj walczyć będą musieli. Aż dotąd, była to sprawa czysto włoska i ani Anglia ani Rzesza niemiecka nie miały prawa przeszkadzać wypędzeniu Austryaków z kraju, który nienawidzi ich panowania, i tém samém żadnéj siły cesarstwu nie dodaje. Wistocie, odkładając na bok wszelkie inne względy, prócz równowagi europejskiéj, oddzielenie Włoch od Austryi nie byłoby złem samo w sobie. Jeżeli Austrya jest potrzebna dla potęgi Europy środkowéj, jeżeli tworzy zaporę przeciw ambicyi Paryża i Petersburga, jeżeli skutkiem tego stanowiska jest sprzymierzeńcem Anglii, to daleko pewniéj odda też same usługi, skoro przestanie panować nad pięcioma milionami niechętnych Włochów. Tak zwane sympatye austryackie w politykach angielskich nic innego nie znaczą, tylko, że ludzie ci rozumieją korzyści, które przynosi państwo silne, zajmujące pozycyą geograficzną Austryi; a przecież ci sami ludzie wcaleby się o to nie

troszczyli, choćby cesarz austryacki miał utracić niebawem swe włoskie prowincye. — Ale żaden monarcha nie może naznaczyć granic kampanii, którą rozpoczął; żaden wódz śmiertelną toczący walkę nie przeoczy dobrowolnie środków ułatwiających zwycięztwo! Niezadowolnienie Węgrów z austryackiego panowania, jest silną pokusą dla naczelnego wodza stojącego nad Mincio; «przyjaźń z Rossyą» do tego właśnie prowadzi, aby podobną dywersyą ułatwić: dwa tygodnie dopiero upłynęły od pierwszego zwycięztwa na ziemi lombardzkiéj, a już emigranci węgierscy podburzać mają odległą nieprzyjaciela posiadłość! Ten nowy ruch słabe zapewne w Anglii zrobi wrażenie. Naród nasz chce neutralności i nie dozwoli żadnemu ministrowi wydać wojnę dla utrzymania Austryaków czy w Węgrzech, czy we Włoszech. Ale różne z tego powodu nasuwają się uwagi... Aż dotąd nie miały Prusy powodu do zaczepki; wojna nie przeszła jeszcze na ziemię niemiecką; cesarz francuzki po wielekroć i uroczyście oświadczył, że innego nie ma celu, oprócz wolności Włochów, i że ani interesa ani honor Niemców niczém nie są zagrożone. Co większa, Tryest nie jest blokowany i cała marynarka handlowa Austryi, kryje się bezpiecznie w tym porcie pod opieką Rzeszy. Ale jeżeli Kossuth i Klapka otrzymali upoważnienie do podburzenia Węgrów, Niemcy mogliby w tém znaleźć *casus belli*, i ani wątpić, że takie zwiększenie programu politycznego Napoleona, bardzoby utrudniło lokalizacyą wojny. Zamiary Cesarza Francuzów przez czas jakiś muszą być nieznane; najprawdopodobniéj chce on tylko osłabić jenerałów austryackich, wywołując dezercyą w ich pułkach. Ale możemy być pewni, że tacy ludzie jak Kossuth i Klapka nie ograniczą się do pomagania włoskiéj niepodległości; ich celem nie jest osłabienie załogi Mantui i Verony, ale zapalenie powstania w Węgrzech, prawie zupełnie ogołoconych z żołnierza.»

Takie są obawy i przewidywania *Timesa*. Chociaż żaden z dzienników francuzkich artykułu tego nie powtórzył, *Constitutionnel* uważał jednak za stosowne ogłosić nań odpowiedź. Zaprzecza wszelkiemu porozumieniu rządu francuzkiego z wychodźcami węgierskiemi; twierdzi, że sprawa włoska nie ma żadnego związku z węgierską. W krótkim swym artykule dość trafnie obala przypuszczenia *Timesa*, tylko na jednę jego uwagę nie odpowiada, to jest że « żaden wódz śmiertelną toczący walkę, nie może przeoczyć dobrowolnie środków ułatwiających zwycięztwo » — zwłaszcza po dokonanéj pruskiéj mobilizacyi...

KOŁO POLSKIE I POŻYCZKA PRUSKA.

21 maja.

Na dwa dni przed swojém zamknięciem, sejm pruski w Berlinie stał się polem rozpraw, które pod niejednym względem obchodziły polskie interesa i uczucia. Dawno zapowiedziany, a w komisyi sejmowéj długo wstrzymywany wniosek posła Bentkowskiego « o uszanowaniu języka polskiego w W. Ks. Poznańskiem» doczekał się wreszcie, 11 maja, dyskusyi publicznéj i różnych mów— świetnych i gorących ze strony polskiéj, niechętnych i jadowitych ze strony niemieckiéj, a zawsze — pogrzebowych. Parlamentarnie się wyrażając: Izba nad wnioskiem, z ogromną większością, przeszła do « porządku. » a znaczenie dla nas tego parlamentarnego słowa objawił nam już oddawna generał Sebastiani : porządek to przemocy i gwałtu, wstydliwe omówienie hańbiącego bezprawia. Nie nad tą jednak, acz bardzo ciekawą dyskusyą chcemy nateraz zatrzymać myśl czytelników: przedmiotem uwag naszych będzie posiedzenie Izby z dnia następnego, w którém posłowie polscy swoje — nie pod liczebnym ale moralnym względem — ważne dali wota w głośnéj sprawie « pruskiéj pożyczki celem uzbrojeń. »

W kwestyi téj europejskiego znaczenia, a dla polskiego sumienia tak drażliwéj, koło nasze poselskie w Berlinie zamierzyło sobie było zrazu wystąpić z całą szczerością i bezwzględnością, i chciało w umotywowaném wotum odmówić funduszów, któreby mogły być użyte przeciwko Francyi i na szkodę Włoch. Takie przynajmniéj odebraliśmy w téj mierze, z wiarogodnych źródeł, upewnienia. Inaczéj się jednak stało — i wbrew wszelkim zapowiedziom i oczekiwaniom. Szanowni nasi posłowie nie odrzucili pożyczki; nie wstrzymali się nawet od głosowania, jak to dawniéj w niejednym robili przypadku — i sam tylko p. Tytus Działyński, trwając w pierwotnym zamiarze, a nie chcąc zrywać jedności deputacyi polskiéj w dzień obrad podał się do dymissyi, i wystosował w tym celu do marszałka Izby list, który znalazł taki rozgłos w dziennikach mianowicie francuzkich. Projekt rządowy przeszedł więc *jednomyślnie*, i Polacy głosowali *za nim*, w przekonaniu, jak się wyrazili ich mówcy w obu Izbach, że przyzwolone fundusze będą tylko użyte « do własnéj Prus obrony, a nie do pognębienia obcéj narodowości...»

Nie jesteśmy z zasady zwolennikami tych protestacyj i demonstracyj, które, gdy na skrzydlatém tylko oparte są słowie z tém słowém téż i ulatują; w których więcéj zazwyczaj ulgi dla obciążonego serca niż dla ważącego sumienia, a których w każdym razie, nam Polakom przynajmniéj, łatwiéj się dopuścić niż od nich się powstrzymać. Nie zapominamy następnie ani chwili o należnéj czci i uszanowaniu dla téj naszéj reprezentacyi poznańskiéj którąśmy sami mienili wyborem Wielkopolski « tą arystokracyą prawdziwą i jedynie godną tego nazwania, która się na dobréj sprawie i sławie, na wyższości intelektualnéj, moralnéj, socyalnéj i tradycyjnéj opiera (1)»... Nie wątpimy także, że ostateczna de-

(1) Patrz str. 89.

cyzya szanownych deputowanych nastąpiła dopiero po długiém a wszechstronném zastanowieniu, że była rezultatem rozpraw sumiennych, rozważnych, zapewne i bolesnych : śladów takiego bolu i wewnętrznego rozdarcia łatwo już zresztą dostrzedz w saméj zakłopotanéj mowie znakomitego posła, który w drugiéj Izbie, postępowanie swoich kolegów raczéj okrążył niż określił. Co więcéj, jesteśmy nawet przekonani i o tém, że wotum z dnia 12 maja nie spowodowały żadne względy na jakiś bezpośredni interes prowincyi, względy, które zawsze wielkiéj i niezaprzeczonéj same w sobie wagi, tym jednak razem zupełnie umilknąćby musiały : bo kwestya prowincyonalna wobec kwestyi tak powszechnéj i ogólnéj, byłaby nie na miejscu, a nadzieja jakiejś sprawiedliwości dla nas ze strony Niemców — nazajutrz po odrzuceniu wniosku Bentkowskiego, i wśród rozjuszonych teraz pangermańskich instynktów — zaprawdę nie na czasie. Mamy raczéj wszelkie powody do mniemania, że deputowani nasi bezinteresowność posunęli do abnegacyi, że szlachetnéj sprawie, któréj się losy ważą za Alpami, nieśli największą i najtrudniejszą ofiarę dusz zacnych : ofiarę milczenia, i że do przyzwolenia pożyczki zmusiła ich tylko nasunięta obawa, aby przeciwném, a wedle serca wystąpieniem, nie rozdrażnili jeszcze bardziéj przeciwko Francyi téj pruskiéj opinii, na któréj pozyskaniu lub przynajmniéj uśmierzeniu tak wiele w téj chwili zależy rządowi cesarza Napoleona. Być nawet może, że w téj mierze doszły ich wskazówki i życzenia, które nietylko głęboko uszanować, ale którym i bezwarunkowo uledz, mniemali być swoim bolesnym lecz politycznym obowiązkiem...

Mimo to jednak, nie możemy przemilczeć naszego głębokiego, niczém nieutulonego żalu, że szanowni posłowie od pierwotnego swego odstąpili zamiaru; nie możemy nie wypowiedzieć naszego sumiennego przekonania, że deputacya poznańska popełniła tym razem

wielki błąd potityczny, do którego częściowéj przynajmniéj naprawy, oby się jej tylko rychła nadarzyć mogła sposobność!

Bo w sprawie tak szlachetnéj i świętéj, jaka się rozstrzyga na polach włoskich, słowo polskie powinno było być uroczystém i czystém, wyraźném i niewątpliwém dla całego świata i w zgromadzeniu, w którém minister p. Schleinitz oświadczył, « że Prusy daléj nawet pójdą, niż tego po nich wymagają obowiązki federacyjne, » i w którém wprawny w demarkacyach i nam z tego pamiętny p. Vincke zgóry już demarkował Italią, i tylko po Mincio dozwalał Włochom być Włochami, nie należało myśli polskiéj zatracić i zagubić w «jednomyślności» pruskiéj.

Bo w chwili, powiemy daléj, gdy Francya, — dlatego że z bezinteresownością, zapałem i poświęceniem bez granic, rozpoczęła nieznaną dotąd w dziejach politykę cnoty — widzi się opuszczoną a nawet zagrożoną od wszystkich niemal państw Europy, od wszystkich szczęśliwych na ziemi, godziło się naszéj reprezentacyi okazać téj Francyi, że są ludy, które jéj dzieło uznają, wielbią, jemu błogosławią, godziło się sprawdzić te szczytne słowa Napoleona III « że wszystko co cierpi, ma oczy zwrócone ku Francyi; » i kiedy narody dumne i pyszne ze swéj oświaty i cywilizacyi, i w imię téj swojéj wyższości nas ciemiężące, tak sromotnie się przeniewierzają wszelkim uczuciom chrześciańskiéj miłości i sprawiedliwości, należało uczynić jawnem i jasnem że « *Polak umie być wiernym* » — wiernym sumieniu, wiernym chrześciaństwu, wiernym ludzkości, wiernym Francyi i Napoleonom!

Bo, powiemy wkońcu, była to najdogodniejsza a najgodniejsza zarazem sposobność, przypomnienia światu naszego imienia, naszéj sprawy, przypomnienia Europie, że jest jeszcze inny także naród, niegdyś wielki i potężny, cywilizacyi i chrześciaństwu zasłużony, a dziś uja-

rzmiony, w męczeńskie koło wpleciony, na tysiącach krzyży krzyżowany... Przez tę cnotę, która najwyższym w tym razie byłaby rozumem, nieśmiertelność Polski zlałaby się tu w jeden akkord z Włoch zmartwychwstaniem! I tylko deputacyi poznańskiéj takie przypomnienie wydać przystało. Z wszelkiéj innéj strony, ze strony np. wychodztwa, krok podobny — jakkolwiek do tego upominać mógł pewien głos znaczący (1) — byłby tylko natrętny w obecném, tak trudném położeniu Francyi, i przebrzmiałby bez wpływu, może nawet bez zwrócenia uwagi. Inaczéj się miało z kołem naszych posłów w Berlinie. Bo nie z żadnego własnego popędu, któryby o popędliwość oskarżać można było, ale z musu, wyzwana, przez samego ciemięzcę do oświadczenia się powołana, świadczyłaby tu Polska przez ich usta — własnemu życiu. A takie oświadczenie, przez reprezentacyą legalną wyrzeczone wśród obrad legalnych, publicznych, których z natężoną uwagą słuchał świat cały, nie zagubiłoby się w puszczy lub w pruskiéj jednomyślności, aleby znalazło swe odbicie we wszystkich organach opinii, jeśli nie we wszystkich duszach, i elektrycznym prądem przesłane do ostatnich krańców Europy, elektryczenieby uderzyło we wszystkie serca szlachetne. Słowo było konieczne, chwila była uroczysta!... a jeśli nie powiemy z naszym poetą, że takie *słowo w dobréj powiedziane chwili* «stworzyłoby nas, czemeśmy byli» to pewna wszakże, iżby okazało — *że* jesteśmy i *czém* jesteśmy!

Powtarzamy to jeszcze raz : szanowni deputowani poznańscy powinni byli pójść za pierwszym swego serca popędem, który nietylko moralnie ale i politycznie był dobrym, i jedynie był dobrym; powinni byli dać wyraźnie jasne i głośne wotum ufności i sympatyi dla Francyi, wotum życia dla Włoch, życia dla Polski — życia bez frazesów. A mogli to uczynić bez zbytniego

(1) *Odezwa do Wychodztwa*, przez X. Y. Z., 18 kwietnia 1859.

drażnienia niemieckiéj opinii; bez nakładu zgoła retoryki — dwoma pytaniami i jednym wykrzyknikiem «Przeciwko Francyi? Przeciwko Włochom? *Non possumus!*»

Non possumus!... te tradycyjne, uroczyste słowa Kościoła, przystało wierzącéj Polsce powtórzyć wobec przeniewierców wolności i sprawiedliwości, przystało je nawet dać w odpowiedzi i tym — jeśli były — dyplomatycznym upomnieniom, dla których aż do ostatnich granic godzi się nam i należy posuwać naszę powolność — tylko nie aż do dawania sobie samym mylnego świadectwa... Bo są konieczności wyższe nad wszelkie obawy, i nakazy sumienia silniejsze nad życzenia życzliwych!...

Nie bez wielkiego bolu i przezwyciężenia — podobnież konieczności i nakazom sumienia ulegając — widzimy się zmuszeni rozminąć się tym razem w zdaniu z szanowną deputacyą poznańską, i otwarcie i szczerze nasze w tym względzie wypowiedzieć przekonanie. Bo domyślamy się, przez jakie kolące i żgające targania, przez jakie męki duchowe przejść musieli ci zacni a światli mężowie, zanim się na takie głosowanie zrezygnowali; bo wiemy wogóle, jakie trudne, drażliwe i niewdzięczne ich położenie; bo pamiętamy też przedewszystkiém na ich tak wielkie zasługi w sprawie narodowéj, na poświęcenie, odwagę, polityczny rozum i obywatelską gorliwość, których tak liczne i od lat tylu dali i dają wciąż dowody — i któż prawy i uczciwy, gdy przeciwko *takim* mężom wystąpić jest zniewolony, nie życzyłby sobie téj broni Achillesa, która zarazem goiła, tam gdzie ranić musiała?... I dla tego uważamy to za najświętszy obowiązek upomnieć naszych czytelników, aby zechcieli uważać o kim i z jakiém uczuciem piszemy. I dla tego też przedewszystkiém błagamy naszych rodaków w Wielkopolsce, aby w żalu nad ostatniém głosowaniem swéj deputacyi, nie zapomnieli jednak na

chwilę, że ta deputacya jest ich chwałą i chlubą i siłą, wyborowym zastępem obywatelstwa, poświęcenia, światła i narodowéj sławy; aby rozbierając czyny swych posłów — do czego mają nietylko prawo ale i obowiązek — nie podejrzywali ich intencyj, i słusznego i godziwego sądu o mężach publicznych, nie zamieniali (jako to tak często u nas bywa, niestety!) w niesłuszne i niegodziwe osądzenie...

RAPORT SIEMASZKI

O *PARTYI* KATOLICKIÉJ NA LITWIE.

28 maja.

W *Zborniku Historycznym Rossyjskim*, wydanym w Londynie 1859 r., znajdujemy ciekawe trzy dokumenta, które umieszczamy tu w tłómaczeniu. Wszelkie uwagi przy nich byłyby zbyteczne.

I

Sekretno-konfidencyonalny raport członka Synodu, Józefa (Siemaszki), *metropolity litewskiego i wileńskiego, do ober-prokuratora najświętszego Synodu,* hr. Protasowa, 10 *stycznia* 1855 *r. pod N.* 40.

Jako wierny poddany, jako syn ojczyzny, jako członek prawosławnéj cerkwi, i jako zjednoczony Archijeréj, postawiony w pewnéj odpowiedzialności przed zjednoczonymi i za zjednoczonych prawosławnych, uważam sobie za powinność zwrócić raz jeszcze uwagę rządu na położenie kraju, z którym mię wiążą obowiązki służby mojéj. Zdaje się, że po zjednoczeniu Unitów z prawosławną

cerkwią, które Bóg pobłogosławił, zbyt prędko zapomniano: że ci Unici byli dla Polaków i katolików rzymskich nietylko awangardą, ale i murem warownym przeciwko rossyjskiéj narodowości i prawosławiu; że zjednoczenie to było najboleśniejszym ciosem dla łacińsko-polskiéj partyi; że partya ta zmuszoną została do szukania nowych środków dla ubezpieczenia położenia swego; i że stosunki jéj względem zjednoczonych musiały przybrać charakter nietylko nieprzychylny, ale nawet mściwy. Zdaje się także, że łacińsko-polską partyą poczytywano za bezsilną, zapominając o tém, że oprócz sił własnych, partya ta ma plecy w ogólnéj zagranicznéj partyi różnowierców, tak pod względem religijnym, jako téż i politycznym. Zdaje się nawet, iż nie zwrócono uwagi na to, że nadzwyczaj przykre położenie, w jakiém się znajdują zjednoczeni od czasu zlania się ich w jedno ciało z prawosławną cerkwią, musiało koniecznie ułatwić i ośmielić działania partyi łacińsko-polskiéj.

Nie wiem, czy przyszło komu na myśl wyrachować i ocenić należycie, co zdziałano na korzyść téj partyi w ciągu dziesięciu lub piętnastu lat ostatnich. Nie jest dziś moim zamiarem rozwodzić się nad czynnościami dokonanemi na korzyść łacińskiéj hierarchii. Jest to rzecz dawna i już nie do naprawienia. Nie idzie tu głównie o konkordat—środek polityczny i może konieczny. Ale w ogólności wszystkie postanowienia, które poprzedziły, towarzyszyły i nastąpiły po konkordacie, skierowane były do tego, aby hierarchią rzymsko-katolicką w Rossyi umocnić przeciwko prawosławiu zjednoczonemu. Dzisiaj prawosławnemu duchowieństwu w zachodnich eparchiach, zaledwie wystarczają siły do walki z samém tylko duchowieństwem rzymsko-katolickiém. Wszakże, raz jeszcze powtarzam, nie jest moim zamiarem rozszerzać się nad tém duchowieństwem; chcę raczéj zwrócić uwagę na inną broń łacińsko-polskiéj par-

tyi, która się w tych stronach stopniowo utworzyła, to jest, na klasę urzędników cywilnych.

Okoliczności zmusiły mię do zebrania tajemnie w ubiegłym miesiącu wiadomości o liczbie urzędników prawosławnego i innych wyznań, w guberniach wileńskiéj i grodzieńskiéj, w których liczba ludzi należących do prawosławnego i rzymsko-katolickiego kościoła, nie wiele się różni. Wiadomości tak zebrane, następujący okazują rezultat.

Wiadomą jest rzeczą, że w wymienionych dwóch guberniach prawosławni składają się prawie wyłącznie z samych włościan, wszyscy zaś niemal właściciele należą do wyznania rzymsko-katolickiego i tak nazwanéj polskiéj rasy. W skutek tego, prawosławni zależni są zupełnie od tych właścicieli, innéj wiary i innego rodu. Dla postawienia w podobném położeniu rządowych włościan, urzędnicy wydziału dóbr skarbowych mianowani są głównie z ludzi innych wyznań.

W obu izbach skarbowych, wileńskiéj i grodzieńskiéj na 14 członków, 2 tylko jest prawosławnych; na 37 asesorów i innych urzędników, tylko 5 prawosławnych; na 12 stołanaczelników, 2 tylko prawosławnych; na 41 okręgowych naczelników, ich pomocników, leśniczych i lustratorów, tylko 8 prawosławnych : to jest w liczbie 104 starszych urzędników, tylko 19 prawosławnych.

Dodawszy do tego, że w pomienionych dwóch guberniach, wszyscy 18 gubernscy i powiatowi marszałkowie, są innéj wiary, a w liczbie ich sekretarzy, 1 tylko prawosławny, okazuje się jasno, że wszyscy prawosławni w obu guberniach, zależą wyłącznie od innowierców, w najbliższych i koniecznych warunkach swojego bytu.

Aby zrównoważyć tę przewagę innowierczéj, najbliższéj nad prawosławnymi władzy, zaledwieby wystarczyła cała troskliwość miejscowych naczelnych władz cywilnych w najlepszym i przychylnym ich składzie; ale skład ten wistocie jest następujący :

Przy jenerał-gubernatorze dyrektor kancelaryi, starsi i młodsi sekretarze, pomocnicy sekretarzy i inni urzędnicy kancelaryi, w liczbie 21, są wszyscy innowiercy, wyjąwszy pomocnika sekretarza, prawosławnego. Tylko w liczbie adjutantów, dyżurnych oficerów i urzędników do szczególnych poruszeń, jest 6 prawosławnych obok 5 innowierców. Przy obudwóch cywilnych gubernatorach, w liczbie dyrektorów kancelaryi, urzędników do szczególnych poruczeń, równie jak starszych i młodszych pomocników dyrektorów kancelaryi, 9 prawosławnych na 20 innowierców. W obu rządach guberskich, w liczbie członków, sekretarzy, innych urzędników i stołanaczelników jest 39 innowierców, a 11 tylko prawosławnych. W ten sposób, wyższy zarząd dwóch gubernij składa się z 27 tylko prawosławnych a 84 innéj wiary starszych urzędników.

W takiejże proporcyi znajdują się władze rządowe po powiatach. W liczbie horodniczych i ziemskich sprawników, którzy z natury rzeczy powinniby, zdaje się, być w tych stronach prawosławnymi i Rossyanami, już trzecia ich część w wileńskiéj i grodzieńskiéj gubernii jest innowiercza. Pisarzy przy horodniczych 5 prawosławnych, i 11 innowierców. Zasiedateli i sekretarzy w sądach ziemskich, 10 prawosławnych a 40 innowierców. To jest na 165 starszych powiatowych urzędników władzy wykonawczéj, tylko 47 prawosławnych.

Wydział sądowy jeszcze bardziéj jest niekorzystny dla prawosławnych, aniżeli rządowy i wykonawczy.

W czterech departamentach cywilnego i kryminalnego sądu wileńskiego i grodzieńskiego, w liczbie 18 członków, tylko 5 prawosławnych; w liczbie 26 sekretarzy i innych urzędników, tylko 1 prawosławny; w liczbie 20 stołanaczelników niema ani jednego prawosławnego. We wszystkich powiatowych sądach obu gubernij, 2 prawosławnych członków, a 59 innowierców; również 2 sekretarzy prawosławnych a 14 innowierców. To jest

z 141 starszych urzędników sądowych, tylko 10 prawosławnych.

W podobnyż sposób zapełnione są wyższe miejsca i w innych dykasteryach. Z liczby 107 członków obu izb skarbowych, ich sekretarzy i urzędników do szczególnych poruczeń, ich buchalterów, kontrolerów, stołanaczelników i innych urzędników, równie jak kasyerów powiatowych z ich pomocnikami, buchalterami i protokulistami — prawosławnych jest tylko 8. Z liczby 18 członków, sekretarzy, starszych urzędników i stołanaczelników obu wydziałów inspekcyi generalnéj, prawosławnych tylko 4. Z liczby 30 członków, inżynierów, budowniczych, mierników i innych starszych urzędnidników w obu komisyach budowniczych i drożnych, prawosławnych tylko 4. Z liczby 26 członków i starszych urzędników okręgowego zarządu IIIgo okręgu korpusu inżynierów wojskowych osad — prawosławnych tylko 8. Z liczby 25 gubernialnych i powiatowych poczmistrzów z ich pomocnikami — tylko 6 prawosławnych. Z liczby 21 gubernialnych i powiatowych prokuratorów i strapczych, tylko 4 prawosławnych. Z liczby 26 członków towarzystwa dobroczynności i zarządzających siedmią wileńskiemi dobroczynnémi zakładami — tylko 2 prawosławnych. W liczbie 53 członków jak powiatowych i innych rządowych lekarzy, nie ma ani jednego prawosławnego.

Razem, wszystkich starszych urzędników wyżéj wzmiankowanych w wileńskiéj i grodzieńskiéj gubernii, innowierców 723, prawosławnych 140, to jest mniéj jak szósta część wszystkich w ogólności urzędników. Między innowiercami zaledwie dziesiąta część przypada na protestantów i mahometanów, inni wszyscy są katolicy rzymscy. W niższéj warstwie klasy urzędniczéj, proporcya ta jest jeszcze niekorzystniejszą dla prawosławnych.

Ale ta arytmetyczna proporcya między prawosła-

wnymi a innowierczymi urzędnikami, daleką jest jeszcze od przedstawienia istotnego obrazu przewagi téj ostatniéj masy.

Przez też same sposoby, któremi łacińsko-polska partya potrafiła zapełnić głównie swoimi ludźmi urzędowe posady, umié ona także kierować nominacyą lub usunięciem samychże prawosławnych urzędników, stosownie do swoich celów; niewielką zaś liczbę niepodległych, łatwo jéj otumanić, ugłaskać, lub nastraszyć. Jasną jest tedy rzeczą, że w podobnym składzie klasy urzędniczéj, najlepiéj nawet myślący i najprzezorniejsi naczelnicy, zaledwie zdołają utrzymać się przeciwko prądowi ogólnemu.

W ten sposób prawosławna ludność wileńskiéj i grodzieńskiéj gubernii, wynosząca blizko 700 tysięcy zależną jest prawie zupełnie od samowoli rzymian, panujących nad nią, za pomocą właścicieli, tudzież miejscowych administracyjnych i sądowych władz.

Duchowieństwo prawosławne w podobnejże znajduje się zawisłości, tak ze względu swoich parafian jako téż z powodu koniecznych potrzeb materyalnych. Sprawa musi być nadzwyczaj jasna aby ją można spiesznie doprowadzić do końca; w przeciwnym razie, przytłumią onę, albo prześladowaniem, albo szykaną prawniczą, albo zwłoką.

Wygrana nawet sprawa, nie obraca się zwykle ani na korzyść tego co ją wygrał, ani na korzyść prawosławia. Temu co wygrał dokuczać będą różnémi ubocznémi środkami, a najczystszą sprawę przedstawią przed opinią publiczną w kolorach niekorzystnych dla prawosławia i duchowieństwa prawosławnego, tak, że sam rozsądek wskazuje najczęściéj potrzebę milczenia i cierpliwości. Rzeczywiście, w takim stanie rzeczy ci tylko z duchownych prawosławnych spokojnymi być mogą, którzy potakują dążnościom łacińsko-polskiéj partyi, ci zaś co powinność swoję pragną z gorliwością wypełniać, mu-

szą koniecznie stawać się przedmiotem nieprzyjaźni i prześladowań téj partyi.

Nie mówię tu o sobie — ja los mój już oddałem pod wolę Opatrzności. Ale zdaje się, że to co mówię powinnoby zwrócić uwagę w każdym kraju gdzie 700 tysięcy prawosławnych w podobném temu znajdowałoby się położeniu, cóż dopiero w eparchii litewskiéj, która pod każdym względem w wyjątkowém jest położeniu.

W innych zachodnich eparchiach masa ludności prawosławnéj panuje nad małoznaczną liczbą inowierców; w litewskiéj, 700 tysięcy prawosławnych jest rozsypanych po trzech guberniach, w pośród półtora miliona samych rzymskich katolików. W innych eparchiach liczba nowozjednoczonych jest mała w porównaniu do starego prawosławia, w skutek czego łatwo nią opiekować się i kierować; w litewskiéj, prawie wszyscy prawosławni należą do nowozjednoczonych. Sami nawet nowozjednoczeni w innych eparchiach nie takby się dali oderwać od rossyjskiéj narodowości i obrządków wschodniéj cerkwi, jak w litewskiéj, która najmocniéj i tak długo ulegała niegdyś wpływowi innéj wiary i narodowości. Widoczną jest rzeczą, że ja mam i większe prawo i większy obowiązek proszenia rządu o szczególną ochronę litewskiéj trzody wiernych od wpływu panujących tu cudzych żywiołów. Moje siły na to nie wystarczą.

Lecz nie samo tylko położenie trzody wiernych w tutejszych stronach, skłoniło mię do wyjaśnienia tego co dawniéj pisałem. Nieraz już to przedstawiłem i lękam się czyli nie nadużyłem cierpliwości. Ani mnie do tego pobudziła troskliwość o narodowość rossyjską w tych prowincyach, jakkolwiek mię to boli, że 10 milionów rossyjskiego (ruskiego) i litewskiego narodu, coraz bardziéj na nowo ulegać zaczyna przewadze czternastu lub 50 tysięcy tak nazwanych polskich rodzin, a tém samém i polskiéj partyi, za pomocą łacińskiego duchowieństwa,

właścicieli i klasy urzędniczéj; ale toby się z czasem zmieniło za pierwszém zwróceniem na to uwagi rządu. Teraz rzecz idzie nie o prawosławie ani o narodowość zachodnich gubernij, ale o obecne polityczne położenie państwa, a zatém milczenie z mojéj strony, o tém co wyżéj powiedziałem, byłoby przestępstwem. Nie mnie samemu wiadomo, że w samą wigilią wybuchu ostatniego buntu polskiego, nie wierzono ludziom, którzy o nim ostrzegali.

Któż może uwierzyć, że łacińsko-polska partya nie miała na widoku obecnych wypadków starając się stworzyć, jakeśmy to wyżéj dowiedli, tak silną dla siebie w tych stronach przewagę. Nie mówię ja żeby ta partya sama przez się była dziś dość silną materyalnie aby rząd zbyt niepokoić mogła, ale w razie poruszenia całego Zachodu na Rossyą, czyliż w tych prowincyach nie są przygotowane dla wrogów jak najłatwiejsze rządy? Nie pozbawionoż rządu potrzebnéj broni do korzystnego w tym kraju działania, w całym ciągu mogących się przedłużyć wypadków wojennych i możliwych okoliczności? Zdaje się, że warto nad tém się zastanowić. I o tém warto pamiętać, że zarząd cywilny nie formuje się tak prędko i tak łatwo, jak się przekształcił korpus litewski w 1830. Zdarzyło mi się słyszeć takich, co bronili łacińsko-polską partyą przykładem Finlandyi i nadbaltyckich prowincyj. I śmiech i żal bierze słuchając tego. Trzeba mieć bardzo dużo dobréj woli albo nadzwyczaj mało znajomości tutejszego kraju, żeby znaleźć między temi prowincyami jakiekolwiekbądź podobieństwo.

Boże zachowaj aby to co napisałem miało być tłómaczone na szkodę i niechęć ku tutejszym urzędnikom Polakom i katolikom. Oni niemniéj jak i drudzy mogą służyć państwu z honorem i korzyścią w szeregach rossyjskich wojowników i w liczbie cywilnych urzędników. Ale w tych stronach są oni związani osobistemi

stosunkami, związani opinią publiczną, która każe im patrzeć nie na Rossyą ale na Polskę, koniecznie więc muszą (rozumié się, nie bez wyjątków) być narzędziami widoków łacińsko-polskiéj partyi i rzymskiego duchowieństwa.

Piszę to do JW. Pana, nie jako do oberprokuratora świętego Synodu, ale jako do najbliższego sługi najjaśniejszego Cesarza. Nie idzie tu już o los jakiegoś tam metropolity Józefa, albo o los 700 tysięcy zjednoczonych prawosławnych; nie o to chodzi także czy przyjemniéj jest i łatwiéj tutejszym rządzącym trzymać się partyi silnéj, bogatéj i ze znaczeniem; ale o to, aby 10 milionową masę rossyjskiego (t. j. ruskiego) i litewskiego ludu w zachodnich guberniach, ubezpieczyć na drodze obowiązku, wśród jakichbądź mogących się zdarzyć wypadków, i zachować ją od obcego wpływu. Odwołuję się do sumienia każdego bezstronnego człowieka, azali potrafi inaczéj jak ja zapatrywać się na stopniowy wzrost w tutejszych prowincyach łacińsko-polskiéj partyi?

Zresztą może być, że rząd w tém wszystkiém miał na widoku szczególne i nieznane mi cele i okoliczności. W niniejszém pismie przedstawiam myśl moję sekretno-konfidencyonalnie, czując że wypełniłem obowiązek mój sumiennie i jak najlepiéj mogłem.

Proszę jak najpokorniéj JW. Pana uwiadomić mię o odebraniu tego pisma.

II

Pismo sekretno-konfidencyonalne, moskiewskiego metropolity Filareta do jenerał-gubernatora Nazimowa.

JW. i łaskawy Panie.

Przyszedł do rąk moich raport najprzewielebniejszego Józefa metropolity litewskiego do hr. Protasowa, o nie-

korzystnym dla dobra ojczyzny stanie administracyi litewskiego kraju.

Przedmiot ten nie należy do zakresu spraw włożonéj na mnie służby, ale obowiązek wierności dla tronu zmusza mnie abym z największą troskliwością pomyślał o tém, czyli to jest wiadomém Najjaśniejszemu Panu.

Raport pisany 10 stycznia 1855. Nie ma powodu wątpić, że hr. Protasow przedstawił go w Bogu spoczywającemu cesarzowi; ale że to było na krótki czas przed jego śmiercią, pytanie: czy raport ten wzięty był pod uwagę; czy znany jest obecnie panującemu monarsze? Oto jest co mi leży na sercu.

Przeznaczenie JW. Pana do zarządu litewskiego kraju, daje mi sposobność wypełnić, o ile mogę, obowiązek wierności dla tronu, przesłaniem panu kopii wyżéj wspomnionego raportu i zaspokoić moję troskliwość wiernością pańską dla tronu i gorliwością dla dobra ojczyzny. Szczerze przyzywając na pana błogosławieństwa Boskie, z głębokiém poważaniem mam zaszczyt być JW. Pana pokornym sługą.

Moskwa, 15 grudnia 1856.

FILARET, *metropolita moskiewski.*

IV

Bardzo sekretne (postanowienie Cesarza Mikołaja).

Jego Cesarska Mość najwyżéj rozkazać raczył.

1. Polecić ministrom aby uwiadomili generał-gubernatorów zachodnich gubernij, że w powierzonych im guberniach wszystkie urzędy należące do policyi ziemskiéj, grodzkiéj i w wydziale dóbr cesarskich, mają być bez wyjątku zapełnione urzędnikami rossyjskiego pochodzenia; gdyby zaś takowych nie było, to w takim razie

ludźmi gruntownie im znanymi, za których przychylne usposobienie powinni być odpowiedzialni.

2. Na wzór tego co się praktykowało w południowo-zachodnich guberniach cesarstwa i co dotąd jeszcze istnieje w Królestwie Polskiém, mianować należy odtąd, na pomoc gubernatorom, wojennych naczelników powiatowych, jeżeli nie we wszystkich to przynajmniéj w takich powiatach, w których to przez ministra spraw wewnętrznych za konieczne uznaném będzie.

3. Wszystkim ministrom i głównozarządzającym oddzielnymi wydziałami ponowić tajemnie, do bezwyjątkowego wykonania rozkaz wydany przez JCM. po roku 1831, o zapełnianiu w zachodnich guberniach, urzędów w tym rozkazie wymienionych, o ile być może, urzędnikami pochodzenia rossyjskiego. Miejsca te są następujące: gubernatorowie, wicegubernatorowie, prokurorowie, członkowie gubernialnych sądów, powiatowi strapczowie i pocztmistrze.

4. Polecić ministrowi i głównozarządzającym, przedsiewziąść w mocy ich będące środki, do stopniowego, o ile to być może, osadzania innych także urzędów w tych guberniach urzędnikami rossyaninami, przenoszenia zaś krajowców do gubernij wielkorossyjskich.

5. Postanowić za niezmienne prawidło, aby nikt z urodzonych w guberniach zachodnich, wyjąwszy tych co wyznają prowosławną wiarę, nie mógł być tam osadzonym na urzędzie, jeżeli poprzednio nie wysłużył 10 lat w wielkorossyjskich guberniach, albo w wojsku w randze oficerskiéj, a i wówczas tych jedynie naznaczać tam można, którzy okazali najlepsze usposobienia.

Podpisał: książe A. Czerniszew.

NASZE PRÓBY I POKUSY
WOBEC WOJNY WŁOSKIEJ.

4 czerwca.

Na jednę ciężką próbę wystawiona jest myśl polska wśród obecnego wojennego wstrząśnienia, i gdy pewnym narodom tak trudno teraz wznieść się i choćby do téj biernéj i miernéj cnoty, która już tylko na samém dobrém życzeniu dobréj sprawie przestaje, w jakież to nierównie wyższe, przechrześciańskie przymioty rezygnacyi, abnegacyi i duchowéj ofiary, musi się w téj chwili uzbroić Polak, by wiernym pozostać swojéj wiekowéj zasadzie, by się nie rozminąć ze swém historycznem sumieniem! Bo zaprawdę dla nas, w obecnym składzie wypadków i sojuszów, nie brak na względach, nie brak na ewentualnościach, któreby kłócić mogły nasze sądy i pociągi, któreby studzić mogły nasze zapały i uniesienia — gdyby dusza polska nie była tak oczyszczona przez swe czyscowe męczeństwo, tak współczująca dla drugich, mimo — lub może właśnie skutkiem nieczułości drugich dla niéj... Gdybyśmy tylko widzieli świata koło, jakie tępemi oczy zakreśla zwykle interes własny; gdybyśmy, torem i trybem tylu cywilizowanych

ludów Europy, rachunek naszego sumienia układali z samego dodawania i odciągania bezpośrednich dla nas szkód i zysków: mielibyśmy może wówczas prawo do trwożnéj nieufności, mielibyśmy w każdym razie niejeden powód do bolesnych porównań i zestawiań. Wobec wielkiego i powszechnego zapału dla Włoch, wspomnielibyśmy może z goryczą o milczeniu i zapomnieniu, jakie omroczyły sprawę inną, sprawę niemniéj czystą, niemniéj świętą i równie europejską; a na widok długiego spisu krzywd wyrządzonych Lombardom i Wenetom, przez publikacye urzędowe i prywatne codzień teraz roztaczane przed światem, nie wolnożby nam było zapytać, czy tam — na północ — nie dzieją się bezprawia nad miary sroższe, okrutniejsze, i czyż nierównie więcéj łez i krwi a od lat tylu! — płynie nad Wisłą i Wilią, nad Wartą i Sanem, niż na polach zroszonych Padem i Adygą?... I nie samego tylko takiego przemilczenia własnych praw i cierpień wymagają po nas obecne wypadki; wywołują one jeszcze w wyższym stopniu nasze zaparcie, i każą nam bez szemrania patrzeć na najpotworniéjsze zjawisko, jakie wskazać mogą dzieje, i które bardziéj jeszcze niż nasze interesa obraża nasze moralne instynkta, nasz zmysł prawości i godziwości. Bo w rzędzie przyjaciół téj Italii, dla którejśmy sami przecież, nie raz i nie na jeduém polu, naszę krew przelewali, widzimy teraz najgłówniejszego i najsroższego z naszych wrogów; rzekomym rzecznikiem lombardzkiéj wolności stał się naraz ten naród, którego jedynym « Italiańskim » dotąd był Suwarów, zapaśnik Macdonalda, Jouberta i Masseny; i na Moskala to wskazuje obecnie Francya, jako na życzliwego świadka swéj szczytnéj krucyaty, a w danym razie nawet jako na wspaniałomyślnego pomocnika. Przez jednę z najkrwawszych ironij naszego krwawego losu, przyszło nam ujrzeć Attylę północy w aureoli Godfreda na południu, i ten sam rząd, co ogniem i mieczem, rozpustą i schyzmą, tępi lud Bolesławów i

Jagiełłów, « partyą polsko-łacińską » jak ją nazywa zmiennik i nikczemnik Siemaszko, ten sam rząd święci w swych organach nieprzedawnione prawa narodowości włoskiéj, a jeśli nie wszystkich buduje, rzadko kogo tém oburza!...

A wszakże, tak wielkiém i niezachwianém, głębokiém i rdzenném jest w nas to uczucie międzynarodowéj sprawiedliwości, którém Polska od wieków jaśniała i jaśnieje — za czasów swego blasku i potęgi, jak za dni swéj żałoby i męczeństwa — tak « nad śmierć silniejszą jest miłość » która nasze tradycyjne i niezmienne stanowi *jus gentium* : że wszystkie wyż wspomnione względy, które dla niejednego narodu w naszém położeniu stałyby się tym «pyłkiem co ćmi oko ducha,» że my owe względy nietylko przezwyciężamy, ale że tryumf ten nawet bez żadnéj w nas odbywa się walki; że spełniając podobną duszną ofiarę, nie przypuszczamy nawet aby to ofiarą być miało, i że przyrodzoną własnością, naturalnym, prawiebyśmy rzekli ślepym instynktem jest dla nas to, co dla innych a rzadkich byłoby w każdym razie najmozolniejszym dopiero nabytkiem najwyższéj, moralnéj kultury. Kiedy w przewidzeniu i obawie rossyjskiego z Francyą sojuszu, Anglik tłumi w sobie teraz dawne i szczere sympatye dla klasycznéj ziemi, którą jego Byron tak wielbił a jego Minto tak podżegał, i prawie się pyta, czy nie ma bronić téj Austryi, którą przecież już jego Szekspir « maluczką sercem a olbrzymią zbrodniami » piętnował (1) : my Polacy trwamy w naszych uczuciach, nawet wobec takich przewidzeń i obaw, i witamy z radością wschodzące słońce włoskiéj swobody, chociaż na krańcach tego horyzontu czernią się chmury

(1) O Austria!...
Thou slave, thou wretch, thou coward;
Thou little valiant, great in villany;
Thou ever strong upon the stronger side!...
King-John, III, 1.

moskiewskich pułków i fałszywy blask szlachetności pada na drapieżnego ptaka, co w naszém ciele wciąż krwawi swe szpony. My jeszcze, serdeczne szlemy Włochom życzenia, my gorące i rzewne do Boga zanosim modły za ich powodzenie, a jeśli jakaś myśl gorzka nam sępi czoło, to tylko ta, że skuteczniéj i bezpośrednio nie możemy służyć ich świętéj sprawie, że nieraz nawet zmuszeni jesteśmy głuszyć przed światem słowa przyjaźni i braterstwa, któremi pierś nasza dla nich przepełniona : dość tu tylko przypomnieć głosowanie naszych posłów w Berlinie. To względami na dobro Włoch samych nakazane tłumienie naszego współczucia dla drugich, więcéj nam cięży niż owe przemilczenie własnych praw i cierpień, i z tylu prób, któremi nas bieżąca chwila doświadcza, jest może najboleśniejszą : dla wielu z nas nawet jest jedynie bolesną.

Inne jeszcze, i z stron innych, czekają nas próby — i czyjeż serce się nie wzburzyło i nie zakrwawiło na widok téj proklamacyi, którą w dawnym grodzie naszych królów ogłosił p. Clam Martinitz i wezwał nią mieszkańców do dobrowolnych składek i ochotniczych zastępów na obronę... *ojczyzny?* Nie dość że Galicya — najnieszczęśliwsza może z nieszczęśliwych części naszéj ziemi — tyle ciał «cesarskich» rzuca w objęcia rakuzkiego Molocha; nie dość, że chciwa i mściwa fiskalność ostatni grosz z niéj wyciska i ostatnią kroplę znoju : trzeba się jeszcze było odezwać do jéj *dobréj woli*, do jéj austryackiego patryotyzmu!... Wprawdzie, nie uraczono jéj własnoręcznym cesarskim biletem, jak inne kraje monarchii, i zaprzestano na saméj gubernatorskiéj wymowie; wprawdzie nie odezwano się tu jak w Czechach, Tyrolu i t. p., do wyprobowanéj wierności i, w stosunku do innych prowincyj, małéj tylko liczby zażądano ochotnika : na półtrzecia miliona ludności, dwóch tysięcy tylko rycerzy; skromny był głos i skromne żądanie — bo snać są położenia, w których nawet i szatan ma pe-

wien rodzaj pudoru. Wprawdzie zresztą wiedzieliśmy, że rząd ojcowski Habsburgów o żadném swém nie może zapomnić dziecku, i że następca Cezarów musi sakramentalnego *morituri te salutant* żądać od biednéj ofiary swoich cyrków i cyrkułów... A jednak, jakimże razem ta szatańska ironia przeszyła każdą polską duszę; jakżeż dziwnie ten uniwersał brzmiał w stolicy Jagiełłów, i — och, jakżeż zadrżeć musiały w grobach, kości męczenników tarnowskich!...

Nie wyrządzimy braciom naszym w Galicyi téj krzywdy i zniewagi, abyśmy ich upomnieć mieli do zachowania godności narodowéj wobec tych nikczemnych maszkarad. Wierzymy w ich prawość, wierzymy w ich cnotę, i wiary téj nie omyli żadna austryacka scenerya, nie zachwieje żaden » *wolontaryusz podłości* » że użyjem wyrażenia naszego Niemcewicza, żadna sprosność kilku od Boga i od sumienia opuszczonych indywiduów. Pan Clam-Martinitz może potrafi zebrać ten hufiec sromoty, do którego się przed swym zobowiązał panem : ale my przecież wiemy, że biórokracya austryacka w Galicyi, dla obrony *swojéj* ojczyzny, umie otwierać domy poprawcze i uzbrajać watażków i opryszków. Gazety wiedeńskie pysznią się imionami kilku hrabiów galicyjskich spieszących z darami i ofiarami : ale my przecież znamy wartość tych subjektów a jeśli się czemu dziwimy, to chyba tylko że na liście takich składek brak podpisu nierównie głośniejszego i bardziéj zasłużonego austryackiego patryoty z Galicyi, któremu imię Szela. Ufamy w Bogu, że bracia nasi nad Sanem nie przeniewierzą się polskiemu sumieniu i czci polskiéj; ufamy w Bogu, że zasłużoną pogardę wypiętnują na miedzianém czole owych austryackich dygnitarzy a polskich wyrodków, i że z prostéj drogi narodowego obowiązku i honoru nie sprowadzą ich « szatany z piekła lub téż ludzie podli... »

Wkrótce może z przeciwnéj strony przyjdzie do nich kusiciel, i inna a wielka czekać ich będzie próba.

Wkrótce może staną na granicy Galicyi wojska rossyjskie — kto wié, może i wkroczą, może nawet i ją zadzierżą..... Oby Galicyanie wówczas, z oburzenia nad piekielną burleszką Martinitza, nie dali się zaciągnąć w komedyą nierównie jeszcze piekielniejszą; oby pamiętali wówczas, że jeśli Austrya ma swych Breindlów i Kriegów, Rossya ma swych Siemaszków i Bibikowów; i oby, pomni słów Biblii, uciekając przed wężem, nie nazwali swym bratem szakala!... Nie w naszém ręku leży nasze mienie i nie nasza wola posuwa nasze słupy graniczne. Musimy uledz wszelkim, jakie z nami poczynią, zmianom i zamianom; możemy niektóre za mniejsze złe uważać i przynajmniéj im nie złorzeczyć; powinniśmy ze wszystkich, wszystkie dla nas możebne starać się wyciągnąć korzyści... Ale biada nam, gdybyśmy sami do tych frymarków nami naszę podali rękę; biada nam, gdybyśmy pakta o nas a bez nas zawarte, uświęcili krokiem, któryby za objaw naszego przystania uważać miano prawo, i gdybyśmy wśród nowych możebnych rozdziałów naszéj ziemi, nie uchowali nierozdzielną naszéj narodowéj duszy!...

Próby to wielkie, cierpienia niezmierne. Ale jeśli z nich wyjdziem z ocaloném polskiém sumieniem i z uchronioną godnością narodową, kto wié, czy się wówczas nie okaże, że to ostatni był kres naszéj męki, i że Bóg tam najsrożéj doświadcza, gdzie najpełniéj wynagrodzić zamierzył?... Przecież według misternéj architektury chrześciańskiego wieszcza, krok już tylko jeden z najgłębszego koła piekła do wyzwalającego nieba, i przecież wiek bieżący już raz nam okazał, że sztandar wolności z ziemi włoskiéj może zajść do Polski, i Bonaparte dać przykład jak zwyciężać mamy!...

OSWOBODZENIE WŁOCH.

11 czerwca.

Lat temu sześćdziesiąt i trzy, pod sam koniec tego wieku, który tyle widział wielkich czynów a większych jeszcze zbrodni, czytano na murach Medyolanu następującą odezwę w języku włoskim, francuzkim i polskim:

« Wierny ojczyznie mojéj do ostatniego momentu, walczyłem za jéj wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona pod przemocą, i nie zostaje nam jak pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali za ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli nasze chorągwie zwycięzkie pod Dubienką, Racławicami, Warszawą i Wilnem. Polacy, nadzieja powstaje! Francya zwycięża, ona się bije za sprawę narodów: starajmy się osłabić jéj nieprzyjaciół! Francya pozwala nam schronienia, czekając lepszych losów dla kraju naszego. Idźmy pod jéj chorągwie; te są oznakiem honoru i zwycięztwa. Legiony polskie formują się we Włoszech, na téj ziemi niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męztwa, są ze mną; już się bataliony formują. Przybywajcie koledzy; rzucajcie

broń, którą was nosić przymuszono : bijmy się za sprawę wspólną wszystkich Narodów, za wolność pod walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch. Tryumfy Rzeczypospolitéj Francuzkiéj są naszą jedyną nadzieją; za jéj pomocą i jéj aliantów może zobaczemy jeszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili.

W kwaterze głównéj w Medyolanie, dnia 1 Pluviôse Roku V Rzeczypospolitéj Francuzkiéj jednéj i nierozdzielnéj (w styczniu 1797).

Generał-Lieutenant polski : Jan DĄBROWSKI.

Z tego też Medyolanu, pod dniem 9 stycznia, datowana ugoda z podpisami Bonaparte, Visconti, Dąbrowski, która dała początek owym polskim Legionom, co pod Mantuą, Novi i nad Trebbią Europie swéj waleczności, a Francyi i Włochom swojéj miłości, krwawe i niezatarte w dziejach dały dowody.

Za dni naszych znowu Francya zwycięża i bije się za sprawę narodów. Dzisiaj znowu Medyolan, po długiéj, męczeńskiéj niewoli, widzi w swych murach Bonapartego i czyta odezwy z podpisem Visconti świadczące o niepodległości Lombardów... Ale jeśli « w dźwięków tych wszechzgodzie brak jednego dziś imienia, » jeśli Polakom mówioném jest teraz broń swoję złączyć z wyzwalającą bronią w Medyolanie : nie zapomnieli jednak owych słów *gli uomini liberi sono fratelli*, które były wyszyte na szlifach polskich legionistów we Włoszech, słowa te wryły się na wieki w serca ich wnuków, i wnuki te z radością, z dziękczynieniem, z błogością witają dnie chwały Montebella, Palestry, Magenty i oswobodzenie stolicy lombardzkiéj.

Nie myślimy winszować francuzkiemu żołnierzowi, że bohaterski, ani Napoleonowi, że zwycięża : nie winszuje się słońcu, że świeci... Ale winszujemy Włochom ich męztwa i jedności, winszujemy przedewszystkiém

szlachetnym mieszkańcom Medyolanu, że rozważnie i godnie cierpieć a odważnie i skutecznie powstać potrafili. Wstrzymali się od bezpłodnego bo przedwczesnego wybuchu, ale gdy chwila stanowcza nadeszła, nie czekali aż obcy ich wrota odwalą i sami je na rozcież swym otworzyli wybawicielom. Umieli przez czas czekać a na czas działać: chwała im z tego i zasługa, a przykład ludziom i ludom dobréj woli...

Włochy mają za sobą bożą sprawiedliwość, francuzką pomoc i własną dzielność: przeciwko téj trójcy sił nie przemogą żadne bramy Peschiery i Werony, żadne mantuańskie wały i teutońskie szały!

SKŁADKA DLA RANNYCH FRANCUZÓW.

2 lipca.

Polacy brali zawsze czynny udział w wojnach, które naród francuzki prowadził dla oswobodzenia ludów. Jeśli teraz, zbiegiem okoliczności, odmówionem nam jest dać Francyi dowód takiego orężnego braterstwa, możemy jednak i powinniśmy dać świadectwo naszéj sympatyi i uwielbienia, a wywiążemy się z tego, kiedy czynny i gorliwy weźmiem udział w składce, zbieranéj obecnie na rzecz rannych francuzkich. Wprawdzie szczupłe są nasze zasoby i nie łudzimy się nadzieją wielkiéj summy. Ale naród francuzki, tak bogaty w siły i cnoty, jeśli umié w szlachetnéj myśli hojnie szafować własną krwią i mieniem, zna także wartość wdowiego grosza, gdy w podobnéj myśli przez biednych i cierpiących ofiarowany, potrafi ocenić dar nasz według prawdziwéj wartości, jakkolwiek będzie małym i skromnym.

Byłoby do życzenia, aby Emigracya Polska w téj mierze wystąpiła w całéj jedności tego uczucia, które ją dla Francyi i jéj wielkiego dzieła przejmuje. Wzywamy przeto wszystkich towarzyszów tułactwa, aby, bez róż-

nicy zdań i opinij, spieszyli z udziałem w *wspólnéj emigracyjnéj składce* dla tych bohaterów, którzy na polach Lombardyi i Wenecyi sieją to, co wielki nas wieszcz nazwał « wolności ludów siew, boże ziarno — własną krew! »

Dzieło to dobroczynności i patryotyzmu : z prawa należy do tych, co u nas dobroczynność i patryotyzm zawsze łączyć umieją — do Polek naszych. Mamy przeto nadzieję, że w przyszłym numerze będziemy mogli zamieścić nazwiska Szanownych Dam, które pozwolą aby pod ich adresem składki były przysyłane, jak nie mniéj że ogłosimy pierwszą listę tych, którzy do przysłego tygodnia ofiary swoje na nasze ręce zechcą złożyć.

JEŃCY GALICYJSCY WE FRANCYI.

2 lipca.

Nazwano słusznie Emigracyą związaniem i treścią narodu naszego, rozciętego potrójnym rozdziałem; nazwano ją także, może nie bez przyczyny, najpatryotyczniejszą prowincyą Polski. Chciała, rzecby można, Opatrzność do szczupłéj garstki emigracyjnéj, z każdéj części polskiego kraju zgromadzić ludzi, aby każda miała tutaj czujne sługi swoje, a zgromadzonych chciała znowu oderwać od codziennego ziem ich ucisku, aby boleść całego narodu czuli przedewszystkiém, i tam gdzie najpilniéj, ile potrafią, z moralną spieszyli pomocą. To téż zarówno cześć jak interes narodu, dobro jednéj jak wszystkich prowincyj znajdzie tu zawsze wiernych stróżów, i obrońców, i wszelka myśl usługi publicznéj, pomimo cierpień, niedostatków i zajęć, dozna tu, bądź co bądź, zawsze rączego i serdecznego poparcia. Do téj więc gotowości wychodztwa odwołujemy się dzisiaj, gdy nowe, jak mniemamy, otwiera się nam pole do pracy.

Każde zwycięztwo cesarza Napoleona sprowadza na ziemię francuzką tysiące jeńców wojennych. Jest, ile

nam wiadomo, zamiarem rządu rozesłać tych ludzi w różne strony kraju, opatrzyć w żołd, i odwołując się do litości nad nieszczęśliwymi, która narodowi francuzkiemu tak jest łatwą, dać im możność znalezienia pracy korzystnéj. Decyzyą tę wywołały zapewne téż same powody, równie zacne jak rozumne, które już pierwéj skłoniły cesarza Napoleona, aby rannych żołnierzy nieprzyjacielskich, po wyleczeniu, oddawać bez wymiany.

Nie wątpimy, że jeńcy rozprowadzeni po departamentach znajdą u władz i u mieszkańców opiekę i ułatwienia, ale również zaprzeczyć się nie da, że i my z naszéj strony, coś dla tych ludzi winniśmy. Jest między nimi znaczna liczba żołnierzy zrodzonych na ziemi polskiéj w Galicyi i w Krakowie. Po raz pierwszy przeniesieni w kraj tak odległy, nie znając ani mowy ani jego zwyczajów, żołnierze ci pomimo troskliwości władz francuzkich, uczują się bardzo nieszczęśliwi i skwapliwie, z radośném zdziwieniem przyjmą pomoc tych, którzy do nich ojczystym przemówią językiem. Podać więc rękę braterską, ułatwić im codzienne stosunki, wyszukać jeśli podobna pracy, jeśli potrzeba, usłużyć w porozumieniu z odległą rodziną, — oto święty obowiązek względem owych braci naszych, a do niego woła nas sama ludzkość i uczucie chrześciańskie.

Lecz są jeszcze insze w tém zajęciu dla nas powody i o wyższych pamiętać musimy celach nad prostą ulgę w fizyczném cierpieniu. Żołnierze ci należą w większéj części do téj nieszczęśliwéj klasy ludności, którą rząd austryacki przez lat siedemdziesiąt po swojemu wychowywał. W jego szkole stracili oni, można powiedzieć, pojęcie Boga i głos sumienia. Nauczyli się od austryackich urzędników, nienawidzić wszystkiego co świațlejsze, bogatsze, wszystkiego co polskie. Mówiono im po tysiąc razy i uwierzyli, że jedynym ich opiekunem i dobroczyńcą jest cesarz austryacki; że on broni ich od

Polaków, którzy czyhają na ich mienie i życie; że jego tylko słuchać powinni, bo on jest najwyższą władzą, która ma prawo nawet przykazania Boże zawiesić. Starannie oddalano od nich światło wiary i moralności i oto — może po raz pierwszy — będą mogli Polacy przemówić do nich po ludzku, po polsku i po chrześciańsku!.....

Na serce zmiękczone cierpieniem łatwiéj padnie, wraz z słowem pociechy, ziarno zdrowéj i czystéj nauki. Kiedy owi nieszczęśliwi spostrzegą, że Francuzi których w armii austryackiéj przedstawiano im za dzikich okrutników, obchodzą się z nimi z troskliwą względnością; kiedy przekonają się że ludzie mówiący polsku, z pobłażaniem dla ich nieufności, z wyrozumieniem ich opinij, z miłością i spokojem, starają się los ich polepszyć, kiedy kilka miesięcy pobędą w stosunkach z ludem francuzkim i z polską emigracyą, — niepodobna aby taki widok i takie przykłady nie wywarły na ich dusze schorzałe zbawiennego wpływu. Wróciwszy do siebie opowiadać będą, jaki to kraj widzieli: gdzie panowanie praw ludzkich i posłuszeństwo władzy może ostać się bez obrazy prawa Bożego; gdzie można być bezpiecznym bez podejrzenia i nienawiści a zamożnym bez pożądania rzeczy bliźniego; gdzie żyją *Polacy*, co byli dla nich tak dobrzy, iż lepszym własny ojciec być nie może, i że ci Polacy mają nadzieję wrócić do Polski a pewni są, że im Francuzi, wcześniéj czy późniéj, pomogą! Ich słowa jakby cudowne powieści szerzyć się będą po siołach i gromadach, słuchać ich będą starce i dzieci, a porównanie tego co widzieli i co znów zobaczą, da im światło do poznania gdzie leży złe i gdzie złego istotna przyczyna!...

Opatrzność sama, zdaje się, przysyła nam takich uczniów do nauki i serca tak skrzywione do oczyszczenia i do naprawy. Przed tak świętém acz trudném dziełem nie cofnie się nasze tułactwo. Gdziekolwiek o tych nie-

szczęśliwych posłyszy i skoro uzyska pozwolenie władz, przybliży się do nich, jesteśmy pewni, i otoczy całą miłością Polaków i Chrześcian!..... Co do nas, jeśli pismo nasze może w téj pracy jakkolwiek być pomocne, prosimy aby i na naszę gotowość chciano także liczyć, i wzywano nas za każdą razą do téj bratniéj i publicznéj posługi.

POKÓJ W VILLAFRANCA.

16 lipca.

Wojna wstrzymana i pokój zawarty. Dla tych co spodziewali się, że potok téj wojny, oporem Austryi wezbrany, całą Europę zaleje, jéj stosunki wywróci i wszystkie granice przemieni, dla tych, pojąć łatwo, zawód to srogi i tak bezwzględny i nieumiarkowany, jak były ich nadzieje. Lecz i ci, — a jesteśmy z ich liczby,— co na programie cesarskim opierając się, od wojny obecnéj niczego więcéj nie oczekiwali ani pragnęli, prócz wypędzenia Austryaków z włoskiego półwyspu, ci nawet przyznać muszą, że ich życzenia w połowie tylko spełnione zostały. Nieoswobodzona Wenecya, to niegdyś najdawniejsze z europejskich państwo, w Rzeczypospolitéj Chrześciańskiéj tyle zasłużone, i która w ostatnich czasach, z włoskich ludów może najwięcéj dała dowodów męzkiéj cierpliwości i rządnéj odwagi wśród bojów. W téj Wenecyi « *mórz królowéj* » Austrya i nadal panować będzie i przez nią wpływ swój rozciągać na cały półwysep. Sprawy Włoch środkowych w niemniéj ciężkiéj zostają zawiłości. Bo jeźli przywrócenie książąt (zapowiedziane austryacką proklamacyą), którzy w czasie

wojny przeszli do obozu nieprzyjacielskiego, jest obrazą dla uczucia moralnego a szkodą dla ducha patryotycznego, to pod względem politycznym staćby się mogło tém niebezpieczniejszém w przyszłości, gdyby system ich, znowu jak dawniéj, znajdował zachętę i podporę w dyplomacyi i armii austryackiéj. W Neapolu podobnież jak w Państwie Kościelném, bez żadnéj interwencyi państw obcych, samą siłą wypadków i zmianą sąsiada, można było spodziewać się pożytecznych administracyjnych reform, które obecnie kto wié na jak długo odroczone zostaną. Nie zgaszone więc zarzewie wewnętrznych, rewolucyjnych wybuchów, i owszem, rzecby można, że zawód doznany w oczekiwaniach słusznych a prawie już niewątpliwych, na nowo je odżywi...

Takie są zarzuty, które w pierwszéj chwili stają przed oczyma, po odczytaniu warunków zawartego w Villafranca pokoju. Niektóre z nich stracą zapewne na ważności, skoro przyszłe stosunki Włoch bliższemu ulegną określeniu. Może téż doświadczenie lat ubiegłych nie przeminie bez owocu. Ci którzy przed chwilą u nieprzyciół narodu szukać musieli schronienia, wróceni do swych posiadłości, może nie zechcą dorzucać ziarna niechęci, które pełnemi rękoma a z wielu stron siano oddawna. Może i Włosi zrozumieją, że jest wiele w Europie narodów, któreby się czuły nad wyraz szczęśliwe, gdyby na takich jak oni podstawach mogły zacząć budowanie przyszłéj wielkości swego kraju; że w świecie moralnym jak politycznym, w życiu narodów jak indywiduów «*tym tylko bywa dodano, którzy umieli zachować.....*» Wszakże bez względu na to, co jeszcze do spełnienia zostaje, a co spełnioném tylko być może mądrością rządów i ludów włoskich, niepodobna nie uznać wielkości rezultatów, które osiągnęła polityka cesarza Napoleona w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Nie pierwszy to raz w północnych Włoszech walczyli

zwycięzko Francuzi; jeszcze w XV wieku, właśnie nad Padem, dziwiono się téj *furia francese*, któréj żadna armia odeprzeć nie może. « Ale w sprawach europejskiéj polityki (powtarzamy słowa, któremi wojnę witaliśmy) poraz pierwszy to dobro uciemiężonego narodu stało się nietylko narzędziem, ale i celem boju. » I oto — w ciągu niespełna dwu miesięcy, Lombardya któréj posiadanie tyle dawniéj bitew, tyle ponawianych kosztowało wypraw, nietylko zdobyta, lecz co więcéj traktatem pokoju ustąpioną została. Zwycięzca żadnéj dla siebie nie bierze zdobyczy, szlachetnie i rozumnie oddaje ją rodzimemu i patryotycznemu książęciu, i trzy miliony narodu obdarza niepodległością!

Od wieków półwysep włoski podobnie jak Niemcy, był aglomeracyą państw i ludów udzielnych, a nadto w większéj części ujarzmionych. Dzisiaj nowa rozpoczyna się era. Włochy dotychczas *słowo* geograficzne, stają się teraz *ciałem* politycznem. Rozrzucone na półwyspie ludy cesarz Napoleon wiąże w jeden organizm, i pod imieniem Rzeszy Włoskiéj a naczelnictwem Papieża, wprowadza w prawo publiczne Europy.

Co do nas, chociaż w tych bojach nie braliśmy udziału, możemy w nich przecież znaleźć na przyszłość otuchę. Każde zwycięztwo Francyi przejmuje radością serca Polaków, cóż dopiéro Francyi walczącéj z jednym z naszych nieprzyjaciół i za sprawę uciśnionéj narodowości. A jakkolwiek rezultat tych bojów może niezupełnie zaspakajać, nam przecież, napomnić o tém niepodobna, że Francya wyszła z nich sławna, potężna i mieczem jak myślą, na szali polityki europejskiéj nad wszystkich ważąca.

A jeśli zwrócimy uwagę, że dziś mimo takiéj potęgi, takiemu dowodząc wojsku i tyloma rozporządzając środkami, cesarz Napoleon zaledwo w połowie był w stanie dopełnić tego, co téj wojny zdawało się być zapowiedzią możebyśmy w tém znowu znaleźli tę naukę, którą hi-

storya na każdéj karcie podaje, że wielkie zadania świata chociażby najściśléj pojęte i najlepiéj odgraniczone, jedném wysiłeniem przeprowadzić się nie dadzą. Możebyśmy w końcu i to uroczyste i donośne dla nieszczęśliwych znaleźli upomnienie, że największe pomoce i najszczęśliwszy zbieg okoliczności, w żadnym narodzie nie zastąpią tego, bez czego on ani żyć, ani odżyć nie może, to jest jego własnéj dzielności, rozwagi i gotowości do ofiar...

METTERNICH O POLONIZMIE.

2 lipca.

Dziennik *Univers* ogłosił w tych dniach rozmowę, którą redaktor jego, p. Ludwik Veillot, miał w r. 1849 z księciem Metternichem. Dyalog ten, zawierający własne wyznania Metternicha, jak pożądanym może być dokumentem dla wykazania i napiętnowania charakteru i polityki zmarłego kanclerza Austryi, tak ogłoszony bez żadnych prawie uwag, owszem z wyraźną jakoby aprobacyą francuzkiego dziennika, obudzić musiał w każdéj duszy szlachetnéj wstręt i sprawiedliwe oburzenie. Wszystkie zbrodnie, które Austrya przez lat blizko pięćdziesiąt popełniła i któremi pamięć swoję skazała na wiekuistą ohydę, wszystkie jéj fałsze, podstępy, hipokryzye i wyrafinowane okrucieństwa, wszystko to książe Metternich z przerażającym opowiada spokojem, jak przeżyły rozpustnik opowiadania zaprawia ironią, — i to wszystko znów niemniéj spokojnie, z pewną nawet uciechą, potwarza p. Ludwik Veuillot, w księciu Metternichu widzi człowieka « miłosiernego, prawego, chrześciańskiego » i dodaje z żalem, że jeźli czego w jego systemie politycznym brakowało, to chyba pewnego « zapału, » pewnych « porywających widoków !... »

Univers wytrwale, a od dwóch lat nawet skutecznie, walczy z Rossyą, ze schyzmą i jéj najgłówniejszym na Zachodzie organem, dziennikiem *le Nord*. Jego artykułom w pewnéj części winniśmy, że mniemaną a tak rozgłoszoną tolerancyą Alexandra II w sprawach Kościoła katolickiego pod panowaniem rossyjskiém, w prawdziwszém teraz ujrzano świetle. Znamy wagę tych artykułów, powtarzaliśmy je nieraz i za nie możemy być wdzięczni.

Ale, ani sprawa Kościoła polskiego, ani w ogóle religii Chrystusowéj, nie ma nic, i mieć nie może wspólnego z apologiami krwawych, wstrętnych lub przestarzałych systemów politycznych, z jakiemi od czasu do czasu ten dziennik występuje. Aby żyć, rozwijać się i ród ludzki zbawiać, Kościół którego godłem jest miłość i światło, nie potrzebuje, jak doradza *Univers*, zasłaniać się inkwizycyą ani teokracyą; nie wydaje walki parlamentarnym formom rządu, nie lęka się postępu nauk i cywilizacyi; dla stłumienia fałszywych idei nie przyzywa siły brutalnéj, dla tryumfu prawdy potrzebuje tylko wolności. Niezakazuje jednym tego, co drugim pozwala : dla wszystkich ma jednę miarę — przykazania Boże. Tymczasem *Univers* porwany entuzyazmem dla konkordatu, który Austrya przed kilkoma laty zawarła, dobrowolnie zamyka oczy na to : że Austrya jest przedewszystkiem Austryą i że wiary katolickiéj używa tylko za narzędzie panowania. Rozdrażniony opozycyą, w któréj rząd piemontski znalazł się wobec Stolicy Apostolskiéj, zaraz przeczy najszlachetniejszym Sardynii dążeniom. Zdjęty trwogą przed rewolucyonistami, broni obcego jarzma we Włoszech, z niesmakiem lub tylko zmuszony wspomina o wielkiéj sprawie wyzwolenia uciśnionego narodu. — W zaślepieniu swém i zaciętości *Univers*, w polityce jak w religii, zadaje sobie nieprawdę. Pragnie on walki z Rossyą, walki na zabój; widzi w niéj groźbę dla Kościoła, dla cywilizacyi, dla Europy; w czasie

wojny wschodniéj popierał bezwarunkowo politykę Napoleona III. Ale skoro mu się przed oczy nawinie Anglia, ze swą potęgą, ze swemi odwiecznemi a wolnemi instytucyami, wnet szalonym uniesiony gniewem, zapomina o wszystkiém; bój z Rossyą odkłada na późniéj, gotów pogodzić się nawet z rewolucyą, i nierozumnie a nieludzko głosi krucyatę przeciw Anglii protestanckiéj!

Artykuły o księciu Metternichu skłoniły jednego z naszych rodaków do napisania odpowiedzi, którą umieszczamy poniżéj. Pisząc do redakcyi *Univers'a*, autor ograniczył się w swym liście do wyświecenia tych tylko fałszów, których ks. Metternich dopuścił się w opowiedzeniu sprawy krakowskiéj i rzezi galicyjskiéj. Redaktor *Univers'a* przyjął wprawdzie to pismo, ale uznał za stosowne dodać z swéj strony uwagę, która światło szczególne rzuca na niego. Nie przypuszcza on, aby «katolicki rząd Austryi miał być *na darmo* (?) tak podstępnym i okrutnym;» twierdzi, że nie nadszedł jeszcze czas wydania sądu w tym sporze, że potomność dopiéro może «sprawdzić przeciwne sobie twierdzenia!» Zapomniał p. Veuillot, czy téż wypadało mu zapomnieć, co sam o Austryi i o wypadkach r. 1846, pisał w swoim czasie...

Oto jest wspomniona uwaga *Univers'a*:

Polak (powiada p. Ludwik Veillot), który żąda byśmy jego podpis przemilczeli, ale którego znamy osobiście i którego charakter powszechnego używa szacunku, pisze do nas odpowiedź na twierdzenia księcia Metternicha, dotyczące wypadków galicyjskich w 1846 r. i wcielenia Krakowa do Austryi. — Ogłaszamy te uwagi, jak powtórzyliśmy słowa ks. Metternicha — jako dokumenta. Świadectwa dwóch stron są zupełnie sobie przeciwne. Nie możemy ich rozsądzać, bo tyczą się faktów, których samiśmy nie sprawdzili. Wszystkie nasze sympatye są dla Polski, i chociażby po stronie Polaków były

błędy, których się zapierają, gotowibyśmy bardziéj im pobłażać niżeli rządom; im więcéj bowiem położenie pierwszych jest bolesne, tém więcéj na drugie wkłada powinności. Ale żeby w tych krwawych wypadkach, duch rewolucyjny zgoła nie działał, a znowuż katolicki rząd Austryi miał być na darmo tak podstępym i okrutnym, jak mówią, tego nie możemy przypuścić, pomimo głębokiego szacunku dla zacnego korespondenta naszego. Przyznawaliśmy od razu, że korespondent nasz za nadto oskarża Austryą. Zdaje nam się, że przed sądem rozprawiają się strony, a że historya wyroku jeszcze nie wydała. »

List brzmi jak następuje :

« PANIE,

» Jestem, wiadomo to panu, niemniéj jak książe Metternich «*jednym z najdawniejszych czytelników pańskich*» odczytałem téż przypomnienie rozmowy pańskiéj mianéj w grudniu 1849 z tym niegdyś kanclerzem Austryj, poświęcając jéj całą uwagę na jaką zasługuje. Świeży zgon tego męża stanu, sądzonego tak rozmaicie, a bez wątpienia «*głośnego*,» nadaje słowom jego zagrobowym cóś bardziéj jeszcze poważnego, cóś uroczystego. Zapomina się o tém, chociaż pan usiłujesz przypomnieć, kiedy były wyrzeczone owe wielu zdarzeń wyjaśnienia, przez które ks. Metternich spodziewa się « *rozpędzić w duszach prawych mylne pojęcia pochodzące z niewiadomości.*» Trudno stłumić w sobie przykre uczucie, jakie sprawia głos jakoby umierającego, w słowach, w których dobroduszność nie potrafi nigdy zakryć fałszu. Mógł ks. Metternich mówić panu, że był « *sprawiedliwym* » że «*w latach swoich*» i na wygnaniu «*uznaje za dobre co robił*» że gotów byłby «*to powtórzyć.*» Ale co powiedzieć o tych jego twierdzeniach, które darmoby chciano przypisać osłabieniu pamięci? Człowiek stanu, niepo-

zbawiony jeszcze istotnych władz umysłowych, możeż zapomnieć o traktacie, który sam podpisał, zwłaszcza gdy potém przez lat trzydzieści podkopując jego przepisy podstępem, zniszczył go nakoniec ciosem gwałtownym?...

« Domyślasz się Pan, że o traktacie dotyczącym Krakowa i o wcieleniu tego miasta wolnego do Austryi, chcę mówić.

« W dyplomatyczném uważaniu rzeczy — mówił » Panu ks. Metternich — była to sprawa najprostsza, » najsłuszniejsza, najczystsza (la plus correcte) w świe- » cie... Wyłudzono na uczuciach szlachetnych i nieco » przesadnych cesarza Alexandra tę kreacyą, albo raczéj » obietnicę téj kreacyi dziwnego państwa Krakowa... » Rzeczywiście, utworzono przez to jakieś niby miasto » święte polonizmu, przydatne tylko do żywienia w ło- » nie trzech państw raka spisków. Rząd austryacki » zniósł ten bezecny stan rzeczy. Żaden traktat nie za- » braniał mu tego. Nie było zgoła traktatu, nie było » ratyfikacyi; była tylko prosta obietnica, która mogła i » powinna być cofniętą, skoro utrzymanie jéj ukazało » się niebezpieczném, a spełnienie niepodobném. »

» Nie do nas należy sądzić słowa, czyny i nawet myśli tego, który tak przemawiał do Pana. Inna je waży szala i zaprawdę życzymy, by mu jego Sędzia był miłosiernym. Ale prawda wymaga przypomnienia faktów następnych, chociaż aż nadto znanych.

» Wiadomo, że Akt ogólny traktatu wiedeńskiego, podpisany 9 czerwca 1815, przez ośm głównych mocarstw Europy, zawiera treść wszystkich traktatów szczegółowych, podpisanych na tymże kongresie, i że nadto artykuły 10 i 118 stanowią, że traktaty te w liczbie siedemnastu « będą uważane za mające taką samą moc i ważność, jak gdyby były dosłownie zamieszczone w traktacie ogólnym. »

» Wiadomo też, że do liczby ich należy traktat za-

warty między Austryą, Prusami i Rossyą, stanowiący:

» Że miasto Kraków będzie miastem wolném, niepodległem i ściśle neutralném, pod protekcyą trzech mocarstw. » (Art. VI.);

» Że żadna siła zbrojna nie będzie mogła nigdy być tam wprowadzoną, pod jakimbądź pozorem. » (Art. IX.);

» Że Uniwersytet krakowski, założony w r. 1400, będzie utrzymany i wszelką swoję własność zachowa; że « wolno będzie mieszkańcom przyległych prowincyj polskich udawać się do niego na nauki. » (Art. X.);

» Że Okręg krakowski, będzie używał przywilejów wolnego miasta handlowego, jakich używa miasto Brody (w Galicyi).» (Art. X.) Warunek ten nabywał nieźmiernéj wagi przez postanowienie drugie (Art. XIV), zaręczające « wszystkim częściom dawnéj Polski, takiéj jaką była przed 1772 rokiem » wolność zupełną i wzajemną handlu i żeglugi. »

» Wszystko to jest, a przynajmniéj powinno być każdemu *dyplomatycznie* wiadome, bo jest częścią tego, co nie przestało być prawem publiczném, obowiązującém Europę. Traktat więc odnoszący się do Krakowa otrzymał ratyfikacyą wszystkich mocarstw zgromadzonych na Kongresie; a gdy późniéj trzy z pomiędzy nich zgodziły się obalić porządek ustawiony, inne, mianowicie Francya i Anglia, protestowały najuroczyściéj. Wcielenie więc Krakowa do Austryi pozostaje zawsze niczém więcéj jak tylko faktem przeciwnym prawu.

» Ale co jest mniéj wiadomém, i co w zeznaniach pana Metternicha ma swoję stronę nauczającą, to że Austrya postanowiła z góry, nie brać na seryo własnego podpisu, a utrzymywać że « *traktatu zgoła nie było* » ale była tylko « *obietnica* » i to obietnica « *zaawanturowana* » która w interesie *ludzkości* (!) mogła i powinna była być cofniętą. »

» To postanowienie ks. Metternicha, to jest « cofnąć » co « obiecano, » zniszczyć Wolne Miasto, któremu za-

pewniono protekcyą, — to uczuł aż nadto Kraków od samego wejścia w nowy stan dla niego utworzony. Niezliczone zamachy były czynione na jego samoistność i niepodległość. Neutralność jego gwałciły wkroczenia wojsk to rossyjskich, to austryackich w r. 1831 i 1836.

» W Parlamencie Wielkiéj Brytanii i w Izbach Francyi wymowne słowa odezwały się przeciwko temu naruszeniu traktatów 1815. Obadwa zgromadzenia zaleciły utworzyć w Krakowie konsulaty, angielski i francuzki, żeby ratować zagrożone w swym bycie państwo. Wszystko było daremne. Trzy mocarstwa północne postanowiły zagładę « świętego miasta polonizmu. » Zmowne ich parcie było takie, że dwa państwa zachodnie wolały ustąpić, poprzestając na przyrzeczeniu szanowania traktatów — tychże traktatów, które, jak ks. Metternich utrzymywał w rozmowie dających nową sankcyą układom 1815, trzy mocarstwa, nadewszystko zaś Austrya z przyzwoleniem dwóch innych, zastawiały wciąż na wolne miasto Kraków jedne po drugich sidła, mające widocznie na celu uwikłać je w trudności i potém z nich skorzystać.

» Ale nie wystarczało znieść i wcielić Krakowa, jak to uczyniono w r. 1846; zamierzono jednocześnie i za tymże zamachem uderzyć w « polonizm » przyległéj Galicyi. W ciągu 1845, policya austryacka nagle poczęła okazywać się w całéj Galicyi dziwnie pobłażliwą dla osób rozsiewających myśl powstania. W Krakowie, gdzie one miały jedno ze swoich stanowisk, policya oddawna była w ręku Austryi. Rząd wolnego miasta, sam nie mając mocy do działania, znajdował policyą austryacką zawsze głuchą na ostrzeżenia. Stała się ona tak łagodną i ojcowską, że na sześć miesięcy przed wybuchem lutowym 1846, przestrach cały kraj ogarnął. Każdy mówił : « Rząd niemoże niewiedzieć o zamiarach, których tajemnica wszystkim znajoma; jeżeli więc patrzy na nie przez szpary, widać że chce wybuchu. » Tak wniosko-

wali właściciele ziemscy, i widzieliśmy wielu z nich przybywających z rodzinami do Paryża, dla schronienia się przed blizką widocznie katastrofą. Chłopi galicyjscy ze swojéj strony, niemniejszą niepokojeni byli obawą, obudzoną przez agentów administracyi. Mówiono im, że szlachta, sprzykrzywszy sobie opiekowanie się Cesarza włościanami, umyśliła ich wymordować i uczyni to za pomocą rewolucyonistów przybyłych z zagranicy. W wielu miejscach ludność wiejska wynosiła się na noc do lasów. Ludność ta zresztą oddawna podburzaną była przez machiawelizm austryacki. Od zajęcia Galicyi, administracya austryacka usiłowała ciągle i wręcz stawić ubogich przeciwko bogatym, włościan przeciwko właścicielom. Włościanie ogłoszeni zostali za *wiecznie małoletnich*, i rząd wziął ich pod opiekę z urzędu. Jeżeli więc wielu właścicieli, jak powiada p. Metternich, dało powód włościanom do użalania się na nich, obwiniać o to należy nie kogo innego tylko administracyą, któréj nicby nie przeszkodziło, gdyby szczerze chciała, istotne ludowi przynieść dobrodziejstwa. Ale Austryi właśnie tego było potrzeba, żeby chłopi czuli się udręczeni i rozdrażnieni. Potrzeba jéj było broni nabitéj przeciwko właścicielom. Austryi znane są te drogi, to jéj tradycye odwieczne. We wszystkich czasach widziano ją chwytającą się tego *instrumentum regni*... W XVII wieku w Czechach, późniéj wielekroć w Węgrzech, w Siedmiogrodzie, w Galicyi, administracya austryacka używała tych samych sposobów i tych samych pogróżek. W Lombardyi, nie zbywało jéj na dobréj woli. W depeszy z 2 kwietnia 1848, lord Ponsomby ambasador angielski w Wiedniu, donosząc o swojéj rozmowie z panem Fiquelmont ministrem spraw zagranicznych Austryi, przytacza te jego słowa: « Austrya może każdéj godziny poruszyć chłopów lombardzkich przeciwko ich panom i łatwo wywołać ruinę i zagładę malkontentów...

» W Galicyi, na długi jeszcze czas przed rzezią 1846 r.,

za najmniejszą oznaką niecierpliwości mieszkańców powtarzano zawsze tę samą groźbę : « Strzeżcie się — mó» wili wyżsi urzędnicy administracyi : — popuszczeniem » cugli waszym chłopom na dni kilka, zapewnimy sobie » panowanie na wiek cały. » Baron Krieg, gubernator cywilny Galicyi, lubił szczególniéj z tém się odzywać; wprawdzie był to jego sposób żartowania!

» Miałże więc ks. Metternich prawo upewniać Pana, że « ten pożar, ta hajdamaczyzna, zaskoczyły rząd zupełnie niespodziewanie. » « Trzeba było, powiada on, użyć wybiegu, naznaczyć nagrodę za każdego szlachcica dostawionego żywcem do więzienia; bo był to jedyny sposób ochronienia ich od śmierci. » Wobec grobu zaledwie zamkniętego, zadanie kłamu, jak to Pan pojmiesz łatwo, nie rzuca się lekko. Ale na takie twierdzenie otwierają się inne groby : liczne ofiary *czyste przed Bogiem*, chcą pozostać czystemi i przed historyą!...

» Co jest prawdą, to to, że urzędnicy obwodu tarnowskiego, gdzie rzeź miała miejsce, płacili DWA RAZY TYLE ZA TRUPA, co za przywiezionego żywcem. Żeby ułatwić rzecz, dawali nawet 10 złotych nagrody za dwoje rąk odciętych równie jak za całe ciało.

« Administracya austryacka nie ograniczała się na » mówieniu, jak ks. Metternich Panu, że « właściciele » galicyjscy dali zbyt wiele powodów włościanom do » użalania się na nich. » Nie poprzestała na dodatku że » chłopi byli poduszczeni przez konspiratorów, socyali» stów. » Nie wzdrygała się głosić że najznakomitsi ludzie w emigracyi polskiéj, i sam książe Czatoryski, wzięli czynny udział w powstaniu. Posunęła się aż do przypisania im fałszywych proklamacyj, drukowanych jakoby autentyczne w urzędowém piśmie, wyszłém wkrótce potém z kancelaryi wiedeńskiéj.

» Bo rzeczywiście, wieść o rzezi przejęła świat cały taką zgrozą, iż potrzeba było wmówić, że rzeź ta uratowała monarchią od największego niebezpieczeństwa;

trzeba było cóś odpowiedzieć zarzucającym, że policya austryacka sama popchnęła garść nędzników do zagłady w jednym obwodzie, w przeciągu dni czterech, półtora tysiąca niewinnych ofiar.

» Niestety! Panie, dla każdego co ma wstręt do rewolucyonistów i wie i zna ile złego czynią sprawie, któréj mniemają służyć, ciężko patrzyć na władzę jakąkolwiek, kiedy ta władza staje się stokroć winniejszą niżeli najzapamiętalsi rewolucyoniści, kiedy dostarcza im najstraszniejszéj broni przeciwko saméj zasadzie władzy. Bo to pewna, że gdy rząd staje się socyalistą, siła w jego ręku złożona nadaje złemu doniosłość, jakiéj szczęściem nie mogą dosięgnąć marzenia sektarzy.

» Pozwalam sobie jako Polak, przedstawić Panu niniejsze uwagi. Nie będę mówił com czuł, czytając wyrazy pańskiéj relacyi niedotyczące Polski. Byłoby zbytecznêm podnosić, co ks. Metternich mówił Panu o jakimś «*polonizmie.*» W każdém społeczeństwie, w każdéj sprawie jest miejsce dla «*ducha zawichrzeń*, *bezwiary, bezprawia;*» ale Polska — nie lękam się tego powiedzieć, a śmiem spodziewać się przynajmniéj — może skutkiem swoich nieszczęść i przymiotów, które p. Metternich przed panem raczył jéj przyznawać, mniéj może od innych narodów dotknięta jest tą plagą. Jé patryotyzm nie jest « wściekłością, » nie jest «pychą; » nierozdzielny jest od wiary która go oświeca i oczyszcza, nierozłączny od wierności Kościołowi, dla któréj ponosi nieustanne prześladowania. Cechą jego : poświęcenie — czego dowodem, że umie czekać. »

ŻYWOT NIEMCEWICZA.

PRZEZ X. A. CZARTORYSKIEGO.

---

23 lipca.

Jeśli prawda, że świat moralny, podobnież jak świat fizyczny, ma swoję meteorologią, i że w tamtym, jak w tym, pewne zjawiska są zarazem i zapowiedziami: moglibyśmy to za dobrą uważać wróżbę, za szczęśliwą *signatura temporum*, że od pewnego czasu myśl narodu tak często się zwraca do Niemcewicza i z tak powszechném uznaniem wita wszystko, co przypomina autora *Spiewów Historycznych* i *Dziejów Zygmunta III.* Głośne to niegdyś, ale późniéj innémi — nietylko imionami, lecz i kierunkami — długo zagłuszone imię, znowu się od lat kilku rozlega na polu pismiennictwa i zdaje się niejako powtórne swe, w miłości i wziętości ziomków, święcić odrodzenie. «*Starzy pisarze*» z Wielkopolski w roskoszny i ujmujący sposób kreślą nam obraz téj moralnéj dyktatury, którą Niemcewicz wywierał niegdyś wśród wyższego społeczeństwa Warszawy, i mimowolny żal budzą, że w zwodniczéj naszéj stolicy, w grodzie pyszniącym się obecnie z godła *Syreny*, nie ma już takiego płoszyciela płochości, takiego stróża narodowéj godności, jakim był ów «straszny Ursyn.» Czasopisma

krajowe skrzętnie wyszukują i skwapliwie zamieszczają różne twory tego płodnego dowcipu; a z tych niektóre (jak «*Moszkopolis,*» «*Mniemana sierota,*» i t. p.), acz z tyloletniego, z tylo dziesięcioletniego nawet wydobyte kurzu, mają czasem charakter dziwnéj aktualności i zdają się być dziełem jakiejś pogrobowéj, jeśli tak wyrazić się wolno, humorystyki. Ogłoszone niedawno w Paryżu «*Podróże historyczne*» tego wielkiego naszego wędrowca i tułacza, znalazły również przyjęcie i rozpowszechnienie w kraju, jakich sobie obiecywać nie śmieli wydawcy. — Ani talent pisarza, ani rozbudzona żądza czytania nie zdają się nam dostatecznie tłómaczyć takiego powodzenia, i nie sądzimy być w błędzie, jeśli temu zjawisku głębszą i zacniejszą naznaczamy przyczynę, jeśli jéj szukamy w tém, co główną i rdzenną wartość Niemcewicza stanowi: w téj obywatelskiéj gorliwości, w tém publiczném i patryotyczném uczuciu, które odznaczały każden krok jego tak długiego żywota, każden płód jego tak płodnego pióra. Przesycona bezmyślną belletrystyką i bezdusznym artyzmem, publiczność nasza pragnie widocznie pokarmu zdrowszego i pożywniejszego, wygląda dzieł poważniejszych i bardziéj potrzebom narodowym odpowiadających: i instynktowo wdzięczném wspomnieniem i sercem sięga do autora, który ani belletrystą ani artystą, ale wielkim był pisarzem-obywatelem, który od kolebki aż do grobu dla jednéj oddychał, dla jednéj cierpiał, dla jednéj wciąż pracował myśli, który nic polskiego sobie obcém a nic obcego nigdy polskiém nie miał, którego pisma były tak pełne prawdziwego życia, a życie tak pełne prawdziwych czynów! A w takim razie, nie może przyjść w stosowniejszą, jak obecnie porę dzieło, które obejmując wszystkie szczegóły tego tak pełnego żywota, przebiegając długie pasmo lat i kolei tak bogatych w wytrwałe trudy a trwałe nauki, stawia przed oczy narodu obraz Niemcewicza w jego naturalnéj wielkości, w całém

otoczeniu historycznych zdarzeń i przemian, które się na ukształcenie téj znaczącéj osobistości składały. Mieliśmy sposobność przebiedz kilkanaście odbitych arkuszy téj biografii Niemcewicza, przez xięcia Czartoryskiego napisanéj, a wkrótce na widok publiczny wyjść mającéj; i nie możemy się oprzeć pokusie wypowiedzenia myśli i uczuć, które nam się nasunęły wobec téj szlachetnéj postaci Ursyna, tak poważném wywołanéj zaklęciem.

Historya zna imiona, które są legionami, zna i takie, które są wiekami: a do rzędu tych ostatnich należy imię Niemcewicza. Razem z tém nazwiskiem stają w pamięci wszystkie nasze żale i cierpienia od całego blizko stólecia, wszystkie nasze nadzieje i zawody, wszystkie rajskie widzenia i męki czyscowe, począwszy od Konfederacyi Barskiéj i przez następne walki i klęski, aż do obecnego tułactwa polskich synów na obcéj ziemi. Tych usiłowań całego prawie wieku był Niemcewicz nietylko widzem i świadkiem, ale najtrwalszym uczestnikiem i najwierniejszą ofiarą. Posłem inflantskim na Sejmie Czteroletnim, należał on do wyborowego zastępu tych wielkomyślnych i wielkodusznych mężów, co świetną budowę rządu i wolności wznosili w bezrządnéj i swawolnéj Polsce, i był jednym z najgorliwszych promotorów, obrońców i rzeczników tych zbawiennych reform, które niezatartą 3go Maja noszą nazwę w dziejach. Dwa lata późniéj, jako adjutant Kościuszki, walczy on zaszczytnie na maciejowickich polach, i okryty ranami dostaje się w niewolę moskiewską. Jeniec i więzień, przesiaduje « ciemne nieskończoności » w kreposti petersburskiéj; znosi katusze, o których srogości najbliżsi nawet przyjaciele domyśleć się mogli tylko — po jego uporném milczeniu, a wypuszczony z tych lochów zgrozy i nocy musi za daleki Ocean szukać schronienia i własnemi rękoma uprawiać ziemię w Ameryce, by z godnością spożywać gorzki chléb tułacza. Na odgłos zwycięzkich

pochodów Napoleona, znowu wraca do ojczyzny, znowu czynny, wszechstronny, niezmordowany bierze udział w narodowych trudach; zajmuje się publiczną edukacyą i uzbrojeniem kraju, objeżdża wszystkie dostępne części Polski by wołać do życia, zapalać do działania : służy poczciwéj wierze jak może — a mógł tak wiele! Za konstytucyjnego królestwa następnie, bez żadnego publicznego już charakteru, staje on się dyktatorem opinii publicznéj w stolicy, doradzcą wszystkich rozpraw i kroków sejmu, stróżem ducha polskiego na każdém stanowisku i przy każdém zdarzeniu i przed « strasznym Ursynem » drżą wówczas salonowe matrony i przedpokojowe gawrony. Powstanie listopadowe powołuje go napowrót do urzędowych czynności i jako politycznego agenta wysyła do Anglii. Trzeba czytać ten (nieogłoszony dotąd) dziennik, który z téj epoki zostawił, aby się przekonać, co może ludzka wola, gdy na wielkiéj oparta jest myśli, aby się ukorzyć przed duszą tak silną i nieugiętą w ciele tak słabém i złamaném! Siedmdziesięcioletni już starzec, schorzały, tylą mozołów i zawodów znękany, znajduje on w sobie prawdziwie młodzieńczą rzezkość i rzutkość, tę samę prawie gorliwość i skrzętność co przed półwiekiem, w czasie Wielkiego Sejmu, by budzić interes dla sprawy, współczucie dla jéj losów, pomoc dla jéj ofiar. Upadek powstania kładzie koniec jego missyi i czyni go znowu tułaczem — po raz trzeci i po raz ostatni. Ale i w tém trzeciém, a najdłuższém i najsmutniejszém tułactwie, Niemcewicz nie robi sobie z laurów węzgłowia, i wciąż służy sprawie « chociaż bez munduru. » Można było broń wytrącić z téj ręki, ale sztandar trzymała ona silnie i wiernie aż do ostatniéj chwili. Sumiennie i gorliwie należał do wszystkich poważnych emigracyjnych robót, we wszystkich rozsądnych i zacnych usiłowaniach brał udział do zgonu: *cum dignitate* rozumiał tylko *negotium*, a spocząć, obiecywał sobie dopiero w Bogu—chociaż nie ręczył, aby i na tam-

tym świecie trochę za Polskę nie « agitował : » jak się podobno wyraził kiedyś pod natchnieniem tego Momusa, który tak familijnym jego był bożkiem. Bo i to jest niemałą a charakterystyczną cechą na wskróś zdrowéj i jędrnéj natury Niemcewicza, że do ostatniéj chwili życia zachował tę swobodę duszy, ten humor łagodny i pogodny, ten ambrozyjny uśmiech, który olimpijskim jest udziałem każdéj prawdziwéj nieśmiertelności; że mimo tylu doznanych gromów i sromów, w żadne się jednak nie oblekał chmury, i prostéj swéj szaty w hieratyczne nie układał fałdy; że mąż który tylu rówienników przeszedł zasługą, poświęceniem, męczeństwem, do żadnych się jednak nie równał półbogów, nawet w żaden poczet nie zaliczył się bohatérów. Raz tylko jeden, jeśli się nie mylimy, i żartem nazwał się polskim Ulissem; — i zaprawdę, jak syn Laerta był téż i nasz Ursyn « pełen przebiegów i sposobów » — *polymechanos* w najpiękniejszém tego wyrazu znaczeniu; jak on, wielu ludów widział grody i zaznał obyczaje; jak on, wiele wycierpiał na morzu i lądzie, walcząc o powrót przyjaciół; jak on, wciąż wzdychał do swoich i pozostał wierny wspomnieniom Itaki, tak dobrze w polyfemowéj norze kreposti, jak wśród industryjnych Feaków Ameryki... tylko — że inszy, niż Ulissa, czekał go koniec wędrówki; tylko, że jego ojczyznę wciąż dzierżą najezdniki, i że kości jego obca kryje ziemia!...

Ledwieśmy kilka lekkich dopiero nakreślili rysów téj ujmującéj postaci — i już obraz zdaje się pełny, nawet przepełniony. A wszakże, nie dotknęliśmy jeszcze wcale najgłówniejszéj strony tego wszechstronnego żywota: nie wspomnieliśmy całego ogromu prac, podjętych i dokonanych w sferze zupełnie innéj, acz w téj saméj wciąż myśli i wierze. Ten mówca i prawodawca, ten żołnierz i więzień, ten wysoki urzędnik i tułacz, był jeszcze przy tém wszystkiém, był *przede*wszystkiém pisarzem, i pisarzem zdumiewającym zarówno jednością

i stałością kierunku i dążenia, jak różnorodnością i obfitością pomysłów i płodów. Niemcewicz nie prawił o swém literackiém «kapłaństwie,» jak to teraz rozprawiać jest w modzie i jak to ci przedewszystkiém robią, co żadnego nie odebrali święcenia, żadnych nawet nie poczynili ślubów; on w literackich swych zajęciach widział tylko skromnie zawód — ale zawód publiczny, w którym nie wolno samolubnie rozkoszować, w którym nie godzi się szukać osobistych widoków, w którym nawet poczciwa chęć sławy jest rzeczą zupełnie podrzędną, a głównym, a jedynym rzec można celem: dobro rodaków, ich oświecenie, ich upomnienie, ich naprawa i podniesienie. On, który o swych przyjaciołach i znajomych tak dobrze pamięta, nie wspomina nigdzie o tych, co autorskim jego zaletom oddawali hołdy lub pochwały; on, który tak raźny zawsze był do pióra i druku, nie napisał ni razu ani jednego wiersza w jakimbądź literackim sporze. Myśl obywatelska, myśl patryotycznego i moralnego dźwigania kraju, była *idea genitrix* wszystkich dzieci jego ducha: co tylko z tą myślą związku nie miało, zostało mu na zawsze obcém i wstrętném a z nią znowu w związek wprowadzał wszystko, co *per fas*, a czasem i *nefas*, wprowadzić się tylko dało. Z wyjątkiem jednéj filozofii, któréj nie lubił, o któréj mawiał że polskie głowy «kantuje,» nie było dziedziny humanitarnego wykształcenia, któréjby w tym celu nie zwiedzał; w każdym rodzaju piśmiennictwa doświadczał sił swoich: w niejednym pierwsze dał u nas dopiero hasło. On pierwszy u nas wprowadził komedyą polityczną i dramat dziejowy, jak również pierwszy, w «*Gażecie Narodowéj* i *Obcéj*» dał początek prawdziwego i poważnego dziennikarstwa. On pierwszy u nas uczynił próbę historycznego romansu i obyczajowéj powieści, jak również pierwszy (w *Siecie-cach*) dał przykład tego artystycznego zestawienia żupana i fraka, wąsów i peruki, staréj i nowéj epoki, które

dotąd jeszcze takiego u nas używa powodzenia i prawdziwą nas gawędziarską zalewa powodzią. Niemcewicz nie był ani geniuszem, ani poetą, ani historykiem : on był tylko publicystą — ale publicystą w rozumieniu najwyższém i najuniwersalniejszém; w tém publiczném uczuciu pisał tak dobrze pamflety jak historyą, dramata jak bajki, romanse jak dumy : i w tém uczuciu powinien go sądzić każden, co sam sądzonym być nie chce. Jakaż to naiwność np. pytać się o estetyczną wartość jego *Śpiewów historycznych*, i żałować może w nich braku pewnych artystycznych przymiotów! Cudowne obrazy, powiedział Goethe, są zazwyczaj miernemi malowidłami: a podobnież i *Śpiewy historyczne* mogły być mierną poezyą — ale dokazały cudów! Bo zapoznały całą generacyą z szeregiem dawnych królów i bohaterów; bo cała młodzież szkolna powtarzała śmierć Zawiszy Czarnego, a dumę o hetmanie Żołkiewskim nóciły nawet te panie wielkich domów, które przedtém żadnéj polskiéj nie zaznały pieśni. Jakaż to także pod pewnym względem niewyrozumiałość, chcieć się użalać na nieścisłość danych, na niezszytość dokumentów, na niektóre nawet a umyślne opuszczenia lub interpelacye w tych historycznych materyałach, które p. t. «*Pamiętniki*» wydawał Niemcewicz! Jak gdyby jemu wistocie chodziło było o współubieganie się z kongregacyą Ś. Maura i o dostarczanie suplementów do *Art de vérifier les dates!* Chodziło mu o to, aby mimo moskiewskiego ujarzmienia i na przekor Szaniawskiemu pokazać rodakom, dorastającemu mianowicie pokoleniu, że ich ojczyzna była niegdyś wielką i potężną, że do niéj świetne i liczne wysyłano ambasady i rozległe i bogate jéj ofiarowano kraje; że Batory tak prawie traktował groźnego Iwana, jak on, Ursyn, swego Fedka w Eklodzie; że przed tronem polskiego króla stały niegdyś Cary w kajdanach i że Moskwa ślubowała wierność i poddaństwo królewiczowi Władysławowi: na téj nauce zaprzestał, o «gruntowniej-

széj» nie myśląc, a na marszczenia się Kliony odpowiadał z bolesnym uśmiechem : *civis Polonus sum*... Dla téj saméj nauki i w tym samym obywatelskim duchu napisał także najobszerniejszą i najmozolniejszą swą historyczną kompozycyą, to «*Panowanie Zygmunta III,*» które, bądź co bądź, dotąd jeszcze jest jedyną książką, jaką dać można w ręce naszéj młodzieży, jeśli ją ojczystémi dziejami nie nudzić i męczyć, ale zająć, zachwycić i zapalić myślemy, jeśli chcemy w niéj wskrzesić wspomnienia dawnéj wielkości i chwały, i serce i wyobraźnią zapełnić uczuciami i wizerunkami, nazawsze trwałémi, do grobu drogiémi. Ci, którzy w tym utworze wytykają błędy i braki, którzy znajdują, że w nim tak wiele o Moskwie i Rokoszu, a tak mało o wielu innych równie ważnych sprawach : ci zapominają o celu publicznym, w jakim był ułożony; ci powinniby byli i o tém pamiętać, jaki tu piękny dał Niemcewicz przykład uiszczenia się z uczynionéj obietnicy, gorliwego wypełnienia przyjętego raz zlecenia. Gdy Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie, z tą bezpłodną szumnością która zdaje się być fatalnym przymiotem wszystkich prawie uczonych towarzystw, rozdzieliło między swoich członków trud opisywania pojedyńczych panowań naszych królów : jeden się tylko znalazł, co to zadanie wziął na seryo i prędko i skutecznie się wywiązał z włożonéj na się pracy — a tym jednym, był właśnie autor *Dziejów Zygmunta III*. Bo i do jakiéjże pracy zabrakło temu mężowi kiedykolwiek czasu i ochoty; bo i jakąż on kiedykolwiek puścił mimo sposobność, gdy można było w czemś się przysłużyć krajowi, stać się użytecznym rodakom; bo i jakąż, gdziebądź i kiedybądź, przydatną uronił chwilę : i choćby to była chwila « między dwunastą a południem, » między błyskiem a gromem!... Na samym wstępie swego publicznego życia, na tym Sejmie Czteroletnim, gdzie elaboracya projektów do praw, intrygi partyj, narady patryotów tyle go już absorbowały, zajął

jednak równocześnie i odrazu wszystkie główne punkta, z których można było działać na opinią publiczną, wszystkie dominującye pozycye wielkiego bojowego placu : i trybunę, i scenę, i dziennikarską prasę; a przy tém wszystkiém znajdował jeszcze i siłę i swobodę, by podjazdowo, ostremi i *stante pede* puszczonemi w obieg bajkami, szarpać podstępnych a jeszcze wówczas pod maską gorliwych patryotów kryjących się wichrzycieli, Branickiego mianowicie i jego niecną spółkę « krety utajone, którym Bóg nawet nie użyczył wzroku, a które ziemię, ledwie prostować się zaczynającą, jęły ryć wkoło i toczyć i psować. » Gdy, dzięki tym « kretom » i złości sąsiadów i niedbałości własnych mieszkańców, runęła budowa dopieroco z takim zapałem i mozołem wzniesiona, gdy zwycięzka Targowica wygnała go z ojczyzny : zaledwie stanął w Wiedniu, już kraj zarzucał palącémi pamfletami przeciwko hersztom matkobójczego związku, temi « *Księgami Szczęsnowemi* » szczególniéj, które, powiedzmy też nawiasem, pierwszym w naszéj literaturze są przykładem owego stylu biblijnego tak późniéj wysoko podniesionego, ale też potém i tak nadużywanego. « W wilią bitwy maciejowickiéj — opowiada nam biograf, który zarazem był i naocznym świadkiem — Niemcewicz podczas kolacyi w głównéj kwaterze, znajduje między potłuczonémi sprzętami reszty rękopismu starego, który był uszedł grabieży moskiewskiéj, zapewne z archiwum Zamoyskich, i opisujący elekcyą Augusta II. Czytanie tego manuskryptu cieszy go, zajmuje, śmieszy, jak gdyby go czytał spokojnie zebranym damom i literatom w Warszawie. Nazajutrz następuje pamiętna bitwa : w niéj Niemcewicz dzieli mężnie wszystkie koleje wodza swego... » W kreposti, długo pozbawiony książek i pióra, dostaje naraz w ręce Atalią — i wnet się zabiera do całkowitego jéj przekładu rymem « w chęci pokazania, że polski język jest zdolny oddać *czułość* mowy Rasyna : » o czemś podobném był w stanie my-

ślec ten biedny więzień, który wówczas, koniec swego życia mógł tylko przewidywać w podziemnym lochu! Późniéj — i o tym samym czasie, gdy «*Listami Litewskiemi*» naród podniecał, zapalał — lustrując z polecenia rządu szkoły publiczne i kraj objeżdżając, zabiera z sobą «do wózka» różne kroniki i pomocnicze dzieła, staje w każdém miasteczku i ogląda jego kościoły, pomniki, archiwa, porównywa stan obecny z dawnym, i tak układa swe «*Podróże historyczne po polskich ziemiach.*» Ustępującą falą Napoleońskiéj powodzi znów zapędzony do Drezna, wytrzymuje tu oblężenie, wśród kul wpadających do jego mieszkania, w niedostatku, w głodzie, w malignie, w srogiéj niepewności o swój los i ojczyzny: korzysta wszakże z pobytu dobrych rytowników w tém mieście, by właśnie teraz sporządzić — sztychy do swych *Śpiewów Historycznych!* I tak późniéj, jako agent rządu narodowego w Anglii, wśród ciągłych zabiegów i kołatań do ministrów, członków parlamentu, publicystów, wśród audyencyj i meetingów, wśród rozdzierających wieści z kraju i boleśnych zawodów w swych dyplomatycznych staraniach, znajdzie jednak czas, by raz po raz «wpaść» do *British Museum* lub innego zbioru, i poszukać tam polskich zabytków, książek, rękopisów... I niechaj nikt nie sądzi, że ten czujny zmysł dla polskich rzeczy miał Niemcewicz na polu tylko historyi lub literatury; że go pociągało tylko co pięknem i sławném, co miłém i świetném! Trzeba czytać jego «Podróże historyczne —» trzeba widzieć, jak lustrator szkół żadnéj polskiéj nie omija fabryki, w głąb' niejednéj się spuszcza kopalni, o materyalny byt włościan, o cła i warunki miejscowe handlu i przemysłu wszędy się wypytuje, od urzędników względem możebnych ulepszeń w naszych hutach, ludwisarniach i t. p. skwapliwie zbiera noty — aby się przekonać, jakim to trzezwym i obywatelskim wzrokiem ten mąż patrzał na sprawy życia, jak dobrze rozumiał wartość i ważność

wszystkiego, co siłę, potęgę i środki kraju stanowi, wszystkiego, co w organiczny skład prawdziwego wchodzi państwa, i jak dalekim był od tego bezmyślnego « rzeczy poziomych i materyalnych kwestyj » lekceważenia, jakie u nas tak często cechuje rzekomych ludzi myśli i ducha! Nie było pracy i siły krajowéj, któréjby Niemcewicz nie rozumiał, nie kochał i nie szanował; jak nie było miejsca jakbądź niedogodnego, czasu jakbądź krytycznego i rozpaczliwego, w którymby przypuszczał zupełną niemożność służenia sprawie w czémkolwiek...

A wszakże, w téj ciągłéj i niezmordowanéj służbie, w tym nieustannym i mozolnym, każdodziennym i każdochwilowym trudzie, brakowało Niemcewiczowi nawet i téj podniety, któréj jedynie zdaje się być daném stworzyć podobny cud stałości i wytrwałości, brakowało nawet i tego bodźca, bez którego n a m, miernym i marnym, tak niepodobném się wydaje i najmniejsze choćby wysilenie: Niemcewicz nie myślał, aby kiedyś dożył owocu swojéj znojnéj pracy, nie przypuszczał, aby się kiedyś doczekał zwycięztwa w téj tak długiéj i krwawéj walce... Nadzieja!... ta urocza gwiazda raz mu tylko jeden zaświeciła w życiu, za czasów Sejmu Wielkiego; a potem zgasła, i odtąd pozostał mu tylko szary horyzont obowiązków. Odtąd, powiada nam jego dostojny biograf « wierzył wprawdzie w przyszłość Polski, wierzył, że po doznanéj raz za dni Maja i straconéj porze wielkiego szczęścia, przyjdzie znowu kiedyś dla Polski koléj pomyślności, koléj odwetu i sprawiedliwości; ale sądził, że to będzie wypadkiem innych już wieków, których my nie zobaczym».... w blizkiéj przed sobą przyszłości objawiały mu się « same klęski, których nie przewidywał końca, i które, przeczuwał, że dłużej trwać miały, niż jego własne życie!»... Podobnie do innego wielkiego tułacza i pisarza, a jeszcze w młodszych od niego latach,

jeszcze przed owém « *mezzo del cammin di vita* » czytał był Niemcewicz straszny napis nieubłaganego losu : « *lasciate ogni speranza* »... a jednak szedł daléj, daléj a daléj, tą samą wciąż drogą, bez chwili wahania, bez chwili nawet wytchnienia! Miał wiarę w świętość i nieśmiertelność swéj sprawy; miał miłość dla wszystkich jéj obowiązków, trudów i cierpień — ale nadziei dawno już nie miał : téj egoistycznéj, nizkiéj a jednak tak nam potrzebnéj nadziei, która wygląda wieczornéj zapłaty po dniu upalenia i myśli zbierać gdzie siała... I jakimże dodatnim rysem do wielkości tego obrazu jest ta jego właśnie ujemność! Jakież to szczytne praktykowanie, i w jedynie prawdziwém, jedynie godném, jedynie chrześciańskiém rozumieniu, *téj* rezygnacyi, o któréj bezrozumne lub bezsumienne a zawsze fałszywe i chrapliwe tu i owdzie u nas się teraz odzywają głosy? I jakież to przedewszystkiem upomnienie, och, i jakież to zawstydzenie dla nas : dla nas, co prawie nie rozumiemy nakładu dla rzeczy publicznéj bez widocznych i bezpośrednich rezultatów, dla nas, co z każdéj patryotycznéj akcyi chcemy mieć w ręku kupony, dla nas, co w najdrobniejszych, najzwyczajniejszych a najpilniejszych robotach tak często i z tak spokojném ustawamy sumieniem — dlatego « że się nic w świecie nie dzieje » i że znikąd nie widne nadzieje!...

Literatura ojczysta obecnego stulecia na niejednego może wskazać pisarza, który znaczącym był wyrazem epoki, który w jednéj z narodem chadzał cierniów koronie, i z jednych trucizn piekielnego zdroja pił razem z Polską, przez ciąg bytu swego. Ale żadnéj może z tych postaci rozważanie i rozpamiętywanie nie zostawia w duszy takiego krzepiącego spokoju, takiéj smętnéj otuchy, jak Niemcewicza... Bo posąg to jakby z jednego czystego odlewu; bo nie widać tu ani jednego szczerbu ni szczeliny, bo nie dojrzeć i śladu upadku lub rozpadu, ni znaku chwilowego obłędu lub zabaczenia, targania

się lub roztargnienia : bo wszystko tu stałém i stalistém, hartowném a nigdy hardém lub rozpękaném.... Nie brak zaprawdę na dramatyczności w tém życiu; jak w klasycznéj tragedyi, jest tu i fatum i walka, perypetya i katastrofa, jest zgroza, jest litość i płacz i szlochanie; ale jak klasyczna tragedya, ma ten żywot, zarazem nieprzerwaną nigdzie jedność akcyi i myśli, normalny i stopniowy rozwój charakteru, poważną i organiczną spojność i całość : i też jak ona, mimo wszystkich wzruszeń i wstrząśnień, sprawia w widzu ostatecznie jakieś dziwne ukojenie, jakieś harmonijne złagodzenie, to « zadowolnienie i oczyszczenie, » o którém mówi nieśmiertelny prawodawca tragedyi — przedewszystkiém zaś szczytną moralną zostawia naukę.... A podobne też wrażenie wynieśliśmy i z dzieła, które wielkiemu temu przedmiotowi poświęcił xiąże Czartoryski. Dzięki łaskawéj uprzejmości, możemy już teraz, wyjątkiem z tego dzieła ozdobić nasz dziennik i przysłużyć się naszym czytelnikom. Kładziemy ten ustęp, który opisuje epokę Czteroletniego Sejmu — jedyną epokę nadziei w długiém życiu Niemcewicza. Jakkolwiek dawno już ubiegłych sięgająca czasów, rzecz ta jeszcze teraz — i teraz bardziéj może niż kiedykolwiek — jest zupełnie na czasie, i zaprawdę także i na miejscu w czasopismie polskiém i tułaczém :

« Sejm czworoletni jest epoką, w ciągu wielu wieków podobno jedyną, w któréj naród polski pokazał się zgodnym i jednomyślnym. A co więcéj, ta jednomyślność nie przestała dotąd okazywać się w sercach i zdaniach polskich względem ostatniego prawomocnego wyroku niepodległéj ojczyzny. Jego dzieło musiało mieć szczególne w oczach narodu zalety, być otoczone nieskażonemi cnotami, mieć podstawę swoję w samych wnętrzach kraju, kiedy nieszczęścia natychmiast nastałe nie podniosły nań powszechnego oburzenia i krzyku nagany,

kiedy okropne klęski, i cios śmiertelny, zadany Ojczyznie, i zmazane imię, gwałty nieustanne, a nawet krótkie pobłyski mylnego szczęścia nie potrafiły nadwerężyć owéj przed samą zagładą utworzonéj jedności przekonań i przywiązania całego narodu dla swéj ostatecznéj swobodnéj woli. Na jéj wspomnienie dusze polskie ożywiają się jeszcze rodzinném wzruszeniem, nietylko za to, co uczyniła, ale także za to, co zamyślała uczynić; chlubią się nieraz pochwałą jéj oddaną od wielu znakomitych ludzi we wszystkich oświeconych Europy krajach. Sejm czworoletni, mimo rozdziału stronnictw i napływu różnorodnych teoryj, nie przestał być u nas powszechnie czczoną, popularną i wszystkim Polakom drogą pamiątką.

» W ostatnich jednak latach, dały się słyszeć, i w kraju i w emigracyi, niemałego znaczenia głosy, czyniące ważne zarzuty czworoletniemu sejmowi, nie tak o brak dzielności w środkach, jako o fałszywość jego zasad i dążeń, a głównie, że był tylko owocem złowieszczéj cudzoziemczyzny, popieranéj od kilkudziesiąt lat przez mniemanych reformatorów, że był ostateczném odstąpieniem od dawnych prawych obyczajów, podstaw bytu narodowego.

» Taki zarzut nie powinien pozostać bez odpowiedzi. Pamiątka ta, przez wiele lat wiążąca nas jeszcze w jedno spólnie i zgodnie myślące ciało, jest zaprawdę zbyt drogą i nieocenioną własnością dla narodu, aby lekko i nierozważnie godziło się przynieść jéj uszczerbek. W badaniach historyi, świadectwo naoczne, póki możebne, jest najsilniejszym dowodem prawdy. W chwili, gdy piszę te słowa, mało kto został przy życiu z tych, co byli widzami spraw *wielkiego* sejmu, bo ten epitet nadany mu utrzymał się między nami, i nie będzie mu odebranym. Mnie Bóg dozwolił, w późnym wieku, oddać jego zasadom i dążeniom naoczne świadectwo, które rzetelnie i sumiennie wyrzeknę. Dopełnię razem obo-

wiązku i względem tego, którego piszę żywot, który do ostatka dni swoich nosił na palcu pierścień z napisem: «*fidis manibus*», znak odznaczający wszystkich, co pracowali wspólnie na czworoletnim sejmie, znak z którym Niemcewicz chciał być pochowanym w dowód, jak wiernym pozostał do zgonu ówczesnym serdecznym związkom i zasadom swéj młodości. Zda mi się, że jego głos słyszę, że jego słowa tu kreślę, w obronie najszczęśliwszéj jego życia i najświetniejszéj od stu i więcéj lat życia krajowego chwili.

» Nie zaiste, naród polski i ci co wówczas celowali w jego radach, nie mieli zamiaru odstąpić od drogich pamiątek i prawych obyczajów przodków swych; owszem, czuli hańbę, złe i niebezpieczne skutki blizkiéj minionych lat przeszłości, czuli szkody i popsucie przyniesione przez rozwolnione i zniewieściałe naśladownictwo cudzoziemczyzny, chcieli z całego serca wrócić, ile można, do wzorów dawniejszéj i świetnéj przeszłości. Był to pęd powszechny, nadany narodowi przez siebie samego. Wszystko, od wyższych klas zacząwszy, tchnęło samą polskością. Równie ważne, jak potoczne codziennego życia sprawy, ustawy, urządzenia, obchody publiczne, jak zabawy, rozmowy towarzyskie, nareszcie powrót do narodowego stroju i do dawnych zwyczajów, wszystko dowodziło wówczas samych polskich uczuć, okazywało silne odżywienie czysto polskiego ducha.

» Poprawy, których nagłą potrzebę klęski przeszłe aż nadto wskazywały, szczepione na pniu polskim, na konarach narodowych, byłyby się sokami i kształtami polskiémi rozwinęły, i gdyby Bóg wtedy był dozwolił cokolwiek więcéj czasu na ich dojrzewanie, nie można wyliczyć i wystawić sobie do jakiego stopnia pomyślności i postępu kraj nasz po swojemu i własnodzielnie byłby w krótkich latach doszedł. Ten tylko, co wtedy żył i na to patrzał, potrafi wyobrazić sobie radość po-

wszechną, obudzone oczekiwania, jednomyślny zapał i chęć wszystkich klas narodu, w tych szczęśliwych i zbyt krótkich chwilach, do prac mogących zapewnić jego wzrost i siłę.

» Wielki zaiste grzech cięży na tych, czy rządy, czy indywidua, których zbrodnicza ambicya lub chciwość, ważyła się zniweczyć tak zasłużone szczęście i pogrążyć cały naród w przepaść, niezliczone męczarnie, i okrutnie odjąć mu życie, kiedy właśnie stał się najgodniejszym największych pochwał, względów i poszanowania.

» Wielki Sejm, opierając się na czysto polskich pierwiastkach, branych z czasów Kazimierza Wielkiego i Jagiellonów, otworzył przystęp do obywatelstwa klasom mieszkańców, któreby się wkrótce były uszlachetniły i do używania równych praw podniosły. Jakiémże czołem można tu znaleźć naśladownictwo spraw obcych i działań rewolucyi francuzkiéj? Takie jednak było oskarżenie dworów przeciw Polsce, powtarzane odtąd przy każdéj sposobności przez rządy rozbiorowe, i to oskarżenie stało się teraz zarzutem także niektórych polskich reakcyjnych pisarzów!

» Łatwo dostrzedz, jak mało znajduje się podobieństwa między postępowaniem naszego czworoletniego sejmu, a tém, co się działo we Francyi, lub jednocześnie w innych krajach rewolucyami wstrząśnionych. We Francyi wywracano, niszczono wszystko, tron, religią, obyczaje; tam rzeczywiście zrywano z całą złą i dobrą przeszłością, o żadnéj nie chciano wiedzieć. U nas, korzystając z doświadczenia, starano się wprawdzie poprawiać oczywiste błędy i zdrożności dopiero ubiegłych czasów, lecz szanowano, podpierano, podnoszono dawniejszą chwalebną przeszłość, wracano do niéj, starano się urzeczywistnić jéj życzenia i zamiary. Tam ofiary i zrzeczenia się przywilejów działy się w gorączce, pod krzykiem i nożami grożącego tłumu. U nas, bez żadnéj trwogi, z własnéj woli i przekonania, z pełnéj ręki, z ra-

dością serc, owszem mimo przeciwnych nastawań cudzoziemców, wylały się wszystkie dary, zatrzymały się wszystkie nadużycia. Idąc za cudzoziemczyzną wszelkiego rodzaju, znalezionoby albo despotyzm, albo anarchią; obu postanowiono ujść i we wszystkiém saméj polskości się trzymać : ale chciano razem porządku, sprawiedliwości dla wszystkich, ustalenia dzielności rządu, a przez to niepodległości ojczyzny. Czyżby Niemcewicz i ci, których on popierał, których do ostatniéj godziny życia z taką czcią wspominał, których się wierną częścią z chlubą być mienił, czyżby mogli inne mieć i głosić zasady? Nie inne też rozkrzewiły się po całym kraju i od całego narodu z radośnem przekonaniem były przyjęte. Sejm nie poprzestał na tém, że już był prawną reprezentacyą narodu; odwołał się powtórnie do jego woli, zażądał nowych posłanników, i przez nich odebrał najwyraźniejszą pochwałę i potwierdzenie swych zasad i postępowania.

. . . .

» Ale dla czegoż święte dzieło, sumienne usiłowania, nie wydały w końcu oczekiwanego owocu? Dla czego tak zacne, tak rozumne i poczciwe zamiary pozostały bez skutku, i na kraj, który zbawić miały, same nieszczęścia i okropne klęski sprowadziły? Jakie błędy, jakie winy były przyczyną tak srogich i niespodzianych następstw? O tém zmuszony jestem powiedzieć słów kilka, które czuję, że gorzkie i trudniejsze od pochwał i obrony będą.

» Były zaiste przyczyny niezależące od woli ludzkiéj, wypadki fatalne i zgubne dla Polski, bez jéj winy; lecz były także własne błędy i grzechy, których można było uniknąć.

» Gdy wojna się zapaliła między Turcyą a Moskwą, gdy ambassador tego mocarstwa, co tak dumnie w Warszawie przewodził, że się wydawał bardziéj panującym od samego króla, odmienił, już przed zaczęciem sejmu,

swój ton, i zamiast dawnych rozkazów, zaczął z pochlebnemi odzywać się przełożeniami, które miały na celu wciągnąć Polskę do wojny przeciw Turcyi napadniętéj przez dwa cesarstwa, obiecując nam za to pomnożenie wojska, przymierze, dowództwo sił sprzymierzonych królowi i inne korzyści; gdy z drugiéj strony, poseł pruski podał wkrótce sejmującym stanom notę, w któréj przemawiał w słowach, dowodzących przychylności i poszanowania dla zelżonego dotąd samowładztwa narodu: Polacy, zrazu nie wierząc prawie tak szczęśliwéj odmianie, uczuli jednak, że im ciężar srogi spadł z karku i niedługo przekonali się, że są doprawdy bez więzów, i że mogą swobodnie dla szczęścia, chwały i bezpieczeństwa kraju działać. Uczuli to, jak się powiedziało, z niewymowną radością; ale nie zaraz i nie dosyć pojęli, że taka chwila nie trwa długo, że im szczęśliwsza tém też prędzéj mija, i że kiedy stracona minie, zazwyczaj ciągnie za sobą przeciwne koleje. Polacy, czując się wolnymi, nie pamiętali, że okoliczności, dozwalające im tak drogocennéj swobody, mogą lada dzień zniknąć; nie pamiętali na wartość czasu, zrazu nie użyli inaczéj swéj niepodległości, jak tylko ciesząc się nią; cieszyli się w słowach, na obradach, na gościnnych zebraniach, w pełności serca powtarzając i sobie i obcym, że są wolnymi, ale nic nie czyniąc, aby wróconą niepodległość dziełem zabezpieczyć. Okrzykowa uchwała stutysięcznego wojska była wynurzeniem radości, nie zaś przystąpieniem do czynu, przygotowaniem do obrony: bo ledwo po trzech latach 60,000 ludzi stanęło pod bronią; a przez ten przeciąg czasu nie postanowiono żadnego planu obrony, nie myślano o nim, ani o zebraniu potrzebnych do wojny zasobów, nie rozpoznano pozycyj ważniejszych w kraju dla odparcia napadów, nie zajęto się budowaniem fortec, a przynajmniéj utwierdzeniem miejsc do tego sposobnych. Tymczasem, dnie i okoliczności pomyślne przechodziły na próżno bez zatrzymania się. Po-

dał jednak Polakom piękny przykład do naśladowania, jak należy cenić wartość czasu, jak chwytać okoliczności, król szwedzki Gustaw III, gdy Moskwie zajętéj przeciw Turkom niespodzianie wydał wojnę. To była stanowcza, najwyższa dla Polski do działania sposobność. Gdyby się był wówczas nasz naród ruszył, gdyby powstał i także uderzył na Moskwę, ledwo już mogącą stolicę nadbaltycką od Szwedów obronić; gdyby był podał rękę Turkom, przeciął komunikacye i żywności jéj wojsku, w czasie długiego i ciężkiego dlań oblężenia Oczakowa... było to może wiele ważyć, wymagało wielkich usiłowań i niezmiernéj czynności, któréj niestety! w nikim naówczas nie było; mogły naostatek i po takiém odważném wystąpieniu zajść wielkie klęski — ale niezawodnie daleko większe korzyści były do oczekiwania. Przez taką odwagę i determinacyą naród by dowiódł, że ma własną tęgość, na któréj polegać można, z którą rachować się należy. Do stanowczych kroków zachęcały nas nawet Prusy, oświadczając, że to jest pora do odebrania Galicyi od Austryi, bitéj przez Turków, trapionéj buntem Belgii i spiskiem Węgrów. Trzymając się przeciwnego systemu, można było także korzystać z warunków przez Moskwę poprzednio podawanych: z nią połączywszy się, rozpocząć czynne działania, które dzielnie prowadzone, mogły, mimo chęci podstępnego sprzymierzeńca, Polskę do siły i znaczenia doprowadzić. Stanisław August, skłonny do takiego związku (o którym może już myślano w czasie kaniowskiéj podróży, gdzie i cesarz Józef był imperatorowę spotkał), nie śmiał go jednak wyraźnie radzić i głośno popierać. Zbyt wielki i niepohamowany dawał się czuć wstręt, odraza, nieufność narodu dla raptownych przymilań moskiewskich; nadto, a w takim razie mocna nawet i groźna opozycya ze strony Prus i może innych państw była do przewidywania, coby podwójne uzbrojenie krajowi nakazywało. Trudno teraz sądzić, który z tych dwóch sy-

stemów lepszy obrot losom Polski wkońcu mógł zapewnić. Ale niezawodnie, w ówczesnych przeważnych okolicznościach było najgorszém, najniebezpieczniejszém pozostać w biernéin na zewnątrz, bezczynném i bezsilném oczekiwaniu.

» Z żalem przyznać należy, że sejm i naród nie stanęły w tym razie na równi z nadarzonemi okolicznościami. Nieruchomość Polski i brak wszelkiéj decyzyi wśród tak nadzwyczajnie pomyślnych wypadków, musiały nadwerężyć ledwo tworzącą się opinią u obcych o jéj żywotności, o jéj wewnętrznéj wartości i sile. Zamiast energicznego działania i nietracenia ani jednego momentu, gdzie należało czuć i wiedzieć, że tu idzie o śmierć lub życie, spędzano swobodnie czas na mowach, na obradowaniu, na kłóceniu się o szczegółowe, mogące być odłożone urządzenia, często o słowa i mało znaczące formalności, tylko aby dogodzić próżności lub osobistym zawiściom. Powiemy osobno, komu głównie przypisać należy te niedarowane winy; tu nawiasem dodamy, że Niemcewicz, jak świadczą jego niżéj cytowane głosy, powstawał ostro i ciągle na trwoniących czas; zaklinał, aby bez opóźnienia o skarbie, o wojsku myślano, i wymawiał gorzko tym, co jakby z namowy wrogów Polski, odwodzili sejmujących od prędkiego przygotowania środków najpotrzebniejszych dla jéj zbawienia.

» Polska, przez lat tyle bez własnéj woli i ręką nieśmiertelnego wroga gorzéj jak na paskach wodzona, nie była zaiste ogołoconą z zacnych i serdecznie ją kochających obywateli; ale przez ówczesny stan rzeczy prawie wszyscy byli odwykli u nas od spraw prawdziwie rządowych i rzeczywiście wielkiéj dla kraju ważności. Biegłość i zdatność nie znajdowały przez długie lata innego pola i doświadczenia, jak na zajazdach i bankietach, lub co najlepsza w sporach magnatów i ich stronnictw, które na sejmikach, na reasumpcyach trybunałów, albo na sejmach z hucznym zgiełkiem wytaczane, po

długiéj luźni kończyły się zazwyczaj przez uzyskane dekreta sądowe, lub odkąd sejmy przestały być zrywane, przez ich uchwały, jednéj lub drugiéj partyi przychylne.

» Ten cały ruch, a raczéj ruchliwe i burzliwe kołysanie się, w zajściach najczęściéj osobistych zamknięte, nie objawiało prawie nigdy celu ogólnego, rzadko jaką myśl rządową, dotyczącą dobra wewnętrznego kraju; na zewnątrz zaś nie mogło mieć żadnego znaczenia, prócz zwiastowania obcym nieuleczonéj naszéj anarchicznéj niemocy.

» Byli, powtarzam, w Polsce rozumni i najzacniejsi ludzie; nie było, a przynajmniéj zbyt mało było ludzi specyalnych, uzdatnionych do różnych zawodów rządowych, które gdy ich ważność nie była rozumianą, wcale u nas nie istniały. Gdy więc potrzeba nadeszła stawienia się samodzielnie na zewnątrz, nie znaleźli się w Polsce ani biegli wojskowi, ani biegli administratorowie lub dyplomaci. Zamiast wysłania zaraz na wszystkie strony zdatnych i czynnych agentów, którzyby o wszystkiém donosili, starali się zgłębić położenie i zamiary gabinetów, ich przychylne chęci wzbudzać, a wszelkie przeciwne Polsce zabiegi usiłowali przeniknąć i odwracać: gotowały się pomału ciężkie i solenne ambassady, z których kilka, dla ich opóźnienia, żadnéj korzyści nie przyniosły, inne zaś nie dojechały nawet na przeznaczone stanowiska. Dawni agenci królewscy, nie mający żadnéj wziętości ani powagi u dworów, przy których przesiadywali, nanowo teraz akredytowani, nie potrafili ani odwrócić nadchodzących niebezpieczeństw, ani o nich na czas ostrzedz.

» Kiedy minęła pora właściwego działania, kiedy Gustaw III opuszczony, zrobił pokój z Moskwą, kiedy wzięcie Oczakowa i Izmaiłowa poprawiły położenie jéj wojsk przeciw Turkom, kiedy po śmierci Józefa II interesa Austryi wzięły lepszy obrót, gdy więc możność wmięszania się dzielnego do wojny uszła, należało zdaje się,

tém czynniéj wziąść się do środków dla obrony kraju potrzebnych, do wystawienia potężnéj własnéj siły, a razem do dyplomatycznych zabiegów. Można było wcześnie przekonać się o zdradzie króla pruskiego, o któréj różne i niewątpliwe dochodziły nas z obu stron ostrzeżenia, którą więc łatwo było przewidzieć i przeniknąć, a przeniknąwszy, należało na jego pomocy ślepo i jedynie nie polegać, i o innych sposobach ocalenia natychmiast pomyśleć.

» W rzeczy saméj, trudno było spodziewać się, żeby król pruski zechciał długo być wiernym krajowi, który wprawdzie zacnym i poczciwym pokazał się, ale który nie mógł mu już ani pogrozić, ani chciał mu żadnéj uczynić korzyści. W ówczesnych okolicznościach, a szczególnie natychmiast po ogłoszeniu Konstytucyi 3° Maja, kto wie, czy nie lepiéj było nawet poświęcić mało nam przychylny i użyteczny Gdańsk, kiedy się przez to większe bezpieczeństwo i znaczne zyskiwały handlowe korzyści, pod gwarancyą Anglii i Hollandyi, gdy alians odporny mógł się z temi mocarstwami zawrzeć, który, podług wszelkiego podobieństwa, byłby nas ocalił, a przynajmniéj nasz upadek opóźnił lub mniéj zupełnym przez ich gwarancyą i wstawienie się uczynił.

» Postępowanie względem Moskwy nie było także polityczném ani przezorném. Nieprzyjaciela trzeba bić kiedy można, ale nie należy go napróżno drażnić. Cesarzowa Katarzyna była u nas w publiczności i na sejmie celem ostrych i nieustannych wyśmiewań, które dosłownie donoszone, rozjątrzały do najwyższego stopnia jéj złość kobiecą i chęć zemsty przeciw Polsce. Nasz Niemcewicz był jeden z najczarniéj naznaczonych w księdze, gdzie ta władczyni wszystkie swe nienawiści zapisywała.

» Posłowie pruscy, Lucchesini i Buchholtz, z wielką przesadą zagrzewali do namiętnego zerwania z Moskwą, co ich namowy podejrzanemi powinno było uczynić.

Lecz przez rok, lub pierwsze dwa lata, partya narodowa rozumiała się i chlubiła się być partyą pruską; postępowała, co do zagranicznych stosunków, istotnie jak stronnictwo tego mocarstwa, co było powodem zarzutów słusznie jéj czynionych. Obyczaj uważania się zawsze za partyą czyjąś i postępowania ze ślepą, partyzancką nienawiścią lub uleganiem, nie mógł od razu być usuniętym; był to zabytek nieuchronny powtarzanych elekcyj, z któremi weszły do Polski stronnictwa zagraniczne. Lada wątpliwość o dobréj wierze, o szczerości króla pruskiego, najmniejsza uwaga o potrzebie mienia w rezerwie innéj pomocy, uważano za przedajność Moskwie, za brak patryotyzmu i odstąpienie sprawy krajowéj.

» Gdyby wszakże nie chciano od początku przystąpić przeciw Moskwie do kroków stanowczych, należało nie zrywać z nią, owszem, przez umiarkowane i przyzwoite słowa łagodzić jéj urazy, wstrzymywać od zbliżenia się do króla pruskiego, na którego czasowo najmocniéj była rozgniewaną, a przez to jego także oddalać ile możności od podobieństwa zgody z nią, zdrady ku nam, do któréj nie wstydził się natychmiast przystąpić, skoro mu Katarzyna obiecała część łupów Polski i nadzieję zagrabienia nawet kiedyś Warszawy.

» Byli niektórzy, i to nawet między dobrze życzącemi krajowi, co dowodzili, że na żaden sposób nie należało zupełnie zrywać z Moskwą, ani wiązać się tak ściśle z Prusami; że to był główny błąd sprawców Konstytucyi 3° Maja; że Polska z tak usposobionym narodem, z takimi sąsiadami, nie mogąc bynajmniéj na żadną odleglejszą rachować pomoc, zmuszoną była trzymać się polityki starych xiążąt Czartoryskich, to jest zjednywać sobie i usypiać, ile można, Moskwę, i za jéj pomocą (bo bez niéj nic w końcu nie mogło się udać) wykradać jakoby z pod jéj oczu jedne po drugich wewnętrzne poprawy, konieczne dla odrodzenia, wzmocnienia, a w końcu dla samodzielności narodu.

» Ale na to dało się odpowiedzieć, że i ta polityka xiążąt Czartoryskich niedługo trwać mogła; że skoro Moskale poznali jaka była jéj dążność, zaraz odstąpili od reformatorów i potrafili ich dzieło zniweczyć. Coś podobnego by się stało, gdyby, nie mając względu na przyjazne kroki dworu berlińskiego, sejm by się jedynie chciał trzymać opieki Katarzyny II, która niedługo potém takim właśnie sposobem z Targowicą postąpiła. Zresztą, za czworoletniego sejmu rzeczona polityka była całkiem niepodobną w obec naglących z jednéj strony okoliczności, a z drugiéj, oburzenia powszechnego i niewstrzymanego u nas pędu opinii publicznéj.

» Nie, zaiste, czas téj wyglądającéj polityki był minął. Moskwa się na niéj poznała; nie można było na zręcznéj i cierpliwéj przezorności przestawać; trzeba było dzielności i odwagi, trzeba było pod zagrożeniem śmierci dojść gwałtem do samoistnego życia.

» Polska zajaśniała w téj chwili mądrością i sprawiedliwością reform wewnętrznych; ta chwała jéj pozostanie, i cóżkolwiek bądź, połącza na zawsze jéj przyszłość z losami oświeconéj i postępującéj Europy. Ale Polska w tejże chwili nie podniosła się na zewnątrz do biegłości, do dzielności, do poświęceń koniecznych, aby się wyzwolić i przemódz otaczające ją zewsząd niebezpieczeństwa.

» Polacy w dobréj wierze rozumieli, że Turcya i Szwedzi będą się wciąż bili, i że oni sami nie potrzebują oręża dobyć dla ustalenia własnéj niepodległości; przekonani byli, że Polska jest potrzebną Europie, która jéj zagłady nie dozwoli, że jéj niepodległość jest zabezpieczoną świętém, niewątpliwém, tylowieczném od wszystkich uznaném prawem. Na niém więc polegając sądzili, że bądź co bądź, ją utrzymają bez nadzwyczajnych strat, ofiar i usiłowań. Co więcéj, i co godném jest zastanowienia, Polacy, po doświadczeniu pierwszego rozbioru nie byli zatrwożeni, nie zajmowali się możno-

ścią drugiego, nie przewidywali go, nie wierzyli nawet w podobieństwo bliskiego wydania im wojny przez Moskwę. Dopiero jak wojska moskiewskie wkroczyły w granice polskie, zaczęto wierzyć, że się zbiera na burzę prawdziwą, że nie są płonne przewidywane od niektórych niebezpieczeństwa; dopiero wtedy zaczęto myśleć o środkach obrony i wysłano do korpusów dowodzących generałów, trawiących jeszcze swój czas w Warszawie na świetnych obchodach rocznicy Majowéj. Jak śmiertelną słabością dotknięty chory nie widzi zbliżającego się kresu życia, nie sądzi, nie czuje aby miał umrzeć, tak Polska nie przypuszczała do myśli, aby miała być wkrótce z rzędu żyjących państw zgładzoną.

. . . .

« Upadek Konstytucyi 3° Maja był okropnym ciosem dla Polski. Zadana przezeń rana duchowi narodowemu nigdy się nie zagoiła; rozszerzona, rozjątrzona następnemi klęskami, pozostała pierwszą przyczyną późniéj nam zarzucanych zboczeń i niedostatków, braku wewnętrznéj jedności i siły. Polacy, przez ciąg czteroletniego Sejmu, zakosztowali słodkich owoców narodowéj niepodległości. Ich chluba, ich gorąca miłość ojczyzny przez te lata były szczęśliwe i podług ich myśli zadowolnione. Użyli wróconéj im niepodległości cnotliwie, z umiarkowaniem. Nie wątpili, iż wchodzą w nową erę pomyślności i że są jéj godnymi, bo w niczém nie nadużywszy odzyskanego szczęścia, mają zatém do niego najpewniejsze prawo, przez całą Europę, z jéj nawet poklaskiem uznane. Czując swoje znaczne przez ten krótki przeciąg czasu dokonane postępy w pojęciach rządowych, finansowych, socyalnych, w naukach, w rozbudzonéj industryi i handlu, nareszcie w zdrowéj logice i powszechnym rozsądku, słowem we wszystkiém co zapewnia byt szczęśliwy narodów, rozumieli iż przez takie zasługi zaskarbią sobie przychylność, opiekę, wspar-

cie innych krajów, zabezpieczą się od podejść zbrodniczéj polityki i obcéj napaści.

» W takiém łudzącém przekonaniu, im duch narodowy na wyższy nastrój był się wyrobił, im z niewątpliwszą pewnością roił sobie swoję przyszłość, tém z wyniesienia, które mu się słusznie należném zdawało, niżéj i bez środków ocalenia siebie osądził, gdy cała ta zacna budowa, zdobyte już i na przyszłość przygotowane pomyślności, jakby za dotknięciem różczki złośliwéj czarownicy zniknęły i w mgnieniu oka obróciły się w perzynę, wydając same brudy, klęski, poniżenie. Taka okropna, raptowna, jednochwilowa odmiana, nie samych widocznych, dotykalnych, wielkich strat była przyczyną : wywróciła także wiele umysłowych postępów, dopiero przywłaszczonych. Rozstrojenie, które wówczas spadło na duch narodowy, zwątpienie o sobie, o własnych usiłowaniach i przekonaniach, łatwe odchęcanie się, brak statku i stałości, w młodzieży zaś zatarcie przeszłości, bezwzgląd na przyszłość i rzucanie się w odurzające zabawy ku życiu bez celu, w kilku nadchodzących generacyach stały się dla Polski na długo jakoby chorobą chroniczną, któréj symptomy czasem zmniejszają się, nikną, lecz któréj zaród nie jest jeszcze uleczony, i która przy odnawiających się, szkodzących wypadkach, znowu się odzywa i znowu może zacząć grasować. Nie dziw, że z własnego normalnego toru raz zbite umysły zbłądziły, nie trafiły do celu wszystkim zarówno drogiego, i że podług chwili i następnych, nam zawsze przeciwnych zdarzeń, miotane były między rożnemi ostatecznościami rozpaczy, to oddając się bezsilnemu zwątpieniu, to rzucając się na oślep w niepodobne zapędy. Wiara, bądź co bądź, w życie i przyszłość Polski, upadkiem wówczas doznanym zbyt srogo nadwerężona, nie mogła się długo w jéj synach dość stale, dość skutecznie i powszechnie, z smutnych zwątpień wydźwignąć i odżywić.

» Usiłował wprawdzie naród, jeszcze niecałkiem osobnego bytu pozbawiony, wkrótce potém podnieść się znowu z téj śmiertelnéj toni; ale nieszczęściami przywalony, zapadł coraz głębiéj w przepaść. Jedno wyobrażenie pozostało mu, zdawna nam właściwe, a dotąd w narodzie górujące, że Europa nie może się obejść bez istnienia Polski, że mocarstwa cudzoziemskie same ją odbudują; że im tę potrzebę tylko tłómaczyć, przypominać należy, i że ich pomoc da się, bądź wymódz, jako należność, bądź wyjednać, jako łaskę, która równie przez spółczucie jak przez ich własny interes im jest nakazaną i z chęcią nam będzie użyczoną.

» To oczekiwanie, różnie rozbierane, stało się przez długie lata jedyną pociechą rozsądniejszych i razem mniéj czynnych Polaków; gdy tymczasem umysły namiętne, ludzie odważniejsi, prowadzeni rozpaczą więcéj jak przekonaniem o skuteczności mających się użyć dla wskrzeszenia ojczyzny środków, nie zajmowali się ich rozważném wyrachowaniem i cierpliwém przygotowaniem, ale chcieli tylko prędkiego obmycia narodowego honoru i chwalebnego przynajmniéj zgonu.

» Takie dwa razem istniejące usposobienia, taki rozdwojony duch i kolor czasowy: z jednéj strony, smętny, skarżący się, bez oddziałania sprężystego; z drugiéj, aż nadto przedsiębierczy, odważny, nareszcie bez zastanowienia, zakochany chwilowo w zamięszaniu rewolucyjném, stał się wtedy i na długo przyczyną dzielącą umysły w Polsce. We wszystkich też tworach naszéj ówczesnéj literatury ten podwójny nastrój umysłowy postrzegać się daje. Wszelako po 3m Maju, aż do końca XVIII wieku, przemagają u nas głosy muzy, która tylko łzy gorzkie przelewa i wzdycha do znikającéj w jéj oczach nadziei. Zauważmy zaś z pociechą i podziwieniem, iż od wojny pruskiéj w roku 1806, mimo nieustannych omyleń i nieszczęść bez przerwy, przez półwieku po dziś dzień wciąż na Polskę spadających,

charakter ogólny naszego piśmiennictwa, jedyny, możebny wyraz umysłowy narodu, nie uległ pod klęskami, lecz mniéj więcéj krzepił się za każdym ciosem i okazywał odżywioną coraz wewnętrzną siłę, najczęściéj bez rzucania się w bezdenne zapędy. Szczególnie zaś w bliższych czasach, znamienite wydane twory lotem geniuszu wzniosły się do wiary i nadziei, do czego listopadowe wstrząśnienie może najwięcéj się przyczyniło.

» Lecz w latach, które zaraz nastąpiły po 3m Maju, najszlachetniejsze umysły nie uniknęły owych pasujących się wrażeń, jednéj lub drugiéj ostateczności, o któréj dopiero wspomnieliśmy. Uległ pierwszéj i nasz Niemcewicz. Rozpacz zajęła jego serce. W gorzkiem tylko wytykaniu win i zbrodni nas gnębiących, szukał mściwéj dla rozdrażnionego uczucia ulgi. Jęk ojczyzny rozognił całą jego poetycką duszę. Mało co czulszego i lepszego Niemcewicz kiedykolwiek napisał, jak Elegią do wiosny w roku 1793 wydaną. Ale w téj przedziwnéj poezyi jest tylko smutek, żal i rozpacz; a to było jednak jeszcze przed upadkiem Kościuszki. Jednocześnie Niemcewicz wydał drugie pismo, w którém rozwinął całą moc szyderczego dowcipu. *Biblia Targowicka* wyśmiewała krwawo trójcę głównych naczelników konfederacyi i Kossakowskich familią, najnieszczęśliwiéj w dziele zagubienia i obdarcia ojczyzny skalaną.

» Muza Niemcewicza, raz skarżąca się żałośnie, drugi raz sprawców tylu nieszczęść z goryczą i bez politowania wyszydzająca, nie daje wszakże żadnéj oznaki odnowionéj nadziei, ani krzepiącego się, dźwigającego się ducha. Wierny syn ojczyzny, to płakał nad jéj upadkiem, to łajał i gromił z całą mocą swéj namiętności i wzgardy niecnych Polaków i obcych ciemiężców; lutnia jego głosiła potém dawnych bohaterów naszych : ale Niemcewicz nigdy nie przyłożył ust do trąby rewolucyjnéj, nie zapowiadał powstania, do niego nie wołał. Nadzieja, zwątlona pierwszym zbyt srogim ciosem, nie mogła

w jego umyśle odzyskać zupełnéj siły. To nie przeszkadzało, żeby się nie łączył do wszystkich usiłowań dla odrodzenia Polski podjętych. Czynił to z obowiązku, aby nie mieć nic sobie do wyrzucania, lecz zawsze przewidywał i lękał się nieszczęść, nie dla siebie, bo był do nich nawykły i umiał je znosić, ale dla kraju. Niemcewicz wierzył w przyszłość Polski, wierzył, że po doznanéj raz za dni naszych i straconéj porze wielkiego szczęścia, przyjdzie znowu kiedyś koniecznie dla Polski koléj pomyślności, koléj odwetu i sprawiedliwości; ale sądził, że to będzie wypadkiem innych już wieków, których on nie miał zobaczyć. Nie był nigdy trudnym co do zdarzających się częściowych polepszeń dla Polski; przyjmował je i korzystał z nich bez wymysłu, brał je jako sposoby zachowania oddechu i bicia serca narodowego, w téj długiéj przerwie przeznaczonego na same klęski, których nie przewidywał końca, i które, przeczuwał, że dłużéj trwać miały, niż jego własne życie. »

TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ POLSKI W ANGLII.

---

30 lipca.

Meeting Towarzystwa Przyjaciół Polski, przed trzema tygodniami w Londynie odbyty, stawił na nowo przed oczy Polaków owe grono zacnych mężów, co przez cwierć wieku przeszło, wiernie a wytrwale, sprawie naszéj służą. Założone po wojnie r. 1831, niemało czasów i zdarzeń przetrwało, niemało członków gorliwych, mężów głośnego imienia a stałych Polski przyjaciół, przeżyło, równie jak sprawa nasza wiele prób odbyło, równie jak nadzieje nasze wiele doznało zawodów, i dziś, po dwudziestu siedmiu latach istnienia, gotuje się nanowo do walki za kraj, z którym żadnego z członków, ile wiemy, osobiste nie wiążą stosunki. Tak pięknéj wytrwałości, tak szlachetnéj a bezinteresownéj wierności w obronie praw polskiego narodu, jakże mało, nawet między nami, możnaby naliczyć przykładów!

Ale, po upływie lat tylu, może niejeden z czytelników zapomniał, może nawet nie słyszał o usługach które Towarzystwo sprawie polskiéj oddało: o owych głośnych mocyach za Polską, wprowadzonych do parlamentu

przez Fergussona, Stratforda, Huma, a niedawno temu przez lorda Lyndhurst, o ludziach jak Campbell, Beaumont i Dudley Stuart, o tylu adresach do rządu wnoszonych, pismach drukowanych, meetingach w stolicy i na prowincyi urządzanych, o tylu jedném słowem wielostronnych, politycznych staraniach. Może niejeden z młodszych mianowicie czytelników nie zdaje sobie sprawy, jakiéj to wagi jest instytucya złożona z Anglików, najwyższe w swym kraju zajmujących stanowiska, której celem nietylko obrona praw narodu ale i opieka dla pojedynczych Polaków; instytucya, pod wszelakim względem zastępująca w Anglii polską ambasadę, z któréj pomocą każdy Polak wejść może w towarzystwo Anglików, poznać ich życie publiczne i prywatne, zwiedzić ich zakłady i przedsiębiorstwa, niezawsze dla cudzoziemców przystępne. Może wreszcie i to niejednemu na myśl nie przyszło, że w Anglii, podobnie jak we Francyi, jest wiele braci naszych nieszczęśliwych, wiekiem i rodziną obarczonych, przyciśniętych nędzą i chorobami, dotkniętych niemocą utrzymania się przez pracę; że jeśli dla ulgi cierpiących tułaczy we Francyi, są liczne w Paryżu zakłady i stowarzyszenia dobroczynne, to w Anglii jedyną rękę miłosierną podaje braciom naszym Towarzystwo Przyjaciół Polski; że jeśli paryzkie zakłady zasilane są lub utrzymywane polskiemi ofiarami, to w Londynie wszystkie te ciężary dźwigali i dźwigają — w znacznéj części za nas — członkowie Towarzystwa Przyjaciół Polski.

Jest więc ta Asocyacya londyńska jakby zbiorem różnych instytucyj, które w sieroctwie naszém utrwaliła dla nas opatrzna ręka Dudleya Stuarta. I rzecby można, duch jego przeznacny żyje wciąż w tém gronie, krzepi je i zachęca do działania i wytrwania, pomimo czasów i ludzi obojętności, pomimo obojętności nas samych. Nie wiemy z któréj strony zabłyśnie dla nas nadzieja pomocy, nikt nie powié jak się w przyszłości rozwiną

wypadki, jak się uszykują główne Europy potęgi. Ale to jest powzechnie wiadomém i uznaném, że jeśli w r. 1831 Europa z oburzającym indyferentyzmem na nasze spoglądała wysilenia, przeważną przyczyną tego była zupełna między Anglikami sprawy polskiéj nieznajomość. Od tego też czasu Towarzystwo wzięło sobie za misyą głosić prawa Polski, świadczyć o jéj życiu; i jeśli zaszła jakaś w opinii angielskiéj naprawa, zasługą to jest członków tego zgromadzenia, jak będzie to poczęści owocem ich starań, jeśli rozjaśnione pojęcia drogę działań politycznych może kiedyś rozjaśnią.

Bądź co bądź, winniśmy członkom Towarzystwa wdzięczność, za wytrwałość z jaką służą naszéj sprawie, za ich wiarę w niezatarte prawo i życie naszéj ojczyzny, za pociechę, którą nam dają, że nie zwątpili dotąd, gdy tylu zwątpiło, o możności odbudowania Polski. Winniśmy im, prócz wdzięczności, zachętę i otuchę, winniśmy im współdziałanie.

Zwracając na ten przedmiot uwagę publiczności, nie przynosimy dzisiaj, do owego uznania i hołdu, żadnéj myśli gotowéj ani wyrobionego projektu. Sądzimy nawet, że nie potrzeba zbiorowych manifestacyj, a zwłaszcza też manifestacyi jednorazowéj. Pragnęlibyśmy raczéj w duszy polskiéj, wywołać stałe uczucie, zaszczepić ciągłą pamięć, że jest między cudzoziemcami, których tak często o brak sympatyj oskarżamy, grono, co za nas i dla nas od wielu lat pracuje i któremu co najmniéj należy się ta pewność, że jeszcze żyjemy. Chcielibyśmy, aby z przejezdnych Polaków żaden nie opuścił Londynu, zanim pójdzie do jednego z członków Towarzystwa i nie zapłaci, za jego pracę poczciwą, choćby ręki ściśnieniem. Winszowalibyśmy sobie, gdyby polscy wspaniałych publikacyj edytorowie, z różnych prowincyj kraju nadsyłali Prezesowi Towarzystwa owoce swych prac, bo one w oczach cudzoziemców byłyby i świadectwem narodowego życia i dowodem publicznego uczu-

cia. Życzylibyśmy także, jeśli tych życzeń nie za wiele, aby ta nasza w Anglii ambasada wiedziała, jak wié każde poselstwo co się dzieje w kraju. Gdyby zaś te sposoby świadczenia swych uczuć zdawały się za trudne albo wcale niepodobne, podalibyśmy łatwiejszy a może bardziéj przekonywający : to jest aby Prezesowi Towarzystwa przesyłano, o ile można, ofiary pieniężne, tak dobrze na potrzeby sprawy jak dla cierpiących przeznaczone rodaków.

Wszakże, którąkolwiek zechcemy wybrać drogę, to zawsze pewna, że nie możemy zostawiać członków Towarzystwa w dotychczasowém, śmiemy powiedzieć opuszczeniu; że nam dłużéj nie godzi się bezmyślnie pomijać ludzi, którzy dzisiaj tém są dla Polski, czém byli przed laty dwudziestu, bez względu, że może przez te lata — smutno pomyśleć — ani razu nie widzieli u siebie tych, za których tak szlachetnie walczą... A bylebyśmy choć teraz dopełnili owéj narodowéj powinności, ubezpieczymy, da Bóg, Towarzystwo, tę polską wśród Anglików warownią, nad którą świeci sztandar niepodległości, i z któréj, przy zdarzonych okolicznościach, wyjść jeszcze mogą zastępy jéj obrońców.

POZNAŃ I ŚRODKI OBRONY.

30 lipca.

Nasz stary gród, choć jeszcze połowę liczy polskiéj ludności, dwa razy już tylko do roku, przez tydzień lub dwa, przybiera wyraźniejszą polską fizyonomią : w ostatki i w czasie kontraktów świętojańskich. W téj to porze zjeżdża się z Księstwa znaczna liczba szlachty polskiéj; ale za to przez cały rok żywioł niemiecko-żydowski ma przewagę nad polskim. Zrobiono wszakże podczas zeszłorocznych pierwotnych wyborów spostrzeżenie, że przewaga niemieckiego żywiołu w znacznéj części jest tylko sztucznie systemem rządowym wywołana i utrzymana; że gdyby urzędy wszystkie, jak dzisiaj Niemcami są obsadzone, były kiedyś przez Polaków zajęte, gdyby armia i wszystkie wogóle instytucye były polskiemi, gdyby Polakom oddawano dostawy i przyznawano koncesye : wówczas Poznań nieledwie od razu stałby się na nowo czysto-polskim. i nawet Żydzi tutejsi, z których każdy prawie umie po polsku, podobnie jak w Warszawie polską przyjęliby narodowość.

Z tych zjazdów półroczych w Poznaniu można wnosić o usposobieniu i dążnościach całéj prowincyi. Tegoroczne targi świętojańskie, choć ani ziemi do sprzedania

lub wydzierżawienia, ani wełny nie brakowało, skromniejsze były niż zazwyczaj. Mniéj zjechało się rodzin z prowincyi; mniéj też było balów, koncertów, obiadów i gier hazardownych. Nie było nawet wyścigów konnych, z wielkiém oburzeniem kilku zagorzałych *sportsmenów*, a z zadowolnieniem tych, co dotąd nie zrozumieli jaki w tém pożytek dla kraju, że kilkanaście koni pędzi jak zające, a reszta z biedy i przerobienia wlecze się jak żółwie! Jedyną u nas zabawą podczas tegorocznych kontraktów był teatr krakowski. Jedyna też była to nowość, bo z resztą wszystko idzie po staremu. Pomimo nowego jakoby systemu rządowego w Prusiech i usunięcia się p. Flotwella, pomimo żalów naszych na sejmie berlińskim, taż sama u nas co dawniéj administracya. Nie zmienione osoby ani praktyka biórokratyczna, jakkolwiek przez zwierzchność niby potępione. Ani jedno nowe gymnazyum polskie, ani jeden więcéj tłómacz lub urzędnik polski. Owszem, w Gnieznie, najdawniejszéj stolicy Polski, bez względu — a może właśnie przez wzgląd na to, że tam Niemców jest najmniéj, postanowiono założyć gymnazyum, *czysto niemieckie*, to jest z wykładem niemieckim i z profesorami Niemcami. Nawet prowokacye administracyi poznańskiéj dawnym idą trybem, tylko — ponieważ starsza generacya okazała się przezorniejszą, zwrócono się ku szkolnéj młodzieży. Rzucano po kościołach odezwy zachęcające do śpiewawania zakazanych pieśni. Jednego z uczniów, na rozkaz wyższéj władzy, aresztowano w teatrze, zapewne w mniemaniu, że koledzy ujmą się za nim, że zrobi się skandal, o którymby można do europejskich telegrafować dzienników, i że zatém stan oblężenia dałby się jakoś w Poznaniu wprowadzić. Szczęśliwy instynkt dzieci przeczuł i udaremnił te drobne a niecne podstępy.

Sprawa Ziemstwa Kredytowego nie postąpiła ani krokiem naprzód. Obywatele w coraz krytyczniejszém położeniu; na Ś. Jan wprawdzie poopłacali procenta: ale wielu

aby się uiścić Towarzystwu, zaciągało pożyczki na *czterdzieści* od sta. Kilku znowu za granicę przed wierzycielami wyjechało. Tak więc na każdém polu wielkie są trudności: a pomocy, wsparcia lub jakiejś względności ze strony rządu, nawet w czasie klęsk, ani podobna otrzymać. Polak mieszkający w Poznańskiém nie ma innego sposobu wyposażenia swych dzieci, tylko dzieląc między nie grosz lub ziemię jakie posiada. Urzędy są nieprzystępne; założenie fabryk, sklepów, składów lub agentur wszelkiego rodzaju Polakom wielce utrudnione. Cóż więc dziwnego, że coraz bardziéj ubożejemy i że każda generacya zbliża nas — do proletaryatu!

Mimo to wszystko, śmiem twierdzić, że gdybyśmy umieli być wytrwalszymi, i gdyby więcéj między nami było solidarności, uniknęlibyśmy grożącéj ruiny. Wszak Włosi nie mniéj i nie krócéj od nas wystawieni byli na łup chciwości niemieckiéj, a przecież pod tym samym rządem, Lombardya została jak dawniéj najzamożniejszą prowincyą, a w Galicyi majątki obywatelskie tak straszliwie upadły! Wszak i Żydzi pod wyjątkowemi żyli wszędzie prawami, nie mieli przystępu do urzędów i doznawali wciąż trudności, nie już w otrzymaniu pewnych ułatwień rządowych ale nawet prostéj sprawiedliwości. Nie zubożeli dla tego, owszem i zamożność i ludność ich rośnie w sposób uderzający. I nie spekulacye szalone albo niesumienne główném są źródłem ich dostatków: ale ich zabiegliwość, pracowitość, oszczędność a wreszcie wzajemna od siebie zawisłość.

Wystawieni jesteśmy na próbę ciężką, to prawda: musimy z niemiecką rywalizować rządnością. Lecz aby uchronić się losu Górnego Szlązka albo Prus Zachodnich, jednego nam przedewszystkiem potrzeba — żyć w miarę dochodów. To pierwszy, konieczny warunek wszelkiéj, w naszym kraju, poprawy materyalnéj i moralnéj; to nasz obowiązek socyalny i patryotyczny, nad którym czuwaćby powinna, o ile się da, opinia publi-

czna. Żyć świetniéj i wystawniéj niźli majątek pozwala, to powinnoby uchodzić za występek publiczny.

Po wielekroć wyrzucano zamożnym polskim rodzinom, że kapitały, któremiby wykupić mogli niejednę ziemię polską z rąk Niemców, lokują często a niebezpiecznie w zagranicznych bankach. Skargi te niezupełnie zdają się być słusznemi. Trudno wymagać od polskich kapitalistów, aby dla tytułu posiadania albo przez sam tylko patryotyzm, stawali się właścicielami. Kto ziemię kupuje, szuka w niéj odpowiedniego dochodu; musi więc albo sam na miejscu gospodarować, do czego nie każdy jest zdolny, albo zarząd majątku w obce powierzyć ręce. Jeden jak drugi sposób trudny bywa i niedogodny, co gorsza może nie przynieść korzyści, których właściciel ma prawo spodziewać się od włożonego kapitału. Ale domagać się można i trzeba od polskich kapitalistów, aby na pewne pożyczali hypoteki, i w tym celu należałoby (jak to już przed rokiem zamierzano) utworzyć komitety obywatelskie, któreby w tych czynnościach pośrednicząc, potrzebującym ułatwiały summ znalezienie, a szukającym umieszczenia dostateczną dawały rękojmią.

W obecnym czasie, żaden już kraj na samém rolnictwie nie ostoi się, żaden nie może się obejść bez fabryk, handlu i stowarzyszeń. Gdyby byli między nami ludzie uzdolnieni, znalazłyby się i kapitały; w samym Poznaniu są znaczne summy polskie, ktoremi na nieszczęście zazwyczaj żydowskie obracają ręce. I tu znowu brak pośrednictwa, brak szczególnie zaufania! Jakaś miasteczkowa ospałość i trwożliwość wstrzymuje nas, i dość znaczne, codzienne korzyści oddaje żydowskim i niemieckim spekulantom.

Żądajmy śmiało i nieustannie całéj sprawiedliwości od naszych zaborców; ale nie spodziewajmy się bynajmniéj, aby nam całkowicie zadość uczyniono. We wszystkiém czego nam potrzeba dla utrzymania i roz-

winięcia życia narodowego, sami sobie poradzić musimy i możemy. Ale jakże spodziewać się, jakże wymagać, aby odwieczni przeciwnicy lepiéj od nas o warunkach naszéj sprawy pamiętali! Żalim się, i słusznie, że władze język polski zaniedbują, że go po barbarzyńsku wykrzywiają; lecz nie zdaje mi się abyśmy i na tém polu dopełniali tego, co najprostsza wskazuje powinność. Nie znam wypadku, aby władze poznańskie zwróciły komubądź podanie, skargę lub jakikolwiek akt piśmienny, a nawet aby na nie nie odpowiedziały, dla tego że po polsku były pisane. Iluż jest między nami takich, coby z zwierzchnością w krajowym korespondowali języku? Czyż nam wzbroniono niemieckich nawet formularzy, przez władze drukowanych, zapełniać po polsku, odpowiadać po polsku na wezwania niemieckie? Choćby się czasem tok sprawy dla polskiéj korespondencyi opóźnił, czyż to już za wielka dla mowy ojczystéj ofiara? A gorzéj, jeśli nie dla ważności naszych spraw dopuszczamy się tego przeoczenia, ale dla prostéj nieuwagi lub braku narodowéj godności. Niech urzędnik albo kupiec żydowski przemówi po niemiecku, zaraz mu jego własnym odpowiadamy językiem; niech w gronie polskiém znajduje się choćby jeden Niemiec, zaraz po niemiecku mówić będzie całe towarzystwo. Skarżemy się że cudzoziemcy lekceważą nasz język; mogliby odpowiedzieć że go sami nie więcéj cenimy. Zrobiono uwagę, że są trzy narody w Europie, którzy obcéj między sobą używają mowy: Moskale, Wołosi i — na nieszczęście — Polacy...

NIEMCY WOBEC WOJNY WŁOSKIEJ.

6 sierpnia.

Zmuszony od kilku miesięcy przebywać wśród Niemców, posłałem wam poprzednio wrażenia, jakie na mnie sprawił widok germańskiego patryotyzmu w ciągu wojny włoskiéj. Dzisiaj, mniéj zapewne ciekawi jesteście obecnego usposobienia Niemców; pozwolcie jednak abym dokończył obrazu.

Przed miesiącem, byli oni podobni do słusznego i przyzwoicie prowadzącego się mieszczanina, któremu zdarzyło się wypić więcéj, niźli głowa znieść mogła; wytrzeźwieni, wstydzą się teraz wszystkiego, co mówili i co robili. Nim armia napoleońska zstąpiła do Włoch, tak jednomyślna w Niemczech objawiła się nieprzyjaźń ku Francyi, iż zdawało się, że cała federacyjna Germania stanie w obronie Austryi. Zgodne ambasad francuzkich z różnych stron Niemiec doniesienia tak silnie świadczyły o tém powszechném uczuciu, że cesarz Francuzów, nie chcąc do walki powoływać całéj Europy, szczerze ku zgodnemu porozumieniu na drodze kongresu myśl swą nakłaniał. Lecz gdy Austrya, pewna pomocy « naturalnych sprzymierzeńców » wydała wojnę, wnet roz-

dwoiła się jednomyślność niemiecka. Prusy doczasu jeszcze starały się zachować zimną krew; ale za to Niemce południowe zapaliły się duchem junackim. Powstał ruch nigdy niewidziany, niesłychany gwar i wrzask. Pierwszy Hanower dobył z muzeum starożytności okurzonego pancerza i zbroi, i niemi obciążył wychudłe swe biodra. Wkrótce Nassau i Darmsztadt, Baden i Bawarya do zardzewiałych porwały się oręży; nawet Saxonia przypomniała sobie, że kiedyś, za czasów Witikinda, zwycięzko z Frankami walczyła. W tém ukazał się okólnik petersburski, przypominający Rzeszy prawdziwe jéj stanowisko w składzie politycznym Europy. W zamachu ręki, co to pismo kreśliła, dostrzeżono jakoby groźby niewyraźnéj, a ten gest rossyjski, niepoparty dalszym czynem, jeszcze bardziéj rozdraźnił umysły. Prusy, które je hamować i kierować niemi usiłowały, przy rozwijających się wypadkach, same uległy ogólnemu popędowi i nakazały wojsk swych uruchomienie. Wtenczas już żadną siłą niewstrzymany rozpasał się i rozszalał duch nietylko wojowniczy, ale podbójczy. Trzeba było pod ten czas znajdować się w Niemczech, słyszeć prowadzone rozmowy, czytać dzienniki (które was nie dochodziły), aby uwierzyć, do jakiego stopnia szału dojść może ze strachu i zazdrości naród, zazwyczaj spokojny, pełen myśli, dymu i piwa, i w życiu codziennem praktyczny. Gdyby istotne niebezpieczeństwo kraju wywołało było ten zapał, gdyby roznieciło go czyste uczucie narodowe, byłby on szlachetnym i godnym poszanowania; ale stwarzać widma na jasnym dniu, przewidywać burze i powodzie, gdy żaden obłoczek nieba nie zachmurzał, było zaprawdę śmiesznością! Bogini wojny i tu, jak niegdyś w Grecyi, z rozbolałéj wyskoczyła głowy: tylko że nie głowa to była Jowisza, ale Gambrinusa...

Przejście Renu, zdobycie Paryża, podbój i upokorzenie Francyi, stały się codziennym przedmiotem roz-

mowy, zwłaszcza w armii federacyjnéj. Każdy student niemiecki, na polu *mensury* wsławiony, był gotów wyzwać całą armią francuzką, i choćby « *bez bindy i bandaży* » ; każdy dyplomata najmniejszego z lilipucich dworów, wierzył że jego pióro urządzi Europę, a nawet i *gevatter bürger*, zacny handlarz win i korzeni, myślał obracać globem ziemskim jak holenderskim sérem : zwłaszcza że jeden tak okrągły jak drugi. A gdy tak wszyscy krwawe przyzywali boje, pokazało się, że choć duchem gotowi, materyalnie wcale do wojny przysposobieni nie byli. Nuż się więc sposobić ; lecz gdy zaczęto zbierać siłę zbrojną, przekonano się znowu, że w téj armii związkowéj żadnego związku nie było. Żołnierz nassawski nie rozumiał komendy darmsztadzkiéj, saski z badeńskim nie umieli trzymać kroku ; do tego broń różnego kalibru, różna amunicya i wcale niepodobna organizacya wojskowa. Niedość na tém : na trzydziestu książąt panujących, dwudziestu co najmniéj zapragnęło dowodzić, a Bundestag, co to wszystko miał ułożyć, sam żadną miarą nie mógł wyjść z trudności, w jakiéj go stawiały sprzeczne żądania Austryi i Prus. Powstał zamęt, z którego nie wiedzieć, jakby Germania była się wydobyła i który, gdyby do wojny przyszło wistocie, byłby straszliwe klęski na Niemców sprowadził.

Na szczęście Rzeszy, stanęło zawieszenie broni, za niém pokój. Pierwszém wrażeniem Niemców było zadziwienie, uczucie zawiedzionych nadziei, żal owych tryumfów nad Francyą, owéj spodziewanéj w Europie przewagi ! Ale wkrótce przestrach ogarnął szeregi dotąd tak waleczne. Przewidywali Prusacy, że gotuje się zemsta opuszczonéj Austryi, a co ważniejsza obrażonéj pogróżkami Francyi, która dotąd wśród potęgi swojéj spokojna, całą tę wrzawę mimo ucha puszczała. Zaraz zmienił się duch rozmów i pism publicznych : odzywały się głosy, że Niemcy żadnéj ku Francuzom niechęci nie żywią, że podejrzywali tylko rząd, Cesarza. Austryacki

manifest, tłómaczący zawarcie pokoju, powiększył wewnętrzne zawikłanie. Oskarżenie ogłoszone z jednéj strony, wywołało odpowiedź z drugiéj, lecz obwiniający z obwinionym zrozumieć się nie mogli; podsunięto wreszcie domysł, że pośpiech Austryi w zawarciu pokoju przypisać należy, jeśli nie jakiemuś podstępowi, to przynajmniéj niedokładnemu zrozumieniu rzeczy. Cóżkolwiek bądź, po ogłoszeniu pokoju, wojenny zapał przemienił się w uczucie wstydu. Można było słyszeć utyskiwania nad niepotrzebnym a niepohamowanym szałem rodaków, który wspólną ojczyznę w śmieszność przyoblókł. I gdy się wzięto do cyfer, gdy obliczono, ile te rycerskie zachęcenia kosztowały i jeszcze kosztować będą, ani chwały ani korzyści nie przynosząc, żał opanował tkliwe serca po tylu na próżno wydanych talarach. Niemiecka ludność, jak wiadomo, nie tyle dba o przewagę polityczną, ile o spokojny kęs chleba; to też w ciągu wojny nie tyle może upadku Austryi, ile austryackich żałowano metalików. Pod tym zaś względem, zaspokojenie, jakie przyniósł pokój, jest zupełne i wiele ukaja boleści.

Wszakże, spostrzedz można, po wielu dworach niemieckich, niezłagodniała wcale nienawiść ku Francyi i Cesarzowi, a nowa jeszcze przybyła obawa obudzonego ducha rewolucyjnego i objawiających się w kraju dążności arcyliberalnych, pod sztandarem pruskim ukrywających się. Wyjąwszy miasta wolne i kilka drobnych północnych państw, wszystkie inne zwracają się ku Austryi, w niéj spodziewają się znaleźć obronę przeciw pruskiemu unitaryzmowi. Wistocie te nadzieje liberalne a zarazem dążność zjednoczenia się pod Hohenzollerami, coraz widoczniejszemi się stają. Jest stronnictwo, które żąda, aby Prusy odłączyły się od Rzeszy i osobne wielkie utworzyły państwo; jest inne, które domaga się zupełnego przeistoczenia Związku niemieckiego; gdy znowu umiarkowańsi w nadziejach i zaufaniu do sił własnych,

życzyliby sobie, choćby zosobna, każde państwo na drogę wewnętrznych zmian popchnąć. Są wreszcie i tacy, którzy pragną zbliżenia i pogodzenia się Austryi i Prus. Wszystkie te sprzeczne dążności utrzymują pewien niepokój umysłowy. Mimo to, można powiedzieć, że z małemi odmianami wszystko do dawnego, trochę bagnistego wróci koryta. Męże Germanii nigdy się do tyla nie spodlą, aby z wyżyn ducha na niziny zejść mieli czynu.

Bądź co bądź, i jakkolwiek komicznym może się z niejednéj strony wydawać obraz teraźniejszych Niemiec, bezstronny myśliciel musi jednak przyznać, że naród ten od pewnego czasu zrobił rzeczywiste postępy w poczuciu swojéj spójności i jedności. Za dawnych czasów, łatwo było rządom sąsiednim, Francyi mianowicie, uzbroić dla swych celów jeden kraj niemiecki przeciw drugiemu, za pomocą sojuszów z małymi lub większymi książętami Palatynatu, Turyngii i t. d., uzyskać silne pozycye, pomocnicze nawet wojska w łonie Germanii i przeciwko niéj: *les Allemagnes*, pod tém charakterystyczném *pluralis* występują Niemce w kronikach francuzkich od czasów już Villehardouina i Froissarta, a Ludwik XIV tak dobrze jak Napoleon I, umieli różne działania arytmetyczne przeprowadzać na tych ułomnych *ułamkach*: odejmowali, dzielili, a dodawali i mnożyli ze swoją wielką *jednością*... Otóż, dzisiaj, to już moralném stało się niepodobieństwem, a chociaż w Teutonii być mogą rzeczy, o których się nie śniło nawet i jéj filozofom, to wszakże tak rozumnéj i biegłéj polityce jak Napoleona III nie udałoby się już teraz doprowadzić do skutku kombinacyi jak Rzeszy Nadreńskiéj.... Niemcy nie okazały się, w ostatnich wypadkach, ani potężnymi, ani szlachetnymi — a do heroizmu jeszcze im tak daleko jak... do nieba (*himmelweit* jest przecież ich wyrażeniem); ale trudno zaprzeczyć, że uczucie wzajemnéj solidarności jest u nich teraz większe, niż kiedykolwiek,

i że jeśli jeszcze cnót patryotycznych nie posiadają, mają już przynajmniéj patryotyczny pudor. Niemce nie są, nigdy może nie będą jednemi jako państwo : ale już niełatwo dadzą się rozdzielić i użyć przeciwko sobie samym ; *disjecta membra* może się nigdy nie zrosną, ale dla wygody sąsiada, same się już pożerać nie będą. Kto zaś pamięta historyą tego narodu, ten przyzna, że to wielki, niezmierny postęp; a postęp ten jest właśnie owocem usiłowań kilku ludzi z talentem i przekonaniem, kilku pisarzy i mężów publicznych jak Gagern, Vincke, Schlosser, Gervinus, i t. d., którzy zrazu mało słuchani, nawet wyszydzani, obudzili jednak w swoim narodzie pewne uczucie własnéj godności i doprowadzili do tego, że « *niemiecki Michał* » wprawdzie nie jest jeszcze Archaniołem, ale też już i nie owym heskim najemnikiem XVIII wieku. Tego dokonało kilku mężów w niezbyt długim czasie, dzięki silnemu przekonaniu i niczém niezrażonéj wytrwałości : — *Et nunc erudimini!....*

POLACY W ALGERZE.

6 sierpnia.

Jest cechą właściwą tułaczom polskim, że rozproszeni wśród obcych i do różnych oderwani zajęć, zawsze przecież ciągną do siebie, w polskiè zbierają się koła i kiedy na ziemi polskiéj żyć nie mogą, w codziennėm z sobą zetknięciu szukają tego ogniska, które ich do nadziei, do wytrwania i do ufnéj w przyszłość pracy zagrzewa. Są grona polskie na Wschodzie i na ostatnich krańcach Zachodu. Donosiliśmy niedawno o osadzie polskiéj w Texas; dziś, pragnęlibyśmy zwrócić uwagę publiczności na tę garstkę Polaków, która w Legii zagranicznéj pod chorągwią francuzką sposobi się na dzielnych, karnych i wytrwałych żołnierzy, mogących kiedyś istotne krajowi oddać posługi.

Wiadomo, że przy Legii zagranicznéj w Afryce był niegdyś, pod dowództwem dzielnego podpułkownika Horaina, osobny batailion i osobny szwadron polski; te, po skończonéj wojnie hiszpańskiéj, gdy ich nowi nie zasilali ochotnicy, wcielone zostały: batalion pieszy do pułków legii, a szwadron ułanów do pułku strzelców konnych. W nagrodę usług, które Legia w Afryce i

podczas wojny krymskiéj oddała, przeniesiono wielu legionistów, a między nimi Polaków, do armii francuzkiéj. Wkrótce jednak zastęp Polaków w Legii na nowo się pomnożył, gdy w miesiącu lipcu 1856 rząd francuzki dozwolił, aby pewna liczba żołnierzy z rozwiązującéj się wówczas Dywizyi polskiéj na Wschodzie, przeszła do Legionu. Jakoż zaraz więcéj niż sześćdziesięciu przyjętych ochotników odpłynęło do Afryki i mundur francuzki przywdziało.

W ostatniéj wojnie Legia zagraniczna wzięła udział zaszczytny. Słyszeliśmy, że kilku z dawnych żołnierzy polskich otrzymało honorowe medale i dosłużyło się awansu, a jeden ze świeżo zaciągnionych, Mieczysław Kamieński, syn pułkownika, w bitwie pod Magenta, utracił rękę i krzyżem legii honorowéj ozdobiony został. Nie wszyscy jednak Polacy należący do Legii byli dość szczęśliwymi, aby z pułkiem swym odbyć włoską kampanią; wielu pozostało w batalionach zakładowych, oczekując z utęsknieniem, czy nie będą powołani na linią bojową. Do téj kategoryi należy jeden z młodych Polaków, syn emigranta, którego listy pisane z Afryki mamy pod ręką. Listy te zawierają dość zajmujące szczegóły tak o Polakach znajdujących się w Legii, jak i o życiu żołnierskiém w Afryce; dajemy tu niektóre z nich wyjątki:

« Grudzień 1858 roku.

» Stoję teraz garnizonem w Sidi bel Abbes, w prowincyi Oran, uczę się musztry, a całodzienne zatrudnienia ledwie mi dają godzinę wolną przed wieczorem. Przybył tu razem zemną R..... syn Polaka, urodzony we Francyi, i nieumiejący po polsku; sypiamy obok siebie i razem na musztrę chodzimy, a wieczory spędzamy na gawędce o Paryżu, o rodzinach naszych i o Polsce, o któréj dość fałszywe wyobrażenie ma mój towarzysz, ale okazał chęć uczenia się po polsku; więc

udaję się do was z prośbą o przysłanie mi gramatyki Ordy.

» Jest jeszcze więcéj Polaków w mojéj kompanii; są to dawni żołnierze z dywizyi polskiéj na Wschodzie i kilku jeńców w Krymie wziętych, którzy tu służą od lat pięciu. Wszyscy mają żywe i gorące polskie uczucia, i o nadziei służenia jeszcze kiedyś w wojsku polskiém mówią radzi. Są oni istotnie wzorowymi w Legii żołnierzami, wielu ješt kapralami i podoficerami : a ci co nie umieją po francuzku, znajdują się przynajmniéj w kompaniach wyborczych. I Moskali mamy między sobą; jest ich nawet kilkudziesięciu; nie są oni jeszcze najgorsi; upijają się, to prawda, i kradną, skoro się tylko okazya nadarzy, ale służby, porządku i czystości bardzo pilnują. Trzymają się oni z nami dosyć, szanują nas, a kto wie, czy się i trochę nie boją, mianowicie od wypadku, który jednemu z nich się przytrafił. Wypadek był następujący : Kilku żołnierzy polskich, dawniéj w armii rossyjskiéj służących i kilku Moskali, zebrało się u kantynierki i zaczęła się z początku spokojna pogawędka. W miarę wychylanych kieliszków, duch wojenny zaczął wstępować w Moskali, i jeden z nich użył względem Polaków epitetu zbyt energicznego, w jakie zresztą mowa rossyjska obfituje. Któryś z Polaków nie ufając jak się zdaje, w siłę swéj rozmowy, uciekł się do innego argumentu; argument był tak silny, że biednego Moskala na ziemię powalił i zmusił potém parę tygodni w szpitalu odsiedzieć; nie wyniósł on jednak żadnéj ztąd dla Polaków urazy. Zabawne, że Moskal ten nazywa się Menszykow.

» Dostaliśmy pozwolenie na 29 Listopada do zebrania się, aby rocznicę tę wspólnie obchodzić. Żałowaliśmy mocno, że mszy w tym dniu wysłuchać nie było można; pocieszaliśmy się tą myślą, że może choć jeden z was wspomni tam o nas, a może się i pomodli...

« Sidi bel Abbes, styczeń 1859.

» Byłem powołany, jak ci to wspomniałem poprzednio do Oranu; opiszę ci teraz nasz marsz w powrocie do Sidi bel Abbes.

» Nasz mały oddział składał się z jednego podoficera, jednego kaprala i 32 żołnierzy. Podoficer podzielił nas na trzy mniejsze oddziały zwane *escouade*, których komendantami byli kapral i dwaj najstarsi żołnierze. Ci ostatni są zarazem gospodarzami, im oddane pieniądze na zakupienie żywności. Każdy z żołnierzy winien z kolei nieść naczynia do gotowania potrzebne i z kolei być kucharzem swego oddziału Jeśli na stacyach, przez które ma się przechodzić, nie można dostać żywności, kupuje się ona naprzód i do pakunku żołnierskiego dołącza; a często się zdarza, że na 4 i 5 dni trzeba téj żywności nakupić.

» Wyszliśmy z forteczki St-Gregoire o 6téj z rana, przeszliśmy miasto w porządku wojskowym, dopiero za miastem wolno było maszerować kupkami, trzymając się jednak razem; po każdéj godzinie marszu jest stójka, a w połowie drogi do miejsca przeznaczonego na stacyą, dłuższy wypoczynek. Stacya pierwszego dnia marszu przypadła nam we wsi Tlelat. Rozłożyliśmy nasz obóz niedaleko targu arabskiego, a raczéj bazaru za wsią będącego. Nie myśl, że z przyjściem na stacyą, kończą się wszystkie trudy, i że można już wygodnie położyć się, lub wypoczywać : po trudach marszu następują trudy i krzątanie się około zgotowania obiadu. Komendant wyznacza ludzi, jednych do znalezienia drzewa, drugich do przyniesienia wody, innych do kupienia mięsa i pomocy kucharzowi podczas gotowania obiadu; oczyszcza się broń z pyłu i kurzu, a po obiedzie trzeba już myśleć o jutrzejszém ranném śniadaniu i przygotować do tego potrzebne rzeczy. Noc przepędziliśmy w owym bazarze arabskim, pod dachem i dla tego nie rozbijaliśmy na-

szych namiotów, lecz zimno było nie do wytrzymania, i zbudziliśmy się, aby ogień rozpalić i kawę gotować, a nie chcąc się kłaść znowu i dnia doczekiwać, uprosiliśmy podoficera, że dał rozkaz do wymarszu....

« Kwiecień 1859 roku.

» Wiem, że tam u was biegają nieraz wieści nie zbyt dla naszéj legii pochlebne, mianowicie o jéj składzie i indywiduach do niéj należących. Mogę cię zapewnić, że wieści te są fałszywe i powtarzane przez ludzi, którzy się zblizka nie przypatrzyli. Jeśli znajdowali się w szeregach naszych żołnierze, których przeszłość niezupełnie od zarzutów wolną była, to z drugiéj strony mamy i ludzi zacnych, młodzież dzielną, wykształconą, którą różne powody tak polityczne jak prywatne do zaciągnięcia się w nasze pułki skłoniły. Jest wielu cudzoziemców, ktorzy w wojsku swojém oficerami byli a którzy dziś noszą u nas mundur sierżanta, a niekiedy i prostego żołnierza: jest wielu młodych ludzi odznaczających się wychowaniem, nauką, dobrego a nawet arystokratycznego, jeśli chcesz, urodzenia. Nie raz myślę sobie, że ta legia nasza ma niejakie do Siczy Zaporoskiéj podobieństwo, do któréj za świetnych Rzeczypospolitej czasów, uciekała czasem młodź rycerska albo żądzą awanturnicznych przygód gnana, albo skłucona ze swymi. Tylko sądzę, że u nas lepsi i użyteczniejsi mogą się wyrobić dla Polski oficerowie, jak się wyrabiali pod Nalewajką albo Bohdankiem, a do tego my nie jesteśmy zmuszeni maczać nasze koszule w dziegciu, co nie małym jest awantażem. Zaporożcy, jak to czytałem w opisach, rybołostwem trudnili się w czasie pokoju: my za to mamy tutaj polowanie, które nam zupełnie jest dozwolone, a nigdzie więcéj jak w Afryce zwierzyny nie widziałem.

» Wszyscy znajdujący się tu Polacy złączeni są szcze-

rém braterstwem; zwiększa się ono teraz i spaja jeszcze ściśléj przez nadzieje, jakie obudziła w nas wojna. Polak nowo przybyły znajduje serdeczne u swych rodaków przyjęcie; wtajemniczają go oni zaraz we wszystkie *misterya* żołnierskiego rzemiosła, uczą jak się obchodzić ze zwierzchnikami i kolegami. Żołnierzy innych narodowości zastanawia to, że widzą nas wciąż gromadnie złączonych, skoro tylko na to obowiązki służby pozwalają; dziwią się, że wolimy własne towarzystwo, gdzie możemy swobodnie gadać i pieśni patryotyczne spiewać, nad uczęszczanie do kantynierki, u której większość się schodzi. List który jeden z nas odbiera, byle zawierał wiadomości o kraju lub o naszych, wnet wszystkim udzielony bywa; to samo naturalnie dzieje się z dziennikami, jakie nas tu dochodzą.

» Duch polski nawet między prostymi i niewykształconymi z rodaków naszych nie jest zwichnięty. Gdybyśmy tu mieli książki stosowne do ich pojęcia, moglibyśmy wpływać na nich skuteczniéj. Oczekuję z niecierpliwością na *Czytelnią Niedzielną*, którą mi obiecałeś a która dla klasy rzemieślniczéj i ludu wiejskiego pisana, będzie zapewne dostępną dla naszych wiarusów; cieszę się na chwilę, w której będę mógł być ich lektorem...

» Jeśli przez służbę sześciomiesięczną w Afryce nie wyrobiłem się jeszcze na dobrego żołnierza, to przynajmniéj przygotowałem się, aby nim kiedyś zostać; a może Pan Bóg pozwoli wkrótce na inném popisać się polu. O wojnie z Austryą mówią już jak o rzeczy pewnéj, a z przygotowań, jakie w naszym garnizonie się robią, sądzimy, że kampania otworzy się wkrótce. Pułkownik kazał wszystkich Niemców na osobnym etacie wypisać; zostaną oni zapewne w garnizonach. Odprawujemy marsze i musztry codzienne; krawcy i szewcy pułkowi nie mają godziny wypoczynku, a suchary w tutejszych piekarniach robione, wywożone są furami do Marsylii. Nasi gorączkowo nowin wyczekują, i za każdym

przybyciem kuryera, dowiadują się czy się korpus polski tworzyć nie będzie... »

Do tych urywków z listów młodego żołnierza nic dodać nie chcemy. Szczegóły w nich zawarte nie są ważne, a może i nie zbyt zajmujące. Kto jednak wystawi sobie pod obozowym namiotem, na afrykańskim piasku rozbitym, tę garstkę Polaków wspominających ojczyznę, dla wielu z nich nieznaną nawet, gdzie jeden młody żołnierz na wygnaniu zrodzony, uczy drugiego mowy ojczystéj, gdzie pieśni patryotyczne śpiewane bywają przy obozowym ognisku : kto obraz taki prosty i prawdziwy przed myśl swą przywoła, ten do głębi duszy poruszony nim będzie. Bo kto wié, czy nie tym Polakom na wygnaniu zrodzonym, którzy Polski nigdy nie oglądali i na obcéj ziemi po polsku uczyć się musieli, czy nie tym w szeregach francuzkich zaprawnym i wyćwiczonym żołnierzom, przeznaczono jest ujrzeć Polskę i krew swą dla niéj przelewać?....

WYZNANIE JEREJA.

20, 27 sierpnia, i 10 września.

I

Ktokolwiek z trochę wyższego stanowiska spogląda na ludzkie sprawy i trochę głębiéj wnika w ich sprężyny i kierunki, kto się płocho na samych nie zatrzymuje płytkościach, albo w imię jakiego wymarzonego a niedowarzonego ideału nie gardzi dziecinnie realnościami życia i opatrznym : acz często zawiłym biegiem zdarzeń, ten łatwo przyjdzie do przekonania, że na dnie wszystkich żywotnych kwestyj ludzkości spoczywa zadanie religijne, że Bóg nie jest tylko końcem ale i początkiem wszech rzeczy. Rząd lub naród, ufny tylko w swe materyalne środki i fizyczne siły, może wielkie przedsięwziąć dzieła i przez długi czas cieszyć się ich powodzeniem, może sobie pochlebiać, że jemu dana jest przyszłość i że wszystko od jego tylko zależy woli i myśli : ale ochoczo, raźno a nawet i łatwo rozwijając kłębek swych losów, natrafi naraz na węzeł, którego żadna siła ziemska rozplątać, żaden miecz, i choćby Alexandra, rozciąć nie potrafi : węzeł to sumienia, moralności, węzeł Boga z człowiekiem...

Kiedy lat kilka temu, Alexander II w natchnieniu,

którego szlachetności bynajmniéj nie myślimy zaprzeczać, uczynił przed światem zapowiedź wielkich, olbrzymich reform w swém olbrzymiém państwie, wielu na Zachodzie — a nawet i u nas — witało to słowo z radością, z ufnością, nie powątpiewając o skutku, czasowe tylko co najwięcéj przewidując przeszkody i zwłoki. Przerznąć niezmierzone przestrzenie żelaznemi kolejami, podnieść oświatę, większą wolność nadać objawom myśli, ulepszyć sądownictwo, a przedewszystkiém uwolnić i uwłaszczyć chłopów : to wszystko było wprawdzie dziełem trudném i rozległém, ale nie zdawało się przekraczać granic sił ludzkich ; żądało, jak mniemali prawie wszyscy, tylko czasu i chęci, nie tykało żadnego głębszego, moralnego zadania, nie graniczyło w niczém z tym światem wielkim a tak dla rozumu niedostępnym, dla ekonomistów zagadkowym, który zwiemy światem ducha... i biegli statyści obrachowywali dokładnie miesiące i tygodnie, po których upływie Rossya miała nieodzownie stanąć w rzędzie państw prawdziwie cywilizowanych. Byli wszakże i tacy, którzy od razu na rozpoczęte lub zapowiedziane dzieło patrzali z niedowierzaniem, ze śmiałem nawet zaprzeczeniem; którzy nie zaślepieni potęgą sił i środków materyalnych, widzieli w Rossyi brak pierworodny moralnéj dźwigni, duchowéj sprężyny, téj bożéj myśli, bez któréj próżne i marne są wszystkie ludzkie zabiegi i przebiegi. Aby zreformować najniższego w Rossyi urzędnika, trzeba zreformować Cara : powiedział pewien dobry znawca moskiewskich stosunków. Ale nie dosyć na tém. Aby zreformować Rossyą, trzeba się odwołać do tych niezbędnych pierwiastków sprawiedliwości, uczciwości, cnoty, których tam niema, których żaden ukaz, żadna dobra chęć władzcy, żadna nawet oświata nie nada : bo je tylko dać ludowi może Religia, Wiara oparta na zrzeczeniu, na ofierze, na uczuciu sprawiedliwości i obowiązków. Ale taką wiarą nie jest Schyzma i nie pod jéj cieniem za-

kwitnąć są w stanie piękne owoce zachodniéj cywilizacyi. Kościół grecki jest także opoką — ale taką, o którą się rozbić fatalnie muszą wszelkie dążenia do ugodzenia i uwolnienia ludzi. Stosunki społeczne, kiedy mają być wolne, ostatecznie opierać się muszą na sumieniu, na świadomości złego i dobrego w członkach tego społeczeństwa : na religijnym pierwiastku. I téż nader ciekawą jest rzeczą, jak w Rossyi ekonomiczne i administracyjne zagadnienia nagle potrąciły o kwestyą Kościoła. Fatalném a logiczném następstwem przyszło pytać, jakimże jest ten lud, o którego zamyślają polepszeniu, jakież on ma wyobrażenie złego i dobrego, jakie nauki odbiera od swoich kapłanów, jakiż to głos przemawia z jego kościoła i w jego sumieniu? Ciekawe i znaczące pod tym względem widzimy teraz objawy.

Religia jest śmiertelnym punktem Rossyi mimo całéj jéj potęgi; jak znowu najżywotniejszą stanowi siłę Polski, mimo całéj słabości. Zwracaliśmy nieraz uwagę czytelników na ważność téj religijnéj strony Rossyi. Skreśliliśmy niedawno stan sękt, rozszczepiających łono Caratu. Mamy teraz przed sobą obraz odmienny, obraz urzędowego kościoła, a obraz to tém wierniejszy, że przez *wiernego* kreślony, przez prawego syna Prawosławia. Autor świeżo wyszłego w języku rossyjskiém dzieła (1), jest nietylko wyznawcą schyzmy ale i jéj kapłanem, jak z toku, z rzeczy, z chwilowych uniesień niewątpliwie się okazuje. Sługa to kościoła opowiada tajemnice świątyni, wyznania to wiejskiego duchownego — jereja — o stanie rossyjskiéj wiary : a wyznanie tém cenniejsze, że autor w duchu właśnie swego Kościoła, żadnych moralnych, dogmatycznych zmian nie widzi potrzeby, że wszystko dobre, którego żąda i wygląda, od materyalnych tylko zawisłém czyni warunków. Zastanowimy się późniéj i nieco obszerniéj

(1) *Opisanije sielskoho duchowieństwa. Ruskij Zagranicznyj Sbornik.* IV. Paris, Franck.

nad tą tak charakterystyczną stroną postulatów : na teraz, pozwolimy sobie główne tu przenieść rysy z ciekawego i roztoczonego obrazu :

«Smutno i boleśnie jest patrzeć, — od tych słów zaczyna autor — do jakiego stopnia duchowieństwo wiejskie jest u nas poniżoném i przygniecioném ; tém zaś smutniéj i boleśniéj, że ono samo, pod pewnym względem, dawało i daje do tego powód, i nie ma nawet prawa powiedzieć na pociechę swoję : cierpiemy to wszystko dla miłości Chrystusa. Nie takie jest jego postępowanie, aby miało obudzać w ludziach to nieodzowne współczucie dla stanu duchownego, tak wysokiego i boskiego; aby dlań zrodzić w owieczkach tę szczerą, serdeczną, dobrą wolę i tę miłość, silną jak śmierć, któraby mogła zjednoczyć nierozdzielnie Kościół z owieczkami jego, w jednem ogólnem dążeniu ku celom niebieskim.» Gdzie leży przyczyna tego, w czem jest zło? pyta autor; i aby na to odpowiedzieć, przechodzi życie wiejskiego *jereja*, od dziecinnych lat jego; bo jak słusznie powiada, to głębokie poniżenie duchowieństwa wiejskiego jest koniecznym skutkiem ukształcenia, jakie odbiera.

Zobaczymy późniéj, jakie przykłady ma przed oczyma syn popa w domu własnym. Przychodzi nakoniec dla niego czas nauki, i oto wysyłają go do powiatowego lub gubernialnego miasta, do niższéj szkoły duchownéj. Nie wielu takich, bo zaledwie dwóch na stu się znajdzie księży którymby środki dozwalały umieścić syna na kwaterze jakiego porządnego urzędnika, kupca, lub księdza zacnego. U kogoż tedy szukać kwatery? U biednego mieszczanina, odstawnego sołdata lub wdowy, handlującéj Bóg wie czém i w jaki sposób; czasami u zakrystyana. Cóż to dziecko ośmioletnie znajduje w swojéj kwaterze? Sprośne ubóstwo, któremu towarzyszą nierozdzielnie brud, grubijaństwo do zwierzęcości posunięte, i najstraszniejsze złe nałogi których nikt nawet

ukrywać się nie stara. Gdybyż on tylko patrzeć na to wszystko musiał! Ale tak nie jest: przymuszają go być narzędziem lub uczestnikiem wszelkiego rodzaju niecnot. Posyłają go do karczmy po wódkę, lub za kradzieżą wiorów i drew, kiedy nie ma czém w piecu napalić i t. d.; co więcéj: jest on postawiony w konieczności dopuszczania się rozmaitych przestępstw. Tak np. gospodarstwo, zkonsumowawszy sami, w przeciągu dwóch lub trzech tygodni, zapas żywności przywieziony dla studenta na cały kwartał, karmią go potém chlebem i kapustą, na którę i spojrzeć straszno. Cóż ma tedy począć zgłodniały malec? Jeżeli jest nieśmiałym, po trzech miesiącach robi się z niego szkielet; jeżeli tęgi, to kradnie lub szuka pożywienia innemi, nielepszego rodzaju, sposobami. « Przeszłéj zimy (mówi autor) w mieście N. widzieliśmy następujące zdarzenie. O szóstéj wieczór, podczas trzeszczącego mrozu w grudniu, na progu cerkwi, student dziesięcioletni drży cały od zimna i gorzko płacze. Co tobie chłopcze? czego tak płaczesz? — Boję się iść na kwaterę. — Dla czego? — Bo gospodyni rankiem chciała posłać po wódkę, a że już było czas iść do klasy, uciekłem z domu. Kiedym wrócił na obiad, wytłukła mnie, wypędziła, i powiedziała, że wieczorem jeszcze gorzéj będzie... Przejęci litością, poszliśmy do gospodyni. Była to wdowa kościelnego, bardzo jeszcze młoda, ale tęgo pijana: nie masz co gadać z kobietą w tym stanie, i zdawało się nam lepiéj uwiadomić o tém inspektora. Cóż ztąd? Na wszystkie nasze objaśnienia i prośby, aby chłopca wybawił z takiego zgubnego otoczenia, inspektor odpowiadał: to do pana nie należy, nie mięszaj się tam gdzie cię nie proszą. Dowiedziałem się późniéj, że owa od rana do wieczora pijana baba, była pod szczególną protekcyą inspektora, i że sam rekomenduje na tę kwaterę synów dostatniejszych popów, których podówczas tam było sześciu!..... » Autor dodaje: *Nietylko w powiatowych ale nawet w guberniał-*

nych miastach podobne wypadki są rzeczą zupełnie zwyczajną. Do zwykłych rzeczy należą także skórne choroby, powszechnie panujące we wszystkich szkołach wiejskich *phthiriasis, lichen, thermintus, favus, scabies;* czasami objawiają się między dziećmi i takie słabości, o których wspominać sromotnie i straszno; a i ci co na lepszych stają kwaterach, nie są wolni od podobnych plag egipskich : zarażają się od kolegów, tak pod względem moralnym jako i fizycznym.

Pod takiémi to zgubnémi wpływami przepędza chłopiec sześć lat najlepszych i najważniejszych w życiu. A jeśli się spytamy, cóż czyni urząd szkolny aby zapobiedz temu złemu? Nic wcale, odpowie nam autor; a to dla ważnych powodów : *kwatery są źródłem dochodu dla dyrektora i inspektora szkółek duchownych.* Raz wziąwszy łapowe od gospodarza lub gospodyni, panowie ci zostawiają im zupełną wolność robienia z chłopcami co się podoba.

Wszystkie te zaraźliwe wpływy kwatery, mniéjby jeszcze szkodliwémi były dla ucznia, gdyby na to znalazło się lekarstwo w saméj szkole. Ale tak nie jest : w szkole uczeń nic dobrego nie widzi. Toż samo w niéj błoto, podobniż tamtym a nieprzyjaźni mu ludzie, pod inną formą, jednostajne wciąż a straszne zło wszelkiego rodzaju i kształtu. Spojrzymy np. na szkolne zabudowania. Niktby nie odgadł, do czego są przeznaczone. Nie koszary to, ani stajnie, ani chlewy — ale jeszcze coś gorszego : po większéj części, są to ledwie trzymające się na nogach, za pomocą niezliczonych podporek, resztki jakichś domów, nie wiedzieć kiedy stawianych; gdzie wiatr hula w całéj swobodzie, gdzie najmniejszy deszcz przecieka, gdzie się gromadzą całe zaspy śniegu. Wymycie lub zamiecenie podłogi, uważa się tu za niedarowany zbytek; na przyjazd tylko archiereja, posypuje się ją piaskiem. Opalać klasy, podczas najsroższéj nawet zimy, poczytuje się za rzecz niepotrzebną. Klasy tak są

ciasne, że uczniowie literalnie jedni na drugich siedzą. W zimie, śnieg który przez szpary wciska się obficie, roztapia się od zgęszczonego powietrza; na podłodze robi się brudne błoto. W kwaterze niemniéj błoto wprawdzie, ale przynajmniéj ciepło : tu, w klasach, aby nie zmarznąć, trzeba wdziać dwie lub trzy kapoty; a kiedy wszyscy zasiędą ławki i powietrze zagęstnieje, zaduch powstaje nieznośny; nogi pogrążone w błocie marzną i całkiem kostnieją, tak że po skończonéj klasie, uczniowie chodzą jak na szczudłach. Jakże to wszystko znoszą studenci? Różnie : odpowiada autor. Ci co z natury mają zdrowie słabe, muszą umierać; drudzy, z mocną budową ciała, opłacają taki pobyt gorączkami lub innemi chorobami.

Przechodząc do zarządu szkolnego i nauczycieli, autor mówi : « Z drżeniem serca przystępujemy do opisania tych ludzi. Opowiadać mamy coś niesłychanego, czego sobie w żaden sposób wyobrazić nie można; a jednak, Bóg świadkiem, że to wszystko prawdą co do litery. »

Na nauczycieli wychodzą nie najzdolniejsi uczniowie seminaryów, ale ci, którzy mają szczęście, t. j. pieniądze, albo na liście zajmują wyższe miejsce — za odznaczenie się w teologii, chociażby zresztą wcale nie znali przedmiotów, które w szkole naszéj dawać mają. Nie pytają nawet kandydata, czy przedmiot na który się podaje posiada jakotako. W skutek tego, «*większość nauczycieli w duchownych szkołach złożoną jest z najciemniejszych nieuków.*»

W jednym tylko przedmiocie okazuje większa część nauczycieli niepospolitą zdolność : to jest *w sztuce wydzierania pieniędzy*. Ta plaga głębokie wszędzie rozpuściła korzenie, ale nigdzie tak śmiało się nie objawia jak *w duchownych szkołach, w duchownych zarządach i konsystorzach*. Ojciec, przywożący chłopca do szkoły, musi go stawić przed dyrektora i pięciu nauczycieli: « *Stawić*, znaczy to samo co przynieść pieniędzy. » Od najbie-

dniejszego należy się 2 rubli sr. dyrektorowi, a najmniéj rubla każdemu z profesorów. Wszakże pop musi im wypłacać cztery, lub najmniéj trzy razy tyle. «Mówimy *należy* się i *musi;* bo ilość nie oznacza się prawem, ale samowolą tego co bierze pieniądze.» Nie pomogą tu prośby, ani łzy nawet. Kto nie może złożyć wymaganéj summy «dostaje w kark i idzie za drzwi.» Ta sama historya powtarza się po świętach Bożego Narodzenia, po Wielkiejnocy i po wakacyach, w ciągu całego kursu nauk. Zapyta kto, dla czego ojciec daje łapowe? Dla tego, że biada temu chłopcu, którego ojciec choć raz nie opłaci się zwierzchnikom szkoły: zemsta okrutna, nieugaszona, zwierzęca, ścigać go będzie od rana do nocy, na każdym kroku. Dość powiedzieć, że w jednym dniu, od dwóch profesorów, student czasami dostaje do 200 rózeg i to nie na żarty; bo stojący obok nauczyciel krzyczy: mocniéj, mocniéj! Nie dosyć na tém; zaledwie uczeń podniesie się z ziemi, profesor rzuca się na niego z pięścią, wali go książką, czém i gdzie się zdarzy, po uszach, po głowie, po twarzy, wyrywa mu całe garście włosów i t. d., i t. d. «Zdarza się to dwa lub trzy razy w ciągu tygodnia.» Studenci nie śmieją nawet pomyśleć o skardze przed dyrektorem; bo za tą skargą idzie niezawodnie kara, nie na kata profesora, ale na biednego studenta. Pod względem zdzierstwa, panowie ci pracują wspólnemi siłami i zawsze wspierają się nawzajem. Studenta co nie dał wziątku, nie zasłoni od ich okrucieństwa ani postęp w naukach, ani najlepsze prowadzenie. Najzacniejszy chłopiec, ale syn biednego księdza, zasieczony bywa «literalnie *zasieczony* pod rózgami.»... «Dwa lata temu, w szkole N., chłopca dwunasto letniego, ukaranego w ten sposób, jedynie za to, że ojciec jego nie przyprowadził profesorowi krowy, którą ten ostatni mieć pragnął, zaniesiono na rękach do domu, gdzie nazajutrz umarł. *I takie katastrofy się nie rzadko zdarzają...* »

Ale nie na tém koniec zdzierstwu. Najważniejszy wziątek daje się przy promocyi do klasy wyższéj. Ta operacya odbywa się jak następuje : Na miesiąc przed examinami, wszystkich uczniów posyła się do domów z najsroższym rozkazem, aby przynieśli taką a taką summę; kto mniéj przyniesie, nie pojdzie do wyższéj klasy, kto nic nie da, wykluczonym będzie ze szkoły. Najwyższa opłata, od bogatszych księży, dochodzi do 50 r. sr., od najbiedniejszych do 5 rubli. Nadchodzi wreszcie examen : kto mógł, zapłacił wiele żądano; biedniejsi utargowali nieco z wymaganéj summy; tych co nic dać nie byli w stanie, wypędzono sromotnie, a dzieci ich wygnano ze szkoły.

Zbyteczną byłoby rzeczą, po takim przedwstępnym opisie, badać stanu nauk i wdawać się w szczegóły, które autor pod tym względem przytacza. Czémże może być nauka w zakładach, gdzie uczniów uważają wprost za owce do strzyżenia, gdzie profesor greczyzny zaledwie czytać umie, gdzie katechizm na pamięć wyrecytowany, nigdy nieobjaśniony, 'stanowi całą naukę religijną, gdzie zresztą pamięć sama jedyną gra rolę a rozum i czucie tępieją pod codzienną chłostą? Chłopiec kończy wreszcie kurs szkoły niższéj i tym lub owym sposobem dostaje się do seminaryum. Nauki z sobą gruntownéj nie wyniósł żadnéj, a widzieliśmy jaką straszną wyniósł zarazę i z kwatery i z klas. Zatarło się w nim wszelkie uczucie moralne. Bez wstrętu pogląda na najbezwstydniejszą rozpustę. Obchodzono się z nim ze zwierzęcą srogością, i on także będzie okrutnym. Z ojca jego wyduszano pieniądze : i on będzie zdzierał kiedy się uda; jeśli naprzykład zostanie audytorem lub starszym uczniem. Słowem, wszystko, złe, które go otaczało na kwaterze i w szkole, zawsze się w nim odbijać będzie. « *Wyjątki bardzo są rzadkie.* »

W programie nauk dawanych w seminaryach, znajdujemy : teologią, filozofią, retorykę, matematykę, fizykę,

agronomią, medycynę, i t. d. Na teologią, równie jak na filozofią i retorykę, przeznacza się dwa lata. «Wszystkiego, na nieszczęście, dają potroszku; ale to *potroszku*, blizko graniczy z *niczém*.» Tak że ostatecznie, uczeń wychodzący z seminaryum, nie jest ani teologiem, ani filozofem, ani agronomem, ani medykiem. Gorzéj jeszcze jak z nauką, ma się z jego ukształceniem moralném.

Zacznijmy od naczelników i nauczycieli. Rektor jest najważniejszą figurą w seminaryum. Rektorem tym jest zawsze mnich. Nawet wrazie że uczony, nie ma on żadnego wyobrażenia o życiu rzeczywistém, na które księża świeccy tak mocny wpływ wywierać mają. Ale: « Niech kto chce przejdzie Rossyą z końca w koniec i przysłucha się pilnie co mówią o rektorach seminaryów; dziwne on posłyszy o nich rzeczy!... »

Nauczyciele w seminaryach są po większéj części magistrami; ale pomimo tego, rzadko bardzo przynoszą uczniom korzyść należną. Przyczyną tego jest istniejąca rutyna. Aby tylko uczeń skończył kurs akademii, robią go natychmiast profesorem, chociaż się wcale na pedagoga nie kwalifikuje, choć dwóch słów porządnie złożyć nie potrafi.

I tu, jak w szkołach niższych, profesor każe uczyć się na pamięć i na tém się wszystko kończy. Uczniowie patrzą na teologią tak jak i na każdą inną naukę, « to jest jak na brzemię, od którego radziby się jak najspieszniéj wyzwolić. » Czego się na pamięć nauczą, to pamiętają póty tylko, póki są w seminaryum; po roku lub dwóch latach przebytych na parafii, zapominają wszystkiego i nie są w stanie objaśnić najmniejszego dogmatu. Od archireja do ostatniego inspektora seminaryów, każden o to się tylko stara, aby uczniowie drżeli przed nim; niedbając bynajmniéj o pozyskanie ich zaufania lub miłości. « Karz wszystkich bez litości, a będą się ciebie bali » : taki jest system zarządu w seminarych. « O filozofii śmiech mówić : jest to zbiór różnorodnego mędrko-

wania, gdzie nie ma jasnéj myśli.» O innych przedmiotach, nawet o agronomii i medycynie, to samo można powiedzieć. Wykład ich jest zupełnie powierzchowny i bez żadnego praktycznego zastosowania. Profesorowie języków francuzkiego i niemieckiego, *bez najmniejszego wyjątku*, czytać nawet w tych językach nie umieją. Łaciną i greczyzną uczniowie nie zajmują się wcale. Przy tylu przedmiotach niepotrzebnych, reprezentowanych przez nieuków a przez uczniów wyśmianych, tyle marnuje się czasu, że na naukę właściwą, seminarzyści obracają najwięcéj dwie godziny na dzień. Profesorowie przedmiotów które dla uczniów są obojętnémi, zaledwie kwadrans lub pół godziny przepędzają w klasie; a czas ten krótki przechodzi zawsze na gawędzie, żartach, i t. d. Sami nawet nauczyciele głównych nauk, nie więcéj okazują gorliwości; pięć kwadransów, uważa się aż nadto wystarczającemi na lekcyą. W tych długich «entraktach» uczniowie zajęci są czczą gadaniną, lub czytaniem wszelkiego rodzaju sprosnych książek, jakie im wpadną pod rękę.

Możemy z tego sądzić o summie wiadomości, jakich młodzież nabywa w seminaryach. Zobaczmyż ją teraz na kwaterach. Większa część ich, tak jak uczniowie szkół niższych, lokują się u biednego mieszczanina, sołdata, wdowy lub kościelnego (to jest u ludzi bardzo podejrzanéj moralności). Wpływ takiego towarzystwa jest koniecznie fatalnym, zwłaszcza że dusza młodego ucznia już przesiękła zepsuciem i brudem podczas pobytu w szkołach niższych. Dalszy to ciąg dawnego trybu; tylko że rzecz się ma teraz odwrotnie : że gdy w niższych szkołach uczniowie byli na usługi gospodarzy, tu gospodarze są na usługi uczniów. Nic powszedniejszego jak widzieć seminarzystów z fajką, przy kartach i wódce; «zdarza się i gorsze rzeczy widzieć, a to do tego stopnia, że mówić o tém nie śmiemy.» Wizyty inspektorów, na kilkuset uczniów rozsianych po całém mieście, są tylko

nominalnym dozorem; bezpośredni zaś dozorcy, starsi seminarzyści, sami pierwsi biorą udział we wszystkich, nie zawsze niewinnych zabawach. Co się po nocach dzieje, podczas których odwiedziny inspektorskie nigdy nie zagrażają, tego powiedzieć nie mamy potrzeby.

Autor w tém miejscu powstaje na wyższe duchowieństwo, które dla utrzymania księży wiejskich w ciemnocie, a zatém i niewolniczéj podległości, odrzuca wszelkie ulepszenia, jakie sam rząd miał zamiar wprowadzić: mianowicie założenie konwiktów dla seminarzystów, gdzieby wspólnie pod ścisłym dozorem mieszkać mogli. Wyrzuca im także, że kiedy Mikołaj chciał przeznaczyć pensye plebanom, biskupi oświadczyli że jéj popi wiejscy nie potrzebują. «Nie trzeba pensyi mówicie, wy bezżenni prałaci, którzy ślubowawszy dobrowolnie wstrzemięźliwość i zakonne ubóstwo, zbieracie jednakże, pomimo to, skwapliwie dziesiątki i sta tysięcy dochodu na rok; nie dosyć na tém: każdy monastyr jest dla was arendą; a pensyi także nie odrzucacie. I na co wam to wszystko? Na kuchnią, na jedwabie, na axamity, na sobolowe szuby, na *uposażenie synowic i ich dzieci!* Bo i do czegoż to już nie doszło zgorszenie w cerkwi prawosławnéj! I wy mówicie, że pensya niepotrzebna biednemu księdzu wiejskiemu, który za jakie sto rubli, w sposób często nieuczciwy z parafian uzyskanych, utrzymać musi rodzinę złożoną z dziesięciu osób!...»

Kończąc opis życia seminarzystów, autor dodaje jako fakt charakterystyczny, że *uczniowie w niedzielę tylko i święta obowiązani są bywać na mszy.*

II

Autor ciekawego rossyjskiego dzieła, którego streszczenie dla polskich czytelników zdawało się nam rzeczą

pożyteczną, przedstawiwszy katechumena byzantyńskiéj wiary, daje nam następnie poznać jéj apostoła, i ze szkoły przenosi nas do kościoła. I tu musimy się ograniczyć na głównych tylko rysach obrazu, z żalem skracając, ale żadnego nie dopuszczając się oskarżenia, któreby dosłownie nie było zawartém w tych szczerych wyznaniach. *Habemus confitentem*: i zaprawdę byłoby to rzeczą równie niepotrzebną jak dziecinną, chcieć oczernić — piekło.

Wyszedłszy z seminaryum, powiada więc nasz autor, uczeń zaczyna szukać miejsca. O bogatéj parafii w eparchii, nawet najzdolniejszemu (podług dyplomatu przynajmniéj) seminarzyście, nie ma co i myśleć. Takie miejsca zwykle dostają się synowcom biskupa; w braku zaś tych ostatnich, «hultajstwu» które biskupa otacza. «Ostry to wyraz; ale jakże inaczéj nazwać biskupich lokajów, szatnych, pisarzy i śpiewaków?» Autor daje rysopis tych różnych satelitów. Uczeń wygnany za złe prowadzenie się z seminaryum, gdy po długiéj włóczędze wciska się nakoniec do domu biskupa, zostaje zwykle tego kościelnego dostojnika lokajem; jeżeli okaże szczególne zdolności do służby, postępuje z czasem na szatnego i używa wówczas wielkiego zaufania. Pisarz, jest to kancelista bez sumienia, bez litości, bez czci i wiary, w porównaniu z którym kanceliści nawet sądu ziemskiego są niewinnémi barankami. Śpiewacy wreszcie, to gniazdo opilstwa, rozpusty, bójki; odwieczni grabieżcy cerkwi, monasterów i całego duchowieństwa. Do nich zaliczać należy prodyakona i hypodyakonów, którzy suknią jedynie od śpiewaków się różnią. «Takim to niegodziwcom dostają się najlepsze parafie, a nader wielu z nich bardzo często, stopniami, na hańbę prawosławia, postępuje na godność biskupią.»

Ale i średnią nawet parafią, seminarzysta nie inaczéj osiąść może, jak tylko za pieniądze. Przedają miejsca

więcéj ofiarującemu: albo sekretarz biskupa, mający zawsze wpływ wielki na tego ostatniego, albo też szatny. Cena dochodzi często do 200 rsr. Nie dosyć wszakże na tem, że się tych panów opłaci; podobnąż summę trzeba wnieść do konsystorza, dla otrzymania ztamtąd dobréj rekomendacyi.

Aby znaleźć potrzebną na to wszystko summę, seminarzysta szuka przedewszystkiem żony, to jest pieniędzy z żoną. Potargowawszy się z kilkoma, bierze nareszcie tę, z którą więcéj dają posagu, chociażby była zła, stara i brzydka. Inny jeszcze zostaje mu sposób, to jest: stara się aby był «przyjętym do domu.» To znaczy: szuka księdza, który z powodu starości lub oddania pod sąd, zmuszonym jest zaprzestać swoich obowiązków. Ożeniwszy się z córką jego, mieszka razem z rodziną teścia i zastępuje go w cerkwi. Jeżeli mu się jedna z tych spekulacyj nie uda, choćby żył lat sto, nie dostanie parafii do śmierci. Cały zaś ten system okazuje się równie uciążliwym dla synów popich jak dla ich córek. Na opłacenie bowiem wspomnionych wstępnych kosztów do zawodu kapłańskiego, żona musi przynieść aspirantowi w posagu 500 do 1,000 rubli; a ztąd pochodzi, że same tylko córki bogatych księży wychodzą za mąż; inne, choćby najzacniejsze i urodziwe, umierają staremi pannami.

Po tylu zabiegach i przy szczęściu, były seminarzysta zostaje w końcu jerejem (plebanem). Zobaczmyż teraz z naszym autorem, jakie go czeka życie rodzinne. W razie adoptacyi przez jereja, któremu wiek lub inne powody nie pozwalają dłużéj zajmować się służbą Bożą, nie własna wola, ale ostateczność zmusiła jednę i drugą stronę do wejścia w związki familijne: a w takim przypadku nie ma naturalnie mowy o sympatyi, nie ma żadnego względu na wartość moralną nowożeńców. Nie zbywa zaś na powodach do nieporozumienia. Jednym z głównych, stają się zwykle warunki pod któremi związek został zawarty. Teść wymaga dosłównego onych

wypełnienia; kiedy tymczasem zięć z początku nie jest w stanie, a późniéj nie chce wykonywać przyjętych przez siebie zobowiązań. Powstaje zatem kłótnia i nienawiść, a za niemi procesa i rozbrat. Żona, zamiast godzić strony, rozdmuchuje zwykle płomień. Przywykła do dawnego porządku, nie mająca żadnego wpływu na męża, który ją poślubił jedynie dla interesu, obraca się prawie zawsze przeciwko niemu. Takie usposobienie prowadzi ostatecznie do nienawiści między małżeństwem. Młody jeréj obrzydza sobie same ściany, w których żyć musi; pobyt w domu staje się dla niego męczarnią: ucieka więc z niego kiedy tylko może, do parafian, do kościelnych, do stróżni. Pozbawiony wszelkiéj siły moralnéj nad sobą samym (widzieliśmy jakie wyniósł z seminaryum zasady,) bierze się do kieliszka, — z początku, aby zagłuszyć w sobie zgryzotę; ale z czasem pijaństwo zamienia się w nałóg, staje się dla niego nieodzowną potrzebą. Gdzie tylko wódka na stole, tam i on się zjawia, proszony czy nieproszony. Czy to przy ślubie, czy przy pogrzebie, przedewszystkiem występuje na plac wódka. Rozstaje się nakoniec z teściem; ale znienawidziwszy żonę i stawszy się nałogowym pijakiem, wlecze daléj żywot nieczysty i wzgardzony. Często się zdarza, że się oddaje rozmaitym brudnym nałogom: bo cóż nie przychodzi do głowy pijanemu i nienawidzącemu żony człowiekowi? Można sobie wystawić, jakie bywają dzieci w takiéj nieszczęsnéj rodzinie! Ztąd też nic bardziéj zwyczajnego, jak widzieć w téj kaście syna, który odmawia kawałka chleba ojcu i matce, który w najcięższéj ich słabości nie tylko im nie pomaga, ale ich nawet nie odwiedza, który rodziców znieważa obelżywemi słowy, i przy pierwszéj lepszéj sposobności wygania ich z domu.

Jeżeli się trafi, że młody seminarzysta, adoptowany przez dawego jereja, znalazł dobrą żonę, i mógłby z nią być szczęśliwym, biedna kobieta, mająca ciągle przed oczyma nieustanną niezgodę między rodzicami i mężem,

płakać tylko i cierpieć może. Siły jéj nikną powoli, i po dwóch lub trzech latach, idzie do grobu. «Dla tego to, na dziesięciu jerejów, można liczyć zawsze, od czterech do pięciu wdowców.» Po śmierci żony, młody jeréj, który przez miłość dla niej żył jako-tako, szuka w kieliszku, nie już pociechy, ale zapomnienia trosk domowych i kończy na pijaństwie.

Jeżeli młody seminarzysta zajmuje opróżnioną parafię, pożycie jego z żoną rzadko bywa dobre ; zdarza się jednak czasem, że się ich charaktery zgadzają, ale i w tym razie dziwny obrót biorą rzeczy. Z posagu żony, mało się co nowożeńcom uda ocalić, na potrzeby życia ; a jednak żyć trzeba, i popadia stroić się musi. Jakiż na to środek ? Tu żona zwykle staje przewodniczką. «Mój ojciec, powiada ona, następującym sposobem zapewnił sobie dobre utrzymanie : tyle a tyle brał za ślub ; jeśli kto się wzbraniał, tak mu dokuczał, że choć nawymyślał, rad nierad zapłacić musiał ; za mszę brał tyle a tyle, inaczéj i gadać nie chciał, i t. d., i t. d. Dlaczegożbyś nie miał tak samo czynić ?» Młody jeréj, w którego duszy nie zasiano ani honoru, ani prawdy, łatwo się na to zgadza, i zaczyna niemiłosiernie zdzierać parafian. Rzadko który jeréj (ledwie pięciu na sto) nie rozpoczyna w ten sposób swego zawodu. Skutki łatwe do pojęcia. Parafianie oburzają się, i patrzą tém samém okiem na księdza, jak na każdego stanowego, to jest uważają go za *nieuniknione zło* : płacą, ale nienawidzą, i w oczy go łają. Czasami się buntują, i zmuszają jereja do zniżenia ceny. Ale w jednym jak w drugim przypadku, niknie na zawsze wszelka harmonia między plebanem a parafianami.

Dwa są źródła utrzymania dla wiejskiego księdza : dochód za śluby, pogrzeby, i t. d., i rolnictwo. W cerkwi prawosławnéj, wszystko jest na sprzedaż, nawet spowiedź i komunia. Widzieliśmy, jakich zdzierstw z tego powodu dopuszcza się duchowieństwo. Dosyć powie-

dzieć, że biedny chłopek za sam ślub musi płacić 5, 10 rubli, a nawet i więcéj. Na całéj przestrzeni Rossyi, lud nienawidzi księdza, mianowicie za te pobory, a nienawidząc księdza, nabiera wstrętu do saméjże religii. Takie usposobienie jest powodem téj głębokiéj ciemnoty, w któréj jest pogrążony lud rossyjski w rzeczach tyczących się wiary. « *Prawosławni nasi*, powiada autor, *bez żadnéj przesady, nie mają najmniejszego pojęcia o prawdach religijnych.* »

Drugiém źródłem dochodów jest rolnictwo. Tam gdzie ziemia urodzajna, zapewnia ona dobry byt księdzu i całéj jego rodzinie ; ale zobaczmy co się dzieje ze służbą Bożą. Cały zajęty staraniami za bydłem i pracą w polu, pop uważa wówczas właściwe swoje zatrudnienia, za coś podrzędnego, za przeszkodę pracom gospodarskim, które poczytuje za główny cel życia. Jeżeli go wzywają do którego z parafian z pomocą duchowną, z niechęcią — ba, nawet z przekleństwami odrywa się od zajęć około roli, szczególniéj w porze roboczéj, i ladajako odbywszy służbę, wraca co prędzéj do gospodarstwa. Przychodzi święto ; trzeba odprawić mszę : cóż to za ciężki, co za nieznośny obowiązek ; wolałby on wymłócić przez ten czas dwie kopy zboża. Odprawia nakoniec mszę : ale jak? Z nieuwagą, z roztrzepaniem z pośpiechem, aby rychléj wyrwać się z cerkwi. Słowem, pop - rolnik, jest niczem innem jak chłopem. Po dziesięciu latach takiego życia, tak dalece przywyka do tego grubego i brudnego bytu, że każde lepsze towarzystwo jest dla niego nieznośną męką ; nawet mu ciężko ubrać się przyzwoicie. Najwyższą dla niego rozkoszą, bratać się z chłopami na ich szumnych pijatykach. Chętnie on idzie do karczmy, do traktyerni ; gdzie kto tylko zaprosi. Jeśli zaś nikt nie zaprosi, to i sam się nie powstydzi spić się jak zwierzę dla towarzystwa. W wieczory zimowe opatrzywszy bydło, ani myśli wziąść książkę w rękę ; co prędzéj pospiesza na stójkę (schadzka

chłopów na ulicy w zimowe wieczory) i tam na czczéj a nieraz sprosnej gawędzie, przepędza cały wieczór. Są księża, którzy dla słabości lub innych powodów, nie pracują sami około roli. Tym nic nie pozostaje (bo najmować robotnika nie mają za co) jak udawać się z prośbą do parafian, aby ich w pracach polnych wyręczyli. Kłopotliwy to sposób gospodarowania; bo ksiądz każdemu musi się długo kłaniać nim uprosi, a chłop rossyjski, jeżeli się da nakłonić, to nie dla tego przyjdzie, żeby robić, ale żeby się napić wódki przed rozpoczęciem i na końcu pracy. Koszt to nie mały, a do tego robota idzie niedbale. «*Co większa, te roboty odbywają się zwykle w święta.*» Cóż to za przykład ksiądz daje parafianom, jakże ma potém od nich wymagać, aby siódmy dzień święcili! Daléj, ksiądz zmuszony dla zachęty poić własnemi rękoma ochotników, czyliż może powstawać przeciwko pijaństwu? Jakże ma karcić złe nałogi parafian, o których łaskę ciągle starać się musi? Nakoniec, w całym ludzie rossyjskim istnieje głęboko wkorzeniony zwyczaj: *gość nie może pić bez gospodarza.* Chłop nie przyjmie kieliszka, dopóki ksiądz do niego nie wypije, inaczéj uważa to za zniewagę. Ksiądz zatém najskromniejszy w piciu, koniecznie pić musi; w przeciwnym razie nikt mu do żniwa nie pomoże. Powoli wódka staje mu się potrzebą, i nieznośnym mu jest każden dzień, w którym sobie nie może podpić.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli, można już mieć pewne pojęcie o stosunkach popa z parafianami. Wogólności, stosunki te są bardzo gorzkie, smutne i fałszywe. Ale położenie jereja jest do najwyższego stopnia nieznośne, jeżeli w parafii znajduje się właściciel, lub co gorsza, kilku właścicieli.

Kto nie widział życia pomieszczyków na wsi, ten nie uwierzy nigdy prawdziwemu onego obrazowi. Nie mówimy tu o właścicielach bezżennych lub żyjących w separacyi z żoną, których jest niemało w każdym powie-

cie. Życie tych panów można odmalować jedném słowem : jest to najbezwstydniejsza wyuzdana rozpusta, jawna, nie szukająca cienia, i do tego stopnia posunięta, że w całych dobrach nie ma dziewicy, nie ma młodéj mężatki, któraby nie była pohańbioną, nie ma rodziny, któraby się uchronić mogła od zgubnéj zarazy właściciela. Ta nawet szlachta, co żyje w kole rodzinném, niemniéj smutny przedstawia widok. Pysznięca się przywilejem szlachectwa, klasa ta mniema, że jéj wolno żyć i działać jak się podoba, bez względu na nic i na nikogo. Wszystko co ich otacza, powinno im ulegać i drżeć przed nimi. Z powierzchowności wyglądają na ludzi ukształconych : w każdym domu szlacheckim dają się słyszeć frazesy francuzkie, fortepian i t. d., ale skoro się im bliżéj przypatrzysz, uderza boleśnie cała czczość i nędzota ich życia. Dla mężczyzn — karty, wino i psiarnia ; karty, obmowa, intrygi dla kobiet : oto jest wszystko, co stanowi treść ich żywota. Ledwie w dziesiątym domu znajdziesz bibliotekę, ale i ta składa się wyłącznie z najrozwiąźlejszych romansów francuzkich. Dla właściciela, chłop jego jest na równi z roboczym koniem. Koń powozowy wyżéj daleko stoi od poddanego, i pierwszemu nie zbywa nigdy na obroku; co do chłopa, całe staranie pomieszczyka jest, aby z niego wyssać pot, krew i wszystkie siły. Dodajmy do tego, że mało jest takich właścicieli, którzy prócz żony i dzieci prawnych, nie mają jeszcze gdzieś na folwarku, żony i dzieci z lewéj ręki.

Cóż tedy wypada czynić w takim stanie rzeczy jerejowi, jako pasterzowi dusz? Należałoby karcić, naprowadzać na dobrą drogę... Boże uchowaj ! Niech tylko ksiądz odważy się słówko powiedzieć właścicielowi, o jego nieprzykładném życiu, już jest zgubionym na zawsze. Nietylko że go wówczas właściciel do domu nie przyjmie, ale i włościanom przyjmować zakaże. Często się to zdarza, jeżeli naprzykład ksiądz, na żądanie pana, nie

chce dać ślubu parze związanéj blizkiém pokrewieństwem, albo połączyć parobka z dziewką wbrew ich woli, *lub pochować bez śledztwa człowieka, którego właściciel na śmierć zachłostać kazał!* Nie dosyć na tém, właściciel oczerni księdza takiego przed archymandrytą lub biskupem — *przed sądem zaś biskupim, właściciel zawsze ma racyą, ksiądz zawsze winien, bez wszelkiego śledztwa.*

Przy wizytacyi eparchii, biskup nie zajeżdża nigdy do dusznéj, kurnéj chaty jereja, ale do wygodnego dworu właściciela, gdzie go czeka dobry obiad i miękkie łóżko. Skargę właściciela archijeréj przyjmuje z grzecznym uśmiechem, w salonie; ksiądz oskarżony i wezwany przed biskupa, idzie do dworu dać objaśnienia. Chociażby ksiądz ten był wzorem zacności, musi gdzieś czekać na ganku, bez względu na to, że mróz dochodzi do trzydziestu stopni. Biskup zawczasu już obiecał właścicielowi, że księdza przeniesie na daleką i ubogą parafię. Nakoniec jer j drżący cały, zmęczony długiem oczekiwaniem, staje przed oblicze władyki. Nie spotyka go łagodne, apostolskie pozdrowienie, ale grubiańskie, groźne zapytanie: «coś ty tu błaźnie nabroił?» Księdzu robi się ciemno w oczach, myśli mu się plączą, i zamiast objaśnienia, zaledwie jest w stanie zdobyć się na kilka słów niewyraźnych w obronie swojéj. «A to ty jeszcze śmiesz się tłumaczyć,» woła strasznym głosem arcypasterz, «*paszoł won!*» I tak bez sądu, bez śledztwa, księdza ze wzgardą wyganiają ze wsi, i przenoszą do jakiéjś biednéj parafii, gdzie aż do śmierci nędzne wieść musi życie. W podobnym stanie rzeczy nic dziwnego, że ksiądz stara się głównie o łaskę właściciela, pokrywa milczeniem wszystkie sprosności, wypełnia wszystkie jego rozkazy i w końcu, staje się nie jerejem, ale lokajem pańskim, tylko że w innéj liberyi. Ale pobłażając bezbożnemu panu, traci koniecznie wszelki wpływ na włościan. Ci ostatni, pogardę z księdza, przenoszą i na religię samą, któréj kapłani mają dwie miary i dwie wagi.

Swobodniejszym w działaniu swojém jest jeréj w parafiach, zamieszkałych przez włościan skarbowych. Ale z drugiéj strony, nie podobna mu w tém położeniu uniknąć pijaństwa. Przy każdym obrzędzie, czeka go w każdym domu wódka i zakąska. Jeżeli przez wstrzemięźliwość, odmówi «uczcić gospodarza», spełniając kielich ile razy kolejno obchodzi, każden włościanin staje mu się wrogiem, odmawia wszelkiéj pomocy w polu, i na praźniki tak skąpą przynosi ofiarę do cerkwi, że ksiądz nie jest w stanie utrzymać się z familią. Najzgubniejszym zaś, pod względem pijaństwa obrzędem, są częste processye, odbywane przez księży po wsiach, należących do parafii, a których jedynym celem jest, wybieranie pieniędzy. Na tych missyach, mówi autor, «pijani odprawiają nabożeństwo, pijani modlą się na niém — cóż warta taka modlitwa?.....»

Spójrzmy następnie z autorem na sługi kościelne, co otaczają jereja. Ważne to grono niższego duchowieństwa, nazywające się *pryczotem*, składa się z diakona, dziaczka i pałamara. Uczeń ze szkoły niższéj duchownéj lub seminaryum wygnany za pijaństwo lub za kradzież, wałęsa się po świecie przez czas pewien, dopóki się gdzie nie otworzy miejsce kościelnego (pryczotnika). Zostaje wówczas członkiem kleru, sługą cerkwi. «Ci kościelni, godni swojego pochodzenia, są bez najmniejszéj przesady, sromotą i hańbą, — nie już stanu swego, ale *człowieczeństwa.*» Mają oni prawo wglądać we wszystkie czynności księdza, kontrolować przychód, podpisywać wszelkie kościelne dokumenta. Z takimi to ludźmi ksiądz zmuszony żyć i działać; z ich pomocą odprawia nabożeństwo i załatwia wszystkie czynności w parafii! Te złowieszcze figury, których jedynym celem w życiu jest pijaństwo i zdzierstwo, a od których kontroli zawisł, po większéj części, los jereja i jego rodziny, czyhają nieustannie na najmniejszy objaw zacniejszych uczuć w popie, aby mu nie dać zboczyć z bezdroża

brudów i niecnoty. Biada mu, jeżeli chęć do dobrego obudzi się w jego duszy! Po krótkiéj walce z pryczotnikami, albo paść musi ofiarą ich intryg i fałszywych doniesień, albo téż, co się zawsze prawie zdarza, poddaje się zupełnie ich wymaganiom i wraz z nimi zagrzęza coraz głębiéj w występkach wszelkiego rodzaju.

Bezpośrednimi zwierzchnikami duchowieństwa wiejskiego są dziekani (*błachoczynnyje*), których autor słusznie, jak zobaczemy zaraz, nazywa *złoczynnymi*. Ważny ten urząd bardzo rzadko dawanym bywa jerejowi, odznaczającemu się rozumem, ukształceniem lub życiem cnotliwém. Dostaje się on zwykle takim, którzy przez zdzierstwa nad parafianami dorobili się grosza; bo godność dziekana przedaje się zawsze za pieniądze, a często za grube pieniądze. Ten co ją kupi, pragnie odzyskać z dobrym procentem wyłożoną summę. Dziekan musi, prócz tego, utrzymywać kancelaryą, opłacać posłańców, a na to wszystko nic nie ma od rządu. Jedynym więc jego celem, z natury rzeczy, jest wydzieranie grosza gdzie i od kogo może. Mniejsza, że dziekan będzie i głupi i złego prowadzenia : byleby tylko hojnie opłacał zarząd duchowny i konsystorz, pewnym jest swego miejsca, pochwał i nagród. Ale biada dziekanowi rozumnemu i przy kładnemu, który się konsystorzowi zasługiwać nie umie. Takiego czeka niemiłosierne prześladowanie w najdrobniejszych szczegółach; tak że w końcu zmuszonym będzie zrzec się urzędowania. « Dziekan w naszém duchowieństwie, mówi autor, jest to *celnik* w najściślejszém znaczeniu tego słowa. Celem wszystkich jego czynności i jedynym celem — jest grabić, o ile mu sił stanie, i cerkwie i duchowieństwo. Proszę zapytać, we cztery oczy, pierwszego lepszego starostę cerkiewnego, wiele go dziekan na rok kosztuje... »

Jeréj źle się prowadzący, zawsze jest pewnym protekcyi dziekana, gdy mu się sowicie opłaca, dla pokrycia swoich niecnot; tymczasem ksiądz pełniący sumiennie

wszystkie obowiązki, który nie widzi potrzeby składać znacznych podatków dziekanowi, ściąga na siebie ucisk i prześladowanie. Dlatego to, występki i niecność duchowieństwa wiejskiego przechodzą wszelkie granice. Każden jeréj jest przekonany, że choćby Bóg wie czego się dopuścił, wszystko zostanie pokryte, byleby dziekana przekonał 20 lub 30 rublami; ksiądz zaś najzacniejszy, ale biedny, zawsze przegra sprawę przed dziekanem. Skarga do urzędu duchownego, do konsystorza nic tu nie nada; bo dla tych panów, dziekan, jest to mina złota, tém obfitsza, im mniéj ma sumienia. Dla takiego dziekana wszyscy w konsystorzu, zacząwszy od sekretarza aż do stróża, są najserdeczniejszymi przyjaciołmi i z każdego kłopotu na własnych wynoszą go barkach. Do biskupa apelować przeciwko dziekanowi, próżno : bo tu sekretarze i szatni trzymają jego stronę i równie jak konsystorz, przy każdéj okoliczności wynoszą jego zasługi przed archierejem. Wreszcie, ten ostatni odsyła zawsze sprawę do konsystorza, a wiadomo, że przed tym trybunałem biedny ksiądz zawsze jest winien; ukarany tedy będzie niezawodnie na przykład innym, aby się nie ważyli dopuszczać podobnego zuchwalstwa. Zostaje wprawdzie jeszcze odwołanie się do Świętego Synodu... Na ten pomysł autor odpowiada jednym wykrzyknikiem, « Och ! !... »

Gdyby, ciągnie rzecz daléj nasz pisarz, gdyby ci co się skarżą na straszne nadużycia niższych urzędników świeckich, przypatrzyć się chcieli temu co się dzieje w zarządach duchownych i w konsystorzach, zobaczyliby, że sądy ziemskie i powiatowe są tém w porównaniu z juryzdykcyami duchownemi, czém jest lekka choleryna w porównaniu do czarnéj cholery; i nie śmieliby podnosić skargi. Sama nazwa duchownych zarządów i konsystorzy, zamieniona dziś w pośmiewisko i pogardę, jest dostateczną do odstraszenia każdego uczciwego człowieka. Żaden z zasiadających tam członków, nie ma

najmniejszego pojęcia o prawach i kanonach kościelnych. Podpisują, nie czytając co im kanceliści podają. Członkowie ci, których nadętość idzie w parze z ograniczeniem, przystępni są jedynie dla tych co przychodzą z rublem, z butelką rumu albo funtem herbaty; ale się do nich nie dociśnie najzacniejszy jeréj, jeżeli się ośmielił stawić przed nimi z próżnemi rękoma. A cóż dopiéro mówić o kancelistach, składających się zwykle z dawnych seminarzystów wygnanych za pijaństwo, bójki i inne tym podobne sprawki! Sekretarz, dusza konsystorza, jest bez wyjątku, zawsze i wszędzie, najokrutniejszym biczem duchowieństwa. « Dosyć powiedzieć, że sekretarze rachują swoje roczne dochody *na dziesiątki tysięcy rubli*, wyssanych z księży wszelkiémi niegodziwémi sposobami. » Nic dziwnego, że ksiądz każdy na wieść, że jest wezwanym do konsystorza, większą czuje trwogę, jak na pokazanie się cholery w parafii. Od cholery może ocalać za pomocą Bożą; ale do kogo raz się konsystorz przyczepi, temu już nie masz ratunku. Czy winien czy nie winien, musi wieźć wszystek zapas pieniędzy, który przez mnogie lata po kopiejce zebrał. Jeżeli nie ma pieniędzy, przedaje ostatni korzec żyta i ostatnią krowę. Dość powiedzieć, ksiądz nie dostanie nawet świadectwa urodzenia dla syna lub córki, nie wydawszy w konsystorzu od 10 do 15 rub. sr. W przeciwnym razie, musi czekać kilka miesięcy.

Opis stosunków jereja z biskupem, kończy obraz pod tylą względami tak ciemny i tak przerażający. Główném, powiada autor, powołaniem archireja (biskupa) jest paść powierzoną sobie trzodę. Aby temu uczynić zadość, powinien on znać zblizka wszystkie klasy swojéj dyecezyi. Tymczasem biskup zamieszkuje ciągle miasto gubernialne, robiąc bardzo rzadkie wycieczki po parafiach, i to takich jedynie, które leżą na pocztowéj drodze (!). Mógłby on wprawdzie odpowiedzieć swoim obowiązkom, gdyby się chciał zbliżyć do jerejów; ale dla tych osta-

tnich jest on zawsze nie biskupem, ale « trójbuńczucznym baszą. » Obejście się jego z wiejskimi mianowicie jerejami, jest do najwyższego stopnia poniżające i nieludzkie. W sieniach pałacu biskupiego, w tłumie ludzi kościelnych i chłopów, można zawsze napotkać sędziwych księży, czekających na audyencyą trzy i cztery godziny; niechże przyjdzie jaka pani z wizytą, ksiądz, po długiem oczekiwaniu, odesłany będzie do jutra. Biskup w jerejach nietylko niechce uznawać sług Bożych, swoich współpracowników w Chrystusie, lecz nawet ludzi. « Trzyma księdza jak psa za drzwiami, » i wezwawszy go nakoniec na posłuchanie, kilka chwil ledwie trwające, jakby się wzdrygał nawet zbliżyć się do niego, wyciąga z progu salonu rękę dla przyjęcia prośby, aby się go jak najprędzéj pozbyć z pałacu. « O mój Zbawicielu! woła autor, dziś na tronach apostołów zasiadają sami piśmienni, doktorowie i magistrowie teologii; ale gdzież teraz szukać ducha apostolskiego, Twego ducha, który ogarnia miłością całe człowieczeństwo? »

Jakim jest biskup w swoim groźnym, nieprzystępnym pałacu, takim się i okazuje podczas wizytowania dyecezyi. « Mogąż ci nieszczęśni jereje, mówi autor kończąc rzecz o biskupach, po takiém przyjęciu u archireja, spodziewać się jakiegokolwiek poważania, nietylko od szlachty, ale nawet od lokai i chłopów parafii swojéj? »

Przechodząc do Rozkolników i okazując faktami nadzwyczajny wzrost téj sekty, autor za główny powód téj klęski daje zepsucie duchowieństwa prawosławnego. « Zło tém groźniéj się krzewiło, że lud, który i dawniéj mało był obeznany z zasadniczemi prawdami wiary, czując wszakże konieczną onéj potrzebę, postanowił sam sobie te prawdy wyszukać, albo znaleźć nauczycieli wiary z pośród siebie, nie dowierzając już żadnemu kapłanowi cerkwi prawosławnéj. »

Jakże tę wiarę przywrócić? Jakież autor podaje środki i objawia życzenia dla Kościoła, który mimo całego ze-

psucia i znikczemnienia, jednak nie przestaje mu być drogim, świętym i jedynie prawdziwym?...

III (1)

W dwóch artykułach skreśliliśmy, idąc za rossyjskim pisarzem, obraz prawosławnego duchowieństwa, i dzisiaj jeszcze wracamy do tego przedmiotu, aby zastanowić się nad reformami, które autor swemu Kościołowi doradza. Czytelnicy zrozumieją powody, dla których tyle wagi przywiązujemy do jego zeznań i opisów. Nie jestto ateusz lub zeszłowieczny reformator, nie ceni lekko dogmatów ani liturgii; nie jest także katolikiem lub innéj religii, wyznawcą. Jestto wierny prawosławny, przejęty miłością dla swego Kościoła, troskliwy o jego przyszłość. «Pisaliśmy, mówi on, z nieznośnym bolem serca; nieraz pióro wypadało nam z ręki, choć wszędzie staraliśmy się prawdę zbyt rażącą zasłaniać. Przystąpiliśmy do dzieła po dwuletniém pasowaniu się z sobą. Z jednéj strony podniecał nas okropny stan duchowieństwa: od pałaców do dymnych chat, wszędzie popa ścigają obelgi i szyderstwa; wszędzie spotyka go wstręt nieukryty, a przecież zasłużony. Budziła nas chęć aby Kościoł wydobyć z tego błota, i podnieść go do wysokiéj, cudownéj missyi, dla któréj na ziemi jest postanowiony; ta chęć podała nam pióro do ręki, ażeby złe, choćby cząstkowo, wraz z środkami zaradczémi wykazać. Lecz z drugiéj strony wstrzymywała nas bojaźń: czy zrozumieją cel naszego pisma, czy zamiast pożytku, szkody nie przyniesiem, wywołując srogą zemstę tych,

(1) *Opisanije sielskoho duchowieństwa. Ruskij Zagraniczuyj Sbornik*, IV. Paris, Franck.

którzy świadomie lub bezwiednie, kler prawosławny do sromotnego przywiedli upadku? I powiedzieliśmy sobie nakoniec : nie, jeszcze cnota nie umarła, jeszcze żyją ludzie zacni, bo inaczéj światby zaginął, jak owych pięć miast siddimskich, ogniem niebieskim zniszczonych.

Pisał więc autor co widział, co czuł, czego sam może doświadczył; książka jego przejmuje zgrozą i boleścią. Nie ma pod słońcem szkoły niemoralniejszéj nad tę, w któréj się kształci pop prawosławny; nie ma parodyi bardziéj oburzającéj, jak ów Kościoł schyzmatycki, zowiący się Chrystusowym. Sam autor przyznaje, że niczém są zdzierstwa urzędników rossyjskich, niczém najwyszukańsze sposoby wyłudzania pieniędzy, w obec bezwstydnych przebiegów, z pomocą których schyzmatyckie duchowieństwo zacenia i sprzedaje swe modlitwy, swoje duchowne posługi. Serce ściska się na myśl, do czego to służy religia. «O Boże, przez jakież to ręce (wyrzekł o schyzmie mówca znakomity), przez jakież to ręce nieczyste przechodzą Twoje Sakramenta!» Serce polskie ściska się także na myśl, ile to milionów braci naszéj zapędzono tak niedawno w szeregi prawosławia, i kazano im żyć i umierać w tém bagnie ciemnoty i wszelkiego rodzaju zepsucia!...

A przecież, jeśli uciszymy ten ból, znajdzie się tu dla nas pociecha i nauka. W każdym kraju Kościół ulega, w swéj ludzkiéj połowie, wpływom społeczeńskim i naciskowi praw cywilnych; w każdym kraju można do czasu ścieśnić jego wolność, skrzywić jego organizacyą, zwikłać jego stosunki, zneutralizować działanie. U nas téż bardziéj niż gdziekolwiek, Kościół katolicki zmuszony był walczyć z odwieczną chytrością (*avita fraude*) rossyjskiéj polityki; rząd Carów wcisnął się u nas w rodzinne, że tak powiemy, związki hierarchii kościelnéj, i między duchownymi, jednych umiał podbić, drugich przestraszyć, zaciemnić większość ogromną. Lecz mimo

tylu zdrad i gwałtów, któremi rząd polskie psował duchowieństwo, jestże zapytamy, w którejbądź najbardziéj uciśnionéj polskiéj prowincyi, tak opłakany stan katolickiego Kościoła, aby mógł iść w porównanie z tą wielką entrepryzą zdzierstwa, jaką schyzma wyobraża? A choćby nawet skutkiem podkopanéj karności duchownéj i przerwanéj z Głową Kościoła spójni, jakaś dyecezya polska stawiała żałośny obraz pasterzy niepomnych na swoje obowiązki, alboż nie widzieliśmy, kiedy w miejsce przedajnych administratorów obejmowali rządy właściwi biskupi, że wnet duch wyższy, zacniejszy, gorętszy zstępował w serca kapłanów, i co było bez życia odpadało na stronę, lub odrodzone do Pańskiéj wracało winnicy?...

Jest więc, powtarzamy, niemała w tém pociecha i dla nas nauka. Nie myślimy religii używać za broń polemiczną; lecz jeśli jako politycy lub jako historycy śledzący rozwoju cywilizacyjnego narodów, przyjrzemy się wpływowi obu Kościołów, uderzy nas przepaść, która dzieli dwa światy. Katolicyzm i Schyzma to, Ormuzd i Ariman, początek dobrego i złego podstawa, to Zachód i Wschód. słońce i noc człowieczeństwa! Próżno schyzma głosi się Bożą oblubienicą, napróżno sobie przyznaje misyą zbawiania ludzi i dźwigania ludów; jest ona tylko wierną Cara poddaną. Korzy się pod jego stopami, do tronu niewolniczo przykuta kostnieje, siebie i społeczeństwo w mumią przeradza. Sama bezduszna ducha nie odtworzy, nie zdolna nic wydać, żadnéj żądzy nie zapali szlachetnéj, żadnego nie rozbudzi natchnienia, żadnéj nawet nie ukoi boleści! Biada duszom gorącym wśród téj pustyni zrodzonym, których pragnienia wyższego nie nasyci szczęście tego świata; schyzma nie ma dla nich słowa pociechy, owszem zaprawi je goryczą, zatruje zwątpieniem, przeciw bliźnim uzbroi w rozpaczliwe szyderstwo — i wołać będą jak Puszkin lub Gogol: celu nie ma przed nami!... Więc nie jako wierni wiernych

lecz jako politycy zapytamy polityków : gdzież leży najdzielniejsza broń, nieśmiertelna siła nasza w téj walce z Moskwą, jeśli nie w téj religii właśnie, która prawdziwą, niezmienną i niezatartą naszę wyższość stanowi, i z któréj wszystkie inne wyższości wypływają jako ze źródła wiekuistego i jako z kłębka cywilizacyjnego roztaczają się? Bo, bądź co bądź, tylko wyższość moralna tworzy nieśmiertelność ludów. Ni język, ni obyczaj, ni historya, ani prawo nawet nie zabezpiecza narodu. Zabezpiecza go tylko ta dążność nadziemska, która życie wiąże z nieśmiertelnością ducha i która jest arką przymierza między Bogiem a narodem, arką żadnym nie złamaną ciosem, dopóki jéj własny ród nie znieważy!

Lecz jest w tém i druga nauka. Ta wyższość moralna nie przeminie, nie przypadek ją zrządził; iest konieczną i że tak powiemy fatalną. Bo jak od wieków i do końca wieków Polska była i będzie katolicką, tak znowu Rossya (przynajmniéj ta, jaką dziś widzimy : groźna i zaborcza) była i zostać musi schyzmatycką w pełném tego słowa znaczeniu : z nieubłaganą do katolicyzmu nienawiścią, z ciemnotą, przedajnością i wyuzdaniem swych duchownych i świeckich czynowników. Zostać musi czém była : biczem bożym, obrazem gwałtu i chytrości, z olbrzymią potęgą burzenia, z nieudolnością dokonania czegoś dobrego. Zostać musi czém była — *sit ut est, aut non sit!*... A reformy! Mówią wiele o reformach rossyjskich i w istocie nie było gałęzi służby publicznéj, któréjby w ostatnich latach sprostować nie chciano. Armia, finanse, administracya, wychowanie publiczne i sądownictwo uległy, i jeszcze ulegną, próbom reformatorskim. Zmieniano przepisy, odpędzano urzędników, kasowano bióra, całą machinę rządową do dna przetrząśnięto i wszędzie znaleziono jedno i toż samo — stare jak Rossya zepsucie. To jedno tylko nie dało się i nie da odpędzić, bo moralność służby publicznéj nie od woli rządu, ale od wpływu kościoła zawisła. Ducha tylko zre-

formować można, nie ciało; organizm da się ulepszyć, mumia skostniałą będzie na zawsze.

Reformy trzeba więc zacząć od Kościoła, i tu spotykamy się znowu z naszym jerejem. Zna on lepiéj, a przynajmniéj lepiéj niż ktokolwiek opowiada złe, którém Kościół prawosławny jest dręczony; obaczmyż gdzie i jakie doradza ulepszenia. Przedewszystkiém domaga się od władzy, aby zbudowała porządne i obszerne gmachy szkolne, w którychby seminarzyści mieszkać mogli razem z nauczycielami. Zdaje się że ma na widoku i w szkołach duchownych chciałby zaprowadzić, urządzenia szlacheckich instytutów; lecz iżby ubezpieczyć się od nadużyć profesorów i diaków, autor chce powierzyć dozór ludziom świeckim, (koniecznie *świeckim*), młodym, świeżo z uniwersytetu przybyłym, którzyby «*incognito*» przebywając w mieście, dowiadywali się o wszystkiem *potajemnie*, i raporta przesyłali rządowi. Niezmiernie mu się podoba ta potajemna kontrola. «Niechby, mówi on, świeccy rewizorowie przechodzili się jak prości podróżni po wsiach i miasteczkach, niechby wypytywali ojców i dzieci, jak w szkole idą nauki. Dowiedzieliby się wszystkiego, czego opisać nie śmiemy; wówczas — i tylko wówczas zbadawszy złe, można będzie wyrwać je z korzeniem.» Powinni zaś hojnie być wynagrodzeni, aby z niedostatku nie wydali się ze swéj missyi przed nauczycielami, i aby cel kontroli nie był w ten sposób chybiony. — W seminaryach należy całkowicie usunąć łacinę i greczyznę, bo to są martwe języki; medycyna będzie głównym po teologii przedmiotem wykładowym. Rząd zbuduje wygodną dla księdza plebanię. Aby proboszczów od zdzierstwa uchronić, należy ich dobrze zapłacić, przynajmniéj 650 rsr. rocznie. Chcąc koniec położyć niezgodom i zgorszeniom rodzinnym, potrzeba córki popów wychowywać z daleka od rodziców, kosztem rządu, w gmachach umyślnie na ten cel w każdém mieście gubernialném, urządzonych.

Tam, a nie do rodziców, młody seminarzysta zajedzie w konkury, i tam wybierze sobie małżonkę według serca, tém bardziéj, że nie będzie mu wolno przyjmować posagu. Procesye dają zawsze okazye pijaństwu, niech więc nie istnieją. Wiele bardzo zawisło od wyboru dziekana, a ponieważ w tym względzie konsystorzowi bynajmniéj ufać nie można, trzeba iżby plebani go wybierali; rząd zaś przyzna dziekanowi pensyę sowitą na życie, na kancelaryę i na służbowe wydatki. Z konsystorzami autor nie wie co począć, «chyba ich ogień niebieski spali za tę sromotę, którą na Kościół ściągają»; za to usilnie doradza, aby archi-jereje i metropolici nie z pomiędzy mnichów, ale z pomiędzy księży świeckich i żonatych byli mianowani.

Takie są rady, któremi autor chce schyzmę podźwignąć: rady, przyznać trzeba niedyskretne, bo dość przeczytać receptę podobną, aby chorobę odgadnąć. Robak zepsucia musiał stoczyć do gruntu prawosławie, jeśli ojcom-kapłanom trzeba już dzieci odbierać, trzeba rządowej poruczać opiece; jeśli nauczycieli-kapłanów trzeba przez młodych pilnować studentów, którzy się podejmą obowiązku — tajnych donosicieli. Cóż powiedzieć o innych odmianach? Reformę wychowania zaczyna autor od gmachów, reformę duchowieństwa od pensyj dostatnich; z seminaryów wypędza filologiję, w jéj miejsce każe się uczyć medycyny. Widocznie sam autor dotknięty jest niemocą, z któréj chce drugich wyleczyć. Bo nie gmachów, nie pensyj, nawet nie nauk lekarskich potrzeba przedewszystkiém temu, który ma być dusz lekarzem. Słusznie, jeśli na bursę nie idzie człowiek bez pieniędzy; ale biada Kościołowi, w którym pieniądz ma tak wielkie znaczenie! O, nie do zbawienia on prowadzi naród; *difficile est confidentes in pecuniis, in regnum Dei introire*..... A choć, jak widzimy, w tém odrodzeniu schyzmy rząd główną ma zająć rolę, bo i pensye wyznacza, i domy buduje, i nowe zakłada insty-

tucye, przecież i te nawet środki nie wystarczą, jeżeli carowie osobistéj odmówią interwencyi. W ich ręku złożona jest przyszłość prawosławia, bo tylko w ich ręku udać się może radykalne przekształcenie. «Jeżeli carowie tego dokażą, woła autor, jeśli pomazańcy Boży przeprowadzą tę reformę, to cały Sobor chrześciański, nie tylko na tym, ale i na tamtym świecie, przed tronem Króla królów wykrzyknie imię ziemskiego cara, który to zrobił, czego od czasów kniazia Włodzimierza nikt jeszcze nie zrobił, bo z nocnych ciemności wyprowadził tych, co drugich wieść powinni do jasności niebieskiej.» Lecz wnet ze drżeniem zapytuje autor: «Czy tylko duchowieństwo zasługuje na to, aby ta ręka potężna podniosła się do działania?. .» I oto z korném wyznaniem błędów i śmiertelnéj niemocy, w uczuciu strasznego zwątpienia, schyzma wyciąga błagalne dłonie i żebrze miłosierdzia — cara!..... *Morituri tibi supplicant, Cæsar!.....*

O nie, nie takim jest Kościół katolicki! Bo on nie żyje chlebem, ale duchem i krwią; bo mu nie zależy na lepszych budynkach, na lepszéj pozycyi sług swoich. On błaga Zbawiciela o kapłanów, którzyby umieli i to co mają, i siebie samych, poświęcić dla zbawienia bliźnich. Krew ofiary, to tajemnica jego dogmatu i tajemnica jego istnienia! On nie lęka się ludzkich potęg, nie cofa się przed męczeństwem i prześladowaniami, bo w prześladowaniu rośnie, a w męczeństwie zwycięża. Odarty ze wszystkiego, jeszcze jest najsilniejszy, bo ufa Temu, który przyrzekł z nim trwać do skończenia wieków. I odtąd też Kościół katolicki trzyma w swém ręku, i trzymać będzie do skończenia wieków, gorejącą pochodnię, z któréj rozchodzi się żywe światło na ludy i ludzkie dążenia!..... Lecz czego żądać i czego spodziewać się od Kościoła, który jak wąż pełzając u tronu ziemskiego, od niego dzisiaj oczekuje życia albo śmierci? Czego żądać od Kościoła bez krwi, bez misyonarzy, bez męczenników;

jakież on ma środki uświęcenia? Prawosławie nie odrodzi się z ducha, z ciała odrodzić się nie może, i zostanie czém było: żandarmeryą, która mogłaby uchronić imperyum od jawnych złoczyńców, gdyby sama nie kradła i nie rozbijała. A z swym Kościołem zostanie także Rossya czém dotąd była: potęgą złowrogich ciemności, która kiedy nie podkopuje drugich, sama siebie roztacza. *Sit ut est, aut non sit*...

Kiedy, przed lat blizko tysiącem, Wielki kniaź Włodzimierz postanowił był rzucić bałwochwalstwo, przywołał do siebie reprezentantów różnych wiar, i kazał im tłómaczyć zasady swych religij. Wysłuchawszy ich sporów, uznał że Kościół wschodni jest dla jego państwa wyznaniem najdogodniejszém, i zaraz, a z całym narodem, ochrzcił się wedle wschodniego obrządku. Do Polski inaczéj zawitało Chrześciaństwo: przyniosła je naprzód niewiasta, ślubując wiarę małżeńską polskiemu książęciu; utrwalił je śmiercią swoją wielki męczennik, twórca pieśni narodowéj, Święty Wojciech! Tak więc od samego Chrztu, te dwa narody rozeszły się, a stanowczo. W Rossyi wiara, to rzecz zimnéj rachuby, i potrzeba stanu; w Polsce, to rzecz poświęcenia, i potrzeba serca. Myśmy cierpieli, ale wierni katolicyzmowi; w Rossyi, prawosławie coraz bardziéj kształciło się na wiernego carów niewolnika. I dzisiaj Kościół jest naszą siłą żywotną, jest odrodzeniem narodu; dla Rossyi jest rakiem toczącym, jest zarodem zgnilizny. Między życia prądem, a życia trądem, mówi poeta, to tylko kwestya czasu!.....

PLAN KONSPIRACYI I KADRÓW POWSTAŃCZYCH.

3 Września.

Nietylko Burbonom dostało się w udziale, że nic nie zapomnieli, i niczego się nie nauczyli. Bywają w każdym narodzie ludzie i stronnictwa, których uszy zamknięte są przed ludzkim jękiem i upomnieniami historyi; dla których lata choćby najkrwawsze, wypadki najbliższe a najopłakańsze przemijają bez wrażenia. Pojawiła się témi dniami w Paryżu polska publikacya, dosłowny, rzecby można, przedruk owych politycznych planów, które przed piętnastoma laty tutaj drukowane, niejednego z ich autorów ledwo trochę atramentu kosztowały, lecz za które kraj płacił nieraz straszliwym krwi rozlewem, i straszniejszym jeszcze moralnym i socyalnym rozstrojem. Broszura ta, na pierwszéj swéj karcie, nosi napis: *O powstaniu polskiém, i o możliwości powstania.*

Autor, którego pewności siebie i dobremu humorowi w całéj téj, nieco spóźnionéj elukubracyi, dosyć wydziwić się nie można, stawia na samym wstępie dwa niewątpliwe pewniki: *powstać trzeba*, i *powstać można.*

Wprawdzie, jako człowiek spraw publicznych świadomy, przewiduje, że mogą się zdarzyć pewne trudności i przeszkody, ale też właśnie dla tego podjął się téj pracy, aby nas oświecić jakim sposobem obejść je, i przełamać. Będziemy się starali streścić, o ile miejsce i siły dozwolą, to szacowne pismo, z całą troskliwością, aby żadnéj z jego rad i wskazówek lekkomyślnie nie uronić.

Przeszkody, uczy autor, są przedewszystkiém w nas: w fałszywém, opłakaném pojęciu, o służbie publicznéj. W istocie, od niejakiego czasu stało się już jakby ogólném mniemaniem, że pomagać religijnemu w kraju rozwojowi, wspierać klasy cierpiące, ulepszać gospodarstwo rolnicze, podnosić stan materyalny jednéj lub drugiéj prowincyi, zajmować się narodową literaturą, przechowywać historyczne tradycye i pamiątki, to znaczy służyć ojczyznie. Jako żywo! to wszystko jest drobnym, lichym procentem od naszych narodowych obowiązków; to wszystko, wyznajmy prawdę i uderzmy się w piersi, jest małoważną i w gruncie obojętną «rozrywką». Jedyną dla nas publiczną powinnością, jedyném polem pracowania dla kraju jest: *konspirować i powstawać*; czy wojna, czy pokój, wciąż *konspirować*; i choćby najważniejsze przed nami stały zadania, nie czekać, nie zwlekać, ale *powstawać*. Autor ma powody do takiego pośpiechu: powody stanowcze, rozkazujące, choć dla kraju nie bardzo zaszczytne. «Oczekując (mówi on z właściwą sobie dobitnością i wdziękiem), znikczemniejemy, rozpodlimy się, zrośniemy się *jak psy* z tą obróżą, która nam kark uciska.....» Skoro więc o to idzie, aby od takiéj uchronić się *metempsychozy*, możnaż się wahać w środków wyborze?

Powstać trzeba! a przeto «wszelka trudność, jakkolwiek potężna, upada przed tym jednym wyrazem: Trzeba;» i ta jedna konieczność powinnaby, jak się zdaje, zdecydować wszystkich choćby najmniéj śmiałych, najmniéj w siebie i w wodzów wierzących. Ale au-

tor, może nie bez słuszności, przypuszcza, że wielu, zwłaszcza z obywateli krajowych, z niedowierzaniem słuchać będzie jego zapewnień, i tak nagle, bez wojny, bez poparcia jednego z mocarstw zachodnich, nie da się ani «namówić, ani uprosić» do powstania. Co smutniejsza: tych małowiernych, nieroztropnych, bezmyślnych i bezdusznych między szlachtą, może być większość. «Niech więc zostaną na boku», ze wspaniałém oburzeniem woła nasz autor: «*Z naszą szlachtą nie ma rady!*» Znajdą się tacy, którzy ją zastąpią, «którzy nie pożałują pracy i nie będą się targowali o poświęcenie się dla sprawy ojczystéj.»

Rączo więc brać się należy do dzieła, pomimo — a może właśnie dla tego, że «w mniejszości.» Nie mamy administracyi, wojska, skarbu, broni i arsenałów. Nie mamy, ale mieć będziemy: dusza rośnie na widok, jak się to wszystko łatwo, składnie i «prędko,» o prędko! zimprowizuje. We Francyi, dość w stolicy dokonać rewolucyi, wnet cały kraj pada pod stopy zwycięzców, i ledwie okaże się potrzeba odmienić kilku prefektów. Ale u nas, autor przezornie ostrzega, na obcą administracyą nie można liczyć, bo «wszyscy *bez wyjątku* urzędnicy w Polsce, są nasłanymi przez nieprzyjaciela szpiegami.» Niechże się mają na ostrożności: nie nasza będzie wina, jeśli po takiéj zapowiedzi doczekają się *wszyscy* losu, jaki zazwyczaj wedle praw wojennych, szpiegów spotyka!... Administracyę narodową urządzi konspiracya, czyli tak nazwane *kadry powstańcze*, które powinny być proste, liczne, szeroko całą Polskę, siecią swoją obejmujące, i — nie bez trafności dodaje autor — przed okiem nieprzyjacielskiém utajone; utaić zaś nie trudno, bo «dozór nieprzyjacielski jest jawny, napiętnowany mundurem, tytułem, orderem lub rangą...» Rozzbroiwszy w ten sposób czujność policyi moskiewskiéj i niemieckiéj, autor zwierza się poufnie z planem owych kadrów powstańczych, naznacza liczbę sprzysiężonych w powiecie

i w gubernii, i wchodzi w tym podobne szczegóły organizacyjne, których my mimo całéj ufności, jaką mamy w naszych czytelnikach, powtarzać nie chcemy, aby zbyteczném a może przedwczesném rozgłoszeniem, nie zaszkodzić tak szczęśliwemu pomysłowi.

Czytelnik zdziwi się, kiedy mu powiemy, że możnaby na tém poprzestać; w istocie, prawie wszystko już skończone. «Raz przyszedłszy do kadrów, (słowa są autora) wykonanie powstania staje się łatwém i prostém, (*łatwém szczególnie*) : zależy bowiem tylko na wypatrzeniu sposobnéj chwili i z korzystaniu z takowej.» I nie trzeba sądzić, aby w tych słowach kryła się jakaś polityczna tajemnica, aby autor miał zamiar nadużywać dobréj wiary polskich słuchaczów, i przed nimi zasłaniał przeszkody, które złamać, i liczbę wojsk, które pobić będą musieli. Owszem, obliczywszy ze ścisłością potęgę wojskową Austryi, Rossyi i Pruss, przestrzega zawczasu, że będziemy mieli przeciw sobie *milion ośmkroć dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy* żołnierza, krócéj mówiąc : dziewiętnaście armij. Może nawet ta siła przerośnie dwa miliony, «dwa miliony z okładem» powiada autor, i słusznie : bo kiedy się tak wielkiemi massami porusza, nie wypada się targować o jednę więcéj lub mniéj stutysięczną armię. Co większa, widzimy w tém nie małéj roztropności dowód, roztropności, która zawsze głębszych polityków cechuje, że autor przed rozpoczęciem kampanii, siły nieprzyjaciela raczéj za wysoko ocenia, niżby je miał przed samym sobą umniejszać.

I po co je wreszcie umniejszać, kiedy jest pewność pobicia ? W książce, która przed rokiem 1846 wielkiego u nas doznała sukcesu, i któréj zgłębieniem nasz autor umysł swój widocznie zaprawił, czytaliśmy mniéj więcéj te słowa : niech się was naprzód milion podniesie, jeśli ten pobiją, niech drugi i trzeci powstanie, a zwyciężycie napewno ! Można już teraz przeboleć, że nie posłuchano téj rady w swym czasie ; nasz autor wska-

zuje środki trafniejsze, głębiéj pomyślane. Nie chce on narażać sił narodowych po milionie ; każda kropla krwi polskiéj napróżno wylana, ciężyłaby mu na sumieniu. Większego żąda od razu wysilenia, aby tém pewniejsze od razu otrzymać zwycięztwo : i oto całą ludność Polski za jednym zamachem, rzuca na troistego nieprzyjaciela! «Gdyby (słowa są autora) jednolita masa ludu polskiego podniosła się razem, groźna a olbrzymia, to samym ogromem *dwudziesto-cztero-milionowéj* zbiorowości swojéj, przywaliłaby i na miazgę rozgniotła, te dwa miliony wymusztrowanych ludzi !...» Cóż na to powiedzieć?..... Rozumowanie jest tak silne i nieprzeparte, jak armia, o któréj mowa. Lecz jakże mizernemi wydać się nam muszą owe przechwałki Francuzów, co uchodząc za najbitniejszy w świecie naród, przyznają przecież sami, że w razie nowego na ich kraj koalicyi napadu, stanęłoby do obrony ledwo półtora miliona żołnierzy, licząc już w to gwardyę narodową!

Wiadomo, że cesarz Napoleon I, obmyślając plan kampanii, zostawiał sobie zawsze możność użycia kilku innych kombinacyj, na przypadek, gdyby mu główny nie udał się pomysł. Nasz autor czyni podobnie. « Zaliczmy, mówi on, do niepodobieństw, do *pia desideria*, zgotowanie na wroga tego jednorazowego, wszechdruzgocącego piorunu;» niechby «nieroztropność szlachecka» nie dozwoliła urządzić « ogólnego, jednoczesnego na całéj jak ona długa i szeroka, polskiéj ziemi powstania ! » to i wtedy nic jeszcze nie jest straconém : bo wtedy właśnie przychodzi na ratunek owa genijalna konstrukcya powstańczych kadrów, która « zneutralizować ma nieprzyjaciela, » a greckich heteryj wzorem (?) przysposobi broń i rynsztunek. Kadry mają także, jak wiadomo, « wypatrywać » stosownéj chwili do wydania walki ; skoro zaś takowa nadejdzie, «trudno» powtarzamy słowa autora « aby dobrze przygotowane powstanie » miało się nieudać. Przypuszczamy, że wybuch wywołany

» w kilku punktach, udał się tylko w jednym. Jakież jest » następstwo tego udania się ? Oto powstanie spycha nie- » przyjaciela, oczyszcza za sobą pewną przestrzeń kraju i » rozrządza samowładnie wszystkiemi resursami onego. » Jeżeli władza będzie energiczną, to całą ludność oswo- » bodzoną zrewolucyonizowawszy do dna, za- » mieni ją na wojsko, a wszystkie zasoby oswobodzonego » kraju na broń i amunicyą, i to tak prędko i tak do- » brze, aby powracający zdobywca spotkał już na drodze » swéj armię narodową, gotową przyjąć go w żelazne » uściski. Mając armię, chociażby niewielką, zadanie » upraszcza się, bo schodzi do warunków zwykłéj wojny, » *zależnych najzupełniéj od zdolności wodza.* »

W broszurze, która na kilka tygodni przed rozpoczęciem wojny włoskiéj ogłoszona, tak wielkie w całym świecie sprawiła wrażenie, czytamy : że Włosi, mimo Piemontu i kilku drobnych państw, gotowe przecież wojska mających, nie mogliby cokolwiek mówią rewolucyoniści, własnemi siły wybić się na niepodległość; że rewolucye zdolne są wprawdzie tworzyć ludzi zapału, ale w ciągu jednego dnia nie wydadzą ani żołnierzy w boju zaprawnych, ani silnéj organizacyi wojskowéj, ani tego ogromu materyałów, tak niezbędnego w wojnie, choćby z jedném mocarstwem pierwszego rzędu prowadzonéj, że Włosi aby obronić się od Austryi, musieliby wystawić 200,000 dobrze wyćwiczonych żołnierzy, z tych 20,000 jazdy; nadto 500 sztuk artyleryi polowej, 200 dział oblężniczych, co wymaga około 50,000 pociągowych koni; że aby te zasoby wojenne przygotować, lat dziesięciu przynajmniéj potrzebuje rząd silny i energiczny.....

Tak mówi cesarz Napoleon III; nasz autor innego jest zdania. On powiada, że każda gubernija «*tuli* w swoich fałdach» na rozporządzenie powstania najmniéj 30,000 ludzi, których potrzeba tylko zszeregować i uzbroić. «Owóż, zszeregowanie i uzbrojenie będąc założeniem

czysto mechanicznèm, rozwiązującém się technicznemi, utartemi, dokładnie znajomemi i ułatwionemi środkami, nie przedstawia najmniejszych (*sic*) nieprzełamanych trudności. Każdy z *oznajomionych* z techniką wojskową, a *nie przesiąkniętych uprzedzeniami rutyny*, wie o tém doskonale, że aby podzielić ludzi na bataliony, szwadrony i baterye, i poprowadzić do boju — wyrobionego żołnierza — dość na to kilku tygodni.» — Tyle, co do żołnierzy. Wprawdzie pozostaje wątpliwość, zkąd wziąść około czterech tysięcy podoficerów i oficerów, których przecie w ciągu kilku tygodni wyrobić nie można ; jakim sposobem w tak krótkim czasie urządzić pociągi, służbę lekarską, intendenturę, warsztaty wojenne, i t. p. ale autor uspakaja nas zaręczeniem, że to wszystko *najzupełniéj* «od zdolności wodza» zależy. Polegając więc na niéj *najzupełniéj*, nie zatrzymamy się już nad częścią ściśle strategiczną broszury, (jak : o dogodności płaszczyzn polskich dla młodych armij, o niemylnym sekrecie wygubiania wojsk nieprzyjacielskich, z pomnażaniem swoich,) a przejdziemy do innych warunków niemniéj koniecznych w wojnie regularnéj.

A naprzód co do skarbu, rzecz pójdzie jak najłatwiéj. Kiedy w początkach kampanii wschodniéj, ekonomiści francuzcy, obliczając dochody Rossyi, przewidywali że ona wojny z Zachodem pół roku wytrzymać nie może, odpowiedziano im żartobliwie : pytajcie zająca, za co sobie buty sprawia na zimę? Niechaj więc rządy regularne troszczą się obciążaniem budżetu, układają się z Izbami, w chwili wojny przywabiają do siebie kapitalistów, zyskowną pożyczką. My, dzięki Bogu, do tych środków uciekać się nie będziemy ; nam ani na wojsko, ani na żywność pieniędzy nie potrzeba. A z resztą, «każdéj chwili (mówi autor), w każdéj gubernii kilka przynajmniéj milionów *znaleźć* można.» Władza sprężysta, «nie oglądając się na ludzkie względy, ześrodkowując całą ludzką działalność», potrafi z mieszkańców «*wydo-*

być do ostatniego grosza.» Z tym kapitałem w pogotowiu, już nas «*ambarasować* nie będzie *brak broni*.....» «Gdy nim brzękniem w obliczu Europy, gdy jéj szepniem *telegrafem* o *potrójnéj* cenie, płaconéj za dostawioną na miejsce broń, to spekulanci na wyścigi podążą z transportem.» Jeśli zaś za wielką się wyda potrójna cena, to i temu mogliby gdyby chcieli, obywatele polscy zaradzić, nie czekając aż broń zdrożeje, ale zawczasu przygotowując arsenały! «Na to potrzeba (woła autor), ażebyście odłożyli setną — nie, tysiączną część od zbytków waszych, i złożyli to razem, i założyli za to arsenał polski, na jakimbądź punkcie globu ziemskiego. Statki parowe, koleje żelazne, *przy pomocy telegrafów elektrycznych*, dostawiłyby go wam na czas i miejsce oznaczone.»

Taki jest, pokrótce opowiedziany, plan insurekcyjny naszego autora. Przygotowawszy kadry spiskowe, trzydziestotysięczny korpus, zdolnego wodza, skarb i arsenały, możemy i powinniśmy bez wahania wojnę rozpocząć, jeśli nie w imie Boże, to w imie rewolucyi! Będzie to dzieło zaprawdę nie zwykłe: nie ma w Europie państwa, któreby z osobna, pojedynczo, chciało prowadzić wojnę zaczepną, choćby z jedną Rossyą tylko. Rzeczywiście nie odważyłaby się na to ani Anglia, ani Austrya, ani nawet Francya; zmuszone do walki, każde z nich postarałoby się przedewszystkiém o sprzymierzeńca. My sprzymierzeńca nie mamy; ale to nas nie odstraszy, abyśmy śmiało i rezolutnie nie mieli rzucić rękawicy trzem naraz ciemięzcom. I nic dziwnego: zadanie jakkolwiek trudne «mieści się (autor zaręcza) w granicach ludzkiéj dającéj się ściśle obrachować możliwości, i w razie powodzenia wyswobadza Polskę.» A nic nie szkodzi, w razie niepowodzenia, «*bo to będzie etapa, posuwająca sprawę wyswobodzenia o jeden krok naprzód;* będzie to *ćwiczenie* sił publicznych.» «Po każdym więc upadku, że użyjemy francuzkiego wyrażenia: *ce sera à recommencer*...»

I w istocie, w razie niepowodzenia, cóż szkodzi, że po kraju zgnębionym, spustoszałym, zniszczonym, pożogą i krwią zalanym, hasać będzie kozactwo, unosząc na pikach ciała naszych dziatek, a z sobą nasz dobytek i cześć naszych niewiast; że kilkuset najszlachetniejszych powieszą lub rozstrzelą, że kilka tysięcy zapędzą na Kaukaz, za Ural, zamkną w minach Nerczyńska, w lochach Szpilbergu, w ciemnicach Munkaczu; że kilka tysięcy innych pójdzie znowu na tułactwo, ale tą razą bez chwały dla siebie, bez pożytku dla narodu?...» Używając francuzkiego wyrażenia: *ce sera à recommencer!* »

Cóż szkodzi, że nad jedną częścią poczciwego ludu, który pójdzie wraz z swymi panami za Krzyżem i Białym Orłem, pastwić się będą oprawcy z Fischau i z pod Zamościa, a zaś dla innéj, rząd austryacki odnajdzie swego Szelę a rossyjski swego Żelezniaka; że lud odurzony, uwiedziony, przez ciemięzców podstępnie podżegany, i inną niż nasz pisarz nadając myśl tym słowom: « *z naszą szlachtą nie ma rady!* » powtórzy znów zbrodnie Kaima, po ziemiach ruskich w szlachcie już nie tylko kastę ale całą Polskę wytępi, i wrogom zwycięzkim da sposobność pochwalenia się przed światem, że wierni kmiecie sami uśmierzyli szlacheckich miateżników?...» Będzie to etapą, posuwającą sprawę wyswobodzenia o jeden krok naprzód!

Cóż szkodzi, że uronim te ani «prędko» ani «łatwo» ale krwawo i mozolnie zdobyte korzyści, które jakąś lepszą przyszłość różnym prowincyom rokują, zraniony i zchorzały nasz organizm do jakichkolwiek sił przywracają, i materyalne i moralne jakieś dźwiganie się czynią podobném; że resztki naszych instytucyj, zakładów i zbiorów, o które się zaczepia myśl polska i polska tradycya, pójdą znowu w rozproszenie; że w szkołach już ostatecznie i bez podziału zapanuje język ciemięzców, systematyczna ciemnota i niemoralność; że pod rządem

samych już tylko Bibikowów, Murawiewów, Szypowów, Trubeckich, Muchanowów, Putkammerów i Kriegów spełni się co do joty słowo autora, i wszyscy urzędnicy będą bez wyjątku szpiegami, bo bez wyjątku cudzoziemcami; że w Warszawie znowu ogłoszą licytacyą na wywiezienie polskich dzieci, rodziny jednodworców znowu tysiącami popędzi wróg na zaludnienie stepów zadońskich; że wśród powszechnego terroryzmu i prostracyi nawet kapłani Chrystusowi krzyż z rąk opuszczą i zachwieje się może najsilniejszy filar naszéj narodowości, Kościół katolicki w Polsce; że nowe obszary ziemi polskiéj, z rąk polskich wydarte, przejdą w posiadanie rossyjskich jenerałów i niemieckich osadników?... «Używając francuzkiego wyrażenia *ce sera à recommencer!*»

Cóż szkodzi, że święte przymierze trzech mocarstw na grobie Polski podpisane, a które dzisiaj polityka cywilizacyi i sprawiedliwości wszystkiemi siły rozerwać probuje, naszém wyzwaniem wzmocnim, utrwalim i pękające despotyzmu obróże napowrót krwią polską zlutujem; że powtarzane usiłowań polskich rozbicia rzucą nakoniec w umysły Zachodu zwątpienie o żywotności kraju, który ani na właściwém miejscu i właściwemi środkami działać, ani nawet czekać nie umie, który mimo wiekowych upomnień i świeżo wskazanéj we Włoszech drogi, może i zapowiedzi, nie gotuje się do bytu ale do samobójstwa, i resztę swego mienia i imienia stawia na kartę niechybnie przegrywającą?... «Będzie to etapą, posuwającą sprawę wyswobodzenia o jeden krok naprzód!»

Cóż szkodzi wreszcie, że nietylko Zachód o nas, ale i my sami o sobie zwątpimy; że straciwszy do reszty nadzieję, zawsze tylko krwawe i zawsze tylko niepożyteczne widząc przed sobą ofiary, ludzie w Polsce przypomną sobie, że nie tylko są Polakami ale i ludźmi, że są ojcami rodzin i względem dzieci nietylko polskie lecz i

ludzkie mają obowiązki i że zadaniem życia nie może być ciągłe konanie? A jeśli wówczas wycieńczona do ostatka tém dziecinném i złoczynném szarpaniem, w własném łonie rozdarta, bratobójczą ręką do szału i rozpaczy przywiedziona, ojczyzna nasza rzuci się w objęcia choćby — Cara i zażąda choćby spokoju grobu?... O! wtedy to będzie ostatnia etapa do celu, i używając francuzkiego wyrażenia : *il n'y aura plus à recommencer!...* »

Nie mamy tych obaw. Widzimy, że kraj inaczéj od autora pojmuje co trzeba, i co można, i w tym kierunku, acz na inném polu, pragnie mu z swéj strony dopomódz emigracya. Pragną mu dopomódz, ci przynajmniéj, którzy umieją cenić wszelką pracę organiczną i trwałą, którzy brak zastanowienia i grubą rzeczy nieświadomość nie mienią być odwagą i dla których niecierpliwość nie jest bynajmniéj dowodem gorącéj miłości Ojczyzny. Wprawdzie dziwić się nie trzeba, że w społeczeństwie tak nieszczęśliwém i znękaném są ludzie, którym schorzała fantazya jedynym jest doradzcą, Epimenidesy, co mają dar spać przez lata, w ciągu których szkodzić nie mogli, a gdy się budzą, myślą że im po dawnemu wolno będzie dla własnéj zabawy i herostratowéj sławy igrać z losem narodu! Ale jeśli szał jest powołaniem szaleńców, to czujność, przezorność i swych opinij odwaga, jest zadaniem i obowiązkiem wszystkich prawych, zacnych, a już tak ciężko wypróbowanych obywateli.

ZAPIS KONSTANTEGO ŚWIDZIŃSKIEGO.

17 Września.

Znajoma jest czytelnikom naszym sprawa, jaka przed trzema laty wytoczyła się z powodu zapisu ś. p. Świdzińskiego. Donosiliśmy o jéj przebiegu, ograniczając się na prostém powtórzeniu wiadomości powziętych z dzienników krajowych; podaliśmy również z tych źródeł, i bez żadnych uwag, treść « oznajmienia » ogłoszonego przez wykonawcę testamentu, w którém wyrażona ostateczna jego wola przecina wszelkie niepewności i czyni daremnemi nadal rozprawy, rady lub narzekania. Wstrzymaliśmy się od nich, raz dla tego, że z daleka trudno było oceniać istotne pobudki drażliwości sporu; powtóre, że zdaniem naszém zbyt pochopne i niedość pomiarkowane odzywania się w dziennikach, popychały rzecz w kierunku przeciwnym celowi. Ale może kto powiedzieć : *co* i *na co* mamy teraz mówić, kiedy wszystko zdaje się być rozstrzygnięte i nieodzownie postanowione? Otóż mniemamy inaczéj i sądzimy, że właśnie od punktu, na którym margrabia Wielopolski stanął, otwiera się dla niego pole, gdzie stosownem działaniem, cokolwiek dotąd źle czy dobrze się zrobiło, uczynić obo-

jętném, i najistotniejszym intencyom legatora, a zatém i swoim obowiązkom, chwalebnie odpowiedzieć może. Jedynie dla jaśniejszego wytłómaczenia naszéj myśli rzucimy nieco wzrokiem na upłyniony tok sprawy.

We wszystkich niemal sporach, które dotykają interesu ogólnego a przychodzą pod sąd trybunału, zdarza się to częstokroć, że słuszność i prawość nie są z sobą w zgodzie, i wyrok urzędowy, sprawiedliwy według litery, może sprzeciwiać się wyrokowi opinii publicznéj, sprawiedliwemu wedle sumienia. Sprawa, wynikła z zapisu Świdzińskiego, pod pewnym względem znalazła się w tym przypadku. Inaczéj być nie mogło, gdy zamiary nieboszczyka powierzone przyjacielowi do wykonania w nieograniczoném zaufaniu, stały się zawisłemi od dosłównego tłómaczenia brzmień testamentu, i ten, co właściwie był tylko *obarczony* wykonaniem, musiał naprzód sądownie ustalić swe prawa jako *obdarzony*. Publiczność, albo przynajmniéj jéj cząstka, przyznająca sobie prawo przemawiania w imieniu ogółu, poczęła objawiać nieufność, krewni zaś zmarłego przedsięwzięli w swoim interesie, zniweczyć testament. Odrazu tedy zaszły powikłania i niesnaski, wśród których osoby i strony występują w jakichś dziwnie niewłaściwych rolach. Obdarzający zdaje się niczego nie stanowić, niczego nie nakazywać, tylko życzy, błaga, poleca; a chociaż najcenniejszy zbiór swój widocznie przekazuje społeczności narodowéj, oddaje go całkiem w ręce i pod rozporządzenie mianowanego spadkobiercy i wykonawcy swojéj woli. Uproszony i zobowiązany spadkobierca przybiera postać samowładnego właściciela daru, wspaniałomyślnego dobroczyńcy, od którego publiczność, będąca jedynym celem troskliwości nieboszczyka, wiele spodziewać się ale niczego domagać się nie może. Na wszelkie więc dopominania się, insynuacye, obawy, zarzuty, odpowiadał milczeniem wyniosłém i cierpkiém; przemawiał tylko przed sądowemi kra-

tkami, i otrzymawszy wyrok zostawujący mu zupełną dowolność, oznajmił co i jak uczynić postanowił... z obowiązku czy z łaski? — Już to nic nikomu do tego. Rozprawa skończona zupełnie na drodze urzędowéj, przeszła całkiem przed sąd moralny.

Nie mamy ani potrzeby, ani nawet możności wchodzić w szczegółowy rozbiór punktów testamentu i postanowień wykonawcy jego. Ktoby chciał szukać własnego o tém przeświadczenia, ma do tego dostateczny materyał w publikacyi, będącéj początkiem wykonania najistotniejszego, jak sądzimy, przeznaczenia legatu (1). Tom obecnie ogłoszony zawiera trzy oddziały: I, Zapis Konstantego Świdzińskiego; II, Pisma rozmaite Konstantego Świdzińskiego; III, Mathiæ Sliwnicii constitutiones Sigismundianæ.

Pierwszy oddział, poświęcony głównie wykładowi toku całéj sprawy, ma na czele owe oznajmienie, które jest ostatecznym jéj wypadkiem. Spadkobierca, tłómacząc się zwięźle, ale, o ile okoliczności krajowe dozwalały, dosyć jasno, z powodów które nim kierowały w wykonaniu testamentu, gdzie miał wyraźnie zaleconą troskliwość o rozszerzenie, bezpieczeństwo i użyteczność publiczną powierzonego sobie daru, oświadcza iż postanowił: zasobne zbiory swoje łącząc ze zbiorami ś. p. Świdzińskiego, utworzyć z nich jednę bibliotekę ordynacyi Myszkowskiéj; bibliotekę tę, obejmującą muzeum starożytności i galeryą obrazów, zabezpieczając godłem własności prywatnéj, umieścić na ziemi ordynackiéj w Chrobrzu; następnie otworzyć ją na użytek publiczny, ofiarując się podejmować gościnnie chcą-

(1) Publikacya ta nosi tytuł: Biblioteka Ordynacyi Myszkowskiej. *Zapis Konstantego Świdzińskiego. Rok* 1859. (Z ryciną i tablicą litograficzną.) — *W Krakowie, w drukarni c. k. Uniwersytetu Jagielońskiego, nakładem zapisu Świdzińskiego z Ordynacyą Myszkowską połączonego.* In 4°, stronic numerowanych 146, nienumerowanych 3.

cych z niéj korzystać; nakoniec, stosownie do woli ś. p. Świdzińskiego, zająć się wydawnictwem rękopisów z funduszów na ten cel przeznaczonych, czego właśnie początkiem jest publikacya niniejsza.

Bez wątpienia, we wszystkich tych głównych postanowieniach i środkach zamierzonych do ich rozwinięcia, widać oględny rozmysł, szczerą chęć dobra, choćby przy niéj dała się postrzedz jakaś nietrafność. Są jednak zarzuty, których tém bardziéj lekceważyć nie należy, że już odzywały się w przewidzeniach tego co nastąpić może, a potém co nastąpiło, nabrały, pozornie przynajmniéj, większego znaczenia i jątrzą umysły ze szkodą dla rzeczy.

Od samego początku podejrzywano margrabię Wielopolskiego, że mając podaną sobie sposobność i zachętę do przyczynienia blasku swemu domowi, może unieść się w tém zbyt daleko i zboczyć od właściwego celu. Dzisiaj wielu ma te podejrzenia za stwierdzone. Biblioteka Ordynacyi Myszkowskiéj zdaje się im budową, w któréj kamień węgielny, trudem całego życia położony przez Świdzińskiego, zniknął z widoku; zasługa dodatkowa zakryła istotną, brylant rzeczywistéj wartości, skrył się w pysznéj oprawie margrabiowskiéj korony. Jestto delikatna materya, któréj opinia publiczna nie powinnaby była dotykać. Rozrachunek w téj mierze między żyjącym a zmarłym przyjacielem, należałoby zupełnie zostawić im samym. Rozumieli się oni zawsze, łączyła ich wspólność skłonności i wyobrażeń; nikt obcy ręczyć nie może, czy p. Wielopolski pod tym względem obraża lub zadawalnia wolę Świdzińskiego. Z resztą, godziwie jest i pięknie starać się uświetnić swoje imię zasługą dla dobra ogólnego, a jakie w tém przemagają pobudki, to także trudno i najczęściéj niepotrzebnie rozsądzać: najlepiéj pójść w tym razie za nauką Ewangelii i nie mając za złe pielęgnowania drzew genealogicznych, sądzić je podług owoców. Otóż owoce

roztrzygną i jak spodziewamy się zatrą tę kwestyą, więcéj mającą w sobie chwilowego rozdrażnienia niżeli rzeczywistéj wagi.

Daleko istotniejszym, bardziéj z interesem ogółu związanym jest zarzut, odnoszący się do umieszczenia biblioteki. Ś. p. Świdziński nie wyrzekł w tém nic stanowczego, prosił tylko swego legataryusza ażeby on, bądź w legowanym jego majątku Sulgostowie, bądź w mieście Warszawie, lub gdzie uzna najstosowniéj do ich przeznaczenia, umieścił powierzone sobie zbiory; nie powiedział nawet wyraźnie, że mają stać się publicznémi, zalecił wszakże złożyć je w miejscu «dostępném dla świata uczonego.» Miał tedy margrabia zostawioną sobie zupełną wolność wyboru, miał słuszne powody opuścić Sulgostów, miał prawo — chociaż nieco złośliwie powiedzieć, że świat uczony polski nie zamyka się w Warszawie; mimo to wszystko, darmo byłoby dowodzić, że Chroberz dostatecznie zastąpił Warszawę. Wcale co innego, mieszkając ciągle lub czasowo w stolicy, pójść do biblioteki otwartéj dla wszystkich, a co innego, po zapewnieniu się pierwéj czy się należy do jednéj z kategoryi, acz bardzo rozległego regestru zaproszonych, wybrać się w podróż do Chrobrza i tam być gościem. Margrabia ofiarował gościnę pewnie z całą uprzejmością i szczerością staropolską; są jednak delikatne względy, które mogą bardzo ograniczać skutek jego szlachetnych chęci. W ogóle łatwiéj jest ofiarować niżeli przyjmować, a tu jeszcze należało baczyć na szczególne okoliczności. Świat nasz uczony, czyli lepiéj mówiąc, literacki, składa się, z małym wyjątkiem, z ludzi niedostatnich, zmuszonych pracować na własne utrzymanie, częstokroć poświęcających zatrudnieniom literackim godziny od spoczynku oderwane. Zasługują oni przeto na rzetelny szacunek i mają prawo do uczucia godności własnéj, a wielu z nich w sporze obecnym zostało dotkliwie obrażonych. Jedni więc nie będą mo-

gli, drudzy dla sprawiedliwéj przyczyny nie zechcą korzystać z zaprosin do Chrobrza. Głównym argumentem, którym p. Wielopolski swój wybór miejsca popiera, jest wzgląd na ubezpieczenie i utwierdzenie zbiorów. Osądził on, że to się znajdzie zupełnie pod tarczą własności prywatnéj i instytucyi ordynackiéj. Nie będziemy wchodzili w rozbiór, czy ta tarcza nie mogłaby również osłaniać domu bibliotecznego w Warszawie, ale zawsze nie zdaje się ona nam być tak pewną i silną, żeby już dla schroni pod nią, należało poświęcić wszelkie inne widoki. Wszakże i biblioteka Puławska była własnością prywatną... Zapewne margrabiowie Wielopolscy nie zrobili i nie zrobią ślubu być takimi strażnikami papierowych skarbów naszéj przeszłości, żeby już żadna inna potrzeba ojczyzny nie pociągnęła ich nigdy na pole ważniejszych i świętych obowiązków: a wtedy cóż jest pewnego i bezpiecznego! Nie można jednak mieć za złe legataryuszowi, że w granicach zostawionych ludzkiemu przewidzeniu, szukał środków ostrożności. Poszedł on w tém nietylko za radą zimnego swego rozsądku, ale i po części za upowszechnionem u nas wyobrażeniem. Nauczeni i przerażeni tylokrotnémi przykładami rabunków, rozproszeń i grabieży naszych zbiorów, ulegliśmy temu instynktowi właściwemu nieszczęśliwym i uciemiężonym, który przedewszystkiém każe wszelki skarb zakopać. Wielu pomiędzy nami mniema, że głównie o to idzie, aby co uda się zgromadzić, ukryć bezpiecznie, zamknąć, przechować na kiedyś, na lepsze czasy, choćby bez obecnego użytku. Mniemanie dające się usprawiedliwić, ale mylne. Użyteczność jak najprędsza i najrozleglejsza powinna mieć pierwszeństwo przed zachowaniem, bo jest razem najpewniejszym środkiem zachowania. Biblioteki mają najdotkliwszą stronę w swoich zabytkach rękopiśmiennych. Książki mogą być rozproszone i znowu skupione; to tylko narażone jest na stratę nieodzowną, co nie przeszło do druku. Stosując

tę myśl, jak sądzimy słuszną, do obecnego przypadku, możnaby wyciągnąć następne wnioski. Naprzód, lepiéj byłoby gdyby biblioteka obejmująca zbiory Świdzińskiego znajdowała się w Warszawie; ale przeniesienie jéj do Chrobrza nie jest niepowetowaną szkodą, bo publiczność jak dotąd obchodziła się bez tego co p. Wielopolski przydał, tak i nadal mogłaby się obejść, a rękopisa i rzadkości stanowiące główny skarb zapisu, zawsze tylko niewielu specyalnych pracowników przyciągałyby do siebie. Powtóre, gdy użyteczność z tych źródeł polega najbardziéj na wskazaném i uposażoném przez legatora wydawnictwie, ufać należy, że legataryusz możny, światły i energiczny, powodowany uczuciem obowiązku i szlachetną ambicyą, spełni z nadmiarem, co już obiecał i czego godzi się spodziewać po nim, byleby do tylu dobrych swoich usposobień chciał przydać cokolwiek więcéj wyrozumiałości.

W dalszym ciągu pierwszego oddziału publikacyi, po ultimatyczném oznajmieniu następuje długi szereg artykułów rozmaitéj treści. Są tam dokumenta służące do poznania sprawy, jak testament Świdzińskiego, wyroki sądowe, i t. d., są dwie mowy pana Alexandra Wielopolskiego, będące nowym dowodem dawno przyznanego jemu talentu oratorskiego; najwięcéj miejsca zajmują pisma polemiczne, odwołujące się niby «od rozmarzonéj, do trzeźwéj opinii» a nacechowane lekceważeniem wszelkiéj, i przeznaczone na «pognębienie przeciwników.» Nie można ich odczytywać bez upadku otuchy. Będą one smutną pamiątką zaszłych sporów, a dziś są materyałem zażegającym rozjątrzenie umysłów. Najprzykrzejsze zaś wrażenie sprawują przypisy, które margrabia synowi swojemu Zygmuntowi porobić dozwolił. Niezaszczytne to pierwsze wystąpienie na polu pisarskiém, nie dobréj wróżby pierwszy krok w zawodzie obywatelskim, następcy ordynata. Obok wielu cytatów przebija ciągle złe ukształcenie serca, błędne po-

jęcie godności i mocy charakteru. Syn, wyprzedzając ojca, zdaje się przyjmować za zasadę w całéj pełności tę maxymę Mikołajowską, że trzeba starać się o *bojaźń*, nie o *miłość*: «Nie zaczepiamy nikogo, — powiada — lecz gdy kto zastąpi nam drogę, lubimy dać się we znaki.» Tak zająwszy stanowisko niby tylko obronne, grozi przeciwnikom, obiecuje używać przeciw nim wszelkiéj broni, usiłuje chłostać dowcipem i humoryzmem, które obciążone jadem, zamieniają się najczęściéj w grubą i poziomą złośliwość. Prawdziwa wzniosłość duszy i prawdziwe uczucie własnéj niewinności, doradzałyby użycia innego sposobu i innego tonu. Jeżeli bowiem wina ma zależéć całkiem od źródła, zkąd wynikła nieufność, podejrzliwość, a następnie cała zwada, to szczery rachunek sumienia kazałby panom Wielopolskim być wyrozumialszymi dla strony, którą nazywają zaczepną, chociaż i téj nie można uwolnić od zarzutów o brak taktu i przezorniejszego względu na cel główny. Źródło to, nie sięgając głębiéj, można odkryć w dość świeżych wspomnieniach.

Po krwawéj i haniebnéj pamięci wypadkach galicyjskich 1846 roku, ukazał się w języku francuzkim list do księcia Metternicha (1), napisany w sposób znakomity, lecz przedstawiający Polsce, jako jedyny pozostały dla niéj systemat dążeń politycznych, szczere i serdeczne pod niejakiemi warunkami połączenie się z Rossyą. List ten, obrażający równie instynkt, jak najgłębsze uczucia narodu, wywołał wielkie echo, i sprawił bardzo bolesne wrażenie. Głos powszechny autorstwo jego przypisywał panu margrabi Alexandrowi Wielopolskiemu. Wprawdzie margrabia mimo całéj odwagi, jaką zawsze okazywał i okazuje w walce z opiniją publiczną, nie przyznał się nigdy do tego pisma; ale téż i nigdy się go nie zaparł. Jednakże w kilka lat potém dał niejako po-

(1) Lettre d'un Gentilhomme polonais à M. le Prince de Metternich.

twierdzenie, czynem teoryi w nim wyłożonéj, zezwalając, aby najstarszy syn jego, przyszły dziedzic margrabstwa Myszkowskich, wstąpił jako ochotnik w szeregi rossyjskie!... Dziś, to wszystko minęło, i do niepowrotnéj przeszłości należy; ale czyż można się dziwić, że przez chwilę pojawiło się w opinii usposobienie niesłonne do polegania na panach margrabiach, w rzeczy interesu narodowego, z nieograniczoną ufnością? A jak to usposobienie łatwo było naprawić, tak łatwiéj jeszcze lada znakiem natężyć i rozdrażnić.

Daje się tedy wytłómaczyć pewien niepokój, który spowodował zabiegi zbyt pospieszne lub niezręczne, i owa «gadatliwość niepoprawnego dziennikarstwa,» którą wywołało zbyt uporne i wyniosłe milczenie. Po mężu tak wysoko stojącym na szczeblach społeczeństwa, znanym z rozumu, zimnéj rozwagi i mocy charakteru, należało spodziewać się téj wyższości, którą zdobi i czyni przemożną, boski dyadem pokory. Sama sprawiedliwość, wymagała względniejszego traktowania przeciwników. Byli między nimi ludzie, co talentem lub nauką i uczciwą pracą, zjednali sobie wziętość w kraju; byli niektórzy wprost przez ś. p. Świdzińskiego, upoważnieni do moralnéj opieki i czynnego czuwania nad jego zbiorami: mieli oni prawo zabierać głos, a chociażby w czém uchybili, niekoniecznie to już zasługiwało na nienawiść i pomiatanie. Zresztą zanadto margrabia upatrzył przeciwieństwa i nieprzyjaźni dla siebie w opinii publicznéj; owszem, w ciągu całego procesu z rodziną nieboszczyka, życzenia powszechne chyliły się na jego stronę, i dzienniki w ogóle przyklasnęły wygranéj. Powiedzmy prawdę: najwięcéj złego, narobiła stara nasza wada narodowa. Odezwał się podszept buty możnowładczéj, i fantazyi szlacheckiéj. «Niechaj Pociéj Macieja, a nie Maciéj Pocieja ma za dobrodzieja!» Bywało tak nieraz, a zawsze ze szkodą rzeczy pospolitéj, że szło przedewszystkiém o to, aby postawić

na swojém, a potém zrobić z łaski, choćby więcéj nad powinność..... Pociéj wygrał, postawił na swojém — i cóż teraz daléj? Nie czasże zmienić ton i drogę, a szczerze odłożywszy na bok gorycze, urazy i słodycze tryumfu, szukać ukojenia zajść, naprawy szkód? Jeżeli początek winy mógł być wątpliwy, to niewątpliwie początek reparacyi, należy do margrabiego.

Szkody są. — Nie wchodząc w rozbiór osobistych i podrzędnych względów, żałować trzeba, że ludzie wskazani przez Świdzińskiego, obrani za szczególny przedmiot obecnego i zapowiedzianego *nieszczędzenia*, usunięci zostali od stałych i dorywczych nawet zatrudnień przy zbiorach. Kraj nasz nie obfituje w pracowników usposobionych: należałoby ich *szczędzić* i pamiętać przytém że w tym ubogim świecie literackim, jest pewna solidarność, skutkiem któréj zatamowany przystęp dla jednych, staje się zawadą dla innych. Margrabia zapewnił sobie pomoc i współpracownictwo uczonego i powszechnie szacowanego przyjaciela swego, pana Antoniego Helcla. Jest to wielka rękojmia dobrych skutków z rozpoczętego wydawnictwa; ale co do publikacyi, w któréj z radością widzimy już dotknięcie téj biegłéj ręki (1), pozostaje niemała obawa. Możnaby mniemać, że część jéj będzie stale poświęcona nieszczęsnéj polemice, która należy do szkód najrzeczywistszych. Czytamy słowa: «Nie mając ani czasu, ani miejsca w żadném piśmie do codziennéj polemiki, długi nasze pod tym względem, raz tylko do roku, lecz z lichwą płacić bę-

(1) Stanowiące oddział drugi tegorocznego poszytu «Pisma Świdzińskiego», obejmują dwie jego rozprawki, jedną o wykopanych numizmatach w Steblowie, drugą o monetach hanów w Kopczaku. Następuje potém w oddziale trzecim, starannie przez p. Helcla wydany i jego przemową łacińską poprzedzony, Zbiór praw Zygmunta I, przez Macieja Śliwnickiego ułożony. Obszerniejszą wiadomość o tym zabytku naszego prawodawstwa czytać można w Bibliotece Warszawskiéj, zeszyt wrześniowy, str. 690.

dziemy.» Boże uchowaj! byłby to najgorszy środek utrzymywania zbiorów Świdzińskiego «w żywotnym związku z większą publicznością.» Związek ten zrywałby się coraz bardziéj. Najlepszym środkiem byłoby teraz zamilknąć, starać się puścić w niepamięć urazy, niesnaski, podejrzenia i niechęci. Nie jest to rzecz trudna u nas. Naród nasz ma nieograniczoną łatwość zapominania. Nigdzie łatwiéj zasługa nie zaciera krzywdy, czyn zacny błędów pojęcia lub przesądu. Z jaką bezwzględną czcią i wdzięcznością publiczność przyjęła dar Świdzińskiego, takie pozyskać może szlachetny wykonawca jego woli. Niech tylko nie utrudza sobie i drugim, niech się nie lęka poniżenia przez wspaniałomyślność. Idzie o najpiękniejsze zwycięztwo nad przeciwnikami, przez zwycięztwo nad sobą samym. Trochę spokoju, parę dobrych kroków w cierpliwéj ciszy, — daléj opiekuńczy duch narodu poprowadzi, i reszty czas dopełni.

USTAWA O SŁUŻBIE CYWILNÉJ W KRÓLESTWIE.

24 września.

Czytaliście bez wątpienia ogłoszoną we wszystkich dziennikach a przez sto kilkadziesiąt artykułów ciągnącą się Ustawę o służbie cywilnéj w Królestwie. Wnosząc z imponującego tytułu, z obszernego w tak wielkiéj mnogości paragrafów rozwinięcia, przypuścićby trzeba, że to jest jakieś nowe prawo organiczne, które służbę publiczną u nas po raz pierwszy urządza albo na nowych ustanawia zasadach. Nic podobnego nie zachodzi. Służba w Królestwie istnieje od lat wielu, w przepisach służbowych żadnéj, rzeczywistéj nie wprowadzono zmiany, i nie jeden, mniéj obeznany z tajemnicami naszéj kodyfikacyi, nie mógłby dociec dlaczego to prawo wydano. Przyczyna jest przecież prosta. W Rossyi, dla zaradzenia szczególnym wypadkom, piszą nieraz obszerne ustawy ogólne, i kto chce jednę przeprowadzić zmianę, zazwyczaj zmuszony bywa utopić ją w morzu artykułów. Widocznie, musiał ktoś w Królestwie zapotrzebować szybkiego, chociaż bez rangi, awansu... i skutkiem téj szczególnéj potrzeby, dozwoliło nowe prawo tym

nawet, co czynu odpowiedniego nie mają, posuwać się na wyższe urzędy. Dzięki i za to. Odtąd, byleby wyłom, zręcznością jednego dokonany, był i dla drugich przystępny, będzie można świeżym ludziom ważniejsze powierzać funkcye, bez względu na dygnitarzy uczczonych wysokiemi rangami.

Niebym przeto, oprócz słów uznania, nie miał do powiedzenia o téj nowéj, jakkolwiek małoważnéj ustawie, gdyby nie jeden jéj artykuł, którego niewłaściwe zastosowanie grozi wielkiém zamięszaniem w sprawach krajowych: bo uderza w najważniejszą instytucyą Królestwa, w Towarzystwo Kredytowe. W art. 54 powyższéj Ustawy powiedziano jest: « Namiestnik Królestwa oddzielném postanowieniem szczegółowo oznaczy, które mianowicie władze i urzędy i na jakie posady nominować, przenosić i uwalniać mają prawo. » W skutek więc tego zastrzeżenia, książe Namiestnik ogłosił instrukcyą o mianowaniu i uwalnianiu urzędników, i pod te przepisy podciągnął arbitralnie władze Towarzystwa Kredytowego. Pozwólcie, abym wam przypomniał jaka jest organizacya naszego Towarzystwa, i jaki wpływ wywrze, gdyby się utrzymało, obecne postanowienie księcia Gorczakowa.

Według prawa z r. 1825 i stosownie do dawnego podziału na województwa, istnieie ośm Dyrekcyj szczegółowych, w skład których wchodzą Prezes i Członkowie, czyli Radzcy wybierani przez stowarzyszonych. Te pierwsze instrukcye Towarzystwa wiąże z sobą Dyrekcya Główna, do któréj stowarzyszeni z każdego okręgu Dyrekcyi szczegółowéj wybierają po dwóch Radzców. W podobnymże składzie urzęduje najwyższa władza Towarzystwa, Komitet z piętnastu Radzców i Prezesa złożony. Wszyscy ci urzędnicy, powtarzam, wybierani są z pomiędzy obywateli należących do Towarzystwa, z wyjątkiem Prezesa Dyrekcyi Głównéj, którego nominacyą prawo zastrzegło rządowi. Każda atoli z wspomnionych dyrekcyi posiada, oprócz Prezesa i Radzców, pewną liczbę

właściwych urzędników, którzy bieżące czynności Towarzystwa załatwiają; w saméj Dyrekcyi Głównéj znajduje się kilka osobnych wydziałów: jak kass, rachunkowości, kontroli ogólnéj, administracyjny i t. d. gdzie pracuje około stu urzędników, a których pensye, jak *np.* naczelników wydziałowych, liczą się do znaczniejszych w Królestwie. Ustawa z r. 1825, przyznając monarsze prawo nominowania Prezesa Dyrekcyi Głównéj a Prokuratorom sądowym dając możność zasiadania na sesyach Dyrekcyj szczegółowych, zapewniła tém samém władzy administracyjnéj dostateczny udział w sprawach Towarzystwa i potrzebną nad niemi kontrolę; ale zresztą, wewnętrzny zarząd Towarzystwa chciała najzupełniéj samymże stowarzyszonym powierzyć. « Towarzystwo, mówi ustawa (art. 26), samo przez swych urzędników załatwiać będzie wszelkie czynności. » Dyrekcya Główna ma sobie poruczony (art. 144) nadzór nad wszystkiémi szczegółami służby wewnętrznéj, nad porządkiem czynności i stosunkami urzędników i oficyalistów.» W myśl więc tych postanowień i odpowiednio do potrzeb Towarzystwa, przedstawiały i zatwierdzały dotąd władze Towarzystwa, to jest Dyrekcye Szczegółowe i Dyrekcya Główna, tych wszystkich urzędników, którzy przez stowarzyszonych wybierani nie byli.

Towarzystwo istnieje od lat trzydziestu trzech, i chociaż miliony przez kasy jego przelewają się, nikt nie słyszał o żadnéj kradzieży lub malwersacyi; jeśli wcisnął się kiedy jakiś do służby nieporządek, usunięcie opieszałego urzędnika zaradzało złemu. Stowarzyszeni, jako najbardziéj interesowani, wybierali przez swoich radzców na urzędników biórowych, ludzi znanych i dających rękojmią uzdolnienia i uczciwości; mając wpływ na ich nominacyą, nie potrzebowali ułatwiać interesów datkiem pieniężnym. Urzędnicy zależni od stowarzyszonych (bo z tych każdy mógł się przyczynić do ich usunięcia) starali się jak najdogodniéj dla interesowanych,

jak najwierniéj prawu, dopełniać swych czynności. Służba robiła się porządnie, szybko, z zacnością obywatelską : niezwyczajne to pod rządami rossyjskiémi zjawisko — urzędu bez szykan i bez przedajności. Byłoby zbyteczném wykazywać, jak wiele ten porządek administracyjny Towarzystwa przyczynił się do utrwalenia wiary w instytucyą i dobrego kursu papierów. Towarzystwo, które dźwignęło wszystkie fortuny prywatne, stało się dzisiaj jedną z pierwszych w Królestwie potrzeb. Nikt, można powiedzieć, nie wyobrazi sobie Królestwa bez Towarzystwa Kredytowego; jestto podstawa naszych stosunków materyalnych, wchodzi w codzienną każdego rachubę. Przy równym dziale majątkowym dobra wciąż obdłużane być muszą, przy ciągłych amelioracyach z korzyścią obdłużane być mogą, i dałoby się, jak mniemam, bez szkody dla istniejących, podwoić a nawet potroić obecną summę listów zastawnych. Jest nadto w kraju naszym Towarzystwo jedyną służbą wyborczą; szkołą, która przyucza do poznawania i wybierania ludzi. Wybrani mają zarówno u rządu, jak u obywateli, pewne uznanie i pod wieloma względami stanowią najwłaściwszą kraju reprezentacyą.

Te wszystkie, tak wielostronne a szacowne korzyści, ks. Gorczakow jednym znosi artykułem, gdy w nim zapowiada, że odtąd wybór urzędników Towarzystwa nie będzie zależał od radzców Dyrekcyi, ale że kandydatów przedstawiać ma Prezes Dyrekcyi Główněj (to jest komisarz rządowy) a nominować Dyrektor Skarbu. Tak więc, obywatele, stowarzyszeni, władze Towarzystwa usunięci od wyboru ludzi, w których ręku w znaczněj części spoczywa kredyt i fortuna mieszkańców Królestwa. Najważniejsze dla kraju bióra oddane będą w ręce indywiduów nieznanych, albo co gorsza dostatecznie znanych — lecz i dostatecznie protegowanych. Wnet na urzędach Towarzystwa pojawią się Rossyanie : bo jak dotąd, gdzie tylko otworzy się miejsce administracyjne,

finansowe a nawet edukacyjne, gdzie tylko pod rządem rossyjskim można się obejść bez specyalnego wykształcenia, zaraz przysyłają odstawnego Moskala! Przecież ks. Namiestnikowi nie musi być tajném, jak dopełniają swych funkcyj urzędnicy jego narodowości; przecież to codzień widzimy, że gdy Rossyanin zostanie np. powiatowym naczelnikiem, natychmiast wszystkich burmistrzów zwołuje i zapytuje wszystkich, ile ich miasteczka będą mu rocznie płaciły. Przecież, jak wiadomo, nawet władza namiestnikowska od tych haraczów niezdolna jest ochronić! Kiedy przed kilkoma laty, marszałek Jezierski skarżył się ks. Paskiewiczowi na zdzierstwa swego naczelnika powiatu, odstawnego oficera: «cóż chcesz abym poradził, odpowiedział zmarły Namiestnik, ja w Chomlu, w moim majątku, muszę opłacać się rocznie sprawnikowi, aby mi dał pokój!»

I jakże po tém wszystkiém spodziewać się, aby obywatele bez rang i krzyżów, bez zasług i znaczenia u rządu, mogli zabezpieczyć się od zdzierstwa lub szykany, przy każdéj półrocznéj wypłacie, przy każdém zetknięciu z biórami? A jeśli nietrudno już dziś przewidzieć wpływ fatalny urzędniczego zepsucia na pomyślność Towarzystwa, cóż stanie się z jego kredytem, co z wartością realną listów zastawnych i z majątkiem obywateli, kiedy po kraju i zagranicą rozchodzić się zaczną wieści o kolosalnych kradzieżach i przeniewierzeniach, na które, przy znanéj zręczności, nie będzie można wynaleźć hamulca?..... Nie chcę ja obwiniać ks. Gorczakowa, aby w sprawie nie mającéj żadnego z narodowością związku, pragnął zadać rozmyślnie cios tak dotkliwy krajowi, którego piecza jest mu powierzona; ale, bądź co bądź, ten nierozważny przepis daje wiele do myślenia o prawodawcach, co tak słabą mają znajomość krajowych stosunków. Jak mniemam, sprawa na tém nie stanęła; bo chociaż nie słyszałem dotąd o krokach przedsięwziętych przez władze Towarzystwa, zwłaszcza

przez Komitet właścicieli listów zastawnych, dla odwrócenia klęski tak stanowczéj, mam jednak mocną nadzieję, że uzbrojone w prawo, co tak szerokie daje im atrybucye i możność korespondowania z Cesarzem w sprawach Towarzystwa, będą chciały i obowiązkowi swojemu i zaufaniu mandantów, wiernie i skutecznie odpowiedzieć.

HISTORYA KWESTYI WŁOŚCIAŃSKIÉJ NA LITWIE.

Z Litwy, 1 października.

Pierwszy akt sprawy włościańskiéj skończony, obrady komitetowe prawie w całém imperyum zamknięte; nasi deputowani wyjechali do Petersburga. Po dwuletniéj pielgrzymce myśl reformy wróciła tam, zkąd wyszła: obaczmy, co w tym długim przebiegu zyskała.

Trafnie postąpił cesarz Alexander, gdy chcąc ulepszyć stosunki włościańskie, zażądał inicyatywy od polskich prowincyj. Mógł on tu znaleźć umysły bardziéj niż w Rossyi oswojone z reformą; mógł liczyć na poparcie obywateli światlejszych i spodziewać się, zwyczajnie jak w kraju podbitym, większéj niż u swoich uległości. Ale zacząwszy od gubernij zabranych, czy nie należało reformy naprzód w jednéml miejscu dokonać, a potém dopiéro w miarę dojrzewających okoliczności, przenosić ją kolejno do innych prowincyj? Wszak nie trzeba wielkiego doświadczenia aby wiedzieć, że stosunki, na których się wszystka społeczność opiera, nie dadzą się, bez wstrząśnień często niebezpiecznych, przemienić od razu na całym państwa obszarze. Jeżeli się nie mylę,

była za Mikołaja myśl, iżby naprzód litewskich i ruskich poddanych uwolnić; coś podobnego musiano i za dzisiejszego cesarza zamierzać, kiedy w roku 1856, podczas koronacyi w Moskwie, wybadywano, a samych tylko polskich marszałków, z usposobień szlachty w sprawie włościańskiéj. Lecz dla czego, jeżeli ten domysł jest prawdziwym, późniéj zdanie zmieniono; dla czego w obec oporu, który można było u szlachty rossyjskiéj przewidzieć, nie załatwiono sprawy tam pierwéj, gdzie ona była łatwiejszą, — tego nie umiem powiedzieć. Może rząd za daleko uniósł się chęcią reform, które głosił przed światem; może polskim prowincyom nie chciał przyznawać wyższości; może też lękano się, gdyby od polskich zaczęto, aby szlachta rossyjska nie uprzedziła po swojemu, groźnego dla niéj ukazu... Poruszono więc kwestyę w całém na raz cesarstwie, zawikłano ją, i opóźniono; lecz właśnie w tém zawikłaniu jest dla nas rękojmia, że celem rządu w obecnéj sprawie, nie może być zguba nasza.

Rok z górą upłynął był od cesarskiéj koronacyi, kiedy jenerał-gubernatorowi w Wilnie przysłano z Petersburga «sekretne oznajmienie» że rząd przyjmować będzie adresa szlachty, w celu uwolnienia włościan. Był to początek sprawy włościańskiéj na Litwie. Do stolic gubernialnych zjechali marszałkowie powiatowi, razem z przybranymi obywatelami, i wówczas to po raz pierwszy w sposób urzędowy, zaczęła szlachta radzić o swym stosunku z poddanymi. A choć tym razem cel zjazdu jeszcze był małoważny, bo rząd niewątpliwie wskazywał, jakiéj chce petycyi, to przecież z dyskusyj które się wytoczyły, z zaciętości z którą przeciwnicy bronili swych opinij, a nadto dodać trzeba, z niesforności i nieporządku obrad wnieść było można, że sprawa pod sąd szlachty oddana, nie prędko doczeka się pomyślnego końca. Cóżkolwiek bądź adresa wyprawiono, tém bardziéj że ich odmówić nie było podobna,

a rząd nadesłał w zamian upoważnienie do zebrania się komitetów. Między zjazdami adresowémi a wyborem deputowanych do komitetu, upłynęło w każdéj gubernii kilka miesięcy, w ciągu których rozeszły się wszędzie pewne pojęcia o sprawie włościańskiéj, tak że można było spodziewać się, iż szlachta z jakimś ładem i zrozumieniem rzeczy przystąpi do elekcyj. W istocie, każdy komitet liczył czterech, pięciu a nawet więcéj członków, którzy mieli ustalone zdania, i ci między sobą toczyli walkę; za to reszta nie wiedząc właściwie do jakiéj należy opinii, przerzucała się na jednę lub na drugą stronę. Było tu pole do okazania parlamentarnych zdolności: tylko że na naszych sejmikach mniéj znaczą argumenta, bo ich nie przyjmują — mniéj wymowa, bo zakrzyczą; po dawnemu wszystkiém jest, pewna serdeczna filuterya, i wpływ osobistych stosunków.

W samym początku roku 1858, otwarty został jeden z najpierwszych, komitet petersburski: należało do niego wielu dygnitarzy i wielkich panów rossyjskich. Ze zwykłym u Moskali taktem politycznym, nikt tam wyraźnie nie sprzeciwiał się woli carskiéj: ale widoczną była dążność omijania ukazu i takiego rzeczy nastawienia, aby właściciele dopuszczając jak najmniéj odmian, coś jeszcze przy nich gdyby się dało, zyskali. Za przykładem komitetu petersburskiego, szlachta rossyjska przyjęła podobneż hasło: nie straszyć opozycyą, ale trzymać się biernie, zwlekać, utrudniać, i w końcu znudzić cesarza. Mniemali oni że gdyby nie szlachta polska, nigdyby rząd nie poważył się podnieść téj sprawy: « *Wot jakoju sztuku Polaki nam sigrali!* » Należało więc przedewszystkiém szlachtę polską zatrzymać, bo jéj opór jak przewidywano, zrobi na cesarzu wrażenie. Tym końcem z Petersburga i z Moskwy, odbierali nasi upomnienia, aby się nie spieszyć, nie wyprzedzać, ale oglądając się jedni na drugich, wspólnego bronić interesu.

Odezwy te, trzeba przyznać, wpłynęły na obrady ko-

mitetów. Niejeden marszałek rad był przed szlachtą pochwalić się ze swych stosunków z dygnitarzami moskiewskimi; niemi popierał swe zdanie u kolegów; niemi bronił się w razie potrzeby, przed gubernatorem. Nie broniąc, ani zatrzymując poddaństwa, większość członków chciała u nas w ten sposób swych włościan wyzwolić, aby siebie zarazem od wszelkiego względem nich uwolnić obowiązku. W dzisiejszym stosunku patryarchalnym pan, obowiązany jest opiekować się włościaninem, bronić go w obec prawa, żywić w czasie głodu: otóż te wszystkie ciężary musiałyby ustać, odkądby chłop wolny i za pełnoletniego uznany, wchodził z swym panem w umowę. Popierali przeto zasadę *dobrowolnéj umowy* w przewidzeniu, że chłop bez gruntu i bez chaty pomimo swojéj wolności, przystanie rad nie rad, na wszystkie dawnego pana warunki. Zapobiegając téj nieludzkiéj spekulacyi, mniejszość członków zazwyczaj młodsza wiekiem, domagała się dla chłopów wolności razem z własnością, i w tym kierunku szli nawet daléj, niż rząd zastrzegał, bo chcieli odstąpienia włościanom i zagrody i ornych gruntów.

Gdyby téż stenografia przechowała nam była owe deliberacye komitetów litewskich! Ileż tam z obojéj strony wysypano dowcipu, zapału, sztuki oratorskiéj, i nieprzepartych argumentów! Przedstawiali jedni i słusznie: « że chwila dzisiejsza jest stanowczą, i że szlachta powinna z niéj korzystać, aby coś zrobić własnemi siłami; że wprawdzie w epoce przejścia, dadzą się dla wszystkich przewidzieć straty, ale się wrócą niechybnie: bo w każdym kraju, załatwienie sprawy włościańskiéj, i wartość ziemi, i dochód z niéj powiększa; że jakkolwiek ważne są względy osobiste i finansowe, wyższą jest nad nie sprawa obecna; że dosyć już dla nas nieszczęścia, iż pod obcym dopiero rządem, lud nasz przychodzi do wolności; że jeśli mu odmawiać będziemy, bez czego żyć nie może, i siebie i kraj zgubimy;

że byłoby zbrodnią nieprzebaczoną omieszkać porę, w któréj można pogodzić zwaśnione dotąd interesa dwóch klas narodu. » Ale na to, chociaż niezawsze obie strony wysłuchiwały się wzajemnie, przeciwnicy odpowiadali : « że każdemu wolno rozrządzać swoją własnością ; że to wiadoma rzecz, iż ludzie z cudzego są hojni, a najhojniejsi ci, co nic nie mają ; że panowie filantropi, co tak gorliwie ujmują się za chłopem, powinni mieć i dla szlachty trochę współczucia, bo szlachta zbankrutuje, i pójdzie w chłopów ; że szlachta, a nie lud stanowi siłę naszego narodu : więc nie osłabiać, nie odzierać, ale krzepić i podtrzymywać tę klasę, nakazuje rozsądny patryotyzm ; że członkowie komitetu, reprezentują szlachtę i obowiązani są honorem, bronić jéj interesów ; że rząd i bez tego ujmie się za poddanymi ; że wszystko co się tu mówi i pisze, na nic się nie przyda, bo cesarz ma oddawna plan przygotowany, i wedle niego postąpi ; że zatém strzedz się należy wszelkiéj z naszéj strony koncessyi, bo każdą przyjmą skwapliwie i jeszcze do nowych przymuszą. » I po takich argumentach, większość utwierdzała się w mniemaniu, że najlepiéj nic nie kończyć, nie decydować, ale szerokiemi słowy zapełniwszy punkt po punkcie, wykręcić się « kancelarską formą, » resztę zdać na deputatów, co pojadą do Petersburga ! !

Były więc niektóre projekta tak pisane, że przy najlepszéj chęci, niełatwo je zrozumieć. Redagowali je sekretarze : panowie deputowani skończywszy sesyę, korzystali z miłego wczasu i zjazdu sąsiedztwa, aby się rozerwać i po mozolnéj dyskusyi wypocząć. W ogólności trzeba o nich powiedzieć : jednym, brakowało dobréj woli, — drugim, doświadczenia. Aby z naszą szlachtą traktować, aby myśl jakąś między nimi przeprowadzić, wielkiego trzeba nad sobą panowania, wielkiéj miary i trafności. Zdarzało się i nieraz, że drażliwość niewczesna, zbytnie wymagania, albo szumna deklamacya, psuły

nawet to, co się już poprzednio udało na przeciwnikach otrzymać.

Grodzieński, wileński i kowieński komitety, najwcześniéj ze wszystkich ukończywszy swe prace, wybrały po dwóch deputowanych, na wspólny zjazd do Wilna. W grodzieńskim, przyjęto zasadę dobrowolnéj umowy, i *cząstkowego* uwolnienia włościan; w wileńskim, obwarowano się przeciw reformie, zbyt wysoką ceną zagród, których od dzierżawy gruntu niedozwolono odłączyć, i uciążliwą organizacyą gminy; w kowieńskim, zgodzono się na oczynszowanie, zaręczając, że w ciągu pewnego terminu, chłopi będą w możności wykupić swe zagrody. Te trzy, tak do siebie niepodobne projekta, należało w Wilnie połączyć w jedność. Lecz zaraz po zjechaniu się członków, nominacya prezesa wniosła kość niezgody. Pod złą gwiazdą zaczęta dyskusya, wśród swarów i gniewów, trwała kilka miesięcy, aż zmęczeni bojem, ustąpili obrońcy dobrowolnéj umowy, i szczęśliwiéj niż się spodziewano, stanął projekt oczynszowania i *stopniowego* uwalniania włościan.

Najporządniéj obradował i najtrafniejsze uchwalił projekta, komitet mohilewski. Można powinszować téj gubernii niezwykłego u nas szczęścia, że jéj marszałkiem jest człowiek, który z wysoką pozycyą, zdolnościami i energiją, łączy poważne zrozumienie swego obowiązku. Trzeba téż oddać sprawiedliwość obywatelom, że umieli korzystać z bystrości rozumu naczelnika; sesye odbywały się porządnie, wnioski robiono trafne, i chociaż prezes nie zupełnie przychylał się do zdania większości, uchwalono projekt gruntownie obmyślany. Komitet żądał, aby chłopi od poddaństwa uwolnieni, mogli wykupić nietylko zagrody, ale wszystkie grunta, przez siebie dotąd posiadane, i w tym celu zaniesiono prośbę do rządu, aby finansową operacyą przyszedł w pomoc interesowanym.

Mniéj szczęśliwie wypadły narady mińskiego komi-

tetu. Marszałek guberski, choć słaby i lękliwy, dość jednak przyjaznym okazywał się reformie; i to właśnie skłoniło jednego z powiatowych marszałków, który wieczną z guberskim prowadził wojnę, iż wpływem swym i głosem, przeszkadzał usilnie pożądanemu rezultatowi. Większość była zacięta, mniejszość bez naczelnika i zbyt do frazesów pochopna. Zadecydowano uwolnić chłopów w ciągu lat dziesięciu, za wysoko szacując zagrody, a czynsz za grunta, zostawiając dobrowolnéj umowie.

Najsmutniejszy jednak widok przedstawiła gubernija witebska. Tamtejsze obrady publiczne, zjazdy, elekcye, żywy to obraz XVIII wieku, przeniesiony w nasze czasy. Nie wiem czy słyszeliście, że obywatele witebscy (do których Inflantczyków potrzeba doliczyć), dzielą się od dość dawna na dwie całkiem odrębne partye. Jedni, między którymi nierzadko usłyszysz imię znajome w historyi, ludzie wysokiego światła, lecz dziś niebardzo majętni; drudzy nierównie liczniejsi, ale wcale nie wykształceni, szlachta drobna, najgorzéj między Polakami po polsku mówiąca, gęsto w powiatach: witebskim, połockim, a szczególniéj w lepelskim i newelskim osiadła. Te dwie partye, poróżnił z sobą świeżo usunięty marszałek pan J. Przyszedł on u drobnéj szlachty do popularności bez granic, spraszając na śniadania i obiady, goszcząc i bawiąc, ciągnąc za sobą po kilkuset przyjaciół, lub rozdając im bilety na teatr i koncert, ilekroć jakaś grupa wędrowna lub wirtuoz zbłąkany, zjawili się w murach Witebska. Dzięki takiemu hufcu politycznych przyjaciół, których głosy, gałki, a nawet pięście miał na swe rozkazy; mógł pan marszałek długo kogo chciał, na elekcyjne wybierać urzędy, mógł trząść do woli guberniją, i był nawet dosyć silnym aby gubernatora, rodem Moskala, z Witebska wysadzić. Ale rządząc tak despotycznie, musiał narazić się światlejszemu obywatelstwu, którego zdania odrzucał i wpływy tamował.

Skoro nadeszła sprawa włościańska, marszałek, aby swą powagę u drobnéj szlachty tém pewniéj utrwalić, umyślił nie dopuścić żadnéj stanowczéj odmiany; nie mógł jednak przeszkodzić, aby partya przeciwna nie była w komitecie reprezentowaną. Przyjechali tymczasem deputaci inflantscy i ci, trzeci utworzyli obóz. Blizko pół roku trwały narady, bez żadnego poważniejszego rezultatu; marszałek w zaciętości nieubłagany, nie dozwalał wotowania nad żadną przeciwnéj partyi propozycyą. Spisano projekt, który właściwie obostrzył istniejące stosunki; ale nie ma obawy, aby go czytano: każdy paragraf obciążony jest protestacyami i « rozpisami » członków. Powiaty inflantskie odłączając się od komitetu witebskiego, ułożyły projekt osobny, zastosowany do miejscowych, odwiecznych zwyczajów.

Z takiemi to uchwałami deputowani nasi pojechali do Petersburga. Opowiem w przyszłym liście, jak tam znowu, pod wpływem rossyjskich komitetów, rozwinęła się kwestya włościańska; tu tylko jednę chciałbym dodać uwagę. Z wyjątkiem witebskiéj, uchwały polskich komitetów daleko za sobą zostawiły rossyjskie, ale nie uczyniły zadość wymaganiom rządowym, a co ważniejsza, nie odpowiedziały potrzebom naszéj sprawy i koniecznym na przyszłość względom. Jakakolwiek będzie decyzya rządowa, nie małą by to było wygraną, gdyby lud nasz wierzył, że « panowie dobrze chcieli. » Lecz czy takie jest dzisiaj naszych włościan mniemanie? Nie sądzę! Nie sądzę także, aby deputowanym naszym dozwolono w Petersburgu bronić uchwał komitetowych: przyjadą, wysłuchają, ukłonią się, i powrócą; wróciwszy opowiedzą co słyszeli i bezwątpienia łatwiéj niż dotąd swoich przekonają. Smutno to, że sprawa taki obrót wzięła, — lecz może i lepiéj, że już dłużéj nie będziem radzili!...

ZDANIE KOSSUTHA O WOJNIE WŁOSKIÉJ I O KONSPIRACYACH.

15 października.

Od czasu pokoju w Villafranca zawiesiliśmy nasze uwagi nad bieżącémi wypadkami europejskiémi, bo główna sprawa, dla któréj wojnę prowadzono, nie doszła jeszcze swego rozwiązania, a inne, które z nią związku naówczas szukały, były nagle przerwane. Dzisiaj, zwracamy uwagę na dokument rozświecający ubiegłe zdarzenia, a czynimy to z dwóch powodów: raz że pokazuje, iż polityka europejska Napoleona III była zawsze tak szlachetną i zacną jakeśmy ją być mienili; powtóre, że chociaż o innym narodzie, wypowiada ten akt pewne prawdy, które i do naszego w zupełności się stosują. Mamy tu na myśli list p. Kossutha, który z gazet angielskich ogłosił świeżo *Dziennik Poznański*.

Kiedy cesarz Francuzów zawarł pokój z Austryą, wielu ze smutkiem pomyśliło o Magyarach i o zawodzie przez nich doznanym; dzienniki angielskie nie wahały się nawet zarzucić zdradę Napoleonowi. P. Kossuth odzywa się teraz publicznie i stawia rzecz w świetle prawdziwém.

Nikt bez wątpienia lepiéj od Polaków nie ocenia tego bólu, którym list p. Kossutha jest przejęty, i którego Węgrzy obecnie doznali. I nas spotykały zawody podobne : spotkał nas świeżo z powodu wojny wschodniéj, w któréj Anglia może daléj względem nas się posunęła, niż teraz cesarz Napoleon względem Magyarów. A chociaż nikt wówczas o zdradzie nie pomyślał — a najmniéj o czemś podobném myślały dzienniki angielskie — chociaż nawet żadna skarga z ust naszych nie wyszła : to jednak pamiętamy dobrze cośmy cierpieli, i z tém wspomnieniem w duszy nie będziemy ważyli w liście p. Kossutha wyrazów jego bolu; rozumielibyśmy nawet, gdyby silniéj był go wypowiedział. Usuwamy także na stronę niektóre w tém piśmie mniéj potrzebne lub mniéj właściwe wyrażenia : pewną pretensyjność i pewne *quos ego*, kładzenie siebie na równi z ojczyzną, głoszenie swojéj przezorności, użalanie się nad własną niedolą, wydawanie *stosownych* rozkazów, wołanie o raporta, i inne tym podobne zbyt urzędowe lub zbyt oratorskie frazesy, za szumne na cierpiącego, za dumne na tułacza...

My z listu wspomnionego wyciągamy to wyznanie, które przynosi zaszczyt szczerości p. Kossutha, ale które przedewszystkiém wykazuje prawość polityki Napoleona III : wyznanie, że Węgrzy nie byli oszukani, że ich nie exploatowano dla zaszkodzenia nieprzyjacielowi. Jesteśmy szczęśliwi, że oświadczenia takie pochodzą ze źródła, któremuby się nie dziwiono, gdyby było zamącone a zawodem ostatnim zatrute; jesteśmy szczęśliwi, bo one popierają cośmy sami wypowiadali i wierzyli, że obecna polityka Francyi jest jedną z najszlachetniejszych jaką wskazać może historya, że krzywdy naprawia a krzywd nie wyrządza, że z żadnéj świętéj myśli nie robi sobie igraszki ani nawet narzędzia.

Pod niejednym jeszcze względem list p. Kossutha zasługuje na uwagę. Zaręczenia, które on daje o zgodnym

kierunku umysłów i dążeń w Węgrzech, widok tejże samej jedności, który nam obecnie przedstawiają Włochy (i nietylko *in potentia* ale *in actu*) : wszystko to pożądaną jest zapowiedzią dla uciśnionych narodów, to wszystko dobrze wróży o przyszłości spraw świętych. Bo choć nie jesteśmy bezwarunkowymi zwolennikami tej chaotycznej a tak chwalonej zgody, która wszelkie organiczne i normalne różnice w przekonaniach i środkach pragnie zacierać, tej sztucznej lub udanej jednomyślności, która w gruncie może tylko z upojenia lub zobojętnienia wypłynąć : to przecież, gdy los sprawy ma się roztrzygnąć ostatecznie na polu bitwy, rozumiemy i widzimy konieczność owej nad wszystko górującej jedności, która na wzajemnych ustąpieniach oparta, dostępuje celu wszystkim pożądanego.

I dobra to także wróżba na przyszłość, że z ust właśnie p. Kossutha, który agitacyą rewolucyjną za jedyny dotąd środek służenia narodowi uważał i los swej ojczyzny z powszechnem ludów połączył wzburzeniem, że z takich ust właśnie słyszymy twierdzenie, iż epoka konspiracyj już przeszła i że sprawa węgierska jest sprawą całej Europy. Słyszymy tem chętniej ową przestrogę, że i co do nas, też samo mieliśmy i nieraz wypowiedzieliśmy przekonanie. Jeśli w Węgrzech, gdzie dążenie do samoistnego bytu od niewielu dopiero rozbudzone lat, już się spiski zużyły : cóż dopiero w Polsce, w której trzecie pokolenie dobija się wydartej niepodległości, a prawie każde swą młodość i swą służbę publiczną od konspiracyi zaczęło ! Jeśli Węgrzy, których przez trzy wieki zaspokajała unia z dynastyą panującą, mają dzisiaj przekonanie, że ich sprawa połączona jest z ustaleniem ogólnego porządku : cóż dopiero naród nasz, z którego upadkiem Europa traciła i coraz bardziej traci swoję równowagę, i którego losy ostatecznie nierozdzielne są od bezpieczeństwa Europy i od przyszłości cywilizacyi !...

List p. Kossutha brzmi następnie :

«Kochany Panie! Nieszczęsny dzień w Villafranca wywrócił za jednym zamachem nadzieje nasze, a to w chwili właśnie kiedy uśmiechał nam się widok oswobodzenia kraju naszego. Tak jest, oswobodzenie to mieliśmy już niemal w ręku jak dojrzały owoc do zerwania gotowy; a otóż jest tu znowu, biedny wygnaniec podobnie jak przed czterema miesiącami, ale zestarzały o lat dziesięć przez troski i zawody.

» Z rozmysłem mówię: zawody, nie zaś oszukanie. W rzeczy saméj na oszukanie skarżyć się nie mogę, albowiem przedsięwziąłem był takie środki ostrożności, iżbyśmy ani ja, ani kraj mój nie mogli być oszukani. Czuję wszelako, że ramię moje złamane niemal przez te zawody, których okoliczności przewidywać nie pozwalały.

» Gdyby nie grom z podobnego spadły nieba, gdyby nie układ w Villafranca, w chwili kiedy to piszę, Węgry byłyby już zapełniły w rocznikach dziejowych kartę, jakiejby drugiéj nie znalazł w podaniach żadnego ludu; cały bowiem naród tak był zjednoczony i tak mocném przejęty postanowieniem, jak może nigdy dotychczas.

» Wszystkie uczucia, które sprowadzają częstokroć rozdwojenie w pośrod narodu, to jest wszystkie niesnaski płynące z różnic religijnych, językowych, plemiennych i społeczeńskich, znikły, by ustąpić miejsca jednemu wspólnemu wielkiemu postanowieniu: otrząśnięcia się z despotycznych rządów domu rakuzkiego, skoroby tylko wojna doścignęła najwyższego punktu swego logicznego rozwoju.

» Niewątpliwe przekonanie o tym fakcie musi tylko zwiększać gorzką boleść zawodu, którego doznałem. Być wstrzymanymi w chwili, kiedyśmy wyciągali rękę po dojrzały owoc wolności, jest rzeczą nad wszelki wyraz nieszczęśliwą.

» Cóż robić! Danych okoliczności nie zmienimy i trzeba im się poddać. Trzeba żebyśmy je bez rozpaczy znosić umieli, nie podobna wszelako znosić ich bez boleści.

W spokoju mego sumienia czerpię przekonanie, jakom dopełnił obowiązków uczciwego człowieka i dobrego obywatela, nie opuszczając sposobności próbowania, azali wypadki dałyby się lub nie zużytkować w dobrych warunkach na korzyść méj ojczyzny.

» Inną mam jeszcze pociechę. Miałem zręczność zapewnienia się, jako żadne podstępy dyplomatyczne, słowem, jako nic z tego co despoci wymyśleć mogą, nie odwróci nigdy kraju mego od niewzruszonego postanowienia, by chwytać za każdą rozsądną sposobność, jakaby się nadarzyć mogła do nowych wysileń ku wywalczeniu niepodległości.

» Mogłem się przekonać, że postanowienia tego ani terroryzm obalić, ani żadne ustępstwa jakieby Habsburgowie wymyśleć mogli w chwili niebezpieczeństwa, zachwiać nie są w stanie. Przekonałem się że Węgrzy pojmują w jaki sposób cierpieć i w jaki czekać im należy, i że się nigdy nie zmienią. Wiem podobnież, że naród niemniéj jest karnie urządzonym jak jest niezachwianym w swoich zamysłach.

» Nadto, ja i ojczyzna moja utwierdzeni zostaliśmy w przekonaniu, iż żadna wielka kwestya europejska nie potrafi być nigdy ostatecznie rozwiązaną bez nas, i że Europa nie przyjdzie nigdy do stanowczego uporządkokowania, zanim stanie się zadość słusznym żądaniom Węgier.

» Takie to przekonanie czyni przyszłość naszę niewątpliwą. Wierzymy w przyszłą wolność naszę i dlatego będziemy kiedyś wolnymi. Przekonanie nasze w tym względzie nabyło w całym narodzie mocy religijnéj wiary.

» Pociechą jest, że można było przekonać się o tém wszystkiém. Mam inną jeszcze osłodę w boleści, a jest nią uspokajające przekonanie, że nie dając się uwieść obietnicom, że obstając przy rękojmi czynów niewątpliwych przed wydaniem hasła powstania, ochroniłem kraj

mój od wielkich nieszczęść przez które przejść byłby musiał na korzyść obcych zamysłów, i że tym sposobem przyszłość jego nienaruszoną dochowałem. To przynajmniéj jest jaśniejszym punktem na zasępionym widnokręgu głębokiego mego strapienia.

» Szczególnych dołożyłem usiłowań, żeby towarzyszów wygnania ostrzedz przed porywami niecierpliwości, przed wszelką przedwczesną decyzyą, któraby ich popchnęła do poświęcenia stanowisk pracą zdobytych, zanimby wypadki doszły do punktu, gdzieby godziło mi się odwołać się do ich patryotyzmu. Pisałem nawet w téj mierze do dzienników amerykańskich, wzywając osiedlonych tam rodaków, iżby czekali jeszcze z urządzeniem swego powrotu. Dzięki téj ostrożności, nikt z mojéj winy nie ucierpiał. Co do jeńców wojennych z pułków węgierskich, pospieszyli oni dobrowolnie pod nasze sztandary.

» Jużeśmy byli 'zorganizowali pięć batalionów, przeszło 4,000 ludzi. Niestety! trzy tygodnie jeszcze wojny, a bylibyśmy ich mieli 25,000! Kiedy wojna u przedwczesnego stanęła kresu, poczytałem za mój obowiązek pomyśleć o losie wiarusów, którzy składali nasze bataliony. Radziłem im powrócić raczéj do ognisk rodzinnych, niżliby mieli rozproszyć się po świecie i na wszelką być wystawieni nędzę; ale radziłem tylko w przypuszczeniu, iż będzie mi podobna urządzić ich powrót pod bezpiecznémi warunkami. Obstawałem więc przy dwojakiéj stypulacyi co do nich: to jest przy amnestyi i przy stanowczém uwolnieniu od wszelkiéj austryackiéj służby wojskowéj. Francya kategorycznie tego zażądała i Austryi uledz wypadło: dwa więc owe punkta są zagwarantowane o tyle, o ile stypulacye coś zagwarantować mogą. Chodzi już tylko o to, jak Austrya je wykona. Potrzeba mi być w tym względzie utrzymywanym w biegu wiadomości z kraju, jakoż stosowne ku temu wydałem rozkazy panu NN.

» Pisze mi on, że może niektórzy z wiarusów wracających do domów pisać będą do mnie pod pańskim adresem. Wybacz łaskawie, i jeśli podobne listy W. Pana dojdą, racz mi je przesłać. Nie będą one nic zawierały coby kompromitować mogło. Nie jesteśmy spiskowcami i nie mamy potrzeby być nimi. Narodowa sprawa nasza zużyła oddawna pieluchy spiskowe, które stają się zbytecznemi i nieopatrznemi, skoro cały naród połączony jest w jedném uczuciu.

» Jestem jak ptacy w powietrzu; wyrzekłem się własnego domu, a innego jeszcze nie mam; jakóż nie mam na świecie zakątka, gdziebym mógł skołataną złożyć głowę. Dlatego racz w danym razie przesyłać listy Twoje na ręce p. Franciszka Pulsky, w Londynie, 13, St. Alban's Villas, Highgate Rose. Pozwól mi tuszyć, że Twoje uczucie przyjaźni dla mnie nie szwankowało na wypadkach ostatnich i przyjm wyraz, i t. d. »

KONSPIRACYA I JAWNE DZIAŁANIE.

22 października.

Zwracamy raz jeszcze uwagę na list p. Kossutha, który poprzednio ogłosiliśmy. Pismo to pod wieloma względami godne jest pamięci. « Sprawa węgierska, czytamy w niém, zużyła już pieluchy spiskowe, które stają się zbytecznemi i nieopatrznemi, skoro cały naród połączony jest w jedném uczuciu. » Wprawdzie myśl ta nie jest nowa : wypowiedziało ją wielu i w życie narodów starało się wprowadzić; ale w ustach p. Kossutha, jeśli nie koniecznie zadziwia, to w każdym razie jest objawem nowego ducha, jest znakiem czasu.

Ktokolwiek spokojném okiem przyjrzy się wypadkom ostatnich czterdziestu lat w Europie, ten łatwo wyrobi sobie zdanie o naturze i skuteczności działań tajemnych, konspiracyjnych. Broń to niebezpieczna, która strzela w ręku pierwéj, nim się ją na nieprzyjaciela wymierzy : granat, co pęka w własnych szeregach. Ze wszystkich rodzajów konspiracyj, jakich na południu czy na północy Europy od wieków próbowano, dwie są tylko, które czasami dochodziły zamierzonego celu : dworska, jeśli jéj zadaniem jest odmiana panującego, bez odmiany

dynastyi; wojskowa, jeśli siecią swą obejmuje przeważną część armii; wszakże jedna jak druga wymaga gotowéj, już ustalonéj organizacyi, prędkiego nadto rozstrzygnienia, a przedewszystkiém poparcia opinii. Ale sprzysiężenie, które ma być i propagandą i uszykowaniem, które szerząc się wśród tysiąców i trwając przez lata, ma zarazem ukryć się w zupełnéj tajemnicy : jest pomysłem w zasadzie swojéj niedorzecznym, jest kontradykcyą *in adjecto*. « Kto przypuszcza (mówi autor głośnéj dzisiaj książki, doświadczony konspirator, towarzysz Mazziniego, Giovanni Rufini), kto przypuszcza, że konspiracye mogą przez czas dłuższy się utaić, ten chce rzeczy przeciwnéj zdrowemu rozsądkowi. Stowarzyszenia tak utajone, że ich odkryć nie można, istnieją tylko w imaginacyi ludzi łatwowiernych, i podobne są do owych armij, które exystując jedynie na papierze, nigdy bitew nie przegrywają. Sprzysiężenie będące w ciągłym ruchu a posiadające członków znaczną ilość, jest miną, która każdéj chwili może wyskoczyć. Muszą znaleść się w niém krzykacze, śmiałkowie, zagorzalcy; a ci sami przez się największém są niebezpieczeństwem. Zresztą, taką jest natura ludzka, że powodzenie, nawet u najostrożniejszych, wyradza zbyteczną pewność siebie. Konspirator podobny jest chemikowi, który około palnych materyj pracuje : zrazu nie zaniecha żadnéj ostróżności; ale późniéj, a nieznacznie, puszcza mimo dziś tę, jutro inną drobnostkę, aż przywyknąwszy do niebezpieczeństwa, wmówi w siebie że go nie ma, bo go sam nie doznał... »

Jest nadto konspiracya przedsięwzięciem napozór wielkiém, wistocie próżném. Żadném sprzysiężeniem, żadną tajną zmową, o ileby nawet w ukryciu dały się utrzymać, nie podobna przyjść nigdy do zbiorowéj, poważnéj i spokojnie rozwijającéj się czynności. Na drodze jawnéj można zamówić ogrom ludzi do działania; na drodze tajnéj, samych tylko niedoświadczonych albo niecierpliwych. Nie siły, ale chęci, a nawet tylko zachce-

nia, konspiracya szykuje : jest organizacyą złudzeń. Bo sprzysiężonemu wszystko może stać się złudzeniem : i środki, i czas, i praca; prawdą jest tylko nieuchronne dla niego niebezpieczeństwo; prawdą na nieszczęście są klęski, które i na konspiratorów i na kraj za jednym razem spadają. Nieuniknione to następstwo wszelkich tajnych sprzysiężeń, że jedne siły w narodzie niweczą, drugie paraliżują i do nieczynności zmuszają. « W niekorzystnych usiłowaniach (mówi Massimo Azeglio, jeden z najpoważniejszych włoskich patryotów) marnotrawią się najlepsze żywioły, kraj traci ludzi najśmielszych, największéj energii, którzy albo opuszczają ojczyznę, albo trzymani, że tak powiem, w kwarantannie, pozbawieni są możności służenia rodakom..... A tymczasem rządy (dodaje tenże autor) upoważnione do podejrzeń i obaw, podejrzeń i obaw przesadzonych, jak się to zwykle zdarza kiedy idzie o niebezpieczeństwo ciemne i nieznane, mnożą ostrożności i środki policyjne, które tak wiele przeszkadzają pracy porządnéj i rozwojowi sił narodowych... »

Prawdy to jasne, niewątpliwe i łatwe do zrozumienia; a jednak połowa Europy spostrzegła je dopiéro po próbach bolesnych i po długim lat upływie. W historyi sztuki lekarskiéj znane są epidemie, których zgubnéj siły nic w pierwszéj chwili zatrzymać nie może; dopiéro gdy osłabną, nauka rozpoznaje ich naturę i lekarstwo wynajduje odpowiednie. Nie pierwéj też aż z osłabnięciem prądu rewolucyjnego, nie pierwéj aż wszystka młodzież zacniejsza w Europie została zdziesiątkowaną, jawną się ukazała dla wszystkich bezsilność konspiracyi! W każdym niemal narodzie uciśnionym walka zaczynała się od szykowania tajemnego sił materyalnych, od sprzysiężeń i środków gwałtownych; dopiéro późniéj, po krwawych zawodach i szlachetnych męczeństwach, budzić się poczęło przekonanie o potrzebie wpływów głębszych, dzielniejszych, zwolna cały naród obejmują-

cych, o konieczności stoczenia boju naprzód na polu moralném. We Włoszech, gdzie wspaniały dramat restauracyi narodowéj zbliżać się zdaje do ostatecznego kresu, ruch narodowy, w drugim dziesiątku naszego stulecia w lożach i wentach poczęty, długo przez ludzi, jak Ugo Foscolo i Mazzini wyobrażany, długo przedwczesném szamotaniem marnując swe siły, «z pieluch spiskowych» nie mógł się wydobyć; aż trudami ludzi, jak Manzoni, Gioberti, Balbo, uszlachetniony, przez Azeglio i Cavoura na szersze wprowadzony pole, z odmienionym w Europie kierunkiem politycznym, doczekał się chwili, w któréj prawie już całkiem, sam o swoich losach wyrokować może.

Mniéj więcéj, w każdym narodzie wypadki rozwijały się w tych samych kształtach co na półwyspie. We Francyi, w Hiszpanii, a nawet i w Niemczech, nie jednę zacną myśl porywali w swe ręce ludzie rewolucyjni i ją niweczyli, albo przynajmniéj jéj tryumf o wiele opóźnili. Przyszłość lepsza zaświtała dopiéro, gdy wystąpili w szranki ludzie poważnéj i organicznéj pracy, którzy z cierpliwością łączyli energią, i dla moralnéj idei, moralnéj przedewszystkiém siły szukali w opinii publicznéj, których hasłem nie «braterstwo lub śmierć» było, ale zbratanie umysłów przez życie publiczne. W Niemczech, np., godziwa i szlachetna myśl jedności narodowéj, przez rewolucyonistów podchwycona i exploatowana, tyle naraz interesów nieostrożnie zadrasnęła, tylu zatrwożyła i tyle zamąciła, że pod ciężarem klęsk a nawet zbrodni koniecznie runąć musiała. Dopiéro z odmianą czasu i ludzi, w zmienionéj także formie, dziś znowu wraca do życia. Znany jest czytelnikom obecny ruch w Niemczech. Bez konspiracyj i wybuchów, działaniem jawném i spokojném, opinia publiczna w tym kierunku do takiéj już doszła mocy, że za co dawniéj zamykano w więzieniach i wypędzano z kraju, to dzisiaj, na zgromadzeniach publicznych, w obec ministrów i

książąt, wolno głosić i popierać; to nawet, mniéj lub więcéj jawne uznanie zyskuje u samych rządów, a rządów potężnych.

Bo też w ręku rewolucyonistów musiała koniecznie i fatalnie wszelka myśl uczciwa zmarnieć i smutne tylko po sobie zostawić rozbitki. Namiętnie, z hałasem i przemocą, szukając pod ich chorągwią zwycięztwa, napotykała zawsze opór równie brutalny i równie namiętny. Wspólny to błąd całéj partyi rewolucyjnéj, że za podstawę swoich czynności nie przyjmuje tego co jest, ale swój cel, swoje życzenia; że jednym skokiem do ostatecznéj chce dobiedz mety, nie znając jéj odległości ani nawet swych sił. Oderwana od ziemi nie rozumie, że koniecznym warunkiem wszelkiego ulepszenia jest — stopniowanie; że równie koniecznym, a najdzielniejszym nowych idei sprzymierzeńcem jest—czas. Co Fryderyk II powiedział o cesarzu Józefie, że drugi krok zawsze stawia przed pierwszym, to się do ludzi rewolucyjnych każdéj epoki i każdego narodu w zupełności stosuje.

Próżno siać w czasie huraganu, próżno budować kiedy ziemia się trzęsie. Dopiéro gdy uciszyły się namiętności i burze rewolucyi, dopiéro wtedy ujrzano ląd stały i punkt Archimedowy do dźwigania spraw wielkich. Rzec można, że równo z wstąpieniem na tron cesarza Napoleona, zaczęła się epoka jakiejś sprawiedliwszéj między interesami tranzakcyj, jakiéjś organicznéj restauracyi. Na radach europejskich, już nietylko o traktatach jest mowa, ale o prawie i o sprawiedliwości; już nietylko mocni zabierają głos ale i słabsi : odzywa się Piemont, dźwigają się państwa skandynawskie, z dawnego zapomnienia występuje na scenę Hiszpania. Nadto wszystkie niemal rządy spostrzegają, że przeciw opinii walczyć nie podobna; i dzisiaj, nie jak dawniéj w skutek rewolucyi przemocą do ustąpień zmuszone, ale moralnemu ulegając parciu, wewnętrzną ostrzeżone słabością, rozpoczynają dzieło reform, politycznéj i socyalnéj reorga-

nizacyi. Przedewszystkiém zaś na uwagę zasługuje to, że w każdym narodzie zjawiają się ludzie, co wierni zachowawczym zasadom, uznają jednak z rewolucyi to, co one mogą mieć w sobie słusznego; ludzie, którzy ważąc potrzeby czasu i miejsca, nie chcą odrazu, na przebój wszystkim i wszystkiemu realizować swego ideału; którym kończyć nie pilno, nie szukają awantur a działają spokojnie, jawnie i nieprzerwanie, nigdy swéj myśli nie odbiegając. Do takich ludzi przyszłość koniecznie należy; ich zasady wcześniéj czy późniéj zmienić się muszą w prawo dla całéj Europy.

A jeśli teraz z tego ogólnego poglądu na bieg spraw europejskich, zwrócim się do zadań naszych i do działań obywatelskich w naszym kraju, możemy tylko powiedzieć, że wspólne jest dla wszystkich narodów prawo pewnéj moralnéj dynamiki; że na całym świecie wspólne są warunki każdéj pracy organicznéj, każdéj powolnéj a mozolnéj rekonstrukcyi. Jeśli stronnictwo rewolucyjne w całéj Europie nie widzi nic przed sobą prócz ostatniéj mety : to ludzie pracy organicznéj spostrzegają wszędzie na swojéj drodze pewne punkta, pewne korzyści pośrednie, do których dążyć trzeba i można, pociągając za sobą massę współdziałającą, i których zdobycie przez to samo jest łatwiejsze a nie mniéj ważne, bo przygotuwuje ostateczne zwycięztwo. Jeśli ludziom rewolucyjnym zarzucają, że namiętnie, fanatycznie do swych pryncypiów przywiązani, nic nad nie wyższego, nic im równego, nic nawet przy nich uwagi godnego nie znają; jeśli właśnie dlatego ich irrupcya w świat polityczny, fatalną konsekwencyą, pociąga za sobą osłabienie porządku moralnego i wstrząśnienie towarzyskich podstaw : to ludzie pracy organicznéj mogą tylko powtórzyć słowa margrabiego Azeglio : « wyżéj nad wolność, wyżéj nawet nad niepodległość, narody chcące pozostać cywilizowanémi, cenić powinny sprawiedliwość, porządek i moralność. » Zacność indywi-

dualną obywateli, hr. Balbo stawiał Włochom jako pierwszy warunek ich politycznego dźwignienia się. Tego warunku pilnując, każdy naród, w najnieszczęśliwszém znajdujący się położeniu i pozbawiony wszelkiéj możności zbiorowéj pracy, potrafi jednak skutecznie rozwijać swe siły polityczne. Wykonywanie obowiązków jakkolwiek indywidualne, przygotowuje przecież koniecznie tryumf praw ogólnych : każdemu obowiązkowi odpowiada jakieś prawo, i w miarę wykonywania pierwszego przekonywać możemy o drugiém.

Aby sprawę narodu posunąć, nie dosyć jest widzieć sam tylko cel : trzeba przedewszystkiém patrzeć na położenie obecne, trzeba, z danych wychodząc stosunków, ulepszać je stopniowo, w miarę jak bieżące wypadki przynieść mogą ułatwienie. Aby naród przyszedł do jakiejś siły, nie dosyć jeden w nim tylko rozwijać element, jednę tylko przypominać mu potrzebę : żadnego interesu nie godzi się zaniedbywać, bo dopiéro ich zbiór tworzy polityczną budowę. Są, jak wiadomo, w każdym kraju stosunki : socyalne, religijne, internacyonalne, wojskowe, finansowe, wychowania, sprawiedliwości, administracyjne, handlowe, przemysłowe, miejskie, rolne, obyczajowe, naukowe, literackie i t. d. Bez któregoż z nich, zapytamy, naród obyć się może w swém życiu codziennném? który zwłaszcza jest mu niepotrzebny do zdobycia i utrzymania swéj niepodległości?..... Wprawdzie, nie wszystkim można jednako, a zwłaszcza w każdym czasie i miejscu zarówno pomagać ; ale wszystkie są godne pamięci, godne miłości i trudów, bo wszystkie są niezbędnemi cząstkami naszéj politycznéj całości.

Powiemy w końcu : nikt trwale i szeroko nie może budować, kto nie buduje jawnie. Narody podbite nie mają sekretów stanu ; ich najgłębsze myśli, ich najskrytsze dążenia znane są nieprzyjaciołom. Rząd nieprzyjazny może wszystkiemu przeszkadzać, wszelką pracę zbiorową rozproszyć, wszelkiemu rezultatowi zapobiedz :

najważniejszéj przecież korzyści wydrzeć nam nie potrafi, bo ta nie leży w owocach pracy, ale w zaprawionych robotnikach. Dobre instytucye, nawet po swym upadku, zostawiają ziarno na przyszłość. Ale czyż nie zbyteczna dodawać, że aby na takiéj drodze służyć ojczyznie, potrzeba owego spokoju chrześciańskiego i pokory, które nie szukają własnéj chwały ni upajających oklasków, i które może właśnie dlatego, że nie wyglądają tryumfu, tryumf najczęściéj odnoszą; potrzeba owéj cierpliwości, która nie jest wcale trwożliwą nieczynnością, ale owszem, jak słusznie powiedziano, jest doskonałym uczynkiem; potrzeba wreszcie umieć czekać, to jest czekać z trudem : *qui moris potitur, eum rerum potiri putant...*

ADRES KAMIENIECKI I ŻYWE OBRAZY.

Z Warszawy, 5 listopada.

Cesarz Alexander około tygodnia bawił w Warszawie. My widzieliśmy tylko zwykły spektakl przeglądów, balów, i t. p. Ciekawszém niezawodnie musiało być to, co się działo za kulisami. Zjazd wszystkich prawie reprezentantów Rossyi z różnych europejskich dworów do Warszawy, każe się domyślać, że chodziło o ważne sprawy, może nawet o nadanie nowego kierunku dyplomacyi rossyjskiéj w Europie. Spotkanie się późniéj cesarza z Regentem pruskim w Wrocławiu, zapowiedziana a odroczona bytność tamże Franciszka Józefa, wreszcie pogłoski o zabiegach pruskiego Regenta w celu zbliżenia do siebie dworów rossyjskiego i angielskiego: to wszystko zdaje się wskazywać, że obecna podróż cesarza rossyjskiego wywrze ważny wpływ na ogólną politykę europejską. Ale na nas z téj podróży sama tylko spadła kurzawa, i niceśmy wyczytać nie mogli na zmarszczonych a marmurowych twarzach dyplomatów, książąt i władzców świata. Zauważano tylko z ciekawością, i niekoniecznie z żalem, nadzwyczajną niechęć a nawet lekceważenie, które spotykały tu arcyksięcia Albrechta.

Upośledzenie brata cesarza austryackiego było ciągłe i nad wyraz wymowne. W opisach urzędowych, ogłoszonych w gazetach tutejszych, umieszczano Habsburga zawsze na końcu, wyliczywszy wprzód długi szereg książąt niemieckich, ba i holenderskich! Kto zna etykietę internacyonalną, kto wié, że w niéj tak stały i tradycyjny jest porządek jak w architekturze greckiéj, ten nie bez zdumienia widział w urzędowych sprawozdaniach kolumnadę dostojnych gości dziwnie niesymetrycznie ustawioną, i dopiero po księciu orańskim, wejmarskim i wirtemberskim, z których nawet nie wszyscy są «Królewskiemi Wysokościami,» czytał wymienioną Jego Cesarską Wysokość arcyksięcia Albrechta. Nadto, cesarz Alexander unikał wyraźnie wszelkiéj sposobności pokazania się publicznie razem z księciem austryackim; i kiedy tenże zażądał audyencyi, cesarz natychmiast posłał po księcia Oranii, aby nie mieć osobnéj rozmowy z członkiem rodziny, która, jeśli umie świat zadziwiać ogromem swéj niewdzięczności, to teraz sama niemało i niemile musiała być zdziwioną, że o tém tak dobrze wiedzą i nie tak prędko zapominają.

Na stosunki nasze, na położenie wewnętrzne kraju, podróż obecna cesarza nic nie wpłynęła, i co do nas przynajmniéj, Alexander II zdaje się w istocie wierzyć, że «co jego ojciec zrobił, dobrze zrobił.» Równo z jego przybyciem do Warszawy, odebraliśmy także głuche wieści o audyencyi, któréj w Kamieńcu udzielił szlachcie podolskiéj. Tamtejsze obywatelstwo (*relata refero*) wygotowało było adres do cesarza z prośbą o przywrócenie języka polskiego w szkołach i sądownictwie, o potwierdzenie na urzędach ludzi przez obywatelstwo wybranych, i o szanowanie religii katolickiéj. Pierwszy i ostatni punkt nie potrzebują objaśnienia; co się zaś tyczy drugiego, to wiedzieć należy, że jak w całéj Rossyi tak i na Rusi, szlachta wybiera z pośród siebie urzędników sądowych, z tą wszakże różnicą, że tutaj gu-

bernator wybranych nigdy nie potwierdza i swoich od korony mianuje. Łatwo więc ocenić słuszne powody tych żądań; ale jł.-gubernator ks. Wasilczyków oświadczył, że się nigdy nie poważy przedstawić takiego adresu i odrzucił go z oburzeniem. Musiał wszakże ustnie uwiadomić cesarza o zamierzonéj petycyi; gdyż ten w Kamieńcu przyjął szlachtę surowo, sam w rozmowie dotknął tego przedmiotu, i wyrzekł, że objawione żądania są bezzasadne: «gubernia jest rossyjska, i o tém szlachta pamiętać winna!...» Powiadają nawet niektórzy, że następnie, spostrzegłszy na twarzach słuchaczy niemiłe po tych słowach zdziwienie, podniesionym głosem dodał: «proszę nie zapominać, że jeśli umiem być łaskawym, umiem także i karać.»

Pomimo tak groźnego oświadczenia cesarza, nikt zapewne z szlachty podolskiéj nie żałuje tego kroku. Przynosi on zaszczyt ich uczuciu patryotycznemu i piękne daje świadectwo ich politycznéj odwagi; pokrzepia siły pracujących, wlewa nowe w spracowanych i wynagradza niejednę gorycz, niejeden bolesny zawód w naszém trudném życiu. Wszelka wiara potrzebuje nietylko cichych wierzących ale i jawnych i stałych wyznawców, i szerzéj jakoś pierś nad Wisłą oddycha, gdy ją z nad Dniestru toż samo polskie zawieje powietrze!... O naszych uczuciach powinniśmy wciąż świadczyć i sobie, i wrogom, i światu. Niejeden dyplomata europejski nie wié nawet, że naród polski i za Bugiem mieszka; nie wié, że prowincye zabrane nie są rossyjskie: podobnemi a powtarzanemi przedstawieniami przypomną to obywatele Europie, wycisną na tych ziemiach w obec świata całego niezatarte piętno nasze, i okażą, że od Sebastopola nie tak daleko do Polski, jak to mniemano za ostatniéj wojny wschodniéj... Serca polskie są teraz naszémi Bolesławowémi słupami, i każdy z nas, jak pięknie wyrzekły *Księgi Pielgrzymstwa*, wiernością dla sprawy oznacza przyszłe granice naszéj ojczyzny.

Wystąpienie obywateli podolskich w Kamieńcu, jedynym jest pocieszającym faktem z dyaryusza cesarskiéj podróży wzdłuż naszego kraju. Na dwóch kończynach téj peregrynacyi, w Białocerkwi i w Warszawie, innego rodzaju były manifestacye polskich mieszkańców. Alexander II podobno w dobrym humorze opuścił Białocerkiew: bo téż tam nie wystąpiono natrętnie z niewczesnym polonizmem, tam nic mu nie przypomniało Polski!... Powiadają, że dwudniowy pobyt Alexandra w Białocerkwi kosztował około miliona; jakkolwiek ta cyfra może być przesadzona, to pewna wszakże, że nie szczędzono niczego, coby zasługę gospodarza podnieść a łaskę gościa ściągnąć mogło. Po zeszłoroczném w okolicach Wilna polowaniu, hr. Tyszkiewicz został, jak wiadomo, kamerjunkrem cesarskim. Od tego czasu, laury te, w borach litewskich tak cudownie wykwitłe, nie dawały spać nie jednemu z naszych magnatów; nie jednemu klucz szambelański migał się odtąd przed oczyma i za oczyma — na tylnéj pole fraka: mianowicie zaś p. Konstantemu Branickiemu. Nemrod zawołany, chciał się on popisać jako «wielki myśliwiec przed Panem», i na cześć cesarza urządził polowanie, godne jego fortuny i godne imienia. Był i kucharz w swéj sztuce niezrównany, a odstąpił go na tę uroczystość i umyślnie wyprawił do Białocerkwi, jeden z Polaków wśród was zamieszkały. Gust, przepych i bogactwo były nie do opisania — i téż ich nie opiszę; ale odżywiły w pamięci Rusinów bajeczną wystawę, z jaką z drugiéj strony Dniepru, kniaź Potemkin przyjmował niegdyś prababkę obecnego monarchy, «nieskazitelną» Katarzynę.

Tu, w Warszawie, inszego rodzaju było polowanie. Telimeny nasze, jak wiadomo, znają się na łowach. To téż różne panie i panny goniły za inwitacyami na bal u księżnéj Gorczakowowéj, za toaletami, a przedewszystkiém za spojrzeniem i uśmiechem «dobrotliwego» Alexandra; a płeć mniéj piękna, a niemniéj płocha,

dotrzymywała kroku w téj nierycerskiéj gonitwie. *Ruere in servitium* zwinnemi nóżkami i w jedwabnych trzewiczkach!... Nie wyliczę wam tu szeregu wszystkich tańców; nie przytoczę chwytanych w Warszawie anekdot o śmiesznościach pani *la pied d'elle*, o rywalizacyach panien L. i P., o płaskości płazów i kwoczeniu kwok. Powiem wam tylko, że jak paproć gminnéj powieści w nocy świętojańskiéj, tak w nocy 19 października, na balu księżnéj Gorczakowowéj, w całym swym blasku zakwitły głupstwo i pustota warszawskiego *fashion*. Dodać także należy, że dworską zabawę przyjemnie przeplatały naiwności — więcéj niż zaściankowe. Ztępienie zmysłu moralnego nie pociąga za sobą koniecznie braku towarzyskiéj ogłady i pewnéj znajomości świata: ale tym razem, pewne tancerki objawiły nietylko uczucia ale i maniery panien pokojowych. Jedna z nich powiedziała cesarzowi: *permettez pour l'agrément de la conversation (sic!) que je vous dise monsieur;* olśniona blaskiem swéj latorośli pewna matka, zawołała w głos, że jej córka «nie jest *amurkiem* ale *aniołkiem!*»; a panna P., zapytana przez Alexandra w czém jéj może być przyjemny, odrzekła z tą prawdą, którą już w ustach niemowlęcych święcił boski psalmista: «*Si vous vouliez nous faire comtesses, cela serait très aimable (sic!) à maman et à moi...*»

Wszakże, nietylko swój spryt i układność, ale i całą swoję dozwoloną plastykę, w bengalskiém oświeceniu i gazowém przezroczu, miały sposobność exhibować na tym balu nasze *amurki* i *aniołki*. Bal rozpoczęły *żywe obrazy*, złożone z samych kwiatków towarzystwa — polsko rossyjskiego; a gdy dzienniki tutejsze wyliczyły, (i zapewne z pociechą matek) imiona tych produkowanych piękności, nie widzę czemubym i ja tego nie miał uczynić dla smutnéj pamięci. Brali więc w téj reprezentacyi udział, z dam polskich: senatorowa Janowa Łubieńska, hr. St. Kossakowska, hr. Czapska, pani Prozorowa,

pani Chrapowicka, hrabianka Ilińska, panna Podoska, panna Poradowska, panna Zabłocka i panna Wiorogórska; z mężczyzn: St. i M. hr. Kossakowscy, hr. Konstanty Przezdziecki, hr. Skarbek, hr. Grabowski, pp. Pęcherzewski, Lubieniecki, Prozor, Bujno, Włodek i Czarnocki. Obrazy te stanowiły rodzaj szarad, które może zrozumieli kosmopolici salonów, ale dla polskiego sumienia zostaną one wieczną zagadką. Jeden z nich przedstawiał *Labeur*, i w czułéj grupie połączył Krakowiaków, Litwinów i — burłaków moskiewskich. Inny rozwinął wyraz *l'Amour*.., *Où donc l'amour va-t-il-se nicher ?* zapytacie się może. Odpowiem wam, że nawet podwójnie (tak płodne są nasze dowcipy!) dał się umieścić: raz w znaczeniu *miłości*, a następnie jako rzeka *Amur*, któréj brzegi Rossya opanowała i wzdłuż nich ciwilizacyą szerzy. *Noblesse oblige* była trzecia szarada: na przedstawienie «*szlachectwa*» wyszukano grupę markizów — z czasów Luwika XV: wybór nad wyraz szczęśliwy; nie wiedzieli co robili, ale trafniéj zaprawdę wybrać nie mogli! Co może was więcéj zadziwi niż to wszystko, to że niezbyt szlachetny trud urządzenia tych obrazów i artystycznego ich układu przyjął na siebie — p. Alexander Przezdziecki!...

Ale nie chcę dalej kreślić żywych obrazów téj moralnéj śmierci; nie mam sił rozwodzić się więcéj nad tém ztępieniem wszelkiego uczucia narodowego, nad tém deptaniem ludzkiéj godności! Wychyliliśmy tu do dna kielich goryczy, i łzami i krwią nabiegłe oko gubi się w bezmiarze naszego poniżenia. Że téż do tego przyszło! Że téż my sami własnemi rękoma splatamy naszym katom wieńce, kosztem naszéj czci i naszéj godności okupujemy na ustach carów uśmiech — pogardy, i córkom i synom naszym każemy służyć za symboliczne bałwany w obrazach głoszących podbój i wielkość i miłość Moskali!... Oh! i czyż nic tym płochym dziewczętom, bezmyślnym chłopcom i pustym matkom nie przypomniało w jakiéj to stolicy i przed jakim to monarchą wyprawia-

no te sromotne maszkarady? Czyż nie wiedzą jakiego narodu są dziećmi i jakich to ciemięzców ofiarami; i czyż im w istocie chodzi o to, ażeby po Polaku, jak po owym rzymskim niewolniku, został tylko grobowy napis: *saltavit et placuit?...*

Bądźmy wszakże sprawiedliwi i nie posuwajmy goryczy do tyla, abyśmy w *szlachectwie markizów* z *Parc aux cerfs* widzieli obraz naszéj polskiéj szlachty!... Godnością narodu frymarczyli tylko ci, co własnéj nie mają, i przed monarchą rossyjskim pełzali tacy, którzy przed narodem oddawna nie mogą podnieść czoła. Gdzie dwór, tam są i lokaje, są i lokajskie dusze; szumowiny szumieć muszą : na to już je sama etymologia skazuje; a dość rzucić okiem na wymienione osoby, by się przekonać, że między niemi niema ani jednego nazwiska poważnego, ani jednego historycznego imienia: próżnobyśmy także szukali tam poczciwéj naszéj szlachty wiejskiéj. Żal nam w gruncie jednego tylko p. Alexandra Przezdzieckiego, który dotąd godniejszemi zajmował się pracami; żal że uczony amator nie zrozumiał tego, iż imię stojące na czele tak pięknego narodowego przedsięwzięcia, jak wydanie Długosza, nie powinno figurować na liście carskich trefnisiów. Powtarzam jeszcze raz : śród uczestników owych niecnych zabaw, nie było ni prawdziwych panow, ni prawdziwéj szlachty! Ale czyż panowie i szlachta będą mieli odwagę to jawnie potępić, czém w ukryciu pogardzają; czy względy towarzyskie i niebaczna dobroduszność nie rzuci płaszcza pobłażania na te ohydy, i zbrodni nie nazwie tylko słabością; czy opinia publiczna będzie miała odwagę zasłużone piętno kłaść na miedzianych czołach, i kordon moralny zaciągnąć między zgnilizną a zdrowiem?... Inne to pytanie i ból to może jeszcze większy! Bo bierność uczciwych gorszą jest i w skutkach straszliwszą, niż czynność nikczemnych lub płochych!...

TOWARZYSTWO KREDYTOWE W POZNAŃSKIEM.

12 listopada.

W ciągu dwóch ostatnich lat, sprawa Towarzystwa kredytowego była, rzec można, jedną z najżywotniejszych dla obywateli Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Dziś, gdy w sposób tak szkodliwy interesom Księstwa została zakończoną, nie od rzeczy może będzie skreślić pokrótce jéj dzieje i nową tę krzywdę zapisać do szeregu tylu innych, zadanych nam przez rządy barbarzyńskie, wpółbarbarzyńskie i wysoko cywilizowane.

Po wielkich wojnach pierwszego cesarstwa, wartość ziemi tak spadła w cenie, kredyt rolniczy tak utrudnionym, hypoteki były tak przeciążonemi, że głównem zadaniem ludzi finansowych, zwłaszcza u nas na północy, było wynalezienie środków ku podźwignieniu ziemskich właścicieli. Téj potrzebie odpowiedziano utworzeniem Towarzystw kredytowych, mobilizujących część ziemi w listach zastawnych, a odpowiedziano skutecznie, bo papiery te okazały się wnet ulubioną lokacyą dla kapitalistów, przestających na mniejszym lecz pewnym procencie. Z téj potrzeby i na téj zasadzie powstały Towa-

rzystwa kredytowe w Królestwie Polskiém, w Galicyi, we wszystkich niemal prowincyach monarchii pruskiéj, a więc i w W. Księstwie Poznańskiém. Zasadnicze warunki tych instytucyj były następujące:

a) Niewypowiedzialność pożyczki;

b) Umarzanie kapitału kilkudziesięcioletnią w tym celu wypłatą pewnego procentu;

c) Solidarność stowarzyszonych w odpowiedzialności za długi;

d) Zarząd instytucyi przez dyrekcyą wybieraną z grona stowarzyszonych a ulegającą kontroli władz krajowych.

Wiadomo, że Towarzystwa kredytowe na powyższych oparte zasadach, okazały się wszędzie prawdziwém dla kraju dobrodziejstwem, i skoro tylko upłynęła pewna liczba lat, wszędzie pośpieszono je odnowić. Z jednéj strony gospodarstwo rolne wymagało coraz to większego wkładu kapitałów; z drugiéj, stało się widoczném, że każda generacya właścicieli ziemskich długami sukcesyjnémi obciążonych, potrzebować będzie nowych źródeł kredytu. W Królestwie Polskiém, w roku 1839, w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, w roku 1841, druga serya listów zastawnych wypuszczoną została. — Wszakże, ostatnie lata tak pamiętne nieurodzajem, tak obfite w najróżnorodniejsze klęski, podkopały stan obywateli ziemskich, i znowu zaczęto zewsząd wołać o pomoc pieniężną. W ciągu dwóch ubiegłych lat, rząd pruski dozwolił Towarzystwom kredytowym w obu Marchiach, na Pomorzu, w Prusiech zachodnich i na Szlązku, udzielić trzeciéj pożyczki do połowy lub dwóch trzecich wartości; jedną tylko prowincyę z tego ogólnego wyjęto dobrodziejstwa, to jest Wielkie Księstwo Poznańskie.

Władze Towarzystwa kredytowego w Poznańskiém, pomne na swój obowiązek ratowania właścicieli ziemskich, i słysząc jak chętnie rząd zezwala na odnowienie instytucyj kredytowych w innych częściach monarchii,

zażądały upoważnienia, aby zwołać walne zebranie stowarzyszonych i Towarzystwo na czas dalszy utrwalić. Siedm razy zanoszono też samą prośbę, lecz za każdym razem odmowna przychodziła odpowiedź. Aż w miejsce odpowiedzi, pod koniec roku 1857, rząd ogłosił niespodzianie statut nowego Towarzystwa, które, bez żadnego związku z istniejącém, miało być założone. Główne punkta tego jedynego w swym rodzaju statutu są następujące:

1° Stowarzyszeni nie wybierają dyrekcyi, ale ją mianuje rząd;

2° Dyrekcya ma prawo, każdéj chwili, bez powodów i apelacyi, wypowiedzieć całkowitą pożyczkę;

3° Solidarność stowarzyszonych nietylko do kapitałów, ale i do procentów rozciągnięta.

Zbyteczném byłoby tłómaczyć dążność tych przepisów i przeznaczenie Towarzystwa na nich opartego. Autorom projektu, co najmniéj, tę trzeba oddać sprawiedliwość, że wypowiedzieli jasno czego chcą!...

Ale jak rząd mógł usprawiedliwić utworzenie takiego zakładu? Co miał do zarzucenia dawnemu Towarzystwu kredytowemu, którego sumienna i wzorowa administracya tak bardzo je przed wszystkiemi odznaczyła, które największy ze wszystkich oszczędziło kapitał i którego listy zastawne w całéj monarchii najwyżéj były i są dotąd cenione?... Na pytania te nie odpowiadano wcale, i słusznie; bo nie było odpowiedzi, do którejby się mogła przyznać jaka bądź władza, dbająca o dobre imię u poddanych. Statut z roku 1857 ogłoszony jest na zasadach w żadnym kraju i w żadnéj epoce dotąd nieużytych i nowemu Towarzystwu kredytowemu nadał nieznany dotychczas charakter instytucyi czysto politycznéj. Wydrzeć Polakom ostatni zakład, który w swym ręku utrzymali, zdradliwą pomocą wyłudzić im resztę ziemi: oto są aż nadto widoczne zamiary rządu i pozostaną na zawsze smutną pamiątką jego moralności politycznéj.

Zbyteczna téż dodawać, jak fatalne było wrażenie ogłoszonych statutów. Nietylko Polacy, ale i Niemcy zamieszkali w Księstwie, dawali się z tém słyszeć, że kto z nowego Towarzystwa zechce korzystać, ten siebie i fortunę odda niechybnie na łaskę rządu, i że instytucya ta chyba dla tego tylko utworzona została, aby władzom miejscowym nowych dostarczyć środków do walki z rządzoną przez nie ludnością !

Takie było ogólne usposobienie mieszkańców w Poznańskiém, kiedy z Berlina przyszedł niespodzianie rozkaz, o który poprzednio przez lat dwanaście napróżno dopraszano się, aby zwołać walne zebranie członków Towarzystwa. Ministeryum wydając ten rozkaz, rozumiało zapewne, że okoliczności dojrzały, że przyszła chwila zadania ciosu Towarzystwu dawnemu, że gwałtowna potrzeba zasiłku pieniężnego zmusi stowarzyszonych do przyjęcia zasad statutu z roku 1857. Całkiem inne było mniemanie obywateli. Sądzili oni dobrodusznie, że ogólny wstręt prowincyi do nowego Towarzystwa wywarł wpływ na opinią ministrów, i że rząd w swym statucie chce zaprowadzić zmiany, odejmujące mu charakter machiny wojennéj. Długo oczekiwane walne zebranie otwartém nakoniec zostało w czerwcu 1858 roku, lecz pierwsze sesye przekonały zaraz, jak bardzo obie strony się zawiodły. Rząd znalazł stowarzyszonych mocniejszymi niż sądził ; czekając na koncesye z ich strony, milczał w kwestyi nowego statutu ; stowarzyszeni zaś nie uwzględniając bynajmniéj przepisów z roku 1857, nie robiąc żadnéj z swych praw abdykacyi, uchwaliło wiele projektów, ale z nich żaden nie odpowiadał widokom rządowym.

Podania i wnioski walnego zebrania posłane zostały do Berlina i w kilka miesięcy przyszła na nie stanowcza, odmowna odpowiedź. Musimy jednak wspomnieć tu o fakcie, który zdaniem powszechném wpłynął na tę nieprzychylną decyzyę rządu. W tym to czasie pokazały się

w Poznańskiém, i księciu Regentowi były komunikowane, owe sławne rewolucyjne odezwy, przez władze miejscowe (jak to późniéj wykazał na pamiętném sejmowém posiedzeniu pan Niegolewski) w Poznaniu przedrukowane i gorliwie rozszerzone między mieszkańcami. Odezwy te, świadcząc niby o duchu niespokojnym polskiéj ludności, musiały w istocie zaważyć w umyśle ministrów, w chwili, kiedy pod decyzyą ich przyszły żądania całego niemal polskiego obywatelstwa.

Cóżkolwiekbądź, odmowa była stanowcza i zdawało się wszystkim, że sprawa raz na zawsze rozstrzygniętą została. Tymczasem wbrew ogólnemu mniemaniu i wkrótce potém, ministeryum wezwało Dyrekcyą dawnego instytutu kredytowego, aby wysłała do Berlina delegowanych dla narady i porozumienia się nad środkami mogącémi połączyć oba Towarzystwa. Ten krok rządowy, w którym niejeden mógł się domyślać jakichś pobudek sprawiedliwszych, był tylko prostą wywołany koniecznością. Pierwsza to w Prusiech prowincya, gdzie naraz istnieć miały dwie niezawisłe od siebie asocyacye kredytowe ; a rząd który rodzicielskie żywił uczucia dla nowo narodzonego stowarzyszenia, przewidywał z obawą, że mu dawne nie da się rozwinąć. Przytém to nowe stowarzyszenie nie posiadało kapitału zakładowego, kiedy w dawném przeciwnie, dzięki roztropnéj i sumiennéj administracyi, zebrano około półtora miliona talarów oszczędności. Aby więc ów kapitał zaoszczędzony przejąć pod swój zarząd, i operacyom finansowym nowéj asocyacyi dać pieniężną podstawę, interesem było ministeryum dążyć do zlania się obu Towarzystw.

Za przybyciem delegowanych do Berlina, rozpoczęły się układy i trwały przez kilka miesięcy. Ale napróżno : reprezentanci Towarzystwa nie mogli poświęcić najżywotniejszych interesów kraju widokom rządowym ; ministeryum zaś, chociaż w kwestyach mniejszéj wagi, okazywało się gotowém do ustąpień, niewzruszoném

było w tém wszystkiém, co tworzyło właściwie istotę nowego Towarzystwa. I tak co do dyrekcyi: rząd ostatecznie zastrzegał sobie nominacyą na pierwsze trzy lata, po upływie których przyzwalał wprawdzie, aby stowarzyszeni przedstawiali trzech kandydatów, ale z warunkiem, że gdyby żaden z nich nie posiadał ufności rządu, ministeryum zamianuje od siebie dyrektora. Dla czego zaś tak uporczywie obstawano przy nominacyi tego naczelnego urzędnika Towarzystwa, nie trudno zrozumieć, wiedząc, że dyrektorowi, według statutu z roku 1857, służy prawo wypowiadania, bez apelacyi, całkowitych pożyczek, i że tém samém będzie on absolutnym panem wszystkich majątków, które przystąpią do nowego Towarzystwa. A gdy delegowani na ten warunek rządu przystać nie chcieli, rokowania spełzły na niczém, podobnie jak nieco pierwéj uchwały i wnioski walnego zgromadzenia.

Nie mogąc przełamać stałości, z jaką dawne Towarzystwo praw swoich broniło, ministrowie umyślili obyć się bez niego. Wspomnieliśmy, że nowa asocyacya pozbawioną była zakładowego kapitału: obaczmy jakim sposobem zaradzono téj trudności. Przed kilkonastoma laty sejm prowincyonalny poznański zajął się był gorliwie myślą utworzenia Towarzystwa kredytowego dla chłopów uwłaszczonych, i w tym celu wyznaczył z funduszów prowincyonalnych summę na kapitał zakładowy. Atoli towarzystwo tego rodzaju okazało się niepotrzebne, od czasu zaprowadzenia tak zwanych banków rentowych; fundusz jednak przez sejm uchwalony leżał w kassach naczelnego prezydyum. Otóż naczelny prezydent sądził się obecnie w prawie rozporządzić tym funduszem bez wiedzy i woli prowincyi, i oddał go na kapitał zakładowy nowemu Towarzystwu, pod pozorem, że według statutu z roku 1857, może ono wypożyczać i na posiadłości włościańskie.

Taki jest stan obecny sprawy. Rząd dokonał swego;

bo, pomimo nieufności kapitalistów i niechęci obywateli, wzniósł, utrzymał, i wprawdzie cudzym groszem, ale dostatecznie, uposażył nowe Towarzystwo. Już właściciele zaczynają się zgłaszać o pożyczki ; potrzeba zmusza ich do czerpania ze źródła tak bardzo niebezpiecznego. Ale przystępując do stowarzyszenia, tracą od razu siódmą część swego kapitału : bo kiedy dawnego Towarzystwa listy, znajdują kupców po 99 i ćwierć, nowe sprzedawać trzeba po 85 za sto. Przy téj nizkiéj cenie papierów i z tak niemoralną zasadą, możeż się ostać na długo ta potworna instytucya?... Przyrównywano ją, i słusznie, do niesumiennego przewodnika, który wpraszając się zdradliwie zbłąkanym podróżnym, w chwili niebezpieczeństwa, sam na nich napada.....

Opowiedzieliśmy tylko główne koleje toczonéj sprawy; obszerniejszy wywód usłyszymy zapewne na mającym się rozpocząć sejmie pruskim : bo nie wątpimy, że posłowie Księstwa Poznańskiego wytoczą tam skargę na takie bezprawie. Czy wszakże u sejmu pruskiego więcéj spotkają uczucia słuszności i godziwości niż u tak zwanych liberalnych ministrów.., nie śmiemy zaręczyć ! Ale w każdym razie, dobrze będzie, że nowa ta krzywda, znajdzie swój rozgłos z europejskiéj mownicy i światu da miarę niemieckiéj sprawiedliwości.

MŁODZIEŻ I STARSZYZNA W KRAKOWIE.

Z Krakowa, 19 listopada.

Miasto nasze zajęte jest wypadkiem, o którym wieść, mam nadzieję, rozejdzie się po wszystkich zakątkach Polski, i świadcząc głośno o uczuciach i roztropności naszéj naukowéj młodzieży, doda otuchy niejednemu z tych, co z nieufnością i obawą w przyszłość poglądają. Jeszcze w początkach października, kiedy hr. Gołuchowski, w drodze do Wiednia, przejeżdżał przez Kraków, zamyślali uczniowie jagielońskiego uniwersytetu o podaniu adresu do cesarza. W adresie tym zamierzali dziękować za nakaz wprowadzenia języka polskiego do gimnazyów galicyjskich, a zarazem prosić o wprowadzenie tegoż języka i na uniwersytet tutejszy. Ale zamiar ten nie przyszedł wówczas do skutku : raz dlatego że jeszcze wszyscy nie byli zjechali się uczniowie; powtóre, że starsi, których się młodzież radziła, mówili im, że prośba podobna nie od uczniów, ale od obywateli kraju całego zaniesioną być winna. Czekała więc młodzież, aby myśl tę poważniejsi przeprowadzili obywatele. Lecz gdy czas upływał a starsi nie dopełniali swojéj powinności, i owszem wyrzucali młodym, że ich w trudnem stawiają

położeniu, projekt chwilowo zawieszony, odżył na nowo.

Skoro adres został ostatecznie zredagowany, w ciągu kilku dni, ze 193 uczniów uniwersyteckich, z wydziału prawa, medycyny i filozofii, podpisało go 158; poczém wybrano po jednym delegowanym z każdego wydziału, którzy pismo to zawieźć mieli do Wiednia i doręczyć je hr. Gołuchowskiemu dla oddania cesarzowi. Dowiedział się o tém dyrektor policyi, i wezwawszy delegowanych, nie wzbronił im wyjazdu do Wiednia, ale kazał złożyć paszporta, a dniem przed wyjazdem zawiadomić policyą. Spostrzegła się młodzież, że im mogą robić trudności, i zaprzestała mówić o projekcie; a tak, gdy policya mniemała, że rzecz nie przyjdzie do skutku, dwaj delegowani znajdowali się już w Wiedniu z adresem. Wyrobili sobie na 9 b. m. audyencyą u ministra oświecenia, i gdy na godzinie naznaczonéj stawili się w ministeryum, wprowadzeni do salonu, zamiast hr. Thuna, znaleźli czterech urzędników. Jeden z nich wysłuchawszy żądania i odebrawszy adres, rzekł im: «Oto są dwaj komisarze policyi, którzy mają rozkaz zabrać panów i odstawić do policyi.» Tak się też stało. W policyi rozpoczęto z obydwoma sumaryczną indagacyą, któréj choć kilka pytań chciałbym wam udzielić.

Pytano. «Kto był pierwszym promotorem adresu?» *Odpowiedź.* «Nikt nie był pierwszym, ta myśl u wszystkich naraz powstała.» — «Kto był redaktorem?» — «Wszyscy gdyż pierwéj zanim ostateczny przyjęto adres, wszyscy podawali swe myśli, z których następnie korzystano przy redakcyi.» — «Kto go przepisywał?» — «Kaligraf, którego za to zapłacono.» — «Kto wyprawiał obu delegowanych?» — «Nikt, bo sami się podjęli oddać go w ręce dla większéj pewności, niż gdyby go pocztą byli wysłali.» — Takie były obu odpowiedzi; inkwirent uważał jednak za stosowne podsunąć do protokołu im zeznanie: «że podpisy zostały wymuszone!!» Zaprzeczyli temu obadwaj, i póty odmawiali

swojego podpisu, póki inkwirujący nie wciągnął do protokołu, «że w całéj téj sprawie uczniowie nie użyli, względem żadnego z swych kolegów, ani moralnego, ani fizycznego przymusu.»

Po ukończonéj indagacyi, zawieziono ich prosto na koléj żelazną i odesłano pod strażą urzędnika do Krakowa, dokąd przedwczoraj przybyli. Stawieni przed dyrektora policyi, musieli wysłuchać nowych napomnień, że bez jego wiedzy Kraków opuścili. Ale wieczorem już ich uwolniono, oddawszy sprawę władzom uniwersyteckim. Wistocie, zebrał się wczoraj akademicki senat; ale dla przyczyn mi niewiadomych, dotąd nie wydał wyroku. Mówią jednak, że obaj delegowani będą musieli opuścić uniwersytet.

Adres, o którym mowa, był spisany w języku polskim i niemieckim, i brzmi jak następuje:

«Najjaśniejszy Panie. Niżéj podpisani, słuchacze C. K. wszechnicy jagielońskiéj w Krakowie poważamy się złożyć najuniżeńsze dzięki Waszéj C. K. Apostolskiéj Mości za najłaskawsze pozwolenie, ażeby w gimnaziach Twoich krajów koronnych, a zatem i w Królestwie Galicyi jako téż i w Wielkiém Księstwie Krakowskiém, językiem wykładowym był język przeważającéj liczby ludności.

» Ośmieleni tém dobrodziejstwem, z którego, skoro tylko w gimnazyum krakowskiém zastosowaném zostanie, młodsi bracia nasi niezmierne odniosą korzyści, składamy u stóp tronu najpokorniejszą prośbę, aby W. C. K. A. Mość takowe i na wszechnicę naszę miłościwie rozszerzyć raczył, dozwalając wykładu nauk w języku polskim.

» Najjaśniejszy Panie, czujemy jako przyszli obywatele, że kształcenie umysłów naszych w języku ojczystym, w którym jedynie takie skarby wiedzy zebrać można, jakie do służenia krajowi i poświęcenia się państwu uzdolniają, tak pożądaném byłoby dobrodziejstwem, iż uznając potrzebę prośby naszéj, błogiéj oddajemy się

nadziei, iż takowa, o ile z obecnie zapowiedzianemi reformami jest zgodną, łaskawe u W. C. K. A. Mości znajdzie przyjęcie. »

Dla zbolałéj duszy polskiéj niemało jest osłody w tych zacnych domaganiach się uczniów krakowskiego uniwersytetu. Postępowaniem swojém dowiedli gorących uczuć ale i skromności : czekali na starszych, dobudzić się nie mogli, sami wzięli się do dzieła, i spokojnie a rozważnie działali; w Wiedniu nie wywoływali hałasu, w Krakowie nie szerzyli popłochu; wierni sprawie robili co powinni, lecz sił swoich ani powołania nie przeceniając, to tylko robili co mogli. I jeśli młodzież krakowska wytrwa, nie mówimy w tych uczuciach, ale w téj roztropnéj skromności, jakiéj dała dowody; jeśli z tą samą dla sprawy wiernością, będzie zawsze tak oceniała i siły swe i swoje powołanie; jeśli szczególnie z ostatniego zajścia nie zaczerpnie powodu do uważania siebie za męczenników i wysłużonych obywateli, ale tylko za pokrzywdzonych uczniów polskich, którzy usunięcia krzywdy na drodze wskazanéj domagać się mają prawo, a których obowiązkiem jest nadewszystko, i w jakich bądź okolicznościach, uczyć się i sposobić na pożytecznych sług kraju, to zaskarbi sobie wdzięczność rodaków i da zbawienny przykład wszystkim młodszym swoim braciom w różnych częściach naszéj biednéj ojczyzny !

Bo powiedzmy szczerze! Z uczuciami pociechy i wdzięczności, jakie w nas, jakie w każdém prawém sercu polskiém obudził krok młodzieży krakowskiéj, miesza się niejedna obawa, na niejedném bolesném doświadczeniu naszego życia oparta. Grozi młodym dwojakie niebezpieczeństwo : że zrobiwszy co zrobili, przyczają się i w cichości zadowolnienia zapadną jak wystrzelona rakieta; bo dość często u nas bywa, że ktoś raz dopełniwszy powinności, zasypia choćby na jednym listeczku laurowym i z danego raz wdowiego grosza na resztę ży-

cia ciągnie procenta swéj chwały. Grozi z drugiéj strony młodym, że daléj idąc, mogliby zboczyć z drogi umiarkowania i zejść na agitacyą, któréj koniec byłby równie okropny jak łatwy do przewidzenia, kiedy walka się toczy z przeciwnikiem silnym i w środkach nie przebierającym. Tłómaczmy się jaśniéj. Byłoby klęską wielką, gdyby młodzież, zamiast poważnie a wytrwale stać przy swojém prawie i o nie się na legalnéj drodze upominać, dała się pociągnąć (a kusicieli nie zabraknie) do manifestacyj burzliwych, do przeszkadzania profesorom w wykładzie choćby niemieckim, do secessyj i tym podobnych objawów, któremi ulżą zapewne chwilowemu oburzeniu, ale broń Boże, prześladowania na siebie i wyrok zagłady na uniwersytet sprowadzić mogą. Byłoby klęską dla całego narodu, gdyby to tak piękne młodzieży krakowskiéj wystąpienie, miało stać się hasłem odstąpienia od naukowéj pracy i prawdziwego akademickiego zawodu!...

Smutny to nasz los zaprawdę, że każda najmniejsza dla narodu pociecha pociąga za sobą razem i niebezpieczeństwo, i budzi w duszy niepokój i trwogę. Twarda to konieczność nasza, że po sercach młodych, szlachetnych, zapalnych, musimy żądać téj rozwagi i wstrzemięźliwości, tego przezornego hartu i gorącego spokoju, jakie rzadko znaleźć można nawet w starszych i doświadczeńszych, a jakich najmniéj tym razem dali przykład tak zwani poważni obywatele Krakowa!

Cóż powiedzieć, wistocie, o tych obywatelach, którzy młodzież nasamprzód w uczciwych chęciach powstrzymywali, obiecując jéj szanowną swą pomoc, a potém ją szanownie opuścili i teraz równie szanowne wyrażają obawy?... O! że też u naszéj starszyzny każdy poczuwa się tylko do urzędu Wojskiego, i w czasie pospolitego ruszenia zostaje w domu, aby pocieszać wdowy! Że też to u nas, aby uchodzić za dobrego patryotę, dość jest wyrzekać na obcych, a samemu zostawać obcym wszel-

kiemu żywotnemu interesowi kraju! Że też każdy ojciec rodzinny jest zarazem i —dziadem, i że innéj *toga virilis* nie znamy, prócz szlafroka i pantofli! Chcieliby, aby za nich naród szlachetny krew swą rozlewał i całą Europę wyzywał do boju; nie mogą przebaczyć Napoleonowi, że nie przeszedł Mincio, Dunaju, ba nawet Wisły, aby upomnieć się o Polskę; a sami nie wychylą się z domu ni z resursy, i nie mają odwagi, bez wszelkiego dla siebie niebezpieczeństwa, upomnieć się o to, co im nietylko Boska ale i cesarska przyznała już wola...

P. Henryk Wodzicki podał w tutejszém Naukowém Towarzystwie wniosek, aby dziękując cesarzowi za rozkaz wprowadzenia języka narodowego w wykładzie nauk po gimnazyach, dodać zarazem, prośbę o wykonanie tego rozkazu. W pierwszéj chwili wniosek ten otrzymał silnie poparcie i odesłanym został, wedle zwyczaju, do komitetu dla przeprowadzenia. Ale teraz jest wątpliwość, czyli Towarzystwo zdobędzie się wistocie na posłanie takiego adresu, bo są niektórzy, co przeciw niemu mocno intrygują! Nie chcę na teraz nic mówić, bo nie chce mi się jeszcze wierzyć, aby u nas taka słabość była w dobrych a taka siła w nikczemnych. Poczekam do końca; a gdyby, co nie daj Boże, obawy się ziściły, nie omieszkam wam niecnych nazwać po imieniu: bo jeśli u nas nieraz cichemi pozostać muszą zasługi, to głośnemi być mogą i powinny odstępstwa i zdrady.

WYSTAWY I WYŚCIGI WŁOŚCIAŃSKIE.

26 listopada.

Nie zawsze pocieszającémi są obrazy życia, jakie nam kreślić przychodzi z różnych stron naszéj ojczyzny. Są jednak i takie, które i myśl rozjaśniają i serce podnoszą, i mile zatrzymują oko po smutnéj wędrówce wśród cierpień, błędów i zawodów naszych.....

W ciągu dwóch ubiegłych miesięcy, Królestwo Polskie pełne było ruchu i gwaru, poważnéj a nader ujmującéj pracy. Po raz pierwszy to, we wszystkich obwodach i okręgach, urządzano popisy oraczów, wyścigi koni chłopskich, i z niémi połączono wystawy produktów wiejskich i rozdania nagród gospodarzom, służącym i parobkom. Zebrania były liczne i ożywione : była to jakby świąteczna uroczystość pracy wiejskiéj i całego kraju, jakby brzask pogodnego, daj Boże, nieba po ciemności długiéj a burzliwéj. Należeli do nich zarówno obywatele jak lud wiejski, płeć piękna i duchowieństwo; a sercem i myślą należał każdy, kogo raduje widok ogólnéj ku dobremu dążności i miłość szerząca się między ludźmi. Nie wezmą nam przeto, jak sądzimy, za złe czytelnicy, jeśli nie czekając nawet końca sprawozdań

w dziennikach warszawskich, podamy o tych zebraniach wiadomość ogólną.

Przedewszystkiém wyznać musimy, żeśmy dawno pism krajowych nie czytali z tak serdeczną pociechą, z tak rzewném i tęskném uczuciem. Wieje z tych opisów jakby świeżość wiejskiego powietrza, jakby zapach rodzimych łąk i borów; czuć w nich to ciche, skromne a głębokie przywiązanie do ziemi ojczystéj, które u nas, szczególnie na wsi, tak łatwo się rozwija. Przytém w tych korespondencyach, rolniczą pisanych ręką, uderza nieraz zdrowie i czerstwość, powaga myśli i poważne swych obowiązków rozumienie, jakichbyśmy napróżno szukali może w niejednéj produkcyi dzisiejszych literatów. Między listami są i takie, które z pióra niewieściego wypłynęły. Trzebaż mówić, z jak szczerém uczuciem opisują korespondentki co widziały; z jak poczciwą dumą wspominają o swych braciach, mężach, sąsiadach zajętych sprawą publiczną; jak się cieszą widokiem tłumów zebranych i harmonii panującéj między niemi? « Lubo nie mogłam (słowa są jednéj korespondentki) mieć ani głosu ani miejsca w naradzie zebranych obywateli, usiadłszy jednak na boku, z upodobaniem przysłuchiwałam się ich rozprawom. Serce rośnie widząc te ustawiczne zabiegi i trudy tutejszych ziemian stale do wyższego skierowane celu, te zacne chęci przyczynienia się choć w cząstce do powszechnego dobra, ten rozbudzony zapał do pożytku krajowego ogarniający umysły młodzieży, słowem tę szlachetną chęć wyścigu na polu zasługi i pracy. » « Uroczystość dzisiejsza (słowa są innéj) jest początkiem jednoczenia się naszych trudów, naszéj nauki i wszystkich sił naszych w jeden tór prowadzący do ogólnéj pomyślności. A chociaż pierwsze kroki mogą być i drobne i słabe, ufajmy Bogu, że zdrowe ziarno wyda zdrowy owoc. » Takie myśli i uczucia znajdują się niemal w każdym liście; to téż, choćby nas szanowni korespondenci i korespondentki mieli obwinić

o kradzież literacką, układając obraz dzisiejszy, musimy tłómaczyć się ich słowami i całe nieraz zabierać im ustępy.

Mniéj więcéj w sposób jednaki, w różnych stronach Królestwa, odbywały się te popisy. Wsie lub miasteczka wybrane stawały się, w dzień uroczystości, ogniskiem niezwyczajnego w całéj okolicy ruchu. Od świtu spieszyły tam wozy dworskie i wieśniacze, przystrojone w gałęzie brzozowe i wieńce z młodéj sosniny; na wozach lud strojny w odzież świąteczną spoglądał z wyrazem niespokojnego i ciekawego oczekiwania. Za niemi pospieszały powozy, bryki i bryczki, z których niemniéj ciekawy wzrok padał to na tłumy zbierające się, to na prowadzone inwentarze, to na szranki wyścigów i «*pałac*» — właściwie namiot — wystawy. Wszędzie uroczystość rozpoczynała się od nabożeństwa, wszędzie duchowieństwo gorliwie staraniom obywatelskim dopomagało, wznosząc za nie modlitwy i przemawiając do zgromadzonego ludu.

Prosto z kościoła szli zebrani w pole, na konkurs oraczy; tam już czekało kilkadziesiąt soch, pługów i płużyc, które razem wyruszały. Do wyścigów stawali najwprawniejsi oracze; wszakże nie jednemu, w pierwszéj chwili, robota szła dziwnie niesporo. Bo choć od wielu lat, na znajomym zagonie, skiby «proste jak strzała» odwracał, choć w swojéj wsi i w sąsiedztwie uchodził za najdzielniejszego parobka: to przecież, kiedy mu przyszło zdawać examin w obec tylu «pięknych panów i pań,» w obec kilku tysięcy ludu z różnych stron przybyłego, mięszał się z początku, i czy mu się w oczach dwoiło, czy drżąca ręka słuchać nie chciała: dość, że w prawo i w lewo nieposłuszne woły skręcały. Jednak, powoli przybywało pewności, prostowały się krzywizny, skiba się gładziéj krajała, i już raźniéj i z śmielszą miną doorał do końca. Wówczas skiby zorane oglądali sędziowie; a wybierano na sędziów po dwóch z obywateli i

dwóch z starszych włościan, obdarzonych poprzednio medalem albo listem pochwalnym.

Po tym pierwszym konkursie, sędziowie oznaczywszy nagrody, przechodzili wraz z publicznością na miejsce wystawy. Materyalne jéj urządzenie i umieszczenie przyjmowali na siebie, zwyczajnie, miejscowi albo najbliżsi obywatele, i wielu wywiązało się z tego zadania z aplauzem i zdumieniem publiki. Była wystawiona szopa obszerna, z dachem płóciennym; ściany dywanami osłonięte, ławy podobnież kobiercem okryte, na ścianach bukiety i girlandy z dębowych liści ozdobnie zawieszone; na słupach umajonych wieńcami wisiały medale i listy pochwalne, którym się włościanie z ciekawością przyglądali. — Wszakże, wyznać potrzeba, wystawy mniéj były bogate, niżby życzyć należało. Próżno obywatele namawiali chłopów, próżno zachęcali ich własnym przykładem: ledwo dwudziesty odważył się pokazać jakąś próbkę swych wyrobów; a i ten, wioząc ją do dworu, kryć się musiał, aby go inni gwałtem nie zatrzymali. Nieufność jest bronią słabszych; każdy uciśniony bywa nieufnym, z natury, z doświadczenia, z nawyknienia. Wiadomo, ze Bulgary i tyle innych plemion na wschodzie, zakopują w ziemie pieniądze i cokolwiek mają z kosztowności, bo pamiętają i znają to dobrze, że trudno się oprzeć natarczywości Turka. Podobnie i lud nasz: w jego mniemaniu to tylko bezpieczne, czego ludzie nie widzieli; lecz gdy raz pójdzie wiadomość o jego przychowku dorodnym i o zapasach domowych, wnet zjawi się urzędnik lub kozak i zabierze czy dla siebie, czy dla armii! W podejrzliwości swojéj, nie mogli chłopi zrozumieć, w jakim celu panowie urządzali te wystawy; obawiali się skutków, których przewidzieć nie byli w stanie, i woleli przyglądać się z daleka niż popisywać się swém mieniem. Aż gdy ujrzeli, że nie jeden i bydło swe spokojnie do domu odprowadził, i co przyniósł na wystawę, wraz z nagrodą, bezpiecznie odnosił:

dopieroż wtedy obudziły się żale i głośne wyrzekanie: « Czemuż my o tém nie wiedzieli; u mnie piękniejsze niż wszystko co tu pokazywano, namby się pewno dostała nagroda! »

Jeżeli wystawy produktów rolniczych tak wiele zostawiały do życzenia i — do myślenia, wyścigi konne zato wszędzie udały się jak najlepiéj; wszędzie była to scena najhuczniejsza i najweselsza, najliczniejszych zwabiała widzów, najsilniéj podżegała emulacyą. Chłop nasz od dzieciństwa nawykły do jazdy, lubi się pokazać z swą zręcznością i pochwalić się swym konikiem. Obywatele w wielu miejscach przyrządzili wyborne areny, wytknięte chorągiewkami, z estradą, trybuną, wyrównane, wygładzone, rzekłbyś: hipodromy do angielskich lub arabskich rumaków. Trybunę zajmowali sędziowie, w estradzie zasiadały damy; reszta widzów mieściła się jak mogła, zalegając łąkę i wzgórza przyległe. Ścigającym się rozdano, dla odróżnienia, wstążki i kokardy rozmaitego koloru; ustawiono ich w szeregi i dawano znak. Szły wyścigi żwawo: zwycięzcy dobiegając mety, z radości puszczali cugle, rzucali batogi a rękami machali «jak wiatrak skrzydłami;» insi, zostawszy w tyle, chcąc rozbudzić powolnego bieguna, wrzeszczeli co mieli sił, rzucali się na wszystkie strony, głową, rękami, nogami wywijali, a biedne koniska z samego strachu ostatka sił dobywały. Lecz nie każdemu udało się, kiedy chciał, puścić się w zawody; nie jeden rumak nie od razu zrozumiał, zkąd jego panu tak pilno, długo ociągał się, długo nie śmiał odłączyć się od swych towarzyszy, aż zagrzany ostrogami wyskoczył, ale — zapóźno! Zdarzyła się téż i niejedna scena komiczna: korespondent z Kielc w tych słowach opisuje wyścig walny. « Stanęło do najwyższéj nagrody dwóch młodych parobków: Szymek i Jan; pierwszy siedział na koniu mroziatym, drugi na bułanym. Rączość obydwu była znana, i gdy wysunęli się naprzód, kilku obywateli stawiło zakłady.

Długo los się ważył, konie z równą szybkością zbliżały się do mety, gdy w tém mroziaty wyprzedził swego towarzysza i blizkim był wygranéj. Już zakładający się chcieli płacić swą stawkę : kiedy Szymkowi, na mroziatym, spada kapelusz ; obejrzał się, przystanął, podrapał się w głowę i zsiadłszy, podniósł go z ziemi. Łatwo się domyśleć, że przeciwnik, korzystając z czasu, do kresu dotarł i wziął nagrodę. Kiedy wracającego z gonitwy Szymka, zapytano : dlaczego tak oszczędzał kapelusza, gdy za wygranę mógłby kupić dziesięć podobnych? « Kiedybym sobie to pomiarkował, rzecze, tobym nie zlazł. Ale bo i kapelusz z Jędrzejowa, bardzo mi do głowy pasuje! » — W niektórych miejscach urządzano wyścigi zaprzężne; korespondent z Płockiego tak opowiada te, na wzór dawnych rzymskich, gonitwy, : « Wyścig miał się odbywać w prostéj linii, na wozach z ciężarem; stanęło dwóch do zawodu : Wagner i Adamczyk. Za danym znakiem ruszyli z miejsca; w tém widzimy, że Adamczyk zatrzymuje się i schodzi z wozu. A chociaż zaraz puścił się daléj, te kilka jednak chwil mogły stanowić o zwycięztwie. W istocie, Wagner nie traci czasu, nie szczędzi bicza, tęgim kłusem zdąża do mety i już wszystkich zdania ma po sobie. Ale Adamczyk wziąwszy się jakoś na sposób, tak skutecznie zażył swoje kasztany, że z wielką radością publiki, stanął u kresu. « Czegoś się » zatrzymał? pytają go. « A to, proszę Wielmożnego » Pana, kamień mi jeden duży zleciał, musiałem go » przecie na furę władować. » — Cóż powiedzieć o takiéj sumienności? — zapytuje korespondent; my dodamy : gdzież się podziała tradycya owego Leszka, który w wyścigach, nawet fortelów zażywać nie lękał się, i którego imię nasi kronikarze dość naiwnie, z niemieckiego a wcale nienaiwnego wyrazu « *listig* » wyprowadzić chcieli?.....

Godna uwagi, że chociaż fundusz na nagrody szczupłe bywał wydzielony, nie brakowało ich jednak wcale,

póki zgłaszali się ochotnicy do gonitwy. Obywatele hojne między sobą robili składki i nagradzali trud nawet tych, którzy żadnego nie wygrali premium. Zwycięzcy wracali z miną rozjaśnioną, szczęśliwi z odniesionéj korzyści a bardziéj jeszcze z odniesionego tryumfu; zwyciężeni obiecywali sobie odwet na rok przyszły. I dla tego, chociaż nie wysoko cenimy zwyczajne, na wzór zachodnich, gonitwy, próby koni włościańskich nie zdają nam się wcale niepożyteczną zabawą. Nie trzeba się lękać, aby nasz chłop został sporstmanem, osobnych koni do wyścigów nie będzie żywił, nie będzie się téż rujnował na kupno kursowych folblutów; ale wróciwszy z podobnych, jak się teraz odbyły, zawodów, niechybnie troskliwiéj niż dotąd karmić będzie i pielęgnować swoje mierzynki, a na tém zyszcze i jego własne i krajowe gospodarstwo.

Rozdanie nagród stanowiło ostatni zazwyczaj akt téj uroczystości, akt najważniejszy, najmocniejsze sprawiający wrażenie. Na dziedziniec dworski lub przed namiot expozycyi, gromadzili się wszyscy uczestnicy popisów i wystawy. Sędziowie, szlachta i włościanie, zasiadali koło stołu, na którym rozłożone były książki, pieniądze, listy pochwalne, medale złote i srebne. Wówczas zabierali głos duchowni: miejscowy proboszcz, albo jakiś wymowny zakonnik, którego obywatele na ten dzień uprosili, albo jakiś dygnitarz kościelny. Po nim przemawiał jeden z właścicieli, jakiś Nestor obywatelstwa, wiekiem i powagą pierwszy, włościanom i z swéj rządności i z swéj sprawiedliwości dobrze znany. Słowa mówców były pełne serdecznéj prostoty, pełne zdrowych, rozumnych a przystępnie wypowiedzianych myśli i przestróg. Daléj rozdawano nagrody przyznane i nadesłane przez komitet Towarzystwa rolniczego: gospodarzom za wzorowe gospodarstwo, sługom za długoletnią a poczciwą służbę. Pojawiły się tu znowu postacie tak ujmujące swą prostotą a szczytne zacnością, jak owe które

tyle wrażenia zrobiły w Warszawie, przy zeszłoroczném rozdaniu nagród. Widziano między uwieńczonymi niejednego włościanina, którego włos siwy, długo spadający na ramiona, obudzał w zgromadzeniu cześć powszechną, i na którego twarzy bladéj, nieco zapadłéj, odbijał spokój głęboki i to nieomylne świadectwo sumienia, że przeżył wiek długi poczciwie, pracowicie i po Bogu. Widziano także, wraz z włościanami, milionowych lub krociowych panów odbierających medal albo list pochwalny za wzorowe gospodarstwo. Z kolei stawali oracze, właściciele inwentarzów, zwycięzcy wyścigowi, i dosyć licznie kobiety, którym przyznawano nagrody za produkta domowe i ogrodnicze, za najlepsze tkaniny ze lnu albo wełny. Za każdém nazwiskiem wymienioném przez przewodniczącego, odzywały się huczne oklaski i wykrzyki, które jeszcze bardziéj solennizantów onieśmielały. Trudno téż wyrazić zdziwienie niejednego chłopa na widok, że mu panowie płacą za to, co on dla siebie był zrobił. Zdarzyło się w Bialskiém, a zapewne i w innych miejscach, że włościanin uznany najlepszym gospodarzem, nie chciał przyjąć złotego medalu; dając za przyczynę, że się lęka zawiści ludzkiéj i niebłogosławieństwa Bożego; nawet nie przyszedł na rozdanie nagród, i ledwo skłoniono jego syna, że przyjął medal na wotum do kościoła, gdzie wnukom i prawnukom służyć będzie za przykład i naukę, by drogą pracy i moralności postępowali.

Krótkie odezwanie się jednego z obywateli i błogosławieństwo przez kapłana udzielone, zamykało zwykle uroczystość. Włościanie rozchodząc się, czynili sobie postanowienia, że na rok przyszły zabiegliwsi będą o nagrody. « Lud nasz (pisze jedna z korespondentek) nie uwierzył od razu i ślepo nie zaufał szczerym i życzliwym naprzeciw niemu idącym sercom; pękły jednak lody, i jeżeli w roku bieżącym nie zupełnie zadawalniającą była próba, jestem przekonana, że późniéj będzie le-

piéj.» «Pierwsze to było (pisze inny) skojarzenie się ludu naszego z możniejszymi, pierwsze uznanie jego osobistéj godności, zachęta i niejako dotykalna prośba, aby wytrwał na drodze poczciwéj. Okazane włościanom współczucie i chęć dźwignienia ich smutnéj doli, nie dozwalają wątpić, że przy ciągłéj w tym kierunku dążności a łasce Bożéj, zasiew ten nie zostanie bez owocu.»

Co do nas, my do szlachetnych życzeń korespondenta, jeszcze jedno dodamy. Bodajby ów zasiew w Królestwie, braterską rzucany ręką, padł i na ziemie sąsiednie; bodajby przykłady dobre, zacnie nagradzane, nie dla samych tylko włościan mogły być zachętą! Bo wszędzie grunt ojczysty, jadowitém zielem zarosły, biegłych a przezornych potrzebuje oraczy; i gdzie tylko polska zachodzi mowa, wszędzie na szlachtę przyszedł czas wyścigów, wyścigów w pracy, rozumnych ofiarach i miłości ludu.

INSTYTUTA EDUKACYJNE NA LITWIE.

Z Wilna, 3 grudnia.

Opowiedziałem wam w liście, który przed kilkoma tygodniami posłałem, dość smutny przebieg sprawy włościańskiéj w naszych szlacheckich komitetach. Pomimo podróży delegowanych do Petersburga, nic jeszcze nowego w téj kwestyi nie zaszło; pozwólcie więc, abym przeszedł do innych stosunków naszéj prowincyi, a zwłaszcza do obecnego stanu instrukcyi publicznéj na Litwie.

Któż nie zna systemu przez Mikołaja w całéj Rossyi zaprowadzonego? Baczność na formy: na mundur i *szynel* studencki, na czapkę, wypustkę i guziki, na pokłony i pozdrowienia, oto główny obowiązek władz naukowych w cesarstwie. Ale w polskich prowincyach, rząd inne jeszcze miał przed sobą cele. Aby ludność rozdzielić i różne jéj warstwy tém łatwiéj przeciw sobie pobudzić w razie potrzeby, założono w Wilnie, jeszcze w roku 1834, po zabraniu klasztoru Pijarów, tak zwany Instytut szlachecki (*Błahorodnyj pansyon*), przystępny tylko młodzieży bogatszéj. Uczeń wchodzący do Instytutu, płacił 250 do 300 rs., za rok szkolny, trwający siedm do

ośmiu miesięcy, i za to zyskiwał rękojmię, że mniéj będzie naukami obciążony, niż po innych szkołach. Zostawiają mu zupełną swobodę bywania na publicznych zebraniach : zabawach, rozrządzania swym czasem, pieniędzmi i zdrowiem. Rząd, który we wszystkiém jest tak wymagający, przezorny i absolutny, w tym względzie żadnéj, zdawaćby się mogło, władzom nie przepisał instrukcyi ; przyglądają się obojętnie, a co gorsza, przyklaskują czasem dziecinnéj uczniów płochości, i wcale niedziecinnéj demoralizacyi. To téż Instytut, jako najlepiéj odpowiadający celom rządowym, posiada daleko wyższe prerogatywy od wszystkich szkół gimnazyalnych. Uczeń po skończeniu klas siedmiu, wychodzi z czynem 14éj rangi, i z prawem wstępowania do każdego uniwersytetu rossyjskiego, bez składania examinu.

Oprócz Instytutu szlacheckiego, na całą gubernię wileńską, mającą przeszło ośmkroć sto tysięcy ludności, jest tylko jedno dotąd gimnazyum i kilka szkół powiatowych. Szlachta gubernij litewskich, kilka razy domagała się przywrócenia uniwersytetu, i chciała na jego utrzymanie, rozłożyć między sobą dobrowolny podatek. Na ostatnich wyborach też same były zamiary obywateli ; ale agenci rządowi i przez nich uwiedzeni, wmówili w większość szlachty, że trzeba naprzód prosić o szkołę realną, któraby była wstępem (?) do uniwersytetu. I tak się stało : gimnazyum realne ma być na przyszłe lato otworzone kosztem czterech gubernij, które obowiązały się płacić co roku pięćdziesiąt tysięcy rubli srebrem. Również kosztem obywateli, stanie, w roku przyszłym, gimnazyum w Święcianach. Ma być nadto, w Wilnie założone gimnazyum o siedmiu klasach — ale gimnazyum panieńskie ! Dla kogo, i w jakim celu ? — zapytam. Rząd pragnie zapewne, aby córki szlachty polskiéj poznawały się tam z oficerami moskiewskimi, i za nich wychodziły, ale obywatele, ostrzeżeni przykładem pensyj białostockiéj i puławskiéj, nie zechcą swych có-

rek wyrywać z domu rodzicielskiego, i posyłać je do instytutów rządowych — na pociechę jenerałów, na hańbę własnego imienia!

Drugą, równie demoralizacyjną i co na jedno wychodzi, moskwiczącą instytucyą, ma być w Wilnie *Korpus kadetów*, który od roku 1854 z Brześcia do Moskwy przeniesiony, w roku 1860 uszczęśliwić ma nasze miasto. W tym celu, już się przerabiają mury szpitalu wojennego, niegdyś Sapieżyńskiego pałacu, na Antokolu. Asygnowano tymczasowo na te zabudowania 90,000 rs.; ale późniéj ma być wzniesiony ogromny gmach, za trzy miliony rubli srebrem, z podatków ziemskich. O! chroń Boże dzieci Polskie od tego zakładu! Jest podobny korpus w Połocku; tam, chociaż uczniowie w trzech czwartych są Polakami, nikt śladu polskości nie dopatrzy. Młodzież w jedenastym roku życia przyjmowana, po dziesięciu latach stałego w tych koszarach pobytu, od rana do wieczora ćwicząc się w mustrze przy odgłosie bębna, w dzień i w nocy otoczona wysłużonymi oficerami i podoficerami moskiewskimi, traci aż do ostatniéj iskierki uczucie narodowe i godność człowieczą, i wychodzi zaprawna do wszelkiego rodzaju kradzieży publicznéj i wyuzdanéj rozpusty. Prawda, że w Połocku wykładają katechizm i to katolicki, ale — po rossyjsku; ksiądz też do wykładu powołany, musiałby chyba świętym być i mieć odwagę męczennika, aby po kilku latach swojego tam pobytu, nie uledz wpływom okropnego towarzystwa.

Kuratorem okręgu naukowego wileńskiego jest od lat kilku jenerał Wrangel. Aby dać wyobrażenie o tym człowieku, który w krótkim czasie dorobił się smutnéj u nas sławy, muszę przytoczyć kilka faktów z jego karyery dawniejszéj i obecnego zarządu. Wrangel pochodzi z Niemców moskiewskich, w wojsku dosłużył się jeneralstwa, z rangą jeneralską wszedł do straży granicznéj, i na starość został mianowany — kuratorem

okręgu naukowego! Ze służby długoletniéj wyniósł to, co ma każdy sołdat i celnik, to jest, rygor i chciwość na grosz publiczny. Ledwo mianowany, wszystkie posady ważniejsze, jako to: inspektora naukowego okręgu i dyrektorów gimnazyalnych, poobsadzał podobnymi sobie indywiduami: panowie Frejman, Trauptfetter, Bell i inni Kurlandczycy, objęli kierunek wychowania młodzieży polskiéj na Litwie. Żaden Polak nie otrzyma dziś posady nauczycielskiéj na Litwie, jeżeli pośrednio lub bezpośrednio nie opłaci się kuratorowi. Wiadomo, że każda szkoła powiatowa w czterech gubernijach: wileńskiéj, kowieńskiéj, grodzieńskiéj i mińskiéj, powinna mieć swoich kuratorów honorowych; i byli nimi zwłaszcza za kuratorstwa księcia Czartoryskiego, ludzie którzy nietylko posiadali stopnie naukowe, ale którzy własnym kosztem, w książki lub odzienie, biednych uczniów opatrywali. Dziś i to na odwrót zmienione; dzisiaj i te nawet honorowe posady, stały się źródłem dochodu dla kuratora i oddane bywają nieraz ludziom bez znaczenia, bez nauki, prawie puszczane na licytacyą.

Uniwersytet wileński rozporządzał, jeszcze przed laty trzydziestu, ogromną sumą, wynoszącą do dwukroć-stotysięcy rubli srebrem; a nadto pewne fundusze edukacyjne i dobra po-jezuickie obracane bywały na wychowanie młodzieży. Zabrał to wszystko rząd rossyjski po roku 1831; jednakże młodzież, szukająca nauki w szczupłym obrębie gimnazyów, pobierała je darmo aż do roku 1840. Późniéj wyznaczono roczną opłatę od każdego ucznia po pięć rub. sr.; obecnie zaś, i na wniosek jenerała Wrangla, podniesiono tę opłatę do dziesięciu rubli srebrem. Wpływają one wprost do kancelaryi kuratora, i nikt nie wié, jakiemu ulegają przeznaczeniu.

W roku 1857, gdy za staraniem pana Michała Balińskiego, honorowego kuratora szkół, przez obywateli na ten urząd powołanego, rząd uznał potrzebném wykład języka polskiego w szkołach, pan kurator Wrangel wy-

znaczył, dla wprowadzenia tego przedmiotu, komisyą z samych prawie Niemców złożoną, i nie wiem czy przez złość czy przez nierozum, polecił ułożyć program wykładu niejakiemu panu Holmblat, który będąc Niemcem, nie umié nawet po polsku. Uczą języka polskiego w pięciu niższych klasach po dwie godziny na tydzień, w szóstéj i siódméj po jednéj godzinie, ale wszędzie tylko gramatyki; o retoryce, poetyce i literaturze, nawet w wyższych klasach, nie ma wcale mowy. A i to należy dodać, że kurs języka polskiego nie jest obowiązującym, i że można, nie słuchając go, otrzymać promocyą. Ileż to trzeba siły moralnéj w nauczycielu i uczucia obowiązku w dzieciach, aby wykład ten przyczynił się w istocie do rozszerzenia tak rzadkiéj u nas, gruntownéj znajomości własnego języka!

W roku zeszłym, przed przyjazdem cesarza Alexandra do Wilna, rząd asygnował 30,000 rubli srebrem na przerobienie instytutu szlacheckiego. Za tak znaczną sumę można byłoby w Wilnie nowy gmach zbudować; tymczasem wszystkie reparacye skończyły się na postawieniu kilku ścian w starym domu i nowych wschodów od wejścia. Potrzebaż mówić, że suma anszlagowa była, co do grosza, wyczerpaną? Zachęcony tak piękném przedsiębiorstwem kurator, bez żadnego widocznego powodu, wniósł restauracyą gimnazyum i szkoły powiatowéj w gmachu po-uniwersyteckim, i wyrobił sobie w tym celu fundusz trzydziestu kilku tysięcy rubli srebrem. Niebawem, na głównym dziedzińcu Święto-Jańskim, wspaniałe mury Batorowskie zaczęto przerabiać na model moskiewski. Fabrykę objęli żydzi, poniszczono ściany; w pięknym czworoboku, który przypominał wnętrze kolegijum jagielońskiego w Krakowie, zamurowano szereg arkad, zeszpecono dolne piętro, i to wszystko bez potrzeby, bez korzyści dla nikogo, wyjąwszy kuratora i jego kancelaryą. Ale niedosyć na tém: w tym samym dziedzińcu, tuż obok frontu kościoła, gdzie była

brama przechodnia, urządzono dla chłopców publiczne miejsca. Jest bezwątpienia, w każdym domu miejsce, na śmiecie i nieczystości, ale trzeba zaprawdę moskiewsko-żydowskich architektów, aby je stawiać na pierwszym widoku i w obliczu kościoła!

Ogromne gmachy po-uniwersyteckie, w których niegdyś mieściły się wszystkie fakultety, szkoły gimnazyalne i mieszkania profesorów, dziś nie wystarczają na pomieszczenie jednego gimnazyum i jednéj szkoły o trzech klasach. Na początku bieżącego roku szkolnego, wydano niesłychane postanowienie, które wypisuję dosłownie, bez żadnéj zmiany i opuszczenia, z *Dodatku do Kuryera Wileńskiego*, № 61:

Piątek, sierpnia 7, 1859 roku.

OGŁOSZENIA SKARBOWE.

1. Dyrekcya szkół gubernii wileńskiéj niniejszém ogłasza, że z powodu przepełnienia klas w wileńskiém gubernialném gimnazyum, nowi uczniowie przyjmowani będą w szkolnym 1859/60 roku, tylko do klasy pierwszéj, do wszystkich zaś innych klass dopiero w miarę tego, jak się wydalać będą ci, którzy się obecnie w gimnazyum znajdują.

Dyrektor: FREJMAN.
Sekretarz: PROTASIEWICZ. (314.)

Przyznać trzeba, że od czasu ukazu Mikołajowskiego, który liczbę uczniów w uniwersytetach ograniczył do trzystu, pierwsze to nawet w Rossyi tak barbarzyńskie rozporządzenie! Przeszło dwustu uczniów, którzy się do wyższych klass zgłosili, oddalono w tym roku dla braku miejsca. Rząd, bogatszych chce skierować do instytutu szlacheckiego, uboższym każe czekać, póki się miejsce w ławie szkolnéj nie znajdzie. A tymczasem w gmachu uniwersyteckim, kurator zajmuje dla siebie *dwadzieścia kilka* pokoi, *dwanaście* pomocnik kuratora, dyrektor gimnazyum i inspektor okręgowy podobnież, każdy po

kilkanaście pokoi. I cóż dziwnego, że klasy uczniów w mniéjszych pomieszczone salkach, w istocie nie wystarczają?...

Takim jest wileński kurator: starzec chciwy i ograniczony, w pogardzie u wszystkich, nawet u tych, którzy się z nim dzielą nieprawémi nabytkami. — W miesiącu czerwcu, przyjechał do Wilna minister oświecenia, pan Kowalewski, człowiek, jak mówią dosyć uczony i mający w kierunku instrukcyi publicznéj, niejakie doświadczenie. Powiadano, że zarzucony skargami na jenerała Wrangla, przyjechał do Wilna, aby przypatrzyć się zakładom pedagogicznym naocznie, a zarazem aby urzędownie sprawdzić doniesienia o nadużyciach pieniężnych kuratora. Jak zwyczajnie w takich razach, wiele sobie po jego podróży obiecywano i wszyscy wyglądali jeżeli nie zmian w edukacyi, to przynajmniéj odwołania jenerała Wrangla. W istocie, wkrótce po odjeździe ministra, kurator został powołany do Petersburga. Lecz jakież było zdziwienie Wilna, na widok, że on powraca z Petersburga silniejszy i pewniejszy siebie, niż kiedykolwiek! Wraz z nim, umocnili się na swych posadach dawni jego towarzysze, i wszystko zostaje jak było za Mikołaja, w ręku ludzi przedajnych i narodowości polskiéj szczerze nienawistnych.

Od czasu wstąpienia na tron Alexandra, zmieniony w Rossyi system rządowy, w sferach służby publicznéj, żadnéj u nas nie przyniósł reformy. Ale za to w opinii publicznéj, każdy rok, każdy dzień sprawia ogromne ulepszenia, bo coraz bardziéj szerzy przekonanie, że jakiekolwiek byłyby zamiary cesarza dla Rossyi, my Polacy, niczego po nim nie możemy się spodziewać.

SPRAWA DZIERNOWICKA.

WSTĘP.

10 grudnia.

Na ziemi polskiéj, pod rządami Carów, jęki męczonych ofiar idą snać prosto do Boga: ludzie o nich zazwyczaj nie wiedzą, lub w późném dopiéro uchwycą je echu. Rok temu, dochodziły nas głuche wieści o groźnych prześladowaniach religijnych w witebskiéj gubernii. Pobieżnie tylko przez nas wspomniane, przez jeden tylko może dziennik francuzki podniesione, znalazły one śmiałe i stanowcze zaprzeczenie w rossyjskim organie *le Nord*. Dzisiaj, odbieramy naraz dwa listy z najdalszych krańców naszéj ojczyzny, a datowane z dnia 6 czerwca i 1 sierpnia r. 1858! Przez jakie koleje przechodziły te biedne kartki w ciągu swéj ośmnastomiesięcznéj wędrówki, ile rąk w tajemnicy i z trwogą je sobie podawało, zanim dojść mogły do naznaczonego miejsca, na ileż strasznych niebezpieczeństw narażały w swojéj pielgrzymce tych, co się podjęli zanieść słowo bolu na ziemię wolną i śród wolnych ludzi: któż to powiedzieć zdoła, któż to nawet bez dreszczu myślą swą objąć potrafi?...

Ogłaszamy oba te listy. Karty to proste, rzewne a głębokie: nic do nich dodawać nie trzeba, żadnych nie wymagają objaśnień. Oby z nich czytelnicy nasi zrozumieli siłę uczucia, które ludem naszym włada i jak wiele on dla niego znosić jest zdolny! Oby wyznawcy wspólnéj wiary przejęli się cierpieniami tylu braci, i pomyśleli o coraz groźniejszém dla wszystkich niebezpieczeństwie! I oby wreszcie cywilizowany Zachód poznał całą wartość i prawdę głoszonéj teraz rossyjskiéj tolerancyi i sprawiedliwości, i nie tak łatwo dozwalał wmawiać w siebie to, czemu uwierzyć jest mu nieraz tak wygodném!...

I

Z Białorusi, 6 czerwca, 1858 r.

W gubernii witebskiéj, w powiecie dryzieńskim, znajduje się majętność p. Antoniego Korsaka, zwana Dziernowicze. W bliskości dworu jest kościół, fundacyi Korsaków, który był zawsze parafialnym, katolickim kościołem. Kapłan sprawujący posługi duchowne przy tym kościele, bywał zwykle ze Zgromadzenia księży Dominikanów; okoliczne obywatelstwo i włościanie dziernowiccy składali tę parafią. W roku 1842, podobało się rządowi, podobnie jak wiele innych kościołów, tak i dziernowicki, odebrać katolikom i osadzić przy nim prawosławnego popa. Nabożeństwo katolickie rok cały jeszcze odbywało się w kaplicy, zwanéj Siodłowo, znajdującéj się na wiejskim cmentarzu, w lesie. W końcu i tam zakazano modlić się katolikom, i kapłana, natenczas Piotra Ciecierskiego, Dominikanina, zupełnie usunięto z obrębów dziernowickiéj parafii. Włościan zaś dziernowickich, pod pozorem, że wielu z nich przeszło niegdyś z obrządku słowiańskiego na łaciński (1),

(1) Było to rzeczywiście za Katarzyny II; ale ta monarchini, za stara-

jako odpadłych od Unii, *a tém samém od prawosławia* (bo to już za jedno się uważało) policzono, bez ich woli i wiedzy, za prawosławnych i do spisów cerkiewnych wniesiono. A ponieważ lud ten, widząc swój kościół przeistoczony i prześwięcony na cerkiew schizmatycką, zaprzestał całkowicie uczęszczać na rossyjskie nabożeństwo, do którego czuł wstręt i odrazę, rozpoczęła się więc, zaraz wtedy, missya podobna do dudakowickiéj i leonpolskiéj przed laty czternastoma. Na wezwanie archireja Łużyńskiego, stawiły się z pomocą władze wojskowe i cywilne, przedewszystkiem zaś policya miejscowa wsparta dwiema rotami żołnierzy. Zapędzono lud nieszczęśliwy do cerkwi, gdzie duchowieństwo, dyspensując go na ten raz od spowiedzi, gwałtem wpychało mu do ust swoję komunią. Nie wszyscy ulegli temu gwałtowi; lecz i ci, którym dawano pożywać tę, bardzo wątpliwéj konsekracyi, komunią, nigdy więcéj nie poszli do cerkwi, i, jak byli, tak dotąd zostali katolikami ale skrytymi. Odbywają spowiedź po różnych kościołach, małżeństw nowych prawie nie zawierają a nowonarodzone dzieci chrzczą sami. To jednak nie przeszkadza popom miejscowym, że co rok, aby nie stracić posady, pokazują w swych parafialnych spisach, że wszyscy włościanie byli u spowiedzi (1).

Ten opłakany stan rzeczy trwał aż do roku 1857. W tém lecie, ufając dobroci nowego cesarza, włościanie dziernowiccy podali prośbę na imię monarsze, aby im wolno było wyznawać jawnie wiarę katolicką, tém bardziéj, że podejściem i przemocą zaliczono ich do

niem dziedziców, imiennym ukazem dozwoliła wszystkim dziernowickim włościanom pozostać na zawsze w obrządku łacińskim, co późniéj przez cesarza Alexandra I zostało potwierdzone.

(1) Niektórzy włościanie, aby mieć spokój od popów, kupowali od nich bilet czyli świadectwo że byli u spowiedzi; ten zwyczaj znany jest i używany w całéj Rossyi, w kościele schyzmatyckim, inaczéj bowiem nigdy nie mogłaby się utaić tak wielka ilość starowierców

prawosławia, i że oni sami nigdy dobrowolnie nie przyjmowali tego wyznania. Z komisyi prośb odpowiedziano im przez sąd ziemski, że ich podanie, jako nie zasługujące na uwagę, zostawia się bez skutku. Włościanie atoli, nie zrażając się tém pierwszém niepowodzeniem, ponieważ nadal prosić im nie wzbroniono, podali znowu, w r. b. 1858, suplikę do cesarza i do ministra spraw wewnętrznych. Obudziło to i zatrwożyło miejscowego popa. Zaskarża swych mniemanych parafian do archireja Łużyńskiego, że się wyrywają z łona prawosławnéj cerkwi, a ten, jak zwykle, przyzywa do pomocy wojenną i cywilną władzę. W pierwszych dniach kwietnia, przybywa do Dziernowicz wysłany z Witebska przez gubernatora Kołokolcowa, sowietnik rządu guberskiego Howorowicz, a z nim przyboczny Łużyńskiego protojeréj Humilew, w zamiarze i z pełną władzą użycia wszelkich możliwych środków do nawrócenia tych dusz obłąkakanych i odbiegającłı prawdy. Wnet organizuje się missya, przypominająca w zupełności straszną dla katolików epokę panowania Mikołaja. Bo na rozkaz przybyłych komisarzy pośpiesza, w towarzystwie policyantów, cała miejscowa wykonawcza władza, to jest : kapitan sprawnik Spodarcow, ze wszystkimi powiatu swego assesorami czyli prystawami, mianowicie zastępcą assesora Popowem i aktualnymi assesorami Załęskim i Łowejką. Popowa zmienia wkrótce przybyły na jego miejsce assesor Fidelski. Zbierają przytem z całego powiatu, będących na urlopie kilkudziesięciu żołnierzy. Nie mówię tu już o popach, których, przez cały czas komisyi, naliczono około czterdziestu.

W ten sposób uzbroiwszy się w miecz podwójny, rozpoczęto działania. Bijąc w ciągu indagacyi pięściami lub rózgami (w czém smutnie odznaczyli się sprawnik Spodarcow i assesor Załęski), pytano : kto radził do cesarza podawać prośby, kto je układał i pisał, i gdzie są bruliony takowych ? Przyjął na siebie całą tę winę wło-

ściański felczer, Wincenty. Bo, w istocie, on we wszystkich podtrzymywał ducha, jego staraniem podawane były prośby i on się na każdéj podpisywał. On téż za wszystkich najwięcéj ucierpiał: zbito go okrutnie, skrwawiono, wytłuczono mu zęby, i do tyle się nad nim pastwiono, że przez kilka tygodni był bez przytomności. Potém, wraz z trzema innymi, odesłano go do Dryzy i posadzono w turmie: po dwóch tygodniach, mało przytomnego i jeszcze opuchłego, przywieziono do Witebska, tam stawiono przed gubernatorem i archirejem Łużyńskim, i nakoniec, pospołu z więźniami, skazano do publicznych robót. Mieszkanie jego, szukając owych brulionów, przewrócono ze szczętem. Pastwiono się nad jego żoną, która będąc wciąży, poroniła. Katowano téż, jak słychać, i drugą ciężarną kobietę, która poroniwszy, następnego dnia umarła.

Skoro nie potrafiono wyśledzić kto pisał prośby, wzięto się do badania: gdzie i u jakich mianowicie księży włościanie spowiadali się dotychczas? Lud wymieniał okoliczne kościoły, jako to: Połock, Dzisnę, Oświéj, nawet Rygę i inne, nie wymieniając kapłana i nie czyniąc wzmianki o najbliższym kościele, o trzy tylko mile odległym, księży Dominikanów zabialskich. Jednakże temu nie uwierzono: cała komisya, w pełnym komplecie, jeździła do Zabiał, mając wszelkie podejrzenie, że tameczni Dominikanie muszą koniecznie spowiadać włościan dziernowickich. Pod przysięgą zapytywano lud miejscowy: czy bywają w tym kościele tamci parafianie i czy się spowiadają? Lud odpowiadał rozmaicie, i choć bez wyraźnych dowodów, całą tę winę zrzucono na karb zabialskich Dominikanów.

Na tych wstępnych działaniach upłynął cały miesiąc kwiecień: wstępnych mówię, bo istotny cel komisyi zależał na tém, aby dziernowickich włościan przymusić znowu do prawosławia i nazawsze w niém zatwierdzić. Lecz jakkolwiek silne było ramię, którém popi

w téj sprawie władali, okazało się jednak niedostateczném. Przeto z Witebska przybywa pułkownik żandarmeryi Łosiew, ze czterma ze swéj komendy szeregowymi. Wydaje rozkazy do policyi, ażeby zewsząd jak najwięcéj zebrała urlopnych żołnierzy i rozsyła ich na kwaterunek po domach włościańskich, z poleceniem namawiania do prawosławia. Tymczasem partyami sprowadza lud do dworu i nieufając w skuteczność apostolstwa popów, sam codzień przemawia, chwali i zaleca wiarę carską. Pojedyńczych zaś, o których słyszał że są najtwardsi, każe ciągnąć do *czarnéj komnaty* i siec rózgami. Uwijają się popi i skoro zdybią na osobności człowieka, obskakują go do koła, a szarpiąc, targając za włosy, szturkając pod boki, i pod gardło, krzyczą z całych sił: *przyjmuj prawosławie, przyjmuj prawosławie!* Biedny chłop wymęczony, żegnając się ucieka, przekonany w głębi serca, że go istne złe duchy napadły.

Ciągnęło się to bolesne i oburzające nawracanie aż do połowy maja, i przez sześć tygodni jednego tylko znaleziono człowieka, który uległ. Był nim rymarz, nazwiskiem Józef. — Widząc bezskuteczność takich cząstkowych konferencyj, pułkownik Łosiew każe zebrać razem wszystkich ojców rodzin i gospodarzy: około ośmdziesięciu; wkłada na siebie paradny mundur i całéj asystencyi każe wdziać uniformy i szpady przypasać. W takiéj paradzie występują wszyscy na dziedziniec: tuż i popi, w czarnym zastępie obok się szykują. Naówczas pułkownik odzywa się temi słowy: « Cesarz Jegomość chce, abyście wszyscy byli prawosławnemi. Dla czego się wy upieracie, czemu niechcecie przejść na tę wiarę? » — Lud kłania się i odpowiada: « Panie, my jesteśmy wierni poddani cesarza, płacimy podatki, dajemy rekruta, nie żałujemy w potrzebie i krwi naszéj, lecz wiarę ojców naszych nigdy nie odstąpimy. » — Pułkownik: « To wy buntownicy! wy sprzeciwiacie się woli Cesarza! Kto was podburza, wyznajcie waszych

przywódzców; przynajmniéj drudzy wolni będziecie, inaczéj wszyscy pójdziecie pod knut i na Sybir! Ani żon, ani dzieci waszych więcéj nie ujrzycie!» — Lud kłania się i odpowiada: — «Panie, my wszyscy jesteśmy przywódzcami, bośmy wszyscy katolicy. Gotowiśmy na Sybir i na śmierć nawet, ale wiary naszéj nie odmienimy.» — Pułkownik: «A wszakże wy byliście już w cerkwi i prawosławie przyjęli, więc teraz odstępcami jesteście od wiary.» — Lud znowu kłania się i odpowiada: «Panie, nie racz się gniewać za to, co powiemy. Wszak i Pana samego, gdyby dwie roty wojska obstąpiły z bagnetami, toby mogły zapędzić i do chlewa nawet. Cóż więc dziwnego, że i nas takim sposobem do cerkwi zapędzono? A tym co się opierali, ujmując się klamki lub drzwi kościelnych, pałaszem albo siekierą odcinano palce u rąk. Wszak i dziś jeszcze są tacy między nami.» — Tu pułkownik zamilkł, a popi krzyczą chórem: «A toć niektórzy z was i komunią przyjmowali! Cóż to, wy żartujecie z naszéj wiary!» — Lud odpowiada: «My nie żartujemy, tylko jakże tam dawano komunią: tłukąc pod szczęki albo końcem szpady otwierając usta; przytém nie na czczo i bez spowiedzi!» — Wtedy protojeréj Humilew zabiera głos uroczyście i tak rzecze: «Dziwię się waszéj ślepocie i niepoznaniu! Jak się to wam nie przekonać, że wiara święta prawosławna, jest wiara jedyna i prawdziwa? Czy widzieliście wy, jak malują Chrystusa?» — Lud: «Widzieliśmy.» — Protojeréj: «Otóż patrzcie, czy nie taka u nas broda, czy nie tak uczesane włosy jak u Chrystusa? Czy nie takie u nas widzicie odzienie jak na obrazie Chrystusa? A więc koniecznie wiara nasza musi być prawdziwa!» — Lud odpowiada: «Wiemy że Chrystus miał brodę i długie włosy, może i odzienie podobne do waszego; ale to nie należy do wiary i my naszéj nie odstąpimy...»

Na tém się skończyło apostolstwo. Komisya widząc, że trudno z włościanami dać sobie radę, postanowiła

dociec wprzódy przyczyn takiéj zaciętości i uporu, i wyśledzić «sprawców zbrodni.» Nadmieniłem wyżéj, że przez domysł czy téż może niektóre poszlaki, obwiniano zabialskich Dominikanów o podżeganie, i taki raport posłano ministrowi spraw wewnętrznych. Dołożono przytém, że dnia 23 kwietnia, obchodzono w kościele zabialskim uroczystość Świętego Jerzego, patrona kościoła i parafii, i że kaznodzieja, ks. Mokrzecki, w białoruskiém narzeczu opowiadając ludowi życie i męczeństwo świętego, jego przykładem utwierdzał swych słuchaczów w katolickiéj wierze, i że cała ta nauka była alluzyą do obecnego jakoby męczeństwa w Dziernowiczach. Taki raport złożył zastępca assesora Popow pułkownikowi żandarmeryi Łosiewowi, a ten, nie badając czy tak było rzeczywiście, odesłał donos naczelnikowi żandarmeryi. O następstwie i skutkach tego zaskarżenia, nic dotąd nie wiadomo.

Tu wrócę na chwilę do wstępnych, jak je nazwałem, czynności komisyi. Wspomniany felczer Wincenty miał kilkoro siostr, z nich jedna, niezamężna, Magdalena, prostéj wiary i pobożności ale roztropna i silnego ducha chrześcianka, jeszcze podczas pierwszego nawracania wiele wycierpiała, bo kryjąc się i uciekając w mroźną porę, straciła u nóg palce. Teraz, gdy brata jéj męczono i prawie nieżywego zamknięto w więzieniu, Magdalena nie tracąc odwagi ni czasu, wymknęła się z rąk komisarzy i biegała, gdzie tylko mogła, donosząc co się dzieje w Dziernowiczach i błagając o ratunek i opiekę dla brata i włości całéj. Naprzód trafiła do marszałka Łopacińskiego, który przemówił za nieszczęśliwymi do gubernatora Kołokołcowa i pułkownika Łosiewa. Udało jéj się nawet, jak mówią, posłać prośbę do Cesarzowéj. O skutku prośby jeszcze nie wiadomo: dość jednak, że komisya nic nie dokonawszy, czy skutkiem wyższego rozkazu, czy też z własnéj woli, znużona półtora miesięczną, daremną pracą, w dniu 19 maja zamknęła swój

straszny trybunał i opuściła Dziernowicze. Wszyscy wyglądamy a nie możemy odgadnąć jak w téj sprawie zawyrokuje Cesarz, bo ona jednak musi dojść do niego. Więc ten pierwszy jego wyrok, w podobnéj kategoryi, okaże nam jakie na przyszłość możemy mieć nadzieje co do swobody wyznania naszego.

II

Z Białorusi, 1 sierpnia.

Doniosłem wam poprzednio o gwałtowném a daremném nawracaniu na schyzmę włościanów dziernowickich, które trwało od pierwszych dni kwietnia do 19 maja. Wiadomo waszym czytelnikom o co tam badano lud ten nieszczęśliwy, jakiemi drogami usiłowano go nakłonić do wyrzeczenia się wiary, i że nakoniec po użyciu wszelkich możliwych środków, odesłano całą tę sprawę pod rozsırzygnienie Cesarza. Opowiem teraz, jak ją Cesarz rozstrzygnął.

W miesiącu czerwcu, jadący na rewizyą gubernii witebskiéj senator Szczerbinin, odbiera najwyższe polecenie zjechania do Dziernowicz. Wieść że tak wysoki dostojnik państwa w imieniu Monarchy przybywa, o pomyślném na stronę prześladowanych rozwiązaniu téj sprawy rokować kazała. Ale, wydane ku temu celowi, przygotowawcze rozporządzenia okazały jawnie, że to będzie dalszy ciąg poprzedniéj misyi, tylko na bardziéj urzędową stopę i z większą przebiegłością obmyślonemi środkami do spełnienia nieugiętéj woli rządu. Zaledwo, w d. 20 czerwca, przez władze miejscowe w Witebsku powitanym został Senator, wnet wysłał do Dryzy żandarmów po owych trzech ludzi, którzy na początku komisyi, pierwszych dni kwietnia, wraz z felczerem Wincentym, odesłani zostali do dryzieńskiéj turmy i tam aż dotąd w żelazach trzymani, za to że prośbę byli podpi-

sali. A ponieważ za poprzedniéj komisyi, marszałek powiatu dryzieńskiego, p. Łopaciński, przyjmując prośbę od tych nieszczęśliwych, przemówił był za nimi do władz, i tém samém wziął niejako udział w téj sprawie, więc i on wezwany został do Witebska. Stawiwszy się przed Senatorem, usłyszał od niego, między innemi, propozycyą, aby niezwłocznie udał się do Dziernowicz i oznajmił ludowi cesarską wolę, iżby wszyscy byli prawosławnéj wiary. Lecz p. Łopaciński pamiętając dobrze, jako prawy chrześcianin, że więcéj Boga niż ludzi słuchać należy, z oburzeniem odrzucił tę propozycyą i niełaskawie pożegnany, wrócił do domu.

Tymczasem zapowiedziano bytność Senatora w Dziernowiczach na 12 lipca. Na kilka dni przed tém pospieszyła tam, nietylko dryzieńska, lecz i połocka policya: asesorowie Fidelski, Łowejko, Zwierow, fiskał rządowy z Połocka Howorski, sprawnik ziemski Spodarcow, strapczy Krywonosow i pułkownik żandarmeryi Łosiew. Ten ostatni, jadąc z Witebska do Dziernowicz, w towarzystwie jednego z przybocznych Senatora urzędników, dnia 9 lipca z rana, zboczył do klasztoru zabialskiego XX. Dominikanów, i widząc się z przełożonym ks. Dzięgielewskim, opowiedział naprzód cel swojéj podróży do Dziernowicz, a następnie z wielkim zapałem przedstawiał ogrom winy ciążącéj na klasztorze zabialskim, za oderwanie od panującéj wiary nie już kilka osób, ale całéj parafii! Z wielką zgrozą mówił o katolickim zwyczaju przyjmowania do spowiedzi ludzi nieznajomych i o nauczaniu ludu w jego białoruskiém narzeczu, w jakiém właśnie mówione było kazanie na Ś. Jerzy przez ks. Mokrzeckiego. W końcu dodał, że niema teraz innego środka dla Dominikanów, na ocalenie klasztoru od grożącéj mu kassaty i na zgładzenie tak strasznego przewinienia, jak tylko żeby jeden z kapłanów podjął się nakłonić lud dziernowicki do przyjęcia prawosławia, a przynajmniéj starał się wmówić mu, że Senator, którego

czekają, jest jakby sam Cesarz, że co on powié, to będzie wolą Cesarza, i że téj woli wszyscy powinni być posłusznymi, bo taka jest i wola Boga! Domagał się więc koniecznie jednego kapłana do Dziernowicz, a mianowicie ks. Mokrzeckiego. Gdy mu przełożony wręcz odmówił, wykazując niedorzeczność podobnego wymagania, pułkownik Łosiew nie mogąc już dłużéj ukrywać hamowanego gniewu, wyzionął cały potok słów obelżywych na religią katolicką i kapłanów, groził niełaską Cesarza, wyrzucał niewdzięczność za opiekę i dobrodziejstwa rządu. «Pozwolono teraz, rzecze, katolikom naprawiać kościoły, jak oto i wasz się naprawia! A mury wasze (pokazując na kościoł klasztorny) tak wspaniałe, ten ogród tak piękny, czyliż za to wszystko nie warto spółdziałać z rządem i przykładać się do uskutecznienia wszystkich jego zamiarów?» — Przełożony krótko odpowiedział: «Nie warto z obrazą Boga.» — Pułkownik: «To wy Cesarza nie słuchacie?» — Przełożony: «Cesarza słuchamy, ale pana Boga więcéj.» Na tém skończyła się rozmowa, po któréj obaj urzędnicy opuścili klasztor i udali się do Dziernowicz. Tam przez trzy dni pracowali nad przygotowaniem ludu do przyjęcia najwyższéj cesarskiéj woli, którą Senator miał ogłosić!

Dnia 12 lipca przyjechał nareszcie do Dziernowicz senator Szczerbinin, a z nim sześciu innych urzędników. Lud czekał nań zebrany. Wtedy p. Szczerbinin w uroczystym mundurze, liczną otoczony asystencyą, wystąpiwszy przed zgromadzenie, powitał je uprzejmie i temi zagaił słowy: «Prosiliście wy, dziatki moje, Najmiłościwszego Cesarza, Wielkiego Monarchę naszego Alexandra II, aby wam pozwolił zostać katolikami. Otóż ja, w jego imieniu, przybyłem oznajmić wam, że cesarz Alexander II wstępując na tron wszechrossyjski, przysiągł opiekować się prawosławną wiarą, podtrzymywać ją, bronić i rozszerzać. A zatem prośby waszéj przyjąć i wam dozwolić zostać katolikami, obowiązek przysięgi

nie dozwala. Przytém, wiadomo wam być powinno, że wola Cesarza jest święta, że Cesarz jest posłannikiem Boga : Bóg na niebie, Cesarz na ziemi! Kto się sprzeciwia Cesarzowi, ten się Bogu sprzeciwia! A zatém i wy, dziatki moje, nie powinniście się sprzeciwiać téj najwyższéj woli. Cesarz chce i Bóg chce, abyście byli prawosławnymi! Cóż, czy zgadzacie się?»

Nastąpiła bolesna scena: lud ze łzami i łkaniem najokropniejszém wołać począł: «Jaśnie Wielmożny Senatorze! My Cesarza słuchamy i szanujemy wolę jego we wszystkiém, co nie tyczy sumienia i duszy naszéj. My wiary świętéj odstąpić nie możemy. Pozwólcie nam, podobnie jak żydom i lutrom, chwalić Boga, jak go chwalili ojcowie nasi, bo my prawosławia nie znamy i nie chcemy!»

Senator: «Nie, dziatki moje, to być nie może. Nie opierajcie się woli Cesarza i woli Boga. Wy, chcący czy nie chcący, musicie być prawosławnymi. Nie słuchajcie tych Dominikanów, co was bałamucą, my wkrótce ich ztąd rozpędzimy!»

W tém z orszaku Senatorskiego zawołano: «a cóż to, jeszczeście się nie pokłonili Cesarzowi w osobie Senatora? Pokłońcie się przecie!» — Lud z uszanowaniem schyla głowy. — «Ale nie tak (woła kilku urzędników) nie tak! Niech każdy z was upadnie do nóg Senatora i ucałuje mu rękę.» — Lud się jeszcze ociągał, nie wiedząc w jakim celu domagają się tego, gdy w tłum zgromadzenia wpadają urzędnicy a popychając i wlokąc biedaków, ciągną każdego z osobna przed Senatora, naciskają naprzód głowę do kolan i każą potem ucałować rękę. Senator nawzajem każdego całuje w głowę!

Ten akt pokłonu uznany został za dowód zgodzenia się na słowa Senatora i przystąpienia do prawosławnéj wiary!! Wszystkich, którzy odbyli tę zdradliwą ceremonią, wnet odprowadzono na stronę i zapisywano imiona, jako dobrowolnie i chętnie przyjmujących prawosławie.

Jednak ośmiu domyśliło się podstępu, nie chciało oddać pokłonu i zamknięto ich na cały dzień do chlewa.

To się działo w Sobotę; skoro zapisywanie skończone zostało, kazał Senator aby wszyscy nawróceni, nazajutrz, to jest w niedzielę, znajdowali się w cerkwi na nabożeństwie i przyjęli prawosławną komunią. Tymczasem, chcąc włościanom zadowolnienie swoje okazać, dał im na gorzałkę pięć rubli sr. Ale po chwili wszystek lud ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zrozumiał podejście, odesłał Senatorowi pieniądze i żaden z nich nazajutrz nie poszedł do cerkwi.

Oburzyło to niezmiernie Senatora i wszystkich asystentów; przynajmniéj udawali wielkie oburzenie. A że trzeba było wynaleźć winnych w zrujnowaniu «tak szczęśliwie rozpoczętego dzieła,» znowu więc wszystko zrzucono na zabialskich Dominikanów: że ci, wśród nocy, potrafili podburzyć lud gotujący się już do prawosławnéj komunii, i tak zniszczyli cały rezultat pracy i perswazyi Senatora. Mimo to, p. Szczerbinin zapowiedział, że Cesarz postanowienia swojego nigdy nie odstąpi; że ci z włościan którzy przy pokłonie i pocałunku zapisani zostali, sądzeni będą i karani jako odstępcy od wiary; drudzy zaś, co nie uczynili pokłonu, pójdą do więzienia, albo do robót publicznych. I dodał, że w razie oporu, sprowadzi żandarmów i kilka rot żołnierzy, jak to się zdarzyło przed czternastoma laty. Następnie zdawszy całą władzę na pułkownika żandarmeryi Łosiewa, dnia 13 lipca opuścił Dziernowicze. W przejeździe do Dryzy, wstąpił do klasztoru zabialskiego ks. Dominikanów. Wymawiał przełożonemu, «że podtrzymując dziernowickich włościan w katolickiéj religii, działają przeciw woli rządu; że propaganda katolicka dobra jest w każdym innym kraju; lecz w Rossyi, gdzie Bóg i Cesarz jedno znaczą, targać się na panującą wiarę, jest zbrodnią stanu i świętokradztwem.» Zagroził nadto najsurowszą odpowiedzialnością, niełaską Cesarza dla

wszystkich i sądem bez miłosierdzia na każdego, ktoby poważył się paraliżować dalsze czynności komisyi dziernowickiéj.

Nie mówiłem dotąd o samym dziedzicu wsi Dziernowicz p. Antonim Korsaku. Krążyły wieści w sąsiedztwie, że ten właściciel, lubo sam katolik, w czasie pierwszego nawracania w roku 1843, czynnie pomagał agentom rządowym w przymuszeniu swych poddanych do odstąpienia katolickiéj religii. Wszakże, mało kto o tém wiedział i temu zawierzał: p. Korsak nie przestawał używać opinii prawego obywatela i dbałego o los swoich poddanych dziedzica. A gdy w początkach teraźniejszéj komisyi zupełnie się usunął z majątku, i pod pozorem choroby, mieszkając w Dryzie, trzymał się biernie w całéj téj sprawie, już tém samém zjednał sobie (tak mało u nas wymagają!) u wszystkich lepszą opinią, u włościan zaś wdzięczność, że lubo nie pochwalał, to przecie nie ganił ich gorliwości, i nie pomagał rządowi. Wistocie, wpływu pana włościanie najbardziéj się obawiali. Ale przyjazd Senatora wyświecił wszystko. P. Szczerbinin mogąc, wedle danych sobie instrukcyj, użyć wszelkich środków do złamania oporu dziernowickich włościan i odjęcia im nadziei utrzymania się przy wierze swych ojców; wiedząc przytém, ile zdoła mu być pomocnym miejscowy obywatel i mając prawo, jak się pokazało, na jego pomoc rachować, napisał z Witebska do p. Korsaka, zapraszając go do współdziałania. W liście tym doniósł mu, że ma w ręku własnoręczne jego pismo którém się on zobowiązał przed laty czternastoma, że wszyscy jego włościanie zostaną prawosławnymi. Na téj umowie opierając się, żądał p. Szczerbinin, aby p. Korsak przyjechał i sam oświadczył swoim poddanym, że wolą jest Cesarza i wolą jest Boga, iżby przeszli na wiarę schyzmatycką. Jakie powody skłoniły p. Korsaka do tak haniebnego zobowiązania się — niewiadomo; ale musiały być mocne, kiedy się wycofać nie mógł. Prosił

tylko Senatora, aby go, z powodu choroby, uwolnił od osobistego w komisyi udziału, i w swoje miejsce ofiarował plenipotenta p. Żarnowskiego, podobnego jak on katolika. Żarnowski przechodził dotąd różne koleje: sprawował kilka niższych policyjnych urzędów i z nich wyniósł głęboką znajomość urzędniczych wybiegów. Obrotny i w środkach nieprzebierający, posiadał w okolicy wziętość niemałą. Podjął się ofiarowanéj misyi, przyjął instrukcye od pp. Szczerbinina i Korsaka, i dobrawszy sobie dwóch pomocników: Racyborskiego, ekonoma Dziernowicz i Szaurę, podlekarza, stawił się pod rozkazy pułkownika Łosiewa.

Zaraz po wyjeździe sanatora, obsadzono policyantami wszystkie drogi i przesmyki wiodące z Dziernowicz, tak, że nikt w okolicy nie mógł się dowiedzieć co się działo w téj wsi nieszczęśliwéj. Wzięto się zaś raźnie do sprawy: Łosiew stanął na czele władz policyjnych. Żarnowski, na czele oficyalistów wiejskich; pierwszy działał w imieniu cesarza, drugi w imieniu dziedzica. Pierwszy mówił o nieugiętéj woli rządu i groził rotami żołnierzy, które w Połocku czekały jego skinienia; drugi, od chaty do chaty biegając, płakał, litował się nad włościanów niedolą, błagał i zaklinał, aby się nie narażali uporem swoim na gniew podwójny: cesarza i własnego pana! «na cóż się przyda (mówił im) to wasze sprzeciwianie się? każdemu z was dadzą po pięćset rózeg; jeśli te wytrzyma, drugie pięćset, i jeszcze pięćset! Poszlą was na Sybir, żywcem drzeć będą pasy i zawsze dlatego każą być prawosławnymi. Tymczasem sprowadzone roty żołnierskie znęcać się będą nad żonami i córkami waszemi!» — Niedość na tém: sprowadzono do Dziernowicz felczera Wincentego, ale jakże odmienionego! Nieszczęśliwy, przez trzy miesiące trzymany w więzieniu, męczony pracą i srogiem biciem, dręczony może bardziéj kuszeniami archireja Łużyńskiego, zresztą niezupełnie na umyśle przytomny, nie mógł się oprzeć tylu

szatańskim natarczywościom i przyjął prawosławie. Stanął więc teraz pośród swoich, których niegdyś był duszą i podporą, lecz stanął jako schyzmatyk, a na twarzy i na ciele nosił znaki okrutnych katowań.

Biedny lud, słysząc wciąż straszne groźby i zapowiedzie, o których prawdopodobieństwie nie wątpił, przerażony zjawieniem się Wincentego, pozbawiony wszelkiéj podpory, opieki, a nawet nadziei, upadł na duchu i zwątpił o możności utrzymania się przy swéj wierze. Wszakże żaden z włościanów nie mógł się zdecydować aby pójść do komisyi i zgodzić się na prawosławie. Wtedy krótszéj ujęto się drogi. W poniedziałek, 14 lipca, gdy włościanie poczęli zgromadzać się na pryhon, policya niespodzianie ich obskoczyła i zapędziła do cerkwi. Tam popi, nie uważając wcale czy który był na czczo czy po śniadaniu, czy chciał lub nie chciał spowiadać się, dawali generalną absolucyą i każdemu pchali komunią do ust. Wielu było, którzy się opierali téj profanacyi i obronili się rzeczywiście od przyjęcia. Ale i to nic nie pomoglo, bo jak pierwéj każdy, którego Senator ucałował, tak teraz, ktokolwiek zagnany był do cerkwi, zaliczony został do prawosławnych i wpisany w rejestra. Więcéj niż tygodnia łowiono włościanów, dręcząc w ten sposób ich sumienie, i przebrano jeśli nie całą wieś to przynajmniéj część znaczniejszą, a dzieci pochrzczono na nowo. Poczém posłano raport Senatorowi, że wszyscy włościanie dziernowiccy, uznawszy swoje błędy i za nie żałując, ze skruchą, dobrą wiarą i przekonaniem najmocniejszém, *wrócili* na łono panującéj wiary ! P. Szczerbinin odpowiedział łaskawie, przyrzekając w imieniu Cesarza, względy i nagrody niektórym, a Żarnowskiego, który wistocie najwięcéj się był odznaczył, zaszczycił swoją wizytą i przyjął dwie jego córki do instytutu szkolnego, na koszt skarbowy.

Felczer Wincenty, wróciwszy do Witebska, jakby tam dopiéro spostrzegł się co był zrobił, nadzwyczaj

posmutniał, chodził zamyślony, modlił się i płakał, wpadał to w rozpacz to w nieprzytomność, nareszcie w nocy z 23 na 24 lipca, nie mogąc znieść dłużéj udręczenia, zastrzelił się. Takie było tragiczne rozwiązanie tego straszliwego dramatu, który pod panowaniem Alexandra II w Rossyi, we wsi dziernowickiéj, wydarł kościołowi około tysiąca dusz katolickich!.....

Domine! Tu es refugium meum... erue me a circumdantibus me!

MĘCZENNICY I PIŁACI.

17 grudnia.

Tuszymy sobie, że czytelnicy nasi mają jeszcze w pamięci opis sprawy dziernowickiéj, któryśmy podali zeszłego tygodnia. Nie łatwo zaprawdę zatrzeć wrażenia jakie wywołać, krwawe wspomnienia jakie obudzić musiał. Na téj małéj przestrzeni biednéj wsi polskiéj odegrała się scena krótka, prosta i treściwa ale która miała wszystkie rozmiary tragicznego dramatu, prawdziwéj *passyi*, jak mawiano w wiekach średnich. Z gminu tu były główne osoby, ale czyny i cierpienia były bohaterskie, męczeńskie; żandarmy same i prystawy wyobrażały fatum, ale fatum równie nieubłagane jak starożytne, a jeszcze groźniejsze : wszechrossyjskie samodzierstwo; były chwile walki, chwile i zwątpienia, a lokalnego kolorytu zaprawdę nie brakło... Ten obrządek łaciński, który nasamprzód i odwiecznie panował w środku wsi, w głównym kościele fundacyi starożytnego polskiego imienia, a który potém przed schyzmą i popem zaczął ustępować, i schronił się do małéj kapliczki « na wiejskim cmentarzu, wśród lasu, » aż w końcu i ztamtąd wygnany, żadnego już dla siebie nie

znalazł przytułku : jakiż to straszny symbol losów katolickiego kościoła pod rządami carów!... Daléj, ten lud nieszczęśliwy, który prosi o wolność, «jaką mają lutrzy i żydzi,» wolność chwalenia Boga, jak go chwalili ojcowie, który oświadcza, że wszystko daje i odda cesarzowi: podatki, rekruta, i krew swoję w potrzebie, i tylko duszę swą ocalić żąda; ta *czarna komnata*, w któréj śród siekań rózgami, targań za włosy, szturchania pod boki, wołają na katechumena: *przyjmuj prawosławie;* to palce pałaszem lub siekierą odcięte od rąk włościanów, co nie chcąc wejść do cerkwi, trzymali się odrzwi kościelnych; te końcem szpady otwierane usta, w które wtłaczano komunią popów; owa prosta, wiejska, a wielka chrześciańska niewiasta, Magdalena, która nasamprzód uchodząc prześladowania i uciekając lasami w mroźną porę, traci u nóg palce, a potém, gdy znowu « misya » się rozpoczyna, wymyka się z rąk komisarzy i kołata gdzie może, błagając o ratunek dla włości; brat jéj, ów felczer Wincenty, który przez czas długi duszą jest gminy, wspaniałomyślnie na siebie całą bierze winę, a potém, gdy go okrutnie zbito i skrwawiono, gdy żona z udręczeń poroniła, gdy w kajdanach, biciem a bardziéj jeszcze kuszeniem męczony, «niezupełnie na umyśle przytomny» znowu staje wśród swoich — ale już jako schyzmatyk, jako schyzmy apostoł, aż wreszcie targany rozpaczą, szarpany sumieniem, kończy samobójstwem: jakiż tu pełny obraz duszy polskiego włościanina, z jéj prostotą, głębokością, cierpieniami, tryumfem, niestety, i upadkiem także!..... Mniéj widne oku ale niemniéj zapewne wielkie bole, o kilka mil tylko od wsi nieszczęśliwéj, zapełniały ów klasztor Dominikanów zabialskich, do których pierwéj przychodzili biedni włościanie ze straszną prośbą o pomoc duchową, do których potém zajeżdżali z kolei pułkownik żandarmeryi i Senator-misyonarz z straszniejszą jeszcze prośbą o pomoc urzędową, i którzy wkońcu, cesarską zemstą zagrożeni, oto-

czeni rojem donosicieli i zupełnie odcięci od dusz na odstępstwo skazanych, ciche już tylko za nie do Boga modlitwy słać mogli z rozdartego serca!..... A naprzeciwko tym wyznawcom, którzy w katakumbach się modlić i w cyrkach umierać muszą, staje z całą swoją pogańską pompą Schyzma, z policyą i żandarmeryą w orszaku, z bagnetami i knutem w odwodzie. Jakaż to charakterystyczna, jakaż to nawskróś byzancka apologia tych popów, którzy w dowód prawdziwości swojego kościoła, wskazują na swą brodę i włosy, « uczesane jak u Chrystusa na obrazach. »! Jakież to, dla niedość przygotowanych, dziwnie obrane miejsce rekolekcyj — w chlewach; jakież to, dla « szczęśliwie nawróconych » dziwnie także obrane wynagrodzenie w pięciu rublach na gorzałkę, — i to w wilią komunii! I jakież to w końcu głębokie, symboliczne znaczenie głównéj katastrofy, w któréj dzieło rozpoczęte groźbami, prowadzone daléj mękami i katuszami, przypieczętowały ostatecznie bezwiedny pokłon ludu, podstępny uścisk Senatora : fałszywy pocałunek i tutaj był hasłem zdrady Zbawiciela!..... Im więcéj wzrok się zatapia w tym bolesnym obrazie, tém więcéj odkrywa rysów pełnych głębokości, epizodów pełnych nauki, figur godnych zastanowienia. Pomijamy Judaszów: zbyt bolesném jest myśleć i mówić o ludziach, jak Żarnowski i inni podobni, o Polakach i katolikach, co do tego dzieła zbrodniczą przykładali rękę. Ale byli i Piłaci : byli tacy, co na uboczu się trzymając, ręce umywali; był właściciel, który od Boga i od prawa, nawet od *Swodu*, miał sobie poruczoną opiekę nad tym ludem, i swego obowiązku nie dotrzymał. Śród tego ludu żył on, żyli jego przodkowie : a gdy przyszła chwila próby, nietylko żadnych ku jego obronie nie poczynił kroków, ale najświętszego odbiegł stanowiska, i tych, co o jego pomoc błagali, oddał uwięzionych i bez ratunku w ręce wroga — sromotnie i zdradziecko! A jeśli fakt ten sam

przez się jest smutny, smutniejsze jeszcze są uwagi, które każdemu po głębszém rozmyśle nasuwać musi.....

Bo powiedzmy szczerze! W mniejszych lub większych rozmiarach, z cechą mniéj lub więcéj rażącą, wina ta Piłatowa, wina biernego zachowania się i umywania lub opuszczania rąk naprzeciw zaborczości Schyzmy, cięży na licznéj masie obywatelstwa prowincyj zabranych! Gwałt dziernowicki nie jest ani przypadkowém ani oderwaném jakiémś zdarzeniem : jeden to tylko z mnogich a nieustających epizodów w apostolskich dziejach prawosławia. Tam, w Dziernowiczach, tysiąc dusz od razu, a na tysiącach innych miejsc zwolna po dusz kilka porywa Schyzma w swe śmiertelne uściski; w każdéj prawie wsi, litewskiéj lub ruskiéj, walka to ciągła i nieubłagana między księdzem a popem, między kościołem a cerkwią, między Polską i Rossyą. Ale, jeśli w téj rozległéj walce widzimy zawsze po jednéj stronie nieszczęśliwy lud z biednym księdzem, po drugiéj żandarmów z popem, chciwie z każdą duszą łowiącym swe trzydzieści rubli czy srebników : rzadko kiedy tu spotkamy polskiego szlachcica, który téj gminy jest prawnym przywodzcą i opiekunem, który według słów wieszcza, jest tego ludu kapłanem, którego przecież niegdyś przodkowie, w obronie kościoła, dla siebie bohaterskiéj śmierci, dla narodu rycerskiego żywota szukali. W tych zapasach odwiecznych, tradycyjnych, szlachta teraz nie walczy, nawet nie świadczy : usuwa się z pola, wielkości boju nie rozumie, i obojętna na zatratę dusz sobie powierzonych, szuka dla siebie wygodnego żywota, choćby to miało być niegodną śmiercią narodu!...

Nie myślimy tu o nadludzkich ofiarach lub o hardém wyzwaniu wroga. Nie mamy zwyczaju żądać rzeczy niepodobnych, ani przyznajemy sobie prawa skazywać kogobądź na ten wieniec męczeński, po który tylko wybrane wśród milionów dusze własnym wyborem sięgają..... Ale między Pańską ścieżką Krzyża a ubitym

gościńcem bezmyślnego samolubstwa, jest jeszcze droga ziemska i prawa, po któréj człowiek z sercem i swego obowiązku pomny iść może i powinien..... Nie żądamy, aby szlachta wraz z ludem skazywała się na więzienie i Sybir, nie wymagamy zaprawdę od niéj, by krzyża dziś już broniła mieczem i gwałt gwałtem odpierała. Ale czy obywatele nasi okazują temu biednemu ludowi, że jest między nimi tajemny węzeł wspólnego uczucia, wspólnego niebezpieczeństwa, i wspólnego oddziaływania? Czy przywiązaniem, uznawaniem, radą i pomocą, starają się podnieść i na wysokiém, opatrzném swém stanowisku utrzymać tego katolickiego księdza, którego tyle pokus ogarnia, tyle zdrad i niebezpieczeństw otacza, i który nieraz tak się czuje samotnym i opuszczonym? Czy szlachta w obronie wiary tego ludu, o ile jeszcze przy niéj się utrzymał, używa wszelkich środków osobistego wpływu i stosunków, tych środków, których przecież nie zaniecha w zwyczajnym toku spraw i interesów własnych? Czy wreszcie, w zachowaniu i rozniecaniu katolickiéj wiary widzi choćby taką tylko dźwignią polskiéj narodowości, jaką lepsi przynajmniéj z pośród naszych braci upatrują w tylu innych organach narodowego życia : w wychowaniu lub oświacie, w rolnictwie lub przemyśle?..... Nie, niestety! Obywatele prowincyj zabranych, z małémi bardzo wyjątkami, żadnych w téj sprawie nie ponoszą ofiar z ludem i dla ludu, żadnych nie dokładają starań, żadnych zgoła nie robią zachodów!..... Dość powszechnie dbali o ocalenie własnych rodzin od zaborów i zaczepek Schyzmy, nieraz nawet bardzo gorliwi w odgradzaniu swego domu od byzanckich wpływów : włościan swych natomiast bez oporu, prawiebyśmy rzekli że bez żalu, zostawiają na dusz zatracenie, i zaprzestając na familijnym swym kulcie, zdają się w katolickiéj wierze czcić jakieś tylko domowe, szlacheckie penaty, nie czczą, nie bronią w niéj tego Palladium całego narodu, jakiém ona w Polsce była od wieków, a

teraz bardziéj niż kiedykolwiek być powinna. W téj grzesznéj obojętności swojéj, obywatelstwo nasze nie oblicza strat, jakie codzień na wspólnéj ziemi ponosi wspólna sprawa Boga i narodu, nawet tego do rzędu strat nie zalicza wcale, i ni sobie, ni innym z stanu rzeczy nie zdaje rachunku!.....

Przypatrzmy się naprzykład bliżéj bolesnym wypadkom dziernowickim i rozważmy rolą, jaką w nich odegrali obywatele. Nie mówimy już nic o dziedzicu, o którym nasza korespondencya tak naiwnie się wyraża, że « nie przestawał uchodzić za dobrego obywatela, chociaż krążyły wieści, że już w r. 1843 czynnie pomagał schyzmatyckim missyom. » Kto wié? on może téj dobréj reputacyi używa jeszcze i dotąd, lub ją prędko i łatwo odzyszcze : u nas opinia publiczna tak zazwyczaj wątła i znikoma i mimo powszechnych i powszednich krzyków na mniemanych zdrajców, tak rzadkie przecież od wieków były w Polsce przykłady prawdziwego sądu i prawdziwéj kary na zdrajców prawdziwych!... Jeśli zwrócim oko na resztę obywatelstwa, przyjdzie nam uznać zacne postąpienie jednego powiatowego marszałka, p. Łapocińskiego, który przemówił za nieszczęśliwemi do gubernatora i pułkownika żandarmeryi, i z oburzeniem odrzucił senatorską propozycyą współdziałania w gwałcie. Ale co robili inni powiatowi marszałkowie? Co robił marszałek guberski? Cóż poczynała wszystka szlachta, wśród piekielnych kuszeń i udręczeń ludu? W tym samym czasie zebrało się, o ile wiemy, nieledwo całe obywatelstwo gubernii do Witebska : mogło upomnieć się u władz o gwałcenie wiary i katowanie ludu, mogło robić przedstawienia przybyłemu Senatorowi, mogło wkońcu uprosić marszałków o domagania się sprawiedliwości choćby w samym Petersburgu... Ale o insze wówczas niż o religijne nawracania chodziło szlachcie w Witebsku, o insze to niż wiary dbano tam tryumfy, a jeśli tak z jednéj jak z drugiéj strony zwaśnionego gre-

mium skarbiono sobie względy Senatora, to zaprawdę nie przez wzgląd na dobro włościan dziernowickich! Milczano w ciągu sprawy, milczano po jéj skończeniu; nie rozumiano nawet i tego obowiązku, że strasznéj zbrodni trzeba dać rozgłos; nie doniesiono o tém ni słowem Europie; nie pomyślano nawet o pozyskaniu dla ofiar choćby już tylko współczucia i modłów katolickiego świata!..... Wielka rządowa krzywda zadana obywatelowi, majętnemu zwłaszcza panu, nie minęłaby, ani wątpić, bez wrażenia; wieść o niéj przedarłaby się prędko za granicę, a listy zkoligaconych nie byłyby pozbawione ni rozlicznych szczegółów ni słusznego żalu. Ale tu tylko o tysiąc dusz chodziło włościańskich, i grom uderzył bez echa! Mamyż uczynić smutne wyznanie? Gdy rok temu, pierwsze nas dobiegały pogłoski o « jakichś religijnych prześladowaniach w okolicach Szkłowa, » próżne były wówczas nasze dopytywania się u obywateli, co z tamtych właśnie stron przybywali. Nie umieli nic innego powiedzieć, tylko że i oni « o czémś podobném » słyszeli, i trzeba było ośmnastu miesięcy, aby o jednym z najważniejszych i najboleśniejszych faktów, jaki się zdarzył w Polsce za panowania Alexandra II, doszedł nas pierwszy, szczegółowy opis,— a mamy wszelkie powody do sądzenia, że nie obywatela to skreśliła go ręka.....

Powtarzamy raz jeszcze : nie żądamy nadziemskich wysileń i nikomu nie ważymy się narzucać obowiązków męczeństwa. Domagamy się od szlachty głębszego tylko zrozumienia boju jaki z Moskwą naród nasz toczy, gorętszego współczucia dla trudów i cierpień księży i włościan w uratowaniu wspólnéj wiary, większéj cywilnéj odwagi i sumiennego użycia wszelkich ludzkich i legalnych dróg i sposobów w odpieraniu grożącego wszystkim niebezpieczeństwa. Domagamy się w końcu, aby obywatele nasi lepiéj pojęli całą ważność i siłę opinii publicznéj Zachodu i więcéj na niéj polegali, nawet pod

względem własnego bezpieczeństwa. Bo jakkolwiek niezmienne, co do Polski, są zawsze Carów dążności; jakkolwiek nieubłaganą jest i będzie walka, którą schyzma wypowiedziała naszéj wierze: cesarz Alexander w niejednym środku cofnąć się musi przed opinią Europy, skoro się jéj czujność obudzi, a uciemiężeni przez niego Polacy, w niejednym razie, tylko dlatego tak wiele cierpią, że tak bardzo milczą.....

HR. GOŁUCHOWSKI I ARYSTOKRACYA WĘGIERSKA.

Z Wiednia, 24 grudnia.

Pisząc do was z stolicy Austryi, rozumiem iż słusznie uczynię, jeśli naprzód mówić będę o dzisiejszym ministrze spraw wewnętrznych, którego zamianowanie, przed kilkoma miesiącami, tak silne zrobiło wrażenie i tak bardzo zdawało się być znaczącém. W istocie, hr. Gołuchowski obejmował zarząd spraw w chwili, gdy system węwnętrznéj polityki, dziesięcioletnim tego kraju uciskiem rozwinięty, przy pierwszém, groźném dla Austryi niebezpieczeństwie, całą swą niemoc, całą niestosowność okazał; kiedy wojna dopiero co skończona otworzyła wrota słusznym żalom i zarzutom, i kiedy głośno odezwały się żądania reform: albo ogólnego dla Austryi prawa konstytucyjnego, albo uszanowania praw i interesów różnych jéj prowincyj. Warunki, jakie hr. Gołuchowski, przyjmując tekę, młodemu Cesarzowi przedłożył, nowe zasady rządowe prawie równocześnie ogłoszone, drobne odmiany które zaraz weszły w wykonanie: wszystko to pozwalało domyślać się, że i w Austryi zrozumiano nareszcie konieczność zgodniejszéj z potrze-

bami mieszkańców polityki, i że nowéj epoki wyobrazicielem, nowych zasad wykonawcą miał być hr. Gołuchowski. Skutkiem tego niemal powszechnego mniemania, wszystka klasa urzędnicza i całe stronnictwo niemieckie przyjęły p. Gołuchowskiego, od razu, ze wstrętem i trwogą; wszystka natomiast ludność słowiańska i Madziary witali go życzliwie, chociaż, dodajmy, nie bez niespokojnego oczekiwania.

Czy te trwogi z jednéj, te nadzieje z drugiéj strony ziściły się dzisiaj?... Nienawiść urzędników i Niemców do osoby p. Gołuchowskiego jest obecnie, mogę upewnić, równie silna jak była poprzednio; lecz azali w równéj mierze utrzymało się życzliwe usposobienie innych stronnictw i narodowości: o tém zaprawdę wątpić się godzi! — Stanowisko p. Gołuchowskiego w Galicyi przez długi czas było wyjątkowe. Postawiony na pierwszym szczeblu administracyjnym w prowincyi, w któréj, prócz hierarchii urzędniczéj, żadnéj innéj nie cierpiano i nie uznawano, z dziesięcioletniego gubernatorstwa wyniósł nawyknienie do wszechwładztwa i pewnéj szorstkości w obejściu się z ludźmi, nad których stawiała go ranga urzędnicza. To nawyknienie mniéj szczęśliwe, więcéj jeszcze w Wiedniu niż we Lwowie musiało mu utworzyć niechętnych, zwłaszcza w sferach, które nie przypuszczają ani nie przebaczają łatwo obcéj narodowości. Ale zniechęcając jednych, p. Gołuchowski nie wiele zdaje się troszczyć o poparcie drugich: nic przynajmniéj nie czyni, coby ich zjednało. W ciągu wieloletniéj swéj służby publicznéj, dowiódł on niezwykłych zdolności administracyjnych, ale snać za nadto przystał do systemu, wśród którego wzrósł i wychował się, aby z niego i siebie, i państwo wydobyć. Ci więc, co po jego zarządzie spodziewali się szerszego wykonania reform, jakie patent lipcowy i jego własna nominacya zapowiadały: autonomii prowincyonalnéj, decentralizacyi administracyjnéj, i t. p., wielkiego mogą

doznać zawodu. P. Gołuchowski chce bez wątpienia uprościć administracyą, poprawić niektóre nadużycia, zwłaszcza zmienić niektóre osoby; ale aby odrzucić to, co doświadczeniem okazało się dla cesarstwa tak szkodliwém, dla wielu prowincyj tak zabójczém: do tego nie ma woli, tego nawet nie uznaje potrzeby.

Wszakże, chociażby nawet p. Gołuchowski zdawał sobie jasną sprawę z trudności, w których cesarstwo jest pogrążone, chociażby zapobiedz im miał chęć najszczerszą: czyż władza jego sięga tak wysoko aby zatrzymać złe u samego źródła? Powiadają o Cesarzu, że pod naciskiem twardych okoliczności można od niego otrzymać niejednę koncesyą, ale o jéj wypełnieniu, skoro niebezpieczeństwo przeminie, już więcéj on nie myśli. Kiedy po wojnie włoskiéj konieczność zwołania sejmu zdawała się nieuniknioną i wszystka ludność stołeczna ufała, że w dniu urodzin cesarskich czytać będzie nadaną konstytucyą, Cesarz na chwilę dał się nakłonić do przyznania reprezentacyj prowincyom. Ale dzisiaj już o sejmach prowincyonalnych nie ma mowy: sami tylko mężowie zaufania radzą nad gminną organizacyą wiosek. Podobnie, w d. 20 lipca, wydał Cesarz postanowienie, że w gimnazyach wyższych, we wszystkich prowincyach, językiem wykładowym będzie odtąd język narodowy. Zbytecznem byłoby przypominać, z jaką radością przyjmowano wszędzie tę pożądaną odmianę; ale o tém może potrzeba napomknąć (co zapewne mniéj jest wiadome), że wkrótce po ogłoszeniu cesarskiego rozkazu, hr. Thun doniósł naczelnikom niektórych (jeśli nie wszystkich) prowincyj, że patent wspomniony do nich się nie stosuje.

Podobnych przykładów możnaby więcéj przytoczyć z historyi ostatnich kilku miesięcy. Ten zwyczaj zapowiadania reform i ulepszeń wkrótce potém cofanych, to rozbudzanie nadziei każdą razą zawodzonych, to chwilowe uleganie okolicznościom, a uparte wracanie do

dawnego, jest cechą właściwą rządom dzisiejszego Cesarza. Ze wszystkich systemów politycznych (gdyby to systemem nazwać się godziło) najgorszy to bezwątpienia: osłabia rząd, odziera go z powagi, rozprzęga i neutralizuje elementa władzy. To też trudno byłoby wypowiedzieć, ile takie postępowanie od kilku miesięcy zadało szkody cesarstwu, i dziwić się nie można, że przy tylu sprzecznych dążnościach u góry i tylu zadraśniętych interesach u dołu, niemasz obecnie oddziału służby publicznéj w Austryi, któryby w większym lub mniejszym nie znajdował się rozstroju, i nie ma klasy mieszkańców ani partyi politycznéj, któréjby zaufania rząd dzisiejszy mógł być pewnym.

A naprzód co do biórokracyi. Jeśli gdzie to w Austryi, biórokracya stanowiła długo *instrumentum regni* i była owém *arcanum imperii* dla oczu cudzoziemskich nie dość widocznêm. Rodzaj to cywilnych janczarów, bez ojczyzny, bez narodowych, nieraz i bez rodowych związków, który niezgodą rządzonych się utrzymywał, a wzajemną ludów nienawiścią bronił cesarstwa. Ale jeśli milicya ta wystarczała do utrzymania porządku w czasie pokoju a nawet do stłumienia wewnętrznych pojedynczych wybuchów, okazała się jednak niezdolną, gdy naprzeciwko potężnemu nieprzyjacielowi jak Francya, trzeba było wywołać ogólnego ducha i zjednoczone siły cesarstwa. Kampania też włoska pierwszą była dla niéj klęską, nominacya p. Gołuchowskiego pierwszém jakby wotum nieufności. A gdy późniéj, przy krzyżujących się widokach cesarza i ministrów, tyle naraz zamierzono, rozpoczęto i odwołano odmian, tyle obudzono słusznych wymagań i nadziei: biórokracya w niejednêm miejscu, zwłaszcza w stolicy, zachwiała się, straciła ufność w siebie, i już dzisiaj nietrudno spotkać wysłużonych dygnitarzy, nawet naczelników prowincyj i członków Rady Państwa, którzy głowy smutnie schylają i wątpią, aby rzeczy tym trybem daléj postępować mo-

gły. I jakże o tém nie wątpić w kraju, gdzie np. taki bohatér gipsowych figurek, jak feldm. Lichtenstein, zostaje mianowany komendantem Pesztu, a tak prawdziwie dzielny jenerał jak Schlick, przeniesiony jest na stan spoczynku!

Mamże mówić o finansach? Wprawdzie niedobór skarbowy nie jest rzeczą w Wiedniu niezwyczajną; jeszcze za czasów pierwszego Napoleona, jnł. Sebastiani powiadał: że jak Turcya z zarazą, tak Austrya oswoiła się z bankructwem. Ale wątpić należy, czy dzisiaj nawet bankructwo wyprowadziłoby ją z trudności finansowych. Rząd, który rocznie około czterystu milionów złr. (miliard franków) cierpi deficytu, który na zapłacenie procentu od jednéj tylko pożyczki zabiera resztę gotowizny, jaką Bank wiedeński posiadał, który armii swéj zmniejszyć nie może i nie śmie, i którego poddani są już nad miarę przeciążeni podatkami: — aby tylu naglącym odpowiedzieć potrzebom, musiałby chyba co rok nowe zaciągać pożyczki i co rok nowe ogłaszać bankructwo! Wreszcie i armia, ta najpewniejsza Austryi podpora, jeśli nie w takim, jak inne jéj potęgi znajduje się rozstroju, niemniéj przecież od innych zniechęconą jest do rządu i do osoby Cesarza. Czuje się upokorzoną klęskami odniesionemi we Włoszech; obraziło ją usunięcie kilku zdolniejszych jenerałów i niewłaściwe rozdanie nagród po ostatniéj kampanii. W téj armii, któréj bożyszczem był tak niedawno monarcha, która po wszystkie czasy, prócz Cesarza i jego rodziny, nie miała innéj podstawy moralnéj, innéj swego bytu przyczyny, — w téj armii nierzadko dziś słyszeć wyrzekania, że wszystkich nieszczęść sprawcą jest Cesarz i że trzeba poszukać zdolniejszego następcy.

Ale nie tu jest kres zawikłań i trudności, z któremi rząd obecny w Austryi musi rozprawić się, choć może najmniéj do takiéj walki jest zdolnym. Inne niebezpieczeństwo, równie straszne a naglące, grozi Austryi ze

strony Węgier. Od wschodu i zachodu dawnego królestwa magyarskiego dźwignęły się dwie narodowości, które przez długi czas nie mogły zdobyć dla siebie ni miejsca ni głosu w stosunkach internacyonalnych Europy. Może się mylę, ale wielkie jest do tego prawdopodobieństwo, że dzisiaj, po Rumanach i Włochach, koléj przychodzi na Węgrów. Wszakże, nie trzeba sądzić o obecném stanowisku téj sprawy i usposobieniu tego narodu według opinij, jakie wyobraża emigracya węgierska. Partya, którą za granicą reprezentuje Kossuth, i która nadewszystko chce oderwania kraju od dynastyi panującéj, mało w Węgrzech znajduje obecnie stronników. Naród ten innych ma przywodców, inne drogi działania, insze przed sobą w téj chwili zadanie. Na jego czele stoją ludzie, jak Apponyj, Josyka, Szegenyj, Dehak, Waldstein, Sechen, i t. p., którzy z wielkiém imieniem i fortuną, łączą znajomość spraw publicznych, wziętość i szacunek w opinii. Opierając prawa swojego kraju na historycznéj podstawie, na trzechwiekowéj unii królestwa węgierskiego z panującą rodziną, domagają się tego, co od czasów niepamiętnych posiadali i co w chwili zemsty było im wydarte: domagają się instytucyj municypalnych, administracyi komitetowéj, sejmu królestwa, odwiecznéj konstytucyi i osobnéj koronacyi na króla węgierskiego. « W obecnym stanie Europy (mówią oni w świeżo ogłoszonym Memoryale (1) Węgry niepodległe istniećby nie mogły; lecz Węgry konstytucyjne nie wieleby zyskały na jakiéjbądź politycznéj odmianie..... Więcéj nad prawa nasze żądać nie możemy, więcéj nawet nie chcemy otrzymać. »

Przez lat dziesięć, które poprzedziły wojnę włoską, panowie węgierscy okazywali stale i jawnie wierność swą cesarzowi; ale z rządem jego, który ich tak ciężko

(1) *Zur ungarischen Frage. Eine Denkschrift von einem ungarischen Patrioten.* Leipzig, 1859.

pokrzywdził, prowadzili walkę zaciętą, stając twardo przy swoich prawach, nie przypuszczając ugody, nie ofiarując koncesyj, a żądając nielegalność wszystkim aktom rządowym do Węgier odnoszącym się. Zgodni i solidarni w swém zdaniu i czynnościach, nieubłagani dla odstępców i zmienników, poważném a roztropném postępowaniem, zjednali sobie poparcie zarówno szlachty niższéj jak mieszczan i chłopów. W ten sposób przestrzegając ścisłego związku między sobą, siły całego narodu w jedność połączyli i w krótkim czasie urośli w potęgę, z którą rząd cesarski rachować się musiał. — Lecz inne jeszcze, niemniéj ważne korzyści, przyniosła narodowi węgierskiemu solidarność jego rozumnéj arystokracyi. Wiadomo, jakie było, przed dziesięcioma laty, usposobienie ludów słowiańskich dla sprawy węgierskiéj, i jak dzielnego sprzymierzeńca znalazł był rząd cesarski w Kroatach i w żołnierzach pogranicza wojskowego. Za usługi tak ważne monarchii oddane, spodziewali się Słowianie swobód i narodowych instytucyj. Ale niedługo trwały ich złudzenia. Rząd zwycięzców i zwyciężonych wspólnym porównał uciskiem; rzekłbyś, że chciał ich pogodzić wspólną niedolą. Skorzystali Magyary z nierozwagi rządowéj, podali rękę dawnym swym nieprzyjaciołom, i Kroaci weszli w obóz węgierski.

Nie tu miejsce opowiadać, jak zacne było i roztropne postępowanie Węgrów w czasie włoskiéj kampanii; nadmienić wszakże muszę, że wkrótce po upadku p. Bacha, nowe ministeryum uznało za konieczne pogodzić się z Węgrami. W czasie, gdy p. Gołuchowski pojechał za urlopem do Galicyi, baron Hübner wysłany został do Węgier. Zjechano się u p. Karolego w końcu września: panowie węgierscy przedłożyli prawa swe i żądania, a w nich tyle tylko od dawnéj odstąpili konstytucyi, ile potrzeba było dla zapewnienia klasom nieszlacheckim udziału w instytucyach narodo-

wych. Minister uznał słuszność ich żądań i dał nadzieję przychylenia się Cesarza. Wróciwszy do Wiednia, przekładał Cesarzowi, że jeźli nie chce narazić monarchii na utratę Węgier, musi im przywrócić konstytucyą. Na te słowa, Cesarz ręką po szabli uderzył: « Oto moja konstytucya! » rzecze i odchodzi do swego gabinetu. Próżno p. Hübner przez półtory godziny oczekiwał jego powrotu: Cesarz, nie pożegnawszy się z ministrem, odjechał do Schœnbrunu. P. Hübner podał się do dymissyi.

To postąpienie barona Hübnera zjednało mu nietylko u Węgrów i Słowian, ale nawet u partyi niemieckiéj szacunek powszechny: dzisiaj, jest on najpopularniejszym w Austryi mężem stanu, i możecie być pewni, że w razie nagłego niebezpieczeństwa, wróci na powrót do władzy. Ale odpowiedź cesarska podwoiła niechęć Magyarów. Odsunęli się wszyscy od dworu, opuszczają nawet Wiedeń. Panowie węgierscy dali sobie hasło, tę zimę przepędzić w Peszcie, i naraz przeszło siedemset znaczniejszych mieszkań znalazło się w Wiedniu bez lokatorów: Nawet ks. Esterhazy, który może bardziéj do austryackiéj niż do magyarskiéj, należy arystokracyi, uczuł się zmuszonym porzucić stolicę i przenosi do Pesztu swą bogatą galeryą, która przez tyle lat pociechą była i rozrywką Wiedeńczyków.

Nie ma prawie dnia, w którymby niedochodziły tutaj wiadomości o jakiejś nowéj manifestacyi węgierskiéj, mającéj na celu przypomnienie Cesarzowi praw narodowych. Wiedeń trwoży się i narzeka na niepolityczne postępowanie z Węgrami; rząd zaś na manifestacye odpowiada wzmocnieniem załóg. Lecz siła zbrojna nie rozstrzygnie téj sprawy: Magyary zdecydowani są nie zboczyć z drogi legalnéj, ale i żadnego nie omieszkać prawnego środka dla poparcia swoich żądań. W kilku miejscach przyszło do tego, że chłopi odmówili podatków; a chociaż poborcy, zabrawszy bydło, wyprowadzają je na sprzedaż, nikt się nie waży kupować, boby

ściągnął na siebie zemstę publiczną. Ktokolwiek służy rządowi, wykluczony jest z towarzystwa; niedawno temu hr. Gołuchowski napróżno udawał się do kilku znakomitszych Magyarów, aby w jego departamencie objęli kierunek bióra do spraw węgierskich: nikt się nie znalazł, bo nikt nie miał odwagi narazić się na straszny wyrok całego narodu.

Taki jest stan obecny téj sprawy, stan z każdym dniem groźniejszy, bo każdy stawia nowe przeszkody do spokojnego jéj załatwienia. Tymczasem w rządzie wszystko idzie po dawnemu, tylko że za przykładem Węgrów, coraz szersza tworzy się koło niego próżnia. Nawet w rodzinie cesarskiéj panuje rozdwojenie: arcyksiąże Albrecht, namiestnik węgierski, chce się podać do dymisyi; arcyksiężna Zofia, z synem poróżniona, smutne dnie przepędza w Pradze, dręczona obawą strasznéj przyszłości, któréj odwrócić nie może. Najbliższy tronu, arcyksiąże Maxymilian miał oświadczyć Cesarzowi: że jeśli dłużéj w ten sposób rządzić będzie, to ostatnim jest z Habsburgów, który na tronie austryackim zasiada; że on (Maxymilian) nie chcąc być świadkiem nieszczęść jakie przewiduje, z całą rodziną opuszcza Europę i przenosi się do Brezylii.

Przestrogi te, jak dotąd, mało na Cesarzu robiły wrażenia; za to szybko rozchodzą się między publicznością i tém większy sieją niepokój. Kiedy burmistrz pragski przed kilkoma tygodniami pojechał w odwiedziny do ex-cesarza Ferdynanda (swobodnie na ustroniu swéj emerytury używającego) i skarżył się przed nim, że pracy wydołać, i rozkazom wyższych władz zadość uczynić nie może, dobroduszny starzec odpowiedział te słowa: *Lassen sie sich pensioniren, das ist das beste!* Podobała się ta odpowiedź Wiedeńczykom; ale mniemają, że nie sam burmistrz pragski powinienby z niéj korzystać...

POLACY WOBEC PRZYSZŁEGO KONGRESU.

31 grudnia.

Powody, których słuszność czytelnicy bezwątpienia uznają, odwracały dotąd nasze pióro od zapowiedzianego Kongresu, choć zaprawdę nie odwracały od niego naszéj uwagi. Ale byłoby to może przesadą i chybieniem celu, gdybyśmy tę konieczną oględność posuwali aż do zupełnego milczenia i nie dotknęli ni słowem przedmiotu, który wszystkie umysły tak żywo zajmuje. Wprawdzie i to słowo, z którembyśmy dzisiaj odezwać się mogli, tylko skąpe być musi i w znakach niejako abrewijacyjnych kreślone : nie wątpimy jednak, że publiczność polska pismo niedość jasne wyczyta i myślą dopełni, co wyrazy niedokończonego zostawią.

Jakiekolwiek mogą być przyczyny, które w ciągu dni ostatnich, otwarcie Kongresu utrudniły na nowo, zbyteczném zdaje nam się dowodzić, że zebranie pełnomocników, choćby się spóźniło, nastąpić przecież musi. Nie widzimy również potrzeby rozszerzać się nad koniecznością dokładania z naszéj strony wszelkich starań, aby nadchodzący ten Kongres nie pominął całkowicie praw

naszych. Są wprawdzie u nas tacy, którzy ze spirytualizmem zasad łączą muzułmański fatalizm, którzy nie uznając rzeczywistego świata nie chcą i od niego uznania: polityczni romantycy układają wciąż fantastyczny dramat przyszłości, gdzie bohatérami same duchy i anioły « a spotkania plac — powietrze! » Takich przekonać nie mamy nadziei. Ale ludzie trzeźwéj myśli i prostego sądu łatwo się z nami zgodzą, że nie wolno nam zaniechać żadnego sposobu, któryby w tak uroczystéj chwili przypomniał nas żyjącemu światu i żyjącéj historyi. *Qui tacet consentire videtur*: przysłowie to wszystkich ludów, a względem nas było ono w zbyt strasznym momencie, w Grodnie, wypowiedziane i przeciwko nam użyte, byśmy o niém kiedykolwiek zapomnieć mieli! W chwili, kiedy pełnomocnicy europejskich państw zebrać się mają dla uświęcenia nowo zdobytych praw nieuznanego dotąd narodu, nie może to być zaiste obojętném dla nas, którym żaden traktat europejski nie odmówił uznania, aby i nasze prawa dziesięciowiekowym bytem utwierdzone i nawet po upadku, w pewnéj przynajmniéj mierze, traktatami zawarowane, w ciszy następujących po sobie kongresów i paktów, nie uległy przedawnieniu. Nie umiemy powiedzieć, ilebyśmy na takiéj wzmiance w kongresie zyskali, — chociaż świeży przykład okazał, ile na podobnéj zyskał naród teraz wyzwolony, — nie ważymy się nawet upewniać, że ją otrzymamy; ale wiemy dobrze jak wielebyśmy stracili, gdyby o nas zupełnie przemilczano, a stracilibyśmy jeszcze więcéj gdybyśmy milczeli sami.

A zresztą okoliczności, wśród których powołani są do radzenia pełnomocnicy państw europejskich, są tak niezwykłe, tak w przyczynach i dążnościach swoich odmienne od tych, w których dawniejsze, podobne zasiadały aeropagi, i moralne potrzeby ludzkości tyle nabrały siły, taki zrobiły wyłom w rozgrodzeniach dzisiejszego świata, że byłoby to dziwném zaślepieniem stanowczéj

nie przyznawać wagi temu wszystkiemu, co Kongres z r. 1860 rozwiąże a może i zawiąże. Tylko, że Kongres z własnego popędu żadnéj nowéj nie naruszy kwestyi, zapomnianych spraw dobrowolnie wywoływać nie będzie: zajmie się niemi chyba wtedy, gdy same publicznie wystąpią i publiczne obudzą zajęcie. Najpoważniejszy z peryodycznych organów paryzkich, który w swych sprawozdaniach z bieżącéj polityki wyraża często myśl rządu francuzkiego, odzywa się w słowach następnych, które śmiemy polecić pilnéj uwadze naszych czytelników: «Wpływ opinii będzie wielki na dyplomatyczne narady, które się rozpoczną; trzeba na to być przygotowanym. Dwie tylko mogą być sankcye dla decyzyj Kongresu: siła materyalna lub siła moralna, poparcie zbrojne albo opinij. Poparcie zbrojne zdaje się być w zasadzie usunięte; powaga Kongresu nie będzie więc miała innego organu prócz opinii, ani jego wyroki innéj siły wykonawczéj prócz téj, jakiéj dostarczy opinia. Sumienie publiczne istotnym będzie wszechwładzcą..... Nowe to zaprawdę stanowisko tego Kongresu, który radzić ma nad przygotowaniem narodu do wolności i niepodległości wobec i pod kontrolą parlamentów, i napróżnoby dyplomacya, tak przywiązana do tradycyj, szukała przykładu, do któregoby się odwołać mogła. Kongres z r. 1860 nie będzie podobny do tych kongresów, które po wypadkach r. 1815 odbyły się, do kongresów w Laybach i Weronie, gdzie rządy despotyczne konspirowały przeciw prawom narodowym, układały tajemnie zbrojną interwencyą i przemoc, i dla państw słabszych redagowały konstytucye. Kongres paryzki wyrzekłszy się siły materyalnéj, dwie tylko ma przed sobą alternatywy: albo wejdzie w porozumienie z opinią publiczną, albo jeśli na nią zważać nie będzie, narazi się na zupełną bezsilność. W takim stanie rzeczy, trzeba aby opinia zrozumiała i ważność swojego stanowiska, i obowiązki jakie na niéj ciężą, a ludzie poświęceni sprawie wol-

ności powinni natężyć całą swoję dzielność, gorliwość i wiarę..... »

Jeśli od tych ogólnych uwag nad przyszłym Kongresem przejdziemy do szczególnych zadań naszych wobec niego, nie będziemy się zastanawiali nad obowiązkami, do których, na pierwszém miejscu, powołana jest w tym względzie polska emigracya : mamy nadzieję, że im wedle sił odpowié. Ale niemniéj ważne są niezawodnie wszelkie obecnie objawy narodowego życia w kraju samym, wszelkie dowody, że naród wiernym jest sprawie i że jéj przy każdéj sposobności świadczy; a nie wahamy się policzyć do bardzo znaczących w téj mierze aktów, upominania się uniwersytetów galicyjskich o język narodowy i ponawiane zacnéj szlachty podolskiéj przedstawienia. Byłoby wielce korzystném, gdyby te przykłady tyle przynajmniéj w kraju znalazły naśladowania ile za krajem wywołały rozgłosu, przedewszystkiém zaś, gdyby z kraju samego i bezpośrednio, takie świadectwa dochodziły Kongresu.

Bo w gruncie, każda część naszéj rozdartéj ojczyzny dostatecznie jest upoważnioną do zwrócenia uwagi Kongresu na swoje położenie; gdyż każda z nich, na mocy powszechnego traktatu i pod wyraźnie przez całą Europę określonémi warunkami, została połączoną z jednėm z trzech państw zaborczych. A nadto, zapewniona traktatem wolność handlowa i żeglugi przez wszystkie prowincye Polski, tworzy między niemi nawet legalnie uznaną łączność i solidarność interesów, którym dyplomatycznie zaprzeczyć nie można. Nie chodzi wcale, abyśmy czy w duszy naszéj, czy przed światem, w czémbądź ustępować mieli od praw, które od Kongresu i Europy niezawisłe, przez Boga samego nadane, dziesięciowiekowym bytem zostały uświęcone, ofiarami, krwią męczeńską i wytrwałością są do dziś dnia utrzymane : chodzi tylko o to aby przypomnieć i świadczyć, że te nawet cząstkowe prawa, które Europa, dla nas a bez nas,

na zaborcach Polski wymogła, na każdém miejscu i w każdéj chwili jawnemu ulegają zaprzeczeniu i jawnemu gwałtowi.

Wszakże, jeśli mowa o odwołaniu się do Kongresu, to widoczna, że jedna tylko z prowincyj polskich temu obowiązkowi śmieléj i zupełniéj odpowiedzieć jest w stanie. Jedno tylko Wielkie Księstwo Poznańskie może krok jawny uczynić z bezpieczeństwem i należną powagą. Bo jakkolwiek deputowani wielkopolscy legalny swój charakter mają tylko na mocy konstytucyi pruskiéj i sejmowych w Berlinie czynności, to przecież w celu bronienia polskiéj narodowości głównie wybrani zostali, dowodne swéj prowincyi posiadają zaufanie i nikt im bez wątpienia nie zaprzeczy, że przynajmniéj moralnie są upoważnieni przemówić w imię polskich interesów.

I dlatego, zdaje się nam, że Koło poselskie nie może tym razem ograniczyć swych czynności do samego sejmu, gdzie zresztą parlamentarna taktyka Niemców umiałaby, w razie potrzeby, wszelkie wystąpienie polskie udaremnić, choćby prostém jego odwlekaniem do chwili nam już niesposobnéj, dla nich obojętnéj: dość wspomnieć tu o losie, którego doznał wniosek pana Bentkowskiego. Sądzimy, w każdym razie, że aktem w obrębach tylko Izby pruskiéj dokonanym, szanowni deputowani wielkopolscy nie odpowiedzieliby w całości ani własnemu obowiązkowi, ani innych oczekiwaniom, — a wyznajemy szczerze, że temi kilkoma słowami chcielibyśmy na ten przedmiot zwrócić tak ich jak i publiczności polskiéj uwagę.....

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

DZIEŁA STARANIEM LUB NAKŁADEM BIBLIOTEKI POLSKIEJ WYDANE:

J. U. NIEMCEWICZ. — Podróże historyczne po ziemiach polskich, między r. 1811 a 1828 odbyte. Paryż, in 8., maj, 1858.

J. U. NIEMCEWICZ. — Notes sur ma captivité à Saint-Pétersbourg, Paris, in-8, 1841.

ALBERTI DUCIS PRUSIÆ. — Marchionis Brandeburgensis, Libri de arte militari. Lutetiæ Parisiorum, in-fol., 1858.

LETTRES DE PIERRE DE NOYERS, secrétaire de la Reine de Pologne, Marie-Louise de Gonzague (1656-1659). Berlin, in-8, 1858.

KARTA DAWNEJ POLSKI z przyległemi okolicami krajów sąsiednich. Paryż, 1859, ark. 48.

X. KRZYSZTOFA RADZIWIŁŁA H. P. L. Sprawy wojenne i polityczne (1621-1659). Paryż, in-8, maj 1859.

LESCŒUR. — L'Église catholique en Pologne sous le gouvernement russe. Paris, in-8, 1860.

X. A. CZARTORYSKI. — Żywot J. U. Niemcewicza. Berlin in-8, 1860.

PRZEWODNIK NAUKOWY W PARYŻU dla młodzieży polskiej. Paryż, in-12, 1860.

INVENTARIUM privilegiorum, litterarum, diplomatum quæcunque in archivo Regni Poloniæ continentur. Lutetiæ Parisiorum, in-8, maj 1862.

RELACYE NUNCYUSZÓW APOSTOLSKICH i innych osób o Polsce (1548-1690). Berlin in-8, maj, tom I, II. 1864.